

Piotr Antoni Świtalski

Igrzysko narodów.

Przegląd doktryn polityki zagranicznej i międzynarodowej

Spis treści

Wstęp

Rozdział I. Doktryny utylitarystyczne

1. Doktryna racji stanu
2. Realpolitik
3. Polityka z pozycji siły
4. Interwencjonizm
5. Imperializm
6. Hegemonizm
7. Doktryny strefy wpływów
8. Sinocentryzm

Rozdział II. Doktryny solidarystyczne

1. Solidaryzm religijny
2. Doktryny powinowactwa w sąsiedztwie Europy
3. Panslawizm
4. Pangermanizm
5. Anglosfera
6. Frankofonia i inne wspólnoty językowe
7. Russkij mir
8. Internacjonalizm proletariacki
9. Pomoc wzajemna
10. Sojusz ustrojowy
11. Doktryna Breżniewa
12. Doktryna Gorbaczowa

Rozdział III. Doktryny równowagi

1. Równowaga sił

2. Równowaga w czasach hegemonii
3. Doktryna równego dystansu
4. Multiwektoryzm
5. Neutralność
6. Neutralność współczesna
7. Doktryna niezaangażowania
8. Samograniczenie
9. Izolacjonizm wyniosły
10. Izolacjonizm autarkiczny

Rozdział IV. Doktryny reagowania

1. Appeasement
2. Doktryny strategicznej cierpliwości
3. Pokojowe współistnienie
4. Détente
5. Doktryna powstrzymywania
6. Odstraszanie
7. Sankcje
8. Doktryna Hallsteina i podobne
9. Bojkot i ostracyzm: casus Izraela
10. El bloqueo
11. Retorsja za obrazę: przypadek turecki
12. Bandwagoning
13. Satelityzm

Rozdział V. Wcielenia prometeizmu

1. Bezpieczeństwo zbiorowe
2. Ograniczenie zbrojeń i rozbrojenie
3. Międzynarodowa ochrona prawa człowieka
4. Promocja demokracji
5. Pomoc rozwojowa
6. Intergracjonizm
7. Regionalizm
8. Subregionalizm
9. Idealizm dyplomatyczny
10. Państwo światowe

Zakończenie

Wstęp

Zapraszam do lektury refleksji dyplomaty-praktyka o doktrynalnych mechanizmach prowadzenia polityki zagranicznej.

Co tydzień od stycznia 2022 do stycznia 2023 r. publikowałem na swoim blogu *Laterna diplomatica* rozważania o drogowskazach politycznych w działaniu dyplomaty. Podparte one były moimi doświadczeniami z prawie czterdziestoletniej dyplomatycznej kariery. Przypadła ona na czasy nadzwyczaj ciekawe, pełne wydarzeń przełomowych nie tylko w historii Polski, ale Europy i świata. Polscy dyplomaci do kuchni wielkiej polityki dostęp mieli i nadal mają bardzo ograniczony. Były to więc refleksje czynione z pozycji dyplomaty państwa średniej wielkości o skromnym wpływie na kierunek polityki międzynarodowej i z pozycji dyplomatycznego „operatora”, który bardziej był realizatorem niż kreatorem polityki. Osadzone były na opisach politologicznych i historycznych. Ale, gdzie się tylko dało, okraszone zostały anegdotami z własnych dyplomatycznych przygód. I nie mogę wykluczyć, że opowiadania te pozwoliły Czytelnikom odkryć nowe spojrzenie na fakty im znane, skonfrontować je z opisami i ocenami z dokumentów i relacji już funkcjonujących w obiegu publicznym.

Postanowiłem zebrać blogowe wpisy w całościowy bryk. Zawiera on sporo dodatkowego materiału. Dotyczą wzbogacenia przede wszystkim systematyki doktryn. Gwarantuję, że nawet Ci z Państwa, którzy mój blog na bieżąco śledzili, znajdą w tej skomasowanej wersji sporo nowych obserwacji. A być może świeżo spojrzą na całą prezentację. Czego z blogu nie przenieśli, to oczywiście ilustracji. A kilka z nich warto jest z pewnością obejrzenia dla lepszego odczytania tekstu. Zapraszam więc w razie potrzeby do odwiedzenia archiwum blogu.

*

Państwa jako zorganizowane byty narodowe i społeczne nie żyją w oderwaniu od zewnętrznego środowiska. Nawet jeśli uznają, że dla ich pomyślności lepsze czasem byłoby od świata się odgradzać. Muszą ze światem zewnętrznym wstępować w interakcje. A wstępując w interakcje prowadzą politykę zagraniczną. Muszą cele swojej polityki definiować. Określać metody ich osiągnięcia. Dobierać instrumenty. A przede wszystkim podejmować decyzje w obliczu problemów, które w relacjach ze środowiskiem się pojawiają, reagować na działania innych. Próbują nadać nie tylko doraźny, ale i głębszy sens własnemu postępowaniu. Dyplomatom przychodzi zaś wybory polityczne realizować.

Dyplomacja jest rzemiosłem (ale czasem też i sztuką), które jest podporządkowane realizacji celów polityki zagranicznej. Politycy, aby ułatwić rozstrzygnięcie dylematów nie tylko realizatorom polityki, ale i sobie, ubierają owe wybory w strategię, doktrynę, koncepcję. Układają się one w szpalery drogowskazów, koordynaty azymutów, linie nawigacji GPS, zestawy algorytmów. Z ich pomocą dyplomaci mają podążać właściwą politycznie drogą w codziennej działalności.

Dla skuteczności polityki nie wystarcza bynajmniej świadomość własnych celów. Niezbędne jest właściwe odczytanie celów politycznych, motywów, wartości i emocjonalnej wrażliwości partnerów, a tym bardziej oponentów w podejmowanych działaniach. Trzeba wiedzieć, o co chodzi tym innym. W zdobywaniu tej wiedzy rola dyptomatów pozostaje niezastąpiona.

*

Środowisko międzynarodowe ma charakter anarchiczny. Nie ma w nim władzy zwierzchniej. Państwa jako podmioty stosunków są oczywiście ograniczone w wyborze zachowań zobowiązaniami wynikającymi z prawa międzynarodowego, swoich wewnętrznych uregulowań i dobrego zwyczaju. Niektóre z nich, zwłaszcza wstępując do ugrupowań integracyjnych, zaakceptowały kompetencje zwierzchnie organów międzynarodowych. Ale zawsze mogą od nich odstąpić, albo z wyboru politycznego, albo z konieczności. Dotyczy to w szczególności sytuacji, w których państwa uznają, że zagrożone zostały szczególne dobra, a zwłaszcza ich suwerenny byt. Przetrwanie państwa uznawane jest powszechnie jako wartość nadrzędna wobec zobowiązań wynikających z prawa międzynarodowego.

Nie ma więc na razie w środowisku międzynarodowym ani powszechnie i bezwzględnie obowiązującego ładu prawnego (nawet jeśli taki jest oficjalnie zadekretowany), ani tym bardziej uniwersalnego ładu moralnego. Logika rozwoju stosunków międzynarodowych wskazuje, że państwa coraz bardziej polegają na instytucjach i instrumentach międzynarodowych w realizacji ich interesów narodowych. Także tych fundamentalnych, czyli dotyczących zapewnienia bezpieczeństwa i korzystnych warunków rozwoju gospodarczego. Ale nadal nawet członkowie silnych struktur integracyjnych czy sojuszniczych niosą na własnych narodowych barkach gros odpowiedzialności (a finalnie całą odpowiedzialność) za zaspakajanie narodowych potrzeb.

Polityka międzynarodowa jest szczególnym wymiarem polityki. Polityka jako taka jest sztuką zdobywania władzy i jej utrzymania. W wymiarze międzynarodowym zinstytucjonalizowanej władzy zdobyć się nie da, bo ona nie istnieje. Może polityka być jedynie sposobem wykorzystania potęgi własnej państwa dla stworzenia jak najlepszych warunków do realizacji własnych interesów. W dzisiejszym środowisku międzynarodowym bowiem nadal kluczem do skuteczności działania jest potęga wkomponowana w paradygmat interesów.

Uprawiając politykę zagraniczną państwa wykorzystują wszelkie dostępne im i możliwe do stosowania środki, związane ze sposobem pojmowania przez nich potęgi – polityczne (w tym dyplomatyczne), gospodarcze, kulturowe, a także niestety wciąż militarne, mimo obowiązującego na mocy Karty ONZ zakazu użycia siły i groźby jej użycia. Muszą zawsze uwzględniać skutki własnych działań. A stopień zagęszczenia i skomplikowania środowiska międzynarodowego czyni te skutki coraz bardziej nieprzewidywalnymi.

Polityka zagraniczna jest więc grą o interesy. W wymiarze sumarycznym jako polityka międzynarodowa staje się złożonym systemem akcji i reakcji. Państwa współpracują, rywalizują, izolują się i integrują, zawierają sojusze, podporządkowują swojej woli innych i same godzą się na podporządkowanie, wstępują w spory i konflikty, dystansują się od skonfliktowanych stron, mediują w konfliktach, bądź wspierają czynnie lub biernie jedną ze stron.

Arena międzynarodowa jest miejscem urzeczywistniania wyborów politycznych, ścierania się polityk. Jest swoistym igrzyskiem narodów. Jest, innymi słowy, miejscem prowadzenia przez państwa ich rozmaitych wzajemnych gier. Czasami igrzysko to staje się boiskiem (polem bitwy), czasami wręcz pobojuwiskiem (kiedy porządek międzynarodowy trzeba odbudowywać od podstaw). W przypadku polityki jałowej i pozorowanej igrzysko degraduje się do roli piaskownicy. W przypadku polityki prowincjonalnej igrzysko przyjmuje postać grajdołu.

Aby polityka mogła mobilizować musi mieć uświadomiony motyw, cel. Musi mieć jakiś sens. Igrzysko narodów jest miejscem ścierania się emocji, myśli i wartości, które określają politykę państw.

*

Najbardziej wzniosłym poziomem usystematyzowania polityki zagranicznej jest ideologia. Ideologia obejmuje opis pożądanego świata, system wartości i dyrektywy działania. Ideologią, która zaznaczyła wyraźne piętno na polityce międzynarodowej był marksizm-leninizm. Była oficjalnym kompasem polityki zagranicznej PRL. Z rozkładem światowego obozu komunistycznego, zniknęła z życia polityczno-międzynarodowego. Jak każda ideologia rościła sobie prawo do statusu naukowego. Ale, jak każda, była tylko emanacją zbiorowych emocji. Upadły złowieszcze ideologie rasistowskie jak faszyzm i nazizm, którymi próbowano motywować ekspansję w XX wieku. Ideologia komunistyczna po II wojnie światowej wymuszała reakcje obronne, których najbardziej totalną inkarnacją stała się doktryna powstrzymywania.

Głęboko sięgają korzeniami w historię ideologie religijne. Nakazywały w polityce zagranicznej szerzyć jedynie słuszną wiarę i budować wspólnotę z państwami współwierców. Motywacje religijne w polityce zagranicznej dziś praktycznie zanikły, ale nie do końca. Solidaryzm religijny przejawia się jeszcze w niektórych częściach świata.

Równie rudymen tarne wpływy zachowują odruchy traktowania w szczególny sposób relacji z państwami na zasadzie bliskości etnicznej, pokrewieństwa językowego i kulturowego. Trudno mówić o istnieniu dziś w polityce międzynarodowej ideologii etnicznych, bo te w zdegenerowanej postaci zraziły do siebie wystarczająco, ale solidaryzm etniczno-kulturowy jeszcze daje o sobie znać, nawet jeśli li-tylko w sferze symboliczno-ornamentalnej.

Dla uzasadnienia ekspansywnego kursu polityki zagranicznej przywoływano w przeszłości rozmaite mity ideologiczne. Jednym z najbardziej sprawczych, na którym oparto politykę imperialną i hegemolistyczną, był mit o misji cywilizacyjnej, który w zachodnim wydaniu wbił się w obraz „brzemienia białego człowieka”. Nie brakło prób posługiwania się ideologią geopolityczną, począwszy od Bismarckowskiego „Drang nach Osten”. Ucieczką przed wyrokami geopolityki była neutralność, niezaangażowanie i rozmaite postaci izolacjonizmu.

U progu XX w. zaczął pojawiać się w polityce zagranicznej czynnik wartości opakowany w rozmaite teorie i koncepcje polityczno-społeczne. Najsilniej dał o sobie znać liberalizm, z jego postulatami wolnościowego pokoju, polubownego rozstrzygnięcia sporów, prymatu prawa międzynarodowego, samookreślenia narodów. Z liberalnego pnia wyrosło wykorzystanie polityki zagranicznej do propagowania praw człowieka, demokracji. Prometejski nurt w polityce symbolizowała też międzynarodowa pomoc rozwojowa. A z początkiem naszego milenium zaczęła utrwalać się filozofia „jednolitego świata”, która podporządkowała politykę zagraniczną celom zapobieżenia niekorzystnym zmianom klimatycznym, dbania o światowe dobra publiczne, wspólnego podejmowania wyzwań ogólnocywilizacyjnych.

*

Ułożyłem doktryny w pięć bloków.

W pierwszym opisuję doktryny nazwane przeze mnie utylitarystycznymi. Wywodzą się one z najbardziej pragmatycznego pojmowania polityki zagranicznej. Ma w niej chodzić o maksymalizowanie korzyści, zysków i minimalizowanie strat, cierpień. Wszystko zaś, co jest dla interesów państwa korzystne, jest dobre, a wszystko, co im szkodzi, jest złe. Rękojmą zaś zaspakajania interesów państwa jest potęga. Takie utylitarystyczne podejście prowadziło państwa do pogoni za kumulowaniem potęgi, jej wykorzystania w celu narzucania woli innym, imperialnej ekspansji, agresywnej konfrontacji.

Rozdział drugi poświęcony jest doktrynom umownie nazywanym solidarystycznymi, w których historycznie przejawiały się emocje wsparcia lub sympatii wobec innych państw powodowane względami kulturowymi lub ideologicznymi.

W trzecim rozdziale opowiadam o doktrynach, w których głównym celem było dążenie do ustanowienia równowagi sił w środowisku międzynarodowym, równowagi wpływów w polityce zagranicznej, neutralności i autarkii. Przez milenia całe obowiązywał aksjomat, że równowaga sił jest najzdrowszym z możliwych stanów środowiska międzynarodowego, najkorzystniejszym dla realizacji interesów państwowych.

Czwarty rozdział traktuje o doktrynach, które formułowano dla reagowania na zachowania innych partnerów współżycia międzynarodowego. Reakcje bywały różne: od najbardziej miękkich po zdecydowane i gwałtowane, od abdykacji po penalizację nieakceptowalnych zachowań. Były też doktryny przeczekania i doktryny braku reakcji, co jakąś formą reakcji pozostaje.

Kończy przegląd blok piąty, który dotyczy doktryn prometejskich. Próbuje one wychodzić poza skorupę egoizmu narodowego, posługując się odwołaniami do dobra całej ludzkości, zwracając się ku empatii, kierując się kompasem wartości.

Struktura tekstu, kolejność bloków nie jest oczywiście przypadkowa. Widzę bowiem ewolucję w formułowaniu doktryn. Są one odbiciem niezaprzeczalnej logiki. Zmierzania polityki zagranicznej w stronę zachowań cywilizowanych, odchodzenia od prymatu siły, dematerializowania się pojęcia potęgi, utrwalania się w doktrynach czynnika wartości.

Jestem niepoprawnym wyznawcą postępu i mam nadzieję, że mój autorski przegląd doktryn pomoże i Czytelników zarazić moją wiarą.

*

Trafiłem do dyplomacji w końcówce PRL-u. Pierwsze dni mojej bytności w MSZ w styczniu 1986 r. wypełniła praca nad programowymi dokumentami: założeniami polityki zagranicznej rządu na najbliższy rok, bilansem polityki w roku minionym i exposé ministra. Rola moja była czysto techniczna – zajmowałem się tzw. szczytywaniem tekstów. Była to jeszcze epoka maszyn do pisania, funkcja spell-checkera była im nieznaną. Wszystkie błędy i literówki musiało wylapać ludzkie oko. Okazało się, że miałem je całkiem sprawne. I było one na tyle czujne i krytyczne, że poczułem się zachęcony do zgłaszania spostrzeżeń co prawda skromnych, bo skromnych, ale już merytorycznych. Musiało to zwrócić na mnie uwagę kierownictwa Departamentu Studiów i Programowania, bo bardzo szybko rzucono mnie na głębsze zawodowo wody.

Przysłuchując się wtedy rozmowom i dyskusjom przełożonych i starszych kolegów redagujących owe dokumenty programowe (a było komu się przysłuchiwać: Sławomirowi Dąbrowie, Andrzejowi Towpikowi, Jerzemu Sułkowi, Ryszardowi Krystosikowi, Tadeuszowi Biegańskiemu, o moich zzabiurkowych sąsiadach z pokoju 257 w Gmachu na alei Szucha, wtedy jeszcze zwanej aleją I Armii Wojska Polskiego: Zbigniewie Matuszewskim i Krzysztofie Opalskim, nie zapominając) stwierdzić mogłem, że myślenie ich było pragmatyczne, zdroworozsądkowe, technokratyczne, państwowe, wolne od ideologicznego doktrynerstwa, którym przepojona była oficjalna propaganda. Elementy słuszne ustrojowo dopisywano dopiero pod koniec całego procesu redakcyjnego. I przede wszystkim po to, aby uwiarygodnić dokumenty w oczach kierownictwa resortu i państwa. Przypominano wtedy sobie dla uciszenia sumień uwagę jednego z wieloletnich ministrów spraw zagranicznych PRL, który po przeczytaniu materiałów przygotowanych w Departamencie przymilnie poprosił: „Wiecie, wszystko pięknie, ładnie, mądrze, tylko, wiecie, podlejcie trochę tego ideologicznego sosu, rozumiecie?”. Więc podlewano, ale im bliżej końca PRL-u, tym mniej.

I przekonywałem się potem wielokrotnie, że dyplomaci źle się czują w doktrynalnych gorsetach. Bo istotą ich misji jest pragmatyczne budowanie mostów, szukanie kompromisów, rozwiązywanie konkretnych problemów i sporów. A każda doktryna ogranicza wyobraźnię, a w zideologizowanej postaci, kiedy odwołuje się do imponderabiliów i aksjomatycznych wartości, utrudnia porozumienie. Byłoby jednak niesprawiedliwe imputować dyplomatom zawodowy cynizm. Mają i

oni moralny kompas, który wyklucza kompromis z każdym i za wszelką cenę. A doktrynalne ramy polityki dają im poczucie bezpieczeństwa. Utrudnia, a czasami wręcz paraliżuje pracę dyplomaty, brak jasnych wytycznych ze strony sprawujących władzę polityków co do kursu polityki zagranicznej, chaos i niekonsekwencja. Zdarzało się to i w polskiej polityce zagranicznej w ostatnich latach. A dyplomatów czyniono kozłami ofiarami niekompetencji polityków.

Wielu polityków, w tym na najwyższych stanowiskach, pragnie uchodzić za pragmatyków. Nie chcą być postrzegani za więźniów własnych światopoglądów. Czasami wręcz brzydzą się doktrynami. „Dajcie mi spokój z doktrynami. Nienawidzę tego słowa. To straszna rzecz. Całe życie walczyłem z doktrynami. Wszędzie – w wojsku także. To przekleństwo nasze. Nie chcę tego słyszeć. Doktryna! Doktryna! To śmierć dla myśli, to martwota, to zerwanie z rzeczywistością!” - mawiał marszałek Piłsudski.

W polityce zagranicznej musi być wszakże myśl i konsekwencja. Czy sam polityk, czy obserwatorzy jego działań, ułożą tę myśl w doktrynalne ramy, to rzecz drugorzędna. Bo myśli prymarne i przesłania w polityce domagają się nie tylko jej realizatorzy, ale przede wszystkim opinia publiczna, obywatel. Nawet jeśli będzie to myśl prosta, banalna, instynktowna.

*

Doktryny z reguły łączono z imionami polityków. Każdy prawie powojenny prezydent USA był wiązany z jakąś doktryną – realną bądź na wyrost, strategiczną bądź chwilową. Wiązany był przez komentatorów, dziennikarzy, analityków, naukowców. Rzecz to zrozumiała: każda myśl określona jako doktryna i otagowana imieniem prezydenta zawsze brzmi poważniej. Na doktryny swojego imienia zapracowali nawet przywódcy ZSRR. Ale tylko dzięki skłonnościom uogólniającym zachodnich obserwatorów. Politycy innych państw także kojarzeni byli z doktrynami. Przejmowali politycy prawa autorskie doktryn nie dlatego, że doktryny owe wymyślali, bo z reguły czynili to ich doradcy, ale dlatego, że brali za nie odpowiedzialność.

Niekiedy doktryna potrafiła przylgnąć do czyjegoś imienia wbrew jego woli, mimo protestów, wbrew jego dowodom, że taka doktryna w ogóle istniała (doktryna Sonnenfeldta).

Świat doktryn żyje bowiem swoim własnym życiem.

W moim przeglądzie pojęcie doktryny traktuję bardzo umownie. Nie próbuję rozważać, czy jakaś decyzja czy polityczna teza na takie miano zasługuje. Nie dociekam, czym różni się doktryna od koncepcji, dewizy, credo czy systematu. Wymieniam doktryny z imionami łączonych z nimi polityków, ale tylko dlatego, że tak się już w praktyce utrzymało. Nie badam, czy zasłużenie, czy nie. Bardziej interesuje mnie opis myśli, która przyświecała działaniu.

Pierwsze i wyjściowe prawo rządzące doktrynami można byłoby określić śmiało: „Nie ma takiej istotnej decyzji politycznej i zawartej w niej myśli, której nie dałoby się nazwać doktryną”.

I ja nawet nie wymagam, aby myśl ta była konsekwentnie stosowana.

Bo drugie podstawowe prawo rządzące doktrynami polityki zagranicznej i międzynarodowej chciałbym niniejszym sformułować następująco: „Nie ma takiej doktryny, od której nie byłoby wyjątków”.

Rozdział I.

Doktryny utylitarystyczne

Polityka międzynarodowa pozostaje polityką plemienną. Tworzą ją narody zorganizowane w państwa. Wpływ innych podmiotów stosunków międzynarodowych rośnie, ale to państwa nadal decydują o kształcie polityki. Państwa ukształtowały się historycznie, aby dbać o dobro konstytuującego go narodu politycznego. I stąd pierwotną myślą w polityce jest pod każdą szerokością geograficzną utylitaryzm – prakseologiczny i moralny. W polityce zagranicznej oznacza to, że najważniejszym zadaniem jest dbałość o rację stanu, zabezpieczanie interesów państwa, budowanie potęgi własnej i równoważenie potęgi innych, maksymalizowanie zdobyczy i minimalizowanie strat.

Tak jest po dziś dzień. Czy będzie tak na zawsze, to oddzielna kwestia.

Od tego rudymetarnego, utylitarystycznego wątku zaczniemy nasze rozważania.

Egoizm narodowy jest cechą myślenia plemiennego w najbardziej elementarnej formie. Zwłaszcza jeśli podstawową troską państwa była walka o przetrwanie. Wydawało się, że przetrwanie jako cel polityki jest już daleko za nami w historii cywilizacji ludzkiej. Ale jak pokazuje heroiczny casus Ukrainy, nawet dziś stawką w rozgrywce z imperialną Rosją może być przetrwanie.

Egoizm egoizmem, ale od zawsze były w działaniach państw postawy altruistyczne, była wspaniałość, były gesty bezinteresowne. Motywowane mogły być nie tylko odruchami emocjonalnymi, ale i chłodną, racjonalną kalkulacją. Chodziło w nich o zbijanie kapitału na przyszłość, stało za nimi oczekiwanie na wzajemność, dążenie do uzależnienia innych od naszego wsparcia.

Była to jednak zawsze polityka, w której celem naczelnym czyniono potęgę własnego państwa.

1. Doktryna racji stanu

Racja stanu to, najprościej mówiąc, dobro państwa. Odruchowym algorytmem polityki zagranicznej, czyli postępowania wobec świata zewnętrznego, jest dziś nadal kierowanie się interesem własnego kraju. To domyślna doktryna polityki zagranicznej każdego państwa. Najbardziej bazowa i przekonująca. Wartość zaiste autoteliczna.

Racja stanu weszła do leksykonu politycznego z kształtowaniem się nowoczesnego paradygmatu stosunków międzynarodowych opartego o interes narodowy.

Autorstwo samego pojęcia jest przypisywane arcybiskupowi Benewentu Giovanni della Casa, szesnastowiecznemu pisarzowi i poecie, znawcy etykiety i dobrych manier. Zręby koncepcyjne racji stanu założył Nicolo Machiavelli, a pierwszy zastosował ją w praktyce – i to z rozmachem – kardynał de Richelieu, architekt polityki zagranicznej Francji w XVII wieku. Dla Richelieu stała się ona poręcznym wyjaśnieniem wsparcia przez katolicką Francję protestanckiego obozu w wojnie trzydziestoletniej. Pragnienie osłabienia katolickich przeciwników Habsburgów stało wyżej od solidarności wyznaniowej. Z czasem rozrosła się racja stanu do słowa zaklęcia, którym da się wytłumaczyć najbardziej nawet kontrowersyjne posunięcia państw na arenie międzynarodowej.

To kategoria dość abstrakcyjna, wielce intuicyjna, bardzo sytuacyjna. Oznacza podejmowanie decyzji politycznych kierując się nadrzędnym interesem państwowym, interesem narodowym. Wyklucza motywowanie swoich działań interesem osobistym, rodzinnym, dynastycznym, plemiennym, religijnym, partyjnym, czy ideologicznym. Wiąże się z nią postulat odrzucania emocji, realistycznej oceny uwarunkowań decyzyjnych. Pozostaje czynnikiem mglistym, ulotnym, zmiennym w czasie. Zbyt często bowiem w przeszłości powoływano się nią, aby ukrywać rzeczywiste motywy działania, wprowadzać element sekretności w procesie decyzyjnym, wykluczać możliwość debatowania słuszności podejmowanych decyzji, czasami odrzucać kompromisy, a czasami uzasadniać niepopularne transakcje.

Doktryna racji stanu zrewolucjonizowała politykę zagraniczną państw, stała się jednym z atrybutów westfalskiego porządku międzynarodowego.

Racja stanu to inaczej sublimat interesów narodowych, strategiczna rama tych interesów, nadrzędny interes państwa. W westfalskim modelu stosunków międzynarodowych interes państwa stał się kryterium ostatecznym oceny polityki, nawet jeśli w grę wchodzi altruizm czy poświęcenie.

Interes państwa utożsamia się często z interesem narodowym. W sytuacjach egzystencjalnie skrajnych nie są one tożsame. Jak mawiał prezydent Benesz: przetrwanie narodu jest ważniejsze od przetrwania państwa.

W latach 2011-2014 w ramach swoich obowiązków jako szefa Dyrektoriatu Planowania Politycznego w Sekretariacie Rady Europy wspierałem europejską sieć szkół studiów politycznych i edukacji obywatelskiej. Wizytowałem je często, wygłaszałem prezentacje, prowadziłem debaty. Zawitałem kiedyś do Prisztiny. Wydawałoby się, że najważniejszym tematem byłoby tam omówienie nowych koncepcji budowy skutecznego, sprawnego i wydajnego państwa. Przygotowałem solidny wykład pokazujący ewolucję roli państwa, rosnące napięcie w relacjach państwo-obywatel i pomysły przebudowy modelu państwa. Miałem wszakże nieodparte wrażenie, że moja opowieść nie powalała słuchaczy – nota bene, młodych, dynamicznych, dobrze wykształconych, znających języki, lecz sfrustrowanych sytuacją w ich kraju i postawą rządzącej elity. Wyjaśnienie (chciałbym zakładać, że naciągane) przedstawił mi dyskretnie jeden z uczestników: nacjonalizm u nas każe traktować nasze państwo jako twór przechodni, niezbędną konieczność, aby wyjść spod „serbskiej dominacji”, formę politycznej poprawności, aby korzystać z sympatii USA i Zachodu, bo tak naprawdę my chcemy zjednoczenia (w domyśle: z resztą albańskiej nacji).

Istotnie, nie zawsze samodzielne państwo jest strategicznym celem. Nie było ono imponderabile m.in. dla wielu obywateli NRD u schyłku jej istnienia, dla sporej grupy Mołdawian po rozpadzie ZSRR, dla większości Austriaków po rozpadzie monarchii austro-węgierskiej w 1918 r. Ale to sytuacje w historii stosunków politycznych wyjątkowe.

Nadrzędny interes państwa wiązać przyjęto przede wszystkim z zapewnieniem suwerenności państwa, jego integralności terytorialnej, bezpieczeństwa państwa i jego obywateli, a także z zachowaniem narodowej tożsamości. Wynikać z niego miało prawo do podejmowania wszelkich, czasem nadzwyczajnych, środków i wyłączenia ich spod oceny moralnej.

Ciekawym zjawiskiem ostatnich lat jest rozszerzanie pojęcia bezpieczeństwa o czynnik tożsamościowo-kulturowy. Są politycy, co najmniej w kilku państwach, w tym także europejskich, którzy obronę przed narzuceniem z zewnątrz tzw. obcych wartości cywilizacyjnych czynią ważnym elementem polityki bezpieczeństwa. Chcą bronić narodu przed złem moralnym, rozbijaniem tradycyjnego modelu rodziny i pojmowania roli płci. Owszem, sam termin bezpieczeństwo robi się coraz bardziej rozciągliwy, abstrakcyjny i subiektywny. Jako aksjomatyczne traktujemy takie pojęcia, jak bezpieczeństwo energetyczne, surowcowe, gospodarcze, ekologiczne, informacyjne. Od dawna w rozmowie o bezpieczeństwie chodzi o coś więcej niż czysto fizyczne i polityczne

przetrwanie państwa. Masowe (i niekontrolowane) migracje uwypukliły znaczenie bezpieczeństwa kulturowego. Ale lęki z tym związane są cynicznie wykorzystywane w polityce wewnętrznej. Kulturową rację stanu przywłaszczyli populiści.

Rację stanu określa zawsze decydent polityki zagranicznej. Mogą się rządzący spierać z opozycją polityczną o jej rozumienie, mogą nawet demonstrować różne jej pojmowanie poszczególne ośrodki władzy (jak Sejm i Senat w Polsce podczas dyskusji, czy powiązanie tzw. funduszu odbudowy UE w 2021 r. ze stanem praworządności jest zgodne czy nie z polską racją stanu), ale zawsze ostatecznie miarodajne jest zdanie tego, kto podejmuje stosowne decyzje. Optymistycznie zakładamy, że decydent definiuje rację stanu w sposób racjonalny, obiektywny, pozbawiony emocji i osobistych względów. Z historii wiemy, że nie zawsze ma to miejsce. Pole marginesu uznaniowości jest niewątpliwie w sprawach polityki zagranicznej o wiele większe niż w kwestiach dotyczących polityki wewnętrznej.

Rację stanu określa się zawsze w oparciu o realny kształt rzeczywistości, ale w sprawach polityki zagranicznej percepcja tego stanu waży więcej niż sama rzeczywistość. Stąd też bierze się tak duży strach o nieprzewidziane konsekwencje podejmowanych decyzji. O wiele większy niż w przypadku polityki wewnętrznej.

Rozpościerano zakres znaczeniowy racji stanu na interesy gospodarcze, postulat zapewnienia dobrobytu obywateli, obronę prestiżu państwa. W zamierzonych (przedwestfalskich) czasach, kiedy honor władcy (państwa) był istotnym motorem zachowań państw, jego obrona była oczywistą racją stanu. Dziś, kiedy pewien przywódca zachodni (państwa członkowskiego NATO) wysłał przywódcę innego dużego zachodniego państwa (też członka NATO) na leczenie psychiatryczne i wyraża nadzieję, że naród tego państwa swojego przywódcę się pozbędzie, wojny na szczęście już z tego powodu nie wybuchają. A obrzucony inwektywami przywódca pisze nawet do ich autora ciepły list. Bo wymagają tego interesy.

Ale gdzie indziej prześmiewcza karykatura przywódcy w bulwarowej gazecie sąsiedniego państwa może stać się przyczyną odwołania wielostronnego szczytu. Więc są nadal państwa, w których obrona prestiżu przywódcy i honor państwa są wymogami racji stanu. I nadal uważa się tam, że „jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor”.

Kiedyś, po dość długiej i napiętej sesji negocjacyjnej, w której przyszło mi w osamotnieniu upierać się przy pewnych sformułowaniach w dokumencie końcowym, podszedł do mnie jeden z oponujących negocjatorów. „Ty wiesz, co u nas o Was zawsze mówili?” - zapytał. „No, nie wiem” – przyznałem. „Ech, Poliaci: bolsze czesti, czem uma”. Zabolalo i nie zabolalo.

Traktuje się dziś prestiż coraz częściej jako zdegradowany interes żywotny.

Racja stanu jest odzwierciedleniem nie tylko sposobu pojmowania, ale i hierarchii interesów. Bo są interesy pierwszorzędne i drugorzędne. Co ciekawe, jeśli przed laty do interesów drugorzędnych zaliczano np. ochronę interesów obywateli państwa (państwo zawsze stało przed obywatelem), to dziś miarą skuteczności polityki bezpieczeństwa jest także zdolność do zapewnienia bezpieczeństwa obywatela państwa w sensie ścisłym i do ochrony jego interesów. Są interesy permanentne i doraźne, ogólne i specyficzne, komplementarne i konfliktowe. Wielkim atutem paradygmatu interesów w stosunkach międzynarodowych jest to, że interesy są negocjowalne i plastyczne.

Wyzwaniem dla polityka pozostaje określenie hierarchii racji, znalezienie czynnika nadrzędnego w sytuacji, kiedy rozmaite interesy państwowe nakładają się na siebie, a nawet konfliktują wzajemnie. W mojej praktyce dyplomatycznej pierwszym poważnym przypadkiem, kiedy rozbieżne racje wymagały politycznego rozsądku były negocjacje nad Traktatem o konwencjonalnych siłach zbrojnych w Europie (CFE). Prowadzone były od marca 1989 r. we Wiedniu w dynamicznie

zmieniającym się środowisku geopolitycznym (byłem zastępcą szefa delegacji polskiej na tych rokowaniach; szefował jej ambasador Włodzimierz Konarski). Koncepcja porozumienia opierała się na blokowych pułapach dla uzbrojenia, parytetowych dla Układu Warszawskiego i NATO. Opracowano ją, kiedy Układ Warszawski wydawał się bytem trwałym. Latem 1990 r. racją stanu polskiej polityki było już jednoznacznie wyswabdzanie się z satelickich powiązań, otwieranie perspektywy dla przyszłościowej integracji z Zachodem, w tym umożliwienie wejścia do NATO. Traktat CFE w formule, w której był negocjowany, utrzymywał naszą przynależność do grupy państw Układu Warszawskiego. Mechanizmy Traktatu, nawet przy założeniu, że dezintegracja Układu Warszawskiego była politycznie przesądzona, wymuszała współdziałanie w ramach grupy państw będących wtedy jego członkami, dawał ZSRR pośrednią możliwość wpływu na politykę wojskową Polski. Z drugiej wszakże strony zmiana koncepcji, chociażby na tzw. narodową, którą wynegocjowano w trakcie tzw. adaptacji Traktatu w 1999 r., wtedy oznaczałaby ryzyko wywrócenia całego procesu negocjacji. Zachód, a zwłaszcza Amerykanie, nie brali jej zupełnie pod uwagę. Perspektywa drastycznej redukcji potencjału konwencjonalnego ZSRR, którą otwierał Traktat, była niepodlegającym dyskusji priorytetem. Amerykanie uznali, że należy czynić wszystko, aby nie została zaprzepaszczona. Traktat miał zostać podpisany 19 listopada 1990 r. na szczycie w Paryżu.

Amerykanie, zaniepokojeni, że negocjacje mogłyby ugrząść w niekończących się dyskusjach technicznych, postanowili przyspieszyć proces. Istotnie, pod koniec września gotowych było w oszlifowanej wersji ok. 40 proc. tekstu. Jeśli do tego dołożyć kwestie, które mogły uchodzić za gotowe do uzgodnienia na technicznym szczeblu, to nie więcej niż dwie-trzecie Traktatu udało się wtedy już spiąć. Można było zakładać, że zwyczajowe w takich przypadkach zintensyfikowanie prac na ostatniej prostej mogło zaowocować osiągnięciem porozumienia na czas. Ale postanowili Amerykanie nie ryzykować. Wykorzystali pobyt w USA szefa delegacji sowieckiej ambasadora Olega Gryniewskiego na początku października i zaczęli uzgadniać tekst dwustronnie. Ostatnie trudne, a dla Sowietów – najtrudniejsze kwestie (dotyczące weryfikacji), rozstrzygnęli w drugiej połowie października w pokoju nowojorskiego hotelu Waldorf Astoria Lynn Hansen (ówczesny zastępca szefa delegacji amerykańskiej) i Giennadij Jewstafiew („szara eminencja” delegacji radzieckiej). Tylko we dwójkę. I bez wspomagaczy (Lynn Hansen był ortodoksyjnym mormonem).

Uzgodniony dwustronnie Traktat przedstawili Amerykanie i Sowietom pozostałym 20 państwom uczestniczącym w rokowaniach we Wiedniu. Gwoli prawdy, cały ciężar przedstawienia wzięli na siebie Amerykanie. Także wobec części grupy państw Układu Warszawskiego. Była to oferta na zasadzie „take-it-or-leave-it”. Dano nam po prostu cztery tygodnie na przetłumaczenie tekstu i uzyskanie odpowiedniej zgody władz rządowych na jego parafowanie. Polska (wspierana przez Węgry i Czechosłowację) próbowała do końca zapisy blokowe łagodzić. Paradoksalnie naszym głównym kanałem wpływania na uzgodnienia stały się USA (a nie blok Układu Warszawskiego). Szef delegacji amerykańskiej ambasador Robert James Woolsey (w latach 1992-1995 – szef CIA), przy całej sympatii politycznej (a i prywatnej) do nas niewiele mógł nam pomóc. Udało nam się wprowadzić pewne zapisy do preambuły (które potwierdzały nasze prawo do wychodzenia z dotychczasowego sojuszu i wstępowania do innego), ale ramowe parametry Traktatu nie podlegały dyskusji. I musieliśmy już sami rozwikłać nasze dylematy, określając co jest naszą nadrzędną racją stanu. Zaakceptowaliśmy Traktat, będący politycznie zwierciadłem przeszłości, z której chcieliśmy się wyzwolić, w imię zbudowania środowiska bezpieczeństwa militarnego, które otworzy dla całej Europy możliwość radykalnej przebudowy.

*

Doktryna racji stanu budziła i budzi nadal rozmaite spory interpretacyjne.

Po pierwsze, coraz silniej zaznacza się spór o to, kto ma definiować rację stanu. Jak wspomniano, z założenia prawo takie posiadają prawowite instytucje państwowe, które dysponują uprawnieniami do prowadzenia polityki zagranicznej. Co jednak, jeśli tracą one umocowanie społeczne, a prawo do

interpretowania racji stanu jest powszechnie kwestionowane? Czy przywódca, jak choćby Łukaszenko po zafałszowanych wyborach w 2020 r., ma prawo zachowywać monopol na definiowanie racji stanu nawet w relacjach z Rosją? Jaka jest prawowitość (i legalność) nowych integracyjnych uzgodnień, które podejmował on np. wobec Moskwy?

Inna sprawa to, jak nadrzędna owa racja stanu ma być interpretowana w stosunku do innych wartości, np. przetrwania narodu czy nawet całej cywilizacji ludzkiej. Świadomość współzależności rośnie. Pojęcie interesów koegzystencjalnych wymyślono już dawno. Co, na przykład, jeśli interes państwa koliduje z interesem ogólnoludzkim (casus użycia broni jądrowej w obronie własnej)?

Każde państwo, nawet najbardziej prowincjonalne, ma swój udział w interesach uniwersalnych społeczności międzynarodowej. Postępy projektów integracyjnych, zwłaszcza europejskiego, mogą postawić na kolizyjnym kursie interes partykularny i regionalny. Co z racją stanu, jeśli interes narodowy koliduje z interesem regionalnym (integracyjnym)? Nie raz, nie dwa przychodzi członkom Unii Europejskiej (nie tylko płatnikom netto) tłumaczyć społeczeństwu, że w imię racji stanu oddali pierwszeństwo dobru wspólnemu integracji kosztem doraźnej korzyści narodowej. Co jeśli interes narodowy koliduje z interesem bliskich partnerów (np. Nord Stream a interesy Niemiec i Polski)? Czy racja stanu ma prawo być racją egoistyczną, partykularną, szkodzącą innym partnerom?

W westfalskim modelu stosunków międzynarodowych filozofią międzynarodową państw jest utylitaryzm – maksymalizacja korzyści, minimalizacja strat. Obowiązuje plemienna etyka, znana w Polsce powszechnie jako tzw. moralność Kalego. Ale współzależności współczesnego świata dyktują wymóg uwzględniania interesów innych partnerów. Nawet już Metternich siłę państwa wiązał z umiejętnością harmonizowania interesów własnych z interesami partnerów. Interesy partykularne kojarzył z krótkowzrocznością i zniecierpliwieniem.

Kolejna kwestia: jak stała i niepodważalna jest racja stanu w sytuacji dynamicznie zmieniającego się środowiska międzynarodowego? Czy operowanie ją nie czyni polityki zagranicznej inercyjną? A jeśli racja stanu staje się wysoce plastyczna, czy nie staje się wyrazem koniunkturalizmu?

Inne pytanie: jak szerokie merytorycznie ma być pojęcie racji stanu? Czy obejmować ma również sprawy ustroju wewnętrznego i polityki wewnętrznej państwa. Związki między sprawami wewnętrznymi a polityką zagraniczną zagęszczają się i powodują, że czasem precyzyjnego rozgraniczenia między wymiarem wewnętrznym i zewnętrznym nie sposób znaleźć.

I wreszcie, czy racja stanu winna zawsze i wszędzie być wolna od osądu moralnego?

Racja stanu pomijająca czynnik współzależności nieuchronnie prowadzi do nacjonalizmu. Nacjonalizm praktykowany w osamotnieniu jest niewątpliwie doktryną mobilizującą plemienne sentymenty i zjednującą poparcie społeczne. Żeruje na tym populizm. Ale praktykowany powszechnie i przez wszystkich aktorów polityki międzynarodowej może stać się prawdziwą zmorą. Państwo narodowe jako koncept polityczny zaczęło się umacniać w połowie XIX wieku. Potrzebowało nacjonalizmu jako spoiwa ideologicznego. Jest nacjonalizm manifestacją świadomości i tożsamości narodowej. Od lat próbowano odsiewać od nacjonalizmu postępowego (patriotyzmu) nacjonalizm zły, agresywny (szowinizm). Nie zawsze skutecznie.

Prymat myślenia narodowego nad ponadnarodowym czy kosmopolitycznym będzie się utrzymywać w przewidywalnej przyszłości. Jest myślenie narodowe zwłaszcza naturalnym odruchem w czasach trudnych, kryzysowych. Bo łatwiej nam znieść wyrzeczenia w poczuciu przynależności do grupy narodowej.

Pojęcie interesu narodowego, podobnie jak racji stanu, ewoluuje. W coraz większym stopniu uwzględnia, że zapewnić stan rzeczy niezbędny dla zaspokojenia potrzeb narodu (i materialnych, i

świadomościowych, i operacyjnych, i aspiracyjnych) nie da się w sposób egoistyczny, a tym bardziej w pojedynkę.

Racja stanu w polityce zagranicznej stała się „oczywistą oczywistością”. Odwoływanie się do niej w konkretnych przypadkach zatraciło siłę przekonywania co do słuszności podejmowanych decyzji.

„Suwerenna jednostka ludzka” rację stanu traktować będzie z coraz większą podejrzliwością, jeśli nie nieufnością. Powoływanie się na nią będzie interpretować jako dowód, że decydent nie chce lub nie może zdradzić prawdziwych motywów postępowania. I nie robi tego w interesie zwykłego obywatela. Racja stanu musi ewoluować w bardziej pojemną koncepcję.

2. Realpolitik

Kluczem do realizacji racji stanu jest posiadanie odpowiedniej zdolności wykonawczej, czyli sprawczość. A zdolność wykonawcza w tradycyjnym paradygmacie stosunków międzynarodowych wiąże się z pojęciem potęgi. Potęga w stosunkach międzynarodowych jest zawsze względna. Jest mierzona względem potęgi innych aktorów sceny międzynarodowej. Potęgę przez wieki całe identyfikowano z siłą. Nic więc dziwnego, że jedną z elementarnych doktryn polityki zagranicznej stała się doktryna postulująca uwzględnianie i wykorzystywanie dysproporcji między potęgą państw. Najbardziej ze znanych jej u postaciowań stała się doktryna „Realpolitik”. Jest często uważana za synonim polityki realistycznej, wynikającej z trzeźwej oceny możliwości państw i twardego stąpania po ziemi.

Po dziś dzień realizm dominuje w praktyce politycznej. Utarło się przekonanie, że ślepotą ideologiczną, iluzję, chciejstwo szkodzą skuteczności. Co sprawia, że nawet najbliższych partnerów w polityce zagranicznej traktuje się w oparciu o zasadę ograniczonego zaufania. Nie wierzy się na ślepo słyszanej deklaracji. Nie zakłada się wierności wszystkich składanych przyrzeczeń. Skutek tego jest taki, że w polityce międzynarodowej utrzymuje się naturalny deficyt zaufania. Można i trzeba go zapełniać, posługując się często instrumentem budowania dobrych personalnych relacji między przywódcami.

Termin „Realpolitik” kojarzony jest z Bismarckiem, polityką Prus i Niemiec za jego kanclerstwa. Został ten termin ponoć pierwszy raz użyty i opisany przez Ludwiga von Rochau, niemieckiego publicystę XIX wieku. W swojej książce z 1853 r. pod tytułem „Grundsätze der Realpolitik angewendet auf die staatlichen Zustände Deutschlands” dowodził on, że „Realpolitik” to dyplomacja oparta na uznaniu prymatu zasady siły w rządzeniu światem. Kiedyś zasada ta przejawiała się w dyktacie silniejszego (bez oglądania się nawet na prawo czy moralność), zaś nowocześnie skutkiem tej zasady stało kształtowanie relacji między państwami w oparciu o ocenę ich potęgi.

Dla von Rochau „Realpolitik” była imperatywem w nadaniu polityce niezbędnej skuteczności. Opisywał on kryzys liberalnego, oświeceniowego myślenia po zdławieniu rewolucji Wiosny Ludów. Konkludował, że posługując się ideologiczną słusznością nie sposób przekształcać rzeczywistości. Obiektywnie racja nie musi stać po stronie silniejszego. Ale to silniejszy decyduje co jest racją, a co nie. Szlachetne idee rozbijają się zatem o bezwzględność myślenia w kategoriach siły i przemocy. Pisał von Rochau, że „realny polityk” wie, że aby burzyć „mury Jerycha”, prosty kilof jest bardziej przydatny niż najpotężniejsza nawet trąba.

Doktryna „Realpolitik” zagnieździła się na stałe w dyskursie politycznym Niemiec i zachodniego świata. Coraz bardziej jednak oddalała się od pierwotnego sensu. Oznaczać zaczęła politykę

pragmatycznej oceny uwarunkowań, dążenia do osiągnięcia celu bez wahań etycznych i uprzedzeń ideologicznych, politykę trzeźwą, transakcyjną, zmienną w zależności od okoliczności.

„Realpolitik” w wymiarze teoretycznym uzyskała solidne opisanie w realistycznej szkole stosunków międzynarodowych, traktującej potęgę jako naczelne kryterium skuteczności, a interesy narodowe i ich konflikt jako lokomotywę polityki międzynarodowej.

Ojców duchowych i patronów „Realpolitik” ma w tym sensie wielu i to znamienitych. Jest wśród nich i Sun Tzu, i Tukidydes, i Machiavelli, i Hobbes, i von Clausewitz. A mistrzami jej stosowania w praktyce byli Richelieu, Talleyrand, Metternich, Stalin, Kissinger i wielu innych.

Ale zrosła się doktryna „Realpolitik” najorganiczniej z postacią Bismarcka. To za nim powtarzamy na co dzień, że polityka jest sztuką tego, co możliwe (a nauką tego, co względne). Bismarck nakazywał wierzyć tylko w potęgę własną. Sugerował odrzucać polityczny sentymentalizm wyrażający się w nadziei na wzajemność i altruizm innych. Jedyńm kompasem winien być interes narodowy. Przypominał, że każdy rząd kieruje się kryteriami oceny własnych działań odzwierciedlonymi wyłącznie w swoich własnych interesach. Jedyńą zdrową doktryną polityki państwa był, według niego, egotyzm (a żaden tam, Boże broń, romantyzm). A w ostatecznym rachunku liczyło się tylko wzbudzanie strachu (a nie żadnej tam sympatii), przeciąganie innych na swoją stronę pod wpływem napędzania im strachu.

Bismarck zastosował doktrynę „Realpolitik” realizując kurs na dominację Prus w Niemczech. Zręcznie manipulował kwestią Szlezwiku-Holsztyna, aby wywołać wojnę z Danią (1864 r.), a zwycięstwo w tej wojnie wzmocniło decydująco pozycję Prus. Podzielił się zdobyczami z Austrią, ale tak sprytnie, aby mieć dwa lata później pretekst do konfliktu z Habsburgami. Rozprawiwszy się z Austrią (w 1866 r), nie poszedł na jej upokorzenie, nie zażądał ani Czech, ani innych części jej terytorium (przejęły Prusy od Austrii jedynie zwierzchnictwo nad Holsztynem), bo przywidywał, że będzie potrzebować jej poparcia dla ewentualnego zjednoczenia Niemiec (wokół Prus). Sprowokował Francję do wojny w 1870 r. (odpowiednio podretuszowana i świadomie ujawniona depesza emska). A kiedy zjednoczenie Niemiec stało się faktem, prowadził politykę samoograniczenia, ukrywania ekspansjonistycznych zamiarów, aby Europa zdążyła się przyzwyczaić do ponadwymiarowych Niemiec. To z Bismarckiem kojarzymy po dziś dzień cierpkie prawdy „Realpolitik”, że wszystko, co skuteczne, jest słuszne, a cel uświęca środki.

Według Kissingera, mistrzem "Realpolitik" był Stalin. Nie miał Stalin uważania dla moralności i legalizmu. Za zwycięstwa militarne żądał zapłaty tylko w jednej walucie – nabytkach terytorialnych. Mógł iść na układy z Zachodem, ale tylko na zasadzie coś za coś. Debatowano wśród zachodnich strategów w czasie "zimnej wojny", za jaką cenę był gotów pójść na ustępstwa i rozluźnić sowiecką kontrolę nad Europą Środkową. Podejrzewano, że taką ceną mogłyby być jakieś duże i realne korzyści gospodarcze. Wątpliwa to teza. Bo Stalin święcie wierzył, że i tak czas pracował na rzecz socjalizmu. A zgoda na odpłynięcie regionu spod sztandarów sowieckiego komunizmu (jakaś finlandyzacja czy nawet titoizacja), podważałaby jeden z aksjomatów teorii nieustających postępów rewolucji socjalistycznej. Raz zdobytej władzy mieli wtedy komuniści nie oddawać nigdy.

W dyplomacji Stalina uzgodnienia dokonywane na spotkaniach liderów świata mogły co najwyżej odzwierciedlać realny stosunek sił, ale w żaden sposób go nie redefiniować. Negocjacje nie były od tego, żeby świat zmieniać, ale by zmiany w realnym świecie legitymizować. W tym sensie był niewątpliwie zimnokrwistym realistą. Spotykał się chętnie z Rooseveltem (Trumanem) i Churchillem (Attlee), kiedy dyktowały to potrzeby II wojny światowej. Był ciepły i jowialny, że można było go nawet obwołać "Uncle Joe", jak uczynił to Roosevelt. Ale odrzucał po II wojnie światowej możliwość powrotu do osobistych kordialnych kontaktów z przywódcami USA czy Wlk.

Brytanii. Odrzucał bynajmniej nie z powodów osobistych. Nie widział w nich sensu, bo nie miały o czym z liderami Zachodu rozstrzygać. Po Poczdamie nigdy już z nimi się nie spotkał.

Według Kissingera, Stalin nie wierzył w abstrakcyjne hasła czy wartości. Cierpliwie czekał. Zagospodarowywał zdobyte żetony i czekał na kolejny ruch Zachodu. Wierzył w koncepcję sfer wpływów i politykę z pozycji siły.

To wszystko prawda, ale jednak był Stalin ideologiem! Bo programowo nie wierzył Zachodowi! Zgodnie z kanonami leninizmu był przekonany, że celem Zachodu jest zdławienie ustroju socjalistycznego. Że w naturze kapitalizmu jest cynicznie marnie. Nie wierzył więc, że można kapitalistom w jakiegokolwiek mierze zaufać. Nie wierzył Stalin w sens geopolitycznych kompromisów. Bo socjalizm i tak miał zwyciężać. Stalin zrobił dla potwierdzenia teorii komunistycznej tak wiele (utworzenie światowego systemu socjalistycznego), że po II wojnie światowej stał się tej teorii zakładnikiem. Związał ręce przywódcom ZSRR na lata. Jego następcy musieli bowiem kontynuować ekspansjonistyczną politykę w imię podtrzymania wiarygodności teorii. Stalin był realistą, ale i ideologiem zarazem, i żadnej w tym antynomii nie ma.

Kissingerowi przypisuje się formalne wprowadzenie doktryny „Realpolitik” do Białego Domu za prezydentury Nixona, który zresztą intuicyjnie się z nią utożsamiał. Polityka amerykańska za Kissingera sprawą odrzuciła uprzedzenia i ograniczenia ideologiczne, czego najlepszym wyrazem stała się normalizacja relacji z Chińską Republiką Ludową. Zgodnie z tym co przewidywał, pozwoliło to zasadniczo zmienić procesy polityczne w świecie (także relacje amerykańsko-rosyjskie). Nie bał się, w imię pragmatycznych celów, upokorzenia, idąc na wycofanie USA z Wietnamu. Po wojnie arabsko-izraelskiej w 1973 r., przekonał Izraelczyków do częściowego wycofania się z Synaju, wiedząc, że uda mu się także wyrwać trwale Egipt z sowieckich wpływów.

Sam Kissinger przyznał, że nigdy nie używał terminu „Realpolitik”. Twierdził, że termin został sploty i zinstrumentalizowany na potrzeby akademickich debat. Istotnie większy wpływ na styl Kissingera, zdaje się, okazali Metternich czy Talleyrand niż Bismarck. Chciał Kissinger niewątpliwie, aby jego myślenie o polityce zagranicznej USA było postrzegane jako myślenie w kategoriach wielkiego męża stanu, wyrastającego ponad dyplomatyczny szczegół, zdolnego do odważnych strategicznych decyzji, budującego porządek międzynarodowy na zasadach równowagi sił i strategicznej stabilności.

Jeśli „Realpolitik” ma oznaczać trzeźwą ocenę realiów i pragmatyczny dobór środków, to nie gorszym mistrzem „Realpolitik” był Zbigniew Brzeziński, doradczący Prezydentowi Carterowi. Będąc z przekonania głębokim antykomunistą, jeszcze w latach 60-ych sugerował on jednakże uspokojenie ideologicznych emocji w polityce zagranicznej USA, wejście na drogę taktycznego „odprężenia”, szukanie szansy w dialogu. Trafnie oceniał, że komunizm rozłoży się od wewnątrz, a interakcja z satelitami Moskwy będzie ich stopniowo emancypować, zaś odmrażanie kontaktów gospodarczych, edukacyjnych i kulturalnych osłabi kontrolę ideologiczną nad społeczeństwem i zwróci je przeciwko komunistycznym władzom. Polityka odprężenia na początku lat osiemdziesiątych musiała się rozsypać, ale ferment, zasiany w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku, presja twardej polityki Reagana z czasem tylko wzmocniła.

Administracja Obamy chciała uchodzić za „zimnokrwistą” w ocenie interesów amerykańskich i „realpolityczną” w wyborze środków działania (podtrzymanie obecności w Afganistanie i Iraku wbrew wyborczym zapowiedziom, odmowa udziału w interwencji w Libii czy Syrii), ale w kwestii zasadniczej – relacji USA z Rosją i Chinami, uległa niewątpliwie „myśleniu życzeniowemu”. Zarządzony w 2009 r. reset z Rosją niczego wspólnego z „Realpolitik” nie miał. A wiara, że Chiny staną się spolegliwym partnerem Ameryki w miarę rozwoju gospodarczego, też nie miała wiele wspólnego z realiami. Pośrednio przyznał to wiceprezydent Obamy, a od 2021 r. prezydent USA –

Joe Biden. Chiny uznał za główne zagrożenie dla Zachodu, a nowy reset z Rosją wykluczył zdecydowanie.

Praktykowanie „Realpolitik” przypisywano długie lata Władimirowi Putinowi. Uważano, że ufał on tylko sile i głęboko wierzył, że tylko siła zapewni Rosji mocarstwowy status. Aneksja Krymu i próba oderwania od Ukrainy Donbasu w 2014 r., nie oglądając się na prawo międzynarodowe i możliwe sankcje, były traktowane jako potwierdzenie tego „realistycznego” poglądu na politykę. W relacjach z Zachodem niestrudzenie Putin forsował tezę, że Rosję zaakceptować należy taką, jaka jest. I na przestrzeni dwóch dekad udało mu się przekonać do takiego podejścia całkiem znaczących polityków zachodnich. Był jednocześnie postrzegany jako zwolennik dyplomacji kontraktowej. Choć, jak w przypadku Stalina, wszystko u niego miało być kwestią ceny. Do opinii publicznej przeciekła jego złożona w lutym 2008 r. polskiemu premierowi propozycja podziału Ukrainy. I nie zabrzmiała ona bynajmniej jako żart czy prowokacja. W „Realpolitik” wszystko jest przecież tylko kwestią ceny. Ale rozpętując w 2022 r. pełnoskalową wojnę przeciw Ukrainie Putin zaprzeczył tezie, że potrafił realnie ocenić sytuację i własne możliwości. Przekenił zdolności militarne Rosji, niedoszacował potencjał Ukrainy, zignorował możliwość ostrej reakcji Zachodu i i jego solidarnego wsparcia dla Ukrainy. Zapędził się w kozi róg.

*

W 1994 r. jako szef departamentu w Sekretariacie KBWE towarzyszyłem ówczesnemu Sekretarzowi Generalnemu Wilhelmowi Hoeynckowi podczas wizyty w Mołdawii. Udaliśmy się także do Naddniestrza, gdzie zaplanowano m.in. spotkanie z dowódcą rosyjskiego kontyngentu generałem Aleksandrem Lebiedziem. Nagle w trakcie rozmów plenarnych wstał on i poprosił Sekretarza Generalnego o rozmowę w cztery oczy. Wilhelm Hoeynck był lekko zmieszany i stwierdził, że będzie potrzebował jednak tłumacza, czyli mnie. Tak stałem się świadkiem jednej z najdziwniejszych rozmów dyplomatycznych. Lebiedź wypowiadał się czyniąc długie, irytujące pauzy, które wypełniał głębokim wpatrywaniem się w oczy rozmówcy. Rzucił jakieś paszporty na stół i zapytał: „I co ja mam z tymi ludźmi zrobić?”. Nam było ciężko zrozumieć, o co w ogóle mogło mu chodzić (domyślaliśmy się, że udzielił właśnie tym ludziom azylu w swojej bazie wojskowej). Ale jego przesłanie było bardzo proste: żadne tam mediacje organizacji międzynarodowych nie pomogą w ochranianiu ludzi; porozumienia i deklaracje rządów nic tam będą warte. Tylko on jest gwarantem spokoju i bezpieczeństwa w Naddniestrzu. I nie ma takiej ceny, której byłoby warte wycofanie 14-ej Armii.

Wspomniałem tę rozmowę, kiedy kilkanaście lat później dowiedziałem się o poufnych rozmowach prowadzonych przez jedno kluczowych państw zachodnich z Rosją, aby przełamać impas w uregulowaniu konfliktu naddniestrzańskiego. W stolicy owego państwa zachodniego uznano, że ze wszystkich tzw. zamrożonych konfliktów na przestrzeni postsowieckiej, kryzys naddniestrzański był stosunkowo najporęczniejszy w doprowadzeniu do jakiegoś kompromisu z Rosją. A kompromis taki mógł ocieplić całokształt relacji z Rosją i uwiarygodnić tezę, że z Rosją da się konstruktywnie o bezpieczeństwie Europy rozmawiać. Problem polegał na tym, że nie potrafiono zaproponować Rosji na tyle atrakcyjnej ceny, żeby ofertę taką była ona gotowa poważnie rozpatrzyć. Podobnie jak w końcu lat czterdziestych, kiedy Zachód nie miał nic atrakcyjnego do zaoferowania Stalinowi w odniesieniu do Europy Wschodniej.

*

I Rosjanie, i Chińczycy domagają się, aby zaakceptować ich takimi, jacy są. W czasie II wojny światowej Alianci zaakceptowali ZSRR takim, jakim był, w imię wspólnej walki z Niemcami. Dziś miałyby Zachód zaakceptować Rosjan (czy Chińczyków) takimi, jacy są w imię czego? Walki z ociepleniem klimatu (jak chcieliby niektórzy zachodni politycy)? Innych wyzwań globalnych? Bo

przecież już nie dla walki z terroryzmem, rozwiązania problemu Syrii, nuklearnego programu Iranu czy innych wyzwań z bieżącej agendy. Bo zbyt wygórowana by to cena była.

Długie lata braku wyraźnych sukcesów w zachodniej polityce opartej na wartościach (i prawie międzynarodowym) mogą zniechęcać i skłaniać ku abdykacji na rzecz tak rozumianej „Realpolitik”. Hipostazą tej abdykacji jest czasem nazywana koncepcja „pryncypialnego pragmatyzmu” („principled pragmatism”), jaką zaczęła głosić w swoich dokumentach wspólnej polityki zagranicznej Unia Europejska. Zgodnie z nią, Unia wartości w swoich działaniach nie porzuca, ale patrzy na sposób uprawiania polityki w sposób pragmatyczny, uwzględnia realne możliwości własnego działania.

Nieprzekraczalną na razie zaporą przed zarzuceniem wartości jest opór stawiany przez wrażliwość społeczeństw zachodnich. Emancypacja jednostki w ocenie polityki zagranicznej wywindowała wysoko czynnik etyczny. Kwestii takich, jak choćby otrucie Nawalnego, a później jego śmierci, nie dało się już zamiatać pod dywan w imię strategicznych czy geopolitycznych racji. „Realpolitik” nie wytrzymuje moralnej presji.

To prawda - realizm wymaga zadawania się z dyktatorami, oprawcami, ale musi być temu jakaś granica. Przekroczono ją niewątpliwie w kontaktach co najmniej kilku zachodnich przywódców z Putinem. Część z nich kaca moralnego z tego powodu nie odczuwa nawet po tym, co stało się w Ukrainie po 2022 r.

Czynnik wartości w polityce znalazł się w krytycznym momencie spięcia z wymogami „Realpolitik”. Trzeba być optymistą, że ten okres przesilenia, o wiele trudniejszy niż w czasach konfrontacji zachodniego liberalizmu ze światem komunistycznym, zakończy się dla czynnika wartości zwycięsko.

3. Polityka z pozycji siły

Doktryny wykorzystania siły jako argumentu w rozstrzyganiu kwestii politycznych są stare jak świat. „Power politics” czy też „Machtpolitik” są pochodnymi aksjomatu, że stosunek sił jest kluczem do rozwiązywania konfliktu interesów. Polityka z pozycji siły jest w pewnym sensie skrajnym wyrazem „Realpolitik”. „Man hat Gewalt, so hat man recht”- konstatował kiedyś Goethe.

Klasycznym wydaniem polityki z pozycji siły stała się chociażby „dyplomacja kanonierek”. Rozpowszechniła się ona w epoce ekspansji kolonialnej. Pozycję przetargową mocarstw zachodnich w negocjowaniu z tubylcami koncesji i praw zaczęto wzmacniać zakotwiczeniem okrętów wojennych w portach egzotycznego partnera. Kanonierki uświadamiały istotną nierówność stron w prowadzonych negocjacjach. Nie musiały kanonierki nawet otwierać ognia.

Usankcjonował politykę kanonierek w brytyjskiej polityce zagranicznej sam lord Palmerston. W tak zwanej sprawie Don Pacifico z 1850 r. (dotyczyła ona brytyjskiego poddanego, a jednocześnie portugalskiego konsula w Atenach, który stał się ofiarą antysemickiego pogromu), kiedy rząd grecki odmawiał wypłaty należnego odszkodowania poszkodowanemu, nakazał brytyjskiej flocie zablokować Pireus i zająć greckie okręty. Wyrzuty moralne Izby Lordów przekreśliła decyzja Izby Gmin popierająca stosowanie takich metod w polityce dla ochrony brytyjskich obywateli.

Siłą wojennej floty wymuszali Brytyjczycy na Chinach ustępstwa w wojnach opiumowych. Z pomocą obecności okrętów otworzył Japonię na świat zewnętrzny Matthew Perry w połowie XIX wieku. Obecność amerykańskich okrętów dodawała ducha hawajskim powstańcom w 1893 r., którzy doprowadzili konsekwentnie do przyłączenia Hawajów do USA.

Brytyjskie kanonierki w 1896 r. przekonały sultana Zanzibaru do ustąpienia z tronu. I zajęło im to wszystkiego 45 minut. Lubił odwoływać się do argumentu kanonierek Theodore Roosevelt („speak softly and carry a big stick”). Wpłynięcie amerykańskich kanonierek wydatnie pomogło Panamie w skutecznym oddzieleniu się od Wenezueli w 1903 r. Zaś Wilhelm II wysłał w 1911 r. kanonierkę „Panther”, aby chronić tzw. niemieckich interesów handlowych w Agadirze (a tak naprawdę była elementem presji na Francję, by ta zrekompensowała Niemcom przejęcie Maroko pod swoją kontrolę).

Mamy i my jako Polska w historycznym bagażu przykłady zastosowania polityki kanonierek. Choćby w 1932 r., kiedy demonstracyjne zawinięcie ORP Wicher (eskortującego okręty brytyjskie) do Gdańska okazało się skutecznym argumentem w przełamaniu sprzeciwu Wolnego Miasta wobec dostępu polskich okrętów do portu.

Kanonierki (kutry wojenne, niszczyciele, lotniskowce, etc.) pojawiają się i dziś, zwłaszcza tam, gdzie rozwija się spór terytorialny o przynależność wysp (Senkaku/Diaoyu), granice wód terytorialnych, szelfu terytorialnego czy strefy ekonomicznej (Cypr, wyspy Spratly). Ma ich obecność nadal walor symboliczny (wizyta amerykańskiego kutra Dallas z pomocą humanitarną w gruzińskim porcie Batumi w 2008 r.) czy demonstracyjny (wysłanie fregaty Lafayette w sierpniu 2020 r. dla wspólnych ćwiczeń z grecką flotą w kontekście napięcia wywołanego turecką działalnością eksploracyjną na szelfie greckim).

„Machtpolitik” nie jest wyłącznie przywilejem państw o statusie mocarstwowym. Mogą ją uprawiać i państwa mniejsze. W marcu 1938 r. Polska wykorzystała drobny incydent na granicy polsko-litewskiej koło miejscowości Marcinkańce, aby rozkręcić całą kampanię presji na Litwę w celu normalizacji stosunków. Wielotysięczne demonstracje antylitewskie odbywały się w Wilnie i innych miastach polskich. Na granicę podciągnięto wojska. A 17 marca 1938 r. Polska wystosowała 48-godzinne ultimatum domagając się ustanowienia stosunków dyplomatycznych bez warunków wstępnych. I swego dobiła. Co prawda niefortunnie polska akcja zbiegła się z Anszlusem Austrii. Rok później Niemcy w ultimatywnym trybie zażądali przyłączenia do Rzeszy Kłajpedy. Litwini nie oponowali.

Demonstracja siły jako instrument polityki zagranicznej obecna jest nadal nie tylko w wydaniu dyplomacji kanonierek, o czym wspomniano wyżej. Wysyła się samoloty (choćby transportowe i nieuzbrojone), by świadomie naruszać przestrzeń powietrzną (casus notorycznych naruszeń przestrzeni powietrznej trzech państw bałtyckich przez Rosję). Przeprowadza się manewry w pobliżu granic, koncentruje na granicy wojska (vide masowe nagromadzenie sił zbrojnych Rosji na granicy z Ukrainą w 2021 r., choć w tym przypadku nie tyle chodziło o demonstrację siły, jak pierwotnie podejrzewano, co o realne przygotowania do agresji).

Nowym zjawiskiem jest wykorzystanie przestrzeni wirtualnej dla demonstracji siły.

Ocenia się, że celem niektórych zmasowanych ataków hakerskich jest nie tyle naniesienie uszczerbku wrażliwej infrastrukturze innego państwa, co zwyczajnie zademonstrowanie zdolności do nieprzyjaznych działań (dotyczy to zwłaszcza tzw. uderzeń odwetowych).

Demonstracja siły wiąże się w coraz większym stopniu z sytuacjami politycznie ekstremalnymi. Albowiem samą siłą coraz mniej da się osiągnąć we współczesnym świecie, zwłaszcza w Europie. Niektórzy obserwatorzy próbowali 44-dniową wojnę karabaską z 2020 r. i zbrojne zajęcie Górnego Karabachu w 2023 r. przedstawić jako nawrót polityki siłowych rozwiązań. Niewątpliwie wybór siłowej metody dla rozwiązania sporu nie może napawać optymizmem. Był to wszakże (wywołany niecierpliwością i być może desperacją) bardziej odruch atawistyczny niż zwiastun nowych zachowań w polityce międzynarodowej. Nikt przy zdrowych zmysłach nie oczekuje, że zainspirowana, ośmielona czy usprawiedliwiona azerbejdżańsko-tureckim podejściem Hiszpania

wprowadzi zaraz wojska do Gibraltaru, Cypr na północną część wyspy, a Mołdawia do Naddniestrza.

Rosyjska napaść na Ukrainę była pod wieloma względami zwyrodnieniem. I Rosja winna ponieść karę, która dawałaby światu jasny przekaz, że siłowa polityka nie płaci..

Dziś polityka z pozycji siły jest uprawiana z reguły w sposób bardziej zawołowany. W październiku 2020 r., kiedy Chinom nie spodobała się decyzja Australii o przeprowadzeniu niezależnego dochodzenia w sprawie pochodzenia koronawirusa, a w przestrzeni publicznej pojawiały się krytyczne wobec Chin komentarze dotyczące sposobu walki pandemią, władze Chin nakazały lokalnym maklerom zaprzestać importu węgla, jęczmienia, rudy miedzi, cukru, drewna, wina oraz homarów. Zakaz wszakże nie objął australijskiej rudy żelaza, albowiem import ten ma dla Chin strategiczne znaczenie. Odebrano to jako poważną próbę uciszenia krytyków chińskiej polityki.

Po zatrzymaniu przez władze Kanady Meng Wanzhou, wiceprezes Huawei, w 2018 r. zawieszono na jakiś czas import do Chin kanadyjskiej wieprzowiny i wołowiny, a w transporcie kanadyjskiego drewna wykryto szkodniki, zawieszono import rzepaku. Kiedy więc Chiny wprowadziły zakaz mięsa wieprzowego z Niemiec we wrześniu 2020 r. powołując się na przypadek afrykańskiego pomoru świń (a Niemcy były trzecim co do wielkości dostawcą wieprzowiny do Chin), wielu obserwatorów nie chciało dać wiary, że nie miało to związku z planowanym tam tzw. lex China ograniczającym swobodę chińskich inwestycji w sferze technologicznej.

Swoisty odruch Pawłowa w polityce handlowej wprowadziła wcześniej Rosja. Kiedy, jak np. w 2006 r., nie przypadła jej do gustu zachowanie Gruzji czy Mołdawii, wkraczał Rospotrebnadzor i wprowadzał embargo na import wina z tych krajów (a na rynku rosyjskim opierała się cała prawie wtedy zagraniczna sprzedaż). Giennadij Oniszczenko, ówczesny szef Rospotrebnadzoru, stawał się realizatorem polityki zagranicznej Rosji. Czynił tak z upodobaniem kilka razy. Nie chodziło przy tym, jak w przypadku choćby polskich jabłek czy francuskiego sera w 2014 r., o odwet za unijne sankcje wprowadzone na Rosję po aneksji Krymu. Rosyjskie embargo importowe na przestrzeni postsowieckiej (dotyczyło nawet najbardziej oddanych sojuszników jak choćby Białorusi) było siłowym sygnałem niezadowolenia z polityki partnerów. Demonstracją siły handlowej.

Czy za podobną demonstrację siły można uznać także rosyjskie zabójstwa pozasądowe przeprowadzane na terytorium państw NATO (Wlk. Brytanii, Niemiec czy Francji)? A co z pokazami nowych typów broni, których przydatność operacyjna może być podważana, lecz mają stanowić dowód na posiadanie determinacji do rozwijania wyścigu zbrojeń. Pokaz siły staje się czasem czystą butaforią, która ma przysłonić realną słabość (wyprawa lotniskowca „Admirał Kuzniecowa” na Bliski Wschód na przełomie 2016 i 2017 r.). Otwarty szantaż wojenny wobec Zachodu (w kontekście Ukrainy i nie tylko), jaki uprawia Rosja obecnie, według wielu obserwatorów, jest przykładem uprawiania polityki z pozycji siły przez państwo o słabnącej potędze, świadome, że czas nie pracuje na jego korzyść.

Siła nadal więc kusi, aby się z nią obnosić. Ale coraz trudniej ją wdrażać, coraz większe mogą okazywać się koszty jej stosowania.

*

Każdy dyplomata doświadczył w codziennej działalności działanie czynnika siły w choćby najbardziej miękkiej, aluzyjnej postaci. Pojawia się on najczęściej w straszeniu niemiłymi konsekwencjami odrzucenia propozycji negocjacyjnych „silniejszego” partnera, nawet w trzeciorzędnych sprawach. Arywistyczne nastawienie nieobce jest i dyplomatom. Aby odnieść sukces, gotowi są użyć wszelkich argumentów, w tym i całkiem niedyplomatycznych.

Presja wywierana jest na państwa członkowskie także przez kierowników organizacji międzynarodowych. Instytucje międzynarodowe mają naturalną skłonność do alienowania się od państw członkowskich. Dotyczy to zwłaszcza organizacji o profilu technicznym, tzw. organizacji wyspecjalizowanych. Z czasem ich sekretariaty stają się na tyle odrębne w poglądach i polityce, że biurokracja zachowuje się jak kolejne państwo członkowskie. Nic dziwnego, że w swoich kontaktach z mniejszymi czy słabszymi państwami członkowskimi zaczynają działać w sposób mocarstwowy. Bo mniejsze państwa członkowskie często występować muszą zwyczajnie w roli petenta – zabiegają o zatrudnienie swoich współobywateli, o kontrakty, o programy operacyjne, o granty dla swoich podmiotów. Większe państwa, które mają decydujący wpływ na wielkość budżetu i obsadę stanowisk kierowniczych w sekretariacie, mogą - choć czasami nawet one z trudem – zapewnić sobie możliwość kontroli poczynań sekretariatów, ale państwa małe, a nawet średnie, liczyć się muszą z dość imperialnym zachowaniem urzędników międzynarodowych. Oczywiście imperialnym w treści, a nie w formie, bo zasady ogłady dyplomatycznej zawsze wymagają, aby przedstawiciele państw członkowskich traktować z szacunkiem i kurtuazją.

Co najmniej kilkakrotnie doświadczyłem w swojej karierze uprawiania polityki z pozycji siły przez sekretariaty międzynarodowe. W 2006 r. negocjując jako stały przedstawiciel RP budżet Rady Europy okazałem się nie lada trudnym dla kierownictwa Sekretariatu partnerem. Nie tylko obnażyłem oczywiste słabości projektu, to jeszcze zmobilizowałem solidną koalicję państw (a były wśród nich i wielcy płatnicy, jak Wlk. Brytania, Turcja, czy Szwajcaria), która odmówiła jego poparcia. Impas był poważny. Sekretarz Generalny Terry Davis (zamiłowany i zdolny mikromenedżer) projektu zmieniać nie chciał i wierzył, że podobnie jak w minionych trzech dekadach nikt nie odważy się głosować przeciw jego propozycji. Sekretariat zawsze negocjował projekt budżetu z pozycji siły (co w przypadku Rady Europy było utrwaloną praktyką; państwa członkowskie miały głos decydujący w określeniu pułapu globalnego, ale szczegółowe jego rozpisanie Sekretariat zawsze chciał robić po swojemu).

Impas trwał i z upływem czasu Sekretariat nie mógł nie ulec pokusie wywierania presji na oporne państwa członkowskie. Zaczęli do mnie dzwonić polscy pracownicy Sekretariatu. Sugerowali, że jeśli nasza twarda pozycja będzie utrzymana, to oni sami bądź ich komórki organizacyjne staną się ofiarami cięcia, które budżet przewidywał. Szantaż, chciałoby się powiedzieć, mało elegancki. Postanowiłem więc sprawę rozdać do największych możliwych rozmiarów i poruszyć na formalnym posiedzeniu Komitetu Delegatów Ministrów. Sekretarz Generalny zareagował z dobrze zagranym oburzeniem, potępił takie praktyki presji, zażądał przekazania mu nazwisk pracowników, etc. Budżet przegłosowano przy pięciu głosach sprzeciwu (w tym i ojczystej dla Sekretarza Generalnego Wielkiej Brytanii), co wizerunkowo uderzyło w Sekretariat (i spowodowało jego większą elastyczność względem postulatów państw członkowskich w latach następnych). Polskich pracowników i interesów nieprzyjemne konsekwencje nie spotkały. A Sekretariat Rady Europy dorobił się wśród złośliwych strasburskich ambasadorów miana czterdziestego ósmego państwa członkowskiego.

Co najmniej kilka razy jeszcze ścierałem się dość ostro z Terry Davisem w sprawach oczywiście głęboko merytorycznych. Z każdego zwarcia wychodziliśmy pomnażając wzajemny szacunek i uznanie. Pod koniec swojej kadencji jako Sekretarza Generalnego obdarzył mnie Terry Davis publicznie największym komplementem jaki ponoć może zafundować facet facetowi w dzielnicy Birmingham, z której pochodził: „Piotr, you are a good bloke!”. Russell Ward opisywał faceta określanego jako „bloke” m.in. w ten sposób: „a practical man, rough and ready in his manners and quick to decry any appearance of affectation in others... Though capable of great exertion in an emergency, he normally feels no impulse to work hard without good cause. He swears hard and consistently, gambles heavily and often, and drinks deeply on occasion... he is a greater knocker of eminent people unless, as is in the case of his sporting heroes, they are distinguished by physical prowess. He is fiercely independent... above all he will stick to his mates through thick and thin,

even if he thinks they may be wrong... He tends to be a rolling stone, highly suspect if he should chance to gather much moss.”

Musiałbym jedynie sprostować, że nigdy przenigdy nie uprawiałem się w życiu hazardu.

4. Interwencjonizm

Kiedy perswazja lub presja nie pomagają, państwo staje przed poważnym dylematem, czy z próby wpływu na zachowanie partnera zrezygnować (odłożyć w czasie, zawiesić, etc.), czy też wymusić zmianę w sposób bezpośredni, ingerując w procesy polityczne wewnątrz obcego państwa, a nawet interweniując z użyciem siły wojskowej (lub innych instrumentów przymusu).

Ingerencja w sprawy wewnętrzne obcego państwa, a już zwłaszcza w sposób fizyczny przez obecność wojskową na jego terytorium, dotyka istoty zasady suwerenności. Westfalski model stosunków międzynarodowych uczynił filarem porządku zasadę suwerennej równości. Po dziś dzień obowiązuje wymóg, aby każde państwo swobodnie decydowało o wyborze ustroju politycznego, gospodarczego, społecznego i modelu kulturowego, a także o kierunkach swojej polityki zagranicznej.

Ingerencja w sprawy wewnętrzne jest sposobem zapewnienia pożądanego zachowania partnera przez odpowiednią zmianę wewnątrzpolitycznych uwarunkowań zachowania na arenie międzynarodowej (zmiana przywódcy, ram ustrojowych, obowiązującej strategii czy doktryny politycznej, podjęcie konkretnych decyzji politycznych czy prawnych).

Interwencja jest z kolei najbardziej jaskrawą formą ingerencji w sprawy wewnętrzne obcego państwa. Bez swobodnie wyrażonej zgody państwa będącego jej obiektem jest niedopuszczalna. Ale wymuszanie określonego zachowania drogą perswazji, zachęt, zastraszania czy użycia środków przymusu (dopuszczonych prawem, np. z mandatu RB ONZ) jest nadal stosowaną praktyką. Na tym polega najbardziej prostolinijna z polityk, czyli polityka kija i marchewki. Oparta na politycznym behawioryzmie przenika strategię polityki zagranicznej państw silniejszych.

Wymuszanie określonego zachowania dotyczy współcześnie spraw coraz bardziej wewnętrznych, ponieważ zawęża się zdecydowanie i konsekwentnie zakres spraw rozumianych jako czysto wewnętrzne. Rośnie ilość instrumentów prawnomiędzynarodowych narzucających państwu wzorce postępowania. Państwa, wiążąc się międzynarodowymi standardami w dziedzinie praw człowieka czy praworządności, dają z reguły prawo innym państwom bądź międzynarodowym instytucjom do oceniania stopnia wykonywania podjętych przez nie zobowiązań. Dają instytucjom międzynarodowym prawo oceny demokratyczności wyborów, niezależności sądów, a nawet możliwość zmieniania przez trybunały czy sądy międzynarodowe orzeczeń sądów krajowych i decyzji administracyjnych organów państwa. Innymi słowy, istnieje już w praktyce międzynarodowej szeroki zakres spraw, w których ingerencja w sprawy wewnętrzne jest znaczna i prawowita.

Nie oznacza to, że elitom politycznym w niektórych państwach łatwo się z tym pogodzić.

Najbardziej głośnymi obrońcami zasady nieingerencji w sprawy wewnętrzne stały się w ostatnich latach Rosja i Chiny. Spastycznie trzymają się zasady suwerenności. Oskarżają Zachód o wykorzystywanie agendy praw człowieka, praworządności i demokracji w celu wywracania porządków wewnętrznych w innych państwach. Twierdzą, że „regime change” stała się doktryną polityki zagranicznej Zachodu w stosunku do państw, które nie podporządkowały się zachodniemu dyktatowi politycznemu na arenie międzynarodowej. Nie przyjmują, z oczywistych powodów, logiki zmian dotyczących relatywizacji zasady suwerenności.

Ingerować w tzw. sprawy wewnętrzne można na wiele sposobów: opinią, stanowiskiem, a nawet decyzjami rzutującymi na relacje z danym państwem (np. w postaci sankcji za niewykonanie orzeczeń trybunałów międzynarodowych).

Interwencja jest skrajnym wyrazem nieakceptowania porządków wewnętrznych w innym państwie. Oznacza z reguły przymus bezpośredni. Jako taka jest, o ile nie została usankcjonowana zgodnie z prawem międzynarodowym, np. przez odpowiednią rezolucję Rady Bezpieczeństwa ONZ, czy stosowną umowę międzynarodową – czynem występnym.

Ale zakaz interwencji dotyczy państw, więc z zasady słabo daje się stosować wobec działań osób prywatnych (fizycznych), choć i one mogą być pociągane do odpowiedzialności karnej (w tym międzynarodowej) za swoje czyny. Stąd nadal zjawisko psów wojny, wagnerowców, najemników, hakerów, etc. Oni zarabiają na tym czasem niezłe pieniądze. Państwa zaś za próby ingerencji podlegają moralnemu, politycznemu i prawnemu osądowi. Skrajnym przejawem cynizmu stało się to, że niektóre państwa, zarzucając innym państwom ingerowanie w sprawy wewnętrzne, same pod różnymi przykrywkami wykorzystują zwłaszcza przestrzeń wirtualną do wpływania na wynik wyborów w państwach zachodnich (np. Rosja a wybory prezydenckie w USA).

Przez tysiąclecia interwencja była zjawiskiem normalnym, zwyczajowym, bo była atrybutem państwa silniejszego. Interwencja służyła podbojowi, aneksji, ograbieniu, podporządkowaniu, neutralizacji zagrożenia. Z czasem domagała się legitymizacji, legalnego powodu czy pretekstu jej przeprowadzenia. Interwencję od zwykłej agresji próbowano odróżniać jej rzeczywistą bądź domniemaną prawowitością.

Dziś nowe możliwości interweniowania stwarzają tzw. działania hybrydowe. Ich symbolem stało się zajęcie Krymu przez tzw. zielone ludziki, a tak naprawdę siły zbrojne Rosji w mundurach bez dystynkcji i w pojazdach bez oznaczenia.

Często interweniowano, aby osadzić na obcych tronach przyjaznych sobie władców. Doświadczala takich interwencji, i to na przestrzeni wielu wieków, Polska. Bezprym w 1031 r. dochodził swoich praw do tronu przy pomocy Rusi (i Niemiec). Król niemiecki Henryk V najechał na Polskę w 1109 r. pod pretekstem przywrócenia władzy senioralnej Zbigniewowi.

Późniejsza elekcyjność polskiego tronu tym bardziej nęciła obce mocarstwa do wpływania na jego obsadę. Szczególne, acz bezskuteczne, wysiłki czynili w tym względzie Habsburgowie. Ich nieskuteczność datuje się zresztą już od czasów, kiedy Wilhelm po próżnicy jechał do Krakowa, aby skonsolidować związek z Jadwigą, którą sprzed ołtarza sprzątnął mu Władysław Jagiełło. Ernesta Habsburga w staraniach o koronę ubiegł Henryk Walezy. Maksymilian II po ucieczce Walezego został nawet przez Senat obrany królem, ale do koronacji nigdy nie doszło. Maksymilian III próbował zaś praw do tronu polskiego po Stefanie Batorym dochodzić nawet mieczem, ale równie bezskutecznie.

„Bella gerant alii, tu felix Austria nube” – niech inni toczą wojny, a ty, Austrio (szczęśliwa!), wstępuj w związki małżeńskie. Zdobywanie obcych tronów przemyślnymi ożenkami stało się doktryną polityki zagranicznej Habsburgów. Maksymilian I, któremu autorstwo tej dewizy się przypisuje, małżeństwem własnym, swojego syna Filipa i wnuka Ferdynanda, władcę dynastii rozciągnął na Burgundię, Hiszpanię, Czechy i Węgry. Polska wszakże się Habsburgom skutecznie wymykała. Za to ponoć duży wkład wniosła matka cesarzy, jak najbardziej polska Cymbarka mazowiecka, w zjawisko będące skutkiem ubocznym rozrastania się habsburskich włości, iż monarchów połowy Europy habsburskiego domu w siedemnastym wieku dotykał prognatyzm.

A o kontrolę nad obsadą tronu polskiego zabiegali też Moskale, Niemcy, Francuzi, Szwedzi. Stanisław Leszczyński z racji zmiennej fortuny szwedzko-francuskich wpływów na tron

powoływany był dwukrotnie. Ale końcówka I Rzeczypospolitej to już stopniowa wasalizacja Polski przez imperialną Rosję.

Średniowiecze w Europie stało się nieustannym pasmem interwencji na tle dynastycznym, narzucania lub rozrywania zależności i zwierzchności feudalnych. Rozpalały lokalny europejski interwencjonizm w średniowieczu podziały religijne. Wyprawy krzyżowe były apoteozą interweniowania w imię chrześcijańskiej wiary.

Wojna trzydziestoletnia wybuchła na tle wzajemnych prześladowań katolików i protestantów. Pokój westfalski, który kończył wojny religijne, miał powstrzymać państwa przed naruszaniem suwerenności innych. Interwencja była wszakże powszechną praktyką. Co prawda rewolucyjna Francja włączyła zasadę „nieinterwencji” do Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela, a także do Deklaracji „o prawie pokoju i wojny” z maja 1790 r. Ale już w 1792 r. wydała akt upoważniający ją do interwencji, kiedy staje się ona niezbędna dla wsparcia walki narodów o wolność. Katarzyna II, chorobliwie obawiająca się rozprzestrzeniania się francuskich ideałów rewolucyjnych na wschód Europy, za priorytet uznała zduszenie wszelkich postępowych reform w Polsce. Stąd interweniowała poprzez wspieranie Targowicy i zdławienie państwowości Polski za Konstytucję 3 maja.

Święte Przymierze zawarte przez Rosję, Austrię i Prusy w Paryżu w 1815 r. stało się pierwszym instrumentem w wielkiej polityce, w którym trzy czołowe mocarstwa Europy zadekretowały sobie prawo obrony istniejących porządków ustrojowych w Europie (Francja przyłączyła się już w 1818 r., ale nie na długo). Na mocy mandatu Świętego Przymierza Austria interweniowała w Neapolu w 1821 r., Francja w Hiszpanii w 1823 r., Rosja na Węgrzech w 1849 r., (interweniując w Polsce - w 1830 r. mogła liczyć na koncentrację sił pruskich na granicy Królestwa, co wydatnie pomogło wybić się na niepodległość Belgom). Zasada obrony legalizmu została wpisana w Traktat Berliński z 1878 r., ale Bismarckowska inicjatywa wskrzeszenia Przymierza w Sojuszu Trzech Cesarzy (Rosji, Austro-Węgier i Niemiec) z 1873 r. innych większych śladów nie zostawiła.

Epoka podbojów kolonialnych uczyniła interwencjonizm normą zachowań większych państw europejskich. W imię obrony półkuli zachodniej przed europejskim interwencjonizmem zrodziła się doktryna Monroe.

Jednym z częstych celów interwencji epoki imperialistycznej było narzucanie nierównoprawnych warunków działalności gospodarczej. A pretekstem do ich przeprowadzenia była ochrona interesów obywateli obcego państwa, a także interesów podmiotów prawnych.

Z oporu wobec uprzywilejowania cudzoziemców zrodziły się dwie ważne doktryny prawne.

Pierwsza z nich to doktryna Calvo (od nazwiska Carlo Calvo, żyjącego w latach 1824-1904 prawnika argentyńskiego). Zakładała ona, że cudzoziemcy nie mogą dysponować prawami, którymi nie mogliby cieszyć się obywatele własnego kraju. Cudzoziemcy nie mogą dochodzić swoich praw przed obcymi sądami i nie mogą też w swoich sporach prawnych zasłaniać się immunitetem dyplomatycznym. Co prawda współcześnie umacnia się tendencja, że nic nie może ograniczać cudzoziemców w korzystaniu z prawa do międzynarodowego arbitrażu w ich sporach gospodarczych.

Kolejna doktryna to doktryna Drago sformułowana w 1902 r. (jej twórcą był Luis Maria Drago, minister spraw zagranicznych Argentyny), która głosi, że dług publiczny nie może być odzyskiwany drogą interwencji zbrojnej. Bezpośrednim powodem do jej sformułowania był fakt, że w latach 1902-1903 Wlk. Brytania, Niemcy i Włochy zawiązały blokadę Wenezueli po tym, jak jej władze odmówiły spłaty zagranicznych długów i odszkodowań cudzoziemcom. Władze wenezuelskie liczyły po cichu, że blokada europejska wymusi interwencję USA w obronie Wenezueli. Okazało się wszakże, że dla Theodora Roosevelta blokada jako taka nie naruszała

doktryny Monroe. Naruszyłyby ją dopiero lądowanie żołnierzy europejskich na plażach Wenezueli, czyli interwencja sensu stricto. Zawiedli się Wenezuelczycy na Amerykanach, nie ostatni raz zresztą.

Doktryna Drago została odzwierciedlona w konwencji haskiej z 1907 r. (tzw. konwencja Drago-Portera). Ale w prawie międzynarodowym nadal istniały instrumenty dopuszczające interwencję. Dla przykładu Traktat Hay-Bunau-Varilla z 1903 r. dawał prawo USA do interwencji w Panamie.

W epoce Ligi Narodów wyjęto spod prawa wojnę (pakt Brianda-Kelloga), a konwencja londyńska z 1933 r., zakazująca agresji, delegitymizowała pośrednio interwencję zbrojną. Umacniający się zakaz interwencji objął też stosowanie nacisku gospodarczego, politycznego i dyplomatycznego.

W prawie zwyczajowym zakaz interwencji obejmuje działania wojskowe (napaść, okupacja, blokada, zajęcie mienia, aktywów, embargo, zatrzymanie, wydalenie, areszt), wywrotowe (podżeganie do przemocy, wspieranie nielegalnych działań), przymus gospodarczy (bojkot, embargo, sankcje, blokada dostępu) i sankcje gospodarcze.

Dozwolona jest oczywiście interwencja na zaproszenie i za zgodą państwa przyjmującego. Uzyskana ex-post budzi jednak poważne wątpliwości. Jak choćby interwencja USA w Grenadzie w 1983 r. Wezwanie do interwencji przyszło wtedy ponoć od Organizacji Wschodnich Państw Karaibskich. Dominika twierdziła, że zaproszenie nadeszło do Organizacji od Gubernatora Generalnego Grenady (ale udowodnić przekonująco nie potrafiła, że wystosowano je przed rozpoczęciem operacji). Bo początkowo Amerykanie oznajmili, że powodem interwencji jest ochrona obywateli amerykańskich. Byłaby ona zgodna z prawem, bo interwencja dla ochrony obywateli jest zwyczajowo akceptowana. Musi ona wszakże respektować zasadę proporcjonalności. Wątpliwości budzi, kiedy przy okazji ewakuowania własnych obywateli wywraca się cały rząd i ustrój.

A nawet jeśli jest do interwencji zaproszenie, musi pochodzić ono od konstytucyjnie uprawnionych władz. Podczas interwencji amerykańskiej w Panamie 1989 r. zaproszenie wystosował szef rządu, ale konstytucyjnie powinien to zrobić Prezydent.

W przypadku interwencji w Republice Dominikany w 1965 r. USA początkowo twierdziły, że chodziło o ochronę obywateli amerykańskich. Potem przyznały, że co prawda nie było zaproszenia od nowych władz, ale interwencja odbyła się z woli (dla dobra) Republiki Dominikany. Po kilku dniach starały się już o usankcjonowanie ekspedycji własnych żołnierzy przez Organizację Państw Amerykańskich. Jakby czuły słabość racji, którymi uzasadniano interwencję. Bo tak naprawdę chodziło o coś przecież innego.

Interwencja w Dominikanie jest bowiem kojarzona z działaniem tzw. doktryny Manna-Johnsona. Zgodnie z nią, niezależnie od charakteru zmiany politycznej (przewrót wojskowy czy rewolucja demokratyczna) Stany Zjednoczone rezerwowały sobie prawo do swobodnego określenia własnych interesów i stanowiska wobec zaistniałej zmiany. Ówczesna transformacja w Dominikanie powszechnie uznawana była za rewolucję demokratyczną, postępową. Ale doświadczenie rewolucji kubańskiej doprowadziło do powstania w Waszyngtonie obaw, że każda przemiana demokratyczna w Ameryce Łacińskiej może nieuchronnie doprowadzić do przesunięcia się zrewoltowanego państwa w stronę wpływów sowieckich. I dlategoż postanowiły Stany Zjednoczone interweniować, *stante pede*, w Dominikanie.

Interwencje sowieckie na Węgrzech w 1956 r., w Czechosłowacji w 1968 r., czy w Afganistanie w 1979 r. miały także dokonywać się na zaproszenie władz tych państw, choć „zaproszenia” te nie miały żadnej wiarygodności.

Francja z kolei zapobiegliwie włączała klauzule zezwalające jej na interwencję do traktatów bilateralnych z byłymi koloniami afrykańskimi. Francja interweniowała w swoich byłych koloniach

afrykańskich kilkadziesiąt razy. W Gabonie (1964 r. i 1990 r.), Czadzie (1968-71, 1978, 1983, 1986, 1990, 1992, 2006 r.), Zairze (1977, 1978 r.), Republice Środkowoafrykańskiej (1979, 1996-97), Togo (1986, 1991 r.), Wybrzeżu Kości Słoniowej (1990, 2002 r.), Dżibuti (1992 r.). Długo by wymieniać.

Wykorzystywała interwencje Rosja w latach dziewięćdziesiątych XX wieku, by trzymać w szachu emancypujące się były republiki radzieckie i umacniać swoje wpływy. Pod płaszczykiem operacji pokojowych wsparła secesjonistyczne ruchy w Naddniestrzu, Abchazji, Południowej Osetii. Kiedy gruzińskie władze spróbowały przejąć kontrolę nad separatystycznymi regionami w 2008 r., Rosja rozwinęła regularną operację wojskową przeciw Gruzji („dla ochrony swojego kontyngentu pokojowego”). Rosyjscy żołnierze w Tadżykistanie wsparli rząd w starciach z opozycją (w tym mocno islamską) w 1992 r. i pozostają tam po dziś dzień. Na mocy deklaracji trójstronnej (przywódców Armenii, Azerbejdżanu i Rosji) rosyjskie siły pokojowe zostały rozmieszczone w Górskim Karabachu w 2020 r. Biernie przyglądały się, kiedy Azerbejdżan najpierw wprowadził totalną blokadę, a potem zajął Karabach w 2023 r. Ekspedycja sił rosyjskich w ramach "operacji pokojowej" Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym w celu wsparcia reżimu Tokajewa w Kazachstanie w styczniu 2022 r. wzmocniła niewątpliwie wpływy Rosji w tym kraju i była sygnałem, że stanowi on nieodłączny element rosyjskiej strefy wpływów. Tokajew dałby sobie bez nich radę z uśmierzeniem protestów, nawet jeśli zaczął obawiać się nielojalności ze strony części aparatu siłowego.

W 1993 r. na forum OBWE podjęto próbę wpisania obecności sił pokojowych Rosji (Wspólnoty Państw Niepodległych) w ramy regionalnego instrumentu utrzymania pokoju w rozumieniu artykułu VIII Karty Narodów Zjednoczonych, jakim jest OBWE. Rosja liczyła na to, że oprócz dodatkowej legitymizacji, będzie mogła liczyć na sfinansowanie przez OBWE jej operacji. Zachód liczył z kolei, że będzie mógł decydować o mandacie sił pokojowych i czasie trwania operacji. Rokowania zakończyły się absolutnym fiaskiem. Rosjanie uznali, że swoboda decydowania, kiedy i jak będą ich siły „nieść pokój” na obszarze postsowieckim, nie jest warta poświęcenia za sztyld OBWE.

Turcja dokonała w 1974 r. inwazji Cypru pod pretekstem ochrony tureckiej ludności w obliczu zamachu stanu, jaki wcześniej próbowano dokonać w Nikozji. Interwencja przyniosła czystki etniczne i proklamowanie separatystycznej republiki. Nigdy wszakże Turkom nie przyszłoby do głowy szukać dla swojej obecności wojskowej na Cyprze międzynarodowego mandatu. Bo nikt by go nie udzielił.

Na kontynencie afrykańskim zaczęli interweniować i sami Afrykanie. Interwencja RPA w Angoli (1975 r.) miała zapobiec „komunizacji” świeżo wyzwolonej kolonii. Południowoafrykańskie siły starły się z kontyngentem kubańskim wspierającym lewicowe ugrupowanie angolskie. W 1979 r. wojska tanzańskie pomogły usunąć reżim Idi Amina w Ugandzie.

Na zasadzie ekspedycji sił pokojowych (panafrykańskich czy subregionalnych) interweniowały państwa afrykańskie w Czadzie, Liberii, Lesotho, Somalii.

Oczywiście zawsze powinna interwencja wiązać się albo z mandatem Rady Bezpieczeństwa, albo z zaproszeniem władz kraju. Nie każde zaproszenie uznawane jest za prawowite – rządy niedemokratyczne, marionetkowe, praktykujące apartheid mają wątpliwy tytuł do szukania zewnętrznego wsparcia, ale to czynią, jak choćby reżim Assada w Syrii w 2015 r., kiedy zwracał się o pomoc do Rosji.

Interwencja jako retorsja musi stosować się do zasady proporcjonalności.

Karta Narodów Zjednoczonych zakazuje ingerencji w sprawy wewnętrzne ze strony organów ONZ. Prawo interwencji ma Rada Bezpieczeństwa, ale w zakresie rozdziału VIII Karty. Zgodnie z tym

usankcjonowała ona operacje wojskowe przeciw innym państwom na zasadzie działań w ramach bezpieczeństwa zbiorowego. Taki mandat miała międzynarodowa interwencja w Korei w 1950 (nie zablokował jej ZSRR tylko dlatego, że bojkotował wtedy posiedzenia Rady Bezpieczeństwa, domagając się obecności ludowych Chin przy stole). Taki mandat miała też operacja (pod dowództwem amerykańskim) w Kuwejcie i Iraku w l. 1990-1991.

Kontrowersje towarzyszą interwencjom w konflikty wewnętrzne, a zwłaszcza pomoc dla rebeliantów, podmiotów pozapaństwowych. Legalnym władzom państwa można pomagać. Uznaje się, że można pomagać też powstańcom, jeśli prawo do samookreślenia zostaje odebrane siłą.

Od 1948 r. rozmieszczono ponad 60 operacji pokojowych pod sztandarem ONZ. Były to zarówno siły rozjemcze (np. w Palestynie), obserwacyjne (np. w Gruzji), stabilizacyjne (np. w Bośni i Hercegowinie), odbudowy zaufania (np. w Chorwacji), weryfikacyjne (np. w Gwatemali), policyjne (np. w Haiti), administracyjne (np. w Kosowie), czy prewencyjne (np. w Macedonii).

Ponad 20 misji (cywilnych i wojskowych) rozmieściła już Unia Europejska. Kilka z tych misji miałem okazję w trakcie swojej kariery wizytować. A jedną nawet w pewnym sensie przygotowywać. Jesienią 1993 r. zostałem oddelegowany, by wesprzeć doradztwem dyplomatycznym Grupę Planowania Wysokiego Szczebla, opracowującą założenia ewentualnej operacji pokojowej OBWE w Górskim Karabachu. Moim zadaniem było m.in. przygotowanie projektów umów z rządami Armenii i Azerbejdżanu dotyczących warunków rozmieszczenia sił pokojowych. Co uczyniłem. Jednak im bliżej było końca walk i podpisania rozejmu, tym bardziej oczywistym stawał się fakt, że do żadnego rozmieszczenia sił pokojowych nie dojdzie. A założenia misji opracowywali przy tym generałowie i pułkownicy, którzy, choć niezmiernie fachowi i zaprawieni w misjach pokojowych, większej wiedzy o regionie, jego ludziach i zwyczajach nie mieli. Jak się zorientowałem, to raczej reguła niż wyjątek. Czasami prowadziła ona do sytuacji dość ambarasujących. W połowie lat dziewięćdziesiątych zaznajaniałem się z funkcjonowaniem jednej z misji ONZ na obszarze byłej Jugosławii. Personel tej misji wyposażono w samochody osobowe marki Chevrolet Caprice, używane często w USA w patrolach policyjnych. To były olbrzymie pięcio-i-półmetrowe bryki. Nie uwzględniono wszakże, że na Bałkanach, jak to na Bałkanach, uliczki w miasteczkach i na wsiach są wąskie i kręte. Nie sposób było te chevrolety składać na zakrętach, nie sposób było z jakimkolwiek samochodem się nimi mijać.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych pojawiła się koncepcja interwencji humanitarnej. Społeczność międzynarodowa miałaby mieć prawo do fizycznej interwencji w przypadku masowych naruszeń praw człowieka. Zastosowano ją w praktyce w Kosowie/Serbii w 1999 r. Ale ówczesna akcja NATO nastąpiła bez uprzedniej autoryzacji Rady Bezpieczeństwa ONZ. Podcięło to skrzydła całej koncepcji.

Per analogiam ukuto także termin interwencji ekologicznej. Państwa miałyby prawo interweniować na terytorium innego państwa, gdzie doszłoby do katastrofy ekologicznej o ponadgranicznych skutkach.

Operacja NATO w Kosowie uwypukliła kolizję między racjami moralno-politycznymi i uwarunkowaniami prawnomiędzynarodowymi w podejmowaniu interwencji. Próbowano udowodniać, że autorytet i legitymacja takich organizacji, jak NATO, może wystarczać w przypadku braku jednomyslności stałych członków Rady Bezpieczeństwa, blokującego przegłosowanie mandatu ONZ. Później pojawiła się nawet tzw. doktryna Busha, sugerująca, że interwencja jest dopuszczalna nawet bez sankcji RB ONZ, jeśli dotyczy państwa łajdackiego. Zastosowano ją w praktyce interweniując w Iraku, aby usunąć reżim Saddama Husejna. Ale zorientowano się, że dawałaby ona pretekst do działań agresywnych ze strony państw, które bynajmniej nie kierowałyby się wyższymi racjami moralnymi, lecz najzwyczajniej imperialnymi.

Dla państw demokratycznego Zachodu barierą postawy interwencyjnej jest niewątpliwie coraz surowsza ocena kosztów społecznych interwencji przez opinię publiczną. To opinia publiczna powstrzymała państwa zachodnie przed ekspedycją sił zbrojnych choćby do Libii czy Syrii w 2012 r. mimo ostrego kryzysu humanitarnego, jaki ogarnął te państwa. Z jednej strony społeczeństwa zachodnie chcą, aby polityka zagraniczna cechowała się większą empatią, z drugiej strony są coraz bardziej wyczulone na możliwe wysokie koszty społeczne takich interwencji (liczba ofiar zarówno po stronie zachodniej, jak i miejscowej).

Państwa zachodnie interwenują więc coraz bardziej tylko wtedy, kiedy koszty te są społecznie akceptowalne.

Porażka wysiłków transformacyjnych w Afganistanie zniechęca Zachód do prometejskich interwencji. Prezydent Joe Biden na kanwie afgańskiego niepowodzenia sformułował w 2021 r. nową doktrynę amerykańskiego interwencjonizmu. Jej istotą jest koncentracja na realizacji własnych interesów narodowych jako głównego kryterium zaangażowania. USA precyzyjnie będą musieć określać cele interwencji. Wykluczać się będzie użycie wojsk dla zaprowadzania demokratycznych porządków w obcych krajach. Czyżby to koniec prometejskich interwencji?

5. Imperializm

Interwencjonizm w imię pomnożenia własnej potęgi, pomnożenia traktowanego jako cel sam w sobie, przyjął w historii postać imperializmu. Imperializm zawsze kojarzył się źle, z czasem stał się pojęciem moralnie potępianym, inwektywą w wojnach propagandowych, oskarżeniem pod adresem Zachodu, zwłaszcza ze strony państw, które zrzuciły pęta kolonializmu, jak i ze strony ruchów narodowowyzwoleńczych.

Oznacza imperializm politykę, praktykę lub propagowanie przez państwo rozszerzania własnej potęgi na zewnątrz, zwłaszcza drogą nabytków terytorialnych lub przejmowania politycznej lub gospodarczej kontroli nad obcym terytorium.

Imperialną politykę prowadziły starożytne Chiny (preferujące jednak dobrowolną wasalizację obcego terytorium w swojej strefie wpływów, a nie podbój mieczem), Persja (znana z przeważnie liberalnego traktowania swoich wasali i podbitych plemion, co zapewniło jej stabilność trwania), Grecja (z przepastnym imperium Aleksandra Wielkiego), Rzym, Bizancjum, Europa Karola Wielkiego, Kalifat islamski, Imperium Osmańskie. Imperia były od zawsze. Bo potrzeba ekspansji i dominacji wymagała zawsze zaspokojenia.

Fundamentem imperializmu nowożytnego stały się podboje kolonialne. Anglia, Francja, Niderlandy, Portugalia, czy Hiszpania opanowując i walcząc o podział kolonizowanych obszarów nadawały swojej polityce cechy imperialne w latach 1500-1750.

Ale prawdziwy, nowożytny imperializm nadszedł z kapitalizmem w pełnym rozkwicie i rewolucją przemysłową.

Klasyk imperializmologii – John Hobson, upatrywał źródeł imperializmu w poszukiwaniu przez koła finansowo-przemysłowe możliwości bogacenia się drogą ekspansji, tworzenia nowych możliwości dla inwestycji, pozyskiwania tanich surowców, otwierania rynków zbytu i dostępu do taniej siły roboczej. Kluczem do ekspansji była kontrola na terytorium. Obsesja terytorialnej kontroli uczyniła geopolitykę ideologią imperializmu. Jak opisywał to Friedrich Ratzel – wyrocznia imperialistów – kluczem do potęgi była przestrzeń. Przestrzeń inspirowała i wyjaśniała wszystko.

Ekspansywne państwo rosło w siłę, a silniejsi wchłaniali słabszych i ich przerabiali na swoją modłę, czyli, w imperialnej optyce, cywilizowali. Siła kumulowała się i nieuchronnym stawał się świat kontrolowany przez ograniczoną liczbę superimperii. Kjellen, Haushofer czy Mackinder próbowali dodać geopolitycznej głębi imperialnym ekspansjom i rywalizacjom.

Uważa się, że epoka imperii w polityce międzynarodowej to okres od 1880 do 1980 roku. Świat przeszedł wtedy przez stulecie imperii, kiedy kształtowanie imperii, rozszerzanie ich wpływów, rywalizacja i konflikty wzajemne między nimi stanowiły sedno polityki globalnej.

U progu I wojny światowej mocarstwa imperialne – Wielka Brytania, Francja, Niemcy, ale także (już w schyłkowej fazie) Hiszpania, Portugalia, Niderlandy, stanowiąc mniej niż jeden procent powierzchni globu i osiem procent ludności świata, kontrolowały 35 procent terytorium i 25 procent ludności globu. Cały niemal region Australii i Pacyfiku, 90 procent Afryki i 56 procent Azji znalazły się pod imperialną kontrolą europejskich potęg.

W latach 1850-1914 na drogę imperialną wkroczyły Rosja (choć jej imperialna ekspansja rozpoczęła się już w XVII wieku), Włochy, Niemcy, Japonia i Stany Zjednoczone. A i Chiny (mimo postępującej wewnętrznej implozji) nadal pozostawały imperium.

Dla Rosji imperialny ekspansjonizm był formułą zapewnienia bezpieczeństwa. Imperializm stał się istotą rosyjskiej polityki bezpieczeństwa. Bardzo wczesnie przyjęto uważać tam, że brak zdolności do kontrolowania bezpośredniego otoczenia sprowadzić może na Rosję tylko nieszczęście. Sedno rosyjskiej polityki zagranicznej jeszcze w połowie XVII trafnie oddał minister Atanazy Ordyn-Naszcokin (negocjował m.in. rozejm andruszowski z Polską), mówiąc, że zadaniem ministerstwa spraw zagranicznych Rosji jest ekspansja państwa we wszystkich kierunkach.

I poszła Rosja najpierw na wschód, zrzucając jarzmo tatarskie, podbijając potem obszary osadnictwa Tatarów (nad i za Wołgą), a następnie posuwając się po przepastnych terenach Syberii i Azji Centralnej. Przekroczyła nawet cieśninę Beringa i zatrzymała się dopiero na Alasce. Poszła też ku północy, wyrębując sobie okno na świat i osiągając podbiegunowy kres Europy. Poszła i na południe wypychając Turcję z Krymu, podbijając Kaukaz i odkrawając nawet posiadłości Persji. No i ruszyła na zachód, połykając Litwę, Polskę, dochodząc za Wisłę i do Dniestru. Rosyjski but zadudnił na brukach Paryża, a sowiecki – Berlina. Mawiano nawet, że kruszenie wszystkiego, co stanie Rosji na jej drodze, i absorpcja energii podbitych narodów jest immanentną cechą rosyjskiej filozofii państwowej. W latach 1552 - 1917 jej terytorium powiększało się średnio o 100 000 km kwadratowych rocznie. Kiedy opór zewnętrzny przytrzymywał jej pochód, ukrywała swoje słabości i zbierała siły, jak choćby po wojnie krymskiej czy wojnie japońskiej. I próbowała ponownie.

A zawsze twierdziła, że jedynym sposobem zawiadywania tak wielkim i polimorficznym kulturowo obszarem jest autokratyzm, samodzierżawna dyktatura. Katarzyna Wielka uważała, że każda inna forma rządu pogrzyłaby Rosję w ruinie. Tym właśnie rosyjski imperializm różnił się od imperializmu zachodniego – brytyjskiego czy francuskiego, nie mówiąc o imperializmie amerykańskim. Ekspansja zrosła się w Rosji z autokratyzmem i wspólnie z nim się napędzała na zasadzie sprzężenia zwrotnego A Rosja stała się wiezieniem narodów – jak twierdzili bolszewicy. Imperator zaś, choć nie był zesłańcem niebios, ani półbogiem, był z założenia obdarzony nieskończoną z racji posiadanej władzy mocą sprawczą, tyleż hieratyczną, co brutalną. Imperializm rosyjski czynił autorytet władcy zakładnikiem ekspansji.

Był rosyjski imperializm wyjątkowy. Bo imperializm hiszpański czy portugalski był traktowany bardziej jako posłannictwo. Wyrósł z eksploracji geograficznej. Miał silną podbudowę religijną. Ale głuszył go wąty zmysł gospodarczy (typowo przedindustrialny, ekspropriacyjny). Więc zgasł, nim zdążył się rozwinąć. Imperializm brytyjski (a i francuski w pewnym stopniu) był najmocniej naznaczony filozofią cywilizacyjną. Zrósł się z nim mit „brzemienia białego człowieka” (choć wiersz Kiplinga powstał w kontekście amerykańskiego podboju Filipin). Imperialny kolonializm

miał służyć cywilizacyjnemu wydzwignięciu podbijanych plemion, wyzwaniu ich z ubóstwa i chorób, szerzeniu edukacji i wpajaniu zasad dobrego administrowania. Był imperializmem gospodarczym, służąc opanowywaniu nowych rynków, źródeł surowcowych, szlaków handlowych.

Imperializm pospieszny (wg określenia Michaela Ignatieffa) to imperializm Niemiec epoki Wilhelma II. Weltpolitik Wilhelma II była polityką niecierpliwą, chaotyczną, nastawioną na szybkie rezultaty. Energiczną, ale fertyczną w pozorach, bo całościowo jednak niezgrabną. Była polityką roszczeniową. Jej istotą było domaganie się redystrybucji zdobyczy kolonialnych. Bo kiedy Niemcy stały się mocarstwową siłą, terytorialny tort posiadłości kolonialnych był już podzielony. A skutkiem polityki epoki imperiów było przeświadczenie, że nie można aspirować do roli mocarstwa światowego bez odpowiednio rozległych posiadłości kolonialnych (dziś w Rosji twierdzi się, że nie można aspirować do roli bieguna polityki światowej bez posiadania własnej strefy wpływów).

Marksizm traktował imperializm jako ostatnią, schyłkową fazę kapitalizmu, w której dokonuje się podbój obcych rynków z powodu nadprodukcji i nadwyżki kapitału. Już zresztą wcześniejsi analitycy kapitalizmu, jak Adam Smith i Ricardo, krytycznie oceniali społeczno-gospodarczy wymiar ekspansji imperialnej. Imperializm opisywali jako przynoszący profity wąskim warstwom społecznym, lecz nie krajowi jako całości. Lenin ukuł frazę o imperializmie jako najwyższej formie kapitalizmu, skrajnie agresywnej i bezwzględnej. Diagnozował, że rywalizacja o kontrolę rynków i zasobów prowadzi do nieuchronnego konfliktu. W historiografii marksistowsko-leninowskiej, I wojna światowa była przedstawiana jako nieuchronna wojna imperializmów. Przez całe dziesięciolecie adepci dyplomacji na Zachodzie uczeni byli, że I wojna światowa była skutkiem załamania się koncepcji równowagi sił w Europie. W podręcznikach publikowanych w ZSRR aż do jego rozpadu I wojna światowa była zaś wynikiem deterministycznego starcia imperializmów. Ale jak tę wojnę by nie diagnozować, była cmentarzyskiem imperiów. Pogrzebała ona i imperium niemieckie, i tureckie, i austro-węgierskie. A będąca jej dogrywką II wojna światowa wyczerpała imperializm brytyjski i francuski z ostatka sił witalnych.

Pod koniec XIX wieku ekspansja USA zaczęła wychodzić poza kontynent amerykański. Amerykański imperializm był swoistym imperializmem w przebraniu („imperialism in disguise”). USA uprawiały imperializm głosząc jednocześnie jego zwalczanie. Wyłączyły najpierw z europejskiej imperialnej rywalizacji Amerykę Łacińską (doktryna Monroe), czyniąc ją obiektem własnej imperialnej polityki. Interweniowały tam po czasy nam współczesne na potęgę.

Do Azji, a potem do Afryki wchodziły Stany Zjednoczone przez handel i inwestycje. To właśnie pośredni, finansowo-gospodarczy sposób ekspansji stał się z czasem nową formą imperializmu.

F. D. Roosevelt traktował II wojnę światową jako wojnę o koniec imperiów. Amerykańska opinia publiczna była bowiem bardzo negatywnie nastawiona na wszelkie imperialne hasła. Amerykański imperializm był, innymi słowy, imperializmem w stanie zaprzeczenia („imperialism in denial”).

Po II wojnie światowej imperializm amerykański przybrał charakter misyjny. Celem ekspansji amerykańskiej stało się powstrzymanie pochodzenia ideologicznych barbarzyńców, walka z komunizmem, odpychanie ZSRR. Tylko odwołaniem się do wyższych racji moralnych przywódcy USA mogli przekonać do interwencjonistycznej polityki swoją opinię publiczną. Stany Zjednoczone objęły protektoratem bezpieczeństwo Europę, wschodnią Azję, roztoczyły opiekę militarną nad wieloma państwami „Trzeciego Świata”, kontrolę nad strategicznymi drogami morskimi. Wypełniały lukę po upadających imperiach brytyjskim i francuskim. I jak pokazał to kryzys sueski z 1956 r., przyspieszenie imperialnego zmierzchu Francji i Wielkiej Brytanii było ważniejsze dla Stanów Zjednoczonych od sojuszniczej lojalności.

Wypchnięcie Brytyjczyków przez Amerykanów z imperialnej misji zgryźliwie komentowano, że Brytyjczycy zbudowali swój imperializm w przystępie roztargnienia lub utraty rozumu (J. R. Seeley), Amerykanie roztargnienie zastąpili natomiast totalną krótkowzrocznością. Czy mieli

wszakże inne wyjście? Praktykowali imperializm nadal w bardzo ukrytej formie, pod antyimperialistycznymi hasłami, ale z dobrym skutkiem. Imperializm przynosi, być może, najlepsze rezultaty, jeśli ubiera się go w antyimperialistyczne szaty (wtedy antybrytyjskie, antysowieckie). Był to jednocześnie imperializm napędzany bardziej strachem (przed komunizmem) niż potrzebą ekspansji.

Stany Zjednoczone wzięły na siebie brzemień „przywództwa wolnego świata”. I starły się z neoimperializmem sowieckim. W ekspansji komunizmu w świecie wielu badaczy widziało przedłużenie polityki rosyjskiego imperializmu pod nowym, tym razem czerwonym, sztandarem. Richard Pipes konstatował wręcz, że o polityce ZSRR można było dowiedzieć się więcej studiując historię Rosji niż ideologię marksizmu-leninizmu. Za ideologicznym sztafażem krył się ten sam przymus ekspansji, oparcie na silnej władzy, tajemniczość, pogarda dla słabych, zawłaszczenie państwa przez elitę, zakłamanie i moralna zapaść.

Kłęska w Wietnamie zachwiała zaangażowaniem globalnym USA. Całkiem poważnie pojawiło się ryzyko ich wycofania, abdykowania z roli „gwaranta bezpieczeństwa wolnego świata”. Reagan odrzucił na całe szczęście izolacjonizm. A „czerwone imperium” Rosji rozsypało się jak domek z kart.

Krytycy ukrytego, „wypartego” imperializmu wskazywali na jego immanentne defekty. Po pierwsze, taki typ imperializmu skupiał się na militarnych aspektach przedsięwzięcia. Zbyt mało politycznej uwagi, a przede wszystkim środków, przeznaczano na pozawojkowe wymiary imperialnego zarządzania. W amerykańskim przypadku było to o tyle zrozumiałe, że imperializm epoki „zimnej wojny” czynił USA przede wszystkim protektorem bezpieczeństwa kontrolowanych regionów. Po drugie, wytyka się, że ukryty amerykański imperializm był polityką niecierpliwą. Podejmowana w kontrolowanych krajach transformacja (gospodarcza, ustrojowa, etc.) była obliczona na szybkie efekty, co, jak choćby pokazało doświadczenie operacji w Afganistanie czy Iraku, było nierealne.

Po zakończeniu zimnej wojny Stany Zjednoczone pozostały jedynym globalnym supermocarstwem o imperialnych wpływach. Świat spoczął w objęciach Pax Americana. Upadające imperium sowieckie, choć oszczędziło światu większych perturbacji, stało się źródłem znanych z przeszłości wyzwań. Elity rządzące Rosją (a i opinia publiczna także) nie mogły pogodzić się z utratą dotychczasowego statusu supermocarstwa traktowanego na równi z USA. W miarę bezboleśnie Rosja przełknęła utratę tzw. zewnętrznego imperium (kraje Europy Środkowo-Wschodniej a także państwa bałtyckie). Ale kiedy peryferia tzw. imperium wewnętrznego (Ukraina, Gruzja, Mołdawia) zaczęły ciążyć ku Zachodowi, Rosja próbowała nad kontrolowanym wcześniej obszarem desperacko zapanować. I próbuje to czynić coraz bardziej bezwzględными środkami (militarna agresja na Ukrainę i groźba jej rozbioru).

Zmieniła się w warunkach Pax Americana amerykańska polityka imperialna. Odstawiono na bok klasyczne „odstraszanie”, skupiono na się na bieżących, bliskosiężnych celach: pacyfikowaniu wymykających się spod kontroli drobnych gębaczy i mącieli, czyli tzw. „outliers” (Serbia czasu Milosevicia, Irak Saddama, Afganistan Talibów, Iran ajatollahów, Korea Kimów, etc.), walce z terroryzmem. A tymczasem wyrosły Ameryce pod boki wyzwania o wiele bardziej strategiczne: kontestujące amerykańską dominację Chiny i Rosja. Chiny zbudowały porównywalny z USA potencjał gospodarczy, a Rosja dysponuje potencjałem militarnym stanowiącym dla USA nadal egzystencjalne zagrożenie.

Czy imperializm jest zjawiskiem przebrzmiałym? Wiele wizji przyszłości świata nie widzi dla niego miejsca. A są to zarówno wizje dystopijne (świat niekontrolowalny, anarchiczny, entropijny), jak i utopijne (państwo światowe, rząd światowy, świat sieciowy).

Od czasu do czasu próbuje się imperializmy rehabilitować. Geostratedzy i geopolitycy wskazują na imperializm jako naturalny etap w zapewnieniu bezpieczeństwa, a nawet przetrwania państw. Wzajemna ekspansja była środkiem zapobieżenia dominacji innych, dawała poczucie równowagi. Łatwiej ją zapewnić w świecie między kilkoma, choćby nawet wielkimi konglomeratami, niż w warunkach niekontrolowanego przepływu potęgi.

Dla tzw. szkoły misjonarskiej, imperializm był najszybszym środkiem postępu cywilizacyjnego świata. Mobilizował Zachód do postępu, wyzwalał narody z barbarzyństwa i je cywilizował. Apologeci imperializmu udowadniają, że dekolonizacja nastąpiła zbyt pospiesznie i przyniosła, z punktu widzenia rozwoju lokalnych społeczeństw, frustrujące efekty. Rozwalono dobrze funkcjonujące instytucje, pozwolono wprowadzić nowe kastowo-plemienne struktury, oddano władzę kacykom, a gospodarkę pozwolono zawłaszczyć rządzącym kastom lub pseudo oligarchom. W Afryce tylko Botswana i Mauritius wyglądają gospodarczo lepiej niż przed dekolonizacją.

Kilka lat spędziłem na placówce dyplomatycznej w subsaharyjskiej Afryce. Organoleptycznie badałem degenerację systemu zarządzania państwem. Zwykły obywatel o bezpieczeństwo swojego domu musiał troszczyć się sam (opłacając prywatne firmy ochroniarskie), bo policja państwowa dbała wyłącznie o bezpieczeństwo rządzących. Studzienna przepaść dzieliła publiczną od prywatnej służby zdrowia, szkoły państwowe od prywatnych. Miliony ludzi pozbawione były elementarnych form zabezpieczenia socjalnego (jak zasiłki dla bezrobotnych, renty, emerytury), a państwo było totalnie bierne w walce z ubóstwem. A już w największą depresję (wtedy, na początku naszego milenium) wpędzały mnie podróże do Zimbabwe. W latach sześćdziesiątych XX wieku było to państwo zamożne, dobrobytem przewyższające wiele państw Europy Wschodniej czy Ameryki Łacińskiej. Oglądałem zaś gospodarkę w stanie totalnego chaosu, sklepy bez towaru (jak w Polsce w 1981 r.), stacje benzynowe bez benzyny. Najważniejszym zadaniem naszego ambasadora co dzień rano było ustalenie, ile potrzeba placówce gotówki w danym dniu i zbadanie, który ze stołecznych kantorów oferował najlepszy kurs wymiany. Pakował ambasador do małej koperty plik dolarów amerykańskich, a wracał z workiem miejscowej waluty.

Obrońcy imperializmu zapominają wszakże, że nie o dobrobyt chodziło w dekolonizacji. Była dekolonizacja procesem nieuchronnym, bo wynikającym z tymotejskiej emancypacji narodów. Społeczeństwa kolonii chciały czuć się panami we własnym domu, zrzucić z siebie jarzmo społecznego zniewolenia, zetrzeć piętno obywateli gorszego sortu, ludzi gorszej rasy. Oczywiście większość wierzyła, że imperialiści eksploatowali ich kraje bezwzględnie, wykradali ich bogactwa. Nie dostrzegano olbrzymich inwestycji zrealizowanych przez mocarstwa kolonialne (koleje, drogi, porty, lotniska). Liczono, że wystarczy odciąć więź zależności, by od razu zaczęło się powodzić lepiej. I elicie władzy z pewnością zaczęło powodzić się lepiej. Ale już nie zwykłym obywatelom. W dekolonizacji chodziło wszakże o godność, a nie o dobrobyt.

Rozprzestrzenienie się zjawiska państw upadłych, słabych, niewydolnych, sierocych prowokowało analityków do wskrzeszania idei imperialnego porządku, tym razem w łagodnym, liberalnym wydaniu (Niall Ferguson). Liberalny imperializm miałby być receptą na paraliż narodowych instytucji politycznych i ekonomicznych, korupcję i nepotyzm, zawłaszczenie państwa. Upadłe państwa psują poza tym porządek międzynarodowy, sieją chaos, stają się rozsądnikiem terroryzmu międzynarodowego. Imperializm gospodarczy w tym nowym liberalnym wydaniu zaczęto przypisywać Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu, instytucjom międzynarodowym. Dyktat międzynarodowy na ograniczoną skalę mógł jedynie dawać ograniczone (w skali i czasie) rezultaty.

Ale kiedy tylko Zachód zaczął cenzurować wewnętrzne porządki w państwach globalnego Południa, opatrywać pomoc rozwojową warunkami, w tym dotyczącymi demokracji i praworządności, posyłać siły stabilizacyjne dla zapobieżenia kolapsu władzy państwowej, zaraz zaczęły się pojawiać oskarżenia o neoimperializm. Perfidnym chichotem historii były obrazki ulic

po przewrocie wojskowym w Nigrze w 2023 r. (i nie tylko tam), pełne antyfrancuskich haseł i miłosnych wyznań pod adresem Putina. Putinowska Rosja wskoczyła zresztą chyżo na antyzachodnią propagandową kobyłę pod akompaniament antyneoimperialistycznych zaśpiewów.

Kandydatów zresztą do pełnienia roli liberalnego imperatora za wielu nie ma. Jedynym oczywistym kandydatem pozostają Stany Zjednoczone. Chiny ochoczo wchodziły ze swoimi wpływami gospodarczymi do Afryki czy Azji, ale naprawiać wydolności państw się nie podejmowały, zaś brakiem jakiegokolwiek warunkowości w swojej działalności pomocowej przyczyniały się do dalszego psucia państwa. Unia Europejska nie jest w stanie na razie podjąć się bardziej asertywnej roli, a poszczególni jej członkowie reanimują jeszcze w pamięci partnerów zbyt bolesne kolonialne wspomnienia. Stany Zjednoczone są jedynym kandydatem do pełnienia roli liberalnego imperium nie tylko dlatego, że mają odpowiedni potencjał. Mają bowiem też rozbudowane poczucie wpływu wydarzeń w świecie na własne bezpieczeństwo, a wymiarze materialnym - zachowały obecność wojskową na każdej długości i szerokości geograficznej. Chcą być postrzegane jako altruistyczne mocarstwo. Muszą niewątpliwie przebudować swoje instrumentarium, bo ich rola zbyt często kojarzy się z arogancją, a nawet dyktatem. Czasem zbyt przytłaczają, a nawet budzą (jak w Ameryce Łacińskiej) złe imperialne wspomnienia.

Liberalny imperializm to, jak się wydaje, kolejna retropijna iluzja.

6. Hegemonizm

Hegemonizm w odróżnieniu od imperializmu jest formą przywództwa akceptowanego (z wyboru bądź z konieczności) i respektującego (przynajmniej formalnie) podmiotowość partnerów. Opiera się na niekontestowanej dominacji hegemonia, jego zdecydowanej przewadze pod względem potęgi, asymetrycznej zależności pozostałych partnerów pod względem militarnym, gospodarczym czy kulturowym.

Asymetria potęg jest zjawiskiem stałym systemu stosunków międzynarodowych. Kiedy osiąga niepodlegających dyskusji rozmiarów, czyli zarówno strona silniejsza, jak i strony słabsze, nie mają co do jej obiektywnego charakteru żadnych wątpliwości, kiedy potwierdzają ją jednostkowe rozstrzygnięcia w sporach ze stroną silniejszą, może nabrać charakteru systemowego. Przewagę potęgi nic nie jest w stanie wtedy równoważyć.

Dążenie do przywództwa jest również immanentną cechą środowiska międzynarodowego. Nie znosi ono próżni politycznej. Nawet mocarstwa niechętnie do aspirowania do roli przywódczej, nawet rosnące w duchu izolacjonizmu (jak USA do II wojny światowej), prędzej czy później konfrontowane są z wyzwaniem, które wynoszą je na hegemonistyczny piedestał.

Pojęcie hegemonia, jak wiele innych pojęć politycznych, zawdzięczamy oczywiście starożytnym Grekom. Hegemonistyczną rolę pełniły Ateny (w ramach Związku Morskiego) i Sparta (w ramach Związku Peloponeskiego).

Symmachia Spartańska powstała z przewagi militarnej Sparty na obszarze Peloponezu, jaka ugruntowała się pod koniec VII wieku p.n.e. W skład powołanego przez Spartę Związku Peloponeskiego weszły wszystkie miasta-państwa regionu z wyjątkiem Argos i Achai. Celem Związku było zapewnienie bezpieczeństwa i ochrony jego członkom. W Zgromadzeniu Związku każde państwo dysponowało jednym głosem, lecz jego rezolucje obowiązywały wszystkich poza Spartą. I tylko Sparta miała prawo zwołać sesję Zgromadzenia. Więzy sojusznicze łączące członków Związku miały charakter promienisty, tj. każde państwo połączone było ze Spartą (jako hegemonem) dwustronnym układem obronnym. Pozostali członkowie mogli również wiązać się

podobnymi porozumieniami między sobą, ale mogli też równie dobrze pozostawać w stanie konfliktu. Ich wzajemne relacje nie mogły wszakże osłabiać ich związku ze Spartą. Wkład finansowy do Związku członkowie wnosili tylko w czasie wojny. Wtedy też byli zobligowani do delegowania oddziałów zbrojnych. Była też Symmachia związkiem ideologicznym – skierowanym przeciw demokracjom, utrwalającym rządy autorytarne.

Ateńczycy swoją hegemonię uformowali w Związek Delijski w 478 r. p.n.e. Rozpadł się wtedy (po drugiej inwazji perskiej i zwycięskiej dla Greków bitwie pod Platejami) Związek Helleński (jego trzonem była Symmachia Spartańska), albowiem Sparta uznała, że po ocaleniu Grecji walczyć dalej z Persami w obronie, było nie było, kolonii ateńskich (czyli posiadłości jej głównego rywala na podwórku greckim) nie służyło jej długofalowym interesom.

Związek Ateński również przyznawał jego członkom równy głos. Mogli jego członkowie albo wydzielać na potrzeby Związku oddziały zbrojne, albo opłacać się daniną pieniężną. Ateńczycy narzucili wszakże drakońską dyscyplinę egzekwowania zobowiązań sojuszniczych (przede wszystkim pieniężnych). Pierwotnie dobrowolnego Związku nie pozwalano nikomu opuścić. Kiedy spróbowali secesji wyspiarze z Naksos, zostali ukarani utratą floty, zburzeniem murów i odebraniem prawa głosu na forum Związku. Równie okrutnie potraktowano próbę opuszczenia Związku przez Tasos. Dla Tukidydesa oblężenie Tasos było znakiem przekształcenia Związku z sojuszu w hegemonię.

A kiedy w 454 r. p.n.e. Perykles przeniósł skarbiec związku z Delos do Aten, hegemonia zdegenerowała się w pełni, przepoczwarzając się w ateńskie imperium. Ateny rządziły już ugrupowaniem żelazną ręką, wykorzystywały wspólne środki na własne potrzeby (sfinansowano z nich m.in. budowę Partenonu).

Kiedy oddaliło się zagrożenie perskie, zwanie między ligami spartańską i ateńską o panowanie nad grecką ekumeną polityczną stało się nieuchronne. Ateny uległy Sparcie w wielkiej wojnie peloponeskiej (zdobycie Aten w 404 r. p.n.e.) i zostały upokorzone utratą floty i prawie wszystkich posiadłości. Sparta bynajmniej nie mogła czuć się pewnie, bo jej hegemonię skutecznie zaczęły wtedy podważać Teby. A Ateńczykom udało się zbudować drugi Związek Morski, już bardziej demokratyczny i partnerski (przetrwał do 355 r. p.n.e.). Rosła już wszakże potęga macedońska. Filip Macedoński rozwiązał Związek Peloponeski (tworząc wokół siebie Związek Koryncki), a jego syn Aleksander zbudował Grekom wielkie (choć nietrwałe) imperium.

Każde wyrastające potęgą ponad rozmiar partnerów państwo do czasów nowożytnych w tej czy innej mierze prowadziło politykę hegemonistyczną, przynajmniej na wczesnym etapie dominacji. Hegemonia wszakże zawsze wymaga pogodzenia się przez mniejszych aktorów z dominacją i przyjęcia obcego przywództwa jako korzystnego dla własnych interesów. Kiedy pojawia się reaktancja, polityczny opór, nieuchronna staje się rywalizacja. W epoce odkryć geograficznych wyrastały ponad innych Portugalia i Hiszpania, ale nawet jeśli były w stanie polubownie rozgraniczyć między sobą sferę kolonizacji w Ameryce Południowej, szybko napotkały na ostrą rywalizację globalną ze strony Anglii i Francji. Współzawodnictwo wymuszało zachowania imperialistyczne, które w odróżnieniu od polityk hegemonistycznych, skutkowały narzucaniem własnych porządków kontrolowanym obszarom, nawet siłą.

Napoleoński podbój Europy ukształtował przekonanie, że hegemonia w Europie (jakakolwiek) jest dla kontynentu na tyle niezdrowa, że gwarantem pokoju może tam stać się jedynie równowaga sił. Procesy rzutujące na potęgę poszczególnych aktorów sceny europejskiej czyniły zasadę równowagi sił nieustannie zagrożoną. Instynkt hegemonistyczny bynajmniej nie zanikał.

Podręcznikowym przykładem doktryny hegemonistycznej była polityka Prus na obszarze niemieckim w połowie XVIII wieku. Po kongresie wiedeńskim 1815 roku rozpoczęła się na dobre rywalizacja prusko-austriacka o przywództwo nad Niemcami. Powołana wtedy konfederacja była

wspólnie kontrolowana przez te dwa mocarstwa, aby w duchu Świętego Przymierza uśmierzać liberalno-narodowe nastroje w Niemczech.

Wiosna Ludów 1848 r. zachwiała stabilnością Związku Niemieckiego i ożywiła tendencje zjednoczeniowe. Jedni myśleli o wskrzeszaniu cesarstwa wokół Habsburgów, inni wszakże - wokół rosnących w siłę Prus. Frankfurcki parlament obwołał w 1849 r. króla Prus cesarzem Niemiec (ale mniejszych, północnych, bez Austrii). Sprzeciw Bawarii i Wirtembergii pokrzyżował wszakże pruskie plany.

Wojna prusko-austriacka 1866 roku otworzyła na oścież wrota do hegemonii Prus. Związek Niemiecki przestał istnieć, a Prusy uzyskały wolną rękę w budowaniu „ściślejszej federacji” na północ od Menu. Po zdobyczach terytorialnych wojny Prusy stanowiły 80 proc. populacji i terytorium tego obszaru. Ich dominacja była bezapelacyjna. Kierując się właściwym sobie instynktem samoograniczenia, Bismarck podążył łagodnym kursem (nie chciał zwłaszcza, aby dominację Prus wiązano z obawą przed ograniczaniem praw katolików, bardzo silną na południu Niemiec). W 1867 r. powołano więc efemeryczny Związek Północnoniemiecki o charakterze nominalnie konfederacyjnym (obejmujący 22 podmioty państwowe). Przetrwał Związek zaledwie cztery lata. Wprowadzono w nim (pod dyktando Prus) jednolity kodeks karny, powszechny system wyborczy, wspólny system miar i wag, wspólny system pocztowy, system paszportowy, ustanowiono swobodę przemieszczenia się na jego obszarze. Ustawy przegłosowywał Reichstag, i choć Bundesrat dawał teoretycznie mniejszym podmiotom możliwość blokowania pruskiej większości w Reichstagu (Prusy dysponowały w Bundesracie tylko 17 spośród 43 głosów), siła perswazji Prus była niepodważalna. Pełnia władzy wykonawczej znajdowała się w rękach pruskich (prezydenturę Związku powierzono na prawach dziedziczenia dynastii Hohenzollernów). A południowe Niemcy zostały pośrednio inkorporowane w system hegemonii pruskiej poprzez utworzoną w 1867 r. unię celną.

Zwycięstwo Prus w wojnie z Francją w 1870 r. przyspieszyło pełne zjednoczenie. Powołana w 1871 r. Rzesza przejęła konstytucję Związku Północnoniemieckiego (a nawet jego oficjalną flagę). I w tym zatem (pruskim) przypadku układ hegemoniczny okazał się układem przejściowym.

Po I wojnie światowej otworzyła się przestrzeń dla praktykowania polityki hegemonistycznej przez Francję. Nowe i krzepnące w powersalskich realiach państwa, jak choćby Polska, Czechosłowacja, Jugosławia czy Rumunia były w pierwszych powojennych dekadach całkiem otwarte na przywództwo (i gwarancje bezpieczeństwa) Francji. Francja bynajmniej opcję hegemonistyczną odrzuciła. Próbowła co prawda dwustronnymi układami wesprzeć Małą Ententę, forsować ideę Paktu Wschodniego, ale całkiem anemicznie. Z pełnym fatalizmem zaniechaniem pozwoliła na pochód rewanżyzmu niemieckiego.

Niekwestionowanym hegemonem na Zachodzie okazały się po II wojnie światowej Stany Zjednoczone. Roztoczyły nad wolną Europą parasol bezpieczeństwa, stały się jej lokomotywą gospodarczą (Plan Marshalla), a nawet hegemonem kulturowym (wpływ amerykańskiej kultury masowej na Europę).

Hegemonię amerykańską Europejczycy zaakceptowali bezdyskusyjnie (ze strachu przed ZSRR). Jej gorliwymi zwolennikami stały się Niemcy Adenauera. Wierzono wtedy w Bonn, że tylko amerykańska hegemonia daje szansę na zjednoczenie Niemiec. Adenauer angażował się w projekty europejskie (Wspólnota Węgla i Stali, plan Plevena i inne), ale dbał o to, by nie nabierały one antyamerykańskiego ostrza.

De Gaulle postawił co prawda na upodmiotowienie Europy względem Stanów Zjednoczonych. Stał się dla amerykańskiego hegemonu trudnym czasami partnerem (eksmisja Kwatery Głównej NATO do Brukseli w 1967 r., wyjście ze struktur wojskowych NATO w 1966 r., niezależna polityka atomowa i in.). Bywały dla hegemonii amerykańskiej trudne chwile (odmowa Europejczyków

wsparcia USA w wojnie wietnamskiej, presja opinii publicznej w Europie w pierwszej połowie lat 80-ych przeciw rozmieszczaniu amerykańskich rakiet średniego zasięgu, sprzeciw Francji i Niemiec wobec amerykańskiej inwazji Iraku w 2003 r., wywołujące antyamerykańskie sentymenty antyunijne (tyrady Trumpa), ale amerykańskie przywództwo (przynajmniej w sprawach bezpieczeństwa) pozostaje niekwestionowane.

Porządek międzynarodowy epoki zimnowojennej opierał się na układzie dwubiegunowym, holistycznym i totalnym podziale świata (a przede wszystkim Europy) na dwie strefy wpływów: amerykańską i sowiecką. Hegemonia amerykańska różniła się oczywiście zasadniczo od dominacji sowieckiej, nawet jeśli w skutkach, tj. pod względem ograniczonego pola manewru państw w strefie wpływów, mogły zachodzić parantele. Zwłaszcza jeśli chodzi o swobodę poglądów reprezentowanych na forach międzynarodowych w sprawach polityczno-wojskowych. Wiadomo, że mówiło się wtedy blokowym, zdyscyplinowanym głosem.

*

W latach 70-ych i 80-ych ubiegłego wieku prowadzone były we Wiedniu rokowania o redukcji sił konwencjonalnych w Europie Środkowej. Nie doprowadziły one do żadnego porozumienia, a przez wiele lat praktykowano na ich forum pozorowaną działalność negocjacyjną. Jednym z jej rytuałów były tzw. nieformalne konsultacje w wąskim gronie, w których uczestniczyły po trzy delegacje z Układu Warszawskiego i NATO. Opowiadałem kiedyś, już w latach dziewięćdziesiątych, znajomemu dyplomacie z małego (stosunkowo) państwa zachodniego, że wszystkie przemówienia wygłaszane na tych konsultacjach przez państwa Układu Warszawskiego były pisane przez Sowieców. Przywilejem Polski było to, że mogła sobie wybierać spośród pakietu przygotowanych przez delegację ZSRR przemówień (pozostali sojusznicy wygłaszali to, co zostało do wygłoszenia). Nie wiem, czy kiedykolwiek odważyła się nasza delegacja wystąpić z własnym tekstem bądź istotnie poprawić projekt sowiecki. Znajomy odrzekł: „Słuchaj, myśmy też nie mówili własnym tekstem. Pisali nam przemówienia Amerykanie. Ale to myśmy ich o to prosili. Oni nigdy nie nalegali. Wolność to uświadomiona konieczność”.

*

Jeśli hegemonia dyplomatyczna ma przejawiać się w narzucaniu innym pisanych przez hegemonia przemówień, to w swojej karierze co najmniej kilkakrotnie spotkałem się z takimi hegemonistycznym zapędami ze strony organizacji międzynarodowych. W 2000 r. zostałem poproszony o pomoc w obsłudze polskiego udziału w Szczycie Milenijnym ONZ w Nowym Jorku. Wydarzenie miało mieć isticie historyczny wymiar. A Polska miała odgrywać dość prominentną rolę. Ściągnięto mnie w związku z obsługą Szczytu na trzy tygodnie z Nairobi do Nowego Jorku. Polski prezydent został wtedy przewodniczącym (drogą losowania) jednego z czterech okrągłych stołów, w ramach których prowadzono dyskusję na Szczycie Milenijnym po sesji plenarnej.

Następnego dnia po okrągłym stole miał nasz prezydent przedstawić stosowny raport. Przygotowałem projekt sprawozdania Prezydenta Kwaśniewskiego samodzielnie i dość szybko po zakończeniu obrad. Nie zdążyliśmy się wieczorem jeszcze rozejść z polskiej misji przy ONZ, kiedy z własną wersją raportu zgłosił się dyskretnie Sekretariat ONZ (żeby nam pomóc oczywiście). Koledzy z MSZ uznali, że mój tekst był jednak lepszy (wiadomo, koledzy), ale postanowiliśmy, że rozstrzygnąć powinno bezpośrednio otoczenie Prezydenta. I otoczenie Prezydenta (doceniając w pełni gest Sekretariatu) opowiedziało się stanowczo za tym, by Prezydent wygłosił tekst przygotowany przeze mnie. Był to jakiś powód do osobistej satysfakcji w niełatwych wtedy dla mnie czasach. Dzięki temu mogłem poczuć przyjemność wysłuchania na sesji końcowej Szczytu Milenijnego ONZ pisanego moją ręką podsumowania, w tym i tych paru zdań, które wychodziły poza materiał dostarczony wypowiedziami ponad 30 szefów państw i rządów, którzy w okrągłym stole pod polskim przewodnictwem uczestniczyli (sorry, nobody is perfect: nie mogłem sobie

pozwolić na przepuszczenie takiej okazji). Bo i Sekretariat w swoim projekcie miał kilka własnych autorskich myśli i chciał je niewątpliwie przy okazji przemycić. Taki to już przywilej nawet najbardziej profesjonalnych sprawozdawców.

Inna anegdota wiąże się z moim przewodnictwem delegacji Rady Europy na spotkanie z delegacją OBWE wiosną 2005 r., na którym miano negocjować tekst deklaracji o współpracy między oboma organizacjami. Reprezentowałem (z upoważnienia ministra SZ RP) wtedy polskie przewodnictwo w Komitecie Ministrów RE (deklarację miał aprobować właśnie Komitet Ministrów). Okazało się w przeddzień, że Sekretariat RE (w trosce o nasz komfort psychiczny) przygotował mi tekst do ogłoszenia (i to na każdą możliwą okoliczność). Wprawiło ich w skrajne niezadowolenie to, że z ich tekstu nie skorzystałem. Być może dlatego udało nam się sprawnie z dyplomatą słoweńskim reprezentującym przewodnictwo OBWE tekst deklaracji uzgodnić. A ministrowie Rotfeld i Rupel podpisali wspólne oświadczenie na marginesie szczytu Rady Europy w Warszawie w maju 2005 r.

*

Zjednoczenie Niemiec na początku lat 90-ych przeobraziło relacje potęgi wewnątrz samej Europy. Pod względem gospodarczym (a nawet i demograficznym) Niemcy przerosły wszystkich (z Francją włącznie). Francuzi uznali, że najlepszym sposobem będzie wpisanie niemieckiej potęgi w system ograniczeń wynikających z integracji europejskiej. Powszechnym jest przekonanie, że zgodę na zjednoczenie połączyły z przystaniem Niemiec na wspólną europejską walutę (i niesienie ciężaru jej stabilności).

Siła polityczna Niemiec rosła w Europie z każdym dniem. Sam przekonałem się o tym dość wcześnie. W 1992 r. byłem jednym z koordynatorów negocjacji (czyli mediatorów odpowiedzialnych za osiągnięcie porozumienia) nad dokumentem końcowym szczytu KBWE w Helsinkach. Negocjacje szły ciężko i opornie. Totalna kakofonia i brak jakichkolwiek uzgodnień. Po kilkunastu dniach syzyfowych prac postanowiłem wykonać akt mediacyjnej desperacji.

Zaprosiłem którejś soboty na prywatne negocjacje (do apartamentu w helsińskim hotelu Marina, gdzie urzędowałem) dyplomatę z delegacji USA i dyplomatę niemieckiego. Postawiłem na stole trzy czwarte litra zmrożonej „Wyborowej” (na dobry początek). Zagroziłem, że będziemy negocjować do chwili, kiedy osiągniemy kompromis albo opróżnimy „zapasy paliwa”, a były one przepastne („whichever comes first”). Po kilku godzinach intensywnej pracy uzgodniliśmy tekst całego rozdziału dokumentu końcowego. To, że nazajutrz (po trudnej retrospekcji wydarzeń dnia poprzedniego) nikt z nas nie wyparł się współautorstwa tekstu, było niewątpliwie dobrym znakiem.

Nie zdziwiło mnie zbytnio, że dyplomata amerykański zdołał przekonać do uzgodnień swoje szefostwo zarówno na miejscu, jak i w Waszyngtonie. Ale to, że dyplomata niemiecki przekonał całą Wspólnotę Europejską (wtedy jeszcze nie tak liczną, bo składającą się z 12 członków), wszystkie jej stolice (w tym Paryż i Londyn) i Brukselę, było dla mnie poważnym zaskoczeniem.

Dalej było już z górki (Rosja w Helsinkach była w stanie tak totalnego szoku po rozpadzie ZSRR, że nie czyniła trudności). Niektóre z przyjętych wówczas rozwiązań spisanych przez naszą trójkę obowiązują w OBWE do dziś.

Nie byłem wtedy zadowolony tylko z jednego, a mianowicie, że rosnąca z każdą chwilą nasza wzajemna zdolność do kompromisu, spowodowała, że odpuściłem sprawę powołania do życia instytucji Sekretarza Generalnego. Niedopatrzenie naprawiono szczęśliwie już po kilku miesiącach i w grudniu 1992 r. KBWE miała także Sekretarza Generalnego (Niemca, oczywiście).

*

Na hegemonia wyrosła w swoim bezpośrednim otoczeniu Unia Europejska. Dla wielu państw sąsiedztwa stanowi ona biegun ciężenia polityczno-gospodarczego. Warunkiem wszakże zbliżenia

jest harmonizacja zasad zarządzania gospodarką i państwem z normami obowiązującymi w ramach Unii Europejskiej. Państwa, które wstąpiły na ścieżkę starań o członkostwo w Unii Europejskiej, państwa, które podpisały umowę stowarzyszeniową z Unią Europejską, a nawet kraje sąsiedztwa, które politycznie zadowolają się formułą partnerstwa (wzmocnioną), zobowiązują się do wdrażania w swoim ustawodawstwie i praktyce dyrektyw i regulacji unijnych w rozmaitych dziedzinach życia gospodarczego, transporcie, energetyce, ochronie środowiska, ochronie konsumentów, jakości produktów, itp., itd. Zobowiązują się dostosowywać do unijnych standardów praworządność, ochronę praw obywatelskich i in. Unia ocenia nawet stopień kompatybilności ich polityki zagranicznej z linią wspólnej polityki zagranicznej Unii. Mają one możliwość przyłączania się do wspólnych stanowisk unijnych, ale tylko na zasadzie „take it or leave it”. Zmian wprowadzać do przedstawianych im tekstów nie mogą.

W czasach, kiedy o członkostwo w Unii zabiegała Polska, budziło to nieskrywany dysonans w polskim MSZ. Z jednej strony, przyłączanie się do wspólnego stanowiska Unii było nakazem strategicznym, z drugiej jednak strony Polska była zbyt dużym państwem, aby w niektórych sprawach musiała przyłączać się do stanowiska unijnego, nie mogąc nawet przesunąć w nim przecinka. I nie raz, nie dwa grzecznie odmawiała przyłączenia się do oświadczenia unijnego. Choć czasem podtekst był wyraźnie polityczny. W 2001 r. podczas negocjacji przygotowujących specjalną sesję Zgromadzenia Ogólnego ONZ ws. siedlisk ludzkich (Habitat), które miało odbyć się lipcu tamtego roku, szwedzka prezydencja w Radzie złożyła nam propozycję przyłączenia się do stanowiska unijnego w sprawach rodziny. Otrzymaliśmy w Nairobi stanowczą instrukcję negatywną. Polska miała natomiast przyłączyć się do konkurencyjnego stanowiska sponsorowanego m.in. przez Iran, Arabię Saudyjską, KRLD, Kubę, Wenezuelę, krótko mówiąc państwa, z którymi (w przeciwieństwie do UE) politycznie raczej było nam nie po drodze. Interweniowałem w naszej centrali. Otrzymałem sygnał od samego ówczesnego ministra, że w tych sprawach linię polityczną nie ustala MSZ, lecz Kancelaria Premiera. Był to jeden z trzech przypadków w całej mojej karierze, kiedy wykonałem instrukcję, z którą głęboko się nie zgadzałem (choć zrobiłem wszystko, co mogłem, aby ją zmienić). Państwa, jak Iran, KRLD czy Kuba, zresztą i w ostatnich czasach (w l. 2015-2023) stały się bliskie poglądom polskiego rządu w sprawach społecznych (np. roli kobiet, LGBT i in.).

W państwach kandydackich i stowarzyszonych niektóre z zabiegów harmonizacyjnych przyjmowane są z ciężkim sercem i po dziś dzień. Mołdawia z bólem zrezygnowała z możliwości nazywania swojego winiaku koniakiem (choć nowy brend „divin” przyjął się także na rynku rosyjskim). Nawet i dziś jeden z przywódców państwa wchodzącego w Partnerstwo Wschodnie, nazywa strategię negocjacyjną Unii w pracach nad umową o partnerstwie dyktatem. Inni politycy (w kraju stowarzyszonym) mówią, że dyrektywy unijne na miejscowym gruncie nie prowadzą do rozwoju. Urzędników unijnych takie oświadczenia bynajmniej nie peszą. W swoim sąsiedztwie, zwłaszcza na Bałkanach, Unia nie jest gotowa pójść na jakikolwiek neutralny reżim partnerstwa.

Partnerstwo z Unią może być budowane wyłącznie na gruncie akceptacji unijnych norm i standardów. Jest to niewątpliwie hegemonizm w oświeconej postaci. Bo narzucany nie jest. Unia nikogo nie zmusza do negocjowania umowy stowarzyszeniowej (nie chciał Azerbejdżan, to jej nie negocjował; Armenia się z niej wycofała na mniej ambitne pozycje i Unia to zaakceptowała), nie zmusza do ubiegania się o członkostwo (a wręcz ostatnio studzi członkowskie aspiracje). Ale jeśli już państwa chcą zbliżyć się do Unii, to muszą czynić to na jej warunkach.

Ta rola Unii Europejskiej w wyznaczaniu już nie tylko regionalnych, ale wręcz globalnych standardów, zainspirowała badaczy stosunków międzynarodowych do zbudowania nowego pojęcia: mocarstwa regulacyjnego. Uszlachetnia niewątpliwie to misję Unii Europejskiej w świecie, ale nie przekłada się dotąd bynajmniej na wzrost jej roli politycznej. A wymiar polityczny jest w hegemonii najistotniejszy.

7. Doktryny strefy wpływów

Potęga ma bardzo wyraźną terytorialną konotację. Silne państwa w naturalnym odruchu znaczą politycznie teren swoich wpływów, traktują go jako strefę swych specjalnych praw, zazdrośnie strzegą go przed inkursją rywali. Pierwotnie mogło w tych działaniach chodzić o tworzenie stref buforowych, dających dodatkowe poczucie bezpieczeństwa (w nowoczesnym wydaniu – o limitrofizację sąsiadów), później być może o ekonomizację wysiłku mocarstwowego, możliwość łatwego dyskutowania przywileju potęgi.

Klasyczną doktryną odwołującą się w czasach nowożytnych do koncepcji stref wpływów była doktryna Monroe. Prezydent USA sformułował ją w 1823 r. Stanowiła ona, że USA nie dopuszczą jakiegokolwiek ingerencji w sprawy byłych kolonii europejskich (portugalskich i hiszpańskich) w Ameryce (w tym zwłaszcza nie pozwolą na pozbawienie ich świeżo wywalczonej niepodległości). Stany Zjednoczone zaś deklarowały brak jakichkolwiek zamiarów ingerowania w sprawy istniejących jeszcze kolonii europejskich w Ameryce i poza nią. Stary Świat miał pozostać sferą wpływów mocarstw europejskich, lecz Nowy Świat miał przyjąć hegemonię USA.

Doktryna cieszyła się otwartym poparciem Wielkiej Brytanii, która chciała nawet uczynić ją stanowiskiem wspólnym (co nie spotkało się ze zrozumieniem Amerykanów), a aż po koniec XIX wieku swoją dominacją na morzach zapewniała respektowanie doktryny przez europejskie mocarstwa kolonialne, albowiem militarna wówczas słabość Ameryki zachęcała Europejczyków do ignorowania przez długie lata deklaracji Monroe. Nic dziwnego, że kiedy Brytyjczycy potwierdzili zwierzchność nad Falklandami (w 1833 r.), czy (do 1850 r.) blokowali Argentynę, Amerykanie nie protestowali. Zostali wszakże Brytyjczycy przez USA ostrzeżeni, aby nie zakłócili przejmowania przez USA kontroli nad Hawajami.

Od czasu prezydenta Polka (i jego deklaracji z 1842 r.) doktryna Monroe nabierała imperialistycznej interpretacji i wzbraniała Europejczykom przeszkadzać Stanom Zjednoczonym w ekspansji na półkuli zachodniej. Wojna secesyjna wszakże osłabiła możliwości USA w odpychaniu europejskich wpływów. Napoleon III interweniował w Meksyku (osadzając na tronie Maksymiliana habsburskiego), Hiszpania w Dominikanie, a Wlk. Brytania w Belize. Kryzys wenezuelski (spór graniczny z Wlk. Brytanią ciągnący się od 1841 r.) był prawdziwym testem dla wiarygodności doktryny. Kiedy Prezydent Cleveland powołał się w 1895 r. wobec Brytyjczyków w kontekście sporu wenezuelsko-brytyjskiego na doktrynę Monroe, Brytyjczycy początkowo udali, że nie wiedzieli, o co chodzi. Ale amerykańskiej presji na arbitraż ulegli. Spór, jak wiadomo ciągnie się do dziś i za sprawą Maduro odżył już wobec Gujany w 2023 r..

Mimo sprzeciwów Palmerstona (i wcześniej Bismarcka), hegemonia USA w Ameryce Środkowej i Południowej została utrwalona. Po wypchnięciu Hiszpanii z Kuby (1898 r.) i amerykańskiej interwencji w Wenezueli (1903 r.) doktryna oznaczała już, że USA mogą dowolnie interweniować w sprawy wewnętrzne państw regionu, prowadzić mediację i generalnie zarządzać kontynentem. I interweniowały, i zarządzały.

Po reinterpretacji (rozszerzającej) doktryny przez Theodora Roosevelta mogły Stany Zjednoczone interweniować w przypadku każdego chaosu wewnętrznego i niesprawności państwa w regionie. A kiedy Niemcy w czasie I wojny światowej ośmieliły się obiecać Meksykowi Teksas i inne południowe stany w zamian za przystąpienie do wojny po stronie Niemiec (telegram Zimmermana), stanowiło to dla USA bezdyskusyjny casus belli. Telegram Zimmermana wykorzystano dla uzasadnienia wejścia USA do wojny.

Po II wojnie światowej wyzwaniem dla wiarygodności doktryny była rewolucja kubańska i rozciąganie na zachodnią półkulę sowieckich wpływów. Amerykańska hiperestezja na obce intrygi sięgnęła zenitu. Może dlatego z takim neurotycznym pośpiechem zaprowadzali Amerykanie porządek w Granadzie (1983 r.), interweniowali w Panamie (1989 r.), czy wspierali przewrót Pinocheta (1973 r.).

Amerykańska hegemonia uwierała z czasem nawet najbardziej lojalnych wobec Ameryki sojuszników i to całkiem współcześnie. Lewicowe rządy w Chile (prezydenta Lagos czy prezydent Bachelet), czy w Brazylii (prezydenta Luli czy prezydent Rousseff), już w naszym milenium nie kryły swojej awersji i niedwuznacznie dawały do zrozumienia, że patrymonialne podejście Ameryki do spraw kontynentu jest nie do zaakceptowania.

Sekretarz Stanu John Kerry ogłosił w 2013 r., iż doktryna Monroe przestała obowiązywać. Ale już wkrótce powstały obawy, że chce ją galwanizować ekipa Trumpa, kiedy wzmogła nacisk na doprowadzenie do upadku reżimu Maduro w Wenezueli.

Próbowała realizować doktrynę strefy interesów postsowiecka Rosja. Jej wyrazem tuż po rozpadzie ZSRR stała się koncepcja „bliskiej zagranicy”. Już za ministrowania Andreja Kozyriewa na początku lat dziewięćdziesiątych pojawiły się w Rosji silne głosy, aby wzorem doktryny Monroe Rosja ogłosiła całą przestrzeń postsowiecką sferą jej żywotnych interesów. Na spotkaniu ministerialnym OBWE w Sztokholmie w grudniu 1992 r. Kozyriew wygłosił swoje słynne przemówienie, w którym oznajmił, że wszystkie były republiki sowieckie to obszar postimperialny, do którego Rosja ma szczególne prawa, i na którym nie mogą obowiązywać wszystkie normy OBWE. Wywołało ono niespotykany w praktyce dyplomatycznej szok wśród uczestników spotkania. Siedziałem wtedy na sali w ostatnim rządzie za ministrem Skubiszewskim. Dostałem pisemny tekst przemówienia Kozyriewa nim skończył nawet mówić. Postanowiłem nie zwlekając przedrzeć się do ministra i przekazać mu tekst. Minister Skubiszewski zachował zimną krew. Polemika okazała się zbyt cicha. Kozyriew po kilku minutach ponownie poprosił o głos i oznajmił, że jego wystąpienie było jedynie wybiegiem retorycznym. Miało uświadomić, jak może wyglądać polityka rosyjska, jeśli sprawy w Rosji pójdą w złym kierunku. Kilku zachodnich ministrów skrytykowało Kozyriewa za instygowanie niepokoju. Przedstawiona wizja nie była wszakże fantazmatem. Z perspektywy dzisiejszej linii politycznej Rosji, okazał się być głos Kozyriewa głosem proroczym.

Jewgienij Primakow, który zawiadywał rosyjską dyplomacją w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych, uczynił doktrynę „bliskiej zagranicy” elementem odbudowy mocarstwowego statusu Rosji w sprawach światowych. Kluczem do tego miało być ustanowienie Rosji jako centrum przestrzeni postsowieckiej. To za jego czasu pojawiła się teza, że nie można być biegunem w układzie globalnym nie posiadając własnej strefy wpływów. Na jej podstawie buduje się dziś tezy, że Rosja nie może istnieć bez wrogów, a jej strategiczną misją jest bycie wyniosłą twierdzą w niespokojnym świecie, opierającą się dyktatowi USA.

Próbowała Rosja uczynić wehikułem swojej polityki strefy wpływów Wspólnotę Państw Niepodległych. Okazała się wszakże Wspólnota niezdolną do działania wydmuszką. Podejmowano się konsolidować strefę wpływów projektami w sferze bezpieczeństwa, jak choćby Organizacją Traktatu o Zbiorowym Bezpieczeństwie. Inicjowano pseudoorganiczne formy integracji w postaci Eurazjatyckiej Wspólnoty Gospodarczej (dziś Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej). Ale ściślejsza integracja, która mogłaby przewidywać chociażby wprowadzenie wspólnej waluty (rubla) na razie nie wychodzi. Nawet najbardziej skłonne podążać za rosyjskimi inicjatywami państwa, jak Białoruś czy Kazachstan, nie były na to gotowe.

Rewolucje w Gruzji (róźana) w 2003 r. i na Ukrainie (pomarańczowa) w 2004 r. uświadomiły elitom politycznym Rosji, że koncepcja wyłącznych wpływów, pojmowana tradycyjnie w

kategoriach geopolitycznych, nie daje oczekiwanych rezultatów. Postanowiono dopełnić ją wysoce zideologizowaną doktryną „ruskiego miru”, o czym w innym miejscu.

Zachód jako całość przystać na rozgraniczenie szerokiej Europy na strefy wpływów i legitymizację rosyjskich roszczeń nie chce, i całkiem słusznie. Odrzucił ideę nowej Jałty, która oddawałaby postsowiecką przestrzeń w pacht Rosji. Ale są na Zachodzie (i w Polsce także) politycy, którzy pod rosyjską muzykę nie od wczoraj tańczą.

Rosyjska agresja na Ukrainę w 2022 r. powinna była ostatecznie uświadomić Zachodowi, że Rosji nie powstrzyma nic w zapobieżeniu przeciągania Ukrainy (i innych państw postsowieckich) w orbitę geostrategicznych wpływów Zachodu. Rosja dała jednoznacznie do zrozumienia, że jeśli Zachód chce odprężenia w stosunkach z Rosją, jeśli chce uniknąć stałej groźby eskalacji napięć, doprowadzić do względnej normalizacji stosunków, musi zaakceptować rosyjskie prawa do traktowania Ukrainy (Białorusi, Mołdowy, Gruzji, etc.) jako sfery rosyjskich wpływów. W przedstawionych pod koniec 2021 r. Amerykanom traktatach o bezpieczeństwie Rosja jednoznacznie zalegitymizowania swojej strefy wpływów się domagała. I tylko militarne zatrzymanie Rosji w Ukrainie mogło uniemożliwić realizację putinowskich planów politycznych.

Za rządów Putina (i myślącej jak on imperialnej elity), Ukraina spokoju od Rosji nie zazna nigdy. To już oczywiste. Chciał on ją początkowo z powrotem zakotwiczyć w Rosji (wywołując implozję wewnętrzną i osadzając tam marionetkę prorosyjską). Ale kiedy uznał, że może jednak Rosja ją stracić, był gotów na Ukrainy podział (biorąc sobie „Noworosję”, „Słobodzką” Ukrainę i in.), zostawiając przy Zachodzie galicyjsko-wołyńsko-polesko-bukowińsko-zakarpaccy kadłub. Mówił o tym Tuskiowi w 2008 r. Potrzebował tylko pretekstu. Dylemat Putina wobec Ukrainy przypominał katorgę wyboru Katarzyny II wobec Rzeczypospolitej. Chciała przygarnąć ją pod swoje skrzydła całą (i posadowiła tam na tronie nawet swojego byłego kochanka). Ale Polacy wizji rosyjskiego panowania nie chcieli zaakceptować, podobnie jak pruscy sąsiedzi. Bała się też Katarzyna katolickiego dyssydenzmu. Więc zaproponowała rozbiory jako plan B.

W 2022 r. poszedł Putin na wariant siłowy realizacji swoich ukraińskich scenariuszy.

Błędem wielu polityków, którzy w onirycznym stuporze wierzyli w możliwość resetu stosunków z Rosją i mizdrzyli się do Putina, była wiara, że można było odbudować relacje z Rosją za Putina bez nowej Jałty i legitymizacji rosyjskiej sfery wpływów.

Rosyjska napaść na Ukrainę w lutym 2022 r. była wydarzeniem, które w skutkach mogło okazać się bardzo brzemienne dla całego systemu stosunków międzynarodowych, nie tylko w Europie. To wojna zrodzona w chorym umyśle, opanowanym przez poglądy i wyobrażenia sprzed co najmniej stulecia, próbującym cofnąć świat do epoki polityk imperialnych, hegemonistycznych, dominacyjnych, hołdującym metodom Machtpolitik i innych wydań polityki z pozycji siły, dążącym do podziału Europy na strefy wpływów. Pisałem o tych paradygmatach siłowej polityki z przekonaniem, że są one częścią świata minionego, czasami, wręcz wstydliwą kartą w historii naszej cywilizacji. I nadal tak uważam. Stawka w wojnie rosyjsko-ukraińskiej jest istotnie wysoka, nie tylko dla przyszłości państwa i narodu ukraińskiego. Zachowanie Zachodu wobec rosyjskiej agresji może przesądzić, czy ideały nowoczesnej cywilizacji potrafią zatriumfować nad miazmatami siły i jaskiniowymi odruchami w polityce międzynarodowej. Dlatego musi on bronić Ukrainy do końca, nie oglądając się na cenę.

Potęga w klasycznym rozumieniu mogła wytwarzać naturalne oddziaływania grawitacyjne. Budowanie na nich koncepcji stref wpływów jest wszakże totalnym anachronizmem.

8. Sinocentryzm

Od momentu rosyjskiej napaści na Ukrainę w lutym 2022 r. wielu komentatorów zadawało sobie pytanie, jak konflikt ten wpłynie na przyszłość rywalizacji globalnej, a zwłaszcza, czy Chiny nie pokuszą się wykorzystać zaabsorbowanie USA Rosją i czy nie spróbują rozwiązać siłowo problemu Tajwanu? Że Chiny wsparły Putina, nie mogło zaskakiwać. Ale niepowodzenia rosyjskiej armii przytemperowały skalę wsparcia, zwłaszcza materiałowego. Wprawiała niewątpliwie Chiny w zakłopotanie ostrość reakcji Zachodu, w tym zwłaszcza USA. Skala sankcji, nawet jeśli nie wpłynęły one na postawę Rosji, musiała robić wrażenie w Pekinie. To z kolei wpłynęło na ich kalkulacje odnośnie do działań na kierunku tajwańskim. Że wykorzystają każdy nadarzający się moment do realizacji planów zjednoczeniowych, nie może ulegać wątpliwości. Ale potrafią jeszcze ocenić trzeźwo rachunek zysków i strat.

Ekscepcjonalizm, przekonanie o własnej wyjątkowości połączone z kompleksem wyższości, może prowadzić do etnocentrycznego hegemonizmu. Współczesny wzrost potęgi Chin sprokurował wiele spekulacji co do odradzania się chińskiego hegemonizmu, co najmniej o zasięgu regionalnym.

W istocie, chińska tożsamość jest ukształtowana na przekonaniu o własnej wyjątkowości. Ekscepcjonalizm sam w sobie nie jest czymś rzadkim. Wiele nacji buduje swoją tożsamość na odmienności. Wyjątkowość głoszą Stany Zjednoczone, głosi Rosja, głosi Wielka Brytania. Wyjątkowość USA wywodzą z zdolności do wytapiania wspólnoty z różnorodności. Wyjątkowość Rosji opiera się na jej eurazjatyckości. A Wielkiej Brytanii - na jej globalnej historycznej roli. Każda nacja jest na swój sposób wyjątkowa.

Chińska wyjątkowość ma charakter kulturowy. Przez lata towarzyszyło jej przekonanie o wyższości cywilizacji chińskiej wobec otaczającego świata (a wobec sąsiadujących plemion w szczególności).

Chińska wizja świata doskonałego była wizją świata rządzonego zasadą harmonii. A harmonię zapewniało ułożenie świata w koncentryczne kręgi. Centrum owych kręgów wyznaczały Chiny. Stąd określenie Państwo Środka, centralna kraina (Zhongguo). Bo najdoskonalsze państwo musiało być centrum wszechświata. A posłannictwem tego państwa miało być rozprzestrzenianie zasad najlepiej zestrojonej spośród wszystkich cywilizacji na otaczający świat, promieniowanie harmonią.

Jeszcze w 1863 r., kiedy już zaawansowanie technologiczne Zachodu mogło wpędzać Chińczyków w kompleksy, cesarz Chin powoływał się na „upoważnienie z niebios do rządzenia wszechświatem”. Władza cesarska w Chinach wyrastała zresztą ponad czysto polityczny format. Stał się tam cesarz dość wcześnie figurą metafizyczną. Jako władca był imperatorem całej ludzkości, szczytem ziemskiej drabiny władzy. Jako syn niebios był pośrednikiem między niebiosami a ziemią. Źródłem ładu moralnego, etycznej kohezji.

Mur chiński nigdy nie był materialnym wykwitem myślenia izolacjonistycznego. Miał jedynie chronić przed zbójcekim napływem barbarzyńców. Tak jak Rzymian Mur Hadriana, czy też nadreński limes. Bo barbarzyńców zawsze wabiły dobrobyt, bogactwo i ład społeczny wyższych cywilizacji. Ale misją Chin było ściąganie obcych kulturowo w swoją orbitę siłą jej cywilizacji (a nie oręża), pomaganie im w przyjmowaniu zwierzchności Chin, w składaniu cywilizacyjnego homagium.

Wyższość Chin manifestowała się w przekonaniu, że od obcych nauczyć się nic nie mogą, wynalazki i osiągnięcia obcych nie dają Chinom żadnego pożytku. Początkowo i zachodnie wynalazki nie robiły na Chińczykach większego wrażenia. Wymiana cywilizacyjna w optyce chińskiej miała jednostronny, nieekwiwalentny charakter. To Chiny dawały, nie mając co brać w zamian. I bywały wobec świata momentami nadzwyczaj datne (proch, porcelana, itp.).

Chińczycy nie bali się obcych wpływów. Historia uczyła ich, że dzicy najeźdźcy, nawet jeśli przejmowali władzę (jak Mongołowie czy Mandżurowie), szybko się schińszczali. A cywilizacyjna zapaść miała chwilowy charakter. Wielu Chińczyków traktuje dzisiejszy gwałtowny progres gospodarczy jako zamknięcie rozdziału przejściowego kolapsu i jako powrót do tradycyjnej, przywódczej roli Chin w cywilizacyjnym rozwoju świata. Nie przypadkiem ich obecną politykę zagraniczną zaczęły ozdabiać hasła postulujące, aby świat „wykorzystał chińską mądrość” i wyszedł, kopiując chiński wzór, z „grzęzawiska recesji”, w jaką wpakował się w związku z pandemią COVID.

Rzadko w historii ekscepcjonalizm pchał Chiny ku imperialnym ekspedycjom. W VIII wieku próbowały Chiny interweniować w Indiach, w XIII wieku za dynastii Yuan bez powodzenia rzuciły się na podbój Japonii. Za dynastii Song (X-XIII w.) zbudowały Chiny potężną flotę, która puła fale mórza okalających Azję i Afrykę, lecz nie posłużyła bynajmniej do zakładania kolonii czy konkwisty. Admirał Zheng He dotarł w XV w. nawet do Cieśniny Ormuz, na róg Afryki, do Indii, na Jawę. Przywiózł z ekspedycji mnogość darów, ale kolonialnych przyczółków nie tworzył. Flotę jego spalono, wypraw zaniechano. I tyle było chińskiego ekspedycjonizmu. Po lądzie ekspansja szła naturalnie. Jej ofiarami z czasem stały się nawet Xinjiang („Nowe Kresy”) i Tybet.

A formalne polityczno-państwowe relacje władz Chin ze światem zewnętrznym miały charakter bilateralny oparty o zasady trybutarne. Od Korei po Wietnam i Syjam wszyscy władcy obcych królestw musieli przed Chinami pochylać głowę, przyklękać (i to na oba kolana). Nie znane było Chinom pojęcie suwerennej równości. Sinocentryczny porządek był zawsze hierarchiczny, hegemoniczny.

Za dynastii Han wprowadzono zasadę „luźnych cugli”, która nakazywała traktować partnerów elastycznie, na tyle łagodnie, na ile sami demonstrowali lojalność, przyciągać ich magnetyzmem kultury i ideologii, manipulować środkami gospodarczymi, ale, kiedy trzeba, naciskać politycznie i kontrolować militarnie. Coraz więcej dziś znaków, że wielowiekowe doświadczenia „polityki luźnych cugli” nie zostały zapomniane.

Od dynastii Qing powszechnie stosowano zasadę „kontrolowania barbarzyńców przy pomocy barbarzyńców”, czyli wykorzystywania jednych partnerów przeciwko drugim. Zajmował się tym dwór terytoriów zależnych.

Do końca XIX w. Chiny nie miały i nie widziały potrzeby posiadania ministerstwa spraw zagranicznych.

Wiek XIX i XX przyniosły głęboki rozdźwięk między mitem wyższości Chin a rzeczywistością, skonfrontowaną ze zdobyczami cywilizacji zachodniej. Ów hiatus nie przekreślił jednak nawyku sinocentrycznego postrzegania świata. Na Zachód zawsze patrzyły Chiny z wyższością, nawet upokorzone (wojny opiumowe, powstanie bokserów).

W komunistycznych czasach Chiny starały się pozycjonować jako jądro strefy pośredniej między frontem imperializmu i socjalizmu. Od zarania ChRL miały psychopolityczny opór przed zaakceptowaniem radzieckiego przywództwa w „rodzinie socjalistycznej”. Mao zresztą nie mógł zapomnieć Stalinowi konszachtów z Kuomintangiem w czasie II wojny światowej. Otwarty rozłam nastąpił w końcu lat pięćdziesiątych. Pretekstem było ogłoszenie przez KPZR doktryny pokojowego współistnienia i destalinizacja. Co prawda, jeszcze w 1958 r. ZSRR politycznie wsparł akcję wojskową Chin wobec Tajwanu. Zadeklarował, że jest gotów pójść nawet na wojnę nuklearną w obronie Chin (Chruszczow wszakże potem tłumaczył poufnie Amerykanom, że tak naprawdę stanowisko ZSRR było całkiem odmienne i nie ruszyłby on palcem, gdyby USA wstąpiły w konflikt z Chinami). Wkrótce za test solidności sowiecko-chińskiego sojuszu posłużyło sowieckie żądanie udostępnienia okrętom podwodnym ZSRR baz na wschodnim i południowym wybrzeżu Chin. Odrzucono je w Pekinie ze stanowczością. W chińsko-indyjskim starciu w 1962 r. ZSRR

opowiedział się już po stronie Indii. Zasada solidarności państw obozu socjalistycznego przestała obowiązywać w stosunku do Chin. A w 1969 r. doszło na wyspie Damanski (Zheng beo) do otwartego sowiecko-chińskiego starcia zbrojnego. Był ten konflikt nieskrywanym szokiem dla wielu obserwatorów międzynarodowych. A Amerykanów zachęcił do zainicjowania zbliżenia z Pekinem.

Chiny postanowiły pójść drogą własną, czyli jak to określano w Pekinie - drogą pośrednią, dystansując się zarówno od kapitalistycznych imperialistów, jak i hegemonistycznych rewizjonistów. W polityce międzynarodowej forsowały one ideę świata pośredniego i ostro zwalczały (werbalnie) hegemonizm.

Wizja świata pośredniego ewoluowała, przyjmując za sprawą Deng Xiaopinga w połowie lat siedemdziesiątych formę chińskiej wersji teorii trzech światów. Świat pierwszy stanowiły USA i ZSRR, świat drugi – ich sojusznicy w obozie kapitalizmu i socjalizmu, a świat trzeci – rozwijające się kraje Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej.

Chiny zaczęły aspirować do roli lidera tak pojmowanego „Trzeciego Świata”. Odrzucały hegemonię. Koncentrowały się na własnych geograficznych priorytetach. Najważniejszym stało się najbliższe otoczenie: Azja Wschodnia i Azja Południowo-Wschodnia. Obserwowały z uwagą, ale i nadzieją na uzysk, „walkę tygrysów w dolinie”, czyli konfrontację USA z ZSRR. Ale od lat siedemdziesiątych naprawiały relacje z USA, a w latach osiemdziesiątych także z ZSRR. W połowie lat osiemdziesiątych zwracali się już Chińczycy do Sowietów znowu per towarzysze, i nie wytykali im rewizjonizmu.

Upadek bloku komunistycznego był dla Chin wyzwaniem. Zbiegł się z początkiem wzrostu ich potęgi gospodarczej. Ku latom dziewięćdziesiątym w polityce zagranicznej dominował tam priorytet narodowego interesu oraz promowanie zasad nieinterwencji i suwerenności jako naczelných zasad polityki międzynarodowej.

Testament polityczny Deng Xiaopinga przyjęto kojarzyć z jego tzw. przesłaniami dwunastu i dwudziestu czterech znaków, które przez dekady były dla świata matrycą w analizie polityki chińskiej.

Opierał się ów testament na sześciu zasadach: obserwujcie chłodno i spokojnie, zabezpieczajcie pozycje, zdobywajcie zaufanie, ukrywajcie własne możliwości, czekajcie na swój czas, nie podnoście głowy żądając przywództwa. Przypominał, że wróg nadal czai się u bram, pozostaje silniejszy, więc przyjmować należy postawę obronną.

Testament znalazł swój wyraz w doktrynie „pokoju wzrostu”, która osiągnęła swoje apogeum w czasie pekińskiej olimpiady 2008 roku. Chiny zdobywały świat uśmiechem, łagodnością, sukcesem. W polityce międzynarodowej krzewiły ideę świata wielobiegunowego (jako antytezy Pax Americana, którą odrzucały jako naznaczoną hegemonią). Chciały być partnerem, na którym można polegać. Zalewały Trzeci Świat pomocą i inwestycjami, nie pytając o stan praw człowieka i demokracji. Skutecznie wypłukiwały wpływy Zachodu.

W latach 2002-2005 sprawowałem funkcję dyrektora departamentu planowania politycznego w MSZ RP. Przyjemną jej stroną była możliwość przeprowadzania tzw. konsultacji planistycznych z resortami spraw zagranicznych innych państw. Bo była to okazja do spotkania ciekawych dyplomatów o intelektualnych ambicjach i prowadzenia rozmowy o problemach na agendzie światowej czy regionalnej z innej, mniej biurokratycznej, perspektywy, porzucając gorset oficjalnych stanowisk. Konsultacje z partnerami chińskimi (i w Warszawie, i w Pekinie) wyróżniały się na tle innych spotkań. Każde zagadnienie mogliśmy rozpatrywać z wysokości niemal stratosferycznej, w optyce niemal historiozoficznej, i z użyciem tak ezopowej stylistyki, że nie sposób było nam wpadać w polemiczne narracje. A do tego chińscy partnerzy siadali do stołu z

grubą księgą zawierającą stanowiska odnośnie do wszystkich możliwych pytań i zagadnień. Jeśli podniesiony przeze mnie wątek nie znajdował odpowiedniej referencji w chińskim skrypcie wiedzy, nie był podejmowany. A wszystkiemu towarzyszyły uśmiechy i potakiwania. Tworzyło to nieodparte wrażenie, że konsultacje są przez Chińczyków traktowane jako część kampanii ocieplania wizerunku („charm offensive”) i nie warto było tracić zbytnio dużo czasu na egzegezę ich ezopowego (konfucjańsko-podobnego) języka. Ale sam fakt zainteresowania Chinami tak regularnymi i wszechobejmującymi konsultacjami z Polską dowartościowywał. Bo to było jednak w formule „jeden na jeden”, a nie „siedemnaście plus jeden”. Po 2006 r. nigdy zresztą polsko-chiński dialog planistyczny takiej intensywności nie osiągnął, a między rokiem 2016 a 2021 w ogóle żadnego dialogu planistycznego nie było.

Wehikułem chińskiej polityki zagranicznej stała się w nowym milenium koncepcja jednolitego pasa i nowego szlaku jedwabnego. Nic tak nie uświadamiało chińskiego widzenia świata, jak światowe lądowe i morskie marszruty zbiegające się w Chinach. „Pas i szlak” potwierdził nieuchronne odradzanie się sinocentryzmu (nawet jeśli początkowo w łagodnej postaci).

Ale coraz bardziej ujawniało się także bardziej janusowe oblicze mocarstwowych Chin. Polityka nabrała cech bardziej nacjonalistycznych. Rosnący potencjał militarny był jej ważnym instrumentem. Era Xi Jinpinga to próba tworzenia nowej koncepcji polityki chińskiej, odrzucenie Dengowego samoograniczenia, asertywność, ekspansjonizm także militarny. Chiny zaczęły rozpychać się na morzach w Azji Południowo-Wschodniej (budując infrastrukturę wojskową na archipelagu Spratly, etc), odgrzały terytorialny spór z Japonią o Senkaku/Diaoyu, zaogniły w 2020 r. spór graniczny z Indiami.

Złamanie autonomii Hongkongu ocenia się jako cezurę w polityce chińskiej. Chiny zaczęły zachowywać się jak hegemon (na razie regionalny) i rzuciły wyzwanie Zachodowi. Zupełnie jakby Testament Denga przestał już obowiązywać.

Chiny rozwinęły niepraktykowaną wcześniej ofensywę informacyjną. I uwikłały się w afery hackerskie i szpiegowskie. Kiedy trafiłem do Sekretariatu Rady Europy, dowiedziałem się, że najwięcej ataków hakerskich na serwery organizacji pochodziło z Chin, choć w Radzie Europy żadnych tajemnic i sekretów raczej się nie przechowuje (może przyczyną był fakt, że Sekretarz Generalny Rady Europy był jednocześnie przewodniczącym komitetu, który przyznał w 2010 r. Pokojową Nagrodę Nobla Liu Xiaobo). A epidemia COVID-19 ujawniła olbrzymi potencjał działań dezinformacyjnych Chin.

Jednocześnie Chiny, kiedy administracja Trumpa rozpętywała wojny i wojenki handlowe, wykreowały się na głównego obrońcę globalizacji. Co było godne pochwały, ale wiarygodność miało wątplą, bo tak naprawdę myślały Chiny o interesach chińskiego eksportu. Nawet jeśli rynek wewnętrzny jest tam traktowany obecnie jako priorytetowa lokomotywa wzrostu gospodarczego, to nadal funkcjonują tam całe branże, które żyją z eksportu.

Zachowanie Chin zyskało sobie znaną „wileczną dyplomację”. Jej znakiem jest agresywny ton polemiki z krytycznymi wobec Chin stanowiskami innych państw, a materialną istotą - szantażowanie partnerów ograniczaniem relacji (zwłaszcza handlowych), jeśli pozwalają sobie na krytykę Chin. Kiedy Unia Europejska wprowadziła w 2021 r. sankcje za łamanie praw człowieka w Xinjiangu, Chiny z grubej rury odpowiedziały sankcjami odwetowymi przeciw parlamentarzystom, instytucjom europejskim a nawet badaczom i analitykom. Dały jednoznaczny sygnał, że nikomu nie pozwolą sobie w kaszę dmuchać i są gotowe do konfrontacji z Zachodem.

Skutkiem polityki chińskiej było powstanie tzw. Quadu, czyli formatu współpracy USA, Japonii, Australii i Indii. Przyłączenie się doń Indii jest faktem znamienym, nawet jeśli zastrzegają one, że ich zainteresowanie dialogiem koncentruje się obecnie na walce epidemią i kwestiach

gospodarczych. Quad jest niewątpliwie próbą zbudowania regionalnej przeciwwagi dla polityki Chin.

Priorytetem chińskim pozostaje Tajwan. Siłowe zjednoczenie byłoby oznaką otwartego zakwestionowania roli USA w polityce światowej i regionalnej. Trudno wyobrazić sobie jego dalekosiężne skutki. Ale przyłączenie Tajwanu byłoby dla Xi Jinpinga koroną spuścizny jego rządów, które nie mają już żadnych ograniczeń kadencyjnych. Chce Xi Jinping, aby powrócił Tajwan do macierzy za jego życia. I z realizacji tego celu nie zrezygnuje. Może szukać forteli gospodarczych czy kulturowych, ale opcji militarnej *a limine* odrzucić mu nie sposób, mimo jej horrendalnych kosztów (także politycznych). Bo z czasem nawet najbardziej łagodne ambicje mogą stać się ślepą obsesją. A wtedy co? Kolejna wojna światowa?

Zachowanie Chin nie powinno dziwić - od lat Chiny kontestują dominację Zachodu w polityce światowej. Ale czyniły to dotąd chowając się za plecy innych. To Rosja wzięła na siebie ciężar kontestacji. Chiny pozostawały w cieniu. Rosja ma potencjał militarny stanowiący egzystencjalne zagrożenie dla USA i Zachodu. I prowadziła w ostatnich latach zaczepną politykę (obecnie - agresja na Ukrainę, a wcześniej inwazja na Gruzję, aneksja Krymu, okupacja Donbasu, interwencja w Syrii na ratunek Assadowi). Ale jest obiektywnie wyzwaniem mniejszym, bo zdana jest bardziej na Zachód (jako odbiorcę surowców i dostarczyciela technologii). Chiny mają – w odróżnieniu od Rosji - potencjał gospodarczy, by rzucić wyzwanie Zachodowi. Ich PKB w wymiarze absolutnym przekroczył poziom 70 proc. PKB USA, a liczony według siły nabywczej jest już najwyższy na świecie.

Polityka Zachodu wobec Chin okazała się mało trafna i mało skuteczna na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat. Można ją nazwać „polityką pięciu złudzeń” (idąc wzorem chińskich nawyków systematyzujących).

Pierwsze złudzenie polegało na tym, że wierzono na Zachodzie, iż Chiny wraz ze wzbogaceniem się wybiją się na demokrację. A tymczasem stworzyły jeden z najbardziej inwigilacyjnych i dyscyplinujących reżimów autorytarnych.

Złudzenie drugie wiązało się z tym, że Rosja zrozumie, iż jest rozgrywana przez Chiny i może być najwyżej Robinem przy boku chińskiego Batmana. I od Chin się zdystansuje. A Rosja cały czas trzymała się z Chinami blisko i traktowała Zachód jako swoje największe zagrożenie.

Złudzenie trzecie to wiara, że ignorując stan praw człowieka w Chinach (w rozwijaniu stosunków gospodarczych) da się jednocześnie rozwiązać problemy praw człowieka w Rosji czy na Kubie, i generalnie w świecie. W efekcie współpraca gospodarcza z Chinami rozwijała się bezproblemowo, żadne sankcje nie wchodziły w niej w grę. A stan praw człowieka w Chinach coraz bardziej obnażał dwoistość standardów polityki zachodniej. Jednocześnie sukcesy gospodarcze Chin zachęcały innych autokratów, by budować dobrobyt w oparciu o tzw. stabilność społeczno-polityczną, czyli bez demokracji.

Czwarte złudzenie polegało na tym, że wierzono, że da się uchronić świat przed konfrontacją (nową globalną zimną wojną) skupiając się na wspólnych zagrożeniach (ekologia). Dla Chin kwestie te wszakże (mimo składanych obecnie deklaracji) pozostają drugoplanowe. Nawet tak wydawałoby się przemawiające dziś do wyobraźni zagrożenie jak globalne pandemie, kiedy przychodzi co do czego, są przez Chiny rozgrywane pod kątem interesów stricte narodowych.

I wreszcie złudzenie piąte (bardzo europejskie), że Chiny są wyłącznie problemem amerykańskim – gospodarczo i strategicznie. Europa postanowiła jeszcze w latach dziewięćdziesiątych stanąć sobie z boku. Uznawano, także w Brukseli, że traktując Chiny jako zagrożenie, ulegniemy logice samospełniającej się przepowiedni. I wywołamy wilka z lasu: Chiny staną się zagrożeniem, bo nie pozostawiamy im innej opcji. Zachód obecnie, i duża w tym rola administracji Trumpa, uznał, że

Chiny są jednak zagrożeniem. Ekipa Bidena ocenę tę przejęła. Ale mobilizować Zachód na bardziej asertywną politykę wobec Chin nie jest łatwo.

W odróżnieniu bowiem od sytuacji z zimnej wojny, tym razem ani Rosja, ani Chiny nie mają zamiaru eksportować własnego modelu ustrojowego na Zachód. Chcą tylko pełnej legitymizacji własnego (zamordystycznego) modelu rządzenia. Zachód nie żyje więc w lęku, że któregoś dnia obudzi się pod czerwonym sztandarem. I Rosja, i Chiny nie mają nic przeciwko temu, aby Zachód zawsze mógł żyć po swojemu. Wręcz przeciwnie. Uważają, że zachodni liberalny model społeczeństwa rozłoży Zachód od wewnątrz i uczyni Zachód niezdolnym do aspirowania do jakiegokolwiek hegemonicznej roli. Wszystko, co Rosja i Chiny mówią, to: nie ingerujmy sobie w sprawy wewnętrzne. Żyj sobie, Zachodzie, jak chcesz, ale daj też żyć innym.

Zachód, a Europa w szczególności, wyniósł obecnie na sztandary hasło podejmowania gigantycznych ogólnocywilizacyjnych wyzwań. Wielkim problemem w tym myśleniu jest to, że nie da się rozwiązywać wyzwań współczesnego świata bez zdecydowanego wysiłku na rzecz realizacji idei świata jednolitego. A nie da się stworzyć jednolitego świata przy utrzymywaniu się chińskiego i rosyjskiego autorytaryzmu. A Rosja i Chiny cierpliwie czekają, aż Zachód sam się od wewnątrz rozłoży. Od zgnilizny rozpasanego liberalizmu.

Kiedy Niemcy i Francja wysunęły w 2019 r. inicjatywę sojuszu na rzecz multilateralizmu, Rosja odpowiedziała w styczniu 2020 r. koncepcją koncertu pięciu stałych członków Rady Bezpieczeństwa, popartą mocno przez Chiny. A koncert tzw. P5, to nic innego jak zakamuflowana wersja „pięciu hegemonów”. Jej zaakceptowanie oznaczałoby zgodę Zachodu, że nic bez Chin i Rosji w świecie zrobić się nie da.

Rosja po jej agresji na Ukrainę wypadła już z wszelkich rozmów o urządzaniu świata. Co zrobią Chiny? Co zrobi Zachód wobec Chin?

* * *

Interes narodowy nadal napędza politykę zagraniczną. Ale coraz częściej chce być interes przez jej autorów traktowany jako interes oświecony, interes wzajemny, interes wspólny, interes ogólny. Czysty utylitaryzm, a już zwłaszcza cyniczny egoizm, coraz trudniej się sprzedają, nawet w propagandzie wobec własnego społeczeństwa. Cóż z tego, skoro interes pozostaje interesem. Ale jego współczesne interpretacje, kwalifikatory go opatrujące to już jest jakaś miara postępu.

Zmienia się także sposób traktowania potęgi jako klucza do realizacji interesu. Przestaje być utożsamiana z gołą siłą. W obrocie, nie tylko naukowym i publicystycznym, pojawiły się pojęcia potęgi miękkiej, potęgi inteligentnej. Znow można by powiedzieć, że co z tego, skoro potęga to zawsze potęga. Ale wciskanie jej w doktryny Machtpolitik, polityki z pozycji siły potrafią zaprowadzić nawet mocarstwo nuklearne w ślepy zaułek. Vide przypadek putinowskiej Rosji. Moralne bankructwo polityki opartej na sile za sprawą Putina stało się równie oczywiste.

Nie więdną jednocześnie nadzieje, że potęga jest jedynym środkiem porządkowania anarchii międzynarodowej, dyscyplinowania niesfornych państw. Bo cóż miałyby być innego? Skoro jednak imperializm w historycznej postaci skompromitował się do szczytu, to może postawić tym razem na imperializm liberalny, imperializm łagodny, imperializm oświecony? Też jakiś to postęp. Ale przecież imperializm to zawsze imperializm.

Nie ulega wątpliwości, że wielkie mocarstwa mogą i powinny ponosić szczególną odpowiedzialność za stan świata. Ale bynajmniej nie da się jej realizować z pomocą metody stref wpływów, a nawet hegemonizmu. Odłóżmy więc stare doktryny ery postwestfalskiej raczej do lamusa?

Rozdział II.

Doktryny solidarystyczne

Natura ludzka wpływała i wpływa na politykę. We współzyciu międzyplemiennym od zarania dziejów patrzyliśmy na innych pod kątem podobieństw, wspólnych korzeni i cech tożsamościowych. Szukamy podobieństw. Im więcej ich odnajdujemy u innych, tym bardziej komfortowo się w ich towarzystwie czujemy. Czynniki więzi krwi, powinowactwa, pokrewieństwa, wspólnej religii, kultury, języka, a nawet rasy czy społecznej klasy powodowały, że na jedne plemiona spoglądaliśmy łaskawiej, na inne mniej. Czynniki te można traktować jako emocjonalny podtekst polityki. Z emocji tych wyrastało tłumienie egoistycznych odruchów. Na nich budowano skłonność do altruizmu, sprawiedliwości i współdziałania. Efektem było pojawienie się doktryn politycznych o zabarwieniu solidarystycznym, w których głównym motorem działania były zbiorowe emocje sympatii i współczucia.

Im bardziej racjonalizowała się polityka zagraniczna, im silniej zaznaczał się paradygmat interesów, im bezwzględniej obowiązywała doktryna racji stanu, tym wpływ solidarystycznych emocji był mniejszy. Ale nadal niekiedy się zaznacza. Na Zachodzie nikt w kręgach decyzyjnych nie patrzył co prawda na konflikt armeńsko-azerbejdżański przez pryzmat religijny, nikt w takich kategoriach nie chciał też widzieć wojny domowej w Bośni i Hercegowinie, czy konfliktu Kosowa z Serbią. Ale emocje tożsamościowe nadal torują sobie drogę w inicjatywach politycznych, tworzeniu platform i instytucji współpracy.

Czasem jednak, jak choćby solidaryzm klasowy w wydaniu internacjonalizmu proletariackiego, był ideologiczny sztafaż przykryciem dla rozgrywki bardzo geopolitycznej. Nie tylko w tym przypadku.

Zawsze dotąd czynnik interesu narodowego musiał brać górę nad sympatiami, poczuciem emocjonalnej więzi.

1. Solidaryzm religijny

W rozpętanej przez Putina wojnie przeciw Ukrainie nikt nie doszukiwał się podtekstów religijnych, chociaż mógł. Wydany w 2019 r. tomos wynoszący do autokefalii Ukraińską Cerkiew Prawosławną rozdrażnił przecież Putina. Podważał jego tezę o przynależności Ukraińców do jednego, wspólnego rosyjskiego "ludu". Był więc dla Putina osobiście upokarzający. Ale nie mógł stanowić *casus belli*. I nie o wiarę w tej wojnie chodzi.

Tożsamość religijna państwa rzadko dziś wyznacza azymuty polityki zagranicznej. Luboć nadal niekiedy jest punktem odniesienia.

Określanie kursu polityki zagranicznej w oparciu o przynależność do wspólnoty religijnej było naturalnym odruchem budowania koalicji państw w europejskim średniowieczu. *In nuce*, współwierca był naturalnym sojusznikiem, innowierca – naturalnym wrogiem. Solidaryzm religijny

był przez wieki skutecznym instrumentem wskrzeszania bojowego ducha w społeczeństwie i atrybucji słuszości moralnej.

Jest w solidaryzmie religijnym niepodważalne racjonalne jądro. Przynależność do wspólnej religii znamionuje wspólny kod moralny. Daje to asumpt do domniemania, że zbieżnie będzie oceniana polityczna emanacja zła i zagrożenia, zbieżnie będzie osądzana słuszość czynów. To niemało.

*

Solidaryzm chrześcijański krzepł pod wpływem zewnętrznego zagrożenia. Odwoływano się do ideałów wspólnej chrześcijańskiej rodziny wypierając w średniowieczu Arabów z Europy. Rekonkwista zjednoczyła interesy królestw Nawarry, Galicji, Leónu, Asturii i Kastylii w walce przeciw muzułmanom. A za panowania Królów Katolickich stała się katalizatorem unifikacji ziem, które weszły w skład Hiszpanii.

Mniej skuteczne były próby stworzenia wspólnego bloku chrześcijańskiego, by postawić tamę ekspansji tureckiej w średniowieczu. Bizancjum dawało sobie początkowo radę z naporem świata islamu, ale bez wydatnej pomocy zachodnich państw chrześcijańskich, a wręcz czasami walcząc z nimi na drugim froncie, jak w przypadku starć z Normanami, którzy wykorzystali zaabsorbowanie Bizancjum wojnami na wschodzie do przejmowania posiadłości bizantyjskich (w 1071 r. pada Bari, ostatnia twierdza bizantyjska w Italii). Wyprawy krzyżowe przyniosły początkowo ulgę i odbudowę potęgi cesarzy bizantyjskich, ale wyprawa czwarta (rozpoczęta w 1202 r.) zdemolowała i rozczłonkowała Wschodnie Cesarstwo. Opierać się Seldżukom i Osmanom przychodziło z coraz większym trudem. Zachód poza najemnikami (choćby słynna Kompania Katalońska w XIV w.), nie mógł (nie chciał) nic zaoferować w sukurs. Bizancjum upadło, a Turcy ruszyli dalej na północ. Szli tam zresztą nie czekając na wzięcie Konstantynopola w 1453 r.

Słowianie południowi żadnej pomocy od chrześcijańskich braci z Zachodu nie otrzymali. Na Kosowym Polu stanęli w 1389 r. przeciw Turkom Serbowie, Chorwaci, Bośniacy, Bułgarzy, ale już nie Niemcy czy Włosi. Węgrzy, żeby nie pozostać osamotnieni w obliczu tureckiego zagrożenia, wybrali nawet Władysława Warneńczyka na swojego króla. I powiódł on chrześcijańską krucjatę Węgrów, Polaków i Wołochów, ale wenecka i burgundzka flota, którą obiecał Papież, bynajmniej nie ruszyła na pomoc i wyprawa Władysława zakończyła się klęską. W 1526 r. pod Mohaczem to Węgrzy, Czesi, Chorwaci, a także Polacy, zwarli szyki przeciw Turkom, bez wsparcia Zachodu. Z czasem wyrosli Turcy na bezpośrednie zagrożenie i dla Rzeczypospolitej. Upuścili jej niemało krwi.

Ale po udanej odsieczy wiedeńskiej w 1683 r. udało się stworzyć formalny sojusz chrześcijański w postaci Świętej Ligi z udziałem Polski, Austrii, Wenecji, a nawet Rosji. Skutecznie działał on do pokoju w serbskich Karłowicach w 1699 r., uwalniając od tureckiego panowania Węgrów, Chorwatów, Serbów, peloponeskich i wyspiarskich Greków. Wypychanie Turcji z Europy postępowało dalej, ale już bez tak jednoznacznych religijnych koalicji.

Idea wspólnoty chrześcijańskiej dała asumpt do tworzenia integracyjnych planów w Europie. Jak choćby wielkiego projektu Jerzego z Podiebradów. Nie zapobiegła wszakże wojnom religijnym. A wojna trzydziestoletnia potwierdziła prymat interesów państwa (racji stanu) nad solidarnością religijną. Próba wskrzeszenia jedności chrześcijańskiej w formule Świętego Przymierza w XIX w. legła w gruzach, kiedy chrześcijańska Austria poparła muzułmańską Turcję w wojnie z chrześcijańską Rosją w 1855 r. Wizja mobilizacji Europy pod znakiem krzyża ostatecznie przestała przemawiać do politycznej wyobraźni. Dziś świat chrześcijański nie generuje żadnych wspólnych politycznych projektów.

Czasami siła wspólnych chrześcijańskich korzeni daje o sobie znać w debatach dyplomatycznych. W listopadzie 2009 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu wydał w pierwszej instancji orzeczenie, w którym uznał rząd włoski winnym naruszenia Konwencji Praw Człowieka w

związku obecnością krzyży w salach szkolnych. Skargę złożyła pani Soile Lautsi. Po wyroku Trybunału pytanie w tej sprawie do Komitetu Ministrów skierował jeden z członków Zgromadzenia Parlamentarnego (poseł Lipiński z Polski). W końcu stycznia 2010 r. Komitet Ministrów przeprowadził debatę w sprawie owego pytania. Byłem wtedy Stałym Przedstawicielem RP przy Radzie Europy. Zapisalem się do głosu. Nie wiedziałem wszakże, że przyjdzie mi przemawiać jako pierwszemu po ambasadorze Włoch, który zapowiedział apelację do Wielkiej Izby Trybunału w tej sprawie.

Wkroczenie przez Trybunał w regulowanie obecności symboli religijnych w przestrzeni publicznej należało uznać za niebezpieczny precedens w pluralistycznej Europie. Różny jest w poszczególnych państwach status religii (są nadal państwa, gdzie religia ma status państwowy bądź quasipaństwowy), różne są tradycje, różny spłot tożsamości narodowej z religią. Znak krzyża jest odzwierciedlony na flagach państwowych kilkunastu krajów europejskich (na fladze gruzińskiej jest tych krzyży nawet pięć). A uzasadnienie orzeczenia Trybunału było doprawdy merytorycznie bardzo słabe.

Rozwinęła się niespotykana przez lata na forum Rady dyskusja, w której ponad dwadzieścia państw poparło nasze krytyczne wobec orzeczenia stanowisko. W tym państwa takie, jak Rosja czy Armenia, gdzie krzyży w urzędach państwowych i szkołach się nie wiesza. Relacja z tego posiedzenia, której stałem się mimowolnie głównym bohaterem, przeciekła do polskich mediów. A jeden z portali zatytułował ją nawet: „Polak walczy o krzyże w Europie”. W 2011 r. Wielka Izba zmieniła wyrok pierwszej instancji i uznała, że państwa same mają prawo regulować obecność symboli religijnych w przestrzeni publicznej.

*

Solidarność polityczna rodziny chrześcijańskiej jest jednak sprawą przeszłości. Za to ma się dzielnie idea solidarności państw islamskich. Jej najwyższym destylatem był przez wieki panislamizm.

Rodził się islam w splocie religii z państwem. Splot ów utożsamiała instytucja kalifatu. Kalifat funkcjonował w praktyce do upadku Imperium Osmańskiego. A Koran jest szeroko uznawany w świecie islamskim za podstawowy dokument regulujący wszystkie aspekty współżycia, w tym politykę zagraniczną państwa.

Pojawienie się chrześcijaństwa było niewątpliwie punktem zwrotnym w historii cywilizacji ludzkiej, ale także Islam zrewolucjonizował świat, przede wszystkim swoim radykalnym egalitaryzmem i imperatywem ekspansji. Podbijanym plemionom oferowali muzułmańscy władcy trzy opcje: konwersję na islam, protektorat w zamian za trybut i, jako ostateczność, opcję trzecią - totalne zniewolenie.

Świat islamu – „dar al-Islam” – był światem unitarnym. Braterstwo islamskie gładziło różnice etniczne. Do dziś w państwach muzułmańskich, nawet świeckich jak Turcja, pojęcie mniejszości narodowych odnosi się wyłącznie do nie-muzułmanów.

Unitarnym imperium islamskim rządzić miał kalif. Kalifat łączył funkcje przywództwa duchowego z przywództwem politycznym. Nie znał islam maksymy, że cesarzowi co cesarskie, a Bogowi co boskie. Do lat dwudziestych ubiegłego wieku ideę kalifatu próbowano wdrażać w praktyce (ostatnio w Turcji). Pod rządami Turków osmańskich osiągnął kalifat prawdziwie imperialne rozmiary. Zgasł z rozpadem imperium tureckiego i rewolucją kemalowską. Ale do dziś wskrzeszenie kalifatu pozostaje ideą polityczną (samozwańczy kalifat ogłosili w 2014 r. terroryści spod znaku Daesh).

Misją islamu była nieustanna ekspansja, włączenie do jego świata regionów „dar al-harb”, czyli pozostających poza jego kontrolą. Dla wojującego islamu pakt z niewiernymi były tymczasowym rozwiązaniem, zobowiązaniem o ograniczonym czasie obowiązywania.

Obszar świata islamskiego jest naturalnie niejednorodny. Pod względem etnicznym wielkimi grupami muzułmanów są Arabowie (w sumie do 25 procent wyznawców islamu), Hindusi, Persowie, Turcy, Indonezyjczycy. Wcześniej rozpadł się islam w sporze o religijną doktrynę (i tradycję) na sunnitów i szyitów.

Schizma sunnicko-szyicka ujawniła się w ostatnich latach w głębokich waśniach politycznych. Dochodzą do głosu różnice etniczne (Arabowie, Persowie, Turcy, Pakistańczycy, Indonezyjczycy, etc.). A panarabizm historycznie był silniejszym magnesem niż panislamizm. W państwach z dominującą większością muzułmańską islam jest z reguły religią oficjalną, lecz są także państwa o modelu świeckim (Turcja). Chciał jeszcze Kaddafi w latach siedemdziesiątych uczynić islam polityczno-ideologiczną trzecią drogą między socjalizmem i kapitalizmem, ale nic mu z tego nie wyszło.

W 1969 r. na szczycie 25 państw muzułmańskich w Rabacie zaczęła swój żywot Konferencja Państw Islamskich, sformalizowana w 1971 r. W 2011 r. przyjęła nazwę Organizacji Współpracy Islamskiej. Jest jedyną polityczną organizacją międzynarodową, w której członkostwo oparto na kluczu religijnym. Rosja z około 20 milionami muzułmanów jest wszakże ledwie obserwatorem, a Indie z ponad 200 milionami muzułmanów nadal tylko kandydatem (bo blokuje je Pakistan).

Organizacja Współpracy Islamskiej swoją polityczną tożsamość zbudowała na krytyce Izraela, a ostatnio na walce z prześladowaniami muzułmanów na Zachodzie (dla potępienia duńskich karykatur Mahometa zwołano w 2005 r. specjalny szczyt organizacji!) i Wschodzie (wystąpiła zdecydowanie w obronie Rohingjów). Chciała w latach 90-ych promować ideę muzułmańskiego modelu praw człowieka opartego na szariacie (tzw. deklaracja kairska). Ale od dekady jest z tym cicho (i może dobrze, że cicho).

Przyszłość panislamizmu oceniać trzeba sceptycznie. Interesy o zabarwieniu religijnym będą nieuchronnie tracić na znaczeniu w miarę laicyzacji społeczeństw (dotknie ona i społeczeństw muzułmańskich) i laicyzacji państw. Suponować należy, że panislamizm iskrzycy zdatnej do wspólnego działania już nie wygeneruje.

Kontakty z dyplomatycznymi służbami państw islamskich wymagają oczywiście odpowiedniego przygotowania kulturowego. Jako dyrektorowi departamentu planowania polityki zagranicznej w MSZ przyszło mi dwukrotnie przeprowadzać konsultacje w państwach muzułmańskich w czasie Ramadanu. Gospodarze sugerowali albo przełożenie terminu, albo zastosowanie się do dziennego postu. Wybierałem post. Widziałem jednak jak całodzienna głódówka już po kilku dniach osłabia i spowalnia zachowanie własne i rozmówców. Ramadan to nie jest tam czas na dyplomatyczną aktywność.

Współczułem zachodnim dyplomatom, zwłaszcza kobietom, z powodu ograniczeń nakładanych na stroje (chusty i płaszcze w Iranie) i nie tylko. Wyzwaniem praktycznym w kilku islamskich krajach o całkowitej prohibicji jest dla naszych (i nie tylko naszych) dyplomatów zaopatrzenie w alkohol. Dyżurną anegdotą była opowieść o telefonie do naszej ambasady w jednym z tych państw z urzędu celnego na lotnisku z pytaniem, czy placówka sprowadzała fortepian zapakowany w skrzynię. „Tak, a co się dzieje?” - potwierdził nasz dyplomata. „Przyjeżdżajcie szybko go odebrać, bo z waszego fortepianu coś mocno cieknie”.

Sam uczestniczyłem w sytuacji dość krępującej przy wylocie z jednego bardzo prohibicyjnych krajów, kiedy przy prześwietlaniu nadanego bagażu okazało się, że jeden z członków licznej całkiem naszej delegacji przewoził butelkę whisky. Ale kupił ją jeszcze na Okęciu i przy przylocie

nikt jej nie dostrzegł. Wykryto „kontrabandę” dopiero przy wylocie i paszport dyplomatyczny w niczym nie pomógł. Przez kilkanaście minut prowadziliśmy trudne negocjacje, które wszakże zakończyły się niepowodzeniem. Urzędnicy nie pozwalali butelki wywieźć. Wstyd się przyznać, ale whisky dla właściciela była tak cenna, że zaprosił kolega delegację na szybki cocktail pożegnalny w celu jej konsumpcji (na oczach zszokowanych miejscowych stróży moralności).

2. Doktryny powinowactwa w sąsiedztwie Europy

Powinowactwo krwi jest genetycznie zakodowanym w ludziach instynktem działania politycznego. Ludzie związani z nami więzami krwi zajmują zawsze uprzywilejowane miejsce w naszych działaniach społecznych. Relacje z nimi podlegają innym kryteriom sprawiedliwości. Tak już z nami jest.

W wymiarze plemiennym odbiciem tej skłonności jest specjalne traktowanie relacji z narodami, postrzeganymi przez nas jako spokrewnione, bądź bliskie językowo, etnicznie, kulturowo czy historycznie.

Instynktownie w plemiennym świecie dzielimy innych na swoich i obcych. A mówienie tym samym językiem, wspólna tożsamość kulturowa, to niepodważalny znak pobratymstwa. Swoich obdarzamy większym zaufaniem, swoim jesteśmy bardziej skorzy pomagać, do swoich zwracamy się w pierwszej kolejności o wsparcie. A już co najmniej swoich nie będziemy podejrzewać o wrogość. Oczywiście w życiu politycznym czynnik powinowactwa wielokrotnie zawodził, i to niekiedy dość sromotnie. Ale w psychologii narodowej związane z nim odruchy pierwotne, odzwierciedlone chociażby w rankingach sympatii narodowej, ciągle się zachowują.

*

Jedną z żywych politycznie doktryn w sąsiedztwie Europy pozostawał przez wiele lat panarabizm. Arabowie rozeszli się z Półwyspu Arabskiego, ich kolebki, po całym południowym Śródziemnomorzu aż po Mezopotamię. Zmieszali się z podbijanymi ludami, więc dla jednych Arabowie to jeden zwarty naród, dla innych to luźna wspólnota etniczna połączona wspólnym językiem. Panarabizm przyczynił się niewątpliwie do upadku imperialnej Turcji w 1918 r. Kiedy na gruzach imperium osmańskiego wytyczono granice bliskowschodnich państw arabskich (dość arbitralnie, w czym pakt Sykes – Picot odegrał niechlubną rolę), nie myślano o połączeniu ich w jednolite państwo, zbyt wiele całkiem ostrych rywalizacji trzeba byłoby w ich wspólnocie zneutralizować, nie mówiąc o konieczności pogodzenia imperialnych interesów Francji i Wielkiej Brytanii.

Brytyjczycy po II wojnie światowej uważali, że panarabizm, tak jak przyczynił się do upadku imperium osmańskiego, wzmocni państwa arabskie w opieraniu się przed obcymi wpływami, w tym sowieckimi czy amerykańskimi. Brytyjczycy promowali silnie ideę powołania i politycznego upodmiotowienia Ligii Arabskiej.

Świeżo tworzone arabskie państwa przyjęły wzorzec ustrojowy pozostawiony po kolonialnym protektoracie Zachodu, czyli państwa świeckiego i narodowego. W wielu z nich rządzące elity dostrzegły użyteczność forsowania świeckiego modelu państwa (zwłaszcza tam, gdzie były religijną mniejszością, jak szyici w Syrii, czy sunnici w Iraku). Nie zabrakło w tym procesie socjalistycznej frazeologii, prób podpinania się pod sowiecką pomoc gospodarczą. Świat arabski rozłupał się początkowo (w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX w.) na prosowiecki (Egipt, Syria, Irak, Algieria) i proamerykański (Arabia Saudyjska, Jordania, Maroko).

Panarabizm w społeczeństwach państw arabskich był obecny w debatach politycznych od zarania niepodległości jako dążenie do zbudowania jednolitej kulturowo, etnicznie i językowo potęgi politycznej. Po części był wykorzystywany jako alternatywa dla panislamizmu, który dość wcześnie nabrał zabarwienia antyelitarnego, populistycznego. Spoiwem i jednego, i drugiego prądu stała się kwestia palestyńska. A kością niezgody od połowy lat siedemdziesiątych stosunek do kwestii normalizacji stosunków z Izraelem (Egipt idąc na nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Izraelem w 1979 r. musiał liczyć się z ostracyzmem i istotnie wtedy bratnia mu Syria zerwała z tego powodu stosunki dyplomatyczne, a Egipt został wyrzucony z Ligi Arabskiej; Jordania nawiązała stosunki z Izraelem w 1994 r. już z mniejszym odium; w 2020 r. uczyniły to ZEA i Bahrajn - bez reperkusji).

Idea panarabska znalazła swoje urzeczywistnienie w utworzeniu Zjednoczonej Republiki Arabskiej w 1958 r. Basistowska Syria podsunęła pomysł Gamalowi Abdel Nasserowi, który po dłuższych wahaniach ją zaakceptował. Bardzo szybko projekt spowodował totalną dominację Egipcjan w tym związku. Nasser wprowadził egipski model polityczny, gospodarczy (szeroka nacjonalizacja), a stanowiska w Syrii poobsadzał wieloma Egipcjanami. Więc nie dziw, że Syryjczycy nagle zaczęli dostrzegać swoją odrębną tożsamość. W 1961 r. pucz wojskowy w Syrii doprowadził do ogłoszenia secesji. Syria poszła własną drogą, choć w 1980 r. przyjęła starą oficjalną flagę ZRA (trikolor arabskiego wyzwolenia z dwoma gwiazdami). Egipt zaś aż do 1971 r. już sam występował pod nazwą ZRA.

Próbował negocjować dołączenie do ZRA Irak, ale pierwotne rokowania upadły w 1959 r. Ponowiono próbę jeszcze w 1963 r. i opracowano nawet nową flagę dla poszerzonego związku (trikolor arabskiego wyzwolenia z trzema gwiazdami). Ze zjednoczenia nic nie wyszło, lecz Irak przyjął z czasem nową flagę niedoszłej szerszej unii jako własną.

W 1958 r. doszło do uzgodnienia tzw. konfederacji haszymidzkiej: Federacji Arabskiej Jordanii i Iraku. Interpretowano pomysł jako przeciwwagę dla ZRA. Przetrwała ona wszystkiego pół roku.

Ideę panarabskiego państwa propagował Kaddafi (posługując się libijskimi petrodolarami jako marchewką). W 1972 r. doszło nawet do podpisania karty powołania Federacji Republik Arabskich (poprzedzonego referendum w Egipcie, Syrii i Libii). Nigdy wszakże nie stała się ona ciałem realnym, rozsadzona spięciami libijsko-egipskimi. Negocjowano dołączenie do niej i Sudanu, i Iraku. Też bez powodzenia. A Kaddafi, niezniechęcony do integrowania, wziął się najpierw za panislamizm (bez sukcesu), a skończył na panafrycanizmie (nie bez rezultatów).

Zjednoczone Emiraty Arabskie powołane w 1971 r. pozostają jedyną udaną formą integracjonizmu panarabskiego (choć terytorialnie i ludnościowo w skali raczej mikro).

Liga Państw Arabskich, działająca od 1945 r. z różnymi perypetiami, jest jedyną światową organizacją polityczną o charakterze etnicznym. Wstrząsały nią konflikty i sprzeczności. Sahara Zachodnia na dziesięciolecia skłóciła Algierię i Maroko. Inwazja Iraku na Kuwejt była niewątpliwie ciosem w panarabizm. Podzieliła Arabów sytuacja w Libanie, czy niedawno spór Arabii Saudyjskiej (i szóstki pozostałych państw arabskich) z Katarą w 2017-2021 r. Zawiesiła Liga Arabska w prawach członkowskich reżim Asada w Syrii w 2011 r., ale je odwiesiła w 2023 r.

Czy wszakże rozdrobnienie i dywersyfikacja świata arabskiego, które będą zdaje się nieuchronnie postępować, są dla stabilności regionalnej wyzwaniem? Z pewnością taka polityczna granulacja nie sprzyja Arabom w budowaniu globalnej mocarstwowości. Chcieliby domagać się stałego miejsca w Radzie Bezpieczeństwa dla świata arabskiego, ale jednoznacznego mandatu do reprezentowania świata arabskiego w globalnej rozgrywce nikomu, choćby Egiptowi, dać nie chcą. Postulowana jest nawet arabska broń nuklearna, ale poważnie nikt takich projektów nie traktował.

Kiedy w 2011 r. wezbrała się fala arabskiej „nahdy”, nie potrzebowała ona wspomagania w postaci panarabizmu.

*

Inną doktryną opartą na powinowactwie, choć o wiele luźniejszym, jest panturkizm. Był on nawet w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku oficjalną doktryną tureckiej junty wojskowej. I zgasł. Ale kiedy w ostatnich latach politycy węgierscy (Orban i FIDESZ) co i rusz odwołują się do idei Turanu, mówią o Hunach, Mongołach i Turkach jako wspólnym szczepie etnicznym, nazywają Węgry najbardziej na zachód wysuniętą wschodnią cywilizacją, a Węgrów - „kipczackimi Turkami”, niektórych obserwatorów zachęca to do stwierdzeń już nawet nie tyle o odrodzeniu panturkizmu, co o jego, *mirabile dictu*, ekspansji ideologicznej na nieznane dotąd obszary.

Doktryna panturkizmu powstała na przełomie XIX i XX wieku. Głosiła jedność etniczną ludów tureckich i konieczność ich integracji kulturalnej i politycznej, od Cieśniny Bosfor po góry Ałtaju. Początkowo rozwijała się dwutorowo. W Turcji nadano jej miano „Wielkiego Turanu”. Podrzucił ten termin ponoć Leon Cahun, i szybko zdobył „Turan” gigantyczną popularność u Osmanów. Równolegle doktryna rozwijała się wśród ludów turkojęzycznych w carskiej Rosji. Zyskał tam panturkizm wyraźne zabarwienie geopolityczne. Był związany z ideą emancypacji narodów tureckich spod rosyjskiej dominacji, ochrony ich tożsamości przed rusyfikacją.

Turanizm szybko stał się ideologicznym manifestem młodoturków (skupionych w Komitecie Jedności i Postępu). I obowiązywał jako oficjalna doktryna państwa tureckiego za młodotureckich rządów. Doszli oni do władzy w 1908 r., a po pierwszej wojnie bałkańskiej przejęli całkowicie stery państwa. Ideologię wzmacniały literackie odwołania do legendarnej przeszłości Turków, mitów o ich pochodzeniu od „Szarego Wilka” (piewcą Turanu był m.in. Ziya Gökalp, poeta i filozof). Gorącym jej orędownikiem był ówczesny minister wojny Enver Pasza. Młodoturecki reżim był odpowiedzialny za ludobójstwo Ormian, pogromy Greków pontyjskich i Asyryjczyków. Klęska Turcji w I wojnie światowej zadała śmiertelny cios pantureckiej ideologii. Choć sam Enver Pasza ruszył jeszcze do rosyjskiego Turkiestanu, by walczyć w szeregach basmaczy z władzą sowiecką. Tam też zginął.

Ataturk znacjonalizował myślenie tureckie, ale wyrzekł się imperialnych zapędów. Nie chciał wspieraniem pantureckich nastrojów poza granicami skurczonej po I wojnie światowej Turcji drażnić też ZSRR. Bolszewicy wspierali jego władzę (okazali kemalowskiej Turcji wspaniałomyślność w sprawach terytorialnych w traktatach moskiewskim i karskim z 1921 r.).

Generałowie tureccy, rządzący krajem w latach 1980-1983, próbowali panturkizm galwanizować. Inspirowanie się jego założeniami przypisywano i późniejszym tureckim politykom, kiedy zwłaszcza aktywizowali politykę turecką w Azji Centralnej po rozpadzie ZSRR (m.in. Turgutowi Özalowi, który zorganizował w 1992 r. pierwszy szczyt turkojęzycznych krajów i sprowadził tureckich Bułgarów do kraju).

Polityka turecka wobec państw turkojęzycznych nabrała nowego rozmachu za rządów Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), począwszy od 2003 r.

W 2009 r. powołano do życia Radę Współpracy Państw Języków Tureckich. Członkami założycielami były Turcja, Azerbejdżan, Kazachstan i Kirgistan. W 2019 r. dołączył Uzbekistan, a w 2018 r. Węgry uzyskały status obserwatora. Rada ma rozbudowaną strukturę. Regularnie zwoływane są jej szczyty. W centrum uwagi są oczywiście sprawy współpracy kulturalnej, oświatowej, naukowej, ale także współpracy w dziedzinie promocji biznesu, transportu, polityki celnej, turystycznej, sportu i młodzieży. Dotyczy ona także sfery polityczno-dyplomatycznej. Wysyłane są m.in. wspólne misje obserwacji wyborów. W 2013 podpisano w Baku umowę o

współpracy wojskowych służb bezpieczeństwa Turcji, Azerbejdżanu, Kirgistanu i Mongolii. Ale kiedy doszło do niepokoju w Kazachstanie w 2022 r., organizacja, w przeciwieństwie do Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym pod wodzą Rosji, pozostała całkiem bierna (mieli niektórzy Turcy pretensje, że władzom Kazachstanu ani przez chwilę nie przyszło do głowy prośenie o wsparcie "turkijskich braci"). Jeśli nawet ma Rada Współpracy Państw Języków Tureckich służyć jedynie projekcji wpływów tureckich w Azji Centralnej, to efekty są na razie mizerne.

Wpływami panturkizmu objaśnia się także budowę przez Turcję szczególnych relacji z Azerbejdżanem. Często słychać ostatnimi laty zarówno w Baku, jak i Ankarze, że Turcja i Azerbejdżan to „jeden naród, dwa państwa”, a przywódca Turków cypryjskich Ersin Tatar zadeklarował nawet, że Turcja, Azerbejdżan i Cypr Północny stanowią „Jeden Naród, trzy państwa”. (Jak to mówią: *se non è vero, è ben trovato*). Turcja udzieliła wydatnej pomocy (nie tylko wsparcia politycznego) w wojnie azersko-armeńskiej o Górski Karabach w 2020 r. Defiladę zwycięstwa w Baku przyjmowali na trybunie wspólnie Alijew i Erdogan.

Erdogan jest zresztą przez swoich krytyków (w kraju i zagranicą) atakowany za próbę synkretycznego połączenia ideologii pantureckiej z neosmanizmem. Asumpt do tego dała aktywna, a nawet określana niekiedy jako ekspansywna, polityka turecka w regionie wschodniego Śródziemnomorza i na Bliskim Wschodzie. Militarna ekspedycja turecka w Syrii w 2016 r., aktywne wsparcie Rządu Jedności Narodowej w powstrzymaniu marszu Haftara na Trypolis w 2020 r. przypisywane są (przez niezłych obserwatorów) neosmańskim sentymentom w myśleniu Erdogana.

Neosmanizm nawiązuje do mocarstwowych ambicji odbudowy wpływów na obszarze byłego imperium, a w skrajnej postaci - do idei tureckiego kalifatu sprzed I wojny światowej.

Erdogan i liderzy AKP, z którymi wiązano wyraźny zwrot w polityce tureckiej w regionie, posługiwali się niekiedy, zwłaszcza na przedwyborczych wiecach, neosmańskimi hasłami (np. nazywali swoich zwolenników „potomkami Osmana”), ale w wystąpieniach oficjalnych od neosmanizmu konsekwentnie się odcinali.

Ahmet Davutoğlu (początkowo jako doradca Erdogana, a w latach 2009-2014 jako minister spraw zagranicznych, zaś w latach 2014-2016 - premier) był uważany za głównego ideologa nowej polityki zagranicznej Turcji. Davutoğlu, autor chwytliwego hasła „zero problemów z sąsiadami”, wyjaśniał, że przesunięcie akcentu na aktywność w najbliższym regionie, nie oznacza zarzucenia kemalistowskiej tradycji patrzenia na Europę jako na strategiczny cel polityki tureckiej. Pod koniec 2010 r. miałem okazję wysłuchać w bardzo wąskim gronie jego szczegółowej analizy założeń nowej strategii tureckiej.

Jako dyrektora ds. planowania politycznego w Sekretariacie Rady Europy spotkała mnie wyjątkowa sposobność wspierania pracy grupy wybitnych osobistości, która przygotowywała raport w sprawie różnorodności kulturowej Europy pt. „Living Together: Różnorodność i wolność w Europie w XXI wieku”. W skład panelu wchodził Joschka Fischer, Javier Solana, Timothy Garton Ash, Emma Bonino, Danuta Huebner, Vladimir Łukin, Martin Hirsch, Sonia Licht, Ayse Kadioglu. Przysłuchiwałem się ich dyskusjom, a nawet miałem okazję prowadzić z niektórymi z nich dłuższe nieformalne rozmowy. Udało mi się przekonać ich do moich niektórych autorskich pomysłów działania.

Było to przedsięwzięcie nadzwyczaj wzbogacające intelektualnie. Podczas sesji w Stambule pod koniec 2010 r., Davutoğlu zaprosił uczestników na kolację nad Bosfor. Kolacja rozpoczęła się ponad godzinnym wykładem Davutoğlu o celach polityki tureckiej. Ale im bardziej odżegnywał się od oskarżeń o neosmanizm, nową mocarstwowość, tym więcej jego argumenty wzbudzały wątpliwości.

Raport grupy wybitnych osobistości został przedłożony na sesji Komitetu Ministrów Rady Europy w Stambule w maju 2011 r. I wywołał pełną gniewu i irytacji reakcję Davutoğlu (byłem jej świadkiem w kularach Pałacu Ciragan). Z dobrych źródeł dowiedziałem się później, że liczył on na bardziej zdecydowaną krytykę islamofobii w Europie, poczynań instytucji europejskich i rządów, potępienia ataków na islam (w duchu „name-it-and-shame-it”), złościł się z powodu umieszczenia w raporcie takich pojęć jak „islamski ekstremizm” czy „islamski terroryzm”. Nie bardzo chciał zrozumieć, że fakt, iż to Turcja sfinansowała prace nad raportem, nie musiał oznaczać, że miał raport mieć wyłącznie jednowymiarowy kształt, zgodny z turecką percepcją problemów z integracją migrantów w Europie. Zażądał Davutoğlu natychmiastowego zwrotu niewydanych jeszcze na projekt pieniędzy. Wystraszył swoją reakcją kierownictwo Rady Europy do tego stopnia, że raport mimo, iż zawierał bardzo trafne (a nawet wyprzedzające swój czas, jak pokazał to kryzys migracyjny z lat 2012-2013) diagnozy i rekomendacje, został przez europejskie rządy w dużej mierze niezauważony (choć, gwoli prawdy, zaangażowali się na rzecz jego promocji m.in. prezydent Finlandii, prezydent Słowenii, organizacje pozarządowe i think tanki).

Krytycy Erdoğanowi przypisywali mu też neoosmańskie inspiracje w polityce wewnętrznej. Odwoływanie do tradycji i kultury osmańskiej kojarzyli z centralizacją, koncentracją władzy, ograniczaniem niezawisłości sądownictwa, tłumieniem opozycji, aresztowaniami intelektualistów, dziennikarzy, badaczy naukowych, działaczy kultury. I istotnie pod wydumanymi zarzutami wsadzono do więzień wiele wspaniałych postaci o europejskich horyzontach, jak chociażby Osmana Kawalę.

Skutkiem polityki Erdogana, w opinii krytyków, stało się zaognienie relacji z Unią Europejską (na tle eksploracji szelfu cypryjskiego i poczynań wobec Grecji), które postawiło na porządku dnia możliwość wprowadzenia nawet sankcji przeciw Turcji. Po incydencie z „Gaza Freedom Flotilla” w 2010 r. skomplikowały się relacje z Izraelem. Krytykowano Turcję za działania w Syrii, wspieranie radykalnych rebeliantów. Na Kaukazie Południowym obwiniany jest Erdogan za zamiar dokonania trwałego podziału wpływów w regionie wspólnie z Rosją. Swoimi działaniami wepchnął on niewątpliwie Armenię w mocne objęcia Rosji, czyniąc Rosję gwarantem bezpieczeństwa Górskiego Karabachu i bezapelacyjnym protektorem samej Armenii, na czym Armenia wyszła jak Zabłocki na mydle. A konszachty w dziedzinie uzbrojenia z Rosją (zakup S-400) wystawiły Turcję na sankcje Waszyngtonu i postrzeganie jej jako słabego ogniwa NATO. A i samą Rosję rozdrażnił sprzedażą dronów bojowych Ukrainie i stanowczym nieuznaniem rosyjskiej aneksji Krymu (w czym niektórzy obserwatorzy dopatrują się drugiego dna). W ten sposób polityka turecka zaczęła u niektórych sąsiadów wywoływać obawy o nawrót tureckiego regionalnego hegemonizmu. Nawet jeśli sporo w tej polityce zwykłej rodomontady. W chwili prawdy, kiedy Rosja napadła na Ukrainę stanęli Turcy sympatiami za Ukrainą, próbowali mediować, doprowadzili do spotkania Kuleba-Ławrow w Antalyi, ale sankcji wobec Rosji nie zastosowali.

Co by nie mówić, polityka „zero problemów z sąsiadami” oczekiwanych rezultatów na razie nie dała. Oby choć doszło w jej ramach do normalizacji stosunków turecko-armeńskich.

3. Panslawizm

Panslawizm jako doktryna polityki zagranicznej nigdy się oficjalnie nie ukonstytuował. Pojawiał się wszakże jako ideologiczna przykrywka poczynań zewnętrznych imperialnej Rosji, a nawet, choć przelotnie i niekonsekwentnie, polityki ZSRR. Flirtowała z panslawizmem i część elit Rosji

putinowskiej, szukając mostów dla projekcji rosyjskich wpływów na Bałkanach Zachodnich (w Serbii, Czarnogórze, Macedonii Północnej czy nawet w Słowenii).

Panslawizm jako ruch powstał w XIX w. w Czechach. Pierwszym, który użył tego terminu, był ponoć słowacki lingwista Jan Herkel. W sensie politycznym niósł panslawizm w sobie ideę wyzwolenia Słowian spod obcego panowania i ich współdziałania na rzecz zjednoczenia kulturowego, gospodarczego i politycznego. W Czechach był jednym z pobocznych prądów cementowania narodowej tożsamości narodu znajdującego się od wieków pod germanizacyjną presją. Na Bałkanach wiązał się panslawizm z ideą wyzwolenia spod jarzma tureckiego i hegemonii austriackiej.

Szybko został panslawizm podchwycony i zawłaszczony przez słowianofilskie kręgi intelektualne i polityczne w Rosji. Wskazywały one na konieczność obrony Słowiańszczyzny przed złym wpływem Zachodu, izolowania Rosji od zachodnich wpływów i koncentrowania jej polityki na jednoczeniu Słowian.

Panslawizm zaczął być łączony z ideą stworzenia federacyjnej unii Słowian, pozostającej pod polityczną oraz kulturową dominacją i przywództwem Imperium Rosyjskiego, docelowo nawet z utworzeniem wielkiego wszechsłowiańskiego związku ze stolicą w Carogrodzie (vide projekt Mikołaja Danilewskiego). W koncepcji „wielkiej wolnej federacji wszechsłowiańskiej” Michała Bakunina, Polska miała wchodzić w skład federacji na pełnoprawnych zasadach jako wolny podmiot, podobnie jak narody Litwy (czyli Białorusini) i Ukrainy. „Nasz miecz nie spocznie w pochwie, dopóki choć jeden Słowianin pozostanie w niewoli niemieckiej, tureckiej czy jakiegokolwiek innej” – pisał w 1862 r. Bakunin.

Przechwycenie idei przez wielkorosów spowodowało niechętny stosunek do idei panslawizmu na ziemiach polskich. Flirtowała z nim endecja, ale głównie dla rozgrywania karty antygermańskiej. Rozwijały się wśród Polaków idee panslawizmu, ale takiego, który zakładał jednoczenie Słowian bez Rosji.

Polacy nie uczestniczyli (z małymi wyjątkami) w kongresach słowiańskich organizowanych w Rosji. Co spowodowało odwzajemnioną niechęć ze strony panslawistów. Polaków nazywano tam za wyzwanie rzucone Rosji „Judaszem Słowiańszczyzny”. Obustronna repulsja dotrwała do dni współczesnych.

Siłą sprawczą polityki zagranicznej Rosji stał się panslawizm za sprawą Mikołaja Ignatiewa, wieloletniego ambasadora Rosji w Stambule w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Jego słowianofilski program wykorzystano jako zręczną przykrywkę dla ekspansji Rosji na południu Europy w celu opanowania cieśnin czarnomorskich. Wbrew oficjalnej linii Aleksandra Górczakowa (ministra spraw zagranicznych) stawiał on na rozluźnienie więzi Rosji z Prusami (Niemcami) i Austrią, osłabienie wpływów Anglii w Turcji, wspieranie interesów chrześcijan w Imperium Osmańskim. Kiedy tylko w 1876 r. najpierw Czarnogóra, a potem Serbia wypowiedziały wojnę Turcji, Ignatiew zapewnił (w sumie na własną rękę) ich przywódców o rosyjskim wsparciu. A Komitet Słowiański, utworzony w latach 60-ych XIX w. w Moskwie, rozkręcił aktywną kampanię wsparcia słowiańskich narodów na Bałkanach. Dowództwo sił serbskich objął rosyjski generał Michał Czernow, a ponad 5 tys. rosyjskich ochotników dołączyło do oddziałów zbrojnych uczestniczących w wojnie.

Jest Ignatiew przykładem dyplomaty, który robił „wielką politykę” z dobrym skutkiem i to metodą faktów dokonanych.

Nie raz, nie dwa spotykałem się z dyplomatami, którzy czuli podobną misję robienia wielkiej polityki. Kiedyś jeden z wizytujących Warszawę dyplomatów rzucił w rozmowie z naszym wiceministrem ideę, aby przekazać państwu, z którym jego kraj nie dość, że nie miał żadnych

relacji, to jeszcze był uznawany tam za istne wcielenie zła, że jego kraj byłby gotów podjąć jakiś dyskretny dialog. Jako że miałem za niedługo jako dyrektor planowania politycznego w MSZ wybrać się do tego państwa na konsultacje, powierzono mi wykonanie tej sondażowej misji. W trakcie pobytu, zgodnie z instrukcją, poprosiłem o rozmowę w cztery oczy z sekretarzem stanu w MSZ owego państwa (zrobił on zresztą potem niezłą karierę polityczną). Przesłanie przekazałem (dostaliśmy nawet równie dyskretnie odpowiedź), ale okazało się wszakże, że całe działanie było osobistą inicjatywą owego dyplomaty (wysokiego szczebla, ale tylko urzędnika), niezgodną z centralnym ośrodkiem decyzji politycznych. Ze wszystkiego nic nie wyszło, a i źle się odbiło, zdaje się, na karierze owego inicjatora.

A Ignatiewowi się udało! I w 1877 r. Rosja ruszyła na Turcję w celu „ocalenia Słowian”. Panslawista Danilewski nazwał tę wojnę „narodową”, i co prawda nie bez trudności, ale ku końcu roku rosyjska armia stanęła prawie u wrót Konstantynopola (w odległości 10 do 15 wiorst, czyli istotnie o „przysłowiowy” rzut beretem). Aż wystraszyła całą Europę. Lecz warunki pokoju w San Stefano ze stycznia 1878 r., tak upokarzające dla Turcji (przewidywały m.in. powstanie autonomicznej Wielkiej Bułgarii, niepodległość Serbii i Czarnogóry), trzeba było korygować na niekorzyść Rosji i południowych Słowian na kongresie berlińskim w lipcu tegoż roku.

Po pokoju berlińskim bardzo szybko ujawniła się „niewdzięczność” Bułgarów. Księciem Bułgarii wyznaczono prorosyjskiego Aleksandra Battenberga, konstytucję dla niej pisała komisja pod kierownictwem rosyjskiego wysokiego komisarza Dondukowa-Korsakowa, a rządem zawiadywali Rosjanie. Wkrótce jednak kraj pogrzyżył się w sporach między księciem a elitą, a w społeczeństwie rosła popularność hasła „Bułgaria dla Bułgarów”. Rozgorzał otwarty spór między Bułgarami i ich rosyjskimi protektorami. Bułgarzy połączyli się, wbrew rosyjskiemu stanowisku, z pozostającą formalnie pod tureckim rządem Wschodnią Rumelią. Rosja zerwała stosunki dyplomatyczne z Bułgarią.

Mimo, iż prorosyjski pucz w 1886 r. został opanowany, księżę Aleksander abdykował i udał się na emigrację, zgodnie z wolą cara Aleksandra III. Ale królem Bułgarii wbrew opinii Rosji ustanowiono Ferdynanda Sachsen-Coburga. Bułgaria, która miała być w zamyśle Ignatiewa cytadelą rosyjskich wpływów w regionie, wyrwała się z zależności. Nic dziwnego, że Bismarck nie przepuścił okazji, by kaśliwie zauważyć, że rosyjska polityka w regionie, opierająca się na więziach etnicznych i religijnych, zaważyła się ostatecznie. „Wyzwolone narody nigdy nie będą okazywać wdzięczności, one umieją tylko wymagać”.

Wpływy Rosji wśród bałkańskich Słowian zgasły. Do tego Serbowie poszli na zbliżenie z Austrią (przesunęli się na powrót ku Rosji dopiero w 1908 r. po austriackiej aneksji Bośni). Została Rosji tylko Czarnogóra. W 1899 r. Aleksander wznosił (z goryczą) toast za „jedyne wiernego przyjaciela Rosji – kniazia Mikołaja Czarnogórskiego”.

Jeszcze pierwsza wojna bałkańska (w l. 1912-13), prowadzona siłami antytureckiego sojuszu bułgarsko-serbskiego zawartego pod patronatem Rosji, mogła potwierdzać wspólnotę interesów słowiańskich, ale już w drugiej wojnie bałkańskiej (rozpoczętej zaledwie miesiąc po pierwszej, na tle podziału łupów terytorialnych po Turcji) przeciw Bułgarii stanęli wszyscy sąsiedzi, łącznie ze Słowianami (Serbami i Czarnogórcami).

Ale to sojusz Rosji z Serbią stał się kluczowym ogniwem uruchomienia algorytmów sojuszniczych i mobilizacyjnych, które doprowadziły Europę do I wojny światowej.

W I wojnie światowej wyzwolona spod jarzma tureckiego Bułgaria sprzymierzyła się z byłym oprawcą – Turcją, a przeciw wyzwolicielowi i protektorowi – Rosji. Było to dla panslawizmu wszechbałkańskiego osikowym kołkiem. Po I wojnie światowej udało się Serbom zebrać Słowian w formule Jugosławii, ale i ona rozpadła się boleśnie wraz z końcem zimnej wojny. Jeszcze zimą 1948 r. dyskutowano o powołaniu federacji jugosłowiańsko-bułgarskiej (Tito godził się na przyłączenie

Bułgarii na prawach republiki związkowej, ale Dmitrow nalegał na konfederację). Fiasko dyskusji przyspieszyło konflikt Stalina z Tito.

Nie wyrósł na znaczącą siłę i panslawizm wśród zachodnich Słowian. W Czechach po rozłamie w łonie tzw. austrosławizmu (zwanego również ruchem wszechczeskim) w roku 1876 wyłoniła się z niego partia młodoczeska, a jej panslawizm przybrał skrajnie prorosyjskie i antyniemieckiej barwy.

Pod koniec XIX wieku z krytyki panslawizmu zrodził się neosławizm. Powstał wśród czeskich działaczy narodowych, a był głoszony między innymi przez Tomáša Masaryka. Odrzucał rosyjskie pretensje do dominacji nad innymi Słowianami. Domagał się także, aby wspólnota Słowian była oparta na demokratycznych zasadach. Zakładał zasadniczo zjednoczenie Czech i Słowacji (ale też, w optymistycznym scenariuszu, Polski) oraz luźny związek z Rosją. Neosławizm dystansował się od takich elementów prorosyjskiego panslawizmu, jak teza o wyższości jednych słowiańskich grup nad innymi, jak i od uznania dominacji jakiegokolwiek religii w życiu wspólnoty.

Pierwszym zorganizowanym zgromadzeniem zwolenników neosławizmu był kongres w Pradze w roku 1908, a akces uczestnictwa zgłosił Roman Dmowski, który pragnął wykorzystać ruch do przeniesienia problemu polskiego na szczebel międzynarodowy i uzyskania bliżej nieokreślonej autonomii Królestwa Polskiego w ramach Imperium Rosyjskiego. Ruch, mimo początkowego poparcia ze strony niektórych ideologów rosyjskich, nie nabrał tam rozmachu. A dążenie do emancypacji ruchu od wpływów Rosji doprowadziło do wzmożenia nacjonalizmu wśród rosyjskich panslawistów i wyodrębnienia się tzw. rosyjskiego neosławizmu.

Stopniowy schyłek ruchu neosławizmu rozpoczął się w 1910, kiedy jego trzeci i ostatni kongres w Sofii odbył się już m.in. bez udziału Polaków.

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej wpływy panslawizmu (i neosławizmu) na skutek rozwoju tendencji nacjonalistycznych w krajach słowiańskich oraz rywalizacji regionalnej, nawet konfliktów (spór polsko-czechosłowacki o Śląsk Cieszyński) uległy marginalizacji. Reliktem myślenia neosłowiańskiego była w pewnym sensie Jugosławia.

Pod koniec II wojny światowej nad wykorzystaniem panslawizmu zaczął myśleć Stalin. Jego armie miały wtedy wkraczać na ziemie zachodnich i południowych Słowian i panslawizmem chciał budować wizerunek Rosji („starszej słowiańskiej siostry”) jako wyzwolicielki. Wojnę opisywał jako starcie teutońskiego hegemonizmu ze szlachetną słowiańszczyzną. Po wojnie przypisywano mu, że jego wizją Europy był panslawizm wzmocniony przez ideologię komunistyczną. Dżilasowi miał powiedzieć, że jeśli Słowianie zachowają jedność i solidarność, to nikt nie odważy się nawet ruszyć palcem, by im zagrozić.

A w Moskwie zaczął nabierać znaczenia nowo utworzony Komitet Wszechsłowiański (powołany w 1941 r.). Dyplomaci państw Europy Wschodniej, m.in. polscy, jak można sądzić z ich relacji, spędzali tam w pierwsze powojenne lata nie mniej czasu niż w KC KPZR i MSZ.

Tezę, że w polityce zagranicznej Polski drugim pod względem znaczenia celem po sojuszu z ZSRR, powinna być solidarność słowiańska podchwycił w pierwszych powojennych latach nawet sam Gomułka. Ale wkrótce przyszło mu pogodzić się z decyzją o ekspulsji z socjalistycznej rodziny słowiańskich współbraci z Jugosławii. A rozmowy o solidarności Słowian pograżyły się w maniłowszczyźnie.

Panslawizm jako doktryna polityczna jest dziś nieodwołalnie martwy. Wielu słowianofilów w putinowskiej Rosji wojnę Rosji z Ukrainą w 2022 r. odebrało jako bratobójczy rozlew krwi. Rosja straciła (nie pierwszy raz w swojej historii) jakikolwiek moralny tytuł do odwoływania się do idei słowiańskiej wspólnoty.

4. Pangermanizm

Pangermanizm jest przebrzmiałą pannacjonalistyczną ideą polityczną. Ale zawsze budził lęki wśród sąsiednich narodów. Bo wiązano go z niemieckim ekspansjonizmem i imperializmem. Dziś w operetkowej, draczej i cudacznej formie ujawniają się owe lęki w postrzeganiu integracji Europy jako niemieckiego projektu budowy IV Rzeszy.

Pangermaniści pierwotnie dążyli do zjednoczenia wszystkich narodów (plemion) niemieckojęzycznych w jednym państwie narodowym określanym jako Wielkie Niemcy (Großdeutschland).

Początki pangermanizmu łączą się z narodzinami romantycznego nacjonalizmu podczas wojen napoleońskich. Albowiem plemiona niemieckie od wczesnego średniowiecza żyły w politycznym rozdrobieniu. Święte Cesarstwo Rzymskie (Narodu Niemieckiego) od XIII wieku przekształcało się w luźną konfederację (gdzie główną, jeśli nie wyłączną, prerogatywą wybieralnego cesarza było nadawanie tytułów arystokratycznych). Reformacja pogłębiła podziały. Uczyniła rozbitcie dzielnicowe naturalnym stanem bytu narodowego Niemiec. Zwolennicy idei Wielkich Niemiec po formalnym rozwiązaniu tysiącletniej Rzeszy pod dyktando Napoleona w 1806 r. starali się zjednoczyć niemieckojęzycznych mieszkańców Europy (początkowo choćby nawet pod przewodnictwem katolickich Austriaków).

Pangermanizm był szeroko rozpowszechniony wśród rewolucjonistów 1848 r. Ale nabrał z czasem cech hegemonistycznych, postulując niekiedy łączenie się z etnicznymi Niemcami, którzy wraz z osadnictwem wzdłuż Bałtyku i na ziemiach słowiańskich zabrnęli daleko na wschód. Hymn Niemiec (Deutschlandlied), napisany w 1841 roku przez Hoffmanna von Fallerslebena (do haydnowskiej melodii śpiewanej oryginalnie przez Austriaków Franciszkowi II), rozpościerał Niemcy z geopolityczną wyobraźnią: „Von der Maas bis an die Memel, von der Etsch bis and den Belt”, czyli od Lotaryngii po Kłajpedę, od Południowego Tyrolu aż za Flensburg. Zaraz po II wojnie światowej nie był więc wykonywany, by nie budzić złych skojarzeń, a wrócił jako hymn RFN w 1951 r., ale tylko z trzecią zwrotką (bez odwołania do słupów granicznych niemieckiej wspólnoty i mirażu wielkiego zjednoczenia).

Rywalizację o prymat w Niemczech rozstrzygnęły na swoją korzyść Prusy w sporze z Austrią (1866 r.). Zjednoczyły kraj na pruskich warunkach, ale bez niemieckich Austriaków, którzy pozostawali dominującą siłą w ramach własnego wieloetnicznego K&K imperium.

Ruch wszechniemiecki zyskał instytucjonalny format w 1891 roku, kiedy Ernst Hasse, profesor Uniwersytetu w Lipsku i członek Reichstagu, zorganizował Ligę Panniemiecką, ultra-nacjonalistyczną formację, oskarżaną o promowanie imperializmu, antysemityzmu i wsparcie dla niemieckiej mniejszości etnicznej w innych krajach. Organizacja zyskała duże poparcie wśród wykształconej klasy średniej i wyższej.

Pangermanizm w Austrii zorganizował się na początku XX wieku. Towarzystwo Panniemieckich Nacjonalistów (założone przez Georga von Schönerera) domagało się przyłączenia wszystkich niemieckojęzycznych terytoriów Austro-Węgier do Cesarstwa Niemieckiego („przez jedność do czystości”), odrzucając austriacki patriotyzm i austriacką tożsamość. Rasistowski niemiecki nacjonalizm Schönerera był inspiracją dla nazistowskiej ideologii Hitlera. I stał się bazą ideową sojuszu nacjonalistów z nazistami, którzy parli do anszlusu. Odgrzewali oni nastroje dominujące w Austrii po klęsce w I wojnie światowej, kiedy „Niemiecką Austrię” próbowano włączyć w skład Niemiec. Zapobiegł temu Traktat z Saint Germain w 1919 r., który pozwalał rezygnować Austriakom z niepodległości tylko za zgodą Ligi Narodów.

Ruch panniemiecki przyjął w Niemczech po I wojnie światowej jawnie etnocentryczne i rasistowskie rysy. Inspirował on niewątpliwie doktrynę „Heim ins Reich”, realizowaną przez nazistowskie Niemcy pod rządami Adolfa Hitlera. Stała ona za aneksją Sudetów, anszlusem Austrii, inkorporowaniem Kłajpedy, żądaniami włączenia Gdańska do Rzeszy. A Wielka Rzesza Germańska zbudowana na fundamencie hitlerowskiej Rzeszy Wielkoniemieckiej miała obejmować przepastny region od Lotaryngii, Belgii i Holandii, Szwajcarii, Danii i południowej Szwecji po wschodnie brzegi Bałtyku, asymilując (a kiedy trzeba wysiedlając) żyjące tam narody.

Po II wojnie światowej pangermanizm stał się hasłem tabu zarówno w Niemczech Zachodnich, jak i Wschodnich. Upadek NRD reanimował stare debaty (i stare obawy). Ludzie wychodzili przecież na ulice Lipska, Drezna czy wschodniego Berlina skandując: „Wir sind ein Volk”. Klankor protestów był jednoznaczny. I mimo skrętnie skrywanych obaw w niektórych stolicach (np. w Paryżu czy Londynie, nie tylko w Warszawie) trudno było odmówić Niemcom prawa do zjednoczenia.

Zbiegiem okoliczności byłem w Berlinie, kiedy upadał tam w listopadzie 1989 r. historyczny mur. Dowiedziałem się zresztą o tym dopiero w sobotni rano 11 listopada, kiedy dotarłem pod polską ambasadę na Unter den Linden. Jechałem z Warszawy prywatnym samochodem (z rodziną) całą noc, a pech chciał, że kilka tygodni wcześniej skradziono mi z samochodu radio. O skutkach deklaracji Krolikowskiego nic nie wiedziałem. Jadąc przez przedmieścia Berlina widziałem dziesiątki bezładnie porzuconych samochodów w okolicach stacji S-banu, widziałem opustoszałe miasto i dopiero w centrum wyjaśniono mi, że berlińczycy wschodni masowo przeszli na zachodnią stronę. Sam próbowałem dostać się do stacji przy Friedrichstrasse, skąd chciałem przejechać pociągiem do Berlina Zachodniego, gdzie odbywało się spotkanie na które przyjechałem. Tłum był wszakże tak gęsty, że zdecydowałem przejść przez Checkpoint Charlie na piechotę i wsiąść do metra po zachodniej stronie.

Konferencja, w której brałem udział, została zdominowana przez kwestię możliwego zjednoczenia Niemiec. Pamiętam, z jakim powątpiewaniem odniosłem się do tezy wygłoszonej przez ówczesnego sekretarza stanu w bońskim MSZ, który zapowiadał, że zjednoczenie nie jest i długo nie będzie na agendzie międzynarodowej. Jego grandilowencja nie przekonywała. Tłumy ludzi na ulicach Berlina Zachodniego i wokół muru, zwłaszcza w godzinach wieczornych, kiedy z soboty na niedzielę rozkręciła się prawdziwa fiesta, przekazywały jasne przesłanie: tego nikt nie będzie w stanie powstrzymać. Uczestniczyłem w tym święcie radości i ja (wyjaśniam przy okazji: Sarkozy'ego nie udało mi się tam spotkać).

Zjednoczenie Niemiec w 1990 obyło się bez jakichkolwiek poważnych skutków politycznych z punktu widzenia groźby odrodzenia się ducha niemieckiego szowinizmu. Obecnie pangermanizm ogranicza się głównie do niektórych grup nacjonalistycznych w Niemczech i Austrii. A trzy państwa niemieckiego obszaru kulturowego zachowują solidną tożsamość. Moi austriaccy przyjaciele lubią przywoływać fakt, że są najlepszą ilustracją tezy, że własne państwo czyni naród.

Nie dziw, że Niemcom, Austriakom i Szwajcarom czasami dogadać przychodzi się ciężko. I to w ojczystym języku. Jesienią 1993 r. podeszli do mnie doradcy wojskowi Niemiec, Szwajcarii i Austrii z ich misji przy OBWE we Wiedniu. Poprosili mnie o wykładnię znaczenia, w jakim został użyty pewien termin w Dokumencie Wiedeńskim 1992 r. w sprawie środków budowy zaufania i bezpieczeństwa w Europie. Byłem głównym koordynatorem negocjacji nad tym dokumentem, więc wymagano ode mnie wiążącej interpretacji, która rozstrzygnie spór, jak przetłumaczyć ów termin na język niemiecki. Dokument Wiedeński negocjowano bowiem po angielsku, ale następnie przekładano go na pozostałe pięć języków oficjalnych, w tym niemiecki. Okazało się, że uzgadnianie tekstu niemieckiego (tzn. autoryzacja produktu pracy tłumacza) zajęło więcej czasu niż negocjowanie samego Dokumentu Wiedeńskiego. Wyjaśniono mi: „jeden język, ale trzy kultury wojskowe”. Nota bene, w tamtym czasie spory językowe w OBWE dotyczące języka angielskiego

prowadzone między Amerykanami, Kanadyjczykami i Brytyjczykami rozstrzygali Irlandczycy (gdzie angielski jest tylko drugim językiem urzędowym).

5. Anglosfera

Mówienie wspólnym językiem, podobieństwa kulturowe, wspólna przeszłość (niekoniecznie różana) nawet przy etnicznych czy religijnych różnicach, stanowią naturalny czynnik rozwijania specjalnych relacji. Najbardziej rozpoznawalną wspólnotą w tym względzie jest wspólnota języka angielskiego. Mówi po angielsku ponad dwa miliardy ludzi. Trzon anglosfery stanowią Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Kanada, Australia i Nowa Zelandia, państwa liczące łącznie prawie pół miliarda ludzi. W kilkunastu innych, w tym w Irlandii i kilku państwach tzw. Indii Zachodnich, angielski jest podstawowym językiem komunikacji. Trzon anglosfery nie jest objęty ramami kompleksowej instytucjonalnej współpracy (politycznej, gospodarczej czy wojskowej), ale wycinkowo kooperuje w sposób bardzo bliski i intensywny. Tworzą USA, Wielka Brytania, Kanada, Australia i Nowa Zelandia wyjątkowy w świecie sojusz wywiadowczy („Five Eyes”), zadzierzgnięty jeszcze w czasie II wojny światowej, rozwijany w czasie zimnej wojny i kontynuowany z powodzeniem po jej zakończeniu.

Jako dowód na siłę oddziaływania anglosferycznych więzi przywołuje się ostatnio zawarcie w 2021 r. tzw. porozumienia AUKUS dotyczącego współpracy technologiczno-zbrojeniowej między Australią, Wlk. Brytanią i USA. Przewiduje ono współdziałanie w wybudowaniu dla Australii okrętów podwodnych o napędzie atomowym i wyposażeniu jej sił morskich w odpowiednie zestawy rakietowe. Jego skutkiem było wypchnięcie Francji z lukratywnego kontraktu („francuski pech”, jeśli zważyć wcześniejsze niepowodzenia z kontraktami na mistrale dla Rosji czy caracale dla Polski). Ale w istocie o rezygnacji ze współpracy z Francją nie zaważyły przecież trudności w przekładzie instrukcji obsługi silników okrętowych z francuskiego na angielski, ale kalkulacje technologiczne i strategiczne.

W praktyce dyplomatycznej anglosferycznie pojmowana zasada „koszula bliższa ciału” obowiązuje w ramach Wspólnoty Narodów. W samej nazwie brytyjskiego MSZ relacje ze Wspólnotą są oddzielone od pozostałych spraw zagranicznych. Dyplomatyczne przedstawicielstwa członków Wspólnoty w innym państwie Wspólnoty nie noszą nazwy ambasad, lecz „wysokich komisji”, a dyplomatyczni przedstawiciele nie są ambasadorami, lecz „wysokimi komisarzami”. W praktyce znaczących różnic (nawet odnośnie do tzw. procedencji) zauważyć nie sposób, ale walor symboliczny jest niezaprzeczalny. Wielka Brytania poza tym z zasady oferuje gotowość reprezentowania interesów członków Wspólnoty w państwach, gdzie nie mają one swoich przedstawicielstw dyplomatyczno-konsularnych.

Wspólnota Narodów została utworzona w obecnym kształcie w 1949 r. (Deklaracja Londyńska) i zrzesza 54 państwa. Tylko w piętnastu z nich głową państwa pozostaje królowa Anglii. Za autora idei Wspólnoty uważa się południowoafrykańskiego męża stanu (i dowódcę wojskowego w stopniu marszałka polnego) Jana Smutsa. W 1917 r. użył on pojęcia „brytyjska wspólnota narodów”, które szybko podchwycono jako poręczne określenie gasnącego Imperium Brytyjskiego, kiedy w czasach po I wojnie światowej imperia zaczęły już źle się kojarzyć, a zależności kolonialne zaczęły się rozluźniać. Deklaracja Balfoura z 1926 r. formalizowała format Wspólnoty jako równoprawnego związku Wielkiej Brytanii i Dominii (wtedy: Kanady, Australii, Nowej Zelandii, RPA, Nowej Fundlandii i Irlandii). Dominia (pisane wielką literą) zyskiwały autonomiczny i równoprawny status, sytuujący je ponad zwykłymi brytyjskimi koloniami. W 1931 r. przyjęto Statut

Westminsterski, a Brytyjska Wspólnota Narodów stała się związkiem suwerennych państw (z Dominioń nie weszła tam tylko Nowa Fundlandia, dziś część Kanady).

Z rozpadem imperium większość byłych kolonii zasilala szeregi państw członkowskich Wspólnoty. Ale nie wszystkie – opuściła w 1949 r. Wspólnotę Irlandia. Nie wszedł do niej Egipt i niektóre państwa arabskie czy Mjanma.

Podstawą członkostwa jest uznanie królowej brytyjskiej za głowę Wspólnoty. Muszą członkowie z zasady mieć historycznie konstytucyjną więź z Wielką Brytanią. Ale takiego związku nie miały ani Mozambik, ani Rwanda, kiedy je przyjmowano w szeregi organizacji. Podobnie z wymogiem używania języka angielskiego jako środka komunikacyjnego. Mozambik jest wybitnie luzofoński. Nie jedyne to przejawy braku koherencji.

Kryteria członkostwa we Wspólnocie odwołują się także do czynnika wartości (Deklaracja z Harare przyjęta w 1991 r.). Jej członkowie mają dbać m.in. o pokój, praworządność, prawa człowieka, tolerancję, niedyskryminację. W praktyce egzekwowanie przestrzegania tych zasad nie zawsze miało konsekwentny charakter. Zawieszano w prawach członkowskich kilka państw za uchybienie zasadom, np. Nigerię, Pakistan, Zimbabwe czy Fidzi. Ale sankcje wspólnotowe mają drugorzędne znaczenie dla zachowania państw. Zdawali sobie z tego sprawę niektórzy członkowie Wspólnoty. W 2011 r. specjalna grupa powołana dla opracowania pomysłów na ożywienie Wspólnoty przygotowała długą listę, bo obejmującą ponad sto rekomendacji. Trudno było wszakże znaleźć dla nich konsensus. Przyjęta w 2013 r. nowa karta Wspólnoty nie zawierała istotnych przełomowych postanowień.

Poza Wspólnotą zawsze były Stany Zjednoczone, niegdyś przecież kolonia brytyjska, ale jeśli dla Brytyjczyków anglosfera ma jeszcze istotny polityczny wymiar, to poprzez „specjalne relacje” („special relationship”) łączące Wielką Brytanię ze Stanami Zjednoczonymi. Po dokonaniu Brexitu odświeżenie owych specjalnych relacji postrzegano jako główny środek budowy pozycji Wielkiej Brytanii w sprawach globalnych. Mimo, iż swego czasu Barack Obama próbował uświadomić Brytyjczykom, że kluczem do ich mocnej pozycji, także w stosunkach z USA, jest członkostwo w Unii Europejskiej.

Pojęcie „special relationship” pojawiło się w obiegu za sprawą głównie Winstona Churchilla i na tle ścisłej współpracy obu państw w wysiłku militarnym w trakcie II wojny światowej. Historycznie bowiem relacje między oboma państwami były trudne, a nawet początkowo całkiem wrogie. Amerykańska Deklaracja Niepodległości z 1776 r. upokorzyła Brytyjczyków. Stosunki były napięte od zarania. Doszło w 1812 r. do ponownej wojny (a Brytyjczycy spalili w 1814 r. i Biały Dom, i Kapitol). W trakcie wojny secesyjnej Londyn skłaniał się początkowo ku popieraniu konfederatów. Mimo, że Wielka Brytania wsparła doktrynę Monroe, dopiero w I wojnie światowej doszło do znaczącego zbliżenia politycznego z USA.

Brytyjczycy ujrzeni w Amerykanach nie tylko potomków własnych migrantów, mówiących tym samym językiem, ale ludzi bliskich mentalnościowo, praktykujących polityczny liberalizm, wierzących w siłę handlu i prywatnej przedsiębiorczości, wyznających protestancką etykę życia i pracy.

Wejście Ameryki do I wojny światowej przeważało szalę na rzecz Ententy. Wkrótce jednak Amerykanie rejterowali do tradycyjnego izolacjonizmu, pozostawili na barkach Brytyjczyków troskę o Ligę Narodów, którą sami przecież wymyślili, wdali się w rywalizację militarną na morzach, strącając Wielką Brytanię z tronu „pani mórz i oceanów”.

Kiedy jednak w II wojnie światowej padła Francja, a z nią wyczerpała się rola „entente cordiale” jako gwarancji bezpieczeństwa, pomoc Stanów Zjednoczonych nabrała dla Wielkiej Brytanii egzystencjalnego znaczenia. Doszło do zintegrowania wysiłku zbrojnego obu państw (powołano

instytucję połączonych szefów sztabów), zbudowania wspólnej wizji powojennego urządzenia świata (Karta Atlantycka), ścisłej koordynacji politycznej (Churchill spotykał się z Rooseveltem 11 razy, wymienił 1700 listów i depech, a był Roosevelt dla niego – jak sam żartobliwie określił po słynnej sytuacji zastania go nago po wyjściu z kąpieli - osobą, przed którą nie miał nic do ukrycia, i jedyną głową państwa, którą przyjmował jako premier w stroju Adama). Użył Churchill formuły „special relationship” po raz pierwszy jednak dopiero w 1944 r. Miał świadomość, że wędnąca mocarstwowość Wielkiej Brytanii nie zapewni równoprawności związku. W swoich powojennych wystąpieniach powoływał się na specjalne relacje USA z Brytyjską Wspólnotą (i Imperium). Była więc w miarę postępów dekolonizacji Wspólnota Narodów instrumentem budowy zaplecza politycznego dla Wielkiej Brytanii, które uwiarygadniałoby jej wartość jako partnera w specjalnym związku z USA. Amerykanie pozostawili część swoich sił zbrojnych na terytorium Wielkiej Brytanii po II wojnie światowej, korzystali z brytyjskich baz i infrastruktury, dopuścili Brytyjczyków do prac nad technologią nuklearną.

Zimny dla Brytyjczyków prysznic nadszedł w trakcie kryzysu sueskiego 1956 r. Amerykanie zmusili Wlk. Brytanię i Francję do zaprzestania interwencji w Egipcie, stanęli po stronie Sowietów w ONZ. Wnioski z kryzysu Brytyjczycy wyciągnęli z punktu widzenia Ameryki korzystne. Postanowili zacieśnić współpracę z USA, godząc się na status młodszego partnera. Kennedy wkrótce zarzucił zresztą format „wielkiej koalicji” dla omawiania europejskiego bezpieczeństwa (szczyt paryski w tym „czwórkowym” formacie odbył się jeszcze w maju 1960 r. w cieniu afery z zestrzeleniem U2, ale szczyt wiedeński w 1961 r. po kryzysie kubańskim, ale i dla omówienia problemu Niemiec, miał wyłącznie dwustronny amerykańsko-sowiecki charakter). Brytyjczycy wypadli z wielkiej polityki zimnowojennej.

Dobiła Brytyjczyków amerykańska decyzja o rezygnacji z programu Skybolt (w grudniu 1962 r.) bez konsultacji z Londynem, mimo iż na pociskach tych miał opierać się nuklearny potencjał uderzeniowy Wielkiej Brytanii. Zaoferowano wtedy im w zamian systemy Polaris wraz z odpowiednimi okrętami podwodnymi, co pozwoliło Brytyjczykom utrzymywać status potęgi nuklearnej. Sekretarz Stanu Acheson wyrzekł wtedy słowa, które zabrzmiałyby i dziś bardzo aktualnie w związku z Brexitem. „Wielka Brytania straciła imperium i nie znalazła dotąd roli dla siebie. Próba odgrywania roli odrębnej potęgi – to jest roli odrębnej od Europy, roli opartej na „specjalnej relacji” ze Stanami Zjednoczonymi, roli opartej na byciu przywódcą „Wspólnoty”, która nie ma ani politycznej struktury, ani jedności, ani siły, i opartej na kruchych i niepewnych relacjach gospodarczych – ta rola jest już przebrzmiała”. Gnomiczna ta sentencja do uszu brexitowców wszakże nie dotarła.

Harold Wilson rozczarował niewątpliwie Amerykanów odmawiając wydzielenia oddziałów wojskowych dla wsparcia Amerykanów w Wietnamie (wysłały je np. Australia i Nowa Zelandia). Wkrótce zaś Wielka Brytania skupiła się na integrowaniu z Europą (początkowo jedynie gospodarczym), a Edward Heath związek z Ameryką nie nazywał już „specjalną”, lecz „naturalną relacją”.

Odżyła „specjalna relacja” za czasów Margaret Thatcher i Ronalda Reagana. Wzmocniła ich więź ideologiczna jedynomyślność – antykomunizm, przekonanie o potrzebie twardej polityki wobec ZSRR i wiara w liberalną politykę gospodarczą. Kiedy w 1982 r. Brytyjczykom przyszło odbijać Falklandy, Amerykanie udzielili im otwartego poparcia (wbrew doktrynie Monroe), byli gotowi wydzielić im nawet jeden z lotniskowców (Reagan poinstruował Pentagon: „Dajcie Madzi wszystko, co jej potrzeba, aby dała sobie radę”).

Kolejne apogeum „specjalnej relacji” przypadło na czas współpracy George W. Busha i Tony Blaira. Blair żarliwie wspierał Amerykę w wojnie z terroryzmem, poparł interwencję w Iraku. Jego krytycy w Wielkiej Brytanii nie omieszkali przyszyć mu łatkę „amerykańskiego pudła” (łączonej ze

słynnym, ale nie wiadomo czy do końca na pewno tak wypowiedzianym pozdrowieniem Busha: „Yo, Blair”).

Do takiego poziomu zażyłości politycznej Wielka Brytania nie zbliżyła się już nigdy. Nawet kiedy Donald Trump próbował kokietować Borisa Johnsona perspektywą świetlanych stosunków po doprowadzeniu do finalizacji Brexitu. I choćby kiedyś Wielka Brytania taki poziom znowu osiągnęła, to „specjalna relacja” będzie nieuchronnie relacją coraz bardziej asymetryczną.

Każdy sojusznik chciałby być postrzegany jako obdarzony najwyższą sympatią i szczególnym statusem ze strony hegemonu. W istocie Wielka Brytania cieszy się tym statusem i po dziś dzień. Z nikim Amerykanie, nawet w czasach członkostwa Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej, nie rozmawiali politycznie tak szczerze, z nikim nie dzielili się tak obficie informacjami i opiniami. Prywatnie zazdrościłem brytyjskim dyplomatom, że kiedy zjawiali się na spotkania w Departamencie Stanu, przechodzili spokojnie przez bramki, pokazując swoje „przepustki”, podczas gdy my, też przecież sojusznicy, musieliśmy czekać na wystawienie plakietek „gościa” i pojawienie się eskortującego nas urzędnika

Ale Amerykanie bardzo poważnie traktowali także Niemców, uważając ich za główną siłę europejską od połowy lat pięćdziesiątych. Nigdy Polska takiej bliskości i zaufania, jaką cieszyli się Brytyjczycy i (do pewnego stopnia) Niemcy, nie doświadczyła. Nawet jeśli w czasach prezydentury Trumpa myślała, że codzienną uległością i serwilizmem zaskarbi uczucia Ameryki, i brała kurtuazyjne pochlebstwa ze strony Trumpa za zobowiązania polityczne.

Nasze zaangażowanie w Iraku (a także w Afganistanie) na początku milenium podniosło w oczach administracji Busha wartość Polski (dziś naszą wartość podnosi status państwa frontowego w kontekście agresji rosyjskiej, ale czy będzie to politycznie wykorzystane?).

W polemikę z Waszyngtonem wdała się wtedy w 2003 r. i Francja, i Niemcy. Hiszpanie pod odejściu Aznara zdystansowali się od udziału w operacji w Iraku. A Polska wzięła na siebie niełatwą rolę w ponoszeniu odpowiedzialności za operację w Iraku (choć formalny status państw okupacyjnych miały tylko USA i Zjednoczone Królestwo). Doświadczyłem tego bezprecedensowo poważnego traktowania i ja w latach 2003-2005, kiedy pełniłem obowiązki dyrektora planowania politycznego w MSZ, a potem wiceministra. Kiedy pojechałem w maju 2003 r. pierwszy raz jako dyrektor planowania na konsultacje do Waszyngtonu, nasza ambasada sporządziła ponad dziesięć sążnistych depeesz z moich rozmów. Aż kierownictwo resortu musiało interweniować u naszego ambasadora, że za dużo tego, że to przesada, aby zaczynać dzień od konieczności lektury trzech czy czterech relacji z rozmów dyrektora Świtalskiego w Waszyngtonie. Tak dużo mnie było po prostu, że wyglądało to na lans. Ale jednak zawierały te depeesze, co by nie mówić, oryginalną i ciekawą treść (i dlatego ekspediowała je Ambasada do Warszawy), co było wyłącznie zasługą moich amerykańskich rozmówców (i znakiem zaufania i szacunku).

W 2004 r. Adam D. Rotfeld i Richard Armitage zainaugurowali polsko-amerykański dialog strategiczny. Amerykanie przyjechali solidną delegacją do rezydencji prezydenckiej na Helu, gdzie odbywały się rozmowy. W 2005 r. w ramach kontynuacji miałem jako wiceminister je prowadzić w Waszyngtonie z ówczesnym zastępcą sekretarza stanu ds politycznych R. Nicholasem Burnsem. Minister Rotfeld uznał, że powinien dać świadectwo wagi, jaką przywiązywaliśmy do dialogu, i pojechał także do Waszyngtonu. Konsultacje otworzył, odbył krótkie spotkanie z Condoleezą Rice. Ja prowadziłem już rozmowy do końca dnia.

Był to czas, kiedy nasza polityka nie była jeszcze tak monotematyczna, nie ograniczała się do problematyki Europy wschodniej (Rosji, Ukrainy, Białorusi). Nasze zaangażowanie w Iraku podtrzymywało otwartość naszych horyzontów. A mieliśmy wówczas jeszcze aktywnych znakomitych arabistów-dyplomatów, znakomitych sinologów i orientalistów-dyplomatów (np. specjalistów od Korei czy Iranu). Amerykanie byli wyraźnie zainteresowani opiniami naszych

dypłomatów. A niektóre z tych opinii były, np. w sprawie perspektyw interwencji w Iraku, bardzo krytyczne (żeby nie powiedzieć – z dzisiejszej perspektywy - prorocze). Nie przeszkadzało Amerykanom, że nasi dyplomaci od tych orientalnych spraw byli w większości absolwentami MGIMO. Ba, to nawet podnosiło walor ich ekspertyzy. Po kilkunastu latach, kiedy polityka kadrowa niektórych ministrów i naturalne procesy zrobiły swoje, ówczesny nasz dorobek wygląda jak zaprzepaszczone. Wytworzyła się zauważalna luka kadrowa, której nawet najzdolniejsi absolwenci studiów językoznawczych czy etnograficznych nie zastąpią.

W trakcie dialogu strategicznego w Waszyngtonie w 2005 r. Amerykanie podzielili się kilkoma ważnymi ocenami i zasygnalizowali swoje stanowisko w niektórych sprawach, w tym istotnych dla współpracy europejskiej. Postanowiłem więc wracać do Warszawy przez Berlin i omówić wnioski z konsultacji z USA dla współpracy politycznej polsko-niemieckiej. Zawsze uważałem, że bliski i partnerski dialog z Niemcami jest strategicznie ważny dla naszej polityki zagranicznej. Przekazałem swojemu odpowiednikowi w Auswertiges Amt zapowiedź niekorzystnej zmiany stanowiska amerykańskiego w ważnej dla Berlina kwestii. Reakcja rozmówcy mnie zszokowała. W jego głosie zabrzmiała pretensja, że dowiaduje się tego ode mnie, że Amerykanie mogą tak szczerze i partnersko rozmawiać z Polakami. Czy była to zazdrość, zawiść czy żal, że utracili (wskutek dość irytujących dla prezydenta Busha działań i wypowiedzi kanclerza Schroedera) status uprzywilejowanego partnera w dialogu z hegemonem, czy tylko emocjonalny wybuch po usłyszeniu złych dla Niemców wieści? Nie po raz pierwszy zauważyłem, że ówczesne pokolenie wyższych dyplomatów MSZ Niemiec miało problem z zaakceptowaniem Polski jako parytetowego (pierwszoligowego) partnera politycznego. Nawet jeśli tacy ich szefowie, jak choćby Joschka Fischer, chcieli Polskę tak traktować.

6. Frankofonia i inne wspólnoty językowe

Idea frankofonii jako wspólnoty kulturowej ludzi i instytucji posługujących się językiem francuskim zrodziła się dość dawno. Termin ten ponoć wymyślił w latach osiemdziesiątych XIX wieku Onesime Reclus. Ale wszedł termin do leksykonu publicystycznego dopiero w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Wtedy też znalazł swoje miejsce w słownikach języka francuskiego. Wielkim propagatorem idei frankofonii, także w wymiarze instytucjonalnym, czyli pisanej majuskułą (przez duże F), był Leopold Sedar Senghor, ojciec niepodległości Senegalu. Wspierali go wydatnie prezydent Tunezji Burgiba i król Kambodży Sihanouk. Dla Senghora stanowił język francuski płaszczyznę tworzenia ducha nowego humanizmu, któremu miał zagrażać postęp technologiczny. A język francuski jako język wielkiej literatury, filozofii i dyplomacji miał być wehikułem krzewienia nowych wartości oświeceniowych. Interpretuje się w kategoriach mniej hymnicznych i bardziej przyziemnych, że połączenie sił frankofonów w imię wspólnego języka i kultury było motywowane gwałtownym rozprzestrzenianiem się języka angielskiego, jego globalizacją za sprawą amerykańskiej kultury masowej, wypieraniem francuskiego jako głównego języka polityki międzynarodowej i dyplomacji.

Do powołania instytucjonalnej współpracy w formie Agencji Współpracy Kulturalnej i Technicznej doszło w 1970 r. Ewoluuowała ona konsekwentnie w kierunku pełnokrwistej politycznej organizacji międzyrządowej. Pod obecną nazwą jako Organizacja Międzynarodowa Frankofonii funkcjonuje od 2005 r.

Rozbudowała organizacja struktury instytucjonalne. Regularnie od 1985 r. zwoływane są szczyty Frankofonii i mają one zaiste najwyższą oprawę. Co roku spotykają się ministrowie odpowiedzialni

za Frankofonię. Funkcjonuje stała rada i stały sekretariat. Ma Frankofonia mocny wymiar parlamentarny i pozarządowy, a także posiada agencje wyspecjalizowane (uniwersytecką, telewizyjną, stowarzyszenie merów miast i Uniwersytet Senghora w Aleksandrii). Od 1997 r. Frankofonia wybiera sekretarzy generalnych. Pierwszym został Boutros Boutros-Ghali. Mówiono, że Francuzi zaproponowali mu stanowisko jako pocieszenie po nieudanej próbie reelekcji Boutros-Ghali na stanowisko Sekretarza Generalnego ONZ.

Parł Boutros-Ghali do kolejnej kadencji w Nowym Jorku jak czołg. Natrafił wszakże na barierę nie do pokonania – sprzeciw Stanów Zjednoczonych. Dyskusje nad wyborem Sekretarza Generalnego weszły w decydującą fazę na przełomie listopada i grudnia 1996 r. Polska była w tym czasie członkiem Rady Bezpieczeństwa, a ja kierowałem małym zespołem w MSZ, który miał naszą misję w Nowym Jorku wspierać instrukcjami i materiałami. Spędziłem kilka ładnych tygodni i ja w Nowym Jorku. Dzięki życzliwości kierownictwa Stałego Przedstawicielstwa (miałem głęboki dług wdzięczności wobec ministra, a późniejszego ambasadora RP w Londynie i dyrektora generalnego MSZ, niedawno zmarłego Zbigniewa Matuszewskiego, który niósł na swoich barkach roboczy ciężar obsługi naszego członkostwa) mogłem uczestniczyć w nieformalnych konsultacjach Rady. Te dotyczące wyboru Sekretarza Generalnego odbywały się w bardzo wąskim gronie, bez udziału pracowników Sekretariatu, w obecności stałych przedstawicieli z ledwie dwiema towarzyszącymi osobami na delegację. I to w takim gronie Madeleine Albright, która reprezentowała Stany Zjednoczone w organizacji, została zmuszona do tak jednoznacznego i „nieparlamentarnego” („niedyplomatycznego”) zablokowania kandydatury Boutrosa, że u nikogo nie mogło pozostawiać to żadnych złudzeń. Polscy dyplomaci mogli powiedzieć, że zobaczyli, jak brutalnie wygląda kuchnia wielkiej polityki. Amerykanie przepchnęli na stanowisko Kofi Annana, a Francuzi obsadzili funkcję jego zastępcy (asystenta) do spraw pokojowych.

Po francusku mówi około 300 milionów ludzi. Liczba członków Frankofonii wyrosła z 21 do prawie 90 (włączając obserwatorów). Przyjęto w szeregi Frankofonii nawet państwa, które ani nie używają języka francuskiego w administracji, ani nie mają frankofońskiej tożsamości etnicznej, ani frankofońskiej przeszłości kolonialnej, chociażby Rumunię i Bułgarię. Obserwatorem jest Polska, a nawet Estonia, gdzie po francusku dogadać się jest naprawdę bardzo trudno. Ale łatwość dołączenia do klubu pod egidą Francji wabi. Nie wchodzi do Frankofonii Algieria, będąca jednym z najbardziej licznych ludnościowo państw frankofońskich. Rany po związku z Francją jeszcze się tam widocznie nie zabiły. Nie może uzyskać zgody na obserwowanie obrad Izrael (choć trzy izraelskie uniwersytety uczestniczą w agencji uniwersyteckiej Frankofonii). Oczywiście drzwi przed Izraelem zamknięto z powodów jak najbardziej politycznych, czyli w wyniku szantażu państw arabskich. A sama wycofała swój wniosek obserwatorski Arabia Saudyjska po tym, jak afera związana z zabójstwem Kashoggię w 2018 r. wystawiłaby jak najgorsze świadectwo kryteriom wymaganym od obserwatora. Polityka wpływa więc na funkcjonowanie Organizacji. Z pewnością jest Frankofonia najmniej językowo hermetyczną organizacją globalną o korzeniach kulturowych.

Frankofonia ma bowiem zadania wychodzące poza sferę kultury i języka, edukacji i nauki. Jedną z jej misji ma być promowanie demokracji i praw człowieka. Inną - wspieranie zrównoważonego rozwoju i solidarności. W imię demokratycznych wartości przykładnie zawieszano członkostwo Madagaskaru, Mali, Mauretanii, Republiki Środkowoafrykańskiej, Gwinei-Bissau, czy status obserwatora wobec Tajlandii (po przewrocie wojskowym w 2014 r.). Praktykowane jest przyjmowanie dokumentów służących utrwalaniu wartości prawnoczułociwych i demokratycznych. Na przykład na szczycie w Erywanii w 2018 r. uzgodniono dokument w sprawie równości praw kobiet i mężczyzn. Wpływu członkostwo we Frankofonii na praktyki niektórych państw większego wszakże nie ma.

Miała Frankofonia powstrzymać pochod języka angielskiego w świecie. Większych sukcesów nie odnotowała, choć niektóre państwa frankofońskie, jak Francja czy Kanada, były pionierami

regulacji ograniczających udział obcojęzycznych utworów muzycznych w audycjach radiowych i telewizyjnych. Przegrał niewątpliwie francuski batalię o status języka dyplomacji. Organizacje międzynarodowe powszechnie przeszły na używanie języka angielskiego jako języka codziennej pracy i komunikacji.

ONZ i NATO od zarania były tworzone na gruncie biurokratycznych procedur świata „anglosaskiego”. Nawet kiedy Kwatera Główna NATO znajdowała się we Francji (nim ją stamtąd do Brukseli nie eksmitował de Gaulle), pracowała ona „po anglosasku”.

Unia Europejska (za czasów EWG) i Rada Europy były zaś zdecydowanie frankofońskie. Rozszerzenie EWG o Wielką Brytanię, Irlandię, Danię i Szwecję wymusiło przechodzenie na angielski. Ponoć najbardziej niefrankofońscy okazywali się Irlandczycy (Brytyjczycy jeśli mówili w obcym języku, to z reguły po francusku). A wielkie rozszerzenie z 2004 r. wypchnęło francuski na totalny margines. I Brexit niewiele tu zmienił, poza wielkim paradoksem, że Unia pracować będzie w języku, który nie jest pierwszym językiem oficjalnym w żadnym z jej członków.

Rada Europy jeszcze na początku naszego milenium używała francuskiego jako pierwszego języka roboczego. Po kadencji Catherine Lalumiere, przez następne dwadzieścia lat szefowali Sekretariatowi jednak politycy, którzy po francusku nie potrafili powiedzieć więcej niż parę wyuczonych słów. Więc obieg papierowy musiał się zanglicyzować, nawet jeśli w rozmowach korytarzowych między biurokratami komunikowano się po francusku. I mimo że siedzibą Sekretariatu jest Strasbourg, dali sobie Francuzi folgę.

W OBWE stałe instytucje tworzone dopiero po 1990 r., ale na wzorcach raczej oenztowskich i z angielskim jako roboczym środkiem komunikowania (po angielsku negocjowano od zarania w KBWE).

*

Wcześniej od Frankofonii zaczęły współpracować ze sobą państwa hiszpańskojęzyczne. Organizacja Państw Iberoamerykańskich łączy państwa posługujące się językiem hiszpańskim. Wchodzi w jej skład ponad 20 państw Ameryki Łacińskiej, Europy a nawet Afryki (Gwinea Równikowa). W państwach z hiszpańskim jako językiem oficjalnym zamieszkuje prawie pół miliarda ludzi. Powstała organizacja w 1949 r. jako agencja współpracy w dziedzinie edukacji i dopiero po dobrych kilku latach nadano jej charakter międzyrządowy. Ale skupienie na zadaniach związanych z edukacją, kulturą i nauką pozostało. Ma rozbudowaną strukturę instytucjonalną ze Zgromadzeniem Ogólnym, Radą Zarządzającą, Sekretariatem (z siedzibą w Madrycie). Roli politycznej bynajmniej nie odgrywa żadnej.

*

Najmniej znana z globalnych wspólnot językowych to Wspólnota Luzofońska, czyli Wspólnota Państw Języka Portugalskiego. A obejmuje ona przecież ponad ćwierć miliarda ludzi na powierzchni ponad dziesięciu milionów kilometrów kwadratowych. Powstała ona w 1996 r., czyli aż dwadzieścia lat po ostatecznym rozpadzie portugalskiego imperium kolonialnego. Sporo czasu więc zajęło przezwyciężenie złych kolonialnych wspomnień. Skupia dziewięć państw rozsianych na czterech kontynentach. Kilkanaście państw ma status stowarzyszonego obserwatora (w tym Czechy, Słowacja i Węgry, a nawet Gruzja). Makau jako region administracyjny Chin, Urugwaj jako ojczyzna ludzi mówiących mieszkanką portugalskiego i hiszpańskiego znaną jako Portunol, czy Galicja jako region Hiszpanii to ciekawe przypadki krajów/regionów wchodzących w orbitę zainteresowana Wspólnoty.

Operuje głównie jako platforma współpracy kulturalnej. Zadeklarowano wspólnie także współpracę w dziedzinie turystyki, gospodarki, a nawet obrony (przeprowadzono nawet wspólne ćwiczenia wojskowe, ale jako symulacje komputerowe). Ma stały sekretariat (z siedzibą w Lizbonie), stały

komitet sterujący (spotykający się co miesiąc). Zwoływane są regularne sesje Rady Ministrów Spraw Zagranicznych (coroczne) i Konferencje Szefów Państw i Rządów (raz na dwa lata).

Organizacja wspomagała reformy demokratyczne w Sao Tome i Principe oraz w Gwinei Bissau. Wspierała niepodległość Timoru Wschodniego. Najbardziej namacalnym dorobkiem politycznym było udzielenie przez Wspólnotę poparcia aspiracjom Brazylii do objęcia stałego członkostwa w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Reforma Rady Bezpieczeństwa pozostaje jednak od trzydziestu lat nieuchwytnym celem. A nawet w geograficznym regionie Ameryki Łacińskiej Brazylii nie ma absolutnego jeszcze poparcia.

*

Mimo, że po włosku mówi w świecie ponad 80 milionów ludzi, a włoski jest oficjalnym językiem OBWE i kilku państw europejskich (oprócz Włoch także San Marino, Stolicy Apostolskiej i Szwajcarii), i jest włoski znany w byłych włoskich koloniach, tendencji do zinstytucjonalizowania rodziny państw włoskojęzycznych nie ma. Nie znaczy to, że wspólnota języka włoskiego nie może stać się czynnikiem wpływającym na rozstrzygnięcia polityczne. W 1996 r. emocjonowała bardzo dyplomatów OBWE we Wiedniu kwestia wyboru Sekretarza Generalnego organizacji. Nic tak nie rozgrzewa bowiem dyplomatów jak rywalizacja personalna. Giełda nazwisk była pokaźna, zaś nadziei na consensus na horyzoncie żadnych. I wtedy, jak grom z jasnego nieba, pojawiła się wiadomość od urzędującego przewodniczącego OBWE, ministra spraw zagranicznych Szwajcarii Flavio Cotti'ego, że nowym sekretarzem generalnym powinien zostać Giancarlo Aragona, dyplomata włoski. Zaskoczenia nie krył ambasador Szwajcarii przy OBWE Benedikt von Tscharnier, a zwłaszcza ambasador Włoch Mario Sica, który oficjalną notą kilka dni wcześniej został zgłoszony jako kandydat. Mało kto we Wiedniu zorientował się, że Flavio Cotti zyskał sobie w Szwajcarii przydomek „Ankuendigungsminister”. Nie zwykł on tracić czasu na deliberacje, poszukiwanie wspólnych mianowników, żmudne budowanie konsensu. On po prostu podejmował decyzje i je natychmiast ogłaszał. Nie hydził się wcale. Widocznie wyszło mu, że najlepiej w trakcie swojej kadencji będzie dogadywał się z sekretarzem generalnym OBWE po włosku, bo musiało mu się dobrze z nim układać przy okazji spotkań z ministrem spraw zagranicznych Włoch, którego gabinetowi szefował do powołania na funkcję SG Aragona.

Na zasadzie żartu można dopowiedzieć, że klub polskojęzycznych przywódców świata próbował stworzyć prezydent Kwaśniewski. Na szczycie milenijnym w 2000 r. rozmawiał przy kolacji przy wspólnym stole z prezydentem Litwy i prezydentem Mali po polsku. Zaciekawilo to siedzącego obok prezydenta Clintona. Kwaśniewski wyjaśnił, że tworzą najbardziej elitarny klub przywódców państw, a mianowicie klub przywódców mówiących po polsku. I zapytał Clintona, czy ma świadomość, kto jest tego klubu prezesem. Clinton nie domyślił się, a kiedy usłyszał, że to sam Papież, prawie osunął się z krzesła.

*

Wspólnoty oparte na kluczu językowym/kulturowym mogą być postrzegane jako drugoplanowe poletka aktywności politycznej i dyplomatycznej bez większych skutków politycznych. Trudno przypisywać Anglikom, czy Francuzom, Hiszpanom, czy Portugalczykom, że wykorzystują je do uprawiania jakiegось, choćby ukrytej, formy neokolonializmu (choćby jedynie kulturowego). Ale nawet jeśli ich wymiar polityczny jest skromny, są one elementem budowy mostu służącego do projekcji pozytywnego wpływu państw zachodnich na kraje „Trzeciego Świata”, łagodzenia antyzachodnich nastrojów w elitach politycznych niektórych państw, zwłaszcza afrykańskich i azjatyckich. Są one instrumentem „soft power” już nawet nie tyle Wielkiej Brytanii czy Francji, ale Zachodu jako takiego. Co nie zmienia faktu, że w ostatnich latach, jak stwierdził Macron, ani Zachód się obejrzał, a wpływy w globalnym Południu stracił.

I Frankofonia, i Luzofonia rozszerzają krąg członków (Frankofonia) lub obserwatorów do granic, gdzie łączność językowo-kulturowa niektórych państw jest wysoce umowna. Powoduje to sytuacje, kiedy biorący udział w obradach politycy niektórych krajów muszą korzystać z pomocy tłumaczy, aby zrozumieć, o czym toczą się rozmowy. Widziałem to zresztą sam na szczycie Frankofonii w Erywaniu w 2018 r. Przewodniczący obradom premier Armenii wyuczył się na tyle francuskiego, że mógł płynnie odczytywać przygotowane dlań wystąpienia, ale sporo polityków musiało korzystać z pracy tłumacza przysłuchując się obradom.

Ja sam miałem kiedyś tłumaczem zostać. Wysłano mnie na studia na MGIMO ze skierowaniem na kształcenie językowe w kierunku pracy tłumacza. Nie sprawdzono, że MGIMO takiego kształcenia nie prowadziło. Nie było uczelnią lingwistyczną. Prowadzono tam specjalne zajęcia z tzw. przekładu politycznego, ale wyłącznie na rosyjski i z rosyjskiego (a nie z polskiego przecież). I nie dla profesjonalnych tłumaczy. Ktoś w peerelowskim MSZ podjął idiotyczną decyzję, z którą nie wiadomo było, co robić. Więc nikt nic specjalnego w tym względzie nie robił, a kiedy owi „tłumacze” jak ja kończyli studia, nikt już w MSZ nie pamiętał, po co ich tam wysłano.

A ja jako tłumacz wystąpiłem tylko raz, ale za to jaki. W 1992 r. polecono mi (nie pytając nawet o zdanie) tłumaczyć spotkanie prezydenta Wałęsy z prezydentem Jelcynem. Spotkanie uzgodniono ad hoc na szczycie OBWE w Helsinkach. Zawodowych tłumaczy nie sprowadzono. Musiałem więc tłumaczyć w obie strony (standardowo każda strona powinna mieć swojego tłumacza). A spotkanie nie należało do gatunku miłych i łatwych. Dotyczyło przebiegu wycofywania wojsk rosyjskich z Polski (rodził on wiadome problemy i budził nasze zastrzeżenia, m.in. co do stanu opuszczanych obiektów) i innych spraw trudnych. Więc było dość polemicznie. Prezydent Wałęsa mógł zaimponować umiejętnością przejmowania inicjatywy w rozmowie od samego początku i jej utrzymywania do samego końca (lata doświadczeń w negocjowaniu z komunistami). Nie monopolizował rozmowy, lecz oddawał głos ekspertom (w tamtej rozmowie taką rolę odgrywał minister Skubiszewski), kiedy trzeba było przechodzić do merytorycznego konkretnego. Trudność wszakże polegała na tym, że styl wypowiedzi prezydenta Wałęsy czynił czasem niemożliwym uchwycenie dokładnego sensu. A nie sposób było dobrze tłumaczyć, nawet na rosyjski, nie rozumiejąc do końca, co rozmówca miał na myśli. Prezydent Jelcyn z kolei nie słyszał dobrze (a na jedno ucho prawie wcale), więc przychodziło mi mówić (siedząc po drugiej stronie stołu) dość głośno, o co zresztą sami Rosjanie dyskretnie poprosili. A głośne mówienie wzmagają napięcie, którego i tak w rozmowie nie brakowało. W pewnej chwili pomyślałem, że jeśli z tej rozmowy wyniknie kryzys w stosunkach wzajemnych, to niech to będzie wina tłumacza. Na szczęście nie wyniknęła. Co się jednak namęczyłem, to moje. Szanujmy pracę tłumaczy!

7. Russkij mir

"Wot wam russkij mir!", "Priszoł k nam russkij mir" - takie komentarze można było słyszeć od Ukraińców na internetowych filmikach pokazujących bestialskie akty przemocy armii rosyjskiej podczas inwazji na Ukrainę. Rosyjska napaść odsłoniła zbrodniczą maskę "rosyjskiego świata". Swoim dzielnym oporem Ukraińcy wykopali grób tej doktryny. Stała się ona moralnym trupem. Ale jak złowrogi zombie może jeszcze straszyć ona innych rosyjskich sąsiadów i świat cały.

Doktrynę „rosyjskiego świata” uczynił Putin jednoznacznie doktryną polityki zagranicznej Rosji, używając jej dla uzasadnienia aneksji Krymu w 2014 r. Jej autorstwo w sensie koncepcyjnym przypisuje się Piotrowi Szczedrowickiemu, a jej zastosowanie operacyjne w polityce państwowej wiąże się z Glebem Pawłowskim. Rozkwitła ona za władzy Władimira Putina. Propagowane w

latach 90-ych idee „bliskiej zagranicy” i reintegracji przestrzeni postsowieckiej przestały wystarczać. Pojawiło się zapotrzebowanie na nową myśl, która uzasadniłaby rosyjskie pretensje imperialne.

Koncepcja „rosyjskiego świata” jest odgrzaną ideą wspólnej przestrzeni cywilizacyjnej łączącej naród, ludy i osoby identyfikujące się z językiem rosyjskim i kulturą wyrosłą na jego podstawie. Odnaleziono dla niej głębokie historyczne korzenie. Począwszy od wielkiego księcia Izasława, który w XI wieku odwoływał się do pojęcia „rosyjskiego świata” w liście do papieża Klemensa. Dzisiejsi interpretatorzy wiążą rozwój idei z pokrewnymi pojęciami, jak: „rosyjska dusza”, „rosyjski duch”, „rosyjska idea” (Bierdiajew), „rosyjski wszechświat” (Dostojewski), „rosyjski archipelag” (Sołżenicyn), które pojawiały się w minionych wiekach. Jednym z założeń koncepcji jest słuszność herderowskiej myśli o wpływie języka na tożsamość człowieka. Mówienie po rosyjsku oznacza, według wyznawców idei, zdolność do myślenia po rosyjsku, a w efekcie zdolność do działania „à la russe”.

Koncepcja pozostawała do niedawna mglista, co pozwalało naginać ją i interpretować w sposób instrumentalny dla uzasadniania polityki rosyjskiej. Punktem wyjścia była teza, że Rosja to ledwie połowa „rosyjskiego świata”, albowiem rozpad ZSRR pozostawił poza jej obszarem miliony ludzi identyfikujących się z Rosją.

Teza o wspólnocie języka i kultury pozwalała myśleć o wykorzystaniu koncepcji jako swobodnego sposobu adaptacji do procesów globalizacyjnych, a raczej sposobu na procesy te wpływania. Małe narody miały poddawać się tym procesom biernie, przyjmując do wiadomości ich skutki, ale Rosja bynajmniej, jako odrębna cywilizacja, na to pozwolić sobie nie mogła. Musiała dawać im odpór w celu zachowania własnej tożsamości. Jej wręcz misją miałyby być ich odpowiednie temperowanie. „Russkij mir” to inaczej czynnik kształtowania procesów globalizacyjnych zgodnie z interesami Rosji. Co w niektórych interpretacjach nabrało niemalże mesjanistycznych odcieni. „Russkij mir” miał być kulturową zaporą przeciw zgniętemu liberalizmowi Zachodu i rozsądnikiem „zdrowych wartości” dla świata. Sposobem na przeciwdziałanie postępującej agrawacji niebezpiecznych zjawisk, wynikających z deprawującego wpływu globalizacji.

Ma „russkij mir” trzy wymiary.

Pierwszy i politycznie najważniejszy dotyczy najbliższego otoczenia Rosji. Miała doktryna ta dawać Rosji szczególne prawo do troski o obywateli byłych republik sowieckich, którzy nie tylko są etnicznie Rosjanami, ale mówią po rosyjsku lub identyfikują się z kulturą rosyjską. „Russkij mir” to doktryna, która pozwalała Rosji interweniować w sprawy byłych republik, podważać nawet ich integralność terytorialną, wymuszać uczestnictwo w integracyjnych projektach z Rosją.

Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych ukuła Moskwa pojęcie tzw. ludności „rosyjskojęzycznej”. Występowanie jako rzecznik jej interesów stało się instrumentem polityki zagranicznej Rosji wobec Estonii, Łotwy i Litwy. Obejmowano tym terminem także nierosyjskie grupy etniczne, nie tylko słowiańskie (czyli Ukraińców, Białorusinów, ale także np. Mołdawian).

„Russkij mir” zbudowany został na aksjomacie „ludu ruskiego”, który łączy w nierozdzielalną całość Rosjan, Ukraińców i Białorusinów. Wyłożył przejrzyście ten aksjomat Władimir Putin w znanym artykule poświęconym Ukrainie, opublikowanym w 2021 r. Warto przypomnieć, ile wysiłku włożyli przywódcy Rosji, w tym Putin osobiście, w przekonywanie liderów Zachodu, że Ukraina jest tworem sztucznym, a to projektem austro-węgierskiego sztabu generalnego z czasów I wojny światowej, a to wymysłem bolszewickim, a to produktem polskiego spisku, a język ukraiński jest ledwie ułomną gwarą języka rosyjskiego. Tezy te, z ich całym samodurstwem, wygłaszane chociażby przed i przy okazji szczytu NATO w Bukareszcie w 2008 r., mogły budzić zażenowanie, ale niestety nie pozostawały bez wpływu na poglądy niektórych polityków zachodnich.

W 2011 r. wizytował Warszawę szef ważnej organizacji europejskiej. Podejmował go roboczym lunchem minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski. Kiedy polski minister poruszył kwestię sytuacji na Białorusi, usłyszał od rozmówcy retoryczne pytanie o to, kimże są w istocie ci Białorusini. Przecież na dobrą sprawę to Rosjanie – twierdził rozmówca. Mówią i myślą po rosyjsku - dowodził. A rozpad ZSRR pozostawił ich poza granicami Rosji. Minister Sikorski oniemiał. Poradził rozmówcy, żeby spróbował powiedzieć Irlandczykom, że w zasadzie, ponieważ mówią i myślą po angielsku, to są jedynie odszczepionymi Anglikami. I poczekał, jak zareagują.

Uznanie w 2019 r. przez Konstantynopol autokefalii Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego było niewątpliwie politycznym ciosem w doktrynę jednolitego ludu wszechruskiego.

Aleksander Sołżenicyn już wcześniej postulował przyjęcie za podstawę polityki integracyjnej Rosji „kwestii rosyjskiej” i skoncentrowanie się na jednoczeniu Rosjan, Ukraińców i Białorusinów (z uwzględnieniem zamieszkiwanych przez nich terenów Kazachstanu czy Mołdawii). Ale koncepcja „ruskiego miru” wykracza poza jego dezyderaty. Łączy elementy etnokulturowe z obywatelskimi, dając prawo identyfikacji z Rosją wszystkim, którzy wywodzą swoje korzenie od obywateli (poddanych) byłego ZSRR i carskiego imperium.

Jej wyrazem stał się masowy proces tzw. paszportyzacji, czyli wydawania rosyjskich paszportów obywatelom innych państw. Paszportyzacja była instrumentem wspierania separatystycznych władz w Abchazji, Osetii Południowej (mają tam rosyjskie paszporty prawie wszyscy) czy Naddniestrza. Była też realizowana z wigorem w okupowanym Donbasie. Ale z czasem nabrała ona wysokiego tempa nawet w byłych republikach sowieckich na Kaukazie Południowym czy w Azji Centralnej. A obecność na tych obszarach rosyjskich obywateli daje Rosji pretekst do występowania w obronie ich interesów, w tym ich bezpieczeństwa. Chociażby w Donbasie. Wysyłka rosyjskich sił do Kazachstanu w 2022 r. w celu okazania wsparcia miejscowemu reżimowi w zdławieniu protestów potwierdziła zasięg imperialnych ambicji Rosji i gotowość do wykorzystania karty mniejszości rosyjskiej w kontrolowaniu strefy wpływów.

Innymi słowy, jest „ruskij mir” wcieleniem doktryny rosyjskiej strefy wpływów na obszarze byłego ZSRR i to w najbardziej rewanżystowskim, imperialnym wydaniu. W swoim przemówieniu 18 marca 2014 r. Putin, uzasadniając aneksję Krymu, wyraził nadzieję, że zwłaszcza Niemcy zrozumieją dążenia „rosyjskiego świata” do odbudowy jedności, wynikające z rosyjskiej historii. Co prawda, już w 2015 r. Ławrow próbował negocjować ten zamiar i aspiracje do „zbierania ziem rosyjskich”. Porównywał „ruskij mir” do frankofonii, wspólnoty iberoamerykańskiej, działalności instytutów Goethego, Konfucjusza czy Cervantesa. „Ruskij mir” miał być projektem dotyczącym kultury, wartości, języka i religijnych przekonań. Mydleniem to oczu się okazało.

„Ruskij mir” wszakże nie jest tożsamy z ideą integracji euroazjatyckiej. „Ruskij mir” jest szerszą formułą o zabarwieniu ideologicznym, koncepcją „soft power” dla uzasadnienia działań nawet zbrojnych. Integracja eurazjatycka jest zaś projektem ściśle geopolitycznym, strategicznym, instytucjonalnym, regulacyjnym. „Ruskij mir” jest poza tym instrumentem wymierzonym głównie w integrację obszarów etnicznie bliskich Rosji (słowiańskich, z dużą liczbą mniejszości rosyjskiej lub tzw. osób rosyjskojęzycznych), ale także tych, które wymknęły się lub wymykają rosyjskiej kontroli (jak Ukraina, Gruzja czy Mołdawia). Integracja eurazjatycka ma natomiast zasięg odpowiadający rosyjskim możliwościom kontroli geopolitycznej. Tak więc „ruskij mir” nie jest doktryną szczególnie eksponowaną np. wobec Armenii, bo jest (na razie) Armenia zdana geopolitycznie na konieczność udziału w integracji eurazjatyckiej. Ale kiedy eurazjatyckie argumenty zawodzą, może być „ruskij mir” przywołany jako element presji. Tak zinterpretowano oświadczenia Putina, który wypominał Kazachom brak tradycji państwowej i sugerował, że Kazachowie winni być zainteresowani byciem częścią „większego rosyjskiego świata”.

Po drugie, „rosyjski świat” był płaszczyzną łączności z rosyjską diasporą na całym świecie. To sposób na budowanie historycznej ciągłości w relacjach z emigracją, przewyciężenie zwłaszcza podziałów, jakie wywołał bolszewicki okres we wspólnych dziejach. Inicjatywy takie, jak powstała w 2007 r. Fundacja Rosyjskiego Świata, bardzo szybko wyszły poza ramy budowania łączności z rosyjskimi współziomkami w „bliskiej i dalszej zagranicy” i zaczęły obejmować wszystkich obcych obywateli, którzy nie tylko mówią po rosyjsku i lubią rosyjską kulturę, ale generalnie dobrze życzą Rosji. Problemem realnym jest to, że w większości zachodnie wspólnoty rosyjskiej diaspory choć pragną podtrzymywać więź z kulturą rosyjską, nie chcą niekiedy politycznie identyfikować się z reżimem Putina i głoszonymi przez niego wartościami (homofobia, etc.). Ale „osoby dobrze życzące Rosji”, poza niektórymi wyjątkami, sympatię do Rosji łączą z sympatią do Putina. Demonstracje Rosjan, które odbyły się w kilku miastach niemieckich w trakcie najazdu rosyjskiego na Ukrainę w 2022 r., pokazały mimowolnie siłę oddziaływania „ruskiego miru” na mentalność diaspory.

Po trzecie, był „rosyjski świat” wehikułem budowy wizerunku Rosji w świecie, ideologicznym napędem rosyjskiej dyplomacji publicznej. Począwszy od 2004 r. rosyjska dyplomacja publiczna nabrała wysokiej intensywności. Jej okrętem flagowym stały się kanał telewizyjny „RT” i serwis informacyjny „Sputnik”. Z dziennikarstwem nie miały wiele wspólnego. Były tubami propagandy politycznej. Trzeba było rosyjskiej wojny przeciw Ukrainie, żeby w państwach zachodnich ostatecznie ich zakazano.

W tym - wizerunkowym - sensie jest w przekazie publicznym „ruskij mir” apoteozą Pax Russica.

Budował on wizerunek Rosji jako odrębnej cywilizacji opartej na zdrowych wartościach. W 2008 r. ten rodzaj myślenia został nawet odzwierciedlony w doktrynie polityki zagranicznej Rosji. Zgodnie z nią rywalizacja globalna nabrała wymiaru cywilizacyjnego i stała się rywalizacją między systemami wartości i modelami rozwojowymi. Rosja jest w niej sytuowana jako obrońca czynnika moralności i duchowości w rozwoju cywilizacyjnym. Rosja zadeklarowała się jako odrębna, konserwatywna cywilizacja. Jej zagłada, w opinii autorów, oznaczałaby nieuchronność zapanowania nad światem (a przynajmniej jego zachodnią częścią) dystopijnych scenariuszy żywcem wziętych z hukslejowskich wizji. Wymyślono nawet pojęcie „państwo-cywilizacja”, które politologia rosyjska gorączkowo opisywała, przymierzając je nie tylko do Rosji, ale i do Chin.

Wizerunek Rosji jako państwa opartego na silnej władzy i konserwatywnych wartościach przemawiał do przekonania wielu zachodnim politykom, w tym zwłaszcza ze skrajów politycznego spektrum, nacjonalistycznych i faszystujących. Próbowali znaleźć oni w Putinie wzorzec twardego polityka i patrona konserwatyzmu. I byli przez Putina cynicznie wykorzystywani (jako „użyteczni idioci”) w jego planie wspierania tendencji destabilizacyjnych na Zachodzie, osłabiania zwartości Zachodu, doprowadzenia przez populizm do swoistej anomii, która rozłożyłaby społeczeństwa zachodnie od środka. Nawet jeśli nie sposób przypisać tym politykom *dolus directus*, ich proputinizm był najbardziej antyzachodnim działaniem politycznym doby dzisiejszej. Niektórzy z nich zdobyli się dziś na ekspiację i uderzenie w piersi. Ale czy szczerze?

Ideologiczny, konserwatywny wymiar polityki rosyjskiej wspierała cerkiew prawosławna, ale bez posługiwania się terminem „ruskiego miru”. Woląла zawsze pojęcie „świętej Rosji”.

Był w sumie „ruskij mir” doktryną na tyle rozmytą i elastyczną, że mógł być argumentem w negocjowaniu przez Rosję jej mocarstwowej roli w świecie i statusu jako odrębnego centrum wpływów w Europie. Ale stał się źródłem jej ostracyzmu i symbolem moralnego i cywilizacyjnego upadku.

8. Internacjonalizm proletariacki

Pobratymstwo może mieć nie tylko wymiar językowy, etniczny, religijny. Można odrzucać bowiem plemiennosc etniczno-kulturową jako taką i próbować dowodzić prymatu innych więzi (i podziałów) społecznych, a zwłaszcza klasowych. Takie były skutki przeniknięcia marksizmu (a zwłaszcza leninizmu) do polityki zagranicznej.

Na proletariackiej tożsamości klasowej podjęto próbę zbudowania nowej postaci solidaryzmu międzynarodowego. Pierwszą i najważniejszą dyrektywą polityki zagranicznej ZSRR i obozu socjalistycznego była doktryna internacjonalizmu proletariackiego. Była ona również oficjalną doktryną dyplomacji PRL. Odeszła ona już w niepamięć. Nawet państwa nadal identyfikujące doktrynę państwową z ideologią komunistyczną (jak Chiny, Kuba, czy KRLD) internacjonalizmu proletariackiego nie eksponują. Jeśli już, to tylko jego antyimperialistyczne, antyzachodnie ostrze. Opis tej ideologii może jednak posłużyć jako okazja do reminiscencji historycznych, przypominających doktryny polityki zagranicznej czasów słusznie minionych.

Przywódcy ZSRR konsekwentnie zapewniali, że socjalizm oznacza budowę nowego typu stosunków międzynarodowych. Zasada internacjonalizmu proletariackiego miała być fundamentem nowego ładu. Pojawiła się wcześniej w rozwoju międzynarodowego ruchu robotniczego. Wyrażało ją m.in. hasło „proletariusze wszystkich krajów, łączcie się”. A Marks w kontekście polskiego powstania styczniowego dowodził, że służyła ona nie tylko interesom klasy robotniczej, lecz wyzwoleniu wszystkich uciskanych narodów. Lenin zaś ogłosił aksjomatem tezę, że częścią internacjonalizmu proletariackiego powinno być wspieranie ruchów narodowyzwolenicznych i antykolonialnych.

Ale głównym celem internacjonalizmu była konsolidacja ruchu robotniczego. W duchu internacjonalizmu tworzone międzynarodówki partii robotniczych, w tym i Komintern.

Po zwycięstwie rewolucji bolszewickiej doktryna internacjonalizmu nabrała charakteru polityki państwowej. To z jej pomocą uzasadniano zbrojne zdławienie przez sowiecką Rosję niepodległości republik narodowych na Kaukazie Południowym, na Białorusi i w Ukrainie, a także pomoc bolszewików dla rewolucji niemieckiej i węgierskiej. A kiedy nadzieje na rewolucyjną reakcję łańcuchową w Europie upadły, absolutnym priorytetem stało się wspieranie ruchów robotniczych w świecie kapitalistycznym i ruchów narodowyzwolenicznych w koloniach. Prowadząc wielokrotnie do oskarżeń o eksport rewolucji, sponsorowanie działalności wywrotowej i irredentystycznej.

Ale kiedy wymagały tego względy geopolityczne, na przykład po niemiecko-sowieckim pakcie z Rapallo w 1922 r., czy po pakcie Ribbentrop-Mołotow w 1939 r., solidaryzm był wygaszany, co w szczególności odczuli dotkliwie komuniści w Niemczech w latach 1939-1941. Stalin nie kiwnął palcem, kiedy pakowano ich do obozów koncentracyjnych.

Internacjonalizm proletariacki znalazł nowe teoretyczne obleczenie po II wojnie światowej. Jako konsekwencja Jałty powstał obóz państw socjalistycznych. A rewolucja komunistyczna zwyciężyła w Chinach i zaczęła rozlewać się po Azji (KRLD, Indochiny). Socjalizm ogłoszono na Kubie.

Całościowa doktryna internacjonalizmu proletariackiego obejmowała więc trzy elementy składowe. Po pierwsze, był to solidaryzm w ramach wspólnoty państw socjalistycznych. Po drugie, chodziło o wsparcie dla ruchów komunistycznych i robotniczych na całym świecie. Po trzecie, postulowano sprzyjanie ruchom narodowyzwolenicznym, dekolonizacji i emancypacji narodów.

Spójność doktryny internacjonalizmu zakłócały wewnątrzwspólnotowe konflikty, w tym m.in. wykluczenie ze wspólnoty Jugosławii, oskarżonej o renegeactwo w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, wielka schizma z Chinami pod koniec lat pięćdziesiątych, mała schizma z Albanią

na początku lat sześćdziesiątych. Okazało się, że, wbrew doktrynie, państwa głoszące wierność ideologii komunistycznej mogą prowadzić między sobą nawet działania zbrojne (incydent na wyspie Damanski w 1969 r.). Geopolityczny uzus wyraźnie różnił się z teoretycznymi założeniami.

Internacjonalizm zakładał specjalny charakter relacji w ramach wspólnoty państw socjalistycznych. Fakt, że wspólnota ta nie obejmowała wszystkich państw budujących socjalizm i rządzonych przez partie komunistyczne (a tylko te, które uznawały hegemonię Sowietów), powodował, że ideolodzy sowieccy (i nie tylko) musieli zaproponować naukową definicję wspólnoty, która przykrywałaby prawdę, że o przynależności do wspólnoty rozstrzyga najzwyczajniej uznanie przywództwa ZSRR w tym gronie. Była więc wspólnota formułą akceptacji sowieckiego imperializmu (hegemonizmu).

Dworscy ideolodzy stanowili więc, że o przynależności do wspólnoty decyduje spełnienie czterech warunków: funkcjonująca w praktyce dyktatura proletariatu, ustrój socjalistyczny w gospodarce, ideologia marksistowska jako podstawa rozwoju społecznego i antyimperialistyczna polityka zagraniczna. Relacje w ramach wspólnoty miały zaś opierać się na trzech głównych zasadach: socjalistycznej jedności, internacjonalizmie i pomocy wzajemnej. Socjalistyczna jedność zakładała wymóg stałej i ścisłej koordynacji. Dopuszczano istnienie sprzeczności między interesami państw socjalistycznych, ale określano je jako sprzeczności nieantagonistyczne. Nie zakłócały całościowej homeostazy. Internacjonalizm socjalistyczny traktowano jako przedłużenie internacjonalizmu proletariackiego. Miał on przewycięzać spuściznę starych nacjonalizmów, przeciwdziałać pojawianiu się nowych. Pomoc wzajemna zaś była traktowana jako konieczne uzupełnienie tradycyjnych form współpracy gospodarczej.

Wspólnota socjalistyczna wykształciła dwie instytucjonalne płaszczyzny działania: Radę Wzajemnej Pomocy Gospodarczej i Układ Warszawski. Znamienne, że w polskim MSZ problematykę RWPG przez wiele lat prowadził departament krajów socjalistycznych, zaś UW był w gestii oddzielnego departamentu ds. relacji z ZSRR.

Internacjonalizm skompromitowały niekończące się ingerencje Sowietów w życie państw tzw. wspólnoty socjalistycznej, ręczne sterowanie działalnością partii komunistycznych na świecie i geopolityczna instrumentalizacja ruchów narodowowyzwoleńczych. Jak opowiadał mi jeden ze znajomych rosyjskich filozofów, skierowany dawno temu do pracy w redakcji czasopisma „Problemy Pokoju i Socjalizmu” w Pradze, nie dziwiła go obecność „teoretyków” spod znaku Irlandzkiej Armii Republikańskiej w kolejce do internacjonalistycznej kasy po odbiór wynagrodzenia.

Był „internacjonalizm” jednym z podręcznikowych przykładów orwellowskiego double-speaku. Zniknął z kart teorii stosunków międzynarodowych po krachu światowego systemu socjalistycznego. I nie da się w żaden sposób wykorzystać szlachetnych jego skojarzeń (przewyciężanie narodowych uprzedzeń) do krzewienia empatii międzynarodowej i zdrowego kosmopolityzmu. A wciąganie dziś sowieckiej czerwonej flagi z sierpem i młotem (obok flagi rosyjskiej) na maszty w okupowanych przez Rosjan miastach w Ukrainie potwierdza tylko asocjacje doktryny z ekspansją i podbojem.

9. Pomoc wzajemna

W okresie swojego istnienia tzw. obóz państw socjalistycznych (a w praktyce sowieccy ideolodzy) próbował budować doktryny polityki, które uzasadniałyby tworzenie się w ramach obozu nowych

paradygmatów stosunków międzynarodowych. Jednym z kluczowych pojęć tamtych czasów stała się „pomoc wzajemna”. Określać ona miała istotę gospodarczych relacji między państwami rodziny socjalistycznej. Trudno o bardziej solidarystyczne określenie, mimo iż dysproporcje rozwojowe i wielkościowe między poszczególnymi państwami nakazywały podawać w wątpliwość wiarygodność doktryny. To, że wielki ZSRR mógł pomagać Mongolii, nie ulegało wątpliwości. Na ile Mongolia była w stanie pomagać na przykład zaawansowanej industrialnie Czechosłowacji, mogło zastanawiać. Ale brzmiało szlachetnie.

Radę Wzajemnej Pomocy Gospodarczej powołano w styczniu 1949 r. jako propagandową odpowiedź na Plan Marshalla i zablokowanie przez ZSRR możliwości udziału Polski i Czechosłowacji w realizacji Planu. Rada miała służyć okazywaniu pomocy „w surowcach, żywności, maszynach i urządzeniach” oraz w „wymianie doświadczeń”. Idea wykorzystania Rady jako narzędzia podziału pracy i integracji gospodarczej pojawiła się wiele lat później. Członkami założycielami byli ZSRR, Polska, Czechosłowacja, Węgry, Rumunia i Bułgaria. Albania dołączyła miesiąc później (ale w 1961 r. przestała brać udział w pracach Rady), NRD - po roku (tj. we wrześniu 1950 r.), a Mongolia w 1962 r.

Nie ma w dokumentach żadnych śladów, że intencje Stalina zakładały cokolwiek więcej niż odgródzenie instytucjonalnym murem sowieckiego zewnętrznego imperium od Zachodu. I maksymalizację własnych korzyści. Jednym z pierwszych decyzji RWPG było wprowadzenie zasady otwartej dostępności technologii i patentów w ramach organizacji na warunkach symbolicznej opłaty (tzw. zasada sofijaska). Powodowało to, że państwa o wysokim poziomie rozwoju technologicznego, jak NRD czy Czechosłowacja, musiały dzielić się zdobyczami technologicznymi z ZSRR na wysoce korzystnych dla ZSRR zasadach. Kiedy ZSRR zdobył kosmos i rozwinął technologię wojskową zasadę sofijaską zarzucono. Przestała mu się opłacać.

Początkowo w Moskwie uważano, że łatwiej kontrolować blok socjalistyczny będzie metodami dwustronnymi. Stalin polecił więc wyhamować działalność RWPG, kiedy pierwszy propagandowy efekt po jej utworzeniu został uzyskany. Miała Rada zajmować się ułatwianiem handlu i wymianą informacji o planach gospodarczych. Uzgodniono protokół o koordynacji planowania (nigdy go nie ratyfikowano). Ale w praktyce nie działało się tam nic.

Ożywienie przyszło w połowie lat pięćdziesiątych. Na tle wydarzeń w Polsce i na Węgrzech ujawnił się dotychczasowy nieekwiwalentny charakter stosunków gospodarczych z ZSRR. Rządzący w Polsce komuniści przyznali, że eksportowano do ZSRR węgiel i inne surowce po zaniżonych cenach. Chruszczowowska ekipa postanowiła uwiarygodnić format współpracy wielostronnej. Utworzono stałe komisje i zaczęto mówić o potrzebie koordynacji planów gospodarczych. Uzgodniono statut organizacji, wprowadzono wspólną walutę – rubla transferowego. W 1961 r. ustalono zasady socjalistycznego podziału pracy. Jednakże radzieckie naciski, aby doprowadzić do zintegrowanego planowania gospodarczego dla państw RWPG i ścisłej specjalizacji, nie przyniosły rezultatu. Doszło do tego, że w połowie lat 60-ych zaczęła się wyłaniać zasada, że każdy z członków organizacji może wykluczyć się ze wspólnego projektu, jeśli nie widzi w nim korzyści. A handel z państwami zachodnimi rósł w przypadku większości państw RWPG o wiele szybciej niż wymiana w gronie wspólnoty.

Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych nastąpiła zmiana paradygmatu relacji gospodarczych w ramach wspólnoty. Pomoc wzajemną i współpracę zamieniono pojęciem „integracji socjalistycznej”. Z pobudek ideologicznych kładziono nacisk na jej zasadniczą odmienność od praktykowanej już od lat integracji kapitalistycznej. Socjalistyczna integracja w odróżnieniu od kapitalistycznej miała prowadzić do wyrównywania różnic rozwojowych, likwidowania niedoborów i optymalizacji wysiłków produkcyjnych (integracja kapitalistyczna miała różnice pogłębiać, dominację silniejszych wzmacniać, a rynki monopolizować). Integracja socjalistyczna w ramach RWPG obejmowała już i Mongolię (od 1962 r.), i Wietnam (od 1978 r.), i

Kubę (od 1972 r.). A Jugosławia miała od 1964 r. specjalny status stowarzyszenia. Obserwatorami lub państwami współpracującymi było kilkanaście państw, w tym na przykład Finlandia. RWPG obejmowała prawie pół miliarda ludzi mieszkających na trzech kontynentach.

Lata siedemdziesiąte uczyniły RWPG wygodną tarczą, która ochroniła większość państw przed skutkami gwałtownego wzrostu cen na ropę i innymi reperkusjami kryzysu naftowego. Mechanizm cenowy w ramach wspólnoty był solidnym amortyzatorem. A kilka państw członkowskich (jak gierkowska Polska) otworzyło się na zachodnie kredyty i technologie, dywersyfikując swoje powiązania gospodarcze. Rola wymiany handlowej w ramach RWPG konsekwentnie spadała, przy zachowaniu dominującej pozycji ZSRR jako partnera handlowego w dwustronnych relacjach. Była RWPG coraz bardziej anachronicznym instrumentem separującym państwa socjalistyczne od gospodarki światowej. Ta separacja miała swe dobre strony poprzez zaniżanie cen surowców i rozwijanie barterowych wymian, ale czyniła ich gospodarki coraz mniej konkurencyjnymi. A państwowy monopol na handel zagraniczny nasącał cały system korupcją i czynił absolutnym priorytetem ochronę własnego rynku. Socjalistyczny podział pracy zapewniał uprzywilejowaną pozycję np. węgierskim autobusom Ikarus, czechosłowackim tramwajom Tatra, radzieckim wagonom metra z Mytiszcz, mimo iż w niektórych innych krajach rozwijano całkiem konkurencyjne, jeśli nie lepsze rodzaje środków transportu, ale tylko na wewnętrzny rynek.

Lata osiemdziesiąte dla kilku z nich (w tym zwłaszcza dla Polski i Rumunii) oznaczały głęboką zapaść gospodarczą, zaciskanie rosnącej pętli zadłużeniowej. Gorbaczowowskie próby reformowania RWPG nie zdążyły nabrać żadnego realnego kształtu. Dezintegracja obozu socjalistycznego uczyniła nieuchronnym rozwiązanie RWPG, co nastąpiło w połowie 1991 r.

Miała RWPG rozbudowaną strukturę wewnętrzną z corocznymi sesjami Rady na szczęblu szefów rządów jako władzą najwyższą. Komitet Wykonawczy zapewniał stały kontakt państw-członków, a sektorowe problemy rozwiązywały cztery komitety Rady (ds. planowania, ds. współpracy naukowo-technicznej, ds. zaopatrzenia materiałowo-technicznego, ds. przemysłu maszynowego), dwadzieścia cztery stałe komisje, sześć konferencji międzyrządowych i inne ciała. Sekretariat mieścił się w Moskwie i kierował nim zawsze przedstawiciel ZSRR. Ale nie dysponowała Rada żadnymi kompetencjami ponadnarodowymi. A wszystkie ustalenia musiały zapadać jednomyślnie (od lat sześćdziesiątych zamiast blokowania inicjatyw państwa z reguły wybierały opcję „opt-out”).

W praktyce oczywiście decydujący wpływ na funkcjonowanie RWPG miał ZSRR. Na ZSRR przypadało zresztą dwie trzecie PKB całego ugrupowania, 70 procent ludności, 90 procent terytorium i zasobów naturalnych. A w obrotach handlowych dola ZSRR oscylowała od 90 proc. w pierwszych powojennych latach do sześćdziesięciu procent w latach osiemdziesiątych w przypadku większości członków RWPG. Jednostronna zależność gospodarcza od ZSRR była inwariantnym defektem RWPG. Ale z upływem czasu poszczególni członkowie coraz bardziej chronili własne interesy, opierali się pomysłom ściślejszej integracji, wyłamywali ze wspólnych projektów. Czyniło to organizację coraz bardziej kosztowną biurokratyczną wydmuszką.

Rozpad RWPG okazał się dla jej członków niedogodnością do pokonania. Co prawda, nawet w Polsce wieszczono katastroficzne jego skutki. Sam pamiętam jednego z długoletnich dyplomatów PRL, który żegnał RWPG ze łzami w oczach (po przesłuchaniu sejmowym w ramach procesu obejmowania pewnej wschodnioazjatyckiej placówki już jako ambasador RP) i zapowiadał, że żałować tego będziemy setnie, co już wtedy (w 1991 r.) brzmiało bardziej jak spazm oligofreniczny niż ideologiczny wyrzut. Gwoli prawdy, upadały całe fabryki produkujące na radziecki i socjalistyczny rynek, ale gospodarki państw Europy Środkowej szybko przestawiły się na handel z rynkami zachodnimi. Do żadnej kacheksji porozpadowej nie doszło.

Siedzibę RWPG przejęły władze miejskie Moskwy, a wkładu poszczególnych państw członkowskich w jej budowę tak i nie udało się nigdy od Rosjan odzyskać.

RWPG-owskie upiory pojawiają się wszakże, kiedy zacznie się człowiek przyglądać mechanizmom działania Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej. Niby kontekst historyczny i gospodarczy zupełnie inny. Ale wymuszone geopolityką członkostwo (casus Armenii), gigantyczna asymetria potencjałów ekonomicznych, wyraźny przechył w korzyściach na rzecz jednego państwa, polityczne sterowanie procesami gospodarczymi, wszystko to budzi zapomniane, wydawałoby się, skojarzenia.

„Pomoc wzajemna” znikła z leksykonów politycznych. Zastąpiła ją o wiele uczciwsza „pomoc rozwojowa”, o czym w dalszej części rozważań. Ale i w tym kontekście nie przekonuje „pomoc” jako czynnik wyrównywania poziomów rozwoju. W państwach Europy Środkowej i Wschodniej w latach dziewięćdziesiątych „pomoc wzajemną” zastąpiły fundusze pomocowe Phare i TACIS, czy też US Aid.

10. Sojusz ustrojowy

Kontynuując historyczny ekskurs w czasy minione, opiszemy teraz militarno-polityczny wymiar tzw. solidaryzmu klasowego, czyli funkcjonowanie obozu państw socjalistycznych jako bloku wojskowego. Ale jak się okazało, jego głównym zadaniem stało się pilnowanie ustrojowej ortodoksji. Miał blok wojskowy bronić obóz przed wrogiem zewnętrznym, a bronił nasadzoną przez Sowietów elitę władzy przed gniewem własnego ludu.

ZSRR chciał niewątpliwie kontrolować w imię spójności obozu socjalistycznego politykę bezpieczeństwa poszczególnych państw. Instrumentem sprawowania kontroli przez ZSRR polityk bezpieczeństwa państw satelickich był Układ Warszawski. Zawarto go (jako Układ o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej) w maju 1955 r. Stanowił propagandowo reakcję na włączenie RFN w szeregi NATO. Członkami założycielami były ZSRR, Polska, Czechosłowacja, Węgry, Rumunia, Bułgaria, a także Albania (opuściła sojusz w 1968 r.). NRD doszłusowała w 1956 r., ale nie dotrwała do końca żywota Sojuszu (opuściła struktury wojskowe we wrześniu 1990 r.).

Był Układ Warszawski elementem kontroli ze strony radzieckiego imperium nad europejskimi satelitami. Jednym z wielu, i nie najważniejszym. Do jego powołania sowiecka hegemonia w wymiarze polityczno-wojskowym odbywała się z pomocą mechanizmów dwustronnych. One zresztą zawsze pozostały decydujące.

Układ Warszawski wyglądał początkowo jako twór ledwo papierowy, który miał nadawać cechy wielostronnego sojuszu totalnej zależności europejskich państw socjalistycznych (w sprawach bezpieczeństwa i nie tylko) od ZSRR. Wszystkie armie państw sojuszniczych były operacyjnie podporządkowane dowództwu sowieckiemu. W czasie wojny miały być integralnym elementem radzieckich ugrupowań frontowych. Umowy i porozumienia dwustronne w sferze wojskowej miały charakter spisu obowiązków ze strony satelitów wobec „wielkiego brata”. Dopiero w 1969 r. przyjęto Statut Zjednoczonych Sił Zbrojnych. A w 1979 r. odnowiono go rozszerzając ustalone zasady funkcjonowania dowództwa na czas wojny (Rumunia nigdy zasad działania organów dowódczych w czasie wojny formalnie nie ratyfikowała).

Zjednoczone Dowództwo funkcjonowało na prawach jednego z kilkunastu zarządów sowieckiego sztabu generalnego. Funkcje dowódcze sprawowali wyłącznie Rosjanie. Delegowani do sztabu oficerowie pozostałych państw UW nie stanowili więcej niż 20 procent personelu Sztabu Zjednoczonego Dowództwa. A w czasie wojny radzieccy generałowie dowodziliby sojuszniczymi jednostkami bezpośrednio, bez oglądania się na narodowe czy sojusznicze struktury.

W czasie wojny Ludowe Wojsko Polskie miało wystawić trzy armie ogólnowojskowe oraz armię lotniczą. W ramach tzw. frontu polskiego (nadmorskiego) miały one ruszyć na Danię, północne Niemcy i Holandię. Od połowy lat osiemdziesiątych XX wieku Polska zobowiązana była wydzielać na czas wojny pięć dywizji pancernych, jednaście dywizji zmechanizowanych (w tym trzy rezerwowe) i dwie brygady desantowe oraz trzy dywizje lotnicze.

W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku zbudowano w ramach UW jednolity system obrony powietrznej łączący narodowe systemy państw-członków. Zakładał on wspólny monitoring przestrzeni powietrznej, rozbudowaną sieć radiolokacji i łączności, i odpowiednie rozmieszczenie systemów rakietowych i samolotów przechwytyjących. W Polsce rozlokowano kilkadziesiąt dywizjonów rakiet do zwalczania celów powietrznych.

Z racji członkostwa w UW Polska musiała przyjąć na własnym terytorium nie tylko wojska radzieckie (nasze własne traktowano jako wystarczające jedynie dla osłony północnej flanki głównego rzutu wojsk sowieckich), ale także broń jądrową. Łącznie poza granicami ZSRR utrzymywano ponad 20 magazynów z bronią jądrową. W Polsce w trzech radzieckich jednostkach (Templewo, Brzeźnica, Podborsk) przechowywano głowice, które miały być wydane polskim jednostkom rakietowym (uzbrojonym w systemy Elbrus i Luna) i lotniczym (samoloty Su-22). Łącznie było to 178 ładunków w postaci głowic i bomb. Decyzje o ich wydaniu mogło podjąć tylko Dowództwo Zjednoczonych Sił Zbrojnych UW. Oczywiście Północna Grupa Wojsk Radzieckich posiadała na naszym terytorium broń jądrową do wyłącznie własnej dyspozycji (Szprotawa, Bagicz i inne lokalizacje).

Miał Układ Warszawski swój wymiar polityczny. Zetknąłem się z jego funkcjonowaniem osobiście, choć już w schyłkowym okresie istnienia UW. Multilateralna dyplomacja w jego ramach miała oczywiście swoje niepowtarzalne cechy.

Odbywały się regularnie sesje Doradczego Komitetu Politycznego (z udziałem pierwszych sekretarzy partii komunistycznych państw UW), Komitetu Ministrów Spraw Zagranicznych. Formuływały one wspólne stanowisko państw sojuszu w najistotniejszych kwestiach bezpieczeństwa europejskiego (i nie tylko). To właśnie forum UW wykorzystywano do prezentacji ważnych inicjatyw politycznych, jak choćby w sprawie ogólnoeuropejskiej konferencji współpracy i bezpieczeństwa (1969 r.), czy rozbrojenia konwencjonalnego w Europie (1986 r.).

Był UW niewątpliwie od lat sześćdziesiątych polemkiem rozwijania aktywności dyplomatycznej państw satelickich. NRD próbowała na jego forum przekonywać sojuszników do własnej wizji uregulowania problemu niemieckiego (uznania jej przez Zachód). Polska kontratakowała forsując wizję własną (uznanie polskich granic zachodnich przez RFN przed normalizacją stosunków dwustronnych z państwami socjalistycznymi). Rumunia pokazywała swoją odmiennosc (niezgoda na rozerwanie stosunków dyplomatycznych z Izraelem i na potępienie go po wojnie 1967 r.), a czasem (ale za zamkniętymi drzwiami) demonstrowała farysowską wręcz brawurę.

W epoce gorbaczowskiej można było odnieść wrażenie, że podstawowym celem polityki sowieckiej było wykorzystywanie Układu do utrzymywania jako takiej spójności wspólnoty, w której coraz bardziej uwidaczniały się pęknięcia. Sojusznicy zaczęli się różnić wtedy m.in. w ocenie polityki Gorbaczowa (Węgry i z czasem Polska zajmowały pełne życzliwości stanowisko, Rumunia czy NRD patrzyły na pierestrojkę z coraz większym strachem). Dzieliła też sojuszników coraz bardziej polityka zagraniczna Gorbaczowa (Węgry i Polska chciały ją wykorzystać do większego otwierania się na Zachód). Ujawniły się napięcia dwustronne (węgiersko-rumuńskie na tle sytuacji mniejszości węgierskiej) czy polsko-niemieckie (spór o przebieg toru podejściowego do Świnoujścia).

Wszystkie dokumenty końcowe posiedzeń gremiów politycznych UW były negocjowane w oparciu o projekty przygotowywane w Moskwie. Rumuni, kiedy byli gospodarzami spotkań politycznych

Układu, próbowali przedkładać własne dokumenty, ale zawsze państwa członkowskie opowiadały się za tym, aby prace redakcyjne prowadzone były na gruncie projektów sowieckich. A Rumunom przychodziło z goryczą z tym się godzić.

Polska, przynajmniej u schyłku istnienia bloku, próbowała wnieść wyłom w praktykę przygotowywania projektów do negocjacji. Taką próbę podjęto już przed posiedzeniem Doradczego Komitetu Politycznego w Warszawie w lipcu 1988 r. Chodziło o to, aby projekt gospodarza był rzeczywiście naszego autorstwa, a jednocześnie nie nadział się na kontrę w postaci kontrprojektu sowieckiego. Dyrektor Departamentu Studiów i Programowania MSZ Jerzy M. Nowak, który miał przewodniczyć z ramienia Polski roboczym negocjacom nad dokumentem końcowym szczytu warszawskiego, przekonał kierownictwo resortu, że powinniśmy wyjść z własnym projektem. Kręcili wszakże nosem koledzy z Departamentu ds. Relacji z ZSRR, którzy odpowiadali za sprawy UW. Nowak poprosił mnie o projekt tekstu. Napisałem dokument w dobrej wierze (jak mi się wtedy wydawało w zgodzie z duchem gorbaczowowskiego „wspólnego europejskiego domu”, a może nawet bardziej). Koledzy z departamentu terytorialnego nalegali wszakże, aby najpierw projekt pokazać w Moskwie i aby to oni pojechali do Moskwy go przekazać. Nie zdziwiło mnie więc, że kiedy po kilkunastu dniach otrzymaliśmy zwrotnie „poprawiony” tekst, był słabym odbiciem naszych intencji. Zupełnie jakby do Moskwy one nie dotarły. Ale same negocjacje nad tekstem przed samym posiedzeniem były dalekie od pozorowanych. Spędziliśmy w sporach kilkadziesiąt ładnych godzin.

Największe rozczarowanie przyszło jednak podczas wysłuchiwanie przemówień liderów świata komunistycznego już na samej sesji plenarnej DKP. Tekst Jaruzelskiego roztaczał posępna wizję sytuacji w Europie, odwoływał się do rosnącej agresji imperializmu (i rewanżyzmu), straszył konfrontacją. Niewiele różnił się od tyrad Ceausescu czy Honeckera. A z pewnością bardzo odbiegał od odprężeniowego tonu Gorbaczowa. Miałem wtedy kolegę w sztabie „speechwriterskim” Wiesława Górnickiego, który odpowiadał za przygotowanie przemówienia. „Co się dzieje? Z projektu przygotowanego w MSZ zostały strzępy” - zapytałem. „Miało być tak, jak chciał Florek (czytaj: minister obrony narodowej Florian Siwicki). Nie będziemy teraz mieszać w głowie generałom” – usłyszałem. Przypomnę: był to już rok 1988.

W negocjacjach nad dokumentami politycznymi UW Sowietci przyjmowali wtedy rolę raczej rozjemcy. Oznaczali na początku obrad wyraźnie czerwone linie własnego stanowiska. I były one raczej respektowane przez pozostałe państwa. „Towarzysze radzieccy” (zwani też w polskim gronie wtedy poufale „Radzianami”) skupiali się więc na mediowaniu i wyciszaniu sporów. Kiedy polscy przedstawiciele, którzy przewodniczyli negocjacom przed szczytem UW w 1988 r., próbowali przedłożyć kompromis np. w sporach węgiersko-rumuńskich, Rosjanie woleli, aby jednak rozstrzygać spór przy sowieckim udziale.

Polityczny początek końca Układu Warszawskiego widziałem już w grudniu 1988 r. Rumuni zwołali wtedy do Bukaresztu pilną naradę w związku z dobiegającym końca spotkaniem przeglądowym KBWE we Wiedniu. Przy wsparciu NRD i Czechosłowacji wprost prosili sojuszników, a już ZSRR szczególnie, o zablokowanie projektu dokumentu końcowego spotkania wiedeńskiego z powodu postanowień dotyczących praw człowieka i kontaktów międzyludzkich. Lodowatą atmosferę spotkania potęgował jeszcze katastroficzny wygląd Bukaresztu. Kilkunastostopniowy mróz, ciemności, puste ulice, puste półki. Sowietci po raz pierwszy odmówili: „Jeśli macie problem, musicie zgłosić go sami”. Frustracja Rumunów była niezemska. W godzinę po zakończonym fiaskiem spotkaniu, wyłączono nam w hotelu ogrzewanie (a samolot powrotny startował dopiero następnego dnia).

Po powołaniu w Polsce pierwszego niekomunistycznego rządu, musiał zmienić się sposób prowadzenia dyskusji politycznych w ramach UW. Minister Skubiszewski zdążył być jeszcze gospodarzem posiedzenia Komitetu Ministrów Spraw Zagranicznych Układu Warszawskiego w

październiku 1989 r. Z debat musiał zniknąć ideologiczny sztafaż. A negocjacje stać się bardziej partnerskie.

Układ Warszawski nigdy nie dorobił się własnego sekretariatu. Pojawił się taki pomysł w ostatnich latach jego funkcjonowania, ale rozwiązano Układ szybciej niż powołano by taki sekretariat. Przygotowywał od strony technicznej prace organów politycznych zespół pracowników MSZ ZSRR. Nie funkcjonowało stałe gremium polityczne o charakterze roboczym (w składzie ambadorskim). Kilka lat przed rozwiązaniem powołano co prawda Grupę Wzajemnej Informacji Bieżącej, ale pozostawała ona bez większego znaczenia.

Układ Warszawski, który miał być układem obrony zbiorowej, nigdy w tym celu użyty nie został. Był zaś używany do pacyfikacji wymykających się spod kontroli członków sojuszu bądź do siania strachu przed sowiecką interwencją.

Proletariacki internacjonalizm jako doktryna solidarystyczna zaczął służyć dla uzasadniania interwencji zbrojnych w państwach socjalistycznych w celu zapobieżenia ich emancypacji. Tak zrodziła się doktryna Breżniewa. O niej jeszcze będzie mowa oddzielnie.

Niechlubną tradycję wykorzystywania struktur sojuszniczych do pacyfikacji protestów i zamieszek wewnętrznych kontynuuje współcześnie Organizacja Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym. Na wniosek wyraźnie spanikowanego prezydenta Kazachstanu wysłała ona w 2022 r. kontyngent sił rosyjskich (i innych: białoruskich, kirgiskich i armeńskich – dla podtrzymania fikcji o zbiorowym działaniu) dla ochrony obiektów państwowych, a przede wszystkim jako sygnał, że gdzie, jak gdzie, ale w Kazachstanie żadnej zmiany władzy bez aprobaty Rosji nie będzie. *Nihil novi: hegemonia sub specie sojuszu.*

11. Doktryna Breżniewa

Doktryna interwencji pod czerwonym sztandarem została pierwotnie sformułowana w artykule Sergieja Kowalowa opublikowanym w „Prawdzie” we wrześniu 1968 r. pod tytułem „Suwerenność i międzynarodowe zobowiązania państw socjalistycznych”. W kanonicznej wersji Leonid Breżniew, najznamienitszy z falerystów wśród przywódców świata, opisał ją osobiście w swoim przemówieniu na V Zjeździe PZPR w listopadzie 1968 r.

A stanowiła ona, że „kiedy siły wewnętrzne i zewnętrzne wrogie socjalizmowi próbują zawrócić rozwój niektórych państw socjalistycznych ku kapitalizmowi, staje się to zagadnieniem nie tylko danego kraju, ale wspólnym problemem i troską wszystkich państw socjalistycznych”.

Doktryna posłużyła za uzasadnienie (*ex post*) interwencji państw Układu Warszawskiego (w sensie politycznym wszystkich jego członków poza Rumunią, która udziału odmówiła) w Czechosłowacji w sierpniu 1968 r. W operacji „Dunaj” wzięło udział ponad 400 tys. żołnierzy, 6300 czołgów, 800 samolotów. I była ona niewątpliwie pokazem sprawności organizacyjnej Paktu. Ale w wymiarze politycznym była zaprzeczeniem finezji.

Nie byłoby doktryny Breżniewa bez doktryny Stalina, sformułowanej jeszcze w 1945 r. dla uświadomienia skutków podziału jałtańskiego. Brzmiała ona mianowicie, że kto okupuje terytorium, wprowadza na nim swój własny ustrój społeczno-polityczny. Każdy narzuca swój system tam, dokąd posunie się jego armia. I tak się w istocie w przypadku pochodu sowieckiej armii stało, poza nielicznymi wyjątkami, jak choćby w Austrii. Jej część, którą okupowali Sowieci, była bowiem za mała, aby zbudować tam socjalizm.

A sowieckie interwencje miały miejsce nim jeszcze pojawiła się doktryna Breżniewa.

W noc z 18 na 19 października 1956 r. wojska radzieckie wyszły ze swoich baz i ruszyły po polskich drogach na Warszawę, aby siłą zapobiec niepożądanemu rozwojowi wypadków na szczytach władzy PZPR. Chruszczow pogodził się jednak z nieuchronnością polskich zmian październikowych i wojska radzieckie powróciły do koszar. Do konfrontacji zbrojnej nie doszło.

Pierwsza interwencja za trwania Układu Warszawskiego, i to najbardziej krwawa, dokonała się na Węgrzech w październiku i listopadzie 1956 r. Rząd Imre Nagy'a ogłosił 1 listopada wyjście Węgier z Układu Warszawskiego, ale tak naprawdę decyzja o krwawej rozprawie z protestującymi zapadła na Kremlu dzień wcześniej (mogła mieć na to wpływ informacja o planowanej deklaracji neutralności przekazana w Budapeszcie Mikojanowowi). Ulokowane już na Węgrzech 5 sowieckich dywizji wzmocniono o 12 dywizji, które sprowadzono z zewnątrz. I przeprowadzono brutalne stłumienie węgierskiego powstania. Chruszczow nie zaangażował sił zbrojnych innych państw komunistycznych, ale osobiście poinformował o interwencji w dniach 1-3 listopada przywódców państw UW (Gomułka dowiedział się o niej jako pierwszy na spotkaniu w Brześciu), a nawet Prezydenta Titę. Zginęło ponad 2000 węgierskich patriotów. Kiedy wypomina się zwolennikom Orbana, że jego proputinowska polityka urąga dziś pamięci tych ofiar, słyszeć można tłumaczenia, że przecież Chruszczow był Ukraińcem i tron narodowościowy interweniujących w 1956 r. sił stanowili Ukraińcy, więc jeśli mieć zadrę, to nie przeciw Rosjanom (i Putinowi), ale Ukraińcom. Tłumaczenie tyleż perfidne, co zakłamane.

Kolejna interwencja to operacja „Dunaj”. Rozpoczęła się ona 20 sierpnia 1968 r. Do Czechosłowacji wkroczyły jednostki bojowe ZSRR, Polski (25 tys. żołnierzy) i Węgier. Sztab interwencyjny operował w Legnicy. Doświadczeni lekcją węgierską Sowieci nie chcieli brać wyłącznie na siebie odium interwencji. Wymusili akcję sojuszniczą. Życie straciło ponad 100 Czechów i Słowaków.

Czystki, jakie dotknęły po interwencji aparat urzędniczy Czechosłowacji, odbiły się na stanie czechosłowackiej dyplomacji. Jeszcze pod koniec lat osiemdziesiątych na szczeblach ambasadorskich sporo było tam tępych doktrynerów. Pod względem profesjonalnym robili jak najgorsze wrażenie. Kiedy doszło do zmiany władzy po aksamitnej rewolucji musieli Czesi stawiać na outsajderów, albo wyciągać z niebytu ofiary czystek, jak choćby pewnego dyplomatę, który został w 1990 r. ambasadorem na rokowaniach w sprawie rozbrojenia konwencjonalnego i środków budowy zaufania we Wiedniu po wielu latach zesłania w archiwum czechosłowackiego MSZ. Wyciągnięty nagle z zacisza archiwum, długo czynił wrażenie oszołomionego, ale radę dawał sobie dzielnie.

Nie tylko w Czechach archiwum stało się instrumentem polityki kadrowej. Także w Polsce i to w najnowszych czasach. W ostatnich 25 latach do archiwum MSZ RP "zesłano" z powodów całkiem niemerytorycznych kilku byłych dyrektorów generalnych, kilku byłych dyrektorów, kilku byłych ambasadorów. Każda (za małymi wyjątkami) ekipa polityczna sięgała po ten środek, choć w latach 2005-2007 i od roku 2015 r. stosowano go ze szczególnym upodobaniem. W końcu lipca 2021 r. skierowano do świadczenia pracy w archiwum jednocześnie kilkanaście osób. Z dnia na dzień, bez pytania zainteresowanych, bez uzgodnienia z szefami komórek organizacyjnych, w których pracowali, bez przygotowania dla nich odpowiednich warunków pracy. Łączyło "zesłanych" jedno: wszyscy byli absolwentami MGIMO. Jak stwierdził pewien znawca historii polskiej dyplomacji, był to pierwszy przypadek zbiorowej szykany, jaki miał miejsce w polskim MSZ od 1968 r. Wtedy dyskwalifikowała "niestosowna" narodowość w drzewie genealogicznym, w 2021 r. dyplom "niestosownej" uczelni. A wtedy i dziś podtekstem było podejrzenie o tzw. nielojalność wobec państwa polskiego. Aż w tezę owego znawcy trudno uwierzyć. Ale o stosowności (bądź nie) porównań dzisiejszych praktyk do czasów słusznie minionych w innym miejscu. Nie brakło otwarcie krytycznych głosów wobec tej kadrowej czystki, zwłaszcza na łamach "Gazety

Wyborczej" i "Newsweeka". Jak biczem smagnął po kierownikach PiS-owskiej dyplomacji w liście pożegnalnym były dyrektor polityczny MSZ Jarosław Bratkiewicz. I tyle było tego. Wymowne stało się milczenie co najmniej kilku postaci życia publicznego, które znały MSZ dobrze, a ofiary czystki nawet bardzo dobrze, a i same doświadczały podobnej dyskryminacji (z różnych powodów). Wiosną 2022 r. PiS-wski rząd przygotował ustawę, która absolwentów MGIMO usunęła całkiem z dyplomacji. Urągała ustawa wszelkim standardom państwa prawa. A firmowało ją kierownictwo resortu zdominowane przez prawników, w tym i prawa profesorów. W życie wprowadził ją podpis też doktora praw. Sąd później nie zostawił na ustawie suchej nitki. Wszystkich zwolnionych na jej mocy przywrócono do pracy. Musi być jakiś problem z fakultetami prawa na polskich uniwersytetach.

Wróćmy wszakże do tematu. Kolejnym obiektem, choć niedoszłym, doktryny Breżniewa miała stać się w latach 1980-1981 Polska. Plany interwencji wojskowej szykowano wtedy z całym zaangażowaniem sztabowym. Zaplanowane na początku grudnia 1980 r. manewry „Sojuz-80” miały odbywać się częściowo na terytorium Polski, ale bez udziału polskich jednostek wojskowych. Była to jednoznacznie generalna repetycja przed wkroczeniem wojsk UW dla stłumienia „Solidarności”, podobnie jak ćwiczenia „Szumawa” były przygotowaniem do operacji „Dunaj” w 1968 r. Wejść miało 15 dywizji sowieckich, dwie czeskie i jedna NRD. Mogły je wzmocnić z czasem cztery dywizje polskie. Podtrzymywało opcję interwencji przeprowadzenie ćwiczeń „Sojuz-81” (w marcu i kwietniu 1981 r.), a we wrześniu 1981 r. armia radziecka rozwinęła niespotykane pod względem skali manewry „Zapad-81”. Sowieckie grupy rozpoznawcze w cywilnych ubraniach przeprowadzały wizje lokalne w strategicznych obiektach (siedziby radia i telewizji, gmach KC PZPR, obiekty administracji państwowej i in.). Wprowadzenie stanu wojennego tzw. wewnętrznymi siłami, uczyniło interwencję zbyteczną. A była ona bardziej niż realna i tak nieprzewidywalna w skutkach, że, jak się zdaje, nie tylko Zachód, ale i decydenci na Kremlu odetchnęli z ulgą. A Wojciech Jaruzelski został odznaczony Orderem Lenina.

*

Proletariacki internacjonalizm po dokonaniu się procesu dekolonizacji otrzymał nowe wydanie w postaci pomocy dla państw rozwijających się o orientacji socjalistycznej. Tak doktrynalnie uzasadniano pomoc militarną Kuby dla Angoli czy Mozambiku, czy też polityczne i nie tylko wspieranie reżimu w Etiopii. Problem powstawał, kiedy zmiana władzy w tych państwach oznaczała zarzucenie orientacji socjalistycznej. Można było się temu przyglądać biernie, jak choćby w Tanzanii, bo tam główne wsparcie pochodziło i tak z Chin. Ale tam, gdzie swojego poparcia udzielał ZSRR, taki historyczny rewers podważał wiarygodność głoszonej oficjalnie teorii.

Interwencje wojskowe ZSRR na obszarze „Trzeciego Świata” oprócz oczywistych celów geopolitycznych miały także podszewkę niewątpliwie ideologiczną. I zaprowadziły politykę zagraniczną ZSRR w ślepy zaułek. Ideologia wykopała grób dla imperialnych ambicji sowieckich w Afganistanie. Od grudnia 1979 r. przez następne prawie dziesięć lat wojska sowieckie ugrzęzły w Afganistanie (osiągając maksymalnie rozmiar 120 tysięcy), angażując niebagatelne środki finansowe (choć stanowiły one ledwo 2,5 proc. budżetu wojskowego) i ludzkie (zginęło ponad 15 tys żołnierzy), osłabiając pozycję międzynarodową ZSRR pewno nawet bardziej niż autorytet USA interwencja w Wietnamie. Państwa UW formalnie w interwencję zaangażowane nie były. Wymagano od nich wszakże solidarności politycznej, a pod koniec lat osiemdziesiątych nawet symbolicznego zaangażowania pomocowego. Afganistan potwierdził swoją sławę jako cmentarz imperiów.

Taki był kres doktryny Breżniewa. Próbował ją jeszcze reaktywować po 4 czerwca 1989 r. Nicolae Ceausescu. W sierpniu 1989 r. wysłał on do Gorbaczowa posłanie (a oddzielnie do innych przywódców UW), w którym domagał się podjęcia „pilnych środków” w celu zapobieżenia

„likwidacji socjalizmu” w Polsce. Sowiecka odpowiedź przyszła szybko i sugerowała, aby pozostawić sprawę socjalizmu w Polsce w rękach „polskich towarzyszy”.

Stała za doktryną Breżniewa niewątpliwie geopolityka. Ale jej przebranie w ideologiczne szaty usztywniało ją. Czyniło cyniczną i pchało w ślepy zaułek. Powodowało, że socjalistyczny eudajmonizm nie musiał bynajmniej liczyć się z oczekiwaniami narodów, kosztami i moralnymi zasadami.

I kiedy tylko doktryna przestała działać, a Polska w 1989 r. była tego testem, posypał się i ustrój socjalistyczny, i „rodzina państw socjalistycznych”. O tym poniżej.

12. Doktryna Gorbaczowa

Podrozdział niniejszy kończy rozłożoną na kilka fragmentów opowieść o doktrynach polityki zagranicznej państw bloku sowieckiego. Powszechnie zmierzch bloku wiąże się z nastaniem władzy Michaiła Gorbaczowa. Jego też imię nosi doktryna, która ogłaszała przyzwolenie ZSRR na emancypację państw bloku i ich wyzwalanie się spod ustroju socjalistycznego.

Świat dowiedział się o doktrynie Gorbaczowa z frazy wypowiedzianej przez Giennadija Gierasimowa, rzecznika MSZ ZSRR, który 25 października 1989 r. w rozmowie z reporterami w Helsinkach tłumaczył sens wystąpienia Szewardnadze sprzed 2 dni. Szewardnadze stwierdził mianowicie, że ZSRR respektuje wolność wyboru wszystkich państw, w tym szczególnie innych państw Układu Warszawskiego. Świat nie ustawał w spekulacjach, co jego teza miałyby oznaczać w praktyce.

Bo miało być jak w piosence Sinatry, który śpiewał „I did it my way”. Każde państwo socjalistyczne miało decydować samo, jaką drogą podążać. Polska cieszyła się już wtedy pierwszym w bloku rządem niekomunistycznym (prawie). Węgry rządili jeszcze komuniści, ale już pod nowym socjaldemokratycznym szyldem i z technokratycznymi ministrami. W NRD nabierały rozmachu protesty uliczne. Rosły emocje w Czechosłowacji.

Upadał socjalizm, a z nim cała wspólnota. Zaczął implodować ZSRR. A wszystkie pozostałe były państwa satelickie ruszyły ze swoimi aspiracjami na zachód, ku Brukseli. Pierwszym krokiem w ich marszu musiało być rozwiązanie Układu Warszawskiego.

W rozwiązaniu Układu Warszawskiego miałem skromny udział i ja. W lipcu 1990 r. rozpoczęła prace specjalna grupa UW (Tymczasowa Komisja Pełnomocników Rządowych), której zadaniem miało być przygotowanie tzw. reformy Układu Warszawskiego. Bo wiadomo było, że po zmianach politycznych w Polsce w 1989 r. Układ Warszawski nie mógł pracować na dotychczasowych zasadach, choć niewątpliwie Sowieci łudzili się, że da się go jakoś zachować. Zostałem włączony do prac nad polskim stanowiskiem. W kierownictwie MSZ nie ulegało wątpliwości, że reforma powinna doprowadzić logicznie do rozwiązania Układu Warszawskiego. Trzeba było wszakże zrobić to tak, by nie wywołać zbyt agresywnej reakcji ZSRR.

W projekcie polskiego stanowiska na pierwsze posiedzenie grupy, nad którym to projektem pracowałem, punktem wyjścia była teza, że pierwszym etapem reformy powinno być rozwiązanie wojskowych struktur Paktu i sprowadzenie UW do formatu luźnych konsultacji politycznych. Równoległe nad stanowiskiem pracował MON. Zajmował się tym wówczas doradca wiceministra Janusza Onyszkiewicza, a późniejszy wiceminister ON i SZ, ambasador Przemysław Grudziński. Dominowało na Klonowej bardziej ostrożne podejście. MON chciał (latem 1990 r.) utrzymywania jeszcze jakiejś formy konsultacji także wojskowych. Udało nam się wszakże na pierwsze posiedzenie grupy „reformy” ustalić wspólne stanowisko MSZ i MON.

Dla naszej generalicji (ze Sztabu Generalnego) było ono jednak nawet w takiej złagodzonej postaci zbyt radykalne. Pobiegli więc generałowie z sygnałem alarmowym do kogoś, kto dobrze ich rozumiał, czyli do ówczesnego prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego. Jaruzelski musiał przyznać im rację, bo poprosił o rozmowę w tej sprawie ministra Skubiszewskiego.

Specjalnym przedstawicielem Polski ds. reformy UW i szefem polskiej delegacji na pierwsze posiedzenie w czeskich Czelakowicach (a nie w Pradze jak podają niektóre opracowania) był dyrektor Jerzy M. Nowak. Miał on jednak jakieś ważne zobowiązania zagraniczne, które powodowały, że mógł dojechać na obrady dopiero ostatniego dnia. Do jego przyjazdu miałem tymczasowo kierować delegacją. Wchodzili w jej skład także wojskowi, na czele z gen. Marianem Robelkiem.

Minister Skubiszewski postanowił, że przekaże mi przed wyjazdem telefonicznie osobiste instrukcje. Poprosił o połączenie ze mną (świeżo awansowanym na funkcję naczelnika wydziału). Nie wiedział, że mieszkałem w bursie MSZ na ulicy Obrońców (koniec PRL zastał moją czteroosobową rodzinę na 21 i to nieswoich metrach kwadratowych). A był tam wyłącznie jeden telefon - w mieszkaniu tzw. gospodarza domu. Kiedy gospodarz dobiegł do naszego pokoju na piętrze i zapukał do drzwi, był przerażony i blady. Nigdy jeszcze do bursy nie dzwonił sam minister i nie miał pilnej sprawy do jej lokatora. Minister Skubiszewski rozmawiał ze mną długo. Z właściwą mu akrybią wyłożył mi szczegóły instrukcji.

Nie był to zresztą ostatni raz kiedy dzwonił wieczorem ze swojego pokoiku na Foksal do mojej bursy (nie muszę wspominać, jak jego połączenia budowały moją pozycję w oczach współlokatorów, a przede wszystkim gospodarza domu).

Miałem być w Czelakowicach rozważny i ostrożny. Ale niestety wywinąłem już na samym początku niepraktykowany w ramach UW „numer”. Delegacja ZSRR zaproponowała, żeby wyjściowe stanowiska stron zostały ogłoszone w porządku alfabetycznym (według nazw państw w języku rosyjskim). Powodowałoby to, że wypowiadałaby się jako ostatnia (nie licząc Czechosłowaków, którzy przewodniczyli obradom i swoje poglądy ogłosili w słowie wstępnym). Uznałem, że ze względu na nasze (dość radykalne na ówczesny moment historyczny) stanowisko lepiej będzie zorientować się wpieryw, co myśli sam ZSRR, nim nasze stanowisko ogłosimy. Kiedy więc nadeszła nasza kolej, wymigałem się od głosu. Poprosiłem zaś o głos po ostatniej wypowiedzi, czyli po ZSRR.

Przemawiając musiałem uwzględnić smutny fakt, że niestety delegacje Czechosłowacji i Węgier, z którymi ściśle konsultowaliśmy się przed spotkaniem, zajęły dość koncyliacyjne wobec ZSRR stanowisko, mimo że zapowiadały poparcie dla naszej wizji zmian. Wskazywały one, że Układ Warszawski nadal jest zasadniczo potrzebny. Godziły się z koniecznością zmian, ale bez podważania racji bytu Sojuszu (jak się później okazało przedstawiciele tych państw – dyrektorzy z ich MSZ – Svatopluk Buchlovsky i Bela Kuper, prezentowali bardzo osobiste w tym względzie poglądy). Nic dziwnego, że Sowieci wykorzystali ich te bałamutne tezy, aby konstatować, że wszyscy sojusznicy zgodni są z ostrożnym podejściem do zmian. Nie pozostawało mi nic innego, jak wyprowadzić ich z błędu. Wyłożyłem więc kawę na ławę.

W reakcji na moje przemówienie szef delegacji ZSRR Gorald Gorinowicz mało nie dostał białej gorączki. Okazało się, że nasze stanowisko było dla niego wręcz prowokacyjne. Całe szczęście jego zastępca ambasador Walery Popow musiał nasze racje dobrze rozumieć. Kiedy bowiem dyrektor Nowak przyjechał łagodzić emocje Gorinowicza, Popow mu w tym wydatnie pomagał. Ja w październiku 1990 r. wyjechałem na swoją pierwszą placówkę dyplomatyczną do Wiednia, a w grudniu ambasadorem przy KBWE i ONZ został tam Jerzy M. Nowak. Doprowadzał „reformę UW” do końca dyrektor Andrzej Towpik. A uwarunkowania wewnętrzne (wyjście ministrów PZPR z rządu) i geopolityczne (zjednoczenie Niemiec, wycofywanie wojsk sowieckich) powodowały, że

istotnie, tak jak przewidywaliśmy w MSZ na początku procesu, już jesienią 1990 r. rozwiązano całkiem struktury wojskowe UW, a latem 1991 r. cały sojusz przestał istnieć.

* * *

Czy emocjonalny odruch solidaryzmu skazany jest na atrofie? Oby nie. Miejmy nadzieję, że odrodzony będzie krzepł na nowym, wyższym poziomie jako katalizator budowy uniwersalistycznej tożsamości nas wszystkich jako jednostek ludzkich. Pomoc rozwojowa, międzynarodowa ochrona praw człowieka są w pewnym sensie jego przejawami. O nich jednak w końcowej części naszego przeglądu doktryn.

Rozdział III.

Doktryny równowagi

Rozwój historyczny doprowadził do ukształtowania się państw o wysoce zróżnicowanej wielkości. W zbiorze państw są jednostki o liczbie ludności przekraczającej miliard ludzi, ale też liczące ledwo kilkanaście tysięcy. Są jednostki rozciągające się na powierzchni milionów kilometrów kwadratowych, ale są i takie, których powierzchnia liczy wszystkiego kilkanaście kilometrów kwadratowych, a nawet kilkadziesiąt hektarów. To zróżnicowanie nie podlega żadnej statystycznej logice. Tak po prostu wyszło.

Dysproporcje wielkości muszą przekładać się na zróżnicowanie potencjałów, a w efekcie na zróżnicowanie potęgi. Jak mierzyć potęgę i co na nią wpływa, to oczywiście odrębna kwestia. Potęga państwa w obecnym paradygmacie stosunków międzynarodowych określa jego możliwości polityczne. Asymetrie w potędze państw wpływają na stan środowiska międzynarodowego. Od czasów, kiedy państwa wstąpiły z sobą w relacje wzajemne i musiały się mierzyć z owymi asymetriami, wykorzystywały je, kiedy działało to na ich korzyść, albo je niwelowały, by zachować poczucie bezpieczeństwa i swobody.

Stabilność środowiska międzynarodowego można było kojarzyć albo ze stanem totalnej dominacji przez jedno państwo (lub związek państw), albo totalnej równowagi. Hegemonia zawsze uwierała państwa zwasalizowane i satelickie, zawierała w sobie zawsze czynnik destabilizacyjny. Równowaga mogła uchodzić za bardziej sprawiedliwy układ. Była to bowiem homeostaza oparta na ograniczaniu potęgi.

Rozwój państw miał zawsze dynamiczny i niejednorodny charakter. Jedne akumulowały potęgę szybciej, inne wolniej, a inne w ogóle staczały się ku zapaści, wręcz chałactwu, rozpadowi, zanikowi. Co oczywiście zakłócało stan równowagi. Dylematy z tym związane znane są od czasu choćby pułapki Tukidydesa.

W dzisiejsze epoce, z jednej strony, coraz trudniej definiować precyzyjnie potęgę, z drugiej strony zmiany w jej parametrach stały się coraz bardziej dynamiczne. Doszło do tego, że wiele instytucji międzynarodowych, w których pozycja państw odzwierciedlała relacje potęgi sprzed

kilkudziesięciu laty (z 1945, 1965 czy 1992 r.) razi swoją nieadekwatnością. Skład Rady Bezpieczeństwa ONZ jest w tym kontekście najporęczniejszym przykładem. Ale przecież generalnie nie sposób obronić tezy, że dzisiejszy ład międzynarodowy nie odzwierciedla rozkładu potęgi środowiska międzynarodowego.

Jest aksjomatem polityki międzynarodowej, że najstabilniejsze, najbardziej przewidywalne środowisko to środowisko oparte na równowadze.

Często wszakże umyka uwadze, że każda równowaga ma swoje koszty. Historycznie ceną równowagi był najczęściej podział ekumeny na strefy wpływów, usankcjonowanie specjalnych praw mocarstw. Cierpiały na tym niewątpliwie mniejsze narody, w tym i Polska. Ceną równowagi europejskiej w wieku XVIII była okupacja Polski przez trzy wielkie imperia, a w wieku XX – ograniczona suwerenność Polski w ramach bloku sowieckiego. Najmniejszą ceną dla niektórych państw była wymuszona przez parametry równowagi ich neutralność.

Równowaga wymagała z reguły nieustannych zabiegów dostosowawczych, w tym odpowiedniego dopasowywania koalicji, albo na zasadzie prewencyjnej, kiedy zagrożenie dla równowagi dopiero się pojawiało, albo jako odruchu wspierania słabszych, w tym militarnego, kiedy układ już zdążył się zaburzyć. Były państwa, które z obawą przed wplątaniem w sieć zależności uciekały w izolację, zamykały się w autarkii.

W dzisiejszym świecie totalnej globalizacji, internacjonalizacji, współzależności izolacja może służyć jedynie przykrywką dla prób trzymania pod kontrolą przez elity władzy własnego społeczeństwa, albo być wyrazem frustracji politycznej, czy wręcz nieprzysposobienia do świata.

Dla wielu państw, nie tylko o mocarstwowym ambicjach, celem polityki zagranicznej było historycznie nie tylko załatwianie konkretnych i doraźnych interesów, ale w ujęciu systemowym – tworzenie środowiska równowagi. I różne doktryny ten zamysł odzwierciedlały.

Czy w dzisiejszym, tak dynamicznym środowisku można w ogóle myśleć o istnieniu trwałych parametrów stanu równowagi? Czy da się znaleźć formułę równowagi, która nie obróciłaby się po czasie jako taka w źródło niestabilności?

1. Równowaga sił

Równowaga jest słowem-kluczem w polityce międzynarodowej, słowem-fetyszem architektów bezpieczeństwa międzynarodowego, dyżurnym panaceum na bolączki współzycia narodów.

Powtórzmy: układ sił na arenie międzynarodowej ma nieuchronnie dynamiczny charakter. Zmiany w relacjach potencjałów państw mogą w naturalny sposób prowadzić do dominacji silniejszych. A czyjaś dominacja może oznaczać narzucanie woli przez silniejszego, podporządkowanie jego interesom. Zagrożone państwa mogą odpowiedzieć akumulacją własnej potęgi. Może pojawić się naturalna rywalizacja, konfrontacja, a nawet konflikt. Ze wszystkimi tego skutkami. W tym braku poczucia stabilności, chaosem w środowisku międzynarodowym.

Zdrowszym dla systemu rozwiązaniem, jak powiedziano, jest z reguły zapewnienie równowagi sił. W klasycznym kołowym cyklu dziejów, według realistycznej szkoły stosunków międzynarodowych, równowaga cyklicznie jest zakłócana, a naturalną logiką jest jej odtwarzanie w celu zapewnienia ładu międzynarodowego. Bo równowaga jest pożądanym stanem sprawiedliwego ładu. Bo równowaga to stabilność, przewidywalność zachowań, gwarancja egzekwowania reguł.

Oczywiście paradygmat równowagi sprawdza się w rywalizacyjnym modelu środowiska międzynarodowego, kiedy państwa dążą do maksymalizacji warunków realizowania własnych

interesów względem interesów państw obcych, kiedy alternatywnymi stanami wobec równowagi może być albo dominacja, albo podległość.

Znawcy twierdzą, że pisanie o doktrynie równowagi jako takiej jest nadużyciem. Nie jest bowiem równowaga sił ani algorytmem postępowania, ani nawet mechanizmem reagowania na pojawiające się zagrożenia. To przede wszystkim sposób percepcji stanu bezpieczeństwa międzynarodowego, ocena jego wpływu na własne poczucie bezpieczeństwa. Tym niemniej dążenie do równowagi już doktryną polityki może być świadomą i stosowaną.

Miłośników historii dyplomacji zapraszam więc na wstępie na krótką peregrynację do źródeł polityki równowagi w nowożytnym wydaniu europejskim.

Przyjęto uważać za modelową formułę równowagi sił (przynajmniej w wydaniu europejskim) układ polityczno-militarny, jaki wyłonił się z Kongresu Wiedeńskiego w 1815 r. Jej niezrównanym apologetą pozostaje Henry Kissinger.

Istotą tej formuły był brak zdolności jakiegokolwiek pojedynczego państwa do dominacji na kontynencie. Pierwotnie zwrócona była ona przeciw Francji, zrodziła się bowiem z chęci zapobieżenia powtórce francuskiej kontroli nad kontynentalną Europą w czasach napoleońskich. Francja wszakże dość szybko, bo już na początku lat dwudziestych dziewiętnastego wieku, dołączyła do systemu równowagi na pełnoprawnych zasadach.

Opierała się owa równowaga na współdziałaniu wiodących mocarstw, ich tzw. koncercie. Miał on gwarantować, że środowisko międzynarodowe ewoluowałoby harmonijnie, wszelkie zaburzenia łagodzone byłyby wspólnie, z poszanowaniem interesów mocarstw, w oparciu o ich konsens. Utrzymanie efektywności systemu równowagi było nawet nie tyle wartością samą w sobie, co wartością nadrzędną, którą stawiać trzeba było ponad egoistyczne korzyści pojedynczych aktorów, a które to korzyści mogły wodzić ich na pokuszenie w czasach kryzysu.

Kluczowa dla całej Europy stabilność w jej centralnej części miała być zapewniona przez zorganizowanie Niemiec w formule konfederacji – zbyt luźnej, aby stanowić zagrożenie dla jej sąsiadów, ale wystarczająco zwartej, by stawić opór zewnętrznym zagrożeniom. Konfederacja Niemiecka wspólnie z Austrią i Prusami tworzyła trójczłon równowagi. William Pitt młodszy, który wiedeńskiego kongresu nie dożył, postulował takie podejście jako tzw. proces konsolidacji, tworzenia „wielkich mas” między Francją a Rosją.

Powiedeńska konsolidacja, mimo odtworzenia pod berłem rosyjskim kadłubowego Królestwa Polskiego, nie przewidywała bynajmniej potrzeby istnienia „większej masy” jako buforu między Prusami a Rosją. Koncepcja takiego buforu nie przemawiała do wyobraźni. Nie stała się częścią modelu równowagi sił. Skazywała Polskę na obcą dominację. Podobnie jak kilka innych narodów, które wepchnięto w ramy „obcych” mas. Apologeci doktryny równowagi sił nie brali i nadal nie biorą pod uwagę jej kosztów dla podporządkowanych narodów. Wielki pokój w Europie po Kongresie Wiedeńskim tym samym opłacano dyskryminacją mniejszych narodów (Polaków, Czechów, Węgrów i innych). Jest to *dictum acerbum*, którego w rozważaniach o skutkach polityki równowagi pominąć nie wolno.

Powiedeński koncert mocarstw został bowiem dodatkowo wzmocniony lepiszczem tzw. wspólnych wartości. Rosja, Prusy i Austria wstąpiły w Święte Przymierze, którego celem było zwalczanie wszelkich prób podważenia istniejących porządków ustrojowych. W zamyśle oryginalnym, z jakim przybył na Kongres Wiedeński car Aleksander, Święte Przymierze miało być europejskim upostaciowieniem kantowskiej niemalże wizji europejskiej konfederacji pokoju i sprawiedliwości opartej na chrześcijańskich ideałach braterstwa. Szlachetność zamysłu odpływała w niebyt z każdą niemalże rozmową negocjatorów między wiedeńskimi balami. Aż w efekcie pierwotny plan stał się swoim zaprzeczeniem.

Święte Przymierze weszło do historii jako instrument opresji i konserwowania starych porządków. Jego reakcyjne ostrze odczuła Polska w powstaniu listopadowym, kiedy to kierując się zobowiązaniami Przymierza Prusy zmobilizowały wojsko w przygranicznych regionach na wypadek konieczności wspierania rosyjskiej pacyfikacji Królestwa Polskiego. Odczuły je Węgry podczas Wiosny Ludów w 1849 r., kiedy przyszły w sukurs Austrii wojska Paskiewicza. A wcześniej poligonem solidarności reakcyjnej Przymierza stały się Neapol (w 1820 r.) i Hiszpania (w l. 1820-1823). Do Świętego Przymierza nie przystąpiła nigdy Wielka Brytania. Jej politykę określiła później doktryna Palmerstona, stanowiąca, iż zagrożeniem dla Wielkiej Brytanii w Europie może być aneksja terytorialna, ale bynajmniej nie zmiana ustroju wewnętrznego. Sam zresztą był Palmerston zwolennikiem ruchów liberalnych i narodowych, uważał, że mogą one przynosić korzyść Wielkiej Brytanii.

Opresyjność i reakcyjność powiedeńskiego modelu równowagi uwidoczniła się pod naporem narodowych ruchów emancypacyjnych. Polskie powstania, zarówno listopadowe, jak i styczniowe (mimo emocjonalnej retoryki poparcia ze strony Napoleona III), złożono w ofierze na ołtarzu europejskiej stabilności. Niepodległość Belgii udało się wpisać w model równowagi (na warunkach neutralności), w czym udział Palmerstona był niepośledni. Ale przede wszystkim pomógł korzystny dla Belgów splot okoliczności. Polskie powstanie listopadowe zaabsorbowało Święte Przymierze (Prusy i Rosję) tak bardzo, że pozostawiono Belgów w spokoju. Udało się także Grekom, którzy podjęli czynną walkę z turecką okupacją w latach 1821-1832.

Śmiertelną ranę Świętemu Przymierzowi zadała wojna krymska rozpoczęta w 1853 r. (Austria zdradziła Rosję w starciu z innowiercami). Upokorzenie Austrii przez Prusy w 1866 r. przyspieszyło agonię całego systemu. A zjednoczenie Niemiec pod wodzą Prus stało się osiowym kołkiem, który duch Przymierza ostatecznie unicestwił. Zjednoczone Niemcy swoją ponadwymiarowością ludnościową, gospodarczą i militarną rozsadziły założony w Wiedniu w 1815 r. układ równowagi.

Tym niemniej sama idea równowagi nie została zakwestionowana. Nie dało się jej wszakże już jej zadekretować. Stała się postulatem napędzającym budowanie aliansów i porozumień, które dałyby namiastkę przewidywalności. Zmienił się także paradygmat równowagi. Do 1870 r. opierała się na czynniku siły (koncert mocarstw) i prawowitości (Święte Przymierze). Po 1870 r. rządziła już tylko czysta potęga i jej korelacje.

Budowanie równowagi w końcu XIX wieku odbywało się wedle dwóch (czasami konkurencyjnych) metod.

Podjęcie brytyjskie (praktykowane i przez Palmerstona, i przez Disraeli'ego) miało charakter reaktywny. Polegało na reagowaniu na niepożądany rozwój wypadków. Nakazywało działać dopiero wtedy, gdy równowaga została naruszona, powodując konkretne i namacalne zagrożenia. Należało wtedy budować przeciwwagi i angażować się po słabszej stronie. Dlatego też Brytyjczycy nie chcieli przystępować do prewencyjnych sojuszy i udzielać gwarancji na okoliczność abstrakcyjnych przypadków. Dopóki nie było wyraźnej potrzeby, stali z boku i praktykowali „splendid isolation”.

Podjęcie niemieckie (do czasu kiedy z urzędu kanclerskiego nie odszedł w 1890 r. Bismarck) miało charakter bardziej prewencyjny. Nakazywało budowanie bliskich relacji ze wszystkimi, z kim się da (oczywiście poza Francją, którą uznawano za nieprzejednanego wroga Niemiec), formowanie nakładających się na siebie kręgów sojusznicych, i wykorzystywanie możliwości, które z nich wynikają, aby temperować zakusy potencjalnych kontestatorów europejskiego układu sił.

Wpisał Bismarck europejską równowagę w format gwiazdzistego wielokąta foremnego. Ów pentagram stanowiły Niemcy, Francja, Rosja, Austro-Węgry i Wielka Brytania, oraz wzajemne między nimi koligacje. W grę wchodziły w zasadzie wszystkie możliwe połączenia poza tymi, które

sytuowały Niemcy i Francję w jednym obozie. Zasada Bismarcka była prosta: dla Niemiec zawsze korzystniej było wchodzić w koalicję składającą się z trzech członów, niż łądować w konstelacji dwuczłonowej. Tak zrodziła się doktryna elastycznej równowagi sił, która zastąpiła, choć nie na długo, sztywny format koncertu mocarstw. Niemców wprowadziła w stres „koszmaru koalicji” (couchemar des coalitions). Mogła ona skutecznie funkcjonować tylko wtedy, kiedy Niemcy zachowywały postawę samoograniczenia, praktykowaną przez Bismarcka. Jej lapidarnym odzwierciedleniem stała się bismarckowska fraza, iż „Bałkany nie są warte życia nawet jednego pomorskiego grenadiera”. Mogła także działać, kiedy Brytyjczycy trwali w „splendid isolation”. Kiedy tych dwóch czynników zabrakło, wyłonił się sztywny układ sojuszy, w którym Niemcy pozostały w aliansie z Austro-Węgrami (zawarte w 1882 r. Trójprzymierze obejmowało jeszcze Włochy, ale te przeszły na stronę Ententy w 1915 r.), a Trójporozumienie połączyło Francję, Rosję i Wielką Brytanię. Sztywne sojusze wywołały kaskadowe wypowiedanie wojny, co wprowadziło Europę w stan powszechnego konfliktu zbrojnego w 1914 r.

Katalizatorem konfliktu interesów, który nakazywał szukać trwałych gwarancji sojuszniczych była niewątpliwie próżnia bezpieczeństwa, jaką wywoływała implozja Imperium Osmańskiego. Rosja parła z całą mocą ku czarnomorskim cieśninom. Austria wzięła za cel kontrolę nad Bałkanami Zachodnimi. Wielka Brytania początkowo wspierała gasnącą Turcję w obawie przed rosyjską ekspansją ku ciepłym morzom. Potem oko na Turcji zawiesił Wilhelm II.

Liczne grono analityków rozchwianie europejskiej równowagi na początku XX wieku wiąże także z rywalizacją globalną. Francja i Wielka Brytania stanęły w 1898 r. niemalże na skraju wojny (incydent w Faszodzie), ale rywalizacja w Afryce zakończyła się pokojowym rozstrzygnięciem (a trzeźwieniu emocji pomógł czynnik nieuchronnej rywalizacji z Niemcami, który Francję i Wielką Brytanię łączył niewspółmiernie). Niemcy wkroczyły w rywalizację kolonialną z przytupem i niezręcznością. Wilhelm II ogłosił doktrynę „Weltmacht”, mającą uczynić Niemcy potęgą globalną. Von Bulow zażądał dla Niemiec „miejsca pod słońcem” i repartycji kolonii. A uzyskane zdobycze, czyniące Niemcy trzecią po Wielkiej Brytanii i Francji potęgą kolonialną, bynajmniej ich nie zaspokoili. Zszczepiły się Niemcy z Francją o Maroko, rozbujały własny apetyt projektem niemieckiej „Mittelafrika”, wprowadziły do historii dyplomacji pojęcie „polityki kanonierek”.

Tak scementowały się dwa obozy, które stanęły naprzeciw siebie w okopach I wojny światowej.

I wojna światowa pogrzebała ostatecznie doktrynę europejskiej równowagi sił. II wojna światowej była na swój sposób jej dogrywką.

Po II wojnie światowej powróciła w ujęciu międzyblokowym równowaga (strachu), oparta na parytecie nuklearnym USA i ZSRR. A po upadku komunizmu świat wszedł w epokę Pax Americana.

Nie ustają poszukiwania dziś nowej formuły równowagi, które czasami przypominają mit z beczką Danaid. Bo równowagi nie da się arbitralnie zadekretować. Nie da się też jej budować na strachu. Ani tym bardziej kosztem aspiracji i dobrostanu innych narodów. Wypowiedzi Kissingera i innych domagające się poświęceń od Ukrainy w imię dziewiętnastowiecznych imponderabiliów polityki równowagi porażały anachronicznością. Ale o tym w innym miejscu.

Równowaga polityczna, układ sojuszy i gwarancji jest instrumentem dostosowawczym do zmiany w potęgze państw, a te z kolei są rezultatem głębokich i zasadniczych przemian gospodarczych, społecznych, cywilizacyjnych nawet. Pionierem w zgłębianiu roli tych procesów był Fernand Braudel. Jego rozważania mogą inspirować w codziennym działaniu, a przynajmniej pozwalają nabierać do rzeczywistości zdrowszego dystansu.

We wrześniu 1998 r. przyszło mi jako wicedyrektorowi Departamentu Polityki Bezpieczeństwa Europejskiego MSZ organizować specjalną konferencję w ramach polskiego przewodnictwa w

OBWE. Polska wówczas odstąpiła od prawa goszczenia dorocznej sesji ministerialnej. Adam D. Rotfeld, wtedy dyrektor SIPRI, przekonał jednak kierownictwo MSZ RP, aby tanim kosztem zorganizować zamiast tego spotkanie o charakterze polityczno-intelektualnym. Udało nam się uzyskać pozytywny odzew grupy dyplomatów, analityków, publicystów i intelektualistów z wybranego, wąskiego grona, ale wywodzącego się z prawie dwudziestu państw członkowskich. Wywieźliśmy ich w ustronne miejsce (do Konstancina).

Spotkanie miał otworzyć minister Bronisław Geremek. Zapowiedział, że wygłosi przygotowane przemówienie, posłucha z godzinkę, a potem się oddali do innych zadań (co rozumiał, bo okres był w polityce europejskiej bardzo gorący). Minister przemówienie wygłosił. Siedziałem po jego lewej stronie. Kątem oka dostrzegłem, jak po przemówieniu i rozpoczęciu dyskusji wyciąga dyskretnie książkę. Przeczytałem nazwisko autora: Fernand Braudel. Czyżby była to „Grammaire des civilisations”? Dziś nie przypomnę sobie.

W każdym razie, pomyślałem wtedy, ogromny szacun. Taki dystans do nawet najbardziej interesująco zapowiadającego się dyskursu o błahostkach politycznych doby bieżącej nie tylko mi zaimponował, ale wręcz zainspirował na lata naprzód. Ale Geremek zaczął dyskutantów słuchać. I rzecz się stała nieoczekiwana - on się w nich zaszuchał. Zmienił plany, książkę schował i został z uczestnikami do końca. Bo była to niewątpliwie jedna z najlepszych dyskusji o OBWE, jaka kiedykolwiek miała miejsce, a z pewnością najlepsza jakiej ja się przysłuchiwałem. Nie pozostało mi nic innego jak wygłosić na zakończenie brawurowy raport z debat (wyznaczono mnie formalnie sprawozdawcą konferencji). Ale późniejsza pisemna wersja nie oddaje intelektualnego i politycznego ferworu, z jakim odbywała się dyskusja.

W warunkach ostrej dynamiki zmian, jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest neutralizowanie roli paradygmatu potęgi, rugowanie z zachowań państw atawistycznego polegania na sile i strachu. Innymi słowy – cywilizowanie polityki międzynarodowej. Łatwo powiedzieć.

2. Równowaga w czasach hegemonii

Odrodziła się frazeologia homeostazy w dobie zimnej wojny pod znakiem strategicznej równowagi potencjałów militarnych USA i ZSRR. Pojawiły się wtedy chwytliwe określenia, jak choćby „równowaga strachu”. Dziś Rosja (i Chiny) swoje aspiracje do ponadwymiarowego wpływu na politykę światową uzasadniają potrzebą ponownego zrównoważenia amerykańskiej przewagi i dominującej roli USA w polityce globalnej.

Świat po II wojnie światowej był jednakże daleki od równowagi. Stany Zjednoczone dysponowały niedoścignioną przewagą gospodarczą. Rosnący w siłę blok komunistyczny, choć terytorialnie i ludnościowo (biorąc pod uwagę nawet tylko ZSRR i Chiny) był znaczącym globalnie konglomeratem, to militarnie Zachód przed długie lata utrzymywał strategiczną przewagę. Do 1949 r. opierała się ona na monopolu nuklearnym USA. Do końca lat 50-ch - na względnej sanktuaryzacji terytorium amerykańskiego przed nuklearnym atakiem.

Zachód, a Stany Zjednoczone w szczególności nie traktowały bynajmniej tej przewagi jako na tyle wystarczającej, aby podjąć bardziej aktywną strategię wobec ekspansji komunizmu w świecie. Koszty wojny globalnej czyniły ją nieopłacalną (choć podobno dowódcy wojskowi, sugerowali użycie broni jądrowej w kontekście wojny koreańskiej, co m.in. przypisywano MacArthurowi). Od końca lat pięćdziesiątych ZSRR dysponował już strategicznymi środkami przenoszenia, które zdolne były przenikać amerykańską obronę. Zaczęła obowiązywać doktryna wzajemnie

zagwarantowanego zniszczenia, czyli równowagi strachu. A w końcu lat sześćdziesiątych ustalił się strategiczny parytet sił nuklearnych obu supermocarstw, który można traktować jako główny czynnik ówczesnej globalnej równowagi.

Równowagę tę zakończył rozpad ZSRR i imperium sowieckiego. Mimo, iż Rosja pozostawała równoważnym graczem nuklearnym, jej wpływy polityczne skurczyły się na tyle, że przyjęto opisywać świat jako niepodważalnie jednobiegunowy, z USA jako samotnym supermocarstwem. Nikt (no może poza Rosją) nie domagał się budowania stabilności na zasadzie równowagi sił. Pojawiały się co najwyżej wezwania do zapewnienia w świecie równowagi interesów.

Pax Americana traktowano wszakże jako przechodnią fazę porządku międzynarodowego. Postulaty nowej równowagi podwiązywano pod proces wzrostu potęgi Chin, emancypacji państw rozwijających się. Budowano modele wielobiegunowości (od G2, czyli amerykańsko-chińskiego duopolu, po G6, czyli szerszego układu uwzględniającego także EU, Rosję i Indie, a nawet Japonię). Coraz popularniejsze stały się wszakże dystopijne opisy przyszłości jako świata bezbiegunowego (G0), pogrążonego w entropijnym rozproszeniu i chaosie. Byłaby to swoista równowaga nie tyle sił, co bezsilności.

Rosja trwa w iluzji powrotu do dwubiegunowej równowagi. Chce być traktowana na równi z USA. Chce posiadać swoją, respektowaną przez USA strefę wpływów. Postuluje światową wielobiegunowość i wygłasza diatriby o szkodliwości amerykańskiej hegemonii, ale kiedy przyszło co do czego, to uznała w grudniu 2021 r. jedynie Amerykanów za właściwych rozmówców o nowej formule bezpieczeństwa europejskiego, wzajemnych gwarancjach bezpieczeństwa, itp. Spostponowała Europejczyków. Rozmawiała z nimi, ale nie kryła, że traktuje ich jako amerykańskich wasali. Darzyła niegdyś sympatią „format normandzki” (bo nie uwzględnił Amerykanów), ale dokonała jego brutalnej resekcji z rozmów strategicznych w kontekście Ukrainy, upokarzając Niemców i Francuzów. Zgodziła się na jego odnowienie na początku 2022 r. na poziomie doradczym, ale kluczowe kwestie dla przyszłości Ukrainy chciała dyskutować przede wszystkim z Amerykanami.

Agresja rosyjska na Ukrainę była na Kremlu traktowana w sensie strategicznym jako wojna o ustalenie nowego podziału Europy i świata, który sankcjonowałby supermocarstwowy status Rosji. A w miarę fiaska pierwotnych rosyjskich wojennych planów na Ukrainie, pojawiać się zaczęły w Rosji pełne desperacji konstatacje o bezsensie istnienia świata, w którym nie ma miejsca dla Rosji. Potraktowano to na Zachodzie wręcz jako groźbę popełnienia przez Rosję rozszerzonego samobójstwa (przynajmniej w rozumieniu politycznym). A bełkotliwe wypowiedzi Dmitrija Miedwiediewa, a zwłaszcza "namiok", iżby jeźdźcy Apokalipsy ruszyli już ku spełnieniu proroctwa, zinterpretowano jako gotowość Rosji do rozszerzonego samobójstwa w sensie ścisłym. De Gaulle mawiał, że albo Francja będzie wielka, albo nie będzie jej wcale. Putin zdaje się chciał powiedzieć, że albo świat uzna, że Rosja jest wielka, albo nie będzie świata wcale.

Jest prawdą, że Pax Americana okazał się formułą nie do utrzymania i doskonale zrozumieli to sami Amerykanie. Ale próby odtwarzania globalnych dyktatoriów z udziałem państw należących do świata innych wartości, jak Chiny czy Rosja, mogą być tylko tymczasowym rozwiązaniem taktycznym bez szans na długotrwałe istnienie i zdolność do rozwiązywania problemów globalnych. Wojna na Ukrainie uświadamia, jak głęboki jest podział świata. Dla Zachodu jest to podział między światem wartości wolnościowych, demokratycznych i prawnoczwolniczych a światem dyktatury, opresji i zniewolenia jednostki ludzkiej (czy też w neopopperowskiej interpretacji: podział między społeczeństwami otwartymi i zamkniętymi), ale jest to podział głęboki.

Wynik wojny na Ukrainie podziału tego nie zniesie, ale w przypadku klęski Rosji może stać się punktem zwrotnym w przebudowie świata, tak aby u podstaw porządku politycznego w wymiarze

globalnym legł solidny fundament wspólnych wartości. O tym, jak mógłby wyglądać taki porządek, opowiem w końcowej części tekstu. Proszę zatem o cierpliwość. A będzie to wizja porządku, w którym koncepcja równowagi jako lek na lęki przed dynamizmem zmian środowiska międzynarodowego, nie będzie miała już zasadniczego znaczenia.

Równowaga wszakże pozostaje (i będzie pozostawać) ważnym paradygmatem kształtowania relacji dwustronnych z partnerami zewnętrznymi.

Państwa stają czasami przed koniecznością unikania jednostronnych zależności, przechyłu w swoich powiązaniach z wybranym (czy wybranymi) partnerami. Nawet państwa większe unikają często sytuacji, w której ich polityka wyraźnie faworyzowałaby jednego z partnerów kosztem drugiego. Generalizowanie przejawiania się postulatów równowagi jest wszakże mało zasadne. Każdy przypadek jest na swój sposób inny.

W marcu 1992 r. toczyły się w Helsinkach na marginesie spotkania przygotowawczego do konferencji przeglądowej KBWE intensywne konsultacje w sprawie konfliktu w Górskim Karabachu. Sama kwestia zastała wywołana na forum KBWE ostrą polemiką na spotkaniu ministerialnym w styczniu 1992 r. w Pradze. Debatowano w Helsinkach, w jaki sposób KBWE mogłaby być użyteczna w rozwiązaniu konfliktu. Efektem deliberacji była decyzja o zwołaniu tzw. konferencji mińskiej (dotąd nie doszła ona do skutku i już nigdy nie dojdzie, ale na gruncie tej decyzji uformowała się tzw. grupa mińska, której współprzewodniczący negocjowali rozwiązanie konfliktu) i przejęcie przez KBWE roli mediacyjnej.

Pełniłem wówczas na konferencji w Helsinkach obowiązki szefa delegacji polskiej (nominalny szef - dyrektor Andrzej Towpik, zajęty był zadaniami dyrektorskimi w Warszawie) i skrupulatnie zbierałem informacje przed posiedzeniem wyższych urzędników, na którym przygotowywano decyzje do podjęcia na dodatkowym posiedzeniu Rady KBWE. Wysłałem do centrali kobylistą depeszę, w której opisywałem wszystkie zawiłości problemu. I poprosiłem o instrukcję do stanowiska, które miałbym zająć. Nadeszła najbardziej lakoniczna odpowiedź, jakiej doświadczyłem w dyplomatycznej karierze: „Proszę zająć stanowisko między Francją a Niemcami”. Nie między Armenią a Azerbejdżanem, czego logicznie mogłem się spodziewać, jeśli chcieliśmy zademonstrować pełną neutralność polityczną w konflikcie, ale ni stąd, ni zowąd między Francją a Niemcami. Stanowiska Niemiec i Francji przy tym, jak podejrzewam, nie były autorom instrukcji jeszcze znane. Tak po raz pierwszy zetknąłem się z polityką równoważenia relacji z głównymi partnerami, trzymania zdrowego dystansu do wiodących sił europejskich. I nie po raz ostatni.

Krzywdą dla procesu integracji europejskiej było postrzeganie go w kategoriach geopolitycznej formuły okiełznania potęgi Niemiec na kontynencie. Przecież cel był i jest o wiele głębszy. A taka kuchenna geopolityka prowadziła tylko na manowce. Bo doszło do tego, że w niektórych kręgach (PiS i skrajna prawica w Polsce) Unię Europejską zaczęto traktować jako już nawet nie tylko zarządzaną z Berlina, ale wręcz jako projekt niemiecki, plan budowy IV Rzeszy.

Nie ma innego sposobu na zapobieżenie pojawianiu się kolejnych populistycznych paranoi, niż przyspieszenie procesu cywilizowania polityki międzynarodowej, rugowanie paradygmatu potęgi w siłowej wersji ze stosunków międzynarodowych.

3. Doktryna równego dystansu

Postulat równowagi zaznacza się także w kształtowaniu relacji dwustronnych państwa.

W polskiej historii dyplomacji doktryna równego dystansu (równowagi) w kanonicznej niemal postaci identyfikowana jest z polityką II RP w latach trzydziestych XX wieku. To Józef Piłsudski na początku lat trzydziestych zadekretował imperatyw polityki równowagi w stosunkach Polski z Niemcami i Rosją (ZSRR). Doktryna ta stała się wtedy jednym z trzech filarów polityki zagranicznej Polski. Pierwszym był niewątpliwie sojusz z Francją (a także z Wielką Brytanią), a dopełniającym (trzecim) filarem stało się szukanie dwustronnych powiązań z innymi partnerami przy sceptycyzmie wobec roli Ligi Narodów i koncepcji zbiorowego bezpieczeństwa.

Pierwsze lata po uzyskaniu niepodległości Polska w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa – i z konieczności, i z wyboru - zdała się całkowicie na Francję, jej gwarancje, życzliwość, zrozumienie polskich interesów i pomoc wojskową w budowaniu suwerenności, wytyczaniu granic na Wschodzie i obronie kraju (m.in. w wojnie z Rosją sowiecką w latach 1919-1921). Francuski przechyl w polskiej polityce zagranicznej wzbudził krytyczną refleksję po paktach lokarneńskich z 1925 r. Locarno zrelatywizowało bezpieczeństwo Polski w stosunku do zachodnich partnerów, rozbiło Europę na dwie strefy bezpieczeństwa (lepszego i gorszego). Traktaty gwarantowały nienaruszalność granicy niemiecko-francuskiej i niemiecko-belgijskiej, pozostawiały wszakże otwartą sprawę granic Niemiec na Wschodzie. Polsko-francuski pakt gwarancyjny, który miał łagodzić polskie obawy po Locarno, został wpisany w ramy wielostronnej procedury Ligi Narodów. Francja mogła przyjść Polsce z pomocą, ale *casus foederis* wymagał już stempla Ligi Narodów.

Piłsudski nie widział z tego powodu bezpośrednich zmartwień. Lata 1926-1931 nazywał „zaczem pięcioletnim”. Uważał, że zarówno ZSRR, jak i Niemcy nie będą zdolne do ofensywnych działań zbrojnych wobec Polski przez co najmniej dekadę. Nie wierzył jednocześnie we francuskie deklaracje powstrzymania Niemiec przed wrogimi wobec Polski działaniami. Nie wzbudził w Warszawie większego szoku (choć nie kryto niezadowolenia) fakt, że Francja wycofując się militarnie z Nadrenii w 1929 r. nie uznała za stosowne skonsultować się w tej sprawie z Polską. A już minister spraw zagranicznych Józef Beck po objęciu stanowiska w 1932 r. z widoczną rezerwą patrzył na politykę francuską. Bo i Becka Francuzi nie darzyli sympatią (delikatnie rzecz ujmując i uwzględniając, że Beck jako nasz attache wojskowy opuścił Francję w 1924 r. po dość krótkim pobycie w niezbyt życzliwej atmosferze pełnej niepocholebnych mu plotek).

Locarno i przystąpienie Niemiec do Ligi Narodów wprowadziło chwilowe zakłócenia do współpracy sowiecko-niemieckiej, której strategicznym wspólnym celem od Rapallo było rozmontowanie „systemu wersalskiego”. I mimo sowieckich wobec Berlina rekryminacji, że Niemcy poszły na ustępstwa w Locarno, spoiwem pozostawała dla obu państw „kwestia polska”, czyli obopólne dążenie do rewizji polskich granic na wschodzie i na zachodzie, w myśl niemieckiej koncepcji „wtłoczenia Polski w etnograficzne granice” (przejęcie przez Niemcy Górnego Śląska i „korytarza” z Gdańskiem, a przez ZSRR polskich kresów na wschód od linii Curzona, czyli na wschód od Bugu). Polskie elity nie dostrzegały egzystencjalnych dla Polski skutków wspólnoty sowiecko-niemieckich interesów, a nawet jeśli dostrzegały, to przeceniały naszą zdolność do poradzenia sobie z tym wyzwaniem. Można było krzywić się na Francję, można było czuć uraz do Wielkiej Brytanii, ale bez ciągłej i usilnej pracy z nimi polska polityka bezpieczeństwa zawisała w próżni.

Politykę równowagi umożliwiło odejście przez Niemcy po zdobyciu władzy przez Hitlera w 1933 r. od ścisłej współpracy z ZSRR. Gdzie jak gdzie, ale na Kremlu „Mein Kampf” przeczytano dokładnie (i to po rosyjsku) i Sowietom Niemcom nie mogli już tak ufać, jak za Republiki Weimarskiej. W innych stolicach, w tym i w Warszawie, programu z „Mein Kampf” tak poważnie nie potraktowano. Wmawiano sobie w Warszawie, że hitleryzm oczyszcza politykę niemiecką od prusackiego antypolonizmu, który naznaczał kurs Republiki Weimarskiej wobec Polski (i traktowanie Polski jako *Saisonstaat*).

Istotnie zarzucono w Berlinie otwarcie konfrontacyjne działania wobec Polski prowadzone za „Weimaru”. Wyciszono antypolską propagandę. W 1934 r. Niemcy podpisały z Polską protokół o zakończeniu wojny gospodarczej, którą Niemcy rozpętały w 1925 r. blokując import śląskiego węgla i eskalując restrykcje celne. Hitler mamił deklaracjami o konieczności przełamania odwiecznej wrogości między Niemcami a Polską, a Piłsudskiego nazywał wielkim patriotą i mężem stanu.

Dorobkiem polityki równowagi był układ o nieagresji z ZSRR zawarty w 1932 r. i deklaracja o niestosowaniu przemocy przyjęta przez Polskę i Niemcy w 1934 r. Założeniem polityki stało się więc posiadanie symetrycznych niemalże gwarancji zapobiegających agresji ze wschodu i zachodu i nie podejmowanie współpracy z jednym z partnerów przeciwko drugiemu. Nie chciała iść Polska z Niemcami przeciw ZSRR (do czego zachęcał Hitler), ani tworzyć z ZSRR proponowanego w Paryżu bloku asekurującego Francję. Skrytykowaliśmy więc zasadniczo ideę paktu czterech – Włoch, Francji, Niemiec, Wlk. Brytanii (z 1933 r.), ale także francusko-sowiecką ideę paktu wschodniego (z 1934 r.). Oba zresztą pomysły nie weszły w życie. Chociaż polska rekuza nie była w tym decydująca.

Beck tłumaczył w 1935 r. konieczność polityki równowagi tym, że przechylenie polskiej polityki w stronę Sowietów (jak chcieliby Francuzi) doprowadziłoby do konfliktu na granicy zachodniej, i odwrotnie – przechył w stronę Niemiec wywołałby starcie na granicy wschodniej.

Polityka równowagi nie była wszakże polityką równego dystansu. Nie była też wizją strategiczną, lecz rozwiązaniem doraźnym. Nie była też niestety traktowana przez partnerów (i Niemcy, i ZSRR) zgodnie z naszymi intencjami.

Równy dystans nie był zatem w istocie równy. Piłsudski uznawał, że zagrożenie ze strony ZSRR było o wiele znaczniejsze. Jak twierdził: „Jeśli nasz sejsmograf zatrzęsie się, to ze strony Rosji”. W 1934 r. powiadał, że mieliśmy wtedy z Niemcami spokój na cztery lata (i się zasadniczo nie pomylił). Beck podążył tym torem myślenia, także po śmierci Marszałka. Był zresztą potem krytykowany za zbytnią naiwność w relacjach z Niemcami. A Hitlera nazywał ledwo krzykaczem, którego Zachód, jeśli trzeba, przywoła do porządku. Co ciekawe, nasi generałowie ze Sztabu Generalnego z czasem coraz bardziej skłaniali się ku temu, że jednak zagrożenie ze strony Niemiec było bardziej nieuchronne i poważniejsze.

Była polska polityka równowagi polityką doraźną. Piłsudski sam powiadał, że oznaczała ona siedzenie na dwóch stołkach. „To nie może trwać długo. Musimy wiedzieć, z którego spadniemy i kiedy.” Nie zdążył wszakże przed śmiercią sformułować dalekosiężnej wizji. A Becka nie było na nią stać. Inercyjnie szedł kursem, który już w marcu 1938 r. nie miał strategicznego sensu.

Hitler rozpoczynając swój plan demontażu Traktatu Wersalskiego obawiał się, że Francji uda się w istocie zbudować antyniemiecki blok na wschodzie, a polsko-sowiecki traktat o nieagresji przyjął jako zapowiedź możliwych dalszych działań (niezależnie od niepowodzenia idei paktu wschodniego). A Hitler potrzebował spokoju od wschodniej strony.

Do marca 1939 r. koncentrował się na odbudowie potencjału militarnego Niemiec (przywrócenie powszechnej służby wojskowej, wypowiedzenie części V traktatu Wersalskiego w 1935 r., wejście do Nadrenii i wypowiedzenie umów z Locarno w 1936 r.), a pomoc ZSRR w obchodzeniu ograniczeń wynikających z Wersalu nie była już tak istotna. Następnie wziął się za „jednoczenie narodu niemieckiego” (Anschluss w 1938 r., przyłączenie Sudetów w 1938 r.), w czym chciał także móc liczyć przynajmniej na bierność Polski. Normalne relacje z Polska były więc dla niego wyłącznie taktyką chwili. I miał spokój, o jaki mu chodziło, nawet kiedy zajmował Czechy w marcu 1939 r.

Rosja z kolei obawiała się, że zbliżenie niemiecko-polskie spowoduje skierowanie agresywnej uwagi Niemiec na państwa nadbałtyckie, podporządkowanie ich swoim wpływom, także militarnym. A Polska tymczasem za przyzwoleniem niemieckim zajmie się prometejskim oderwaniem Ukrainy i Białorusi pozostających w granicach sowieckich.

Zakończyło polską politykę równowagi zgłoszenie przez hitlerowskie Niemcy (ustami Ribbentropa 24 października 1938 r.) żądań dotyczących statusu Gdańska, korytarza pomorskiego i przyłączenia Polski do paktu antykominternowskiego. Nawet jednak wtedy Beck zdawał się nie doceniać potęgi niemieckiej. „Z pomocą dziewięciu dywizji Niemcy promenują się dziś po całej Europie. Z tą siłą Polski nikt nie weźmie”. I przez dobre kilka tygodni ukrywał żądania niemieckie przed kierownictwem państwa i armii. Co samo w sobie zakrawało z jego strony na skandal.

Nie było już wtedy wyjścia, Polska zaczęła odbudowywać sojusz z Francją. 31 marca 1939 r. gwarancji Polsce udzieliła Wielka Brytania. Gwarancje brytyjskie były niewątpliwie pomyślane jako bodziec niezbędny dla ożywienia sprzymierzenia polsko-francuskiego. Bez Wielkiej Brytanii Francja w ówczesnym stanie psychospołecznym czułaby solidny opór przed interweniowaniem w obronie Polski.

Ale pozbierać się Europa dla okiełznania Niemiec nie zdążyła. A odnowienie przymierza niemiecko-sowieckiego w myśl koncepcji „wtłoczenia Polski w etnograficzne granice” przypieczętowało klęskę Polski. Czy polityka równowagi mogłaby (nawet przy lepszym wykonaniu) odwrócić niefortunny bieg wypadków? Wątpliwe. Mogłaby to uczynić jedynie bardziej zdecydowana polityka Francji i Wielkiej Brytanii w jednoczeniu Europy dla obrony Traktatu Wersalskiego. Czy Polska mogła na zachowanie partnerów wpłynąć? Wątpliwe. Ale mogłaby niewątpliwie bardziej się starać i nie czynić wrażenia, że da sobie radę bez Wersalu, a nawet prowokować oskarżenia o współudział w jego demontażu (zajęcie Zaolzia). Beck jako minister spraw zagranicznych miał fatalną opinię w większości stolic europejskich (poza Berlinem), a już w Paryżu stopień detestacji jego osoby był niewyobrażalny (w czym duża była zasługa francuskiego ambasadora w Warszawie). Czy można prowadzić skuteczną politykę, będąc tak krytycznie ocenianym, zwłaszcza przez najbliższego sojusznika? Trzeba rzeczywiście nadzwyczajnych okoliczności, by tak się stało. Tak choćby jak dziś w relacjach polsko-amerykańskich, które prawdopodobnie bez wojny na Ukrainie wyglądałyby z powodów nie tylko interpersonalnych inaczej. Kwitował ponoć Beck swoje dyplomatyczne niepowodzenia dyżurną frazą: "*Polonia fara da se*" (złośliwi mogliby z niej zrobić nawet doktrynę Becka). Ale niestety Polska sobie w godzinie próby rady nie dała.

*

Co najmniej kilka państw w historii, leżących w bliskości mocarnych sąsiadów, musiało przyjąć politykę balansowania między nimi, szukania równowagi, trzymania się równego dystansu.

Swego czasu wysłuchałem z ust Petru Lucinschi'ego bardzo barwnej opowieści o polityce Mołdowy, której racją stanu miało być trzymanie się równego dystansu wobec Rumunii i Rosji. Na przełomie bowiem 1992 i 1993 r. zostałem dołączony do zespołu (czyli do ambasadora Sławomira Dąbrowy), który wspomagał profesora Adama D. Rotfelda w jego misji jako przedstawiciela Urzędującego Przewodniczącego KBWE do spraw konfliktu w Naddniestrzu. Rotfeld odwiedził i Kiszyniów, i Bukareszt, i Kijów. Dotarł też do Moskwy (a w tej podróży mu towarzyszyłem). Tam po dniu całym spotkań z oficjelami rosyjskimi, podejmował go obiadem ówczesny ambasador Mołdowy w Moskwie, a późniejszy prezydent kraju Petru Lucinschi. Wielu Mołdawian, a dziś prawie co trzeci obywatel tego kraju, za naturalny kurs Mołdowy uważało integrację z Rumunią. Post-komunistyczna elita, a wtedy reprezentował ją Lucinschi, stawiała na zachowanie ścisłych relacji z Rosją. Także ci z Mołdawian, którzy twierdzili, że bez Rosji nie da się utrzymać przy

Mołdowie Naddniestrza. Więzy z Rosją były ważne także ze względu na silną sowietyzację mentalności Mołdawian, nie tylko w Naddniestrzu.

Nawyk równoważenia utrzymywał się długo. Mołdowa podpisała umowę stowarzyszeniową z UE, ale w odróżnieniu od Ukrainy i Gruzji, pozostawała pełnoprawnym członkiem Wspólnoty Państw Niepodległych. Liberałowie ciągnęli Mołdowę ku Brukseli, postkomuniści ku Moskwie (a los Naddniestrza był zakładnikiem wyboru ostatecznej opcji).

Lucinschi podejmował nas iście po domowemu. A czas pod względem aprowizacji był wtedy w Moskwie nadzwyczaj trudny. Kurczaki spiekła osobiście, zdaje się, żona, a przy stole pomagał najbliższy współpracownik Ambasadora, Mihai Popow, który został w 1994 r. ministrem spraw zagranicznych Mołdowy.

Rozdarcie wśród elit pogłębiało letargiczny dryf kraju. Stał się on pralnią rosyjskich pieniędzy, politycznym teatrzykiem guignoli, kontrolowanym przez oligarchów, słabym i biednym.

Rosyjska napaść na Ukrainę w 2022 r. była także wstrząsem dla Mołdowy. Okazało się, że częścią projektu "Noworosji" byłoby wcielenie doń Naddniestrza. I jeśli Rosjanom udałoby się zająć Odessę i połączyć terytorialnie z Naddniestrzem, nad Mołdową zawisłoby śmiertelne zagrożenie.

Stało się oczywiste (miejmy nadzieję, że także dla polityków Zachodu), że jedyną rozsądną opcją przyszłości dla kraju jest ani Bukareszt, ani Moskwa, a jedynie Bruksela, czyli członkostwo w Unii Europejskiej (i NATO).

Rotfeld przygotował w 1993 r. wyważony raport. W redagowaniu jego części zasadniczej pomagał ambasador Sławomir Dąbrowa, późniejszy wiceminister spraw zagranicznych. Ja byłem odpowiedzialny za aneksy. Znalazł się tam projekt mandatu przyszłej stałej misji OBWE w Mołdowie. Na podstawie przygotowanego przeze mnie projektu dość sprawnie uzgodniono decyzję o powołaniu misji OBWE. Ambasador Dąbrowa sam relokował się na kilka miesięcy do Kiszyniowa, by pomóc w dobrym rozkręceniu misji. Funkcjonuje ona do dziś. Przełomu w rozwiązaniu konfliktu naddniestrzańskiego dokonać się wszakże nie udało. Ale jeśli Rosja przegra w Ukrainie, konflikt zostanie rozwiązany w okamgnieniu.

4. Multiwektoryzm

Równowaga powiązań z partnerami jest pożądanym stanem w polityce zagranicznej. Rzadko jest możliwa w doskonałej postaci. Nawet programowy równy dystans w wydaniu doktryny neutralności czy niezaangażowania, o czym odrębnie, jest trudny do wyegzekwowania w praktyce. Czasami deklarowana równa bliskość czy odległość jest przykrywką dla cynicznie prowadzonej pragmatycznej polityki „pokornego cielęcia, co dwie matki ssie”. W epoce zimnowojennej była owa postawa kojarzona z podbijaniem ceny za nieprzechodzenie na drugą stronę globalnej konfrontacji. Ceny opłacanej najczęściej poprzez pomoc rozwojową. Praktykowało ową postawę wiele państw "Trzeciego Świata".

Mało które państwo, zwłaszcza niepozorne, chce stawiać wszystkie swoje polityczne żetony na jedną kartę. Chyba, że musi. Nawet wtedy próbuje dywersyfikować swoje stosunki, a co najmniej deklaruje ich wielowektorowość.

Ciekawym przypadkiem był proces pogłębiania zależności Armenii od Rosji na przestrzeni ponad trzydziestu lat, jakie minęły od uzyskania niepodległości. Czynniki potencjalnego uzależnienia początkowo były dość słabowite. Po pierwsze, nie ostała się w Armenii znacząca mniejszość rosyjska, co mogłoby być dla Rosji argumentem dla utrzymywania polityki armeńskiej w kręgu jej

hegemonicznych wpływów. Po drugie, Rosja nie miała wspólnej granicy z Armenią. Po trzecie, dezintegracja powiązań gospodarczych odziedziczonych po Związku Sowieckim zaszła tak daleko, że Armenia nie była teoretycznie zdana na dostawy rosyjskich surowców energetycznych (z Iranu byłoby o wiele bliżej), ani od eksportu swojej produkcji do Rosji (bo wysyłała tam nieznaczne ilości produktów). Nie potrzebowała wtedy również rosyjskiego wsparcia militarnego, aby zagwarantować bezpieczeństwo Górskiego Karabachu (bo twierdziła, że z zagrożeniem azerskim da sobie radę sama). Głównym powodem zabiegania o rosyjskie gwarancje militarne było potencjalne zagrożenie ze strony Turcji. To z tego właśnie powodu Armenia wyszła z inicjatywą pozostawienia rosyjskiej bazy w Gyumri, rozmieszczenia rosyjskiej straży granicznej na granicy z Turcją i Iranem. I tak prowadzona polityka bezpieczeństwa w warunkach odkładania rozwiązania konfliktu karabaskiego i narastającej przewagi militarnej (gospodarczej, demograficznej i in.) Azerbejdżanu, coraz bardziej uzależniała Armenię od Rosji. Za niespłacone kredyty wojskowe Rosja przejmowała coraz to nowe strategiczne gałęzi gospodarki (koleje, linie przesyłu gazu, energii elektrycznej i in.).

W polityce zagranicznej armeński bandwagoning rósł z każdym upływem czasu. W latach 2008-2018 armeński MSZ zaczął być nazywany przybudówką rosyjskiego MID-u. Doprowadziło to do tego, że Armenia okazała się, co najmniej równie jak Białoruś, zobowiązana do popierania rosyjskiego stanowiska na forum ONZ czy Rady Europy w sprawie aneksji Krymu, i w kilku innych całkiem dla Armenii niewytłumaczalnych kwestiach (np. w ślad za Rosją nie popierała niezależności Kosowa). Wojna karabaska 2020 r. przyniosła (za sprawą otwartego wsparcia tureckiego dla Azerbejdżanu i klęski militarnej Armenii) totalne uzależnienie od Rosji. Rosja stała się wyłącznym gwarantem bezpieczeństwa zamieszkałej jeszcze przez Ormian części Górskiego Karabachu, jej siły zbrojne i graniczne przyjęły na siebie nowe zobowiązania na terytorium samej Armenii. Ormianie zdali się w wyniku własnej polityki (i tureckiej) na łaskę Rosji. Armenia (jako jedyna) do końca trwała przy Rosji, kiedy tę usuwano z Rady Europy. Choć w głosowaniu rezolucji ZO ONZ ES-11/1 z 2 marca 2022 r. potępiającej Rosję stanęła jednak z boku. Rosja wszakże z zobowiązań obronnych wobec Armenii całkiem przestała się wywiązywać. Nie zareagowała wcale, kiedy Azerbejdżan w 2022 r. uderzył na Armenię i zajął pograniczne, a rosyjskie siły pokojowe beczynnie tolerowały blokadę Karabachu, a potem jego zajęcie w 2023 r. przez siły Azerbejdżanu. Nie wywiązywała się nawet z opłaconych przez Armenię dostaw uzbrojenia. Przymilanie się Rosji straciło sens. Armenia zaczęła z nadzieją spoglądać na Zachód, a nawet publicznie rozważać opcję członkostwa w Unii Europejskiej.

*

Czasami naturalna grawitacja polityczna czy gospodarcza ku dominującemu partnerowi przeszkadza. Szuka się więc przeciwwagi. Dobrą tego (choć niezbyt krzepiącą) ilustracją są losy kanadyjskiej koncepcji „trzeciej opcji” realizowanej w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku.

Sąsiedowanie z mocarstwem o gigantycznej przewadze gospodarczej, demograficznej, technologicznej, militarnej nie jest sprawą prostą. Jak zwykło się mówić: ono kichnie, a my dostajemy zapalenia płuc. A jeśli przy tym sąsiada nie oddziela prawie żadna bariera kulturowa, a nawet językowa, to wyzwanie jest gigantyczne. Zwłaszcza, jeśli jest on sąsiadem jedynym. Dominacja ze strony takiego sąsiada, nawet jeśli nie ma cech hegemonistycznych, nawet jeśli przyjazna, i nie wiąże się z ingerowaniem w życie wewnętrzne, dominacja taka może uwierać. Tak zaczął uwierać kanadyjskich polityków czynnik sąsiedztwa Stanów Zjednoczonych.

Do końca II wojny światowej równoważył go zadowalająco czynnik zależności w ramach Brytyjskiego Imperium. Im bardziej Imperium gasło, tym bardziej więzy z metropolią słabły, a korzyści i mechanizmy wynikające ze współpracy w ramach brytyjskiej Wspólnoty Narodów coraz węższej dostarczały przeciwwagi. A na dodatek Wielka Brytania pod koniec lat sześćdziesiątych i odejściu De Gaulle’a z francuskiej polityki mogła myśleć poważnie o członkostwie w EWG, i z

opcji tej skorzystała. Nie oglądając się na własne dominia. Dylematy, przed jakimi stanęła kanadyjska klasa polityczna, były więc zrozumiałe.

W 1972 r. ówczesny sekretarz stanu do spraw zewnętrznych Mitchell Sharp wyłożył trzy możliwe warianty kształtowania relacji z dominującym sąsiadem. Pierwsza opcja przewidywała pozostawienie spraw samym sobie, zdanie się na skutki naturalnych procesów grawitacyjnych, utrzymanie status quo w polityce zewnętrznej. Opcją drugą było podjęcie świadomej i planowej polityki integracji (co najmniej gospodarczej) z USA. I wreszcie wyłaniała się opcja trzecia, czyli kurs na rzecz dywersyfikacji stosunków bilateralnych z innymi państwami, szukanie tam możliwości równoważenia wpływów USA, ograniczanie zależności gospodarczych i kulturowych od Stanów Zjednoczonych.

Tak zrodziła się koncepcja „trzeciej opcji” w polityce zagranicznej Kanady. Nigdy oficjalnego imprimatur rządowego nie uzyskała, ale ówczesny premier Pierre-Elliott Trudeau z wyraźnym entuzjazmem zabrał się za jej realizację. Zaktywizował politykę zagraniczną. Rozwinął zwłaszcza relacje z państwami rozwijającymi się. Zbudował w „trzecim świecie” pozytywny image Kanady. Wysunął także inicjatywy dialogu i współpracy z państwami socjalistycznymi, czyniąc Kanadę rozpoznawalnym aktorem w procesie odprężenia (czasami swoim wybieganiem przed szeregi irytowali Kanadyjczycy nieco południowego sąsiada). Doprowadził do zawarcia przez Kanadę pierwszej umowy z EWG. W polityce wewnętrznej wprowadzono ustawodawstwo ograniczające tzw. import kulturowy. Utworzono duże konglomeraty spółek skarbu państwa, które miałyby służyć osłabianiu presji kapitału amerykańskiego.

Były to wszakże ledwie paliatywy i „trzecia opcja” poniosła fiasko. Niezupełne co prawda, ponieważ jej dorobek polityczny stał się fundamentem rozwijania aktywistycznej linii Kanady na forum globalnym. Inicjatywa „odpowiedzialności za ochronę” jest jednym z widocznych kanadyjskich osiągnięć. Przetrwały także rozwiązania służące ochronie tożsamości kulturowej Kanadyjczyków. Ale gospodarcza dominacja USA postępowała. Premier Brian Mulroney, który przejął władzę z ramienia partii konserwatywnej w 1984 r., wyprawił koncepcji „trzeciej opcji” cichy pogrzeb. „O, sancta simplicitas!” – zapewne ją skwitował.

Kiedy obejmowałem funkcję dyrektora Departamentu Planowania Polityki Zagranicznej w MSZ w 2002 r., w naszej strategii zaznaczyły się już wyraźne skutki totalnej koncentracji na obszarze euroatlantyckim. Wyzwania dla bezpieczeństwa pochodziły ze wschodu (Rosja i jej działania), a leku na nasze lęki poszukiwaliśmy na zachodzie. Nasza wizja rozwojowa była całkowicie podporządkowana wejściu do Unii Europejskiej, a polityka handlowo-gospodarcza skoncentrowana na kierunku zachodnim. Postawiłem sobie za cel rozszerzanie horyzontów naszej aktywności. Już wtedy widoczne było wyrastanie Chin na potęgę gospodarczą. Można było się spodziewać, że pociągną za nimi Indie i inne państwa azjatyckie. Zakładałem też, że wejście Polski do UE wymusi globalizację naszej polityki. Będziemy w ramach Unii zajmować się konfliktami i problemami pozaeuropejskimi, polityka rozwojową, wysyłać nasze kontyngenty do operacji stabilizacyjnych w świecie pod egidą unijną.

Intuicyjnie zakładałem, że atutów do aktywnej polityki poza Europą nie wykorzystujemy. Pod koniec 2003 r. wystąpiłem z inicjatywą opracowania strategii RP wobec państw rozwijających się. Zależało mi na uczciwym przeglądzie i głębszej refleksji nad naszą polityką. Praca nad strategią w gronie zainteresowanych departamentów MSZ, zainteresowanych resortów i instytucji rządowych stała się jednak prawdziwą udręką. Okazało się przede wszystkim, że skala międzyresortowej kakofonii była niewyobrażalnie monstrualna. Każdy resort uprawiał własną politykę, co w wielu przypadkach oznaczało totalne désintéressement jakimkolwiek zaangażowaniem (jakby Afryka czy Azja były odległymi planetami, zamieszkałymi niebezpiecznymi dla Ziemi formami życia, choć niekoniecznie inteligentnego). Co najgorsza, priorytety okazywały się sprzeczne. Ministerstwo Gospodarki, dla przykładu, chciało traktować Iran jako priorytetowego partnera, podczas gdy MSZ

ostrzegało, że prawdopodobieństwo wprowadzenia wobec Iranu sankcji w związku z programem nuklearnym jest tak wysokie, że inwestowanie wtedy na tym kierunku nie miało większego sensu. Niekończące się dyskusje nad projektem zniechęcały mnie do całego przedsięwzięcia. Całe szczęście, moi młodzi i zdolni współpracownicy z departamentu wzięli na siebie ciężar dopinania porozumienia. Jesienią 2004 r. strategię zaakceptował rząd. Czego ślady pozostały do dziś w opracowaniach naukowych. Jej wpływ na praktykę, jak w przypadku większości strategii, był znikomy. W 2005 r. zmienił się rząd, zmieniło się kierownictwo MSZ. Próba myślenia strategicznego została zastąpiona odruchem działania doraźnego. W 2015 r. kiedy zostałem dyrektorem Departamentu Azji i Pacyfiku MSZ, w gronie najbliższych współpracowników spróbowaliśmy skatalogować cele naszej polityki na tym obszarze, uczynić je bardziej ambitnymi, bo i kierownictwo polityczne resortu widziało tego potrzebę. Ale moja przygoda na tym stanowisku musiała się zakończyć po niespełna czterech miesiącach (w związku z wyjazdem do Armenii w roli ambasadora UE). A po przyjściu do władzy PiS kierunek pozaeuroatlantycki legł w politycznym sensie niewyobrażalnym odłogiem.

5. Neutralność

Neutralność jest stanem równego dystansu do partnerów w czystej postaci. Pisze się i mówi o niej znów wiele, bo porzuciły status neutralności Szwecja i Finlandia, a wymusić neutralność na Ukrainie chciałyby nadal Rosja.

Rozkwit polityki neutralności nastąpił po Kongresie Wiedeńskim 1815 r. Neutralność stała się integralnym elementem układu równowagi sił, jaki wyłonił się z ponapoleońskiej Europy. I poważnie była traktowana. Naruszenie neutralności Belgii było powodem przystąpienia Wielkiej Brytanii do I wojny światowej.

Na jeszcze poważniejszą próbę wystawiła doktrynę neutralności II wojna światowa. Hitlerowska Rzesza nie robiła sobie z neutralności (Holandii, Belgii, Danii, Norwegii) nic, jeśli wymagały tego strategiczne interesy wojny. Po drugiej wojnie światowej neutralność była sposobem kształtowania buforu militarnego między dwoma blokami militarnymi, zwłaszcza na północy Europy.

Neutralność (i niezaangażowanie) stały się w czasach detente przepustką do prominentnej politycznej roli państw ją uprawiających. Proces Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie wypromował politycznie i wizerunkowo państwa neutralne i niezaangażowane (N+N), dał im niepowtarzalną szansę wpływania na relacje Wschód-Zachód i kształtowania europejskiego bezpieczeństwa. Radziecki (i rosyjski) dyplomata Jurij Kaszlew porównywał rolę N+N do roli ringowego arbitra w bokserkim pojedynku (między Wschodem i Zachodem).

Trzon grupy stanowiły cztery państwa neutralne: Austria, Finlandia, Szwajcaria i Szwecja. Jugosławię dołączono do grupy jako wiodące państwo niezaangażowane. Każda jednak poważniejsza inicjatywa polityczna wychodziła od któregoś z czterech neutralów. One też brały na siebie główny ciężar mediacji w ramach KBWE. Państwa te nigdy nie stanowiły formalnego bloku. Klóciłoby się to z ich statusem neutralności. Spotykały się wszakże regularnie w „piątkę”, nawet na szczeblu ministrów spraw zagranicznych, składały wspólne propozycje, a przede wszystkim od zarania procesu KBWE starały się mediować, przedkładać propozycje kompromisowych rozwiązań. Przypisywano im pewien podział ról. Szwajcaria uznawana była za członka grupy najlepiej zorientowanego w poglądach amerykańskich. Finlandia wyjaśniała zaś, jak wyjść naprzeciw oczekiwaniom Sowietów. Szwecja i Austria dbały o uwzględnienie wrażliwości Europejczyków Zachodnich.

Cypr, Malta, Liechtenstein i San Marino dopełniały skład grupy N+N, przyłączały się do propozycji N+N, zajmowały wspólne stanowisko, ale kierunek działania grupy wytyczała „czwórka/piątka”. Nie zawsze państwom N+N udawało się do porozumienia doprowadzić. Olbrzymi wysiłek ambasadorów N+N (a zwłaszcza Austrii i Szwajcarii) nie ocalił spotkania belgradzkiego KBWE w 1978 r. przed fiaskiem. Czasami tzw. całościowe pakiety kompromisu przedkładane przez grupę N+N rodziły się w wielkich napięciach wewnętrznych (jak np. na spotkaniu madryckim KBWE) i nie znajdowały początkowo akceptacji ZSRR czy USA. Nie pozostawia wszakże wątpliwości, że dzięki państwom N+N zawsze udawało się wykrzesać maksimum z możliwego obiektywnie wspólnego mianownika interesów obu bloków. A niejednokrotnie, jak choćby na spotkaniu madryckim KBWE w latach 1980-1983 r., ich wysiłki na rzecz kompromisu oceniano jako „heroiczne”. Kiedy rokowania popadały w zastój, oczekiwano od grupy N+N konstruktywnych impulsów, kompromisów dynamizujących negocjacje.

W 1986 r. włączono mnie do składu polskiej delegacji na Konferencję Sztokholmską w sprawie środków budowy zaufania i bezpieczeństwa. Dyplomaci z państw N+N odgrywali tam rolę przewodniczących posiedzeń nieformalnych w ramach grup roboczych, byli mediatorami między członkami NATO i Układu Warszawskiego, szukali kompromisów, przygotowywali projekty uzgodnień. Kiedy jednak przyszło co do czego, główne parametry końcowego kompromisu określały w bezpośrednim dealu państwa NATO i Układu Warszawskiego. Ale niewątpliwie neutralowie drogę do dealu szykowali.

Kiedy trafiłem w 1987 r. na spotkanie przeglądowe KBWE we Wiedniu ich rola, zwłaszcza w sprawach tak istotnych politycznie, jak prawa człowieka i współpraca humanitarna, była jeszcze bardziej znacząca. Każde małe i średnie państwo, które miało coś ważnego do załatwienia na spotkaniu, szukało dobrego dojścia do koordynatorów. Powstawało wrażenie, że cała polityka europejska na płaszczyźnie KBWE obraca się wokół grupy państw N+N.

Był to, jak się okazało, „łabędzi śpiew” grupy N+N. Upadek komunizmu, dezintegracja obozu sowieckiego czyniła funkcję pośrednika międzyblokowego zbędną. Przygotowania do szczytu paryskiego w listopadzie 1990 r. pokazały, że zapotrzebowanie na ich mediację spadło.

Przekonałem się o tym osobiście wkrótce po paryskim szczycie. Wiosną 1991 r. opracowałem pakiet pięciu nowych środków budowy zaufania w dziedzinie militarnej do wniesienia na forum KBWE. Dotyczyły te środki przede wszystkim informacji wojskowej. Moje idee zaakceptował i MSZ, i MON. Już jako suwerenny polski wkład, bez konsultacji z byłymi czy przyszłymi sojusznikami, został złożony na rokowaniach wiedeńskich.

Zaskoczenie pojawieniem polskiego pakietu było spore, bo dopiero co – w końcu 1990 r., przyjęto bogaty w postanowienia Dokument Wiedeński, i oczekiwano, że powinien on być wprawdzie dobrze przetestowany w praktyce. Szybko jednak polska inicjatywa zjednała sobie mocne poparcie Zachodu. Amerykański dyplomata wysokiego szczebla przyznał wtedy, że wybawiła ona NATO z sytuacji zdominowania rokowań przez rosyjskie idee, które od lat osiemdziesiątych Zachód odrzucał, jak choćby notyfikowania i ograniczania ćwiczeń sił morskich i powietrznych. Przyklasnęły nam sztaby generalne wielu państw natowskich. Istotą polskiego pakietu było bowiem to, aby niektóre z przedsięwzięć w dziedzinie wymiany informacji wojskowej wprowadzonych przez Traktat o siłach konwencjonalnych w Europie, zawarty przez członków NATO i Układu Warszawskiego w 1990 r., rozszerzyć na wszystkie państwa członkowskie KBWE. Dla stron tego Traktatu realizacja polskich propozycji nie przedstawiała żadnych trudności, a wręcz oszczędzała im wysiłku w organizacji danych, którymi mieli dzielić się z innym państwami. Tak miał rozpocząć się proces tzw. harmonizacji między różnymi reżimami informacji wojskowej.

Mnie zaś na rokowaniach wiedeńskich, po decyzji o rozpoczęciu redagowania porozumienia w oparciu o polskie propozycje, powierzono rolę głównego koordynatora prac negocjacyjnych. Rola

ta była w przeszłości zarezerwowana dla państw N+N. Poczułem, jaki to ciężar godzić interesy państw, neutralizować wpływ rozdętego ego niektórych dyplomatów (to w negocjacjach czasem najbardziej destruktywny czynnik), szukać sposobów wychodzenia z twarzą dla tych, którzy musieli iść na trudne ustępstwa. A paradoksalnie największy opór przed osiągnięciem porozumienia stawiały niektóre państwa N+N, czyli te, które jeszcze w niedawnej przeszłości uchodziły za lokomotywy kompromisu. Okazało się, że niektóre z nich, popierając jak największą przejrzystość potencjałów militarnych NATO i UW, same w nowych warunkach nadal traktowały sekretność danych o własnych potencjałach jako czynnik równowagi przewagi państw – członków bloków wojskowych. Ale udało się i na początku 1992 r. uzgodniliśmy nowy Dokument Wiedeński.

*

Neutralność jako termin bierze się z łacińskiego „neuter” – żaden z dwóch, obojętny, bezstronny. Z założenia więc neutralność sprzyjać ma utrwalaniu równowagi w stosunkach międzynarodowych. Ukulo się rozróżniać neutralność wojenną od neutralności stałej (wieczystej). Neutralność wieczysta to generalne w czasie pokoju powstrzymywanie się od udziału w sojuszach obronnych, niepodjęcie zobowiązań międzynarodowych, które mogłyby wciągnąć państwo w konflikt.

Status neutralności zawarty jest albo w jednostronnych, albo wielostronnych aktach prawnych. Jest albo dobrowolnie przyjęty, albo narzucony. Polityka neutralności to z kolei dyrektywa, która może ulegać zmianie zależnie od okoliczności.

Czyniono z neutralności cnotę moralną, widząc w niej odbicie cywilizacyjnej dojrzałości wyrażającej się w rezygnacji z przemocy, albo wręcz w generalnej niezgodzie (pasywnej co prawda, ale zawsze) na przemoc. Bardziej jednak była pragmatycznym wyborem wynikającym z realistycznej konkluzji i krytycznej oceny własnych zdolności militarnych (czy politycznych). A jeśli narzucona, była niewątpliwie uszczerbkiem na suwerenności.

Traci neutralność rację bytu, kiedy zakaz przemocy staje się ogólnocywilizacyjną normą, także w warunkach hegemonii czy też braku nadziei na jej respektowanie przez agresywnego partnera. A jest moralnym wyrzutem, kiedy oznacza nieprzyłączenie się do wspólnego wysiłku społeczności międzynarodowej w szczytnych celach, w tym związanych z powstrzymaniem zła, jak choćby teraz w sytuacji agresji rosyjskiej na Ukrainie.

Na wczesnym, międzyplemiennym etapie rozwoju politycznego była niewyobrażalna. Oznaczać mogła jedynie świadomą rezygnację z czynnego udziału w walce o przetrwanie. A dominator w oddawanej walkowerem rywalizacji i tak unicestwiał pokonanych. Wiązała się neutralność z ryzykownym wyborem postawy bierności, ale nie dawała żadnych gwarancji jej respektowania. Jak opisano to w Biblii, w starotestamentowych czasach jedynym sposobem uniknięcia walki była śmierć, zagłada.

W starożytnej Grecji nieśmiałe próby zachowania neutralności w nieustannych wojnach prowadziły do sromotnych, nawet egzystencjalnie, skutków. Z opisów wojen peloponeskich wiemy, jak to Korynt zaapelował do Aten, aby te pozostały neutralne w jego sporze z Korkirą. Ateny wszakże puściły to mimo uszu i zawarły sojusz z Korkirą (choć nie dały zgody na jej pełnoprawne członkostwo w Lidze Ateńskiej). A już podręcznikowym przypadkiem, dzięki Tukidydesowi i jego dialogom melijskim, stał się los Melijczyków. Oni to, choć sympatyzujący ze Spartą, pragnęli, aby uznano Melos za neutralne w wojnie Sparty z Atenami. Ateńczycy wszakże zignorowali deklaracje neutralności Melos, urządzili przykładną bastonadę, złupili miasto i wycięli w pień całą męską populację w wieku zbrojnym, a kobiety sprzedali w niewolę.

Neutralności nie uznawali i starożytni Rzymianie. W warunkach Pax Romana obce plemiona podlegały podziałowi na „hostes” i „socii et amici”. Świat musiał być biało-czarny. Albo byłeś z

Rzymianami, albo przeciw nim. Dopóki Rzymowi starczało sił, aby rozprawiać się ze wszystkimi, kto nie był z nim.

W kształtującej się w średniowieczu koncepcji „bellum iustum” neutralność była postrzegana nie tylko jako moralnie naganna, lecz wręcz bezprawna. Chyba, że podmiot nie spełniał podstawowego warunku wojny sprawiedliwej, czyli działania w słusznej sprawie, słusznym celu lub intencji. Wtedy nie tylko miał prawo lecz nawet obowiązek pozostawania neutralnym. Nie było wielkiej przestrzeni dla neutralności zwłaszcza w wojnach religijnych. Choć Bizancjum wybierało zazwyczaj neutralność podczas wypraw krzyżowych, jeśli tylko służyło to jego interesom politycznym.

Wojny feudalne sankcjonowały tzw. prawo odwetu. A odwet zawężył możliwość neutralności. Neutralność wybiła się na pełnoprawne obywatelstwo w polityce międzynarodowej dopiero w epoce ekspansji kolonialnych i była związana z rosnącym ruchem żaglowców na oceanicznych szlakach. Neutralna flaga na żaglowcach miała ocalić je przed atakiem i konfiskatami. Chyba, że zajmowały się kontrabandą. Pokój utrechcki z 1713 roku wprowadzał reguły postępowania wobec stron wojujących i neutralów. Czyniły one neutralów podporządkowanych zasadom blokady morskiej. Na takiej właśnie podstawie w 1780 r. Szwecja i Dania ogłosiły zbrojną neutralność w wojnie Brytyjczyków przeciw koalicji francusko-hiszpańskiej. Ale Polska, która w wojnie północnej (1700-1721) pozostawała do 1704 r. w stanie neutralności, była główną areną działań wojennych (Szwedzi spalili nam m.in. Wawel), poniosła największe w niej straty, sięgające nawet 30 proc. naszych zasobów materialnych (zdevastowane i ograbione miasta, przetrzebione wsie).

Konwencja Genewska z 1864 r. czyniła personel medyczny neutralny w wojnie, chroniła szpitale i ambulanse, a także cywili pomagających w ratowaniu rannych. Konwencje haskie z 1899 i 1907 roku kodyfikujące prawa wojny, określiły prawa i obowiązki państw neutralnych, a także zasady postępowania stron w konflikcie zbrojnym wobec państw neutralnych.

Złoty czas neutralności to XIX wiek. Neutralność wpisano w architekturę ponapoleońskiego bezpieczeństwa w Europie. Wielkie mocarstwa uznały, że podporządkowanie sobie przez jedno z nich tego czy innego mniejszego państwa zakłóciłoby kontynentalną równowagę. Niepodległa Belgia mogłaby niechybnie wpaść w objęcia Francji (albo Konfederacji Niemieckiej, co wtedy było jednak mało prawdopodobne). Podobnie Szwajcaria. A to mogło rozkołysać całą formułę europejskiej równowagi. Szwecja, Szwajcaria, Belgia, Holandia zadeklarowały więc neutralność, którą honorowano albo gwarancjami mocarstw, albo zwyczajowym prawem. I respektowano.

W I wojnie światowej to właśnie naruszenie neutralności Belgii posłużyło detonatorem wojny na Zachodzie. Zmusiło do wypowiedzenia wojny Niemcom przez Wielką Brytanię. Bo była to neutralność solidnie zamocowana prawnie w Traktacie Londyńskim z 1839 r., podpisanym przez Wlk. Brytanię, Austrię, Rosję, Konfederację Niemiecką, Niderlandy i Belgię. Kanclerz von Bethman Hollweg nazwał wszakże Traktat świstkiem papieru, bo kłócił się z planami wojennymi Niemiec, co niestety było złowieszczym precedensem dla późniejszego lekceważenia neutralności państw przez reżim hitlerowski.

W I wojnie światowej ścisłą i bezstronną neutralność ogłosiły początkowo Stany Zjednoczone. Gubernator stanu Nowy Jork Martin Glynn miał rzec w 1916 r., że doktryna neutralności jest tak wpleciona w tkankę amerykańskiej tożsamości, że jej porzucenie rozdarłoby ośnowę amerykańskiej egzystencji jako narodu. Tym niemniej rozwój wydarzeń wojennych zmusił USA do odstąpienia od doktryny neutralności. Podobnie jak wiele innych państw zmusił do opowiedzenia się po stronie sprzymierzonych z Ententą. Kuszony był przez Niemcy do rezygnacji z neutralności Meksyk. Telegram Zimmermana stał się, było nie było, argumentem na rzecz wstąpienia do wojny przez USA.

Ale po Wersalu, mimo tak zniechęcających doświadczeń z neutralnością, wiele europejskich państw nadal wierzyło, że jest to skuteczna doktryna dla uniknięcia skutków uwikłania w rywalizację mocarstw.

W II wojnie światowej koncepcja neutralności została jednak ponownie wystawiona na poważną próbę. Neutralność Belgii potwierdziły jeszcze w 1937 r. swoimi gwarancjami Niemcy, a naruszyły ją ponownie w 1940 r. bez zmużenia oka. Bo zdradzieckiej reprzyzy agresji znowu wymagały plany wojny przeciw Francji. Holandia pozostawała neutralna od 1830 r. (po secesji Belgii), choć w jej przypadku była to linia polityczna, a nie prawny status. Ocaliła wszakże neutralność w 1914 r., kiedy sąsiedzką Belgię zajęły Niemcy. Kilkakrotnie ponawiała Holandia po I wojnie światowej deklaracje neutralności. Także we wrześniu 1939 r. Ale nie zatrzymało to inwazji niemieckiej w 1940 r.

Estonia, Litwa i Łotwa ogłosiły wspólnie neutralność w 1938. Straciły wkrótce niepodległość za sprawą paktu Ribbentrop-Mołotow. Norwegia pozostawała neutralna w I wojnie światowej, choć w 1917 r. zaczęła określać siebie jako neutralną sojuszniczkę Wlk. Brytanii.

Duńska neutralność ogłoszona w 1914 r. miała początkowo zabarwienie proniemieckie, ale korygowane w miarę rozwoju sytuacji. I z wojny wyszła Dania powiększona o północny Szlezwik, po korzystnym dla niej plebiscycie.

Dania i Norwegia ogłosiły ponownie neutralność wspólnie ze Szwecją 3 września 1939 r., a w kilka miesięcy później zostały najechane przez Niemcy.

W latach dwudziestych XX wieku próbowała Szwecja stworzyć blok państw neutralnych. Wchodzić weń miały obok Szwecji Belgia, Holandia, Dania, Norwegia, Finlandia, Litwa, Łotwa i Estonia. Lecz neutralność ocaliła jedynie Szwedów. Wszystkie pozostałe państwa padły obiektem agresji. 1 września 1939 r. Szwecja ogłosiła neutralność, a 3 września potwierdziła ją wspólnie z Danią i Norwegią. Ale przez lata wojny dostarczała Niemcom surowców, a zwłaszcza rudę żelaza. Zgodziła się na transportowanie nieuzbrojonych niemieckich żołnierzy tranzytem z i do Norwegii (głównie w celach urlopowych), pozwoliła Niemcom w 1941 r. przerzucać żołnierzy na wojnę z ZSRR, dostarczała humanitarną pomoc Finlandii w czasie agresji sowieckiej. Niemcom inwazja na Szwecję po prostu się nie opłacała. Ryzyko przejścia jej przez aliantów było małe, a rząd szwedzki zaspokajał podstawowe żądania Niemiec.

Irlandia wytrwała w neutralności w II wojnie światowej. Konsekwentnie internowała niemieckich pilotów, którzy lądowali przymusowo bądź katapultowali się nad jej terytorium. Większość pilotów alianckich w podobnej sytuacji była zwalniana do domu. Irlandzkie statki ratowały załogi trafionych niemieckimi torpedami alianckich statków w konwojach. Irlandia zaakceptowała plan zakładających aktywne wystąpienie Wlk. Brytanii w jej obronie w przypadku niemieckiej inwazji. Utrzymywała wszakże stosunki dyplomatyczne z Niemcami do ostatnich dni III Rzeszy. Premier de Valera udał się nawet do ambasady niemieckiej, aby złożyć kondolencje po samobójstwie Hitlera. Churchill pozwolił sobie zresztą na kąśliwe skomentowanie owych „figłów” z Hitlerem, na które Wlk. Brytania patrzyła przez palce. Neutralna Islandia została wzięta pod opiekę rozmieszczonych tam wojsk alianckich już w 1940 r.

Szwajcarska neutralność po I wojnie światowej znalazła oficjalne potwierdzenie w decyzji Ligi Narodów (do której pod tym warunkiem przystąpiła). W międzywojniu stosowała doktrynę „zróżnicowanej neutralności”, która pozwalała jej m.in. przyłączać się do sankcji ekonomicznych wprowadzanych przez Ligę. W 1938 r. powróciła wszakże do integralnej neutralności. W trakcie wojny prowadziła interesy ekonomiczne z Rzeszą i jej obywatelami. Internowała alianckich lotników, groziła przechwytywaniem bombowców lecących w formacjach bojowych nad jej terytorium.

Portugalia w swej neutralności (ogłoszonej, by powstrzymać Hiszpanię przed wojennymi pokusami) wyraźnie sprzyjała aliantom. Co dziwić nie mogło, bo ostatecznie przez 600 lat wiązał ją sojusz z Anglią. Trzymała się statusu strony niebędącej w stanie wojny, ale w 1944 r. udostępniła aliantom bazy na Azorach.

Hiszpania, też neutralna, sympatyzowała z kolei w swojej neutralności z Hitlerem. Franco nie dał się wprowadzić przekonaniu Hitlerowi do przystąpienia do Osi na spotkaniu w Hendaye w 1940 r. Warunki, które postawił (m.in. wyłączenie Maroka spod francuskiej zwierzchności i oddanie go Hiszpanii) były dla Niemiec nie do spełnienia. Zmieniła z czasem status neutralności na status strony niewalczącej. I zajęła tym niemniej Tanger.

Nie dała też się przekonać do dołączenia do Osi Turcja. Pozostała neutralna, choć w 1941 r. zawarła traktat o przyjaźni z Niemcami. Iran był w II wojnie światowej neutralny, ale dla jego stabilizacji wprowadzono tam siły sowieckie i brytyjskie.

Grabarzem koncepcji neutralności w wydaniu europejskim były niewątpliwie Niemcy. Każdy z jego sąsiadów (poza Szwajcarią), kto próbował z pomocą statusu neutralności uciec przed fatum ziemi niczyjej w zwarciu francusko (i brytyjsko)-niemieckim, był przez niemiecki walec rozjeżdżany. Dziś podobnie można mieć poważne wątpliwości, czy neutralny status Ukrainy i innego sąsiada Rosji będzie hamować Rosję w agresywnej ekspansji, dopóki obowiązywać tam będzie neoimperialistyczna doktryna.

A neutralność w II wojnie światowej budziła coraz większe wątpliwości moralne. Z jednej strony była zrozumiała, a nawet użyteczna, bowiem państwa neutralne mogły działać w imię celów wyższych dla rozwiązywania spraw humanitarnych. Coraz bardziej jednak kiedy wojna przyjmowała postać zmagania dobrego z (faszystowskim) złem, stanie z boku było formą abdykacji przed złem, jeśli nie biernym jego wspieraniem.

Karta Narodów Zjednoczonych wprowadzała zresztą pośrednio (dla zapewnienia obowiązku wykonywania przedsięwziętych przez Radę Bezpieczeństwa środków przymusu) derywację od polityki neutralności.

6. Neutralność współczesna

Po II wojnie światowej jałtański podział Europy nadał nowy kontekst doktrynie neutralności. Neutralność stanowiła element (flankowej) buforowości między oboma blokami. Wielowiekowe doświadczenia neutralności Szwecji i Szwajcarii dawały jakąś odpowiedź na wyzwanie, jak funkcjonować mniejszym państwom w warunkach totalnej konfrontacji międzyblokowej. Ale Finlandia i Austria musiały ją dla siebie od podstaw wykoncypować po to, aby uniknąć wpadnięcia w orbitę Sowietów. Dziś Szwecja i Finlandia dokonały historycznego zwrotu, żegnając się z neutralnością. Okazuje się, że w warunkach sąsiedztwa z agresywnym i łamiącym wszelkie zasady zmilitaryzowanym państwem, neutralność nie gwarantuje już bezpieczeństwa. Paradoksalnie więc Związek Sowiecki, mimo całej swej ekspansjonistycznej i cynicznej ideologii, był dla neutralnych sąsiadów partnerem bardziej przewidywalnym niż dzisiejsza Rosja. Putin nieprzewidywalnością przebił samego Stalina.

*

Szwedzka neutralność wyrosła z traumy wojen napoleońskich. Ale wynikała z bezapelacyjnego uznania rosyjskiej dominacji na północy Europy. Rywalizacja z Rosją została w zasadzie

rozstrzygnięta pod Połtawą w 1709 r. Szwedzi pogodzili się, że dać rady Rosji nie będą w stanie nawet z zewnętrzną pomocą. A w 1809 r. utracili jeszcze na rzecz Rosji Finlandię. Od 1812 r. za sprawą Jeana Baptista Bernadotte'a neutralność stała się oficjalną polityką kraju. Co prawda w latach 1813-14 r. uczestniczyła jeszcze Szwecja w wojnie przeciw Francji (i Danii), ale i po to, aby dać należyty sygnał, że jest po stronie antynapoleońskiej koalicji, mimo iż rządzona przez regenta „Napoleonidę”. A stratę Finlandii rekompensowała odebraniem (siłą) z rąk duńskich Norwegii, co potwierdził Traktat Kiloński z 1814 r.

Od tego czasu w żadnych działaniach zbrojnych nie uczestniczyła. Jedynym uznanym wyjątkiem było wsparcie Duńczyków w pierwszej wojnie z Prusami o Szlezwik w latach 1848-1851.

Swoją neutralność przyjęła określać jako zbrojną. Rozwijała potencjał militarny mający odstraszać potencjalnego agresora. I wyszła bez szwanku z obu wojen światowych. Po II wojnie światowej zrezygnowała z ubiegania się o członkostwo w NATO, nie dążyła (aż do początku lat dziewięćdziesiątych) do członkostwa w Unii Europejskiej. Tym niemniej współpracowała w sferze wywiadowczej z Zachodem. I liczyła na to, że jeśli zaatakuje ją ZSRR, będzie mogła skorzystać z pomocy NATO. Owszem, w 1994 r. okazało się, że Amerykanie takie zapewnienie składali w latach sześćdziesiątych w kontekście rozmieszczenia przez USA rakiet balistycznych Polaris na łodziach podwodnych w akwenach okalających północną Europę.

A Szwedzi w obsesyjnym strachu tropili eskapady radzieckich okrętów podwodnych na ich wodach terytorialnych, zwłaszcza sztokholmskiego archipelagu. Szykowali kraj do rozległej wojny partyzanckiej utrzymując zakonserwowane czołgi, wozy bojowe i artylerię w stodołach, szopach, stajniach, licząc, że powstrzyma to Sowietów przed rozważaniem inwazji. Wizytowałem te stodołniane „centuriony” w 1993 r. w gronie ekspertów od środków budowy zaufania. Chciano nas przekonać, że państwa neutralne nie mogą sobie pozwolić na militarną transparentę.

W 1992 r. nową postacią neutralności stała się doktryna „militarnego niezaangażowania w czasie pokoju”. Szwedzi aktywnie wyszli ze swoją polityką na płaszczyznę globalną. Stali się awangardą myślenia o ekologii, pomocy rozwojowej, prawach kobiet. I wyraźnie osłabili swój wysiłek obronny. Uwierzyli w koniec historii? Członkostwo w Unii Europejskiej (i rozwój tożsamości obronnej Unii) postawiło ją przed dylematem, jak zdefiniować współcześnie jej neutralność. Dziś dylemat został rozstrzygnięty jednoznacznie poprzez decyzję o wstąpieniu do NATO.

*

W najbardziej ortodoksyjnej formie chciała praktykować neutralność Szwajcaria. Jej neutralność miała być neutralnością niewzruszoną i kategoryczną (integralną). Przyjęła Szwajcaria politykę neutralności po Kongresie Wiedeńskim, który Szwajcarię odrodził w znanym do dziś kształcie. Potwierdzona została w Akcie Paryskim z 1815 r. i wpisana do konstytucji Konfederacji. Akt Paryski przyjęty przez Austrię, Prusy, Rosję i W. Brytanię bynajmniej nie czynił ich gwarantami neutralności, ale raczej zdawał neutralność Szwajcarii na ich wyroki. Powodował, że w czasach Świętego Przymierza nie raz i nie dwa mieszały się mocarstwa w sprawy wewnętrzne Szwajcarii (np. w kwestii przyjmowanych przez nią uchodźców politycznych).

W praktyce Szwajcaria pozostawała neutralna od traktatu pokojowego z Francją w 1516 r. przyjętego po niesławnym laniu pod Marignano w 1515 r. Sprowadzała się jej neutralność w szczególności do niepakowania się w żadne intrygi wojenne, które Francja mogłaby traktować jako jej wrogię. I nie pakowała się Szwajcaria konsekwentnie w intrygi żadne.

Po I wojnie światowej jej neutralność zagwarantowała Liga Narodów, której siedzibę zresztą gościła Szwajcaria na swoim terytorium. Po II wojnie światowej neutralność stała się oczywistym aksjomatem. Najpełniejszą wykładnię kategorycznej (abstencjonalnej) neutralności Szwajcarii formułowała tzw. doktryna Bindschendela (prawnika szwajcarskiego) spisana na czterech stronach

maszynopisu w 1954 r. Nie została przełożona na instrumenty prawne, ale była stosowana w praktyce. Wykluczała ona udział Szwajcarii w jakichkolwiek porozumieniach i instytucjach mogących wpływać na jej politykę bezpieczeństwa. Szwajcaria nie wstąpiła początkowo do ONZ (uczyniła to dopiero w 2002 r.!). Do Rady Europy dołączyła dopiero w 1963 r. Uczestniczyła od zarania w procesie KBWE (OBWE), domagając się (z dobrym skutkiem) do zapisania swojego statusu neutralności w Akcie Kończącym KBWE z 1975 r. O wejściu do UE do dziś nie ma mowy. Ale pragmatyzm gospodarczy powodował, że do COCOM musiała przystąpić już w 1951 r. I wzięła pieniądze w ramach Planu Marshalla. Zawsze była gotowa świadczyć dobre usługi dyplomatyczne między państwami w stanie konfliktu. W wielu przypadkach reprezentowały jej ambasady zwaśnione strony przy zerwaniu stosunków dyplomatycznych, np. po wojnie rosyjsko-gruzińskiej w 2008 r.

W sensie militarnym utrzymywała samowystarczalność militarną. Szkoliła powszechnie poborowych (słynne karabiny przechowywane przez rezerwistów pod łóżkiem), ryła schrony przeciwatomowe, utrzymywała do XXI wieku niesłychanie sprawne pułki piechoty rowerowej, ale liczyła, że NATO nie pozwoli wystawić jej na pastwę uderzeń sowieckich i przyjdzie z pomocą.

Dziś o porzuceniu neutralności jeszcze nie myśli. Ale konsekwentnie przyłączała się do sankcji unijnych wobec Rosji i w sensie polityczno-moralnym opowiedziała się jednoznacznie po stronie Zachodu w konflikcie na Ukrainie. Kłopotliwszą kwestią było przekazywanie Ukraincom (nawet pośrednio) uzbrojenia.

Ma to geopolityczne szczęście, że żadnego zagrożenia w bezpośrednim otoczeniu nie doświadcza. Nadal w społeczeństwie utrzymuje się silna suwerennistyczna mentalność, co komplikuje elicie czasem relacje z Unią Europejską i temperuje zaangażowanie polityczne w świecie. Ale i w przypadku Szwajcarii neutralność z czasem może zawężać się i ograniczać jedynie do symboliki. Bo w czasach ostrego wyboru między dobrem i złem neutralność jest co najmniej politycznym dziwolągiem, jazdą na gapę w pociągu ku lepszej przyszłości.

*

W przypadku Finlandii neutralność stała się sposobem na przeżycie państwa. Nie chciała po II wojnie światowej podzielić losu Polski, Czechosłowacji czy Węgier. Dzielną postawą w wojnie zimowej 1939-1940 r. oszczędziła sobie losu „Bałtów”. Chciała przetrwać jako państwo demokratyczne, zachodnie, niekomunistyczne i oferowała swoją neutralność jako gwarancję lojalności wobec Związku Radzieckiego.

Paryski Traktat Pokojowy z 1947 r. ograniczał rozmiar sił zbrojnych Finlandii, oddawał Sowiecom Petsamo, a półwysep Porkalla czynił (w praktyce do 1956 r.) radziecką bazą. Do tego jeszcze narzucał Finlandii reparacje wobec ZSRR (spłacono do 1952 r. ponad pół miliarda USD). Finlandia pokornie warunki te zaakceptowała. A w kwietniu 1948 r. zawarła Traktat o Przyjaźni z ZSRR. Zobowiązywał on Finlandię do stawiania oporu wobec ewentualnego ataku ze strony Niemiec i ich sojuszników. W rosyjskiej interpretacji, wykluczał ten zapis członkostwo Finlandii w NATO (przynajmniej dopóki członkiem NATO są Niemcy), ale Traktat utracił moc w 1992 r.

W takich okolicznościach rodziła się doktryna Paasikivi-Kekkonena i pojęcie finlandyzacji jako sposobu na przeżycie. Skutkiem doktryny był brak udziału Finlandii w Planie Marshalla, nieobecność w NATO, Unii Europejskiej (do 1995 r.), a nawet aż do maja 1989 r. - w Radzie Europy. W polityce wewnętrznej wprowadzono po II wojnie światowej elementy cenzury. Wycofano z bibliotek książki wskazane przez ambasadę radziecką jako antysowieckie, nie zezwalało na pokaz niektórych zachodnich filmów. Nie można było kupić „Archipelagu Gułag”. Finowie niewiele wiedzieli z miejscowej prasy o inwazji sowieckiej na Węgry w 1956 r. czy Czechosłowację w 1968 r., a już, Boże broń, nie wyczytali tam żadnych uwag krytycznych pod adresem ZSRR. Ambasada ZSRR ingerowała w życie wewnętrzne tropiąc sowietofobów

nawet na poziomie członków rządu. A i tak Finowie żyli w strachu przed możliwą inwazją (nie tylko drogą lądową, bo planowano w Moskwie również zmasowany desant z Estonii).

Gra wszakże była warta świeczki. Finlandia ocaliła niepodległość i demokrację. A finlandyzacja stała się szczytem marzeń kręgów opozycyjnych w Polsce, Czechosłowacji czy na Węgrzech. Finowie terminu specjalnie nie darzyli sympatią widząc w nim ładunek pejoratywny – oportunizm geopolityczny. Współcześnie wróciła finlandyzacja jako model, który mogłyby przyjąć niektóre państwa postsowieckie, tak by pozwolono im budować zachodnią demokrację przy założeniu ich neutralności względem Rosji. W trakcie kryzysu wywołanego przygotowaniami do rosyjskiej inwazji na Ukrainę na początku 2022 r. nie brakowało na Zachodzie głosów, że tylko finlandyzacja może ocalić ukraińską niepodległość. Podczas wymuszonych negocjacji z Rosją po lutowej inwazji, Ukraińcy przekazywali publicznie, że gotowi byłiby zrezygnować z dążenia do członkostwa w NATO i przyjąć status neutralności, ale pod warunkiem odpowiednich gwarancji. Nie ulega wątpliwości, że jedynymi skutecznymi gwarancjami mogą być tylko gwarancje zobowiązujące niektóre państwa NATO do okazania pomocy Ukrainie w przypadku pogwałcenia jej statusu. A więc pośrednio angażujące NATO. Czyli wiążące NATO z jej bezpieczeństwem. A już dziś państwa NATO okazują Ukrainie wsparcie zbrojeniowe, szkoleniowe, rozpoznawcze i polityczne na nieznaną w historii Sojuszu skalę.

A Finlandia weszła do NATO. Jak skwitował Prezydent Biden: chciał Putin finlandyzacji Europy, dostał jej natoizację.

*

Austria wybijała się po II wojnie światowej na neutralność najdłużej. Bo i trudniej jej było, biorąc pod uwagę, że okupowały ją wojska zwycięskich mocarstw, w tym i sowieckie. A przecież powiadał Stalin, że tam gdzie żołnierz sowiecki, tam i ustrój socjalistyczny. Neutralność stała się we Wiedniu sposobem na pozbycie się obcych sił zbrojnych i budowę demokracji.

Sytuacja polityczno-militarna Austrii pozostawała ku połowie lat pięćdziesiątych zakładnikiem nierozwiązania problemu niemieckiego. A politycznie obecność obcych wojsk nie miała większego sensu. Coraz bardziej więc nabierała dynamiki koncepcja neutralności. Sowietci chcieli wszakże, by wpieryw zastosowano ją do Niemiec. Amerykanie zaakceptowali koncepcję austriackiej neutralności dopiero pod koniec Berlińskiej Konferencji w 1954 r., ale bali się użycia jej jako precedensu dla Niemiec. Uznali wszakże z czasem ryzyko sowietyzacji Austrii na wzór NRD za mało prawdopodobne. Austriackie siły wojskowe mogły zaś być cennym wsparciem w zatrzymaniu ewentualnego pochodu sił radzieckich z Węgier i Czechosłowacji.

Kiedy Sowietci zgodzili się oddzielić kwestię austriacką od rozwiązania problemu niemieckiego, sprawy potoczyły się szybko. Kończący okupację sojuszniczą Traktat Państwowy z 1955 r. nie zawierał wszakże żadnego odwołania do neutralności. Wprowadzono ją ustawą konstytucyjną z 26 października 1955 r. Austria ogłaszała wieczystą neutralność w celu zapewnienia nietykalności swojego terytorium i niezawisłości na zewnątrz. Zakładała ona nieprzystępowanie do sojuszy i niezwalanie na funkcjonowanie obcych baz na jej terytorium.

Austria była jedynym krajem okupowanym w części przez wojska sowieckie, który skorzystał z Planu Marshalla. Nie wstąpiła do NATO i Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Do ONZ i Rady Europy przyjęto ją dopiero po zawarciu Traktatu Państwowego.

W latach dziewięćdziesiątych podlegała austriacka neutralność istotnej reinterpretacji. Doktryna Vedrossa z lat pięćdziesiątych zakładała, że austriacka neutralność dotyczyła w zasadzie wyłącznie sytuacji wojennych. Nie krępowała swobody w wyrażaniu poglądów politycznych, a zwłaszcza nie oznaczała tzw. neutralności ideologicznej. Ale w praktycznej interpretacji spowodowała trzymanie

się z boku od procesu integracji europejskiej. Ostrożność tę zarzucono z upadkiem ZSRR i bloku komunistycznego.

Neutralność Austrii sprzyjała jej rosnącej aktywności na polu rozbrojenia globalnego.

W 1997 r. byłem głównym negocjatorem z ramienia Polski konwencji o zakazie min przeciwpiechotnych. Proces negocjacji zaczął się wtedy konsultacjami we Wiedniu, a podstawą rokowań był projekt oficjalnie firmowany przez Austrię. Decydująca rozgrywka miała miejsce na konferencji, która rozpoczęła się we wrześniu 1997 r. w Oslo. Zadanie miałem niełatwe. Przede wszystkim opierał się naszemu przystąpieniu do konwencji MON. Miał ku temu wprawdzie niebagatelne argumenty, ale silne impulsy z innych ośrodków władzy (w tym i Pałacu Prezydenckiego) kwestionowały kurs wojska. Uraślały te kontrowersje do wymiaru doktrynalnego: czy konwencja jest przedsięwzięciem rozbrojeniowym czy też aktem prawa humanitarnego. Spór mógł zostać rozwiązany kompromisowo dopiero, kiedy po wyborach parlamentarnych szefostwo resortów objęli Bronisław Geremek (MSZ) i Janusz Onyszkiewicz (MON). Konwencję w Ottawie podpisaliśmy w grudniu 1997 r., choć nie spieszyliśmy się przez lata całe z ratyfikacją.

Na negocjacjach w Oslo miałem robić wszystko, by parametry konwencji nie komplikowały naszego ewentualnego przystąpienia. Musiałem więc atakować austriacki projekt, ale z pozycji konstruktywnych, czyli motywowanych troską, aby konwencja stała się szybko instrumentem uniwersalnym. Okazało się wszakże, że dla Austrii i wspierającej ją grupy państw projekt był w zasadzie nienegocjowalny. Kiedy zgłosiłem poprawkę dotyczącą rozluźnienia harmonogramu niszczenia min, wsparły mnie ledwie dwa czy trzy państwa, a Austria uznała, że nie ma nawet o czym rozmawiać. Nie chcieli nawet pójść na tzw. indykatywne głosowanie. Po sesji wszakże podeszło do mnie kilku dyplomatów, którzy nasze stanowisko po cichu popierali. Postanowiłem więc rozkręcić (wspólnie z ambasadorem Brazylii) akcję zmobilizowania poparcia. I przez noc udało się to zrobić. W głosowaniu następnego dnia opowiedziała się za naszym stanowiskiem co prawda mniejszość delegacji, ale była to mniejszość, z którą trzeba było się liczyć. W efekcie do stosownych zapisów projektu Austriacy zostali zmuszeni wprowadzić poprawkę. A my odnieśliśmy symboliczny co prawda, ale negocjacyjny sukces. Projekt okazał się być negocjowalny także w kluczowych kwestiach.

Negocjacyjna zdobycz cieszy o wiele bardziej, jeśli negocjowało się „pod górkę”, przekonując do siebie początkowo niechętnych partnerów. Bo jak się gra „na wyjeździe”, z silniejszym przeciwnikiem, któremu jeszcze sprzyja ponadwymiarowo sędzia, pokazując naszemu zawodnikowi czerwoną kartkę i dyktując niezawinioną „jedenastkę”, przedłużając czas gry, to i remis może smakować słodziej niż zwycięstwo. Bo porażka to zawsze jednak porażka, nawet w najbardziej heroicznym stylu.

Austria kontynuując owe chwalebne globalne tradycje stała się jednym z głównych promotorów Traktatu o zakazie broni atomowej. Wszedł on w życie w 2012 r., a Austria wspólnie z Irlandią były pierwszymi spośród członków Unii Europejskiej, które stały się stroną Traktatu. I jak w przypadku Szwajcarii, neutralność stała się częścią austriackiej mentalności (podobnie jak oparcie armii na poborze powszechnym i prorosyjskie sympatie znacznej części elit politycznych i gospodarczych). Nadal uważa się tam, że może być ona dźwignią w promowaniu wizerunku kraju jako mediatora z Rosją. Żłudne to wszakże w dłuższej perspektywie założenia.

*

Irlandzka neutralność nigdy nie została zapisana w akcie prawnym. Stanowi niepisaną polityczną dyrektywę honorowaną przez wszystkie rządy od czasów sprzed II wojny światowej. Jeszcze przy narodzinach Wolnego Państwa Irlandzkiego godziła się Irlandia na powierzenie Wielkiej Brytanii odpowiedzialności za obronę. Ta zależność wszakże klóciła się z dążeniem do pełnej emancypacji. Irlandia wybrała neutralność zarzucając opcję „neutralności zbrojnej”. Jej wojsko zawsze miało

rozmiar symboliczny. Po wojnie nie wstąpiła do NATO (stała za tym i żółć związana z utrzymującym się podziałem wyspy). Ale była gotowa zawrzeć dwustronny pakt obronny z USA. Jest członkiem założycielem Rady Europy. Ale do ONZ przyjęto ją dopiero w 1955 r., choć wniosek złożyła jeszcze w 1945 r. Był on jednak blokowany przez Rosję (początkowo pod pretekstem braku stosunków dyplomatycznych).

Enda Kenny sprawujący w latach 2011-2017 urząd premiera uznawał, że Irlandia nie jest neutralna. Jest po prostu niesprzymierzona („unaligned”). Irlandia pozwala więc obcym samolotom wojskowym tankować w Shannon (pod warunkiem, że są nieuzbrojone, ale po 11 września 2001 r. ten warunek złagodzone i nie dotyczy on samolotów operujących w ramach działań autoryzowanych przez Radę Bezpieczeństwa ONZ). Jej siły zbrojne mogą uczestniczyć w operacjach poza granicami kraju, ale pod warunkiem, że jest operacja prowadzona bądź autoryzowana przez ONZ, a udział irlandzki ma zgodę rządu i parlamentu.

Irlandia wszakże trzyma się z daleka od integracji obronnej w ramach UE. Jej konstytucja zabrania Irlandii uczestniczyć w decyzji przewidującej utworzenie wspólnej obrony UE. Ale partycypuje Irlandia w PESCO. Bierze też udział w Partnerstwie dla Pokoju sprzęgniętym z NATO.

Opisywane powyżej neutralnościowe polityki Austrii, a zwłaszcza Irlandii, a także innych państw o specyficznej polityce bezpieczeństwa są istotnym czynnikiem rzutującym na możliwości rozwoju tożsamości obronnej i bezpieczeństwa Unii Europejskiej. Już Traktat Lizboński dla niektórych z nich okazał się nie lada wyzwaniem. Zawierał on bowiem m.in. tzw. klauzulę solidarności i perspektywę tworzenia wspólnej tożsamości w dziedzinie bezpieczeństwa. W efekcie Unia Europejska musiała pójść na format współpracy zainteresowanych państw w sprawach obronnych (PESCO). W podejściu niektórych państw jakby oddawano prymat trwałości własnej polityki nad możliwie temporalną perspektywą istnienia Unii Europejskiej. Bo co jeśli Unia się rozpadnie, jeśli opuszczą ją państwa, które postrzegane są jako dostarczyciele bezpieczeństwa? Będzie trzeba wracać do neutralności, ale powrót to będzie mało wiarygodny. Strategiczny kompas, przyjęty przez Unię w 2022 r. dylematów tych nie rozstrzyga.

Unia Europejska będzie niechybnie swoją tożsamość obronną wzmacniać. Co neutralność Austrii, Irlandii i innych jeszcze członków uczyni fikcją.

*

Gwoli sprawiedliwości odnotować należy, że w europejskich wydaniach neutralności nie chodziło wyłącznie o pozycjonowanie względem zagrożenia ze strony Rosji. Dobrym przykładem była Malta.

Malta wzięła kurs na neutralność w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Chciała, aby jej neutralność została zagwarantowana przez cztery śródziemnomorskie kraje – Francję, Algierię, Libię i Włochy. A gwarancje miałyby dodatkowo być wsparte pomocą finansową. Nikt z partnerów nie przejawiał szczególnego entuzjazmu, zwłaszcza jeśli chodzi o aspekt finansowy. Jedynie Włochy szybko podpisały dokument z gwarancjami wojskowymi.

Ostatni brytyjski okręt wojskowy (HMS „London”) opuścił w 1979 r. bazę na Malcie, a 15 maja 1981 r. Malta ogłosiła neutralność, jeszcze tego samego dnia uznaną przez Włochy. W 1987 r. neutralność została wpisana do konstytucji. Malta zobowiązała się do prowadzenia polityki niezaangażowania i nieuczestniczenia w sojuszach wojskowych. Nie zezwalała na tworzenie obcych baz wojskowych na jej terytorium, a także żadnych instalacji wojskowych (jeśli nie służą obronie własnej).

Dołączyła wszakże do Partnerstwa dla Pokoju, uczestniczy w misjach stabilizacyjnych w ramach UE, ale nie zgłosiła się do PESCO (tłumaczyła, że musi poczekać i ocenić tego ewentualne skutki).

Malta została swego czasu przyjęta do Ruchu Państw Niezaangażowanych. Podobnie jak Cypr. Ten zresztą związał się z Ruchem u jego zarania. Wziął udział w założycielskiej konferencji w Belgradzie w 1961 r. (a arcybiskup Makarios uczestniczył nawet konferencji w Bandungu w 1955 r., czyli jeszcze przed formalną niepodległością). Nie przeszkadzał w tej polityce fakt, że na jego terytorium cały czas funkcjonują brytyjskie bazy wojskowe. Uczestniczy Cypr w PESCO i CSDP (wspólnej polityce bezpieczeństwa i obrony).

Wchodząc do UE w 2004 r. zarówno Malta, jak i Cypr opuściły Ruch Państw Niezaangażowanych.

*

Neutralność europejska, wydaje się, wyczerpuje swój potencjał. Dół jej wykopał niewątpliwie Putin. Nieprzewidywalność jego Rosji czyni gwarancje neutralności złudnymi. W konfrontacji z Rosją nie ma miejsca na strefy neutralne, a tym bardziej szare. Im silniejsza tożsamość Unii Europejskiej, im bardziej przekonująca misja NATO (vide madrycka koncepcja strategiczna z 2022 r.), tym zapotrzebowanie na realną neutralność mniejsze. Jeśli Ukraina wytrzyma napór Rosji i obroni niepodległość, zostanie członkiem Unii Europejskiej, wejdzie też do NATO.

A już globalnie neutralność bogatego europejskiego państwa, co to nie będzie doktrynalnie posyłać żołnierzy na misje wojskowe, potępiać przemoc, stosować kiedy trzeba uznane środki przymusu, musi budzić coraz większe wyrzuty sumienia. „Moja chata z kraja” nie jest moralnie zdrową filozofią na czas borykającego się z chaosem świata. Ale kiedy chodzi o kwestie bezpieczeństwa narodowego, parenetyczne wezwania skutek mają nadal ograniczony.

Świat nadal obchodzi dwunastego grudnia międzynarodowy dzień neutralności.

7. Doktryna niezaangażowania

Podczas głosowania 2 marca 2022 r. nad rezolucją Zgromadzenia Ogólnego ONZ, potępiającą inwazję na Ukrainę, wstrzymało się od głosu 35 państw, w tym Chiny, co nie dziwiło, bo politycznie blisko im do Rosji, ale także Indie, Pakistan, RPA czy Algieria. Wiele (jeśli nie większość) państw tzw. globalnego Południa nie przyłączyła się do zachodnich sankcji wobec Rosji, nie potępiła otwarcie rosyjskiej agresji, nie wsparła Ukrainy. Byłoby wszakże błędem interpretowanie ich zachowania jako antyzachodniego czy prorosyjskiego. One po prostu traktują konflikt jako spór wewnętrzny w ramach bogatej Północy. Nie chcą się weń wikłać. Tym bardziej nie chcą zań płacić. Nic im do niego. Nie chcą obstawiać zwycięzcy. Zachowują dystans.

Widać w tym inercyjne skutki polityki niezaangażowania epoki zimnowojennej. Można ubolewać, że nie dostrzegają te państwa dalekosiężnych skutków konfliktu dla układu globalnego i przyszłego modelu stosunków międzynarodowych, w tym i dla nich samych. Można żałować, że w swym milczeniu tłumią elementarne instynkty moralne w polityce. Ale niezaangażowanie nie oznacza przecież popierania agresji i łamania norm prawa międzynarodowego.

„Państwa niezaangażowane” na gruncie języka polskiego są terminem nieściśłym, wręcz mylącym, bo wynikającym z niezbyt fortunnego tłumaczenia słowa „non-aligned”. Bo one były w czasach zimnej wojny zaangażowane, czyli aktywne i nieobojętne, ale pozostawały niesprzymierzone, czyli niezwiązane członkostwem w bloku militarnym, sojuszu obronnym. Podobnie wszakże jak neutralność, a może nawet w jeszcze większym stopniu, niezaangażowanie straciło wiele ze swojej racji bytu w dzisiejszych warunkach. A przejmowanie funkcji sterujących w ruchu

niezaangażowanych przez państwa autorytarne czy otwarcie dyktatorskie podkopało jego polityczną wiarygodność.

Doktryna niezaangażowania zrodziła się po II wojnie światowej w procesie dekolonizacji, dokonującej się w warunkach globalnego podziału świata na dwa przeciwstawne bloki. Wywodzono doktrynę z nauk Gandhiego postulujących pacyfizm i odrzucenie przemocy. Państwa wyzwolone z pęt kolonializmu nie chciały ulec logice dwubiegunowego świata. Chciały szukać jednocześnie formuły wychodzącej poza tradycyjnie pojmowaną neutralność, otwierającej pole dla niezależnego aktywizmu. Siłą napędową ruchu stały się Indie, Indonezja, Egipt i Jugosławia.

Początek ruchu przyjęto wiązać z konferencją w Bandungu w kwietniu 1955 r., w której wzięli udział przedstawiciele 29 państw (w tym sześciu u progu niepodległości). Jej deklarowanym celem było zademonstrowanie solidarności państw Azji i Afryki, wspólnoty ich interesów w warunkach ówczesnego świata. Przesłaniem – likwidacja kolonializmu, demokratyzacja stosunków międzynarodowych, sprzeciw wobec prób ponownej satelizacji wyzwolonych kolonii. Świat miał rządzić się zasadami Pańczasila, czyli wywodzonymi z buddyzmu cnotami dobrego postępowania, które umieszczono w preambule porozumienia chińsko-indyjskiego w 1954 r. regulującego konflikt o Aksai i Południowy Tybet. Prezydent Indonezji Sukarno upatrywał w nich alternatywę wobec socjalistycznych i kapitalistycznych metod prowadzenia polityki międzynarodowej. Były swoistą formułą pokojowego współżycia i rozstrzygnięcia sporów.

Pięć zasad Pańczasila przełożono w Bandungu na 10 zasad stosunków międzynarodowych, które stały się kryteriami członkostwa w ruchu niezaangażowanych: respektowanie praw człowieka, suwerenność i integralność terytorialna, równość ras i narodów, zakaz interwencji, prawo do samoobrony zgodnie z Kartą Narodów Zjednoczonych, niewykorzystywanie układów o obronie zbiorowej w imię egocentrycznych interesów wielkich mocarstw, powstrzymywanie się od agresji i groźby użycia siły, pokojowe rozstrzygnięcie sporów, rozwijanie współpracy, poszanowanie sprawiedliwości i zobowiązań międzynarodowych.

Konferencja w Belgradzie w 1961 r. stała się pierwszym spotkaniem na szczycie dojrzewającego ruchu, a wzięło w niej udział 25 państw, w tym 12 z Azji, 11 z Afryki oraz Jugosławia i Kuba.

Od początku istnienia ruchu przymilał się doń ZSRR i blok socjalistyczny. Traktowano tam inicjatywę jako przedsięwzięcie antyzachodnie, antyimperialistyczne, antyneokolonialne, przeciwne dominacji Zachodu w polityce globalnej, ograniczające możliwości Zachodu w okrażaniu świata socjalistycznego siecią sojuszy i antykomunistycznych bloków. I udzielano mu cichego wsparcia. Sympatyzowano w Moskwie z podnoszonymi przez ruch hasłami likwidacji nierówności społecznych, ubóstwa, głodu. Idea Nowego Ładu Ekonomicznego, która zrodziła się w łonie ruchu niezaangażowanych, była dźwięcznym hasłem w polityce lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku.

Ruch niezaangażowanych w szczytowym momencie liczył ponad 130 państw (obecnie ok. 120). Wywarł istotny wpływ na funkcjonowanie niektórych organizacji międzynarodowych, jak np. ONZ. W ramach ruchu zawiązała się w latach 60-ych odgrywająca widoczną rolę tzw. Grupa 77. Próbowaly ją przyciągać do swoich celów Chiny, ale jej znaczenie od lat dziewięćdziesiątych spada. Odegrał ruch wiodącą rolę w procesie dekolonizacji i w promowaniu zasad demokratyzacji stosunków międzynarodowych oraz nowego ładu ekonomicznego. Nie byłoby współczesnego zjawiska emancypacji państw rozwijających się bez ruchu niezaangażowanych.

W latach siedemdziesiątych zaznaczył się wyraźny przechył w stronę retoryki antyimperialistycznej (wpływy ZSRR wyraźnie w ruchu wtedy rosły). Z trybuny spotkań ruchu rozbrzmiewał stentorowy sprzeciw wobec imperializmu, neokolonializmu, rasizmu, agresji, okupacji, hegemonii, udziału w paktach militarnych, zezwalania na tworzenie baz wojskowych. Ale inwazja sowiecka na

Afganistan wywołała wśród sporej (a śmiało można rzec – większej) części ruchu poważny niepokój (i otwarty wobec ZSRR krytycyzm). Na kilka dobrych lat podzieliła ruch.

Tym niemniej wspólny mianownik interesów pozostawał wtedy jeszcze solidny. Politycznie prężnym spoiwem stała się kwestia palestyńska oraz likwidacja apartheidu.

Po upadku dwubiegunowego świata racja bytu ruchu wyraźnie osłabła. A prawdziwym ciosem w jego wiarygodność było przejście roli przewodniczących ruchu w naszym milenium przez państwa wyraźnie autorytarne, jeśli nie dyktatorskie. Gospodarzami szczytów ruchu były Malezja w 2003 r., Kuba w 2006 r., Egipt w 2009 r., Iran w 2012 r., Wenezuela w 2016 r. i Azerbejdżan w 2019 r. Brak odwołania do demokratycznych wartości czy praw człowieka, co jeszcze w latach osiemdziesiątych można było traktować jako zamierzoną paralipsę, we współczesnych czasach stał się czynnikiem degeneracji ruchu.

Jak wspomniano, odruchem niezaangażowania (wciąż silnym) na forum ONZ można nazywać tendencję do wstrzymywania się od głosu podczas rezolucji, w których ujawnia się głęboki spór między Zachodem a Rosją. Dotyczyło to m.in. Ukrainy (w tym i Krymu), innych konfliktów na obszarze postsowieckim, czy sytuacji w dziedzinie praw człowieka, np. w Iranie czy Syrii. Ponad pół setki członków ONZ nie chce mieć zdania (a przynajmniej je ujawniać) w kwestiach, w których racje moralne wydają być czyste i ewidentne. Bo traktuje te kwestie jako przedmiot sporu politycznego.

Spośród państw europejskich członkami ruchu są Azerbejdżan i Białoruś (jak godzi się to z jej członkostwem w pakcie wojskowym, czyli w Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, to odrębna kwestia). I fakt ten jest bardziej wymowny od jakiegokolwiek komentarza.

Jest też członkiem ruchu niezaangażowanych Turkmenistan. Przyjął on doktrynę wieczystej neutralności. Oznaczała ona niewstępowanie do bloków militarnych, ale przewidywała możliwość korzystania z pomocy wojskowej obcych państw. W 1995 r. została nawet formalnie uznana przez Zgromadzenie Ogólne ONZ.

Wiosną 1993 r. miałem okazję wysłuchać prawie 45-minutowego prywatnego wykładu na jej temat osobiście wygłoszonego przez przywódcę Turkmenistanu Saparmurata Nijazowa alias Turkmenbaszi.

Towarzyszyłem wówczas w podróży po państwach Azji Centralnej urzędującej przewodniczącej OBWE, ministrze spraw zagranicznych Szwecji Margarecie af Ugglas. W gronie dość wąskim przyjął nas Turkmenbaszi. Zamiast zwyczajowej rozmowy gospodarz uraczył nas monologiem. Pani ministrze tylko nadzwyczajnym wysiłkiem pod koniec wydarzenia udało się dorwać do głosu. Mnie posadzono po prawicy pani af Ugglas. A Turkmenbaszi podczas swojego wstępnego monologu nie patrzył w ogóle na swoją vis-a-vis, czyli panią ministkę, lecz na mnie. Mogę podejrzewać dlaczego. Takiego spojrzenia i z takiego bliska nie sposób zapomnieć, nawet po latach. Podobnie nieokiełznanej brawury i świadomościowej nienormatywności nie widziałem bowiem w oczach u żadnego przywódcy, a miałem okazję przyglądać się z bliska co najmniej kilkudziesięciu z nich. No u żadnego, może poza Ceausescu (w 1988 r.) i Kaddafim (w 2001 r.). Dla Turkmenbaszi neutralność stała się przykrywką dla skrajnie opresyjnej polityki, kontynuowanej przez jego następcę, a obecnie przez następcy syna. Jej politycznymi ofiarami było co najmniej kilka osób, które znałem, w tym i były minister spraw zagranicznych Batyr Berdijew, który wtedy w 1993 r. jako wiceminister opiekował się mną i innymi członkami delegacji (a od 20 lat nieznanie są jego losy po aresztowaniu i skazaniu za zdradę).

Ówczesna podróż z Baronessą stała się początkiem mojego kilkuletniego zaangażowania w budowę mostów między regionem Azji Centralnej a OBWE. Wtedy, towarzysząc ministrze, jeszcze musiałem się na własną rękę wydostać z Aszhabadu, bo zostałem dzień dłużej, a miałem do pani

ministry dołączyć w Taszkencie. Po drodze w nieplanowany sposób musiałem przerwać podróż w mieście Mary, otoczonym pustynią na setki kilometrów w każdą stronę, które znane było mi wcześniej jedynie z tego, że posyłano tam na odbywanie służby wojskowej synów sowieckich prominentów, którzy sprawiali problemy wychowawcze przez niestosowanie się do zasad moralności socjalistycznej. Nabywali tam m.in. bardzo przydatnej umiejętności dbania o higienę przez odpowiednie nacieranie ciała piaskiem. Bo wody było tam na lekarstwo, a piach w ustach czuło się w minutę po wylądowaniu.

Moja działalność dyplomatyczna w Azji Centralnej w latach 1993-1996 miała wysoce przygodowy charakter. Organizowałem tam seminaria OBWE. Wyniośle nazywaliśmy to dyplomacją konferencyjną. Chodziło o wprowadzenie regionu do świadomości dyplomatów i urzędników europejskich, ściąganie ich do Duszanbe, Fergany czy Biszkeku, by coś o regionie się nauczyli. A seminaria te wymagały dużej zapobiegliwości logistycznej. Na pierwsze z nich udawałem się opasany meganerką, w której wiozłem kilka tysięcy dolarów w banknotach jedno- i pięciodolarowych na pokrycie tzw. kosztów miejscowych. A innym razem sprytnie „przemyciliśmy” z powrotem do Wiednia moją sekretarkę, której poprzedniego dnia w samolocie rządowym na trasie Urgencz-Taszkient skradziono austriacki paszport. Nie miała przy sobie żadnego dokumentu tożsamości. Załatwiłem z Uzbekami i Lufthansą, że wyleci z Taszkientu. Ale we Frankfurcie trzeba było użyć nie lada fortelu, aby ją można było do Europy wpuścić.

Partnerstwo Azji Centralnej z Europą nie nabrało dotąd wysokości przelotowej. Bo miejscowi liderzy liczyli na zachodnie inwestycje i pieniądze, a Zachód proponował im (w ich mniemaniu – zamiast) standardy demokracji i praw człowieka, które poza Kirgistanem przyjmowano jako zagrażające stabilności władzy. A obiektywnie – wobec oczywistej presji Rosji i rosnącego naporu Chin – Europy tam potrzebowali.

8. Samoograniczenie

Rosja rozpętała wojnę przeciw Ukrainie pod hasłami m.in. neutralizacji i demilitaryzacji kraju. Ukraina sama miałaby się zobowiązać do niewstępowania do NATO i nieposiadania znaczącej infrastruktury wojskowej. Niezależnie od tego, że Ukrainie chce się takie zobowiązania narzucić w wyniku działań wojennych, to stanowiłyby one istotny uszczerbek na jej suwerenności. W 1994 r. Ukraina zrezygnowała dobrowolnie z posiadania broni jądrowej. Ten instrument akurat można przyjąć za akt dobrowolnego samoograniczenia z poszanowaniem suwerenności, choć na gwarancjach, które wtedy w zamian uzyskała, dobrze Ukraina jednak nie wyszła.

Sam fakt dobrowolnej rezygnacji z prawa do rozwijania potencjału obronnego państwa (w części lub całości) może mieć wymiar doktrynalny.

Po II wojnie światowej Japonia uchwaliła najbardziej pacyfistyczną ze znanych współcześnie konstytucji. Wyrzekła się siły jako sposobu rozwiązywania sporów i zrezygnowała z posiadania armii, floty i lotnictwa. Późniejszy rozwój sytuacji międzynarodowej (przede wszystkim wojna koreańska) zmusił ją do zrewidowania interpretacji konstytucyjnych ograniczeń. W 1954 r. utworzono Siły Samoobrony, które dziś dysponują całkiem pokaźnym potencjałem militarnym (i ponad ćwierćmilionowymi stanami osobowymi), a wydatki na utrzymanie tego potencjału plasują Japonię w pierwszej dziesiątce światowego rankingu budżetów wojskowych. Ale nadal są Siły formacją cywilną, a służące w niej osoby formalnie pozostają cywilami. Japonia wysyła oddziały do udziału w operacjach pokojowych ONZ, a nawet była obecna w siłach stabilizacyjnych w Iraku.

W 1949 r. armię jako instytucję zniesiono w Kostaryce. Jak się ocenia, najbardziej znamienym pozytywnym skutkiem tego kroku jest wyjątkowy dla Ameryki Południowej brak jakichkolwiek przewrotów wojskowych w Kostaryce od czasu rozwiązania sił zbrojnych. Można tylko spekulować, czy i w innych państwach Ameryki Łacińskiej, byłby to jakiś sposób na wykluczenie dyktatury wojskowej jako leku na polityczną labilność.

W polityce zagranicznej wiele państw uprawiało bądź uprawia rozmaite formy udawanej (lub nie) doktryny niepozornej polityki. Uprawiały ją do ostatnich lat Chiny wypełniając polityczny testament Denga, zgodnie z którym miały ukrywać swą moc i grać na czas. Xi wyprowadził politykę chińską z cienia, ale czy z dobrym dla Chin skutkiem, pokażą najbliższe lata. Dżina wypuszczonego raz z butelki, zagnać go tam z powrotem z reguły się nie udaje.

Polityką globalnej wstrzeźliwości była niewątpliwie polityka USA w okresie dwudziestowiecznego międzywojnia. Amerykanie pozostawali poza Ligą Narodów, wycofali się całkowicie ze spraw europejskich, dbali o uznanie swojej dominacji na oceanach, kontrolowali sprawy na półkuli zachodniej, ale ich potęga była o wiele większa niż rozmach ich polityki.

Miałem okazję śledzić, jak zmieniały się ambicje i wyrazistość polityki niektórych państw zachodnioeuropejskich na przestrzeni ostatnich trzydziestu pięciu lat. Niektóre okrajały swój profil z konieczności, bo wyraźnie malała ich relatywna waga układzie sił. Wielka Brytania w okresie schyłkowym zimnej wojny i w pierwszych latach transformacji chciała angażować się w sprawy Europy Wschodniej o wiele mocniej niż potem. Choć i wtedy nie był to głos porównywalny z czasami Lloyd George'a i Curzona, kiedy Brytyjczycy mieli ambicje wskazywania sprawiedliwego przebiegu granic w Europie Wschodniej i na Kaukazie Południowym. Skutkiem tego wycofania jest to, że dziś Brytyjczyków nie ma ani w formacie normandzkim, ani w Grupie Mińskiej, ani w konsultacjach genewskich dotyczących Gruzji, ani w formule 5+2 dotyczącej konfliktu naddniestrzańskiego, o innych indycjach nie wspominając. Wyjście z Unii Europejskiej przestawiło Wielką Brytanię na jeszcze bardziej boczne tory w polityce europejskiej. Rosyjska inwazja na Ukrainę w sposób zauważalny przebudziła Brytyjczyków. Znowu widać jest ich zaangażowanie i aktywność (z dobrym dla Zachodu skutkiem). Na jak długo wszakże?

Co najmniej kilka innych sporych państw Unii Europejskiej wyraźnie wygasilo swoją aktywność w regionie środkowo-wschodnioeuropejskim w obecnym milenium. W czasach geopolitycznego przełomu końca lat osiemdziesiątych i początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku wiele istotnych inicjatyw zgłaszały Niderlandy. Nawet w trudnych czasach połowy lat osiemdziesiątych chciały działać na rzecz powrotu do polityki detente. Hans van der Broek, który w latach 1982-1993 był szefem dyplomacji niderlandzkiej, żywił niewątpliwie ambicje zasilania nie tylko integracji europejskiej, ale i relacji Wschód-Zachód, istotnymi inicjatywami. Sam miałem okazję uczestniczyć w negocjowaniu niderlandzko-polskiego projektu próbnych inspekcji w ramach negocjacji Traktatu CFE (1989-1990), który przyczynił się do ułatwienia porozumienia na wiedeńskim forum. Van der Broek negocjował zakończenie wojny o niepodległość Chorwacji i Słowenii w 1991 r. Firmował on holenderską inicjatywę utworzenia urzędu Wysokiego Komisarza OBWE ds. Mniejszości Narodowych (miałem zaszczyt jako koordynator negocjacji nad mandatem tego urzędu w 1992 r. ściśle współpracować z Holendrami, za co osobiście Minister mi podziękował). Trudno dziś znaleźć porównywalne w ambicjach inicjatywy niderlandzkie. Ich polityka nabrała dowodnie merkantylistycznych cech. Skupia się na promowaniu własnego eksportu i inwestycji w Europie Wschodniej.

Kilka państw Europy Zachodniej przyjęło w ostatnich latach generalnie politykę „niewychylania się” poza wspólne stanowisko Unii Europejskiej w kwestiach dotyczących konfliktów na obszarze postsowieckim, sytuacji praw człowieka w Rosji i innych drażliwych tematów. Czyniły wrażenie, jakby czekały tylko na okazję, kiedy ich „low key”, zrównoważona (czyli wycofana) polityka stanie się przesądzającym argumentem w wyznaczaniu polityków, dyplomatów i urzędników

pochodzących z ich krajów na odpowiedzialne stanowiska w Unii Europejskiej i innych organizacjach międzynarodowych. W ostatniej dekadzie ambasadorem Unii Europejskiej w Moskwie był m.in. Hiszpan, w Kijowie – Portugalczyk. Dyrektorem zarządzającym w Europejskiej Służbie Spraw Zewnętrznych zajmującym się Europą Wschodnią i Bałkanami był w latach 2011-2015 Hiszpan, szefem wydziału ds. Rosji w podobnym czasie – Portugalczyk.

Rozpleniła się w Europie, zwłaszcza wśród państw dalekich od źródeł niestabilności, swoista peryfrastyczna polityka, której odpowiednikiem może być filozofia życiowa, wyznawana przez prezydenta jednego z państw europejskich: „stój w kącie, a znajdą cię”. Czy rosyjska agresja na Ukrainę okaże się przełomowym katharsis? Czy pobudzi naszych partnerów i sojuszników europejskich do bardziej zdecydowanej polityki?

Przekonałem się co prawda w swojej praktyce dyplomatycznej, że może postawa "stój w kącie, a znajdą cię" dawać niespodziewane, ale miłe skutki. W czerwcu 2005 r. przewodniczyłem polskiej delegacji (jako wiceminister spraw zagranicznych) na ministerialną konferencję OBWE ws. antysemityzmu w Cordobie. Ambasador Maciej Kozłowski przygotował znakomity tekst mojego przemówienia. Postanowiłem wszakże „mówić z głowy”, własnym językiem, dodając uwagi osobiste i trochę niezbędnych emocji, czyli zrobić wszystko, aby przemówienie zostało zauważone. I zostało.

Król Hiszpanii Juan Carlos podejmował szefów delegacji obiadem podczas konferencji. Ponieważ było wśród nas kilkunastu pełnych ministrów, ministrów stanu i sekretarzy stanu, posadzono mnie od Króla dość daleko. Dobre dwa stoły od stołu „prezydialnego”. Po zakończeniu obiadu, Król wstał i zaczął się z uczestnikami osobiście żegnać. Każdy oczywiście chciał uścisnąć mu dłoń, więc powstał wzdłuż sali gęsty szpaler. Nie chciałem się tłoczyć, odsunąłem się więc pod ścianę. Król przesuwał się powoli. Nagle zobaczyłem, że kątem oka dostrzegł mnie, stojącego z dala. Zrobił kilka kroków, ale nagle rozsunał szpaler i podszedł do mnie tkwiącego pod ścianą. Wysunął dłoń na powitanie, zaczął mówić po hiszpańsku. Nie rozumiejąc dokładnie, co mówił, odpowiedziałem po angielsku. Król dalej po hiszpańsku, ja po angielsku. Zrobiła się z tego niemal rozmowa na oczach całej sali. Na pożegnanie Król z serdecznością ścisnął mi ramiona i odszedł wprost do wyjścia. Kilku kolegów skierowało do mnie pytające (a nawet wręcz zazdrosne) spojrzenia. Nie wiedziałem, co rzec, więc powiedziałem: „We know each other for years”. Nie wszyscy wzięli to za dowcip, bo przecież widziałem go pierwszy raz w życiu. Sam głęboko w duchu pomyślałem, że przecież Król mógł mnie wziąć za członka personelu obsługi i chciał zwyczajnie podziękować mi za dobrą robotę przy podawaniu do stołu (choć pomyłka była mało prawdopodobna, bo przecież nie nosiłem białych rękawiczek, które były obowiązkowe dla kelnerów).

Przejawem samorezygnacji była postawa niektórych państw Europy Środkowej i Wschodniej, które po wstąpieniu do Unii Europejskiej i NATO uznały, że zasadnicze cele ich polityki zagranicznej zostały osiągnięte. NATO i Unia odtąd miały a priori rozwiązywać wszelkie ich problemy. Nie pozostawało tym państwom nic innego niż dbać, by NATO i Unia trwały (w dobrym zdrowiu). Ślepo niemalże akceptowały wspólne ustalenia francusko-niemieckie w ramach Unii, czy amerykańskie propozycje w ramach NATO, które poparł tzw. quad (USA plus Wlk. Brytania, Francja, Niemcy). Państwa te stać jest niewątpliwie na własną ocenę i analizy, własne pomysły i idee. Ale zwyczajnie przestały mieć takie ambicje. Agresywna polityka Rosji w regionie, jeśli nie od inwazji na Gruzję w 2008 r., to z pewnością od uderzeń na Ukrainę w 2014 r., a zwłaszcza kryzys wojenny wokół Ukrainy na przełomie 2021 i 2022 r. i sama wojna od lutego 2022 r. zakłóciły im niewątpliwie poczucie błogostanu. Zmusiły do refleksji.

W dalszym ciągu „nowa Europa”, środkowowschodnia Europa jest partnerem mniejszym zarówno w Unii Europejskiej, jak i w NATO, niedoreprezentowanym we władzach urzędniczych i ambasadorskich, nie potrafiącym (bądź nie chcącym) przebijać się z własnym głosem w gremiach decyzyjnych.

9. Izolacjonizm wyniosły

Jeden z nadwornych publicystów obozu rządzącego w l. 2015-2023 zasugerował wtedy, że najlepszym rozwiązaniem dla Polski byłaby autarkia, i to pod każdym względem: gospodarczym, politycznym, a nawet kulturowym. Niektórzy politycy Zjednoczonej Prawicy niewątpliwie własnymi rękami usypaliby mur, chroniący Polskę przed „demoralizującymi ideologiami” (na czele z „ideologią gender”), które idą do nas z Zachodu. Zbudowałiby szczelny klosz, chroniący polski wymiar sprawiedliwości, ustrój medialny, a nawet funkcjonowanie instytucji demokratycznych od wścibskiego oka Brukseli. I pewno, gdyby nie potok pieniędzy z Unii Europejskiej, poszliby na udry z Brukselą do imentu, tak aby polski elektorat uznał w końcu, że najlepszym rozwiązaniem byłoby dla kraju izolacjonizm. Nawet wojna w Ukrainie nie otrzeźwiła tych gorących głów i parli oni do polskiego samowykluczenia. Izolacjonizm kusi.

*

Izolacjonizm jest uznaną doktryną polityczną. Może on przyjmować wiele postaci. Może mieć naturę kulturowo-cywilizacyjną, oznaczać niechęć do kontaktów z obcymi kulturami, wynikającą z ksenofobicznego niekiedy przekonania o własnej wyższości i samowystarczalności. W historii uprawiała ten model izolacjonizmu, i to przez stulecia, a nawet milenia całe, Japonia. Aż do połowy XIX wieku.

Przekonana o swojej wyjątkowości, podpieranej wiarą w pochodzenie narodu od Boga (z cesarzem jako synem niebios), naturalnie jako łańcuch wysp od innych cywilizacji odseparowana, nie budowała Japonia więzi ze światem. Ale aż tak solipsystyczna w swej postawie nie była, bo miała Japonia niezłą świadomość, coś tam od niego, zwłaszcza po sąsiedzku, brała, lecz trzymała od niego duży (i bezpieczny) dystans. Raz tylko do czasów nowożytnych skusiła się na ekspansjonistyczny pochód. W 1590 r. Toyotomi Hideoshi lądował na Półwyspie Koreańskim, z docelowym zamiarem podbicia samych Chin. Został wszakże powstrzymany, a interweniująca armia chińska wyparła Japończyków na południowy skraj Półwyspu. Japonia wycofała się z kontynentalnej Azji na wieki. Może więc ten pozerski izolacjonizm był zasłoną lęku, że frontalne odsłonięcie się na sąsiada może tylko stać się źródłem kłopotów.

Sąsiedztwo wielkiej cywilizacji chińskiej oddziaływało na tożsamość Japonii bezdyskusyjnie. Importowała Japonia stamtąd wiele elementów kultury i religii, ze znakami pisma włącznie. Ale zapożyczenia te umiejętnie przetwarzała we właściwy sobie sposób, zapobiegając kulturowej dyspepsji i tworząc unikatowy cywilizacyjny wzorzec. Konsekwentnie opierała się chińskim próbom włączenia jej w system trybutarny. Dwukrotnie odparła chińską inwazję, z wydatną pomocą boskiego wiatru („kamikaze”). Grała sprawnie w protokolarne gry z Chińczykami. Nigdy w swoich dokumentach i działaniu nie pozwalała uważać siebie za podporządkowaną. W sensie politycznym izolacjonizm służył Japonii do odrzucenia hierarchicznego modelu azjatyckiego porządku w wydaniu sinocentrycznym.

Po nieudanej wyprawie Hideoshi na kontynent zamknęła się w sobie jeszcze bardziej. Nie uciekała od zagranicznego handlu, w tym i z Zachodem. Ale zezwalała nań tylko w wybranych miejscach i pod ścisłą kontrolą. Na początku XIX w. uznała nawet, że i tego było za dużo i poszła na całkowite usunięcie cudzoziemców z wysp japońskich. Misja Matthew Perry z połowy XIX w. uświadomiła im wszakże, że zbyt bardzo ustępowała Japonia technologią i mocą militarną, by skutecznie opierać się handlowemu naporowi Zachodu (podpartego siłą militarną). A rewolucja Meiji wprowadziła Japonię na drogę fertycznego przyswajania zdobyczy technologiczno-przemysłowych i

organizacyjnych Zachodu. Okcydentalizacja nie wywoływała przy tym żadnych większych oporów społecznych. Przekonanie o wyjątkowej własnej tożsamości neutralizowało wszelkie obawy o kulturowe skutki wielkiego importu obcych osiągnięć.

I kopiując Zachód, budowała Japonia siłę. Mogła wrócić do planów podboju sąsiedztwa. Jeszcze przed końcem XIX wieku Japonia wyłuskała spod chińskiej zależności Koreę i zawłaszczyła Tajwanem. Już w 1905 r. o sile zmian cywilizacyjnych w Japonii przekonała się boleśnie Rosja. Militarne upokorzenie europejskiego imperium dodało Japonii nigdy nie zaznanej pewności siebie. Był to już niewątpliwie ostateczny koniec politycznego izolacjonizmu i wejście na drogę imperialnej ekspansji. Japonia w I wojnie światowej przejęła od Niemiec bazy w Chinach, podbiła po wojnie Mandżurię, a potem Chiny. Już jako państwo Osi w II wojnie światowej rozpostarła swoje imperium na Azję Południowo-Wschodnią i wyspy Pacyfiku. Były japońskie podboje bezlitosne i krwawe, były dla Zachodu upokarzające i niespodziane (upadek Singapuru w 1942 r.). Ale do dziś widzi się w Japonii ich dumną stronę. W japońskiej narracji, uświadomiły one żyjącym pod kolonialnym zarządem narodom Azji Południowo-Wschodniej, że Zachód nie ma prawa odczuwać cywilizacyjnej wyższości na Azją. Że są Azjaci, którzy potrafią Zachodowi dokopać militarnie, są sprawniejsi i silniejsi. Japońskie podboje są traktowane w Tokio jako prazródło procesu narodowowyzwoleńczego i emancypacji azjatyckiej.

Pokonana w II wojnie światowej przyjęła Japonia werdykt historii z pokorą i dokonała kolejnego diametralnego zwrotu. Przyjęła spadek wojennego *dies irae* z dobrodziejstwem inwentarza. Wyrzekła się militarystyki i ekspansji. Zadeklarowała polityczny pacyfizm.

Zajęta własnymi sprawami zbudowała potencjał przemysłowy i technologiczny, który jeszcze w latach siedemdziesiątych XX wieku inspirował do snucia prognoz, że stanie się Japonia mocarstwem gospodarczym numer jeden w świecie. Ale dynamika wzrostu spadła, a chiński progres z czasem przyćmił japoński cud gospodarczy.

W sensie politycznym wszakże Japonia stała się częścią Zachodu.

*

Inną formą izolacjonizmu wyniosłego, choć nie cywilizacyjno-kulturowego czy gospodarczo-handlowego, lecz czysto politycznego, była niegdysiejsza doktryna „splendid isolation”, praktykowana przez Wielką Brytanię.

"Wspaniała izolacja" przyłgnęła jako termin do polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii po Kongresie Wiedeńskim 1815 roku. I była stosowana w praktyce aż do początku XX wieku, ze szczególną intensywnością zwłaszcza w latach 1870-1905. Termin ten podchwycili Brytyjczycy od kanadyjskiego polityka George'a Fostera. Foster użył go, by pochwalić brytyjską wstrzeźliwość od wikłania się w spory w skonfliktowanej Europie. Określenie to zostało spopularyzowane w brytyjskiej publicystyce tamtego czasu. Zaczęli używać go politycy, jak w szczególności wicehrabia George'a Goschen, pierwszy Lord Admiralicji, który w 1896 roku powiedział był: „Byliśmy tu sami w izolacji – naszej wspaniałej izolacji, jak to określił jeden z naszych kolonialnych przyjaciół”.

Polityka „splendid isolation” charakteryzowała się niechęcią do wchodzenia w stałe sojusze z europejskimi i światowymi mocarstwami. Brytyjczycy odmawiali sprzymierzania się z Europejczykami w sztywne aliansy, podejmowania zobowiązań w obliczu – jak to sami określali – abstrakcyjnych i hipotetycznych zagrożeń i wyzwań. Odmówili wejścia w 1815 r. do Świętego Przymierza, a Koncert Mocarstw widzieli jako format konferencji europejskich do rozwiązywania konkretnych problemów. George Canninga, brytyjski minister spraw zagranicznych epoki wiedeńskiej, jest łączony z zasadami ówczesnej polityki, które przewidywały brak interwencji i nieuczestniczenie w jakimkolwiek europejskim systemie policyjnym, opieranie polityki na faktach,

a nie na abstrakcyjnych teoriach, poszanowanie praw traktatowych, ale ostrożność w ich rozszerzaniu, dążenie do utrzymania równowagi sił w Europie poprzez wspieranie słabszych.

Izolacja od Europy miała sprzyjać koncentracji energii politycznej na ekspansji kolonialnej, zwłaszcza w drugiej połowie XIX wieku.

W 1866 roku minister spraw zagranicznych Lord Derby wyjaśniał tę politykę w następujący sposób: „Obowiązkiem rządu tego kraju jest, biorąc pod uwagę położenie geograficzne, utrzymywanie stosunków dobrej woli ze wszystkimi sąsiednimi narodami, nie wplątując się w jakikolwiek pojedynczy lub monopolizujący sojusz z którymkolwiek z nich; a przede wszystkim dążenie do nieingerowania niepotrzebnego i dokuczliwego w wewnętrzne sprawy jakiegokolwiek obcego kraju.”

Potrafilo jednak Brytyjczycy, kiedy nie było innego wyjścia, interweniować w sprawach europejskich, jak choćby po stronie Turcji w wojnie krymskiej 1853-1856, czy też działając politycznie na rzecz niepodległości Belgii czy Grecji.

Przewartościować stanowisko zmusił Wielką Brytanię wzrost potęgi Niemiec i jej imperialne zakusy, zwłaszcza po odejściu Bismarcka. Niemcy rzuciły wyzwanie Wlk. Brytanii na morzach i oceanach. Zaczęły domagać się redystrybucji kolonialnego tortu. Sprezentowanie im Kilimandżaro i przesmyku Caprivi nie mogło w żaden sposób ich udobruchać. Wcześniej o mało nie doszło do otwartej wojny Brytyjczyków z Francją w 1898 r. na tle incydentu w Faszodzie. Brytyjczycy poczuli się dotkliwie osamotnieni podczas drugiej wojny burskiej. Stany Zjednoczone, które przecież na prośbę Wlk. Brytanii ogłosiły kiedyś doktrynę Monroe, same zaczęły cisnąć Brytyjczyków w Ameryce. Rosjanie zaś parli z Azji Centralnej na Afganistan. „Splendid isolation” zamieniało się w niebezpieczne osaczenie.

Celem zaś polityki niemieckiej według słów Wilhelma II stało się z czasem zakończenie „swobodnej jazdy Wielkiej Brytanii na frakach Trójprzymierza”. W 1898 roku minister ds. kolonii Joseph Chamberlain próbował negocjować sojusz z Niemcami. Mówił publicznie o trudnej sytuacji dyplomatycznej Wielkiej Brytanii, narzekając: „Nie mieliśmy sojuszników. Obawiam się, że nie mieliśmy przyjaciół... Jesteśmy sami”.

Zawarcie ententy brytyjsko-francuskiej w 1904 r. i podpisanie porozumienia rosyjsko-brytyjskiego w 1907 roku zakończyło definitywnie politykę „splendid isolation”. Wlk. Brytania weszła do systemu „sztynnych” aliansów.

Od wielu lat wielu obserwatorów europejskich ostrzega przed nowym izolacjonizmem amerykańskim. Widziane z ich dostrzegalni, społeczeństwo amerykańskie, zmęczone kosztami utrzymywania przez USA porządku w świecie (Pax Americana), gwarantowania wielu państwom ich bezpieczeństwa, sfrustrowane niepowodzeniami w stabilizacji regionów zapalnych i państw upadłych, miałyby wymóc na elicie politycznej kraju wycofanie się Ameryki ze zobowiązań globalnych i zajęcie się własnymi sprawami. Pojawiają się reminiscencje dobrych dla wzrostu potęgi Ameryki czasów izolacji, chociażby po I wojnie światowej, wezwania do zaprzestania naiwnej dobroczynności i daremniczej dla świata pracy. Nic podobnego wszakże stać się może. Mogą Stany Zjednoczone przechylać się w stronę bardziej egotycznego (ale nie egoistycznego) spojrzenia na świat, jak miało to miejsce za prezydentury Donalda Trumpa. Mogą Stany Zjednoczone bardziej wybiórczo określać priorytety globalne, jak miało to miejsce za prezydentury Baracka Obamy (spadek zainteresowania Europą). Mogą dawać niezgrabnego drała z niektórych niewygodnych miejsc, jak z Afganistanu za prezydentury Joe Bidena. Nie dojdzie wszakże do żadnej nowej amerykańskiej rejterady z odpowiedzialności globalnej. Ukraina jest tego potwierdzeniem. Chyba, że Ameryka rzeczywiście zapadnie się w głęboki kryzys wewnętrzny. To na ten kryzys liczą i Rosja, i Chiny.

Izolacjonizm w dyplomacji, na wykonawczym poziomie, nigdy się nie sprawdza. Naczelna zasada dyplomacji stanowi: nigdy nie zostań sam w dyplomatycznej rozgrywce. Można oczywiście się spierać, czy rację w zatargu (a prawdę tym bardziej) da się ustalić drogą głosowania. Zwłaszcza z historycznej perspektywy często widać, że za mylnymi stanowiskami opowiadała się większość. Ale nawet wielkie mocarstwa, które mogą sobie pozwolić na wzniosłą izolację, nie chcą wyglądać na osamotnione. Jest rzeczą znamioną rozkład głosowania nad rozmaitymi rezolucjami skierowanymi przeciw polityce Izraela (prawa Palestyńczyków, osiedla na Zachodnim Brzegu, broń jądrowa na Bliskim Wschodzie, etc.), które przegłosowano w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ na przestrzeni ostatnich dekad. Wśród głosujących przeciw obok Izraela zawsze solidarnie stają Stany Zjednoczone. Ale i one nie chcą czuć się samotne. Zawsze mogą więc liczyć na towarzystwo Wysp Marshalla czy Palau, które przecież o jakąkolwiek samodzielną politykę na Bliskim Wschodzie nawet nie są podejrzewane. A Rosja także, uznając samozwańczą niepodległość Abchazji i Osetii Południowej, też w samotności źle by się czuła, więc za małą cenę zapewniła uznanie separatystycznych republik przez Nauru i Nikaragę. Poglądy tych państw na kwestie integralności terytorialnej państw i samostanowienia nie były ani wcześniej, ani potem szerzej znane. Zmusiła też Rosja Syrię do uznania niepodległości samozwańczych reżimów donbaskich.

Strzelistym monumentem wyniosłej izolacji było niewątpliwie zachowanie Polski przy przedłużeniu mandatu Donalda Tuska jako przewodniczącego Rady Europejskiej. Niesławne lanie dwadzieścia siedem do jednego w marcu 2017 r. może być przykładem pryncypialnej alienacji. Jej odtrąbienie jako dyplomatycznego sukcesu było prostacką obrazą inteligencji Polaków. Ale tkwiące w ślepej wierze w mądrość rządzącej partii miliony Polaków obrazić się nie dały.

We wrześniu 2007 r. doświadczyłem na sobie ciężaru polityki wyniosłej izolacji. Unia Europejska i Rada Europy miały ustanowić Europejski Dzień przeciw Karze Śmierci (obchodzony 10 października). Ówczesny polski rząd inicjatywie sprzeciwił się kategorycznie. W Brukseli formalne ruchy zablokować było łatwiej, bo obowiązuje tam w tych kwestiach zasada jednomyślności, więc polskie veto zamykało sprawę. Ale w Komitecie Ministrów Rady Europy chciano przegłosować sprawę większością głosów. W regulaminie Komitetu jest wszakże zapis, który pozwala państwu wnioskować o szczególne potraktowanie sprawy i przeciąganie decyzji. Ale służby prawne Sekretariatu Rady Europy przedstawiły twardą (choć logicznie poronioną) opinię, że o tym, czy sprawa jest szczególna, Komitet może zdecydować zwykłą większością. Nawet jeśli z punktu widzenia czystej logiki taka interpretacja jest idiotyczna, to sam fakt, że służby prawne Sekretariatu chciały narzucić rządowi państw członkowskich ową interpretację, było już wybitnym ubezwłasnowolnieniem ciała, jak by nie było, politycznego i nadrzędnego.

Odejście od stosowania kary śmierci przez państwo jest w Radzie Europy kryterium członkostwa. Być może decydenci wtedy w Warszawie tego sobie nie uświadamiali. Tym niemniej postanowili wytoczyć przeciwko symbolicznej przecież inicjatywie najcięższe działa. A odebrano to jako atak na tożsamość organizacji. Moje poglądy osobiste na karę śmierci są jednoznaczne – jestem jej przeciwnikiem, choć nie traktuję jej stosowanie w USA czy Japonii jako powód do misyjnej krucjaty. Nie uważam też, że nie wolno dopuszczać do jakiegokolwiek dyskusji na temat zasadności rezygnacji z kary śmierci. Można o tym rozmawiać. Podobnie jak o dopuszczalności eutanazji czy aborcji.

Sprzeciw wobec inicjatywy wystawił nas na zmasowaną presję w Strasburgu zarówno ze strony kilku państw członkowskich, jak i przede wszystkim ze strony Sekretariatu. Swoimi wszakże nieprzemyślanymi wypowiedziami ułatwili nam partnerzy postawienie sprawy w czysto proceduralnym wymiarze. Bo politycznie dano nam do zrozumienia, że Rosji na taki opór pozwolono by z wyrozumiałością (i to bynajmniej nie tyle z powodu, że ona kary śmierci formalnie nie zniosła, ale jedynie zawiesiła jej stosowanie, ale dlatego, że Rosja to mocarstwo, bez którego, jak wtedy uważano, Rada Europy nie miałaby sensu). Więc powstał spór pryncypialny, czy państwo

średniego rzędu wielkości, choćby w pojedynkę, ma prawo do szczególnego potraktowania sprawy uznanej przez nią za ważną. Nie chodziło już wtedy na posiedzeniu w Strasburgu, czy kara śmierci jest dobra czy zła, czy specjalny dzień w kalendarzu jest dla jej powszechnego zniesienia potrzebny. Chodziło o to, kto może i jak określać, jaka sprawa jest dla państwa członkowskiego ważna. Takie proceduralne postawienie sprawy spowodowało, że dyskusja potoczyła się już tak, że nie byliśmy sami. Byliśmy w bolesnej mniejszości, ale już nie sami (a Rosja schowała się sprytnie za naszymi plecami).

Czasami można i trzeba postawić się poglądom większości nawet za cenę osamotnienia. Chodzi tylko o to, aby kwestia, co do której się stawiamy, miała dla naszych interesów znaczenie strategiczne. Bo stawianie się dla samego stawiania podkopuje jedynie autorytet polityczny kraju.

10. Izolacjonizm autarkiczny

Polscy piewcy autarkii mają oczywiście pełną świadomość, że dziś, w czasach globalizacji, izolacjonizm może być ledwie desperacką próbą obrony możliwości niezachwianej kontroli nad społeczeństwem.

Globalizacja rozsadza niewątpliwie bariery i granice. Państwa nieuchronnie intensyfikują kontakty ze światem. Coraz trudniej jest się integrowaniu ze światem przeciwstawiać. Zygmunt Bauman prognozował kiedyś, że dojdzie niechybnie do wybuchu nowych wojen ery globalizacji. Będą one zwrócone przeciw tym, którzy globalizacji się opierają. Globalizacja wszakże nie potrzebuje siłowych metod dla swojej ekspansji. Budzi ona niepokoje związane z jej skutkami dla suwerenności państw. Pojawienie się zwłaszcza wirtualnego wymiaru interakcji międzyludzkich podkopuje tradycyjnie pojmowaną kontrolę państwa nad zachowaniami jego obywateli. Od kilku lat wzmacnia się tendencja wielu już państw do wirtualnego odgradzania swoich obywateli od świata. Pionierem i liderem budowy zapór są oczywiście Chiny. Ale coraz więcej państw rozważa zaostrzenie mechanizmów kontroli nad informacyjnymi przepływami w świecie wirtualnym, a zwłaszcza nad zasobami danych o własnych obywatelach. W realu wszakże odgraniczać się od świata jest coraz trudniej.

Łagodny wymiar izolacjonizmu nadal obowiązuje w polityce wielu państw. Związany jest z pojmowaniem zadań polityki zagranicznej. Nakazuje wstrzemięźliwość w podejmowaniu zobowiązań zewnętrznych. Jego usystematyzowaną postacią jest neutralność czy też niezaangażowanie. Wiele państw mniejszych chce kontrolować (i ograniczać) napływ obcych inwestycji (nie tylko związanych z wykupem ziemi czy nieruchomości) w obawie przed utratą gospodarczej suwerenności. Może izolacjonizm przejawiać się w różnych formach protekcjonizmu. Łagodny izolacjonizm można zrozumieć i należy uszanować.

Ale izolacjonizm już nie łagodny, ale zasadniczy, czyni odcięcie od świata elementem polityki opresyjnej wobec własnych obywateli. Jest wyrazem chęci konserwacji wewnętrznych porządków i spistości ideologicznej. Dotyczy przede wszystkim państw totalitarnych. A polityka zagraniczna ma w tym przypadku być skorupą chroniącą sytuację wewnętrzną przed wszelką ingerencją z zewnątrz.

Izolacjonizm jako doktryna polityki zagranicznej, zakładająca ograniczenie kontaktów ze światem zewnętrznym i limitowanie udziału w życiu międzynarodowym, wymaga spełnienia pewnych warunków brzegowych. Dla jego skuteczności niezbędna jest względna samowystarczalność gospodarcza. Inaczej wystawia obywateli na wyrzeczenia dotyczące poziomu życia, a nawet na

klęski głodowe. Wymagać też izolacjonizm powinien brak realnych zagrożeń bezpieczeństwa (lub zdolność do ich samodzielnej neutralizacji), co w przypadku niektórych państw prowadzić może nawet do posługiwania się szantażem nuklearnym jako argumentem w polityce bezpieczeństwa (KRLD).

*

W latach 1978-1991 praktykowała izolacjonizm Albania. Po II wojnie światowej aż do końca lat pięćdziesiątych była lojalnym członkiem bloku sowieckiego (członkiem RWPG i Układu Warszawskiego). W 1958 r. poparła jednak Chiny w sporze z kierownictwem sowieckim dotyczącym koncepcji pokojowego współistnienia. Nie mniejszy problem miała z zaakceptowaniem przez ZSRR odmienności jugosłowiańskiej drogi do socjalizmu i kursem Chruszczowa na odbudowę stosunków z Tito. Pojednanie sowiecko-jugosłowiańskie odebrała jako cios we własne poczucie bezpieczeństwa.

Na zjeździe Rumuńskiej Partii Pracy w 1958 r. delegacja albańska jako jedyna odmówiła poparcia deklaracji partii komunistycznych bloku sowieckiego potępiającej Chiny. Kiedy ZSRR zaczął wycofywać swoich doradców i wstrzymywał obiecaną pomoc (dostawy zboża), przyjęła wsparcie chińskie i od 1960 r. w sensie politycznym kroczyła odtąd wspólnie z Chinami. Sowietci zyskali w Tiranie doktrynalnie miano zdradzieckich rewizjonistów. Sponsoring chiński nie był w stanie jednak rekompensować odcięcia od pomocy ZSRR. Kraj pogrążył się w ubóstwie. W 1968 r. ostatecznie wystąpiła Albania z Układu Warszawskiego.

Albania służyła przez lata jako łatwy (a i substytucyjny) cel ataków propagandowych ze strony państw socjalistycznych, które (jak Rumunia) unikały bezpośredniego krytykowania Chin.

Albania od świata całkiem się jednak nie odcinała i pozostawała w szeregach ONZ, a nawet odgrywała tam rolę rzecznika Chin, do czasu kiedy ich miejsce zajmowały władze tajwańskie. Odmówiła jednak udziału w Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Dołączyła dopiero w 1991 r.

Ale i prochińska orientacja musiała dobiec końca. Rozbrat z Chinami zaznaczył się w zasadzie już w 1976 r., kiedy Albania wystąpiła z krytyką nowego, postmaoistowskiego kierownictwa Chin. Rozsierdziła Albańczyków też wizyta Tito w Chinach. W 1978 r. Chiny zaprzestały świadczenia pomocy wobec Albanii.

Albania zdecydowała się wtedy na pełną autarkię. Została ona odzwierciedlona w prawodawstwie kraju. Albania zabroniła sobie możliwość uzyskiwania pomocy finansowej od krajów kapitalistycznych i rewizjonistycznych.

Autarkię próbowano wykorzystać do rozbudzenia nastrojów nacjonalistycznych. A nacjonalizm miał zalegitymizować socjalizm. Enver Hodża proklamował „budowę socjalizmu własnymi siłami”. Co zakończono z wielką narodową ulgą w 1991 r. A dziś, proszę bardzo, jest Albania nawet członkiem NATO. I nieuchronnie wstąpi do Unii Europejskiej.

*

Izolacjonistyczną drogą podążała (i podąża do dziś) Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna. Tam ideologiczną podstawą izolacjonizmu stała się doktryna „dżucze”. Dżucze to po koreańsku „podmiot”, czyli postulat podmiotowego traktowania narodu. „Człowiek panem własnego losu” jest sloganem wyjściowym doktryny. Ale jej konkluzja polityczna sprowadzała się do tego, że masy potrzebują „wielkiego przywódcy”.

Po raz pierwszy Kim Ir Sen wspomniał o dżucze już w 1955 r., choć dopiero w 1963 r. sformułował on pierwsze trzy jej kanoniczne zasady: samodzielności w polityce, samodzielności ekonomicznej i samodzielności obronnej.

Początkowo traktowano dżucze jako narodową wersję marksizmu-leninizmu. Ku połowie lat siedemdziesiątych doktryna (uzupełniona już o zasadę samodzielności ideologicznej) utraciła wszelki związek z marksizmem. Stała się katalizatorem i spoiwem ultranacjonalizmu. Z tego choćby powodu nie udały się próby jej eksportu. Jakąś formę zainteresowania przejawiał w latach siedemdziesiątych jedynie Madagaskar.

Na arenie międzynarodowej KRLD nie stroniła bynajmniej od kontaktów. Była aktywna w organizacjach międzynarodowych. Starła się podtrzymywać poprawne relacje ze wszystkimi państwami socjalistycznymi. W sporze chińsko-rosyjskim nie opowiedziała się po żadnej ze stron. W 1975 r. dołączyła do ruchu niezaangażowanych. Aktywnie rozwijała współpracę militarną z wybranymi partnerami (np. w dziedzinie rakiet balistycznych i technologii nuklearnych z Pakistanem). Ale jej autarkia zgotowała społeczeństwu postępujące charłactwo, ocierające się o ludobójstwo. Gdyby nie pomoc ze strony Chin, północnokoreańskie państwo zawałiłoby się już dawno.

Od 1953 r. Polska wchodziła w skład Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych na Półwyspie Koreańskim. A ambasadorowie KRLD w Polsce, zwłaszcza Kim Pyong Il, przyrodni brat „umiłowanego przywódcy” i „kochanego wodza”, Kim Dzong Ila, syna Wielkiego Wodza, mogli mieć nas możliwością skorzystania z gościnności Warszawy, gdyby doszło do kontaktów normalizujących relacje z USA. Nawet kiedy prezydent Trump zdecydował się doprowadzić do spotkania z Kim Dzong Unem.

W 2015 r. jako dyrektor Departamentu Azji i Pacyfiku w MSZ miałem okazję słyszeć interesujące tezy ambasadora KRLD Ri Geona w sprawie możliwej roli Polski.

Z kontaktów Trump-Kim nic na dłuższą metę nie wyszło i wyjść nie mogło. A społeczeństwo północnokoreańskie pogrążało się w ubóstwie i ucisku. Izolacjonizm opresyjny KRLD stał się wyzwaniem moralnym dla świata. Nie pomagać cierpiącym ludziom źle, ale przez pomoc pomagać reżimowi trwać – jeszcze gorzej. Nie mają takiego wyrzutu Chin. Podział Półwyspu służy ich interesom geopolitycznym. A bez nacisku ze strony Chin, reżim może trwać i trwać.

*

Przez prawie pół wieku izolacjonizm praktykowała Birma (Mjanma). W 1962 r. dokonał się tam przewrót wojskowy, a generałowie pod wodzą Ne Wina ubrali dyktaturę wojskową w kostium socjalizmu. I ZSRR, i Chiny poparły przewrót. Władzę sprawowała Birmańska Socjalistyczna Partia Postępu, a celem polityki stała się „birmańska droga do socjalizmu”. Przeprowadzono kompleksową nacjonalizację, ustanowiono jednopartyjny system polityczny, wprowadzono cenzurę i ograniczono kontakty z zagranicą (obywatele kraju musieli ubiegać się o wizy wyjazdowe, a wizy dla cudzoziemców wystawiano na pobyt najwyżej 24-godzinny).

Ale socjalistyczna retoryka nie przekonywała Moskwy. Choć moralnie wspierała Moskwa ruch niepodległościowy w Birmie, a ojciec birmańskiej niepodległości Aung San był nawet w młodości działaczem ruchu komunistycznego (z którego go usunięto) i zawsze pozostawał pod wpływem idei socjalistycznej. Birmy nie zaliczono na Kremlu do grupy państw socjalistycznych, a nawet do grupy państw o orientacji socjalistycznej. ZSRR wspierał generałów dyskretnie. Sporo studentów i specjalistów birmańskich zdobywało kwalifikacje w ZSRR. A wyczuwalna z czasem sinofobia w Birmie wykluczała poparcie ze strony Chin. Choć na starcie niepodległości Chiny okazały Birmie odczuwalną pomoc.

Załamał się birmański socjalizm w 1988 r. Dyktatura zrzuciła ideologiczne szaty. W 1990 r. odważyła się na wybory, które przegrała. Nie uznała jednak ich wyników i rządziła do kontrolowanego przekazania władzy w 2011 r. Ale pozostawać w cieniu cywilnej władzy długo

wytrzymać nie była w stanie. Na początku 2021 r. przeprowadziła kolejny przewrót. I dokręciła śrubę opresji.

Chiny i Rosja zablokowały brytyjski projekt rezolucji Rady Bezpieczeństwa potępiającej przewrót. Bezsilny w presji okazał się ASEAN, choć Mjanma w 1997 r. przystąpiła do organizacji.

Powrotu do izolacjonizmu w poprzednim wydaniu wszakże nie będzie. Lecz znów pojawia się wyzwanie moralne: jak z reżimem lekceważącym sygnały potępienia ze świata, objętym nawet sankcjami, choćby nawet tylko personalnymi wobec liderów junty, postępować?

*

W Europie zresztą wyzwanie w 2020 r. było jeszcze bardziej palące – poczynania reżimu Łukaszenki. Przez lata silny wpływ na zachowanie Zachodu miała teza, że im większa izolacja Białorusi, tym bardziej skłonna jest ona integrować się z Rosją, wręcz do utraty niepodległości. Dylemat ten był łatwą zasłoną dla niewyciągania zasadniczych wniosków z fiaska jakichkolwiek prób nawiązywania dialogu z Łukaszenką. Po masowych protestach i niespotykanych represjach ze strony reżimu w 2020 r. dylemat ten stracił na ostrości. Nie było innej drogi niż konsekwentny ostracyzm Łukaszenki. Bo Białorusini w swoim proteście wobec Łukaszenki stali się narodem państwowym, z własną tożsamością i samoświadomością. Żadne ruchy integracyjne z Rosją, wypłukujące resztki samodzielności politycznej i gospodarczej Białorusi, tego nie odwrócą. Pozwalając Rosji na wykorzystanie terytorium Białorusi do ataku na Ukrainę, Łukaszenka stał się współnikiem losu Putina. Ale społeczeństwo z narzuconej mu przez Łukaszenkę anhedonii wyzwoli się nieodwołalnie.

*

Politycy postulujący dziś w Polsce (i nie tylko) izolacjonizm (z reguły pod słusznymi hasłami obrony suwerenności państwa i tożsamości narodu) zdradzają lęki przed przyszłością i mogą być podejrzewani wręcz o zamordystyczne zamiary. To młode, wstępujące pokolenie powinno stać w awangardzie społecznych nacisków na elity, aby narodu nie odgradzały od świata.

Obudź się więc, młodzieży, nim ci smartfona odetną.

* * *

Logika rozwoju stosunków międzynarodowych jest przejrzysta: coraz trudniej stać z boku, coraz trudniej udawać, że niewiele nas obchodzi, coraz trudniej przywdziewać maskę obojętności, coraz trudniej trzymać daleki dystans. Ta sama logika podpowiada: trzeba działać, trzeba reagować, najlepiej kolektywnie, wspólnie.

Rozdział IV.

Doktryny reagowania

W opisach współczesnych stosunków międzynarodowych często pojawia się alegoria stołu bilardowego i chaotycznego ruchu bilardowych kul, w którym pełno jest rykoszetów, niekontrolowanych zderzeń łańcuchowych. Przewidzieć układu kul już całkiem nie sposób, bo nie tylko liczba kul wyrosła gigantycznie, ale i sama płaszczyzna stołu pofałdowała się i zmierzwiła. A i ruch większości kul nie jest bynajmniej samoistny, lecz jest wynikiem uderzeń innych kul.

Każdy praktyk polityki zagranicznej, w tym i dyplomata, osobiście przekonał się, że jego agendę mogą doskonale wypełnić przede wszystkim skutki działań innych państw. Zajmować się on może przez większą część dnia przede wszystkim reagowaniem na zachowania współuczestników polityki międzynarodowej. Im bardziej państwo uwikłane w sieć współzależności, im bardziej wystawione na konsekwencje rosnącej internacjonalizacji procesów politycznych i gospodarczych, im bardziej wrażliwe na zewnętrzne czynniki, tym znaczenie odpowiedzi na zachowania innych większe.

Dotyczy to także wielkich mocarstw, zwłaszcza tych, które poczuwają się do odpowiedzialności za całościowy stan środowiska międzynarodowego, chociażby w wymiarze regionalnym, albo wzięły na swoje barki ciężar wspierania bezpieczeństwa i dobrostanu innych.

Wybór strategii może czasami może mieć znaczenie niebłahe. Reagować czynnie? Iść na konfrontację? Wprowadzać sankcje? Bojkotować? Być biernym? Przeczekać? Udać obojętność? Zignorować? Podporządkować się woli innych?

Sposób reakcji może czasem przesądzić o losie państw i narodów.

Ot pojawia się na arenie międzynarodowej nabierające szybko muskułów państwo, staje się ekspansywne, zaczyna zagrażać pozycji i swobodzie działania innych. Co robić? Oblaskawić? Skierować jego ekspansję na nieistotne dla nas obszary? Czy też postawić tamę jego ekspansji, powstrzymać? A może poddać się jego woli? Cynicznie mu się przypodobać? Może wprost dać się zwasalizować? Ileż to razy w historii przyszło rozstrzygać podobne dylematy.

Systemowym wyzwaniem jest zachowanie w sytuacji naruszania przez inne państwa już nawet nie tyle naszych własnych interesów, co ustanowionych i uznanych norm współżycia międzynarodowego. Sposób reakcji na pojedynczą transgresję może przesądzić o wiarygodności całego porządku. Także reakcji brak. Bo brak reakcji jest reakcją.

W relacjach międzynarodowych od strony formalnej domyślnym sposobem reagowania jest działanie symetryczne, często podciągane nawet pod symetrię lustrzaną. Absolut suwerennej równości państw nakazuje ślepo podążać za imperatywem wzajemności. Ale w wymiarze politycznym obowiązującą zasadą jest nie tyle odpowiedź symetryczna, co adekwatna. A pod pojęciem adekwatności może kryć się wszystko.

1. Appeasement

Kiedy w 2007 r. Putin wygłaszał w Monachium zasadnicze przemówienie, w którym zapowiadał konfrontacyjny i neoimperialny kurs, niektórzy politycy zachodni nie potraktowali jego programu poważnie. Ale spore grono polityków i dyplomatów, choć odniosło się do sygnałów Putina z powagą, to uznało, że konfrontacji uda się uniknąć, a Putina da się jakoś udobruchać. Tak rozwinęła

się promowana zwłaszcza w Berlinie i Paryżu współczesna edycja doktryny appeasementu. Dziś, po agresji rosyjskiej na Ukrainę, niektórzy z orędowników appeasementu, jak choćby prezydent Steinmeier, czy były minister spraw zagranicznych Niemiec Gabriel, mieli odwagę uderzyć się w piersi i przyznać do błędu. Ale Angela Merkel już nie. Wielu ówczesnych głosicieli appeasementu zwyczajnie nabrało wody w usta. Ale niektórzy próbują swój błąd wypierać, snując tezy, że gdyby Ukraina uznała rosyjską zwierzchność nad Krymem i porzuciła marzenie o członkostwie w NATO, do wojny by nie doszło. Appeasement wobec Rosji tak trwale wszedł im w krew.

Appeasement to z angielskiego zaspokajanie, uspokajanie, łagodzenie. Przypomnijmy, że tak przyjęto określać politykę mocarstw zachodnich (Wlk. Brytanii i Francji) wobec Niemiec w latach 1935–1939. Ale przecież appeasement stosowano w praktyce już wcześniej, co najmniej od negocjowania porozumień z Lokarno w 1925 r. Niemcy weimarskie nie kryły zamiaru rewizji Traktatu Wersalskiego. Koncepcja lokarneńska polegała na uzyskaniu od nich zapewnień o honorowaniu granic zachodnich w zamian za pozostawienie otwartą kwestii przebiegu granic wschodnich Niemiec. Rewizjonistyczne apetyty Niemiec próbowano w Lokarno udobruchać kosztem Polski (i Czechosłowacji). Nie przyjmowano potem do wiadomości, że program Hitlera szedł jeszcze dalej. Nie chodziło mu wyłącznie o obalenie Wersalu. Chciał odtworzyć Niemcy w "etnograficznych granicach" i zapewnić im „przestrzeń do życia” na wschodzie. A myślano, że drobnymi ustępstwami wyczerpie się jego chciejstwa.

Z tego właśnie międzywojennego kontekstu wyrasta też szersze zastosowanie terminu, pejoratywne i oznaczające ugodowe postępowanie wobec państw agresywnych. To najbardziej wstydliva z biernych polityk. Stosowano ją niestety całkiem współcześnie i nie tylko wobec Rosji.

Do dziś trwają spory, czy przedwojenny appeasement wynikał z naiwności polityków, czy też był wymuszony brakiem gotowości ze strony mocarstw zachodnich do nowej wojny z Niemcami. Istniały wówczas niewątpliwie obiektywne przesłanki dla wypierania perspektywy wojennej w myśleniu elit politycznych Zachodu. Wlk. Brytania potencjał militarny miała skromny i przestarzały. Aleksander Cadogan, wielce wpływowa wtedy postać w brytyjskim MSZ, twierdził w swoich wspomnieniach, że ani Francja, ani Wlk. Brytania nie mogły okazać jakiegokolwiek bezpośredniej pomocy Czechosłowacji na okoliczność inwazji Hitlera. Jedyne, co mogły zrobić, to zainscenizować operacje ofensywne przeciwko Niemcom (jak uczyniły to zresztą we wrześniu 1939 r. dla uwiarygodnienia gwarancji wobec Polski pod postacią „drole de guerre”). Wlk. Brytania mogła w 1939 r., w ocenie Cadogana, wyekspediować na kontynent chudy komput, bo nie więcej niż dwie dywizje wyposażone w archaiczne już wtedy uzbrojenie. Z 27 eskadr myśliwców aż 20 dysponowało przestarzałymi lub starzejącymi się samolotami. Żeby nie być gołosłownym - żaden z samolotów nie miał na wyposażeniu ośmiolufowego karabinu, uchodzącego wtedy za wyróżnik nowoczesności. Cóż z tego, że Brytyjczycy chwalili się już wtedy mogli radarem. Brakowało im wszakże siły uderzeniowej.

Francję ograniczała w polityce wyrwa demograficzna po I wojnie światowej i psychologiczny opór przed nowymi poświęceniami. Jej polityczny kwietyzm dał się tłumaczyć. Z powodu strat wojennych liczba mężczyzn wkraczających w wiek poborowy w końcu lat trzydziestych dwudziestego wieku sięgała ledwie połowy planowanej konskrypcji i dochodziła z trudem do poziomu jednej trzeciej poboru niemieckiego przed wybuchem wojny.

Ale jednocześnie plany Hitlera były przejrzyste od pierwszych dni po przejęciu władzy. I ślepotą polityczną było ich nie dostrzegać. Konsekwentnie realizował zamiar rozmontowania systemu wersalskiego i podboju Europy. Myśleniem życzeniowym było, że ustępstwa w sprawach drugorzędnych powstrzymają go przed realizacją agendy strategicznej, jaką było zapanowanie nad Europą. Cadogan jeszcze jesienią 1938 r. wzywał do porzucenia przez Wlk. Brytanię roli europejskiego policjanta, postulował skoncentrowanie się na interesach brytyjskich w regionie śródziemnomorskim. Sugerował, aby pozwolić Hitlerowi szukać dla Niemiec „Lebensraumu” w

centralnej i wschodniej Europie. Dopiero żądania Hitlera wobec Polski w końcu 1938 r. wstrząsnęły świadomością polityków brytyjskich i francuskich. Idea skanalizowania na wschód agresywnej energii Niemiec zaprowadziła w ślepy zaułek.

Jeśli jednak appeasement był wykalkulowaną koniecznością, to nie zrobiono wiele, aby kupiwszy czas w latach 1935-1938, wstąpić na ścieżkę zbudowania wiarygodnego potencjału militarnego, który mógłby powstrzymać Niemcy. Czy polskie sugestie co do naszej gotowości poparcia ew. francuskiej wojny prewencyjnej w 1936 r., z powodu wkroczenia wojsk Niemiec do Nadrenii, miały szanse na poważne potraktowanie, to już czysta spekulacja.

Appeasement nie był jednak li tylko taktycznym wybiegiem. Był gorliwie popierany przez kręgi biznesowe na Zachodzie, elity społeczne, opiniotwórcze media. Oponentów tej polityki do marca 1939 r. było niewielu. Także i polskie elity polityczne były zaczadzone pojednawczą retoryką niemiecką aż do listopada 1938 r., kiedy Niemcy zmieniły przymilny wobec Polski kurs i przedstawiły listę swoich żądań.

Uważa się, że początkiem polityki ustępstw wobec Niemiec był brak reakcji na przywrócenie poboru do wojska (w wyniku wypowiedzenia części V Traktatu Wersalskiego) i remilitaryzację Nadrenii w marcu 1936 r. Hitler liczył się ponoć z ewentualnością, że Francuzi mogą odpowiedzieć kontrakcją i wydał rozkaz, aby w przypadku napotkania wojsk francuskich przystąpić do odwrotu. Ale żadna francuska akcja nie nastąpiła. Na niwie dyplomatycznej przegłosowano co prawda krytyczną rezolucję w Lidze Narodów, ale poważniejsze sankcje Niemców nie spotkały. Domagał się ich zresztą w Lidze tylko Związek Sowiecki. Uznano i w Londynie, i w Paryżu, że Nadrenia to tylko przecież własne podwórko Niemiec i zasadniczego zagrożenia dla bezpieczeństwa Europy jej remilitaryzacja nie stanowiła.

Anschluss Austrii w marcu 1938 r. również większego potępienia nie wywołał. Bo przypominano, że przecież i w weimarskich Niemczech, i w powojennej Austrii usilnie domagano się zjednoczenia. Co prawda Wersal tego zabronił (bez zgody Ligi Narodów), ale wmawiano sobie, że na swój sposób Anschluss był realizacją zasady samookreślenia, która leżała u podstaw ładu powojennego w Europie. Co prawda Hitler zajął Austrię nie dopuszczając do przeprowadzenia projektowanego przez Schuschnigga plebiscytu, ale wkraczających Niemców witały przecież z radością niezmiernie tłumy. Wiedeński Heldenplatz nigdy wcześniej, i nigdy potem takich entuzjastycznych tłumów nie doświadczył. Nawet kiedy Austria wchodziła do Unii Europejskiej.

Apogeum polityki appeasementu był pakt monachijski z 30 września 1938 r. Wyrokiem czterech mocarstw (Wlk. Brytanii, Francji, Niemiec i Włoch) w imię ratowania pokoju w Europie postanowiono przyłączyć Kraj Sudetów do III Rzeszy. Przedstawiciele Czechosłowacji nie zostali nawet dopuszczeni do sali obrad. Chamberlain zapisał się w historii niesławnie swoim powiedzeniem, że byłoby rzeczą straszną, niewiarygodną, fantastyczną zacząć kopać okopy i przymierzać maski gazowe z powodu kłótni w dalekim kraju między ludami, o których nic nie wiemy.

W marcu 1939 r. Niemcy podporządkowały sobie już całe Czechy, przyłączyły też Kłajpedę. Wywołało to trzeźwiącą refleksję w Londynie. Gorączkowo zaczęto wysyłać sygnały, że dalsze agresywne poczynania Niemiec spowodują twardą reakcję Wlk. Brytanii. Udzielono gwarancji Polsce (31 marca 1939 r.), Rumunii oraz Grecji. Gwarancje te oceniano bynajmniej jako mało wiarygodne, bo armią lądową, a nawet lotnictwem, które miałyby powstrzymać Niemcy, Wlk. Brytania wtedy nie dysponowała. Ponoć chciała w ten sposób przede wszystkim wymusić przełamanie niechęci przed wzięciem się w konflikt zbrojny w kołach politycznych Francji.

Na tydzień przed wybuchem wojny Wlk. Brytania podpisała z Polską układ o wzajemnej pomocy (polsko-brytyjski układ sojuszniczy). Ale wszystko za późno i za mało. Appeasement zachęcił już

tak Hitlera do wojny, że wycofywać się nie miał zamiaru. Żaden dyplomatyczny fines konfliktu wtedy już powstrzymać nie mógł.

Recydywa appeasementu w nasze dni była niewątpliwie spuścizną zimnej wojny. Zimnowojenna konfrontacja pozostawiła głęboki traumatyczny ślad w mentalności polityków zachodnich, nawet tych którzy pokoleniowo winni być na takie nawroty pamięci odporni. Wypychali oni przez lata ze swojej świadomości coraz bardziej konfrontacyjny kurs polityczny Rosji (i Chin). Wmawiali sobie, że Rosja nieuchronnie zakotwiczy w strukturach współpracy z Zachodem, a Chiny zaczną się demokratyzować i wyrzekną ekspansjonizmu. Z nadgorliwością korzystano w Europie Zachodniej z "dywidendy pokoju" i przestano łożyć odpowiednie środki na zbrojenia. Każdy kolejny akt świadczący o rozchodzeniu się dróg Zachodu i Rosji był bagatelizowany. Wzbraniano się przed konfrontacyjnym nastawieniem. A w pewnym sensie próbowano Rosję udobruchać. Tolerowano Rosję w G7. Inny przykład: w 2007 r. OECD rozpoczęła proces akcesji Rosji do organizacji i nie zaszkodziła w tym rosyjska agresja na Gruzję w 2008 r. Dopiero inwazja na Ukrainę doprowadziła do zawieszenia procesu w 2014 r.

A przecież strategia Putina znana była od dawna. Podobnie jak w latach trzydziestych ubiegłego wieku zamiary Hitlera, wyłożone tak klarownie w „Mein Kampf”. W pół roku po wejściu Rosji do Gruzji w 2008 r., administracja Obamy ogłosiła reset stosunków z Rosją. Niemcy do czasu uznania przez Rosję donieckich i ługańskich pseudorepublik w lutym 2022 r. opierały się przed zarzuceniem projektu Nordstream-2.

Nawet aneksja Krymu w 2014 r. nie uświadomiła niektórym politykom konieczności fundamentalnej rewizji polityki wobec Rosji. Byłem świadkiem, kiedy w Strasbourgu na posiedzeniu Komitetu Delegatów Ministrów zwołanym w przeddzień podpisania w Moskwie aktów aneksji Krymu przez Rosję w 2014 r., poświęconym specjalnie sytuacji wokół Krymu, niektórzy mówcy wręcz wzbraniali się przed używaniem słowa „Rosja”. Tak bardzo nie chcieli urazić Rosji? Sekretarz Generalny Rady Europy Thorbjorn Jagland uczynił to dopiero (i to nieśmiało) w ósmej minucie swojego dziesięciominutowego przemówienia.

Po zawieszeniu praw delegacji rosyjskiej w Zgromadzeniu Parlamentarnym żalił się Jagland w rozmowach dwustronnych, że komplikuje mu to program rozwijania współpracy technicznej z Rosją. A w latach późniejszych stanął na czele akcji przywracania Rosji „należnego” miejsca w Zgromadzeniu Parlamentarnym. Wspierany był w tym przez Francję i Niemcy, ale także przez PiS-wską dyplomację. Jednym z kompromitujących zachowań MSZ RP pod wodzą Jacka Czaputowicza było wsparcie decyzji Komitetu Ministrów RE w 2019 r., prowadzącej do przywrócenia prawa głosu Rosji w ZP RE. Bo ponoć Jagland obiecał, że pomoże w doprowadzeniu do zwrotu smoleńskiego wraku. Kierownicy polskiej dyplomacji za czasów PiS rzetelnie zapracowali sobie na miejsce w *limbus fatuorum*. Tak Rada Europy stała się modelową wręcz areną appeasementu.

Kiedy Rosja represjonując Aleksieja Nawalnego w 2021 r. w sposób oczywisty nie wykonała orzeczenia Trybunału Praw Człowieka, nie zabrakło odpowiednich oświadczeń liderów organizacji, a i Komitet Ministrów wezwał Rosję do implementacji orzeczenia, ale żadnych poważniejszych konsekwencji nie wyciągnięto. Rosja pozostawała pełnoprawnym członkiem organizacji, która szczyli się najwyższymi standardami praw człowieka, demokracji i praworządności. Wszyscy mieli już wtedy świadomość, że jeszcze dwadzieścia lat temu z takim stanem represyjności reżimu nigdy do Rady Europy szans na wejście nie miałyby żadnych. Strasburski appeasement wiarygodności Radzie Europy nie dodał. Jeszcze bardziej tylko ją politycznie zmarginalizował.

Szybkie pozbawienie Rosji członkostwa w RE po agresji na Ukrainę w 2022 r. reputację organizacji ochroniło. Lecz choć Jagland już dawno na emeryturze, to wykonawcy polityki appeasementu sprzed lat wciąż okupują kierownicze stanowiska w Sekretariacie.

Kiedy w 2002 r. zostałem szefem planowania politycznego w MSZ RP uderzyły mnie naiwne oceny osobowości Putina wygłaszane w wielu stolicach zachodnich, które odwiedzałem w ramach konsultacji. Mówiono, że inteligentny, że zna Zachód (i lubi zachodni styl życia), że racjonalny, że przewidywalny. No po prostu niebo a ziemia w stosunku do Jelcyna. A ja widziałem w nim od początku zapiekłego „wielkorusa”, niepokodzonego z rozpadem ZSRR (wierzącego w nowe wydanie „Dolchstosslegende” jako przyczyny rozpadu), nieufnego wobec nawet najżyczliwszych partnerów, zdolnego do przekraczania nieprzekraczalnych linii moralnych w polityce. Naiwność Zachodu, że uda się go udobruchać czy oswoić, przerosła z czasem w ponurą karatajewszczyznę.

Procesja zachodnich przywódców, którzy pielgrzymowali do Moskwy na początku 2022 r., aby zapobiec wojnie, mogła budzić skojarzenia z wizytami u Hitlera w 1938 r., by zażegnać kryzys sudecki. Putin upokarzał rozmówców, łągał im na potęgę i budował sobie wizerunek pana sytuacji. I skutecznie zarzucał zachodnim politykom jarzmo niemalże kaudyńskie. Bo zawsze pokój wart jest najwyższego upokorzenia? Przedłużanie się wojny na Ukrainie, może znów ośmielić polityków zachodnich do szukania z Putinem *modus vivendi*, które oby się nie stało nowym wydaniem appeasementu. Jak by się wojna nie skończyła, powinien Putin (i jego poplecznicy) mieć na Zachodzie status politycznej osoby non grata.

2. Doktryny strategicznej cierpliwości

Czasem można uczynić bierność cnotą. W historii dyplomacji to nierzadkie zjawisko. Państwa, które nie dysponują środkami (militarnymi, gospodarczymi, politycznymi), aby skutecznie zareagować na działania innych państw, które nie odpowiadają ich interesom, żadnych przedsięwzięć nie podejmują, decydują się na zdanie się na rolę czynnika czasu. Zakładają, że czas będzie pracować na ich korzyść. W działaniu czynnika czasu upatrują całą nadzieję na rozwiązanie problemu. Postępują tak nie tylko państwa małe i słabe. Często w dzisiejszej epoce muszą też decydować się na bierność nawet mocarstwa.

Cierpliwość może stać się zasłoną dla zwykłej prokrastynacji. W polityce zakłada ona odwlekanie koniecznych, ale całkiem niemiłych decyzji na ostatnią chwilę. W polityce zagranicznej zwłoka jest immanentnym czynnikiem, który należy uwzględniać przy ocenie procesów decyzyjnych, nawet w państwach autorytarnych. Cała sztuka dyplomacji jest oparta na budowaniu buforów czasowych. Nawet wielkomocarstwowy kontenans nie eliminuje czynnika nieprzewidzianych skutków własnych decyzji, który nakazuje kilka razy dobrze odmierzyć, nim się ostatecznie coś przytnie. A brak dobrych pomysłów do działania skazuje państwa na programową bierność.

Klinicznym przykładem indolencji koncepcyjnej była polityka zagraniczna za rządów PiS-u w latach 2015-2023. Była polityką żywienia urazy na zachowania innych, publicznego fukania i tupania, gaszenia pożarów w relacjach z innymi państwami, wywoływanych niefortunnnymi krokami w PiS-owskiej polityce wewnętrznej. A przykrywała koncepcyjną pustkę. Nawet kiedy w polskie ręce dostawały się instrumenty pokazywania inicjatywności, jak choćby przewodnictwo w OBWE, czy nawet w Grupie Wyszehradzkiej, nic oryginalnego wóldarze MSZ-u nie byli w stanie pokazać.

W polityce światowej najbardziej wysublimowaną ze znanych doktryn bierności zdaje się być tzw. doktryna strategicznej cierpliwości. Propagowana była przez administrację Baracka Obamy i uzasadniać miała wstrzymywanie się z inicjatywami działań wobec Korei Północnej.

Na początku lat dziewięćdziesiątych, a zwłaszcza po objęciu władzy w KRLD przez Kim Dzong Ila w 1994 r., przyspieszono tam prace nad bronią jądrową i rakietami do ich przenoszenia. Jeszcze w 1993 r. przetestowano rakiety zdolne swoim zasięgiem porażać Japonię. Administracja Billa Clintona przyjęła taktykę udobruchania reżimu w oparciu o ofertę iście wspianiałomyślną.

Wynegocjowany przez Jimmiego Cartera pakiet przewidywał zniesienie sankcji, miliardową pomoc w zbudowaniu reaktora nuklearnego dla celów pokojowych i dostawy ropy naftowej. W zamian Koreańczycy mieli zaprzestać rozwoju technologii rakietowych i zamknąć ośrodek badań nuklearnych w Jongbjon. Porozumienie wszakże okazało się trudne w implementacji, albowiem Amerykanie Kimowi dowierzać nie chcieli. W efekcie sankcje nie zostały zniesione, Koreańczycy w 1998 r. wznowili potajemnie program nuklearny, a porozumienie zostało pogrzebane.

Taktyka marchewki nie zadziałała. Postanowiono więc zastosować metodę kija. George W. Bush włączył KRLD do konstelacji „osi zła” i zacisnął pęta sankcji. A Korea Północna wyszła z Traktatu NPT i zdetonowała ładunek nuklearny w 2006 r. Jeszcze co prawda w 2005 r. próbowano ratować sytuację, uzgadniając format rozmów sześciostronnych i próbując okupić zawieszenie programu koreańskiego pomocą żywnościową. Taktyka kija też zawiodła.

Obama postanowił więc przeczekać. Ktoś pewno doradził mu, że reżim KRLD jest tak niewydolny, że musi się nieuchronnie załamać. Katabolizm reżimu okazał się wysoce spowolniony. Od początku istnienia KRLD wiadomo bowiem było, że reżim Kimów załamać się może tylko wtedy, jeśli odmówi mu pomocy Pekin. A dla Pekinu istnienie KRLD jest gwarancją odsunięcia wpływów amerykańskich, uwikłania USA w lokalny spór o wymiarze nuklearnym. KRLD to dla Chin bufor polityczno-militarny. I owszem bez chińskiej pomocy, choćby dyskretnej, ale egzystencjalnej (żywność), reżim implodowałby już dawno.

Obamowa strategiczna cierpliwość niewiele więc dała. Kim Dzong Un kontynuował program nuklearny, modernizował głowice, rozwijał zasięg rakiet, prowokował.

Przez wszystkie te lata zastanawiała mnie bierność Unii Europejskiej wobec koreańskiego wyzwania. Zupełnie jakby problem miał bilateralny amerykańsko-północnokoreański wymiar, a co najwyżej regionalny. W 2015 r. próbowałem zainspirować kierownictwo MSZ do zgłoszenia inicjatywy powołania specjalnego przedstawiciela UE ds. Półwyspu Koreańskiego. Dysponowaliśmy jeszcze wtedy zresztą specjalistami z niedostępną innym państwom UE wiedzą. Odsuniętymi zresztą potem przez PiS-owskich zarządców MSZ na boczny tor.

Unia Europejska pozostaje do dziś ledwie obserwatorem wydarzeń, komparsem na scenie wielkiej polityki. Nie było jej w formacie rozmów sześciostronnych. Nie przejawia żadnej innej znaczącej inicjatywy. A przecież głosi wokację aktora globalnego.

Prezydent Trump dał pokaz choroby dwubiegunowej w polityce wobec KRLD. Z jednej strony groził zmasowanym atakiem furii, z drugiej uczynił Kimowi honor spotkania na szczycie i żeby to raz. Spotkanie w 2018 r. mogło jeszcze napawać optymizmem, ale szczyt hanojski w 2019 r. nic już dać nie mógł. Idiolatryczny reżim potraktował broń nuklearną jako jedyną gwarancję swojego istnienia.

Pozostało wrócić do „strategicznej cierpliwości”.

Termin to chwytny. Nawet jeśli analitycy są zgodni, że polityka taka bardziej sankcjonuje status quo, niż generuje pozytywne zmiany. Nawet jeśli cierpliwość staje się synonimem bezradności. Nawet jeśli cierpliwość wyłącza aktywną dyplomację i oddaje kreowanie przyszłości cynicznym realpolitykiernom.

Okazało się, że próbowano „strategiczną cierpliwość” przenieść nawet na politykę Zachodu wobec putinowskiej Rosji. W niektórych zachodnich stolicach wykazywano nieskuteczność sankcji, izolowania Rosji, akceptując wszakże, że taktyka jej kooptacji do struktur współpracy z Zachodem także zawiodła. Jedni więc (o czym pisałem wyżej przy okazji appeasementu) chcieli Putina ugłaskać, ale inni radzili po prostu go przeczekać. Rosyjska agresja wobec Ukrainy w 2022 r. zamknęła usta i tym kaznodziejom biernej polityki wobec Rosji.

W polityce międzynarodowej zawsze należy zostawiać przestrzeń dla wysiłku dyplomatycznego. I w relacjach z KRLD, i w relacjach z Rosją można znaleźć dziś *ex post* moment, w którym roli dyplomacji nie doceniono. Rosja przesunęła się dziś na pozycję pariasa międzynarodowego coraz bardziej porównywalnego ze statusem KRLD. Informacja, że Kim gotów był wysłać na pomoc Rosji stutysięczną armię do walki w Ukrainie symbolizuje wspólnotę upadku obu pariasów. Wysyłał amunicję i rakiety.

Dyplomacja uchodzi za sztukę cierpliwości. Impulsywność, spontaniczność, pospieszność, emocjonalna wybuchowość kłóca się z prawidłami dyplomatycznego zachowania. Wielokrotnie w swojej karierze byłem świadkiem, bądź wręcz bezpośrednio uczestniczyłem w dwu- i wielostronnych negocjacjach, kiedy emocje buzowały w najlepsze. Zawsze jednak uczestnicy nie tracili do końca kontroli nad emocjami, nawet kiedy podnoszono głos i używano agresywnej retoryki.

Raz tylko byłem świadkiem przekroczenia wszelkich norm zachowania. W 2001 r. trwały w Nairobi prace redakcyjne nad dokumentem ważnego spotkania światowego (specjalnej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w sprawach siedlisk ludzkich), które miało odbyć się w Nowym Jorku. Negocjacje przeciągały się każdego dnia do późnych godzin nocnych. Dla mnie nic w tym nowego nie było, bo nocne negocjacje to w dyplomacji europejskiej rzecz normalna. Ale okazało się, że pod naporem emocji i zmęczenia potrafiły u niektórych kolegów pęknąć ryzy samokontroli. Po wymianie polemicznych uwag o trzeciej nad ranem, dwóch negocjatorów (i to reprezentujących europejskie państwa) rzuciło się na siebie z pięściami. Doszło do wzajemnego targania się za grzywki i to na oczach kilkudziesięciu delegatów, w tym reprezentujących państwa rozwijające się. A doszło rękoczynów na szczeblu bynajmniej niepoślednim (jeden z uczestników zajścia był w randze dyrektorskiej). Koincydencji nie było w tym żadnej, ale od następnego dnia rokowania znacznie przyspieszyły.

3. Pokojowe współistnienie

Jeszcze 8 marca 2022 r., w dwa tygodnie po inwazji na Ukrainę, rosyjskie ministerstwo spraw zagranicznych miało tupet wezwać (za pośrednictwem agencji Interfax) Stany Zjednoczone do powrotu do zasad "pokojowego współistnienia". Idea powrotu do doktryny pokojowego współistnienia rozbrzmiewała regularnie w rosyjskich enuncjacjach w latach 2015-2022. W optyce rosyjskich propagandzistów był to jedyny możliwy sposób ułożenia stosunków z Zachodem w nowych warunkach (sankcji i ograniczenia kontaktów po aneksji Krymu). Nie mogło być już wtedy mowy o powrocie do polityki zaufania i współpracy z Zachodem z czasów Jelcyna, bo Rosja została przez Zachód, według Kremla, zwyczajnie "wykiwana" i, mimo rzekomych obietnic, NATO rozszerzono na wschód i wypłukiwano wpływy Rosji na obszarze postsowieckim. Otwarta konfrontacja z kolei miała w opinii Moskwy szkodzić Zachodowi wręcz egzystencjalnie. Bo przecież Rosja to mocarstwo nuklearne i to takie, które nie zawahałoby się użyć broni jądrowej jako strona pierwsza. Więc, w logice kremlowskiej, Zachód powinien porzucić sankcje i ostracyzm Rosji, i wrócić do doktryny pokojowego współistnienia, która wyznaczała model relacji między Zachodem i obozem komunistycznym w przeszłości. Ale już po pół roku wojny rosyjsko-ukraińskiej, frustracja niektórych rosyjskich komentatorów osiągnęła poziom, który nakazywał Rosji potraktować Zachód jako odwiecznego wroga, z którym ostateczna konfrontacja będzie po prostu nieuchronna. Wszelki zachodni znak kultury (nawet kostium Supermana w miejscu publicznym) jest przez nich traktowany jako prowokacja. Szykują się na totalną z Zachodem wojnę.

Inni wszakże każą liczyć, że Zachód zmęczy się wojną na Ukrainie na tyle, by szukać jakiegoś modus vivendi z Rosją, a wtedy doktryna pokojowego współistnienia będzie jak znalazł.

Przyjrzyjmy się więc jej źródłom i oryginalnej postaci.

W 1915 r. Włodzimierz Lenin postawił tezę o możliwości zwycięstwa rewolucji socjalistycznej w jednym, pojedynczym państwie. Nie dał wszakże wówczas Lenin odpowiedzi na pytanie o to, jak powinno ono kształtować swoje stosunki z wrogim, kapitalistycznym otoczeniem. Nabrała ta kwestia praktycznego wymiaru po rewolucji bolszewickiej w 1917 r. Kонтrewolucyjny nacisk białych armii, interwencja państw zachodnich, niepowodzenia w eksporcie rewolucji (w Niemczech, na Węgrzech) skłaniały bolszewików do potraktowania celu przetrwania władzy sowieckiej jako absolutnego priorytetu. Przewidywano jednocześnie, że obalenie kapitalizmu w skali światowej potrwa długo. Zakładano, że w warunkach pokoju przewaga socjalizmu nad kapitalizmem ujawni się szybciej i widoczniej. A zasada pokojowego współistnienia regulować będzie generalnie stosunki w epoce przejściowej. Kapitalizm zostanie zaś wzięty długim obciążeniem. Zawali się sam pod ciężarem endogennych sprzeczności.

Jeśli jeszcze Stalin firmował ideologiczną wiarę, że sprzeczności doprowadzą do konfliktów między państwami kapitalistycznymi, a na zgliszczach systemu kapitalistycznego rozgorzeje płomień światowej walki klasowej, to jego sukcesorzy przyjęli za aksjomat, że padać kapitalizm będzie w efekcie domina, a jedno po drugim kapitalistyczne państwo wyłuskiwane będzie do obozu socjalistycznego. A kiedy socjalizm zwycięży w skali światowej, stosunkami międzynarodowymi rządzić będzie zasada proletariackiego internacjonalizmu, zaś komunizm unicestwiając państwo położy kres polityce międzynarodowej. Logika prosta jak konstrukcja cepa.

Z dzisiejszej perspektywy wiemy, że bolszewicy mylili się wydatnie, wierząc, że w warunkach pokoju socjalizm nieuchronnie wygra z kapitalizmem. Nie przewidywali też, że socjalizm może zwyczajnie sam upaść pod ciężarem własnej niewydolności. Epoka przejściowa, którą przepowiadali, trwała rzeczywiście długo, ale zakończyła się porażką socjalizmu. Nie zmienia tego olbrzymi sukces rozwojowy Chin, który choć dokonał się pod proletariackim sztandarem, jest tylko pokazem siły kapitalizmu państwowego. Z ortodoksją marksistowsko-leninowską nie ma w gospodarce wiele wspólnego.

Przypadło mi w udziale przypatrywać się (a nawet czynnie uczestniczyć w dyplomatycznej roli) w rozmontowywaniu światowego systemu socjalistycznego. Mało kto przewidywał, że proces ten potoczy się tak spontanicznie. Byłem naocznym świadkiem upadku berlińskiego muru, wystarczało mi wyobraźni, by dostrzec jego skutki dla zjednoczenia Niemiec, a mimo to kiepsko mi szło, wtedy jesienią 1989 r., z przewidywaniem biegu wydarzeń w innych państwach Europy.

Wówczas w listopadzie 1989 r. oglądałem Berlin i dzielący go, a upadający, mur z obu stron. Miałem któregoś wieczora przejechać z Berlina Zachodniego do Wschodniego, przekroczyć linię rozdziału. Amerykański think tank (Aspen Institute Berlin) zorganizował dyskretne spotkanie z działaczami tworzącej się enerdowskiej opozycji (Neues Forum, Demokratischer Aufbruch). Jechaliśmy minivanem z amerykańskimi tablicami rejestracyjnymi. Amerykanie nie uznawali legalności czynności kontrolnych ze strony służb granicznych NRD na Checkpoint Charlie (akceptowali tylko władzę sowieckich wojsk okupacyjnych). Więc enerdowcy kazali im swoje na granicy odczekać. A siedziałem w samochodzie obok ambasadora Ronalda Lehmana, wtedy dyrektora amerykańskiej Agencji Kontroli Zbrojeń i Rozbrojenia (i późniejszego głównego negocjatora rokowań START). I spekulowaliśmy czysto stochastycznie, jak szybko rozgrywać się będzie w Europie Środkowej efekt domina i który komunistyczny reżim padnie następny. „Może Czesi?” - pytał Lehman (swoje pewno wiedział). „O, chyba nie, Czesi ekonomicznie nie mają tak źle. Tanie piwo i parówki dają komunistom spokój. A pamięć o pacyfikacji z 1968 r. wciąż świeża.

Może Rumuni? Tam to już pełna desperacja”. Tak wygłosiłem najbardziej nietrafną ze wszystkich swoich prognoz (a tyleż potem lat zajmowałem się prognozowaniem politycznym zawodowo).

Bo tydzień później zaczęła się w Pradze aksamitna rewolucja.

Na swoją obronę mogłem twierdzić, że rewolucyjne protesty rozpały się też i w Rumunii już w połowie grudnia 1989 r., a byłem w mniejszości (w gronie moich dyplomatycznych kolegów w wiedeńskim kręgu) wierząc w ich sukces, bo Ceausescu rządził przecież żelazną ręką. Po krwawej rozprawie w Timisoarze państwa zachodnie na posiedzeniu rokowań KBWE we Wiedniu potępiły rząd rumuński za użycie siły. A państwa wtedy jeszcze bloku socjalistycznego, nawet ZSRR, odmówiły głosu solidarności z działaniami rządu rumuńskiego. Wręcz, jak Polska i Węgry, przyłączyły się do głosu Zachodu. Ówczesny charge d'affaires Rumunii z żalem odnotowywał krytykę ze strony Zachodu i brak zrozumienia ze strony Wschodu. Nie przewidział, że kilka dni potem upadnie i sam Ceausescu. A on sam, ówczesny lojalny charge d'affaires, dojdzie po latach do ministerialnych stanowisk w demokratycznej Rumunii. Czy wstydził się rzeczy, które wygadywał wtedy w Wiedniu? Nie miałem odwagi go później już jako ministra zapytać. Tak się też zdarzyło, że legendarna postać rumuńskiej rewolucji Laszlo Toekoes już jako eurodeputowany (i najbardziej rozśpiewany pastor planety) często przyjeżdżał do Armenii, w czasie gdy ja byłem tam unijnym ambasadorem. Kiedy próbowałem go przedstawiać Ormianom jako człowieka, który obalił Ceausescu, nie trafiało to jakoś do ich wyobraźni.

Bolszewicy wtedy w 1918 r. wierzyli w sukces rewolucji. Postulowali więc pokój, uznanie przez świat bolszewickiej republiki, nawiązywanie stosunków dyplomatycznych, normalne relacje gospodarcze. Tę pierwszą fazę przyjęto czasem nazywać defensywną fazą pokojowego współistnienia.

Za modelowo korzystne dla Sowietów rozwiązanie uznano na Kremlu umowę z Rapallo w 1922 r. A zaproszenie Rosji do Ligi Narodów, pakt Brandt-Kelloga, udział w konferencji rozbrojeniowej Ligi Narodów, nawiązanie stosunków dyplomatycznych z USA i innymi państwami Zachodu, zawarcie kilku paktów o nieagresji z sąsiadami potraktowano w latach 30-ych ubiegłego wieku jako sukces obranego kursu.

Kreml zwalczał zacięcie trockistowską koncepcję permanentnej rewolucji. Jednocześnie tłumaczono masom, że rezygnacja z rewolucji światowej nie oznacza zaprzestania walki klasowej w skali świata, nie prowadzi do ideologicznego zawieszenia broni, wzajemnej tolerancji ustrojowej.

Druga wojna światowa dała Związkowi Sowieckiemu poczucie pełnej legitymizacji i mocarstwowości. Współtworzył on, na równorzędnych zasadach, jako członek Wielkiej Trójki, nowy system oparty na Karcie NZ (uznającej pośrednio pluralizm ustrojowy świata) i dający ZSRR prawo do stałego członkostwa w Radzie Bezpieczeństwa ONZ.

Eksport rewolucji na bagnietach Armii Czerwonej przyniósł niebagatelne geopolityczne rezultaty. Radziecki ekspansjonizm po II wojnie światowej wywołał ostrą reakcję Zachodu w postaci doktryny powstrzymywania komunizmu.

Zimna wojna wprowadziła nowy kontekst dla doktryny pokojowego współistnienia. Powstał światowy system socjalistyczny i zaczął się on na dodatek rozszerzać. Przyjęto wtedy mówić w Moskwie o ofensywnej fazie pokojowego współistnienia. Celem nie była już tylko obrona socjalizmu, lecz stopniowa przemiana całego systemu stosunków międzynarodowych. Socjalizm miał być na tyle silny, by zaczął dyktować warunki dla kształtowania globalnych relacji międzynarodowych.

Chruszczow powiązał doktrynę pokojowego współistnienia z wymogami epoki nuklearnej. Już w 1956 r. oficjalna doktryna polityki zagranicznej ZSRR odrzuciła nieuchronność wojen. A socjalizm miał zwyciężać pokojowo, nawet bez rewolucji. Rozwój arsenałów jądrowych doprowadził w

końcu do sytuacji wzajemnie zagwarantowanego zniszczenia. Tak doktryna pokojowego współistnienia z politycznego wyboru przekształciła się w konieczność. ZSRR próbował ją skodyfikować w ONZ. Odrzucono tam co prawda sam termin pokojowego współistnienia, ale wieloletnie prace przyniosły opracowanie siedmiu zasad „przyjaznych stosunków i współpracy między państwami” (Deklaracja zasad prawa międzynarodowego przyjęta przez Zgromadzenie Ogólne ONZ w październiku 1970 r.). To na jej podstawie powstał tzw. helsiński dekalog z Aktu Końcowego KBWE. Były wśród zasad m.in. nieużywanie siły, pokojowe rozwiązywanie sporów, nieingerencja w sprawy wewnętrzne, suwerenna równość państw, równouprawnienie ludów.

Doktryna pokojowego współistnienia była jedną z przyczyn schizmy sowiecko-chińskiej. Mao nie podzielał zwłaszcza tezy, że wojny przestały być nieuchronne. Wolał oczywiście, aby wojny omijały Chiny. Wojny, w tym nuklearnej, się jednak nie bał, wierzył bowiem, że przewaga ludnościowa Chin pozwoli je przetrwać.

Z doktryny pokojowego współistnienia programowo wyłączano ruchy narodowyzwolenicze. Wojny domowe były więc (jeśli w słusznej sprawie) uprawnione. I wspieranie ruchów narodowyzwoleniczych przez państwa socjalistyczne z doktryną pokojowego współistnienia również się nie kłóciło.

Zachód oczywiście uważał, że doktryna pokojowego współistnienia pozostaje wybiegiem, taktyczną zasłoną dla nieustannej ekspansji komunizmu.

Odpętnienie lat 70-ych przyjęto w Moskwie uważać za nowy sukces doktryny. A nawet za potwierdzenie, że trzeba ją po prostu imperializmowi kapitalistycznemu narzucić. Nadal oznaczała ona odrzucenie status-quo. Przepowiadała nowe rewolucje polityczne i społeczne, a także narodowyzwolenicze. Sugerowała wręcz nasilenie walki ideologicznej.

Na początku lat osiemdziesiątych postanowiono rozszerzyć jej pojemność. Miała ona wymagać współdziałania w rozwiązywaniu problemów ogólnocywilizacyjnych, takich jak pozyskiwanie nowych źródeł energii, eksploracja kosmosu i oceanów, zachowanie różnorodności biologicznej i zapewnienie wyżywienia. Ale póki istniał kapitalizm, miałyby ujawniać się permanentnie sprzeczności, konflikty, no i wojny. Dlatego też tłumaczono, że trudności w relacjach obozu socjalizmu z obozem kapitalizmu były nieuniknione. Doktrynerzy socjalizmu (a nie brakowało ich nie tylko na szczytach władzy) przestrzegali przed skutkami zachodnich prób budowy mostów, krytykowali jako wywrotowe zróżnicowane podejście Zachodu do państw socjalistycznych. W ich optyce było to niedopuszczalne nadużycie pod przykryciem pokojowego współistnienia. Podobnie odrzucali oni, aby wiązało się ono z zaprzestaniem poparcia dla ruchów narodowyzwoleniczych i daniem Zachodowi wolnej tam ręki. Światowy system socjalistyczny nie widział sprzeczności między doktryną pokojowego współistnienia, a wojnami typu „proxy”, które prowadził lub wspierał (w Indochinach czy w Afryce).

Na Zachodzie cały czas z całą powagą odbierano przestrogi, że celem bolszewików jest pogrzebanie kapitalizmu (i to wszelkimi możliwymi sposobami). Musiał i Gorbaczow, i Gromyko długo tłumaczyć Reaganowi, że upadek kapitalizmu był tak niepodważalnie naukowo udowodniony, że ZSRR nie musiał się wcale o to starać. Tak jak nie trzeba było nikomu odprawiać modłów o to, by słońce wzeszło następnego dnia. Bo przecież ono z naukowego punktu widzenia i tak musi wzejść. Całe szczęście w te sowieckie ambaje mało kto wierzył.

Światowy system socjalizmu do końca pozostał wierny doktrynie pokojowego współistnienia. Upadał pokojowo. Nie próbował wikłać się w wojny nawet dla wykrzesania ostatnich sił witalnych. Upadał bez ideologicznych fumów. A niektórzy wręcz na jego hipokratesowym obliczu dostrzegali uśmiech. Jakby schodził ze świata z poczuciem ulgi.

A z upadkiem systemu przeszła do historii doktryna pokojowego współistnienia. Próba jej reanimacji wygląda rzeczywiście groteskowo.

4. Détente

Pewien polski dyplomata napytał sobie biedy na placówce w Moskwie w połowie lat siedemdziesiątych. Stał na trybunie w gronie korpusu dyplomatycznego. Kiedy na Placu Czerwonym ruszyła parada wojskowa i zaczęły się wtaczać dziesiątki czołgów, wozów opancerzonych, dział artyleryjskich i wyrzutni rakiet, nasz starszy kolega skomentował po francusku, że właśnie defilują "les chevaliers de la détente", co niekoniecznie musiało znaczyć tylko, że miał na myśli "rycerzy odprężenia". Bo po francusku "détente" to nie tylko odprężenie w sensie politycznym, ale też tyle co cyngiel czy spust. Ktoś na polskiego dyplomatę doniósł i miał on ze swego niewinnego żarciku nieprzyjemności. Wrócił z placówki przed czasem. A ów żarcik dość trafnie oddawał istotę militarystycznego myślenia w polityce ZSRR, ale także istotę polityki Putina. Bo odprężenie odprężeniem, ale Rosja zawsze chciała (nawet jeśli nie musiała) szykować się do wojny.

Jak wspomnieliśmy, termin „détente” używano w odniesieniu do procesu łagodzenia napięcia między stronami zimnej wojny w latach 70-ych ubiegłego wieku i na trwale wszedł on do katalogu doktryn polityki międzynarodowej.

Przebłyśki idei pojawiały się wcześniej. Były objawem zmęczenia konfrontacją i poszukiwania bardziej elastycznej alternatywy dla powstrzymywania. Jeszcze w czerwcu 1953 r. sam Churchill proponował pośrednie rozwiązanie między twardym powstrzymywaniem a kompromisem o wymiarze wielkiego dealu z Sowietami. Twierdził, że dziesięć lat względnego spokoju połączone z rozwojem nauki i technologii może zmienić świat, czytając: poddać erozji wpływy komunizmu.

Szczyt genewski USA, ZSRR, Wlk. Brytanii i Francji w 1955 r. miał być pierwszym krokiem ku zakończeniu zimnej wojny. Ale wynegocjowanie neutralnego statusu Austrii okazało się maksimum tego, co mogło zostać wtedy osiągnięte. Wizja przyszłości Niemiec pozostawała problemem nie do rozwiązania. Chruszczow nie widział, co miałyby dostać w zamian za zgodę na zjednoczenie.

W połowie lat pięćdziesiątych pojawiły się koncepcje rozrzedzenia zbrojeń w Europie Środkowej, zmniejszenia obecności wojskowej ZSRR i USA. W 1957 r. propozycję strefy bezatomowej w Europie Środkowej zgłosił Rapacki. Gorącym zwolennikiem tej koncepcji stał się sam architekt powstrzymywania – George Kennan. Niewątpliwie osiągnięcie przez oba bloki zdolności nadzabijania było jedną z ważnych przesłanek odprężenia.

Przyjęto uważać, że koncepcyjnie odprężenie zrodziło się w głowie Charlesa de Gaulle’a. Uznał on, że jeśli Sowieci zobaczą, że Europa Zachodnia pokaże samodzielność od USA w relacjach ze Wschodem, udowodni, że nie jest jedynie satelitą Ameryki, to wtedy i ZSRR zwiększy zakres swobody państw Europy Wschodniej, rozluźni swój uchwyt i złagodzi kaustyczną politykę. Francja oczywiście przeceniała swoje możliwości. I gotowość Moskwy do dania większej przestrzeni politycznej satelitom.

Miała polityka budowy mostów swoich zwolenników i w USA. Sam Brzeziński w latach 60-ych uważał, że może ona, sprzyjając reformom wewnętrznym w krajach socjalistycznych, popychać je w stronę modeli socjaldemokratycznych.

Mogły zyskiwać sympatię deklaracje de Gaulle o trwałości polskiej granicy zachodniej i inne gesty wobec obozu socjalistycznego, ale to w Bonn leżał klucz do odprężenia. Za Adenauera, chorobliwie odrzucającego wszelkie propozycje osłabiające amerykańskie zobowiązania obronne, nie wchodziło

w grę uruchomienie oferty normalizacyjnej. Ale przyjscie do władzy socjaldemokratów w RFN zmieniło radykalnie sytuację. A stłumienie praskiej wiosny w 1968 r. wygasilo zapal Zachodu do wspierania tendencji wyzwolicielskich na Wschodzie. Debellacja Europy Środkowej tym bardziej była wykluczona. Sam de Gaulle odszedł w międzyczasie z polityki, ale jego myśl podchwyciono gdzie indziej, bo w szeregach niemieckich socjaldemokratów.

Odpężenie w Europie dokonalo się głównie za sprawą Ostpolitik kanclerza Willy Brandta, co doprowadzilo do regulacji statusu Berlina Zachodniego (1971 r.), normalizacji dwustronnych relacji ZSRR i Polski z RFN (1970 r.), przyjęcia obu państw niemieckich do ONZ. Administracja Nixona początkowo patrzyła na Ostpolitik z dużą podejrzliwością. Później poszła na détente, traktując je jako środek taktyczny, chwilowy styl w długofalowych zmaganiach geopolitycznych. Widziała w nim szansę na bezpośredni pozytywny wpływ na społeczeństwa komunistyczne, wytrącenie z ręki władz komunistycznych argumentu o egzystencjalnym zagrożeniu ze strony Zachodu i jego agresywności, otworzenia społeczeństw wschodnich.

Bo Stany Zjednoczone potrzebowały wtedy przede wszystkim czasu i spokoju, aby wyjść z Indochin i zasklepić rany po klęsce w Wietnamie.

Sprzyjal odpężeniu europejski cud gospodarczy. W kilku krajach Europy Zachodniej lata 60-e to niespotykany przyrost gospodarczy. Zaczęto patrzeć tam na Europę Wschodnią pod kątem nowych możliwości handlowych. A i w krajach Europy Środkowej dostrzeżono korzyści płynące z intensyfikacji kontaktów gospodarczych.

Obóz socjalistyczny upatrywał w odpężeniu szansę na legitymizację nie tylko porządku terytorialnego w Europie, ale i porządku ustrojowego.

W wymiarze ogólnoeuropejskim skutkiem polityki détente było podpisanie Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie w 1975 r. Ruszyły w 1973 r. rokowania nt. redukcji sił zbrojnych i uzbrojenia w Europie Środkowej.

W wymiarze globalnym też dzialo się sporo. ZSRR i USA wynegocjowały w 1972 r. pierwsze porozumienie o ograniczeniu zbrojeń strategicznych (SALT). Udało się także przełamać impas w innych wymiarach rozbrojenia (zawarto konwencję o zakazie broni bakteriologicznej oraz porozumienia o obronie przeciwbalistycznej).

Medialnym symbolem nowej ery współpracy stal się wspólny lot Apollo-Sojuz w 1975 r.

Główną ideą détente była gotowość do współpracy i negocjacji. Współpraca miała przeważać nad rywalizacją, dialog nad przygotowaniem wojennymi. Miało détente dawać prawo słyszalnego głosu państwom mniejszym, zdominowanym dotąd przez obu hegemonów. I rzeczywiście europejscy satelici ZSRR zaczęli dynamizować swoją politykę zagraniczną (cały czas wszakże kontrolowaną strategicznie przez Moskwę), rozwijać kontakty polityczne i powiązania gospodarcze z Zachodem na niespotykaną od podziału jałtańskiego skalę. Na détente skorzystały także państwa pozablokowe: państwa neutralne i niezaangażowane.

Teoretycy opisywali dwa wymiary odpężenia: polityczny (normalizacja stosunków, rozwój kontaktów politycznych) i militarny (rozbrojenie, środki budowy zaufania). Między nimi miało istnieć silne sprzężenie zwrotne. Nie zawsze było one jednak widoczne (np. permanentny impas w rokowaniach MBFR o redukcjach broni konwencjonalnej w Europie Środkowej nie poddawał się żadnym politycznym impulsom).

Zachód jednocześnie wzmógł ofensywę na polu praw człowieka. Nixon domagał się emigracji żydowskiej z ZSRR, Zachód zgodnie nalegał na uwzględnienie praw człowieka wśród zasad KBWE, a Carter uczynił prawa człowieka kręgosłupem polityki zagranicznej USA.

Reagan (w sojuszu z Thatcher) wyniósł ideologię prawnocześniacą na jeszcze wyższy poziom, choć pod otwarcie antykomunistycznym sztandarem. Uważał za swoją misję przekonanie Sowietów do konieczności porzucenia komunizmu. Był postrzegany za prekursora koncepcji demokratycznego pokoju.

Zakończyła okres détente radziecka interwencja w Afganistanie. Na swojej pierwszej konferencji prasowej w roli prezydenta w 1981 r. Ronald Reagan zakomunikował, że „détente to jednokierunkowa ulica, którą Związek Radziecki używał, aby realizować swoje cele”. I ogłosił kres tej polityki. Świadczyło to o tym, że podstawy polityki odprężenia były dość kruche. Wystarczyło w sumie niewiele, aby dać sobie spokój z wysiłkiem łagodzenia napięć. Rozczarowanie détente było wszakże zrozumiałe. I to po obu stronach. Zachód był sfrustrowany brakiem liberalizacji reżimu w państwach socjalistycznych, Wschód zaś brakiem spodziewanych profitów gospodarczych (np. utrzymywano cały czas system kontroli i ograniczenia eksportu COCOM). A odprężenie w Europie pozostało zakładnikiem globalnej rywalizacji dwóch mocarstw. I symbolicznym grobem europejskiego détente stał się peryferyjny jak by nie było Afganistan.

Kres détente wschodni eksperci wiązali z kryzysem gospodarczym na Zachodzie (wpływ kryzysu naftowego), co miało pogłębić tam sprzeczności wewnętrzne, na fali których uwidoczniła się dominacja konserwatywnych sił politycznych.

Reagan zaproponował w zamian détente własną doktrynę. Doktryna Reagana przewidywała udzielanie wszelkiego wsparcia antykomunistycznym siłom w państwach w sferze wpływów ZSRR. Wsparł mudżahedinów, uzbroił contras w Nikaragui, i wszędzie, gdzie się dało, komunistyczne wpływy chciał ekstyrpować. Wrogowie naszych wrogów stali się naszymi przyjaciółmi. Powielono wywrotową taktykę komunistów z lat czterdziestych czy pięćdziesiątych.

Przyjmuje się, że drugi okres détente miał początek po przejściu władzy w ZSRR przez Michaiła Gorbaczowa.

Przyznać trzeba, że i po nastaniu Gorbaczowa, mimo jego reform wewnętrznych i deklaracji, a także inicjatyw w dziedzinie polityki zagranicznej, proces przełamywania nieufności przebiegał powoli.

Obserwowałem, jak owe złogi były usuwane na polu europejskiego rozbrojenia. W marcu 1989 roku rozpoczęły się w Wiedniu nowe rokowania w sprawie rozbrojenia konwencjonalnego (CFE) w gronie państw NATO i Układu Warszawskiego oraz rokowania w sprawie środków budowy zaufania i bezpieczeństwa (CSBM) w gronie wszystkich państw KBWE. Mimo dość konstruktywnych ramowych stanowisk wyjściowych, jakie przedłożyły państwa UW (na forum rokowań o środkach budowy zaufania propozycję złożyły w marcu 1989 r. Bułgaria, Czechosłowacja, NRD i Węgry, ale oczywiście napisano ją w Moskwie i uzgodniono w pełnym zestawie sojuszników), Zachód pozostawał ostrożny w swych oczekiwaniach.

Na rokowaniach dotyczących środków budowy zaufania (CSBM) zastanawialiśmy się w gronie polskiej delegacji we Wiedniu, jak przyspieszyć proces przełamywania barier. Opracowałem wtedy wiosną 1989 r. z własnej inicjatywy polską propozycję dotyczącą wymiany informacji wojskowej. Odchodziła ona od założeń tradycyjnego stanowiska UW m.in. odnośnie do stopnia uszczegółowienia tej informacji. Przez całe lata osiemdziesiąte UW stał na stanowisku, że informacja mogła być podawana w rozbiciu jedynie do szczybla dywizji. Nawet na konferencji sztokholmskiej, gdzie doszło do przełomowej zgody UW na przeprowadzanie inspekcji, w kwestii tzw. dezagregacji informacji ZSRR trwał w uporze, że niżej poziomu dywizji zejść nie jest gotów. W moim projekcie proponowałem przyjąć poziom pułku. Bo wiedziałem z prac w ramach Komisji Rozbrojeniowej Układu Warszawskiego, że taki poziom dezagregacji informacji ZSRR był gotów zaakceptować w kontekście redukcji uzbrojenia konwencjonalnego. Przedłożenie takiej koncepcji (jak chciał Zachód) na rokowaniach o środkach budowy zaufania nie tylko na samym starcie

usuwałyby wtedy największy problem w kontekście środków budowy zaufania, ale i uwiarygadniałyby nasze konstruktywne stanowisko na rokowaniach CFE.

Szef naszej delegacji ambasador Włodzimierz Konarski miał pełne przekonanie co do niebagatelnych pozytywnych implikacji, także dla wizerunku Polski, jakie miałyby wniesienie przez nas takiej propozycji. Mimo jego nieskrywanych obaw, jak mogą zareagować Sowieci na takie wybieganie przed szereg, wziął mnie ze sobą i poszedł z projektem do ambasadora ZSRR Olega Gryniewskiego. Co ciekawe, Gryniewskiemu towarzyszył w naszych konsultacjach nie główny doradca wojskowy generał Wiktor Tatarnikow, lecz Giennadij Jewstafiew (powszechnie wśród negocjatorów wskazywany jako rezydent KGB). Wysłuchali, ale nic nie obiecali. Nadziei więc sobie nie robiliśmy. Po kilku dniach przekazali nam oni wszakże pozytywną reakcję Moskwy. Zasugerowali wprowadzenie do naszego projektu pewnych zmian, ale nie w kwestiach zasadniczych. Konarski nie mógł uwierzyć. A dla mnie był to jednoznaczny sygnał, że ZSRR (a przynajmniej czynniki polityczne w Moskwie) chcą sukcesu na rokowaniach we Wiedniu. Bo szli Sowieci na ustępstwo na samym wstępie, niczego nie oczekując w zamian. Złożyliśmy natychmiast jako Polska na forum tzw. grupy roboczej "A" rokowań CSBM dokument z tym nowym podejściem i propozycjami zapisów. Rokowania w sprawie środków budowy zaufania ruszyły pełną parą.

Najmózolniej nieufność przełamywano oczywiście wśród establishmentów wojskowych. Mimo kilku lat pieriestrojki Gorbaczowa opór wśród generacji Układu Warszawskiego przed nowym spojrzeniem na Zachód był inercyjnie zaporowy. Dogodną okazją do jego demontażu było ogólnoeuropejskie seminarium w sprawie doktryn wojennych. O potrzebie dialogu w sprawie doktryn mówił już Plan Jaruzelskiego z 1988 r. Kiedy Amerykanie podsunęli podobną sugestię we Wiedniu, natychmiast przystąpiliśmy do działania.

Zredagowałem (przy walnym wkładzie MSZ i PISM) polską propozycję w sprawie przeprowadzenia we Wiedniu seminarium nt. doktryn w ramach rokowań o środkach budowy zaufania. Złożyliśmy ją na początku czerwca 1989 r. A pod koniec czerwca ze wspólnej inicjatywy ministrów spraw zagranicznych RFN Hansa-Dietricha Genschera i Polski Tadeusza Olechowskiego przeprowadzono sympozjum, które było swoistym testem użyteczności takiego pomysłu. Test wypadł pomyślnie. Agendę seminarium KBWE sprawnie uzgodniono i w styczniu 1990 r. do Wiednia zjechały dziesiątki generałów NATO i UW (a także państw neutralnych). Po raz pierwszy w życiu spotkali się oko w oko z dowódcami wojskowymi, przeciw którym mieli walczyć. Znali ich charakterystyki personalne, wiedzieli o nich wiele, nigdy wszakże nie mogli ich na żywo zobaczyć i porozmawiać, choćby przez tłumacza. Przez trzy tygodnie dyskutowali generałowie o doktrynach.

Zmieniali się w zależności od tematyki. Przyjeżdżali i odjeżdżali. Same deliberacje były drętwoformalne. O wiele ważniejsze było to, co działo się poza murami Hofburga. Codzienne pasmo lunchów i cocktaili, heurigerów i abendbrotów. Było w tym niewątpliwie coś z atmosfery kongresu wiedeńskiego 1815 r., choć żadne rozstrzygnięcia wtedy wcale nie zapadały. Dla stałych delegatów państw, rezydujących we Wiedniu, zapewnianie ciągłej opieki i logistyczne zabezpieczenie pobytu gości stało się niemałym wyzwaniem. Ale sukces choć niemierzalny, ulotny, bo atmosferyczny, przerósł oczekiwania. Wszyscy chcieli seminarium w kolejnym roku powtórzyć. Kiedy jednak pracowałem nad projektem następnego seminarium KBWE ws. doktryn militarnych, usłyszałem jeden wielki jęk moich NATO-wskich kolegów: „Żadne trzy tygodnie! Piotr, maksimum trzy dni!”. Nie bardzo się z tym zgadzałem, ale co było robić. Były tylko trzy dni. Przełom wszakże już się dokonał.

Wielu ówczesnych oficerów państw Układu Warszawskiego wprowadzało później swoje armie do NATO. Bez psychicznych blokad. Nie wyzbyły się blokad niestety kolejne pokolenia rosyjskich generałów. Do dzisiaj. Rosja (putinowska) nie potrafi żyć bez wroga. I bez wojny.

5. Doktryna powstrzymywania

Większość zachodnich analityków wskazywała już wcześniej po rosyjskiej agresji na Ukrainę, że stan konfrontacji i napięcia w relacjach z Rosją trwać będzie długie lata, niezależnie od wyniku wojny w Ukrainie. Nawet jeśli udałoby się tam Rosji przetrząść grzbiet, doprowadzić do jej całkowitej rejterady, to antyzachodniego nastawienia w jej polityce to nie zmieniłoby, nie doprowadziłoby do odsunięcia obecnej elity od władzy. W tej diagnozie (jak napisano w jednej z analiz w 2022 r.) Putin nie jest bynajmniej problemem, lecz problemu symptomem. Porażka Rosji przekreśliłaby wprawdzie jej dalsze ewentualne plany aneksji Białorusi, Naddniestrza, Południowej Osetii, czy nawet zachodnich i północnych połaci Kazachstanu, zapobiegłaby agresji na państwa bałtyckie, ale imperialnych instynktów nie stłumiłaby, rewanżystowskiej i rewindykacyjnej mentalności nie wyczyściłaby. W sensie strategicznym Rosja z porażką nie pogodziłaby się, a do wewnętrznej prozachodniej rewolucji tam i tak by nie doszło.

Zachód winien szykować się więc do długotrwałej konfrontacji i kierować się logiką powstrzymywania Rosji. Zaczęto więc odkurzać doktrynę powstrzymywania, którą Zachód obmyślił i stosował radząc sobie w swoim czasie z ekspansjonizmem ZSRR. Oryginalna doktryna powstrzymywania epoki zimnowojennej jest uznawana za przykład konsekwencji i skuteczności. Przypomnijmy jej historię.

Doktrynę powstrzymywania sformułował w 1946 r. George Kennan, wtedy szef sekcji politycznej Ambasady USA w Moskwie. Na dziewiętnastu stronach gęstego druku, w pięciu porcjach, wyłożył w zaszyfrowanej depeszy (tzw. Długi Telegram) istotę sowieckiej polityki zagranicznej. Była nią ekspansja, dominacja i konfrontacja z kapitalistycznym Zachodem. Kennan zaproponował Ameryce konsolidację sił Zachodu, objęcie Europy Zachodniej amerykańskim parasolem ochronnym i odpieranie sowieckiej ekspansji. Choć spór Sowietów z Ameryką miał sztafaż ideologiczny, to Kennan opisywał go w klasycznie geopolitycznych kategoriach. Wyglądało to tak, że drapieżna potęga lądowa (ZSRR) rozpychała się ku Atlantykowi, a mogła ją zatrzymać jedynie przeciwstawna siła atlantyckiej potęgi morskiej.

To niewątpliwie rzadki w dyplomacji przypadek, kiedy stosunkowo niski (wtedy) rangą dyplomata sformułował zasady polityki, którą przez dziesięciolecia praktykowały dziesiątki państw Zachodu. Dorównać Kennanowi marzyły setki, jeśli nie tysiące młodych, ambitnych adeptów planistyki polityki zagranicznej.

Po powrocie do USA i objęciu stanowiska szefa sztabu planowania Departamentu Stanu opublikował Kennan w 1947 r. główne tezy swojej depeszy w postaci artykułu (podpisanego pseudonimem) w czasopiśmie „Foreign Affairs”. Doktryna powstrzymywania zaczęła krążyć w przestrzeni publicznej.

Ale pierwszym przywódcą, który otwarcie opisał stan konfrontacji był Winston Churchill w jego mowie fultońskiej w marcu 1946 r., z której do historii przeszła metafora „żelaznej kurtyny”. Churchill wzywał do zespolenia sił Zachodu, sojuszu Wspólnoty Brytyjskiej i Stanów Zjednoczonych, jedności Europy.

Twierdził, że czas bynajmniej nie pracuje na korzyść Zachodu. Udawanie, przemykanie oczu, wyczekiwanie na rozwój wypadków, czy uprawianie appeasementu było, według niego, strategią samobójczą. Chciał wtedy Churchill wielkiego dealu z Sowietami, w którym Sowietom musieliby się jeszcze liczyć z preponderancją Zachodu (opartą na amerykańskiej broni nuklearnej), póki nie było za późno.

Idea wielkiego dealu nie przekonała Amerykanów. Przyjęli oni za Kennanem, że źródłem konfliktu z ZSRR nie są bynajmniej konfrontacyjnie zdefiniowane interesy narodowe, lecz moralno-

ideologiczna tożsamość sowieckiego ustroju. Należało zatem grać na czas, aby dokonało się bankructwo systemu komunistycznego. Zakładano, że kiedy wpadnie on w spiralę kryzysu, załame się sam i to momentalnie. Co zresztą okazało się przepowiednią całkiem trafną.

Dopóki jednak Sowietów trzymali się swojego ustroju i ideologii, negocjacje i porozumienia z nimi były, w opinii Amerykanów z końca lat 40-ych, bezsensowne.

Pierwszym wyrazistym zastosowaniem powstrzymywania stała się doktryna Trumana. Doktryna, wiązana z przemówieniem do Kongresu w marcu 1947 r., postulowała amerykańską pomoc dla narodów zagrożonych rewoltami komunistycznymi i presją sowiecką. Pomoc ta miała mieć wymiar nie tylko moralny i polityczny, ale także gospodarczy i militarny. Zgodnie z nią wyasygnowano wkrótce setki milionów dolarów na pomoc dla Grecji i Turcji. Istotnie w Grecji trwała wtedy prawdziwa wojna domowa, w której przeciw rojalistom i rządowi wystąpiły siły zdominowane przez komunistów. Później komunistyczna partyzantka przybrała regularne rozmiary i utworzyła nawet na części kraju swoją administrację. Uległa wszakże siłom rządowym i skapitulowała w 1949 r. Wojna kosztowała życie ponad 50 tys. ludzi, a setki tysięcy zmuszone były do migracji (w tym i do Polski).

Z kolei zagrożenie dla Turcji płynęło przede wszystkim z zewnątrz. ZSRR jeszcze przed końcem wojny zaczął formułować żądanie rewizji reżimu żeglugi w cieśninach czarnomorskich regulowanych przez konwencję z Montreux. Tureckie władze obawiały się militarnej konfrontacji z ZSRR. Na Kaukazie Południowym ZSRR skoncentrował w 1945 r. pokaźne siły zbrojne i szykowano się do możliwej inwazji na Turcję.

Przewija się do dziś w opiniach ekspertów teza, że zimna wojna wybuchła, ponieważ ZSRR chciał wyjść poza przydzieloną mu w Jałcie strefę wpływów, próbował włączyć do kontrolowanego przezeń obszaru Grecję, Turcję, a nawet Iran (ociągając się z wycofaniem swoich jednostek wojskowych wprowadzonych tam w czasie II wojny światowej). Jeśli w czasach Jałty przywódcy zachodni liczyli na to, że ekspansja Sowietów będzie podlegać samoograniczeniu, dowodziłoby to ich skrajnej naiwności i nieznamośności ideologicznych nakazów, kierujących zachowaniem bolszewików. ZSRR wyszedł z wojny, mimo olbrzymich strat i ewidentnej słabości gospodarczej, w stanie totalnego politycznego zawrotu głowy od wojennych sukcesów. II wojna światowa wybuchła i przebiegła może nie do końca zgodnie z ideologicznymi prorocztwami leninizmu-stalinizmu głoszonymi otwarcie w latach trzydziestych, ale potwierdziła zasadniczą tezę, że światowa wojna imperialistyczna doprowadzi do rozszerzenia wpływów socjalizmu (najpierw kapitaliści mieli nieuchronnie posprzeczać się i pobić między sobą, wykrwawić się, a potem wkroczyć miał ZSRR i ochronić rewolucję klasową, która dokonałaby się w państwach dotkniętych wojną). Nawet chłodny i ostrożny umysł Stalina nie studził jego wiary w nieuchronne zwycięstwo socjalizmu w świecie.

Doktryna Trumana w odróżnieniu od pierwotnych formuł Kennana operowała już silnym moralnym przekazem. Konfrontacja Zachodu ze Wschodem stała się konfrontacją sił wolności z siłami zniewolenia, sił praworządności z siłami bezprawia, sił tolerancji i różnorodności z siłami uniformistycznego porządku.

Na potrzeby konsumpcji wewnętrznej epatowano tezą, że Ameryka wstępowała na drogę krucjaty moralnej i to w interesach całego człowieczeństwa. Celem powstrzymywania było wyplenienie sowieckiego systemu jako takiego.

Powstrzymywanie było jednak z założenia strategią bierną. W jego istocie leżało zachowanie geopolitycznego status quo w oczekiwaniu na finalny upadek systemu sowieckiego. Naczelną zasadą postępowania była cierpliwość. A celem ostatecznym demontaż systemu sowieckiego. Nie brakowało wszakże oskarżeń, że powściągliwość Zachodu (bierność wobec sowieckich pacyfikacji Berlina w 1953 r., czy Węgier w 1956 r.), tylko rozzuchwalała Sowietów i zachęcała ich nie tylko

do dalszych podbojów (Kuba), ale i bezwzględnej zaciskania kontroli nad satelitami (Czechosłowacja w 1968 r.).

Nie potwierdziła historia Trumanowskiej tezy, że powstrzymywanie było doktryną moralną, której celem był upadek socjalizmu jako ustroju. Bo pożegnano się z doktryną w zasadzie z upadkiem komunizmu w Europie i rozpadem ZSRR. A system komunistyczny (dyktatura partii komunistycznej) przetrwał w Chinach, a też i na Kubie, w Wietnamie czy w Korei Północnej. Potrafi Zachód jakoś z tym żyć po dziś dzień. Oczywiście można było wierzyć, że po upadku ZSRR komunizm nie ma szans na przetrwanie w świecie. Ale, choć li-tylko w formie ideologicznej hipostazy dla kapitalizmu państwowego, jednak trwa. Bo to już nieekspansywny i nieksportowalny komunizm? Ale z drugiej strony, byłoby zbytnim uproszczeniem sprowadzanie powstrzymywania wyłącznie do geopolitycznej doktryny wymierzonej w ZSRR.

Kryzys berliński 1948 r. był pierwszym testem skuteczności zachodniej rezystancji i katalizatorem operacjonalizowania doktryny powstrzymywania w Europie. Kiedy Sowieci zamknęli szlaki transportowe wiodące do Berlina Zachodniego, Zachód pospieszył z operacją mostu powietrznego. Pomoc utrzymała mieszkańców Berlina Zachodniego w wierze, że Zachód ustępować zamiaru nie ma. Według Kissingera, powołującego się na swoją rozmowę z Gromyką u schyłku ZSRR, Stalin nie wierzył, że doszłoby do nuklearnej wojny z powodu Berlina. Jeśliby w czasie blokady Berlina, Amerykanie próbowali siłą przedrzeć się z konwojami do miasta, Armia Radziecka miałaby stawiać im opór siłą, ale tylko lokalnie. Dopiero atak Zachodu na całym niemieckim froncie wymagałby osobistej decyzji Stalina co do rozmiarów sowieckiej reakcji.

A jednak do połowy lat siedemdziesiątych radzieccy akademicy uważali, że trzecia wojna światowa wybuchnie w Berlinie. Od połowy lat siedemdziesiątych – skłaniali się już ku myśli, że jednak na Bliskim Wschodzie.

Komunistyczny przewrót w Czechosłowacji w lutym 1948 r. był prekluzyjnym dowodem na to, że doktryna Stalina wykluczała jakiegokolwiek kompromisy ustrojowe w krajach kontrolowanych militarnie przez Sowiety. Przypomnijmy, że zgodnie z nią wszędzie tam, gdzie dotarł żołnierz sowiecki, mógł i miał być budowany ustrój komunistyczny. Był niewątpliwie czechosłowacki przewrót katalizatorem wojskowej integracji Zachodu. A historiografowie wiążą z nim początek zimnej wojny.

Wynikiem konsolidacji sił Zachodu było powołanie do życia w 1949 r. Sojuszu Północnoatlantyckiego. Dokument NSC 68 opracowany w kwietniu 1950 r. stał się zaś kompleksową wykładnią polityki powstrzymywania w polityce amerykańskiej. Żywotne interesy USA zrównano z imperatywem moralnym – walki z komunizmem.

Szybko też powstrzymywanie wyszło poza wymiar polityczno-militarny. W 1950 r. powołano do życia COCOM, czyli system kontroli eksportu do państw socjalistycznych, zakładający embargo na dostawy technologii o znaczeniu strategicznym. Powstrzymywanie gospodarcze przewidywało aktywne posługiwanie się klauzulą najwyższego uprzywilejowania w handlu z obozem socjalistycznym i politycznymi kryteriami w udzielaniu rządowych kredytów i gwarancji kredytowych. Zachód podjął też rzucone przez Moskwę wyzwanie wojny informacyjnej i ideologicznej. W 1949 r. utworzono Radio Wolna Europa.

Doktryna powstrzymywania miała na Zachodzie swoich krytyków, i to od zarania.

Jedną z krytycznych szkół (Walter Lippmann) twierdziła, że powstrzymywanie prowadzi do przerostu zobowiązań („overextension”), psychologicznego i politycznego przeciążenia, nadwężenia amerykańskich zasobów. Ameryka ugrzęznąć miałaby niechybnie w peryferyjnych sporach i konfliktach bez strategicznego znaczenia dla Zachodu. A rozliczne marionetki Ameryki

miałyby wykorzystywać powstrzymywanie dla własnych celów. Wyprorokował ów nurt krytyczny indochiński ślepy zaułek polityki powstrzymywania.

Inna szkoła (churchillowska) twierdziła, że z konfrontacją nie należy przeginać i szukać trzeba sposobu dogadania się z Sowietami, nim zanadto się wzmocnią. Powstrzymywanie zbytnio przeciągane zacznie pracować na korzyść Sowietów, bo da im czas na okrzepnięcie i militarne dogonienie Zachodu. Co też stało się faktem w latach siedemdziesiątych, kiedy w zbrojeniach strategicznych zapanował niekwestionowany parytet.

A ta trzecia, najbardziej defetystyczna szkoła (Henry Wallace) postulowała, aby uznać sferę wpływów Sowietów za legalną i uzasadnioną. Nie kwestionować tego, co zdobyli po II wojnie światowej, bo jest taka postawa tylko źródłem napięć. Przeżyła owa szkoła nawet upadek komunizmu w Europie, a jej pogrobowcy tępo kontestowali proces rozszerzenia NATO i Unii Europejskiej na wschód.

Na zasadzie powielenia udanego euroatlantyckiego wzoru próbowano zbudować zintegrowany front powstrzymywania ekspansji sowieckiej w Azji Mniejszej i na Bliskim Wschodzie (CENTO w 1955 r.) i w Azji Południowo-Wschodniej (SEATO w 1954 r.).

Polityka „Northern Tier”, czyli budowania zapór na azjatyckich rubieżach ZSRR, nie dała wszakże spodziewanych rezultatów. Pakt bagdadzki zrodził się jeszcze z inicjatywy brytyjskiej, ale podziały wewnętrzne były w regionie silniejsze od wspólnej percepcji zagrożenia sowieckiego. Pakistan bardziej obawiał się Indii niż ZSRR, Syria w ogóle nie weszła do Paktu, a Irak bardziej się przejmował arabskim radykalizmem wewnątrz kraju niż zewnętrznym zagrożeniem.

SEATO było naturalnym odruchem konsolidacyjnym w Azji Południowo-Wschodniej. Obok USA, był w sojuszu zwornik z CENTO w postaci Pakistanu, a także Filipiny, Tajlandia, Australia, Nowa Zelandia, UK i Francja. Zabrakło kluczowych aktorów regionalnych, jak Indie, Indonezja, Maleszja czy Birma. Uciekły one w niezaangażowanie i neutralność. Układy genewskie z 1954 r. czyniły neutralnymi także państwa indochińskie. Brak było spójnej wizji zagrożeń. SEATO przetrwało do 1977 r., ale funkcjonowało na długo przed tym w stanie agonijnym.

Powołanie NATO, CENTO, SEATO sprowadziło zasadę powstrzymywania w polityczno-operacyjnym zastosowaniu do budowania bloków wojskowych. Z blokami czy bez, świat rozpadł się na dwie skonfrontowane części.

Wielkim praktycznym wyzwaniem był sposób politycznego wykorzystania ewidentnej przewagi militarnej Zachodu w końcu lat czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych związany z monopolem nuklearnym. Z czasem siły będą się wyrównywać i dyskutowanie tej przewagi stanie się niemożliwe, jak to zresztą wieszczył Churchill.

Zachód nie poszedł jednak na postulowany jeszcze w latach pięćdziesiątych „grand bargain”, którego jądrem była propozycja Stalina o zjednoczeniu Niemiec na zasadach neutralności. Wyczekiwał (i słusznie) aż komunizm ulegnie samoistnej prostracji i zawali się pod własnym ciężarem. Szedł na taktyczne kompromisy (odprężenie), ale wielkiego dealu nie podjął.

Jeszcze w marcu 1952 r. ZSRR złożył tzw. notę pokojową ws. Niemiec. Na Zachodzie interpretowano to jako gotowość Stalina do kompleksowego porozumienia ws. Niemiec, opartego na zasadzie neutralności. Traktowano ją jako rzeczywisty wyraz gotowości do kompromisu. I gdyby złożono ją cztery lata wcześniej, byłby, być może, Zachód gotów ją negocjować. Ale było już za późno. Obawiano się, że propozycja Stalina, jeśli poważnie potraktowane, rozbiją jedność Zachodu. Jeszcze przed śmiercią chciał spotkać Stalin Eisenhowera – prezydenta elekta. Ale jednocześnie Stalin realizował nową falę represji w kraju. I przyspieszał zbrojenia, szykował się do wojny nuklearnej.

Czy Stalin liczył się wtedy w latach czterdziestych i na początku pięćdziesiątych z nuklearnym konfliktem? W latach czterdziestych ponoć użycie broni nuklearnej go nie przerażało (podobnie jak Mao Tse Tung). Uważał, że może broń nuklearna przstraszyć jedynie ludzi o słabych nerwach. Nie mogła ona wszakże, w jego ocenie, przesądzić wyniku wojny. Nie zakładał on możliwości użycia broni nuklearnej przez USA w konflikcie berlińskim i nie bał się tego wcale. Dopiero w wojnie koreańskiej, kiedy MacArthur zaczął publicznie wzywać do użycia broni nuklearnej, miał ponoć Stalin uwzględnić jej strategiczne znaczenie. Według syna Berii, śmierć Stalina zatrzymała zaawansowane już przygotowania wojsk sowieckich do wielkiej wojny w Europie z użyciem broni jądrowej.

Kennan nawoływał, by iść na konfrontację z Sowietami w każdym przypadku, kiedy przejawiają zamiary naruszania interesów pokojowego świata. Ale przeważało pragmatyczne stosowanie doktryny powstrzymywania.

Doktryna powstrzymywania znajdowała konkretne wyrażenie w kilku zaledwie operacjach militarnych, zwłaszcza w Korei i w Wietnamie. Zaangażowanie USA w peryferyjnych konfliktach z komunizmem wynikało z tzw. doktryny Eisenhowera, czyli teorii domina, zgodnie z którą zwycięstwo komunizmu w jednym kraju może doprowadzić do reakcji łańcuchowej i przejęcia innych państw przez obóz komunistyczny. Nie dotyczyło to wyłącznie Azji. Początki teorii domina odnosi się jeszcze do czasu sprzed wojny koreańskiej. Dyrektywa amerykańska NSC-64 z lutego 1950 r. uznawała Azję Południowo-Wschodnią za kluczowy obszar dla bezpieczeństwa regionalnego. Wyrokowała, że jeśli padną Indochiny, padną też Birma i Tajlandia. Źle jednak odczytano geopolityczne zależności w Azji. Uznano, że Chiny są przedłużeniem ZSRR, a Wietnam jest przedłużeniem Chin. Trzeba było czekać na przyjście Kissingera, żeby wyzwolić się z tych fałszywych założeń.

Zaangażowanie USA w Korei (1950-1953) określiło pewien model interwencji, tzw. interwencji połowicznej. Było poważnym na tyle, by Amerykę wiązać i demonstrować jej determinację, ale zbyt słabym, aby amerykańskie zaangażowanie rozstrzygało geopolityczny spór.

Po porażce Francuzów we Wietnamie w 1954 r. model ten przeflancowano na Azję Południowo-Wschodnią. Amerykański antykolonializm musiał jednocześnie wiązać się z akceptacją procesu uzyskiwania niepodległości przez państwa regionu. Dekolonizacja usuwając z regionu Francję, całą odpowiedzialność Zachodu za uchronienie regionu przed komunizmem składała na amerykańskie barki. Jednocześnie nie uwzględniono wszakże, że przejmujący od Francuzów władzę nacjonałisci, np. w Wietnamie Południowym, okazały się w działaniu mało atrakcyjną opcją dla mieszkańców kraju. Stały się dyktatorami sprzeniewierzającymi się ideałom, którym przyświecało powstrzymywanie – obrona demokracji, praworządności, praw człowieka.

W 1952 r. kolejny dokument amerykański (NSC 124/2) sformalizował teorię domina. Przejmowanie przez komunistów władzy mogło rozprzestrzenić się przez Wietnam na całe Indochiny, a następnie na całą Azję Południowo-Wschodnią, Indie i Bliski Wschód (z wyjątkiem Pakistanu i Turcji). Przynależenie do komunizmu musiałyby szukać nawet Japonia. A ten komunistyczny pochód miałby niewątpliwie wpływ na sytuację w Europie. Nie szukano prób postawienia na tej drodze tzw. politycznych zapór ogniowych w Malezji czy Tajlandii, jak sugerowali to Brytyjczycy. Nie przedstawiano jednak dowodu na globalny wymiar reakcji łańcuchowej.

Nie zawsze wszakże konsekwentnie konfrontowano zdobycze komunizmu. Nie podjęto żadnej próby zapobieżenia zwycięstwu komunistów w Chinach w 1949 r. Dopiero Tajwan stał się w polityce Amerykanów granicą dla komunizmu nie do przekroczenia. Tolerowano flirt z władzą w Birmie z ideami komunistycznymi, a nawet z Sowietami i Chińczykami (pomoc rozwojowa, kształcenie kadr). Ekscesy filozoficzne Sukarno w Indonezji zatrzymał przewrót wewnętrzny.

Jedynie Korea i Wietnam pozostały studiami przypadku czynnego powstrzymywania w teorii domina.

Korea uznana została jeszcze w 1945 r. za obszar bez strategicznego znaczenia dla USA. Ale doktryna powstrzymywania uczyniła zaangażowanie amerykańskie na Półwyspie Koreańskim testem na wiarygodność całej strategii. Dzięki nieroztropności Sowietów operacja amerykańska otrzymała mandat ONZ, czyli zyskała status operacji bezpieczeństwa zbiorowego. Ale ten atut stał się też ogranicznikiem w działaniu. Rozwój konfliktu musiał być wpisany w ryzy międzynarodowej instytucji. Ameryka nie mogła z powodu Korei pozwolić sobie na więcej (np. na użycie broni jądrowej). Nie wiedziała też, jak pogodzić ograniczony charakter wojny z globalnym wyzwaniem powstrzymywania (z powodu Korei przenieść wojnę do Europy?). Zachód okazał się nieskory do eskalacji, podniesienia stawki i przeniesienia starcia na inne pola niż wschód (zarówno w Europie, jak i w Azji). Zakończono konflikt „militarno-politycznym remisem”. Ale utrwaliło się w Ameryce przekonanie, że Korea była częścią globalnego komunistycznego spisku. Co zaowocowało doktryną Eisenhowera i przeciążeniem Ameryki, a czego kulminacją stał się Wietnam.

Kissinger twierdził, że Stalin nie chciał wojny w Europie z powodu Korei. Inni (Beria) utrzymywali wtedy inaczej. Co by nie mówić, śmierć Stalina przecięła przygotowania do totalnej mobilizacji Sowietów na wojnę z Zachodem. Jest to solidnie udokumentowane.

W czerwcu 1953 berlińczycy (zachęteni sygnałami odwilży i odejściem Stalina) wszczęli powstanie, brutalnie stłumione z udziałem czołgów sowieckich.

Węgrzy, ośmieleni polskim październikiem, a może i naiwnie zainspirowani zaakceptowaniem austriackiej neutralności i wyjściem stamtąd wojsk sowieckich, rzucili w listopadzie 1956 r. najpoważniejsze po wojnie wyzwanie geopolityczne dla Sowietów. Zmiażdżone wszakże bezlitośnie przy bierności Zachodu. A Zachód przeżywał właśnie najpoważniejsze pęknięcie epoki zimnej wojny – kryzys sueski. Dla W. Brytanii (i Francji) interwencja była logicznym zaadaptowaniem doktryny powstrzymywania na Bliskim Wschodzie (bo Nasser oddawał Egipt pod wpływy sowieckie), ale dla Amerykanów była ostatnim podrygiem odruchów kolonialnych. Dla Ameryki antykolonializm stał się wtedy na Bliskim Wschodzie ważniejszy od powstrzymywania.

Doszło do faktu bez precedensu: w Radzie Bezpieczeństwa Amerykanie zagłosowali wspólnie z ZSRR, a przeciw W. Brytanii i Francji. Amerykanie dali sojusznikom jasny sygnał, że razem bronić będą Zachodu przed Sowietami, ale w sprawie kolonializmu Stany Zjednoczone mieć będą odrębne zdanie.

Utrata kolonialnych włości jeszcze bardziej uświadamiała Europejczykom ich drugoplanową globalnie rolę i konieczność zdania się na przywództwo Ameryki. Zadra jednak pozostała, tylko było czekać, jak sueską „zdradę” użyją niektórzy europejscy sojusznicy jako wymówki, by dystansować się od USA w globalnych potyczkach. Tak też uczynili w trakcie wojny w Wietnamie, w konflikcie na Bliskim Wschodzie w 1973 r. czy wobec interwencji USA w Iraku w 2003 r.

Wnioski z tego rozszczepienia Zachodu na tle konfliktu sueskiego wyciągnęli Europejczycy rozbieżne. Brytyjczycy podporządkowali się strategicznie Amerykanom. Francja uznała zaś za niezbędne budowę europejskiej tożsamości politycznej i obronnej.

W konflikcie sueskim ZSRR po raz pierwszy zadeklarował gotowość do wystąpienia zbrojnego przeciw Zachodowi (Wlk. Brytanii i Francji) w obronie Egiptu. Bliski Wschód stał się potencjalnym zapalnikiem wojny światowej. W styczniu 1957 r. Eisenhower ogłosił zaś swoją doktrynę gospodarczego, politycznego i militarnego wsparcia i ochrony Bliskiego Wschodu przed komunistyczną agresją. Tak amerykański pierwotny zamiar odseparowania spraw europejskiego powstrzymywania od innych regionów spowodował przejęcie przez USA wyłącznej odpowiedzialności w świecie za losy walki z ekspansją komunizmu.

Konfrontację z ZSRR z powodu rozmieszczenia rakiet na Kubie, Stany Zjednoczone wzięły wyłącznie na swoje barki. A Kennedy postanowił, że europejscy sojusznicy nie są już do niczego potrzebni w rokowaniach o przyszłości świata (i Europy). Bilateralna płaszczyzna amerykańsko-sowiecka stała się formułą rozstrzygnięcia problemów strategicznych globu.

Względna bierność Zachodu wobec wydarzeń węgierskich w 1956 r., czechosłowackich w 1968 r., a także polskich w 1981 r. potwierdza tezę, że powstrzymywanie wykluczało wyzwolenie, liberalizację zniewolonych narodów. Oznaczało wprawdzie brak akceptacji dla sowieckich wpływów w Europie, ale zakładało rezygnację z prób wypchnięcia ZSRR z tych państw. Co prawda jeszcze w 1952 r. Dulles próbował uczynić powstrzymywanie bardziej aktywnym poprzez wsparcie dla liberalizacji. Przyniosło to aktywizację roboty propagandowej, zwłaszcza pracy Radia Wolna Europa. W 1956 r dali się temu zwać Węgrzy, którzy słuchając RWE uwierzyli, że wyraża ono oficjalne poglądy Waszyngtonu, które doprowadzą do czynnego wsparcia Ameryki dla węgierskiego zrywu. Nic takiego się nie stało. Co prawda Dulles ogłosił, że każde państwo, które wyjdzie z Układu Warszawskiego, nawet jeśli nie przejdzie na demokrację, może liczyć na wsparcie Ameryki. Ale wsparcie zyskało wymiar tylko moralno-polityczny.

Alternatywną koncepcją dla wyzwolenia byłaby titoizacja, czyli akceptacja Zachodu dla utrzymania komunistycznego modelu ustrojowego przy wyrwaniu tych państw z orbity sowieckich wpływów. Tylko, że nie było jak czynnie ją stosować. Wyrwanie z tych wpływów w przypadku Chin i Albanii odbyło się samoistnie.

Paradoksalnie po 1956 r. (wyciągając wnioski ze skutków polskiego października) Sowieci byli skłonni zaakceptować odstępstwa od ortodoksji ustrojowej, ale nigdy wyzwolenia się spod wpływów geopolitycznych.

W połowie lat 70-ych pojawiła się nawet w myśleniu amerykańskim teza, że między ZSRR a pozostałymi państwami socjalistycznymi wyrosły tak silne powiązania, że próba ich osłabiania byłaby dla państw socjalistycznych szkodliwa. Tzw. doktryna Sonnenfelda nakazywała wręcz Amerykanom sprzyjać zacieśnianiu tych „organicznych” wewnątrzobozowych więzi. I Sonnenfeld, i cała administracja istnieniu takiej doktryny zaprzeczali. Nawet, jeśli istniała, nie przetrwała wszakże długo.

Titoizację na swoją modłę skuteczniła Albania, wychodząc formalnie z Układu Warszawskiego w 1968 r., ale zamienili Albańczycy parasol sowiecki na chiński. I nie życzyli sobie bynajmniej wsparcia amerykańskiego w ich apostazji.

Czerwiec 1961 r. przyniósł kryzys wywołany budową muru berlińskiego. Zachód nie miał w zasadzie żadnej realistycznej opcji działania. Musiał biernie przyglądać się przegradzaniu Berlina. Wysłano symbolicznie 1500 żołnierzy amerykańskich drogą lądową do zachodniej części miasta. Za mało, aby Sowieci dali się sprowokować. Zwyczajnie ruch amerykański zignorowali. Brandt później twierdził, że jego Ostpolitik wyrosła z głębokiego rozczarowania biernością USA podczas budowy muru.

Polityka odprężenia była polityką status quo do kwadratu, bo legitymizowała tzw. zdobycze ustrojowe komunizmu. Nawet Amerykanie nie dość, że uznali realia istnienia dwóch państw niemieckich, co nastąpiło za Kennedy'ego, zachęcali sami Niemców do porzucenia doktryny Hallsteina.

Wojna w Wietnamie wymusiła redefinicję zaangażowania amerykańskiego. Odzwierciedlała ją tzw. doktryna Nixona z końca 1969 r. Próbowała ona znaleźć złoty środek między przeciążeniem (zobowiązaniami) a abdykacją. Jej założeniem było twarde honorowanie przez USA ich zobowiązań traktatowych, roztoczenie parasola nuklearnego nad sojusznikami, których przetrwanie było kluczowe dla bezpieczeństwa USA. W przypadku agresji nienuklearnej USA miały oczekiwać

od państwa zainteresowanego przejęciem głównej odpowiedzialności za wystawienie odpowiednich dla obrony stanów osobowych sił zbrojnych.

Na początku lat siedemdziesiątych pod wpływem klęski wietnamskiej ukształtowały się ponownie dwie szkoły powstrzymywania.

Szkoła tzw. psychiatryczna twierdziła, że zwalczanie komunizmu przez Zachód tylko komunizm wzmacnia. Komuniści utwierdzali się w przekonaniu, że Zachód chciał ich zagłady. I walczyć byli gotowi o komunizm jak o sprawę egzystencjalną. Dominowali, w tych amerykańskich ocenach, na szczytach władzy Wschodu liderzy o jastrzębich poglądach, z klapkami na oczach. A trzeba było wzmacniać w ich gronie bardziej pokojowo nastawionych. Radzono więc: niech sobie komuniści robią co chcą, niech zdobywają nowe pola. A wtedy przeciążą się własnymi zobowiązaniami i implodują. Nota bene, i tak też się stało. ZSRR przeciążył się w Afganistanie.

Szkoła tzw. teologiczna zakładała, że nie było sensu negocjować z komunistami, że nie byli oni zdolni do kompromisu. Ale też w finalnej konstatacji radziła, że trzeba tylko cierpliwie czekać, aż system się zawali. Pomysłu na działanie nie miała. Pojawiały się w niej głosy, że destalinizacja i reformy breżniewowskie przebudowały już wewnętrznie system, usunęły najbardziej opresyjne elementy, a sam ustrój, przynajmniej w ZSRR, cieszy się społeczną legitymizacją. Że nie ma sensu działać. A w ogóle kapitalizm i socjalizm miały iść drogą konwergencji (urokowi tej konwergencyjnej szkoły uległ nawet Brzeziński).

Tak powstrzymywanie otworzyło przestrzeń dla polityki odprężenia.

Ostatnim regionalnym wydaniem doktryny powstrzymywania, ale w bardziej geopolitycznej postaci była m.in. doktryna Cartera, sformułowana (piórem Zbigniewa Brzezińskiego) w styczniu 1980 r. Głosiła ona, że Stany Zjednoczone były gotowe użyć siły militarnej, jeśli jakaś zewnętrzna siła podejmie próbę rozciągnąć swoją kontrolę nad Zatoką Perską. Była odpowiedzią na sowiecką inwazję w Afganistanie i miała wyperswadować Sowietom jakiegokolwiek eskapady polityczno-militarne w Zatoce Perskiej. Krytykowano ją jako objaw przesadnej reakcji. Ale Reagan utwierdził ją, dopisując amerykańskie gwarancje dla Arabii Saudyjskiej, której zaczął zagrażać konflikt iracko-irański. Bez doktryny Cartera nie byłoby też później prawdopodobnie takiego przekonania do przeprowadzenia operacji Desert Storm.

Wizja nowego ładu światowego proklamowanego przez prezydenta George'a Busha w 1990 r. oznaczała kres doktryny powstrzymywania. Miała ją zastąpić doktryna aktywnego zaangażowania i współpracy z ZSRR (a potem z Rosją).

Potwierdziła ten kurs ekipa Clintona. Powstrzymywanie zostało zastąpione przez politykę ekspansji wartości. Celem Ameryki miało stać się rozszerzanie i wzmacnianie wspólnoty demokracji, praworządności i gospodarek rynkowych. Ponieważ wolność, jak dowiódł to upadek komunizmu, jest nieodwołalnie wartością uniwersalną. A proces ekspansji wartości miał mieć charakter tyleż nieuchronny, co pokojowy.

Niestety założenia polityki lat dziewięćdziesiątych okazały się idealistyczne. Świat na początku trzeciej dekady dwudziestego pierwszego wieku okazał się światem ponownie rozłupanym na obszary sprzecznych wartości. Z jednej strony, stary, zachodni obóz demokracji liberalnej i wolności jednostki. Z drugiej, twierdze autorytaryzmu i ograniczania praw w Chinach, Rosji i innych państwach. Pojawiła się diagnoza nowej zimnej wojny. Niektórzy wręcz zaczęli mówić o początku III wojny światowej. I to jeszcze przed rosyjską inwazją na Ukrainę w 2022 r.

Przed powieleniem wzorców sprawdzonej onegdaj strategii powstrzymywania wobec Rosji czy Chin utrzymywał się jednak silny opór. Przede wszystkim dlatego, że nowy autorytaryzm nie deklarował ekspansywnych celów. A komunizm deklarował. Ani Chiny, ani Rosja nie twierdziły, że świat winien kopiować ich ustrój polityczny, system wartości, model życia społecznego. Chciały

jedynie uznania swoich praktyk sprawowania władzy za prawowite. Chciały, aby Zachód przyznał, że jego pojmowanie demokracji i swobód obywatelskich nie może mieć aspiracji uniwersalistycznych, nie wszędzie się sprawdza, nie jest do przyjęcia przez inne narody, nie może pretendować do roli matrycy postępu cywilizacyjnego.

Także w sensie geopolitycznym apetyty Rosji i Chin były ograniczone, kudy im do globalnych pretensji światowego systemu komunistycznego z przeszłości. Rosja rewindykacyjne roszczenia koncentrowała na przestrzeni postsowieckiej (plus ewentualna limitrofizacja Europy Środkowej). Chiny skupiają się na swoich interesach w Azji (zjednoczenie z Tajwanem, „linia dziewięciu kresek” wokół wybrzeży Chin, buforyzacja na półwyspie koreańskim). Jeśli angażowały się oba państwa w dyplomatyczno-polityczne przepychanki z Zachodem w innych częściach świata, to przede wszystkim na prawach „spojlerów”, którzy metodą brużdżenia chcieli Zachód stopniowo wycieńczyć.

A Zachód pełen był niekonsekwencji w swojej polityce. Przez lata wypierał psychologicznie konieczność powrotu do polityki konfrontacyjnej. Wierzył, że dobrobyt w Chinach wywoła z czasem w społeczeństwie potrzeby tymotejskie, dążenia wolnościowe. Wierzył, że splot powiązań gospodarczych z Rosją okaże się na tyle silny, że upodobni Rosję do Europy i na trwale ją tam przycumuje. A kiedy wiara ta się chwiała, nie był w stanie prowadzić spójnej polityki. A to nakładał na Rosję sankcje, ale dawał jej możliwość rozgrywania karty energetycznej (Nordstream). A to krzywił się na Chiny, ale drżał o dostęp do chińskiego rynku i pozwalał Chińczykom wchodzić w strategiczne obszary gospodarek państw zachodnich.

Rosyjska agresja na Ukrainę w 2022 r. nie pozostawiła Zachodowi wyboru. Musiał wobec Rosji przyjąć linię ostrego powstrzymywania. Chcieli też Amerykanie prewencyjnie posłać podobny sygnał Chinom. Bo powodzenie Rosji, mogło ich do siłowego rozwiązania kwestii Tajwanu zachęcić.

Doktryna powstrzymywania była doktryną totalną. Była typową metastrategią (polistrategią) w klasycznym rozumieniu. Obejmowała sferę czysto militarną (odstraszanie nuklearne i wysunięta dyslokacja potencjału amerykańskiego), polityczno-wojskową (tworzenie bloków obronnych i udzielanie jednostronnych gwarancji przez USA dla państw zagrożonych komunistyczną inwazją, sprzyjanie integrowaniu się świata zachodniego), ideologiczną (aktywna polityka informacyjna wobec państw socjalistycznych, wspieranie tendencji wolnościowych w tych państwach), gospodarczą (kontrola nad eksportem technologii, etc.), dyplomatyczną (wspieranie tendencji do autonomii w polityce zagranicznej satelitów ZSRR), pomocową (wspieranie mechanizmów stabilizacji społecznej w państwach rozwijających się).

Doktryna powstrzymywania musiała być doktryną totalną, ponieważ jeszcze bardziej totalną była doktryna postępowania światowego obozu socjalistycznego.

W ostatnich latach równie całościowego spojrzenia na politykę zagraniczną znaleźć nie sposób. Czy agresja rosyjska wobec Ukrainy skłoni establishmenty polityczno-dyplomatyczne i wojskowe do podobnie głębokiej refleksji? Czy zachodnie społeczeństwa zaakceptują cenę takiej strategii?

Kilku ministrów spraw zagranicznych Polski za czasów III RP próbowało wyprowadzać założenia polityki zagranicznej z generalnej wizji rozwoju cywilizacyjno-społecznego kraju. Tworzone wszakże w kręgach eksperckich zbliżonych do Kancelarii Premiera strategie narodowego rozwoju tylko intuicyjnie łączyły dążenia polityki wewnętrznej z analizą warunków zewnętrznych i polityką zagraniczną. Także w myśleniu strategicznym objawiał się syndrom Polski resortowej. A już za rządów PIS-u schizofrenia strategiczna osiągnęła himalaistycznych poziomów. Z jednej strony deklarowano cele wyrównania luki dochodowej dzielącej nas od państw zachodnich, modernizacji gospodarki w oparciu o wysokie technologie, a z drugiej strony prowadzono politykę zagraniczną, która w swych założeniach oddalała nas politycznie od Zachodu, wypychała z projektu

integracyjnego, wystawiała na ryzyko związki gospodarcze z Zachodem, a wizja społeczeństwa razila retrotopijnymi złudami konserwatywno-katolickiej tożsamości narodu (która pomoże Polsce przetrwać niechybny zawał europejskiej integracji i liberalnego modelu społecznego).

Myślenie strategiczne przychodzi z trudem, zwłaszcza politykom, bo ich żywiołem jest terażniejszość (i doraźna władza), i zniechęca ulotnością i kruchością swoich płodów (strategii, doktryn, dyrektyw). A jednak warto je praktykować.

Brałem udział w tworzeniu dwóch polskich strategii bezpieczeństwa narodowego. Choć w pierwszym przypadku mój udział nie zdążył się zacząć, a już musiał się zakończyć. Jeszcze w 1999 r. zgłosiłem (jako wicedyrektor Departamentu Polityki Bezpieczeństwa Europejskiego) ówczesnemu dyrektorowi koordynującemu Jerzemu M. Nowakowi pomysł opracowania całościowej strategii bezpieczeństwa odzwierciedlającej już nasze członkostwo w NATO. Nakreśliłem nawet jakiś zarys dokumentu. Nowak pobiegł natychmiast z propozycją do ministra Geremka, który inicjatywę zaakceptował. Zrealizował ją już zespół kierowany przez ówczesnego wicedyrektora Roberta Kupieckiego. Ja mogłem jedynie dyskretnie im kibicować. I to z daleka. W 2000 r. przyjęto pierwszą polską strategię bezpieczeństwa narodowego.

Kiedy w 2002 r. przejąłem kierowanie Departamentu Strategii Polityki Zagranicznej prace nad nową wersją strategii były już zaawansowane. Prowadził je profesor Roman Kuźniar. Zebrał on pokaźny materiał naukowy. Kierunek, w którym podążył ten wysiłek, nie końca wszakże odpowiadał myśleniu departamentów operacyjnych, a zwłaszcza Departamentowi Polityki Bezpieczeństwa. Musiałem zaproponować nową podstawę prac. Wykorzystałem pobyt w Nowym Jorku na początku 2003 r. i bezseną noc na jet lagu, by taki projekt zredagować. O dziwo dał on sobie nieźle radę w rozlicznych konsultacjach i uzgodnieniach zarówno wewnątrz MSZ, jak i z udziałem MON, BBN i innych instytucji. Zebrał nawet komplementy od ówczesnej opozycji sejmowej. Rolę wiodącą w całym procesie zachowywał MSZ i prowadzony przeze mnie departament. Strategia została oficjalnie podpisana we wrześniu 2003 r. Był tekst ten niewątpliwie pisany pod wpływem wojny z terroryzmem i nowych wyzwań globalnych. Ale udało nam się intuicyjnie wyprzedzić w myśleniu przyjętą w ramach Unii Europejskiej później (w grudniu 2003 r.) tzw. strategię Solany. I było to niewątpliwie potwierdzenie dojrzałości naszego myślenia.

Za rządów PiS w latach 2015-2023 w MSZ żadne poważniejsze strategie już nie powstawały. Nawet te czysto papierowe. MSZ stał się urzędniczą protezą dla łagodzenia i neutralizowania zewnętrznych skutków wewnątrz krajowych wyborów centrali partyjnej na Nowogrodzkiej.

6. Odstraszanie

Przyjęta w końcu czerwca 2022 r. w Madrycie koncepcja strategiczna NATO uczyniła doktrynę odstraszania rdzeniem funkcjonowania Sojuszu. Reagowanie kryzysowe i działalność na rzecz bezpieczeństwa zbiorowego pozostają istotnymi polami zaangażowania NATO, lecz jego polityczno-militarnym priorytetem stało się znów odstraszanie. Poszukiwania przekonującej misji dla NATO, prowadzone przez dekady po zakończeniu zimnej wojny, zatoczyły wielkie koło. Wrócono do sprawdzonej koncepcji odstraszania, którą praktykowano wobec ZSRR. Kontekst jest oczywisty: agresywne zachowania Rosji, których kulminacją stała się agresja na Ukrainę, nie pozostawiały Zachodowi wyboru. Trzeba było w sposób otwarty uznać Rosję ponownie za główne źródło zagrożenia dla Sojuszu.

Jak nowe wydanie strategii odstraszania będzie przekładać się na postawę polityczno-militarną Sojuszu, a zwłaszcza na koncepcje operacyjne, kształt potencjału militarnego i jego rozmieszczenie, pozostaje kwestią nadal wymagającą doprecyzowania. I bynajmniej nie do końca oczywistą,

zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę niektóre wypowiedzi choćby prezydenta Erdogana czy też "dysydenckie" (względem polityki Zachodu wobec Rosji) poglądy Orbana. Choć oczywiście główne rozstrzygnięcia będą prawdopodobnie (jak w przeszłości) zapadać między Waszyngtonem, Londynem, Berlinem i Paryżem. Oby głos Polski był w tym procesie słyszalny i sprawczy. Odstraszenie musi być wiarygodne, bo stało się oczywistym, że Rosja szykuje się na wojnę z Zachodem.

Powstrzymywanie Rosji, tak jak powstrzymywanie komunizmu, musi znaleźć odpowiednie odzwierciedlenie w doktrynach, strategiach i koncepcjach militarnych Zachodu. A odstraszenie stać się wiarygodną postawą militarną. Zwłaszcza, że Rosja w trakcie wojny z Ukrainą znacznie obniżyła, według doniesień medialnych, próg nuklearnego reagowania.

Doktryna odstraszenia w oryginalnej postaci upostaciowiła się u zarania Sojuszu Północnoatlantyckiego. Już pierwsza strategia NATO przygotowana w 1949 r. opierała się na odstraszałej roli broni jądrowej. W natowskiej strategii z 1954 r. (DC-48) planowano nawet wyprzedzające uderzenie jądrowe z użyciem samolotów.

Doktryna odstraszenia zbudowała swoją wiarygodność na tym, że rzeczywistość polityczno-wojskowa w latach zimnej wojny nie wygenerowała faktów, które by podważały jej skuteczność. Blok komunistyczny nie odważył się na przetestowanie jej wiarygodności. Czyli była doktryną skuteczną. Niektórzy co prawda porównywali jej funkcjonowanie do sytuacji z dowcipu o facecie wyrzucającym kulki papieru przez okno pociągu mknącego przez równinę mazowiecką, aby odstraszyć słonie. Musiały wyrzuty papierowych kulek być skuteczne, skoro słonie nie atakowały pociągu. Ale zbyt frymuśne to porównanie, biorąc pod uwagę, że w odstraszeniu stawką była globalna wojna nuklearna.

Fakt pozostaje faktem, że nic (i z dzisiejszej, i z ówczesnej perspektywy) nie pozwala ocenić, czy była doktryna odstraszenia jedyną możliwą polityką. Bo ponoć ani Stalin, ani Mao wojny nuklearnej się nie obawiali. Nie czuli przed nią strachu. Do wojny nuklearnej wtedy, ani w latach nuklearnego "overkillu", nie doszło, co oczywiście nie dowodzi skuteczności doktryny odstraszenia.

Doktryna odstraszenia wywoływała podziały w sojuszu. Amerykanie nie chcieli zostać wciągnięci w wojnę wbrew swojej woli. Pozbawiali więc sojuszników zdolności do samodzielnej akcji. Sojusznicy z kolei, jak Francja czy Wlk, Brytania, nie chcieli być zdani wyłącznie na USA, co doprowadziło ich do zbudowania własnego potencjału nuklearnego.

W 1957 r. NATO przyjęła oficjalnie (w oparciu o rekomendacje tzw. Raportu Trzech z grudnia 1956 r.) koncepcję zmasowanego odwetu. Przewidywała ona możliwość jednostronnego użycia broni jądrowej w obliczu poważniejszego ataku przeciwko terytorium sojuszniczemu. Dawała Sojuszowi prawo do wyboru środków i miejsca uderzenia. Wynikała ona z faktu niewielkiego zagrożenia USA odwetem nuklearnym. Sojuszników miała zaś mobilizować do rozbudowy potencjałów konwencjonalnych.

Ale kiedy zaczęła obowiązywać, ZSRR osiągał już zdolność porażania bronią jądrową celów na terytorium USA (rakiety balistyczne).

W 1960 r. przetestowała ładunek jądrowy Francja i rozwinęła ona wkrótce swoją własną doktrynę odstraszenia. Uznała, że parasol sojuszniczy nie był wystarczająco wiarygodny, niezbędny więc stał się instrument odstraszenia narodowego. A wiarygodny musiał być na tyle, by odstraszać przeciwnika skutkami odwetu. Nie musiał gwarantować zwycięstwa w nuklearnej wojnie, co uznawano już w wtedy za oksymoron. Wystarczało uświadomić przeciwnikowi skalę zniszczeń nakierowując rakiety nuklearne na pięćdziesiąt największych miast. I takie minimalistyczne odstraszenie stawało się odstraszeniem absolutnym, gwarantując powstrzymanie państw przed

wojną konwencjonalną. W 2006 r. francuska doktryna odstraszenia została rozciągnięta na cele wojny z terroryzmem. Prezydent Macron zadeklarował zaś gotowość Francji do zeuropeizowania francuskiej „force de frappe”. Bez tego zresztą trudno sobie wyobrazić spójną doktrynę obronną Unii Europejskiej i budowanie europejskiej armii.

W 1967 r. NATO przestawiło się na strategię elastycznego reagowania. Stał za nią czynnik MAD, czyli wzajemnie zagwarantowanego zniszczenia. Amerykanie kalkulowali, że ich potencjał gwarantował wtedy zniszczenie ok. 1/3 ludności i 2/3 potencjału przemysłowego ZSRR. Uznali też, że potencjał sowiecki czynił możliwy uszczerbek dla terytorium USA równie katastroficznym. Zakładało elastyczne reagowanie konieczność zachowania wiarygodnego potencjału militarnego, który dawałby możliwość eskalacji konfliktu w celu pokonania przeciwnika i zadania mu dotkliwych strat. Przewidywało ono możliwość celowej eskalacji z włączeniem taktycznej broni jądrowej, a nawet wykorzystanie strategicznej broni jądrowej.

Raport Harmela, który przygotował polityczne ramy dla tej strategii, nakazywał jednocześnie, aby staraniom o utrzymanie wiarygodnego potencjału towarzyszyło dążenie do „odprężenia”, prowadzenie dialogu i budowanie zaufania w stosunkach ze Wschodem.

Lata siedemdziesiąte przyniosły ustabilizowanie parytetu nuklearnego ZSRR i USA. Doktryna wzajemnie zagwarantowanego zniszczenia czyniła użycie broni mało prawdopodobnym. Elastyczne reagowanie zaś pozostawiało sojuszników zależnymi od nuklearnych decyzji USA. Jak pisał Kissinger, doktryna odstraszenia nabrała psychologicznego wymiaru. Zakładała posiadanie przez przywódców mocarstw woli użycia broni nuklearnej, a jednocześnie zaistnienia w ich kalkulacjach niezbędnego poziomu racjonalności, który wynikałby ze świadomości skutków ich decyzji. Za prezydentury Jimmiego Cartera reagowaniu nadano już bardzo elastyczny charakter. Amerykańska strategia (dokument PD-59) skupiała się na kompleksie C3I, czyli przede wszystkim na dowodzeniu, kontroli, łączności i rozpoznaniu. I zakładała ewentualność długotrwałego konfliktu nuklearnego.

Uwolnił NATO od dylematów nuklearnych upadek komunizmu i ZSRR. Deklaracja Sojuszu, przyjęta w lipcu 1990 r. na szczycie NATO w Londynie, zapowiadała głęboką transformację aliansu. Konstatowała zanik jednolitego wszechogarniającego źródła zagrożenia. Wskazywała konieczność modyfikacji koncepcji obrony na wysuniętych rubieżach i elastycznego reagowania.

Wprowadzała jednocześnie trzecią ścieżkę do strategii politycznej raportu Harmela: wykorzystywanie NATO jako czynnika stabilizacji na kontynencie europejskim.

Dezintegracja ZSRR pozostawiła NATO bez skonkretyzowanego zagrożenia. Odstraszać, jak się wtedy naiwnie wydawało, nie było już kogo.

Znowelizowana strategia NATO przyjęta w kwietniu 1999 r. na szczycie NATO w Waszyngtonie otwierała nowy rozdział w historii Sojuszu. Stwierdzając brak klasycznie definiowanego przeciwnika, kierowała Sojusz na misje spoza artykułu 5 Traktatu Waszyngtońskiego. Senator Lugar ujął tę nową doktrynę w maksymie „out of area or out of business”. Już w 1992 r. NATO wyraziło gotowość wspierania ONZ w wymuszaniu stosowania sankcji w związku z wojną w Bośni i Hercegowinie. Zaangażowanie NATO miało charakter początkowo policyjny, lecz koncepcyjnie było już użyciem Sojuszu do celów bezpieczeństwa zbiorowego. Pierwszym bojowym zastosowaniem koncepcji była operacja przywracania pokoju w Kosowie w 1999 r., skierowana przeciw Jugosławii. Jak przyjęto komentować – była to pierwsza otwarta wojna o prawa człowieka. NATO przymusiło siłą Jugosławię do zaprzestania pacyfikacji Kosowa. Ale rozpoczęło swoje działania zaczepne bez formalnego upoważnienia Rady Bezpieczeństwa ONZ. Zapamiętali to sobie doskonale Rosjanie i nie przypadkiem przywoływał to Putin w swoich rozmowach z zachodnimi liderami w lutym 2022 r., kiedy szykował się do agresji na Ukrainę.

Broń nuklearna w arsenale Sojuszu zgodnie z waszyngtońską strategią miała służyć przede wszystkim celom politycznym. Nie była już wymierzona w terytorium konkretnego państwa.

Wojna z terroryzmem po zamachach z 11 września 2001 r. była kolejnym rubikonem przekroczonym przez Sojusz. Po raz pierwszy w historii uruchomiony został artykuł 5 Traktatu Waszyngtońskiego. NATO zostało zaangażowane do operacji poza obszarem traktatowym. Globalizacja misji Sojuszu zaczęła prowadzić do postrzegania NATO jako światowego „policjanta”. NATO miało odstraszać światowych terrorystów, i to globalnie. Tak zrodziła się koncepcja wykorzystania NATO jako „globalnej skrzynki z narzędziami” (global toolbox). A Sojusz stał się mechanizmem wspierania Amerykanów w Afganistanie (w misji bojowej) i Iraku (w misji szkoleniowej). Uniwersalnym niemalże i dosłownym Malleus Maleficarum obozu demokracji do zwalczania zła w zglobalizowanym świecie.

Priorytet zaangażowania NATO w reagowanie kryzysowe i stabilizację globalną odzwierciedlała koncepcja strategiczna NATO przyjęta w Lizbonie w listopadzie 2010 r.

Agresywne poczynania Rosji, w tym zwłaszcza aneksja Krymu i wsparcie separatyzmu w Donbasie w 2014 r., przywróciły NATO na stare, sprawdzone tory (przełomowe znaczenie miał szczyt warszawski 2016 r.). Bo jeszcze po rosyjskiej inwazji na Gruzję w 2008 r. w sporej liczbie stolic państw Sojuszu karmiono się złudzeniami, że to jednorazowy wyskok. Na dodatek Rosja porzuciła zasadę „no-first use” w odniesieniu do broni jądrowej. A Putin dosłownie zaczął w swoich wypowiedziach stosować ukutą w czasach prezydentury Nixona tzw. strategię szaleńca, czyli dawać do zrozumienia, że może mu użycie broni jądrowej w jakimś hektycznym przypiływie uderzyć całkiem realnie do głowy. Wystawiło to natowskich planistów na nowe wyzwania.

Od 2014 r. (a na dobrą sprawę co najmniej od 2008 r.) odstraszać było już znowu kogo. Zagrożenie rosyjskie stało się faktem, choć odczuwalnym chwilowo jedynie regionalnie. Ale po agresji Rosji na Ukrainę w 2022 r. było to już zagrożenie dla niektórych sąsiadów Rosji egzystencjalne.

NATO okazało się poza tym mało zręcznym instrumentem w odstraszeniu innych globalnych burzycieli, chociażby rozwijającego program nuklearny Iranu czy posiadającej broń jądrową KRLD. Globalizacja NATO od czasu włączenia Sojuszu do operacji afgańskiej budziła poważne zaniepokojenie w Pekinie. Coraz głośniej, a już po wyjściu USA i sojuszników z Afganistanu, na cały głos Chińczycy dawali znać, że obecności NATO w Azji w jakiegokolwiek postaci sobie nie życzą. A i niektórzy członkowie NATO woleliby, aby NATO do globalnych misji nie angażować. Dla okiełzania zagrożenia chińskiego Amerykanie zaczęli więc konstruować nowe platformy, chociażby AUKUS powołany w 2021 r. z udziałem Australii i Wlk. Brytanii, którego pierwsze skutki rozdrażniły ważnego europejskiego sojusznika Amerykanów, jakim jest Francja.

Prezydent Macron ogłosił nawet w 2020 r. śmierć mózgową NATO. Impulsem były niewątpliwie woluntarystyczne zachowania Turcji, zwłaszcza wobec Syrii i Libii. Faktem pozostaje, że spójność Sojuszu zaczęła się chwiać. NATO stanęło po raz kolejny przed koniecznością redefinicji swojej misji. I rozpoczęło głęboką nad nią refleksję. Ale realia agresji rosyjskiej 2022 r. nadały tej refleksji pilny i praktyczny charakter. Sojusz robił wszystko, aby wspierając Ukrainę, nie został zaangażowany jednocześnie w otwarty konflikt zbrojny z Rosją. Dla państw frontowych, w tym zwłaszcza Polski, Litwy, Łotwy i Estonii, wiarygodność gwarancji NATO nabrała egzystencjalnego charakteru.

Kluczowe znaczenie będzie miało oczywiście podejście USA. W czasie rosyjskiej agresji na Ukrainę prezydent Biden czynił jednoznaczne deklaracje absolutnego oddania Ameryki obronie sojuszników. A cała siła odstraszenia NATO znów oparła się na potencjale Ameryki. Ale Trump swoimi wypowiedziami w trakcie prezydentury, a wzmocnionymi nawet w kampanii wyborczej 2024 r. kwestionował automatyzm zobowiązań sojuszniczych. Jeśli jego podejście, polegające na

tym, że USA będą pomagać tylko tym sojusznikom, którzy wydają odpowiednie sumy na cele wojskowe, stanie się oficjalną doktryną USA, można dla Sojuszu zacząć zamawiać już requiem.

O kierunkach rozwoju NATO od zarania decydowało nastawienie amerykańskie. W kilku stolicach sojuszniczych pokątnie rozwijano koncepcję maksymalnego nasycania dwustronnych relacji z USA w sferze bezpieczeństwa na wypadek, gdyby kolektywne ramy zaczęły truchleć. Ale one mogą degenerować się tylko, jeśli Amerykanie się z tym politycznie i strategicznie pogodzą, co będzie wynikało z utraty przez Europę żywotnego dla amerykańskich interesów znaczenia. A wtedy, to i dwustronna komitywa niewiele pomoże. Polityka Putina przesunęła znowu Europę w centrum amerykańskiej uwagi (po okresie „azjatyckiego piwołu”). Na długo?

Każda instytucja ma własne mechanizmy wypracowywania decyzji. W NATO oczywisty jest prymat Stanów Zjednoczonych. Nie sposób wyobrazić sobie sytuacji, w której jakakolwiek ważna decyzja w ramach Sojuszu mogłaby być w jakikolwiek sposób Amerykanom narzucona. Nawet jakby przyszło do amerykańskiego ambasadora pozostałych trzydziestu jeden i powiedziało: „Sorry, tylko ty jesteś przeciw, więc prośba – nie blokuj konsensu”, to Ameryka zdania nie zmieni. Ale przede wszystkim, nigdy taka procesja się nie odbędzie. Odbywać się może w stosunku do innych państw, nawet historycznie zawsze w NATO niepokornej Francji, nie mówiąc o Polsce.

W 1998 r. byłem polskim przedstawicielem w tzw. Grupie Zadaniowej Wysokiego Szczebla (HLTF) funkcjonującej przy NATO i zajmującej się opracowaniem wspólnego stanowiska państw Sojuszu na rokowaniach rozbrojeniowych, wtedy dotyczących tzw. adaptacji Traktatu o konwencjonalnych siłach zbrojnych w Europie (CFE). Praca była intensywna. Co dwa tygodnie musiałem odwiedzać Brukselę. W wigilię formalnych posiedzeń grupy spotykaliśmy się na kolacjach z reguły w formacie Grupy Wyszehradzkiej. Co znamienne, kiedy chcieliśmy zaprosić na kolację przedstawicieli USA, Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii, to akurat w te konkretnie wieczory nie byli oni osiągalni. W inne może i owszem. Okazało się bowiem, że siłą tradycji spotykali się w czwórkę tylko we własnym gronie. Okazało się także, że w owym formacie tzw. Quadu spotykali się regularnie nie tylko w Brukseli. Dopóki Quad nie był w stanie opracować wspólnego stanowiska, mogliśmy lobbować za własnym bez zahamowań. Bo i wtedy, w odniesieniu do modernizacji Traktatu CFE, leżąca na stole propozycja, opracowana w Berlinie, była dla nas niezbyt atrakcyjna. Logicznie była nie do podważenia, bo zastępowała grupowe limity uzbrojenia oryginalnego Traktatu CFE tzw. limitami narodowymi i terytorialnymi. Szkopuł w tym, że tzw. limit terytorialny dla Polski przewidywał, że nasze rodzime stany uzbrojenia mogły być zwiększone przez rozwinięcie obcych wojsk, ale tylko do poziomu uzbrojenia dwóch ciężkich brygad. Francuzi szybko poparli niemiecki projekt, Brytyjczycy opierali się najdłużej. W Waszyngtonie docieranie stanowisk Departamentu Stanu i Pentagonu szło z dużym mozołem. W końcu jednak i Amerykanie odpuścili. Tłumaczyli, że przecież te dwie brygady wynikają z obietnicy danej Rosji w Akcie stanowiącym NATO-Rosja z 1997 r., że więcej nie będzie. „To dajcie nam te dwie ciężkie brygady na piśmie, dajcie je w planach ewentualnościowych, wtedy pogadamy” - odpowiadałem. Ale dawanie tych planów zajęło im dość długo, kilka ładnych lat (i to nadal jedynie na papierze, a teraz i w realu przydałoby się ich więcej). Ambasador Craig Dunkerley, który reprezentował USA w HLTF, zdrowo nad urabianiem nas się napracował. Mnie co prawda urobić nie zdążył. Ja przeszedłem do innych (całkiem egzotycznych) zadań. Tym niemniej doświadczyłem wtedy na sobie, że zmaganie się z Quadem może być męczące i bolesne (bolesniejsze niż przekomarzanie się w pojedynkę z Amerykanami), nawet jeśli odbywa się po przyjacielsku i serdecznie.

NATO przyjęło w końcu jednak niemiecki koncept (a mieli decydenci w naszym MSZ i MON inne wyjście?), a Rosjanom bardzo on odpowiadał. Adaptację Traktatu uzgodniono szybko, bo ku stambulskiemu szczytowi OBWE w 1999 r. Ale nigdy nie wszedł dokument w życie. Rosja za nic w świecie nie chciała wyprowadzić swoich wojsk z Mołdawii i Gruzji, nalegała na włączenie Litwy, Łotwy i Estonii do Traktatu.

Chyba jakaś Schadenfreude musiała się u mnie z powodu niepowodzenia takiej modernizacji Traktatu pojawić. Bo to zła koncepcja była.

A z czasem Rosja w ogóle zawiesiła stosowanie i oryginalnego Traktatu. Aż zaczęła burzyć cały porządek europejski. A końcu zaczęła stosować własne wydanie doktryny odstraszania, które sprowadzało się do groźby rozszerzonego samobójstwa. Od lat takie odstraszanie praktykuje zresztą także KRLD.

7. Sankcje

Kiedy przed rosyjską inwazją na Ukrainę w lutym 2022 r., zachodni przywódcy, zwłaszcza Amerykanie, próbowali odwieść Putina od zamiaru agresji, przywoływali jako argument perspektywę dotkliwych, bolesnych wręcz sankcji, które Rosja na siebie sprowadzi. Straszak sankcji nie zadziałał. Putin wybrał wojnę. Zachód nie miał więc innej opcji: sankcje wprowadził. Szybko, sprawnie, kompleksowo. Jakby niepewny ich doraźnych skutków musiał wszakże je etapowo rozszerzać i zaostrzać. I to w kilkunastu pakietach.

Przeciwnicy sankcji na Zachodzie szybko zaczęli podnosić głowę (wychodząc nawet na ulice), i wytykać, że sankcje nie działają, że rubel trzyma się mocniej niż przed wojną, że Rosja zgarnia rekordowe wpływy z eksportu ropy i gazu, że bankructwa rząd rosyjski nie ogłasza, że inflacja tam na niższym poziomie niż w wielu krajach Unii Europejskiej, a spadek PKB nie jest nawet odczuwalny. A Europa tymczasem będzie musiała marznąć z powodu braku gazu i węgla. Ale dała sobie przez kolejne lata radę i uniezależniła się od rosyjskich dostaw surowcowych.

Eksperci co prawda dowodzą, że sankcje czynią poważne spustoszenie, że degeneracja technologiczna Rosji postępuje, a i ludność zacznie wkrótce na własnej skórze izolację gospodarczą Rosji doświadczać. Trzeba tylko cierpliwie czekać. Tylko, że mijają lata i miesiące, a skutków sprawczych nie widać. Zabrakło mi uczciwych tłumaczeń tych ekspertów, dlaczego nie doceniono zdolności Rosji do neutralizacji efektu sankcji. Niektórzy z nich wieszczyli, że latem 2022 r. Rosja ogłosi techniczną niewyłączalność.

Ideologiczni przeciwnicy sankcji kwestionują ich jakikolwiek wpływ na postępowanie Putina, przy wcale przecież niemałych kosztach, jakie zachodnie społeczeństwa muszą ponosić. Całe szczęście przywódcy kluczowych państw zachodnich i instytucji zachodnich w sensowność sankcji nie przestają wierzyć. Bo w jaki inny sposób mieliby pokazywać swoją niezgodę na zachowanie Rosji, wywierać na nią presję? Oby starczyło im determinacji.

Środowisko międzynarodowe jest środowiskiem bez władzy zwierzchniej. Każde państwo musi sobie samemu odpowiedzieć na pytanie, jak reagować w sytuacji działań partnerów łamiących normy międzynarodowe, nanoszących bezprawnie uszczerbek jego interesom. Koncepcje bezpieczeństwa zbiorowego odwołują się do imperatywu działania zbiorowego, które przymuszałyby naruszyiciela norm do skorygowania postępowania. Działanie zbiorowe daje zawsze rękojmię skuteczniejszego przymusu. Oczywiście zakłada się, że czyniąc przymus nie trzeba uciekać się od razu do argumentu siły i przemocy. Akcja zbrojna miałaby być ostatecznością. Pierwszym wyborem zawsze są sankcje polityczne i gospodarcze. W założeniu mają one wymusić na ich obiekcie powrót do stosowania norm i zasad, skorygowanie własnego zachowania. Często w praktyce mają charakter represaliów. Są formą karania za transgresję.

Wprowadzone przez Zachód w 2022 r. sankcje przeciw Rosji w związku z jej agresją na Ukrainę mają rzeczywiście bezprecedensowy pod względem dolegliwości i zakresu charakter. Rosja nazywa je nielegalnymi, co jest nieprawdą. Sugeruje się w Moskwie, że tylko sankcje uchwalone przez

Radę Bezpieczeństwa ONZ miałyby być legalne. A Rada Bezpieczeństwa, z powodu rosyjskiego weta, oczywiście żadnych sankcji nigdy by przeciw Rosji nie uchwaliła. Zachodnie sankcje są i bez Rady Bezpieczeństwa jak najbardziej prawomocne.

Prawo międzynarodowe przewiduje możliwość zastosowania przez społeczność międzynarodową środków przymusu niemilitarnego w przypadku naruszenia przez państwo norm zachowania zagrażającemu międzynarodowemu bezpieczeństwu i pokojowi. Wpisano sankcje jako instrument nacisku już do Paktu Ligi Narodów. W Karcie Narodów Zjednoczonych prawo ordynowania sankcji ze skutkiem powszechnie obowiązującym dołączono do kompetencji Rady Bezpieczeństwa w kontekście działania w sytuacji zagrożenia pokoju i bezpieczeństwa. Uniwersalnie wiążące sankcje, czyli zmuszające wszystkie państwa do ich stosowania, czy się im podoba, czy nie, ma prawo zarządzić tylko Rada Bezpieczeństwa.

Rada Bezpieczeństwa od 1966 r. wprowadziła 30 reżimów sankcyjnych. Objęto nimi m.in. RPA, była Jugosławia, Haiti, KRLD, Iran, Irak, Libię, Sudan Południowy, Angolę, Rwandę, ale także organizacje terrorystyczne: Państwo Islamskie, Al Kaidę czy Taliban. Sankcje nakładano za podejmowanie agresji, terroryzm, proliferację broni masowego rażenia, naruszanie praw człowieka. Ale wprowadzano je także dla ułatwienia pokojowej czy demokratycznej transformacji. Pod koniec 2021 r. obowiązywało nadal 14 reżimów sankcyjnych. Kilkaset organizacji i osób fizycznych objęto sankcyjną listą ONZ.

Sankcje ma prawo podejmować jednostronnie każde państwo. Jako wyraz dezaprobaty dla zachowania naruszającego normy prawa międzynarodowego. I są to sankcje jak najbardziej legalne. Nawet jeśli stojące za nimi intencje nie do końca przekonują partnerów. I mogą partnerzy zawsze kwestionować ich zasadność. Ale bynajmniej nie ich legalność.

Sankcje lepiej oczywiście podejmować zbiorowo. Im bardziej zbiorowo są one podejmowane, im bardziej umocowane są one w decyzjach organizacji międzynarodowych, tym bardziej przypisuje się im nimb legitymizacji. Ale sankcje jako instrument nacisku ma prawo stosować każdy. Nie tylko jako zwyczajowy instrument odwetu, czyli retorsję w bezpośredniej reakcji na bezprawne działanie drugiej strony. Zakłada się wszakże, że retorsja winna mieścić się w granicach prawa i stosować się do zasady proporcjonalności. Represalia są z kolei działaniami odwetowymi o charakterze jednoznacznie karzącym i z założenia dotkliwym.

Uważa się, że sankcje mają nie tyle karać, co zachęcać do zmiany polityki. Mają oszczędzać zwykłych obywateli, dotykać zaś decydentów. Od trzydziestu bez mała lat rozwijana jest koncepcja „inteligentnych sankcji”, „sankcji targetowanych”.

Krytycy twierdzą, że sankcje z reguły nie działają, nie przynoszą spodziewanych rezultatów, nie powodują zmiany kursu politycznego ich obiektu. Dlaczego nie działają? Różne padają wytłumaczenia. Nie działają, bo z reguły są zbyt mało dotkliwe, aby państwa rezygnowały z suwerennościowych imponderabiliów. Bo nie są rygorystycznie stosowane (zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie na ich omijaniu chciał politycznie czy gospodarczo zarobić). Bo wprowadzający sankcje nie są gotowi ponosić związane z tym dla nich koszty. Bo wprowadzane są bardziej dla udobruchania opinii publicznej niż dla realnych celów politycznych. Wszystko to prawda, ale bez sankcji nie da się polityki międzynarodowej w środowisku z założenia przecież anarchicznym prowadzić. Inaczej złe zachowania staną się normą.

Uważa się za przykład najskuteczniejszego zastosowania sankcji międzynarodowych casus Republiki Afryki Południowej i polityki apartheidu.

Refleksja międzynarodowa, że system apartheidu jest systemem niezgodnym z wartościami Karty Narodów Zjednoczonych przyszła stosunkowo późno. Zgromadzenie Ogólne ONZ przyjęło rezolucję uznająca apartheid za naruszenie zobowiązań RPA wynikających z Karty Narodów

Zjednoczonych i zagrożenie dla pokoju oraz bezpieczeństwa dopiero w 1962 r. Choć już w 1948 r. Indie starały się w ONZ zwrócić uwagę na rasową dyskryminację w RPA. Musiał dokonać się w świecie, a przede wszystkim w Afryce, przełom dekolonizacyjny, aby problem stanął na agendzie. To właśnie potężny (i politycznie spieniony) flukt dekolonizacji wymusił na społeczności międzynarodowej potępienie apartheidu. A państwa zachodnie początkowo przyłączać się do sankcji ochoty nie przejawiały. Stąd też zrazu brakło sankcjom umocowania w decyzjach Rady Bezpieczeństwa. Były ledwie dobrowolne. Długi czas, zwłaszcza w Waszyngtonie, obawiano się, że upadek rządów białej społeczności w RPA otworzy przestrzeń dla komunistycznej infiltracji i przejęcia kraju przez obóz prosowiecki. Poza tym w południowych stanach USA segregacja rasowa praktykowana była wtedy w najlepszą. Jak było karać RPA za coś, co samemu się praktykowało? Obowiązkowe sankcje wobec RPA (embargo na dostawy broni) Rada Bezpieczeństwa ONZ wprowadziła dopiero w 1977 r. Wcześniej przyjmowane rezolucje (nr 191 czy 282) badały jedynie możliwość sankcji bądź je rekomendowały na dobrowolnych zasadach.

Państwa socjalistyczne poczuły zresztą, że kwestia walki apartheidem daje im niebagatelny oręż polityczny i buduje sympatię w ruchu niezaangażowanych. To właśnie ZSRR (i Gwinea) wniósł w 1971 r. projekt konwencji przeciw apartheidowi, przyjętej przez Zgromadzenie Ogólne ONZ w 1973 r. Większość państw zachodnich konwencji wtedy nawet nie podpisało. Ale w 1977 r. w protokole dodatkowym do konwencji genewskich apartheid określono już jako zbrodnię wojenną. Statut Międzynarodowego Trybunału Karnego włączył zaś apartheid jako zbrodnię przeciwko ludzkości podlegającą jego jurysdykcji.

Najszybciej zadziałał bojkot w sferze sportu i kultury. Już w 1961 r. RPA usunięto z FIFA, a w 1964 r. wykluczono z tokijskiej olimpiady. W 1985 r. opracowano międzynarodową konwencję przeciw apartheidowi w sporcie. Sankcje kulturalne, choć całkowicie dobrowolne, działały masowo i uświadamiały izolację reżimu.

Wezwania do sankcji gospodarczych dały odzew dopiero w latach osiemdziesiątych, kiedy EWG wprowadziła ograniczone restrykcje handlowe i finansowe, a w USA przyjęto w 1986 r. pierwszą kompleksową ustawę antyapartheidową. Embargo kredytowe ze strony amerykańskich banków doprowadziło do poważnego kryzysu finansowo-walutowego w RPA w drugiej połowie lat osiemdziesiątych.

Przełom w rozmontowywaniu apartheidu nastąpił dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych. Upadek komunizmu rozluźnił stanowisko części białej elity. I nie brakuje opinii, że odegrał ów upadek większą rolę w demontażu apartheidu niż izolacja i sankcje. Bo mimo wielu ograniczeń gospodarka RPA dawała sobie z restrykcjami radę.

Apartheid zgasł, ale przejawy etnicznej dyskryminacji na masową skalę w innych państwach nadal od czasu do czasu poruszają naszą wrażliwość.

W 2017 r. armia Mjanmy doprowadziła do wygnania 700 tysięcy Arakanów (Rohingja). Nie brakło ocen, że skala cierpień i prześladowań uprawnia do posługiwania się w tym kontekście terminem ludobójstwo. Próba międzynarodowego potępienia zbrodni podjęta przez państwa zachodnie nie przyniosła zadowalających rezultatów. Zgromadzenie Ogólne ONZ i Komitet Praw Człowieka podejmowały stosowne rezolucje, ale już Rada Bezpieczeństwa ONZ nie była w stanie wypracować wspólnego mianownika w kwestii już nawet nie tyle nałożenia sankcji, co nawet zapewnienia dostępu obserwatorów międzynarodowych i sprawozdawców. Wszystko, co było możliwe, to stosowne oświadczenie Przewodniczącego RB. Także sąsiedzi regionalni Mjanmy w ramach ASEAN nie palali ochotą do osądzania władz Mjanmy. Zajął się wszakże kwestią Międzynarodowy Trybunał Karny. W 2020 r. wezwał rząd Mjanmy do zapewnienia bezpieczeństwa Rohingjom Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości. Bez skutku.

Głośno także było o etnicznych prześladowaniach w chińskim Xinjiangu. Kiedy w 2021 r. Unia Europejska zadekretowała sankcje (w stosunku do kilku osób fizycznych i jednej prawnej) w związku z prześladowaniem Ujgurów, Chiny odpowiedziały kontrsankcjami, które razić mogły dysproporcjonalnością i butą.

Środki restryktywne (sankcje) stały się zresztą kanonicznym narzędziem prowadzenia wspólnej polityki zagranicznej Unii Europejskiej. Unia stosuje około czterdziestu reżimów sankcyjnych i tylko mała ich część wynika z obowiązku realizacji sankcji Rady Bezpieczeństwa ONZ. Inicjuje sankcje Wysoki Przedstawiciel Unii ds. polityki zagranicznej. Opracowane wspólnie z Komisją trafiają pod obrady Rady UE. Zaakceptowane przez Radę są wdrażane i nadzorowane przez Komisję Europejską. Sankcje unijne są w realizacji o wiele bardziej rygorystyczne niż oenzetowskie, bo nad ich przestrzeganiem czuwa Komisja, która ma realne instrumenty wymuszania pożądanych zachowań przez państwa członkowskie.

Unia opracowała przejrzyste wytyczne co do sytuacji wymagających rozważania sankcji. Dotyczą one nie tylko konfliktów zbrojnych, naruszenia prawa międzynarodowego, proliferacji broni masowego rażenia, działań terrorystycznych i przestępczych, ale także naruszeń praw człowieka i praworządności.

Zwyczajowo stosowane są wobec osób i instytucji zakazy wjazdu na teren UE, zamrożenie bądź konfiskata zasobów finansowych (kont), ograniczenia handlowe (w tym i embarga na dostawy uzbrojenia).

Są zbiorowo podejmowane przez Unię sankcje politycznie o wiele bardziej dotkliwe niż gdyby były podejmowane indywidualnie przez państwa członkowskie. Dotyczyło to choćby sankcji podjętych przeciw Rosji w związku z aneksją Krymu w 2014 r. Niektóre rządy państw członkowskich przez lata sugerowały ich złagodzenie, jeśli nie zniesienie. Dystansowały się od nich nawet publicznie, zwłaszcza podczas wizyt w Moskwie, ale presja zbiorowego charakteru sankcji czyniła je obowiązującymi, przynajmniej dopóki nie znalazłaby się polityczna masa krytyczna, aby sankcji zaprzestać. Ten unijny gorset tak rozdrażnił liderów na Kremlu, że rozpętali w końcu 2020 r. kryzys w relacjach z UE i doprowadzili do bezprecedensowego upokorzenia w lutym 2021 r. wizytującego Moskwę Josepa Borrella. Próbowali oni nie tylko oddzielić relacje z Unią (złe) od relacji z państwami członkowskimi Unii (z niektórymi wręcz kwitujące), ale je sobie wzajemnie przeciwstawić. Bardzo późno do nich dotarło, że Unia Europejska to coś więcej niż zwykła organizacja międzynarodowa, a atakując Unię wymuszają akty jej solidarnej obrony ze strony państw członkowskich. Co nie zmienia faktu, że celem strategicznym obecnego przywództwa rosyjskiego jest Unii rozpad i rozwałka.

Sankcje podejmowane są także przez Unię z całą świadomością, że ich skuteczność nie sposób oceniać przez pryzmat zdolności do skorygowania polityki obiektu sankcji. Sankcje przeciw Rosji z 2014 r. do zmiany w zachowaniu Rosji nie doprowadziły i jej zbrodniczej agresji wobec Ukrainy w 2022 r. nie zapobiegły. Ale były wyrazem niezgody na jej zachowanie. Mało jednak dotkliwym. I niekonsekwentnym. Ten symboliczny akt niezgody gasł bowiem przy fakcie czynienia przez Niemcy geopolitycznego prezentu Rosji w postaci gazociągu Nordstream. Nic by tak Rosji nie zmusiło do głębszej refleksji, jak zaprzestanie tego projektu. Zabrakło wszakże woli politycznej, aby sankcje wobec Rosji uczynić wtedy naprawdę dotkliwymi. Jeszcze w styczniu i lutym 2022 r., kiedy amerykański wywiad ujawniał rosyjskie plany inwazji, Ukraina sugerowała Zachodowi wprowadzenie tzw. sankcji prewencyjnych. Odrzucono ten pomysł, ograniczając się jedynie do zagrożenia Rosji sankcjami, jeśli wojnę rozpęta. Putin wojnę rozpętał i Zachód, *ex abrupto*, uderzył sankcjami natychmiastowymi i szerokimi.

Jeśli dyżurnym kijem w reagowaniu na zachowania innych są dla Unii Europejskiej sankcje, to oczywistą marchewką, przynajmniej w odniesieniu do państw rozwijających, jest pomoc

rozwojowa. Ma też Unia inne zachęty, np. w postaci umów stowarzyszeniowych, a przypadku państw geograficznie europejskich - perspektywy członkostwa (status kandydacki), preferencji handlowych (formuła GSP+). Pomoc rozwojowa jest dla kilkunastu co najmniej państw niezbędnym warunkiem zapewnienia sprawności państwa i gospodarczej modernizacji. Unia Europejska dostarcza ponad połowę globalnej pomocy rozwojowej. I jak preceptor nagradza za dobre zachowanie.

Może pomoc rozwojowa stać się w określonych przypadkach dźwignią polityczną. Kiedy sprawowałem urząd szefa delegatury UE w Armenii, w styczniu 2016 r. zwrócił się do nas z prośbą sam prezydent kraju o sfinansowanie zainstalowania technologii, które pomogłyby zapewnić przejrzysty i uczciwy charakter procesu głosowania na wyborach parlamentarnych. Byłem przekonany, że Unia winna zareagować pozytywnie. Nigdy wcześniej na obszarze szerokiej Europy UE w takie przedsięwzięcia jednak się nie angażowała. Nie zdziwiło mnie więc, że moi współpracownicy byli nastawieni negatywnie, a bezpośredni przełożeni zwyczajnie bali się odpowiedzialności (ponad sześć tygodni czekałem na instrukcje w tej sprawie). Wiedziałem wszakże, że mój pogląd znajdzie aprobatę na szczeblu politycznym i w ESDZ, i w Komisji (i tak się rzeczywiście stało). Więc działałem. Uznałem, że pojawiła się szansa uniknąć kolejnej fali powyborczej destabilizacji, czego doświadczała Armenia w ostatnich dwóch dekadach w życiu politycznym. A jeśli sprawujący władzę szczerze myśleli o modernizacyjnym odnowieniu elity władzy, to mogli zapewnić dla tego procesu niezbędną legitymizację.

Postawiłem władzom kilka warunków politycznych, wśród których najważniejszym był wymóg, aby zastosowanie technologii zostało uzgodnione przez rząd z opozycją. Długo się władze opierały, bo bały się, że ich dialog z opozycją zostanie potraktowany jako objaw słabości. Nie dowierzała władzy i opozycja. W końcu do bezpośredniego dialogu udało mi się doprowadzić. Miał wysoce poufny charakter. Negocjatorzy spotykali się po kryjomu, w prywatnych mieszkaniach. Na początku czerwca 2016 r. doszło do porozumienia. Bruksela potwierdziła gotowość wyasygnowania środków.

Ale w lipcu władze wycofały się z projektu. Decyzja miała wyłącznie polityczny charakter, choć posłużono się pretekstem, że na czas (czyli do wiosny 2017 r.) uzgodnionego systemu nie da się technicznie doprowadzić do użytku. Władza sugerowała przeprowadzenie wyborów na jej warunkach (tańszych w realizacji, ale odrzucanych przez opozycję). Wycofałem więc i nasze deklaracje wsparcia.

Pod koniec sierpnia władze wszakże niespodziewanie zmieniły front i zaproponowały rozwiązanie, które choć technicznie nie w pełni satysfakcjonujące, to zostało uzupełnione o upublicznienie list głosujących wyborców (postulat opozycji przez lata odrzucany przez rząd). I opozycja gotowa byłaby taki deal zaakceptować. Negocjacje wznowiono. Mimo mojego sceptycyzmu co do jego skuteczności, porozumienie osiągnięto. Tym razem to opozycji bardziej zależało niż rządowi na naszym finansowym wsparciu dla wyborów. I Unia dotrzymała słowa (dołożyły się też niektóre państwa członkowskie oraz USA). Bruksela wyasygnowała ponad 5 mln euro.

Technologia zadziałała bez szwanku, ale sposób przeprowadzenia wyborów zostawił spory niesmak. Władze na kilka tygodni przed datą wyborów spanikowały. W obawie przed porażką uruchomiły cały mechanizm korupcji wyborczej i nacisków administracyjnych. Wybory wygrały, choć nieczysto. Opozycja przyznała mi rację, że pochopnie poszła na układ z władzą. Ale po raz pierwszy od wielu lat ludzie po wyborach nie wyszli na ulice, nie demonstrowali sprzeciwu wobec wyników. I pchnęło to rządzącą partię do zachowań aroganckich. Odmówili nawet przedstawicielom Unii prawa do wyrażania krytycznej opinii o wyborach. Stałem się osobiście obiektem ich ataków. Sprawy zaszły bardzo daleko. Musiałem uwiadomić decydentów, że atakowanie Unii może obrócić się przeciw nim. I rzeczywiście opinia publiczna w tych publicznych polemikach jednoznacznie wzięła mnie w obronę. Władze przystopowały. Doszło nawet do tego, że

przygotowany już do druku wywiad z jednym z kierowników partii rządzącej w jednej z gazet, w którym to wywiadzie osobiście mnie atakowano, nie ujrzał światła dziennego. Papierowy nakład gazety, gdzie miał się ukazać, nie trafił do punktów sprzedaży.

Arogancja i nielojalność władzy zaszkodziła relacjom władzy z Unią i miała swoją cenę. Niespełnienie obietnic dotyczących walki z korupcją i reform doprowadziło wkrótce do zaprzestania przez Unię tzw. programów wsparcia budżetowego. Programy te były dla rządu armeńskiego zastrzykiem bezpośrednich transferów (wielu milionów euro) do budżetu państwa. Zabolało, bo musiało zboleć. Sytuację odmieniła dopiero welwetowa rewolucja w 2018 r. Unia wznowiła te programy wspierając reformatorskie poczynania nowego rządu.

Czasami sankcje wprowadza się z powodów politycznych, do których trudno wprost się przyznawać. Więc wprowadza się sankcje na tzw. głupa, czyli udając, że żadnymi sankcjami nie są. Takim ministerstwem spraw para-zagranicznych stał się w Rosji swego czasu Rospotrebnadzor. W ostatnich dwudziestu latach jego szef nie raz ogłaszał, że wina mołdawskie czy gruzińskie nie spełniają kryteriów jakościowych dla wwozu do Rosji. Jego decyzje miały przecież wyrażać niezadowolenie działaniami Gruzinów czy Mołdawian, bez nazywania tego sankcjami.

Wzorzec ten powielały ostatnio Chiny. Wprowadziły m.in. zaporowe cła na wina australijskie po tym, kiedy Australijczycy krytycznie wypowiedzieli się o postępowaniu władz chińskich w związku z epidemią COVID-19.

A Łukaszenka masowy i zorganizowany przemyt migrantów uczynił kontr sankcją wobec Unii Europejskiej.

Doktryną odruchową reagowania na nieprzyjazne akty drugiej strony jest w praktyce dyplomatycznej symetryzm. Oni nam wydalają dyplomatów (nawet jeśli mieli ku temu podstawy w postaci dowodów na ich niezgodne z akredytacją zachowania), to my im też (w równej liczbie). My wzywamy ambasadora na konsultacje, by zaprotestować przeciw ich niemiłym działaniom, to oni też mogą wezwać swojego, by podkreślić, że obraza jest wzajemna.

I generalnie, utarło się w praktyce politycznej nowoczesnych stosunków dyplomatycznych, aby dawać wyraz swojemu niezadowoleniu. Pisze się noty protestu, wzywa ambasadora na rozmowę, odwołuje zaplanowane wcześniej wizyty czy konsultacje, a w najlepszym razie tweetuje z odpowiednim komentarzem. Nawet jeśli dotyczy to faktów całkowicie niezamierzonych. Trzeba dawać wyraz. Są to bardzo często akty wyłącznie symboliczne, ale uznawane za niezbędne. Przede wszystkim z punktu widzenia odpowiedniej percepcji zachowania rządu przez własną opinię publiczną. Bo wymaga tego zasada suwerenności. W stosunkach między państwami sobie bliskimi, chociażby w rodzinie Unii Europejskiej, a nawet NATO, tego rodzaju akty rażą swoją nieadekwatnością. Co innego jeśli dotyczą one działań państwa, z którym stosunki są wrogie czy choćby napięte. Ale w ramach tej samej rodziny państw odwoływać szczyt z powodu publikacji karykatur w podrzędnej prywatnej gazecie? Wzywać ambasadora na dywanik z półgodzinnym wyprzedzeniem z powodu wypowiedzi opozycyjnych polityków w jego kraju? Taki neurotyzm to często oznaka zakompleksienia i niewyrobiaenia. Robienie gniewnych min staje się doktryną samą w sobie. Pamiętacie? Budzi znajome skojarzenia?

8. Doktryna Hallsteina i podobne

Mimo rosyjskiej aneksji Krymu w 2014 r. Ukraina nie zrywała stosunków dyplomatycznych z Rosją. Uczyniła to dopiero w lutym 2022 r., kiedy Rosja uznała oficjalnie separatystyczne republiki

donbaskie i rozpoczęła agresję. Natychmiast zerwała Ukraina relacje z Syrią, kiedy ta w czerwcu 2022 r. uznała niepodległość separatystów.

Wśród suwerennościowych imponderabiliów wysoko bowiem siłą tradycji umieszczono prawo do reprezentowania całości narodu konstytuującego bądź całości terytorium państwowego w sytuacji, kiedy na części terytorium dochodzi do aktu secesji bądź separacji. I grożą państwa sankcjami odwetowymi innym państwom, które secesjonistów legitymizują. Sankcje dotyczą zwyczajowo m.in. zrywania stosunków dyplomatycznych z państwami, które separatystyczne twory uznają. Tak jak obecnie Ukraina, wcześniej Gruzja wypowiedziała stosunki dyplomatyczne z Rosją czy Nikaraguą w 2008 r., gdy te uznały Abchazję i Osetię Południową. Ale Serbia kontynuowała relacje z państwami, które po 2008 r. uznały Kosowo. Są więc wyjątki.

W powojennej polityce europejskiej najbardziej znanym przejawem polityki dyplomatycznego bojkotu stała się doktryna Hallsteina. Jej ogólny sens wyłożył w przemówieniu na forum Bundestagu we wrześniu 1955 r. kanclerz Konrad Adenauer. Republika Federalna Niemiec ogłaszała, iż uznanie NRD lub nawiązanie z NRD stosunków dyplomatycznych zostanie potraktowane jako akt nieprzyjazny (*acte peu amical*). Jakie konsekwencje wyciągać będzie RFN z takiego aktu, nigdy nie sprecyzowano, choć zakładano, że sankcją ostateczną będzie zerwanie stosunków dyplomatycznych.

Doktryna czyniła wyjątek dla relacji z ZSRR, co uzasadniano statusem ZSRR jako mocarstwa okupacyjnego. U swych podstaw była więc doktryną niekonsekwentną.

Doktrynę obmyślono ponoć w drodze powrotnej delegacji RFN na czele z Adenauerem z Moskwy w 1955 r., kiedy nawiązanie stosunków dyplomatycznych z ZSRR uzgodniono. Polityczna epifania wynikała z potrzeby wytłumaczenia się z uległości wobec Sowietów. I to wtedy myśl przewodnią doktryny opisał w rozmowie z Walterem Hallsteinem, ówczesnym sekretarzem stanu w MSZ, dyrektor polityczny Wilhelm Greve. Jest doktryna kolejnym przykładem siły myślenia koncepcyjnego urzędnika. Próbował swoje trzy grosze dorzucić Heinrich von Brentano, minister spraw zagranicznych, ale autorstwo przyłgnęło do Hallsteina, choć to podobno Greve zasłużył tak naprawdę na prawa autorskie.

Od początku istnienia Republika Federalna Niemiec rościła sobie prawa do reprezentowania całości Niemiec. Kiedy więc w 1954 r. ZSRR nawiązał pełne stosunki dyplomatyczne z NRD, rząd Adenauera z całą mocą akt ten odrzucił. Nie uznał ani NRD, ani też nie wstąpił w relacje dyplomatyczne z państwami socjalistycznymi, które NRD uznały za pełnoprawny podmiot stosunków międzynarodowych. Musiał więc konsekwentnie blokować próby NRD wychodzenia na arenę międzynarodową i legitymizowania podmiotowości. Miał za sobą poparcie zachodnich mocarstw. Tolerował rząd RFN fakt otwierania przez NRD przedstawicielstw handlowych w innych państwach, zawierania umów o charakterze handlowym, ale przestrzegał przed skutkami prób udzielania zgody na tworzenie konsulatów generalnych (choć Egipt wybrnął z problemu, zastrzegając przy wydaniu egzekwatur dla konsula NRD, że nie oznaczało to uznania NRD).

Doktrynę stosowano w praktyce jednak doraźnie. Bonn zerwał stosunki dyplomatyczne z Jugosławią w 1957 r. oraz z Kubą w 1963 r., po tym jak nawiązały te państwa relacje dyplomatyczne z NRD. Kiedy w 1960 r. Gwinea mianowała swojego ambasadora przy władzach NRD, rząd RFN odwołał natychmiast swojego, wymuszając od Gwinejczyków oświadczenie, że żadnego ambasadora do Berlina nie wysyłali, a ambasadora NRD w ich kraju nie było i nie będzie.

Konsekwencji w stosowaniu doktryny wszakże nie było. W 1967 r. RFN nawiązała stosunki dyplomatyczne z Rumunią, a w 1968 r. odnowiła je z Jugosławią. Argumentowała przy tym, że państwa owe zostały do uznania NRD zmuszone (przez ZSRR), a ich decyzje nie miały suwerennego charakteru. Ale podobnej presumpcji w stosunku do innych państw obozu socjalistycznego nie zastosowano. Żadne konsekwencje nie spotkały też Kambodżę, kiedy w 1969

r. uznała NRD. Po wojnie sześciodniowej 1967 r. państwa arabskie nawiązały relacje z NRD w akcie wdzięczności za poparcie ich stanowiska. Też bez konsekwencji.

ZSRR akurat w sprawie uznania NRD Polski zmuszać nie musiał. Nawet jeśli w głowach wielu peerelowskich dyplomatów, na akty takiego zmuszania istniało pełne przyzwolenie. Jeszcze w 1988 r. zetknąłem się osobiście z kuriozalną doktryną wydeklamowaną mi przez jednego z ówczesnych urzędników szczebla kierowniczego w MSZ PRL. Dostałem do zaopiniowania projekt jakiegoś roboczego wspólnego dokumentu polsko-sowieckiego. Zwróciłem m.in. uwagę, że, zgodnie z obowiązującymi regułami, w polskim tekście Polska winna zawsze być wymieniana przed ZSRR. Tak stanowi tzw. zasada alternatu. Usłyszałem wtedy odpowiedź: „W stosunkach polsko-radzieckich zasada alternatu nie obowiązuje”. Zabrzmiało to jako ponury żart, bo ona oczywiście w PRL zawsze, nawet w czasach stalinowskich, obowiązywała. Oddawała wszakże owa replika, nawet jeśli czyniona żartem, niestety stan mentalności niektórych naszych dyplomatów tamtych czasów. Jej autor zresztą zdążył zostać za III RP ambasadorem w jednym z państw postsowieckich.

Państwa zachodnie, nawet te pozostające z RFN w najlepszej komitywie, jak choćby Francja, państw uznających NRD akurat z tego powodu fumami nie obdarzały.

Doktryna pozostała jedynie symbolicznym wyrazem pozycji prawnych RFN. Wymogi bieżącej polityki okazały się silniejsze od jej praktycznej wiarygodności. Nie pierwszy to przypadek, kiedy polityka zatriumfowała nad gorsetem zasad.

Kres doktrynie zadała Ostpolitik Willy'ego Brandta. RFN znormalizowała relacje z Polską i innymi państwami socjalistycznymi. *Grundlagenvertrag* między RFN i NRD z 1972 r. ostatecznie wykluczał uzurpowanie sobie przez jedno z państw niemieckich prawa do reprezentowania drugiego państwa niemieckiego. Tak, *fix und fertig*, nowy format relacji między państwami niemieckimi stał się faktem.

Doktryna Hallsteina była wyrazem polityki „jednych Niemiec”, kontestowanej przez NRD. Polityka „jednych Chin” praktykowana zarówno przez Chińską Republikę Ludową, jak i Tajwan, skutki w praktyce dyplomatycznej i politycznej ma podobne, choć wynikają one z odmiennego interpretowania doktryny „jednych Chin” przez obie strony.

Od 1949 r. zarówno ChRL, jak i Republika Chińska (Tajwan) rościły sobie prawa do wyłącznego/prawowitego reprezentowania „jednych Chin”. Początkowo to właśnie władze Tajwanu, które zajmowały chińskie miejsce w ONZ i innych organizacjach międzynarodowych, wprowadziły praktykę zrywania stosunków dyplomatycznych z państwami, które uznały powstanie ChRL i nawiązywały z nią relacje dyplomatyczne. Liczba państw, które uznawały ChRL, nieustannie jednak rosła. Uznawały ChRL nie tylko państwa socjalistyczne, ale większość państw rozwijających się. A Tajwan, konsekwentnie realizując doktrynę zrywania z nimi stosunków, popadał w coraz większą izolację.

W 1971 r. doszło do przełomowej decyzji Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Mimo sprzeciwu USA (wspieranych przez Japonię, Brazylię, Filipiny, Australię i inne państwa, głównie Ameryki Środkowej i Południowej oraz Afryki subsaharyjskiej) wniesiony przez Albanę projekt restytucji praw ChRL w organizacji uzyskał niezbędną większość 2/3 głosów. Chińscy komuniści zajęli miejsce Chin w ONZ i organizacjach jej systemu. W 1972 r. nawiązała relacje z ChRL Japonia, a chińsko-amerykański tzw. komunikat szanghajski podczas wizyty prezydenta Nixona w Chinach w 1972 r. sygnalizował nieuchronność nawiązania stosunków dyplomatycznych USA z Chinami, co nastąpiło z początkiem 1979 r. Władze tajwańskie musiały pogodzić się z ich wypychaniem z obiegu międzynarodowego. To teraz ChRL domagała się od swoich partnerów zaprzestania stosunków z tzw. Republiką Chińską. Tajwan mógł jedynie liczyć na możliwość reprezentowania swoich interesów przez tzw. przedstawicielstwa handlowo-kulturalne. A w niektórych przypadkach

zwyczajnie podkupować biedniejszych członków wspólnoty międzynarodowej, aby stosunków dyplomatycznych nie zrywały.

Na początku trzeciej dekady nowego milenium ledwie kilkanaście państw (w tym Watykan) utrzymywało stosunki dyplomatyczne z Tajwanem, ale aż ponad pół setki (w tym Polska i Unia Europejska) ma w Tajpej przedstawicielstwa o charakterze gospodarczo-handlowym. Kiedy jednak jesienią 2021 r. Litwa pozwoliła na otwarcie Biura, które w nazwie zamiast zwyczajowego "Tajpej" miało słowo "Tajwan", Chiny odpowiedziały obniżeniem rangi stosunków dyplomatycznych z Litwą i sankcjami administracyjno-handlowymi.

Zjednoczenie Chin pozostaje absolutnym priorytetem władz ChRL. W ramach tej polityki doszło do zdławienia demokracji w Hongkongu, mimo składanych deklaracji o wierności formule „jeden kraj, dwa systemy”. Czy próba wchłonięcia Tajwanu stanie się zarzewiem nowej wojny światowej? Czy zdecydowana reakcja Zachodu na rosyjską agresję wobec Ukrainy ochłodziła zapal do siłowego rozwiązania kwestii tajwańskiej? Tajwan stał się niewątpliwie (obok Korei i Izraela) najczulszym indykatorem spolegliwości amerykańskich rękami bezpieczeństwa.

W 2020 r. kiedy Azerbejdżan podjął działania wojskowe mające na celu odbicie Górskiego Karabachu, znaleźli się komentatorzy, także w Polsce, którzy otwarcie przyznawali mu moralną, polityczną rację, bo chciał odzyskać terytorium własne, mimo iż zobowiązywał się wcześniej do pokojowego rozstrzygnięcia sporu. I jesienią 2023 r. dopiął bezapelacyjnie swego zajmując militarnie enklawę. Czy wszakże nasi komentatorzy konsekwentnie wsparliby Pekin, gdyby ten zdecydował się na militarne rozwiązanie problemu tajwańskiego, zwłaszcza jeśli USA w imię solidarności sojuszniczej poprosili Polskę o polityczne wsparcie w obronie Tajwanu?

*

Interesującą odmianą dyplomatycznego bojkotu była tzw. doktryna Betancourta, sformułowana w końcu lat pięćdziesiątych XX w., zgodnie z którą Wenezuela zrywała stosunki dyplomatyczne z państwami niedemokratycznymi, a zwłaszcza z juntami militarnymi, które do władzy doszły drogą przewrotu. Stosowano ją wszakże bardzo krótko i w zasadzie wyłącznie w odniesieniu do państw Ameryki Łacińskiej (choć dotknęła ona też relacji z Hiszpanią). Być może, kiedy obóz demokracji w świecie będzie już na tyle powszechny, że państwa opresyjne staną się prawdziwymi wyjątkami, ktoś sobie o niej przypomni.

9. Bojkot i ostracyzm: casus Izraela

W 2004 roku w roli dyrektora Departamentu Planowania Polityki Zagranicznej w MSZ odbywałem turę konsultacji na Bliskim Wschodzie. Z Syrii miałem polecieć do Izraela, gdzie czekał na mnie Adam D. Rotfeld, który jako sekretarz stanu w MSZ miał tam przeprowadzić rozmowy. Po spotkaniach w Damaszku udałem się pod opieką pracownika ambasady na lotnisko. Tam przy kontuarze rejestracyjnym na lot cypryjskimi liniami lotniczymi do Larnaki (na Cyprze) okazałem bilet (jeszcze wtedy bilety lotnicze wypisywano na blankietach książeczkowych, mój był prawdziwą książeczką, bo miejsc odwiedzałem kilka). A pani z śmiertelną powagą zareagowała po chwili: „Na ten bilet Pan do Larnaki nie polecie”. Zdębiałem: „Ależ dlaczego, proszę Pani?”. „Bo bilet zawiera na tej samej stronie, gdzie Pana destynacja, czyli Larnaka, także nazwę miejsca, które w ogóle nie istnieje. A przez to cały bilet traci ważność”. „Ale dlaczego? Why? Why?” - dopytywałem się jak niesforna poczemuszka. Bez skutku.

Okazało się, że tym miejscem w moim bilecie, które „nie istnieje”, jest Tel Awiw, do którego miałem polecieć z Larnaki. Musieliśmy wykupić nowy bilet na trasie Damaszek-Larnaka i jeszcze tym samym rejsem udałem się w dalszą podróż. Tak przekonałem się na własnej skórze, że bojkot polityczny może rozciągać się do granic negocjowania fizycznych miejsc na mapie świata.

Do Tel Awiwu dotarłem bezpiecznie. Kismet (a może raczej *masir*) tak chciał, mimo dyskomfortu i dodatkowych kosztów doświadczonych przy wylocie z Damaszku.

Arabski bojkot Izraela rozpoczął się na dobrą sprawę jeszcze przed proklamowaniem państwa Izrael. Arabskie organizacje palestyńskie wzywały do ekonomicznego sabotowania przedsiębiorców żydowskich na terenie mandatowym, chcąc nie tylko powstrzymać napływ osadników żydowskich, ale wymuszać żydowską emigrację, bez większego powodzenia wszakże. Jeszcze w grudniu 1945 r. nowo powstała Liga Arabska zadekretowała zbiorowy bojkot gospodarczy. Z proklamowaniem niepodległości Izraela bojkot ten przybrał charakter systemowy. Zakładał on nieuznanie państwa Izrael, zakaz połączeń lotniczych oraz przelotów izraelskich linii lotniczych nad terytorium państw arabskich, zakaz lotów państw trzecich w połączeniach do i z Izraela, zablokowanie połączeń lądowych. Wprowadzono trójpiętrowy system bojkotu handlowo-gospodarczego. Obowiązywał totalny zakaz sprowadzania towarów izraelskich do państw arabskich. Objęto bojkotem wszystkie firmy państw trzecich robiące biznes w Izraelu. A na najwyższym poziomie wpisywano na czarną listę przedsiębiorstwa handlujące z firmami zaangażowanymi w działalność gospodarczą w Izraelu.

Arabski bojkot gospodarczy kruszył się z czasem, a od czasu traktatu pokojowego Izraela z Egiptem w 1979 r. wyłom szedł za wyłomem. Po traktacie z Jordanią w 1994 r. bojkot stracił swój systemowy charakter. Wtedy też arabskie państwa Zatoki Perskiej ogłosiły zaprzestanie tzw. wtórnego bojkotu.

Znoszenie bojkotu stało się częścią procesu normalizacji relacji dwustronnych z Izraelem. Zjednoczone Emiraty Arabskie, Bahrajn, Maroko, Algieria czy Tunezja bądź formalnie zniosły bądź zapewniają o jego niestosowaniu. Nigdy nie stosowała go Mauretania (choć bojkotowała Izrael politycznie). Nadal jednak działa Biuro Ligi Arabskiej ds. Bojkotu, a kilkanaście państw arabskich uczestniczy w regularnych spotkaniach koordynacyjnych. Najbardziej nieprzejednana i boczasta pozostaje Syria.

Utrzymuje się wszakże bojkot dyplomatyczny. Prawie trzydzieści państw członkowskich ONZ nadal nie uznaje Izraela. Są w tym gronie nie tylko państwa arabskie, ale i dziesięć państw członków Organizacji Współpracy Islamskiej (w tym oczywiście i Iran, ale też Pakistan, Bangladesz czy Indonezja), o Kubie, KRLD czy Wenezueli nie wspominając. Przez prawie czterdzieści lat Izrael z powodu islamskiego bojkotu nie był dołączony do żadnej z grup regionalnych w systemie ONZ (geograficznie jego miejscem byłaby grupa azjatycko-pacyficzna). Dopiero na początku obecnego milenium kooptowano Izrael do grupy WEOG (państw zachodnich i europejskich).

Kilkanaście państw nie uznaje paszportów Izraela, nie pozwala swoim obywatelom na podróże do Izraela, a nawet nie honoruje paszportów państw trzecich, w których postawiono izraelską pieczęć wjazdową czy wstawiono izraelską wizę. Nie zezwala izraelskim sportowcom uczestniczyć w imprezach na ich terytorium, a jeśli zezwala, to zabrania pokazywania izraelskiej flagi i grania jego hymnu. Zakazuje nawet rozgrywania pojedynków ze sportowcami Izraela. Stosuje bojkot kulturalny i naukowy.

Nota bene, nawet w Egipcie, gdzie przez lata funkcjonowała i funkcjonuje izraelska ambasada, izraelska flaga swobodnie powiewać nie zawsze mogła. Przekonałem się o tym w 1995 r., kiedy z ramienia Sekretariatu OBWE jako szef departamentu organizowałem w Kairze seminarium w ramach partnerstwa śródziemnomorskiego. Wieczorem poprzedzającym rozpoczęcie konferencji

inspekcjonowaliśmy salę obrad (w części konferencyjnej obiektu znanej zachodniej sieci hotelowej). Wszystko było ok. Salę zamknęliśmy na klucz. Następnego ranka pojawił się poważny problem. Z wielkiej ekspozycji flag państwowych za prezydium konferencji (ponad pięćdziesiąt flag państw OBWE plus odrębnie sześć flag partnerów śródziemnomorskich w porządku alfabetycznym) zginęła flaga Izraela. Skandal. Delegacja Izraela bez niej miała prawo nie chcieć rozpocząć obrad. Po dłuższych oględzinach gdzieś tam tę flagę jednak odnaleźliśmy. Jedna z osób wtajemniczonych wyjaśniła: „Niech sobie wisi, byle nie po sąsiedzku z flagą Egiptu”. Bo akurat tak miała wisieć, co wynikało z kolejności alfabetycznej partnerów śródziemnomorskich. Nie sama flaga więc przeszkadzała, lecz jej obecność w arabskim sąsiedztwie.

Izrael z bojkotem dawał sobie skutecznie radę. Wymiar gospodarczy bojkotu większych szkód, sądząc po dynamice wzrostu rozwojowego, nie wyrządził. Stany Zjednoczone zwalczały konsekwentnie bojkot pośredni firm amerykańskich robiących interesy z Izraelem. Państwa arabskie i islamskie musiały się tym liczyć. Znosząc w praktyce bojkot gospodarczy Izraela tylko na tym zyskiwały.

Nieuznawanie istnienia państwa Izrael, bądź co bądź powstałego na mocy decyzji ONZ i będącego członkiem organizacji, jest skrajnym przejawem politycznego zapamiętania, zaparcia i zacierzenia. Na politykę Izraela wpływ miało ograniczony. Uzasadniło jedynie posługiwanie się w jego wyborach argumentacją wysoce niekiedy egzystencjalną. I przekonującą. A amerykański parasol polityczny dawał poczucie co najmniej dyplomatycznego bezpieczeństwa. Prędzej czy później nawet najbardziej zatwardziały establishment w państwach arabskich i islamskich muszą istnienie Izraela przyjmować do wiadomości. Choćby nie wiem jak trwały okazał się antyizraelski engram w tożsamości politycznej i społecznej Arabów. W sferze symbolicznej bojkot totalny jest anachronizmem. Niezależnie od powodów politycznych, ostrości sporu z Izraelem i skali niezgody z jego bieżącą polityką.

Turcja nigdy nie uznała rozbiorów Polski, ale nie przeszkadzało jej to przecież utrzymywać stosunków, czy wręcz się przyjaźnić z naszymi oprawcami. Stany Zjednoczone nigdy nie uznały inkorporacji Litwy, Łotwy i Estonii do ZSRR, ale nie wzbraniały swoim obywatelom tam podróżować.

A już przejawem politycznej schizofrenii jest głosowanie przez państwa nieuznające istnienia Izraela za rezolucjami (a nawet przyłączanie się do nich na zasadzie współautorstwa), które Izrael na forum ONZ potępiają. Bo jak logicznie można krytykować coś (kogoś), co (kto) nie istnieje.

10. El bloqueo

Kontynuując przegląd doktryn polityki zagranicznej polegających na reagowaniu na zachowania innych państw poprzez stosowanie środków restrykcyjnych, przestudiujemy ciekawy casus amerykańskich sankcji wobec Kuby.

Amerykański bojkot Kuby jest dobrym przykładem reakcji w swoich źródłach geopolitycznej, która, mimo braku efektów na przestrzeni ponad pół wieku, przerosła w postawę podyktowaną w dużej mierze względami zabiegania o głosy kubańskiej diaspory politycznej, a nie interesami polityki zagranicznej.

Jeszcze w 1958 r. USA wprowadziły embargo na dostawy broni na Kubę, bardziej szkodząc reżimowi Bautisty niż partyzantom Castro. A po zwycięstwie rewolucji dało embargo pretekst nowej władzy, by zwrócić się do ZSRR o zaopatrzenie militarne. Latem 1960 r. Amerykanie

zredukowali znacznie kwotę importu kubańskiego cukru, co Castro potraktował jako akt wrogi (i znów pomogli Sowieci, wykupując nadwyżki kubańskiego cukru). Kiedy więc w październiku 1960 r. Amerykanie zaprzestali dostaw ropy naftowej na wyspę, Castro oczywiście mógł liczyć na wypełnienie luki przez ropę sowiecką. Tej wszakże odmówiły przerabiać znajdujące się w amerykańskich rękach rafinerie. Rewolucyjne władze kubańskie znacjonalizowały więc (bez rekompensaty) amerykańskie rafinerie naftowe, a Stany Zjednoczone wprowadziły pierwsze embargo na eksport wszelkich towarów amerykańskich (poza żywnością i lekarstwami) na Kubę. Kubańczycy poszli więc na całość i znacjonalizowali wszystkie amerykańskie firmy.

USA zerwały na początku 1961 r. stosunki dyplomatyczne i doprowadziły do wykluczenia Kuby z Organizacji Państw Amerykańskich (wróciła tam w 2009 r.); wywierały też presję na wprowadzenie w ramach Organizacji sankcji wielostronnych (obowiązywały w latach 1964-1975). Po fiasku operacji w Zatoce Świń w kwietniu 1961 r., stosunki zaogniły się jeszcze bardziej. W 1962 r. prezydent Kennedy kilkakrotnie rozszerzał zakres sankcji, które przewidywały wtedy całkowite embargo na handel z Kubą (z wyjątkiem dostaw żywności i lekarstw). Po kryzysie raketowym na jesieni 1962 r. wprowadzono zakaz podróży Amerykanów na Kubę. A Kubańczycy amerykańskie embargo nazywają do dziś „el bloqueo”.

Do amerykańskich sankcji wobec Kuby, mimo niesłabnących wysiłków kolejnych administracji, nie chcieli przyłączyć się europejscy sojusznicy, podobnie jak państwa rozwijające się. Ameryka pozostała samotna w swoim antykubańskim zaperzeniu. W 1992 r. po raz pierwszy Zgromadzenie Ogólne ONZ przyjęło rezolucję krytykującą embargo. I weszło to już w zwyczajową rutynę obnażającą amerykańską izolację polityczną (cóż z tego, że dołączał do USA w głosowaniu przeciw rezolucjom jedyny komiliton, czyli Izrael, a wstrzymywały się od głosu Wyspy Marshalla czy Palau). USA, jak w żadnej innej kwestii na forum ONZ, czuły się boleśnie osamotnione.

Kubańskie embargo zachęcało krytyków polityki amerykańskiej do używania go jako koronnego dowodu na hipokryzję polityki amerykańskiej, która pozwala dławić maleńką wyspę i jej mieszkańców, a jednocześnie oferuje wsparcie i komitywę w niczym nie lepszych od braci Castro i ich następców dyktatorów i oprawców (Duvalierów, Pinochetów, Marcosów i innych). Władzom kubańskim dawało embargo wymówkę w tłumaczeniu gospodarczych niepowodzeń i ograniczaniu swobód obywatelskich.

Prezydent Obama sankcje złagodził. Wznowiono stosunki dyplomatyczne, a w 2015 r. doszło do pierwszego amerykańsko-kubańskiego spotkania na szczycie po przeszło pół wieku. Ale do zasadniczego przełomu jeszcze daleko. Utrzymują się ograniczenia podróży dla obywateli amerykańskich i embargo gospodarcze. Prezydent Trump zresztą niektóre z decyzji Obamy luzujących sankcje odwrócił. Kluczowe są w opinii ekspertów wewnętrzne uwarunkowania polityki amerykańskiej. Każdy polityk amerykański zabiegający w wyborach prezydenckich o poparcie Florydy, musi liczyć się z opinią wpływowego lobby kubańskiego, a lobby to domaga się polityki twardej i nieustępliwej.

Wpływ embargo na pozycję międzynarodową Kuby był żaden. W niczym też nie osłabił władzy reżimu. Komunistyczny kobold przy życiu trwa, co prawda już nie w tym zdrowiu, co kiedyś, i choć bez zdolności do złośliwego rozrabiania, jak choćby kiedyś w Afryce (Angola, Mozambik, Etiopia), to Amerykę drażni. I to w imię tego drażnienia Kuba popiera Rosję, w tym jej agresję na Ukrainie.

Pozostaje embargo symbolicznym wyrazem niepokodzenia się z rewolucją kubańską. Mimo oczywistych strat dla amerykańskiego wizerunku, jest bojkot jednak dla światowego supermocarstwa znośnym obciążeniem. Postrzega się go w wymiarze koncepcyjnym jako przeżytek, bo uderza w Bogu czasem winnych obywateli, zamiast dotykać elity rządzącej. Jedyną

otuchą dla władz USA jest to, że reżim komunistyczny na Kubie prędzej czy później musi upaść, a wtedy można będzie orzec, że embargo służyło dobrej sprawie. *Finis coronat opus*.

11. Retorsja za obrazę: przypadek turecki

Porażka Rosji na Ukrainie, jej polityczna, wojskowa i ekonomiczna prostracja, stworzyłaby szansę na zasadniczą przebudowę geopolitycznych parametrów na postsowieckiej przestrzeni, w tym na Kaukazie Południowym. Aby tak się stało, konieczne jest nie tylko ustanowienie trwałego pokoju między Armenią i Azerbejdżanem, ale także odpowiedzialne zachowanie Turcji. Jednym z jego istotnych elementów winno stać się doprowadzenie do pojednania turecko-ormiańskiego.

W polityce zagranicznej Turcji odruchem Pawłowa jest czasowe zamrażanie relacji z państwami, które uznają ludobójstwo Ormian. Czasami zamrożenie jest głębsze, czasami płytsze, czasami dotyczy wyłącznie wypowiedzi liderów, jak choćby w 2021 roku po oświadczeniu Prezydenta Joe Bidena oddającym cześć ofiarom ludobójstwa. Posłano Bidena na korepetycje z historii, ale na większe dąsy pozwolić sobie Turcja nie mogła, bo i tak bez tego zdążyła sobie popsuć relacje z Amerykanami. Turcja toleruje wypowiedzi, które odwołują się do tragedii Ormian, ale użycie samego terminu „ludobójstwo” samoczynnie wyzwala u władz stan obrazy, *lèse-majesté* do sześcianu.

Ta turecka dysforia dotknęła także relacji z Polską. W kwietniu 2005 r. upamiętnił ludobójstwo Ormian polski Sejm. Marszałek Sejmu Włodzimierz Cimoszewicz przeprowadził uchwałę z nagłą, bez dyskusji i drogą aklamacji. Co było i tak z tureckiego punktu widzenia najbardziej bezbolesnym trybem postępowania, biorąc pod uwagę, że uchwałę zastopować by się nie dało. Turcy naburmuszyli się, a chciałoby się nawet rzec – rozindyczyli, gdyby nie o nich tu chodziło, bezkonkurencyjnie. Wydali oświadczenie, odwołali zaplanowane spotkania i wizyty. Wiedzieliśmy wszakże, że im po pół roku przejdzie. I przeszło. Ale, bo partner dla was ważny, wykonywaliśmy gesty pojednawcze w międzyczasie. Towarzyszyłem m.in. ministrowi Rotfeldowi, kiedy próbował odbudowywać mosty z ministrem spraw zagranicznych Abdullahem Gulem podczas sesji ministerialnej NATO w Wilnie. Jednak Włodzimierzowi Cimoszewiczowi zapamiętali. I kiedy w 2009 r. kandydował na stanowisko Sekretarza Generalnego Rady Europy, posłużyli się sejmową uchwałą jako pretekstem, by na niego nie głosować. Bo powody były inne, polityczne.

Kampania wyborcza Cimoszewicza kosztowała mnie jako polskiego ambasadora przy Radzie Europy w 2009 r. morze znojnego potu, stągiew kwaśnej frustracji, ale dała wgląd w najbardziej niedostępne tajniki robienia polityki wyborczej w organizacjach międzynarodowych.

O zamiarze zgłoszenia polskiej kandydatury poinformował mnie przedstawiciel kierownictwa MSZ na 48 godzin przed upływem terminu. I nie chciał zdradzić ewentualnego nazwiska. Nie wyglądało to jako wyraz nadmiaru zaufania do mnie, ale mniejsza o to, bo było to przede wszystkim samobójem wobec samego kandydata. Od początku komuś chodziło, żeby przegrał? Gdybym wiedział, że tym kandydatem miał być Cimoszewicz, kategorycznie bym odradzał. Polskiego kandydata można było zgłaszać, ale nie w ostatniej chwili, gdy dwa wiodące obozy polityczne w Zgromadzeniu Parlamentarnym RE, czyli socjaliści i ludowcy, już określili się co do swoich faworytów. Można było zgłaszać, ale nie socjalistę, bo ludowcy jako największa grupa parlamentarna po 5 latach chcieli odzyskać urząd. A zgłaszał kandydata polski rząd koalicyjny, którego partie wchodziły w skład frakcji EPP. Czyli zgłaszali ludowcy socjalistę przeciw przyklepanemu już wewnątrz ludowcowi – Lucowi van den Brande. Kiedy, już po oficjalnym zgłoszeniu Cimoszewicza, pewien polski pierwszoligowy polityk, już wtedy w stanie spoczynku,

zapytał mnie o szanse naszego kandydata, odpowiedziałem uczciwie: „5 procent. Ale jeśli uda nam się zatrzymać Van den Brande w Komitecie Ministrów, nasze szanse wzrosną do 40 procent”.

Van den Brande nie otrzymał rekomendacji Komitetu Ministrów na szczeblu ambasadorów (do czego walnie się przyczyniliśmy), ale oczywiście nie chciał się z tym pogodzić. Wysłał samego ministra spraw zagranicznych Belgii do Madrytu na sesję ministerialną w kwietniu 2009 r. na stracący bój w celu zatrzymania eliminującej Van den Brande decyzji. I robił krecią robotę pod polską kandydaturą, traktując ją jako polski sabotaż wewnętrzny. A działo się to jeszcze w sytuacji, kiedy polskim priorytetem wyborczym było zapewnienie elekcji Jerzego Buzka na funkcję przewodniczącego Parlamentu Europejskiego. Cimoszewicz lojalnie zapowiedział, że kandydaturę wycofa, jeśli może ona skomplikować wybór Buzka. Na całe szczęście nie skomplikowała. Van den Brande nie rezygnował do końca, poddał się dopiero wieczorem w przeddzień ostatecznego głosowania w Zgromadzeniu Parlamentarnym we wrześniu 2009 r. Kiedy jednak wezwał swoją frakcję, by głosowała na Cimoszewicza, mało kto go posłuchał, tak wcześniej zostali jego atakami na Cimoszewicza skołowani.

Współpraca z naszym kandydatem w trakcie kampanii była pod każdym względem przyjemnością. Opracowaliśmy, niech wystawię się na słuszny zarzut samochwalstwa (jak mawiał fantomowy geniusz Jara Cimrman: "Nepochválím-li se sám, nikdo to za mne neudělá"), szczegółowy i przebojowy program. Finałny kontrkandydat Cimoszewicza - Jagland już po wyborze zaczął ten program realizować (m.in. w sferze budżetowej i administracyjnej), bo własnych pomysłów zwyczajnie nie posiadał. A sam Cimoszewicz rozkręcał się z kampanijnego spotkania na spotkanie budząc popłoch u gasnących w szarościach rywali.

Ale jak mawia artysta: co zrobisz, jak nic nie zrobisz, no co zrobisz? To, że Turcy nie chcieli naszego kandydata nie dziwiło, bo był on autentycznym zagrożeniem dla państw, którym coraz bardziej było nie po drodze ze standardami Rady Europy w dziedzinie praworządności czy demokracji.

Uformował się „mroczny sojusz” na czele z Turcją i Rosją, do którego przymknęli mniejsi czy więksi zwolennicy bardziej wyrozumiałego spojrzenia na ich zamordystyczną lub mafijną politykę (partia regionów Janukowicza, kleptokraci rządzący w Azerbejdżanie, Armenii, kacykowaci liderzy bałkańscy). A kontrkandydat – Thorbjorn Jagland nie krył swojej sympatii i do Erdogana, i do Putina. Poparli go znani z dyscypliny frakcyjnej socjaliści i komuniści. Bo zresztą co za socjalista i postkomunista był z Cimoszewicza, jeśli zgłaszali go chadecy?

A jeszcze do tego niektórzy decydenci i urzędnicy w polskim MSZ uznali, że wybór Cimoszewicza jest niemal przesądzony, bo przecież tyle spłynęło deklaracji poparcia. I niewiele w sensie programowym i lobbingsowym robili (choć zespół kuwady uwidocznił się u nich pierwszorzędnie). Jakby nie wiedzieli, że w podobnych wyborach, kiedy decydują parlamentarzyści, a nie rządy, takie deklaracje niewiele kosztują. Zaczęli więc popadać w papkinadę, a momentami wręcz lewitować. A mnie się, mimo, że to Stałe Przedstawicielstwo w Strasburgu wykonywało większość prac merytorycznych i lobbystycznych, dostawało za czarnowidztwo. Wynik głosowania rzeczywiście przewidziałem (wręcz wyliczyłem).

Cimoszewicz przegrał wyraźnie. Nie pierwszy raz lepszy kandydat przegrał. Po ponad dekadzie można tylko z jeszcze większym przekonaniem potwierdzić, że szkoda dla Rady Europy wielka.

Turcja do chwili obecnej nie znormalizowała stosunków z Armenią. Ludobójstwo Ormian 1915 r. jest faktem historycznym. W pogromach, masakrach, deportacjach, marszach głodowych zginęło wtedy do półtora miliona Ormian. Ciepienia te są dobrze udokumentowane. To one zainspirowały Rafała Lemkina do opracowania konwencji przeciw ludobójstwu. To z tragedii Ormian narodził się sam termin ludobójstwo.

Oficjalne kręgi Turcji nadal tkwią w zaprzeczeniu. Obowiązująca doktryna nie kwestionuje śmierci i dyslokacji Ormian. Traktuje je jako część wspólnych cierpień mieszkańców Turcji w czasie I wojny światowej (chorób, głodu), zaniża rozmiary, szuka usprawiedliwienia w nielojalności Ormian. Większość państw zachodnich przyjęła deklaracje polityczne (a nawet akty prawne), które ludobójstwo Ormian upamiętniają. Nie wszystkie wszakże. Dla niektórych z nich bieżące wymogi poprawnego ułożenia sobie relacji z Turcją biorą górę nad oddaniem hołdu ofiarom historii. Ciekawy jest w tym względzie przypadek Izraela. Kilkakrotne próby przeprowadzenia przez Kneset rezolucji dotyczącej ludobójstwa Ormian kończyły się niepowodzeniem. Holocaust był przypadkiem niewątpliwie szczególnym, ale przecież nie jedynym aktem ludobójstwa we współczesnej historii świata. Nabieranie w tej sprawie wody w usta przez Izrael nabiera dwuznacznej wymowy.

Opór Turcji przed stawieniem czoła historii nie jest przypadkiem odosobnionym. Koreańczycy i Chińczycy oczekują do dziś na odważniejsze przejawy pokajania się Japonii za popełniane wobec tych narodów zbrodnie. Ale jest Turcja przypadkiem zaparcia totalnego przez winowajcę. A na historyczną blokadę nakładały się komplikacje wynikające z konfliktu karabaskiego.

Turcja uznała niepodległość Armenii w 1991 r., ale nie nawiązała stosunków dyplomatycznych. W 1993 r. na tle konfliktu karabaskiego zamknęła granice lądowe z Armenią. Wprowadziła embargo handlowe. Na początku obecnego milenium zdjęła restrykcje na wjazd obywateli Armenii. I przebywa ich tam kilkadziesiąt tysięcy jako tolerowanych migrantów ekonomicznych. Zezwolono także na przeloty lotnicze między oboma krajami. Za pośrednictwem „podwójnych” list przewozowych prowadzony jest handel w ominięcie embargo tureckiego.

W październiku 2009 r. po dwóch latach intensywnych zabiegów doszło do uzgodnienia tzw. protokołów zuryskich, które przewidywały stopniową normalizację relacji. Tureckie władze wszakże, pod widocznym naciskiem Azerbejdżanu, uzależniły ich wejście w życie od uregulowania konfliktu karabaskiego. Armenia czekała, czekała, aż w 2018 r. protokoły uznała za niebyłe.

Wojna 44-dniowa w 2020 r. w Górskim Karabachu skomplikowała relacje jeszcze bardziej. Armenia oskarżyła Turcję o bezpośrednie zaangażowanie militarne po stronie Azerbejdżanu. Pojawiły się tam wezwania do całkowitego bojkotu towarów pochodzących z Turcji. Władze Armenii wszakże wysłały w 2021 r. czytelny sygnał gotowości do rozmów z Turcją w sprawie normalizacji stosunków. Negocjacje postępują, ale Turcy wyraźnie uzależniają je od procesu pokojowego między Armenią i Azerbejdżanem. Na początku października 2022 r. doszło do pierwszego po prawie 13 latach armeńsko-tureckiego spotkania na szczycie.

W Turcji nadal nie brak obaw, że uznanie ludobójstwa Ormian spowoduje pojawienie się roszczeń o odszkodowania, zwrot mienia (kościół ormiański), inne reparacje. Wykluczyć należy ewentualność zmiany granic. Władze Armenii pogodziły się z ustaleniami Traktatu Karskiego (z 1921 r.), który pozostawił Armenię Zachodnią (czyli większą część obszaru niegdyś etnicznego Ormian) w granicach Turcji. Nawet jeśli niektórzy politycy Armenii (nie tylko z szeregów Partii Dasznaktsyutyun) mogą twierdzić, że Armenia nie była wtedy suwerenna, a Turcy sami Traktat naruszyli swoją blokadą Armenii. Jest prawdą, że Mołotow przedstawił Turkom żądania rewizji granic w czerwcu 1945 r., domagając się „zwrotu” rejonów Karsu, Ardaganu i Artwinu. Jeszcze w końcu lat sześćdziesiątych Sowieci próbowali wynegocjować z Turkami ekwiwalentne przejęcie pogranicznego obszaru Ani (z ruinami historycznej stolicy Armenii), ale bez powodzenia.

Unia Europejska nie uczyniła uznania przez Turcję ludobójstwa Ormian warunkiem w ramach negocjacji akcesyjnych Turcji. Ale poczuwa się do bycia przecież depozytariuszem pojednania historycznego w Europie. Wielka więc szkoda. Kolejny przykład braku europejskiej konsekwencji.

12. Bandwagoning

Bandwagoning to termin wymyślony przez wybitnego amerykańskiego politologa Quincy Wrighta na początku lat czterdziestych XX wieku i spopularyzowany przez Kennetha Waltza w jego „Teorii stosunków międzynarodowych”, odwołujący się do zjawiska z polityki wewnętrznej, które polega na przyłączaniu się zwolenników do partii postrzeganej jako przyszły zwycięzca wyborów. W polityce międzynarodowej jest to strategia tożsama z bezrefleksyjnym poparciem i identyfikowaniem się przez państwa mniejsze i słabsze ze stanowiskiem silniejszego państwa w celu zbijania politycznego kapitału. To nadal bardzo popularna (odruchowa wręcz w stosowaniu) doktryna polityki zagranicznej. Także polskiej polityki zagranicznej.

Państwo uprawiające bandwagoning czyni tak w nadziei na uzyskanie politycznej sympatii silniejszego partnera, a nawet konkretnych korzyści w przyszłości dla zapewnienia lub poprawy własnego bezpieczeństwa, uzyskania korzyści materialnych (np. gospodarczych) lub politycznych (wsparcie w staraniach o członkostwo w organizacjach międzynarodowych lub w ich kierowniczych gremiach).

Jest to więc, innymi słowy, umizgiwanie się, podlizywanie, wysługiwanie w nadziei na pozyskanie sympatii, aby móc ją zdyskontować w chwili życiowej potrzeby. Strategia zawiera w sobie potencjalne wysokie koszty, w tym zwłaszcza ryzyko satelizacji, możliwość uzależnienia się od mocarstwa przy braku realnego wpływu na prowadzoną przez niego politykę i podejmowane decyzje, a także niebezpieczeństwo pogorszenia stosunków z innymi państwami.

Bandwagoning jest polityką klakierstwa wyrażającą brak zdolności do rozwiązywania problemów własnej polityki zagranicznej drogą suwerennego procesu decyzyjnego i drogą równoważenia zagrożeń. To cynizm wynikający z przeświadczenia (uzasadnionego lub nie) o własnej bezradności.

Bandwagoning można uprawiać zarówno wobec państwa, które jest postrzegane jako najsilniejszy sojusznik (bez wsparcia którego nie da się zagwarantować własnego bezpieczeństwa), ale też jako potencjalny wróg (dla powstrzymania którego nie sposób zawiązać wystarczająco silnej koalicji). Jako formę subordynacji wobec potencjalnego wroga traktował bandwagoning sam Waltz. Relacja w układzie bandwagoningu jest z założenia nierówna, wymiana zaś nieekwiwalentna. Może wynikać z zewnętrznej presji ze strony silniejszego albo być aktem autorezygnacji (wyprzedzającej, prewencyjnej). Może nawet zakładać wspieranie działań strony silniejszej niezgodnych z prawem lub nieetycznych. Dla Waltza idzie się na bandwagoning albo ze strachu, albo dla domniemanych korzyści.

Im większy potencjał silniejszego państwa, im bliżej partner położony, im skłonniejszy do działań dla państwa słabszego istotnych, tym większa skłonność do bandwagoningu.

Przykładów historia nowożytnych stosunków międzynarodowych, także tych powestfalskich, gdzie suwerenna równość państw jest aksjomatem, daje bez liku. Za dobrą ilustrację uważa się wsparcie polityki Napoleona Bonaparte przez kilka mniejszych państw niemieckich (np. Bawarii, Badenii, Hesji-Darmstadt czy Wirtembergii), zachęconych przez Napoleona obietnicami korzyści terytorialnych.

Innym przykładem jest polityka Bułgarii wobec wilhelmowskich Niemiec po wybuchu I wojny światowej aż do jej otwartego dołączenia do bloku państw centralnych w 1915 r.

Znamion bandwagoningu można się doszukać w aktach poparcia hitlerowskich Niemiec przez niektóre państwa europejskie przed i w trakcie II wojny światowej. Czyniły tak Finlandia, czy

Rumunia, przedkładając sojusz z Niemcami nad oddanie się pod wyroki polityki Stalina, który oba kraje chciał terytorialnie okroić, jeśli nie podporządkować ZSRR.

Polska uprawiała niewątpliwie bandwagoningową ekwilibrystykę w latach 90-ych, zabiegając o sympatię elit waszyngtońskich, zwłaszcza po tym, kiedy naszym ugruntowanym celem stało się wejście do NATO, a Stany Zjednoczone do rozszerzenia NATO jeszcze nie dojrzały. Uprawialiśmy bandwagoning nawet wtedy, kiedy ekipa Clintona przekonała się do naszego członkostwa, ale kokosiły się jeszcze niektóre ważne europejskie państwa. No a potem nie można było sobie pozwolić na dawanie pretekstu przeciwnikom rozszerzenia w trakcie parlamentarnych debat ratyfikacyjnych. I bandwagoning musiał trwać.

Na szczytach MSZ w czasach władzy koalicji AWS-UW w latach 1997-2001 czuwały nad tym osoby, dbające o to, aby nawet w mało strategicznych kwestiach polskie stanowisko nie znalazło się na kolizyjnym kursie z myśleniem amerykańskim. Czujność klientelistyczna obowiązywała i na niższych szczeblach.

Poproszono mnie wtedy o obecność przy rozmowie jednego z dyrektorów w MSZ (ze świeżego naboru), do którego zamówił się dyplomata ambasady amerykańskiej. Przyszedł ów dyplomata wypytać o nasze stanowisko w konkretnej sprawie dotyczącej problematyki bezpieczeństwa europejskiego. Sam fakt, że amerykański przedstawiciel przychodził i pytał (a nie komunikował), było okolicznością znamioną. Świadczyło to, że w Waszyngtonie docierają się jeszcze stanowiska poszczególnych instytucji w omawianej kwestii; był prawdopodobnie rozdźwięk między Pentagonem, CIA i Foggy Bottom, a Departament Stanu liczył na to, że będzie mógł w sporze wewnętrznym wykorzystać polskie stanowisko jako argument, i to być może koronny, na swoją korzyść. Bardzo rozczarowany był amerykański dyplomata, kiedy usłyszał od polskiego rozmówcy już na wstępie, że nasze stanowisko jest identyczne z amerykańskim. A jeszcze bardziej od rozczarowania wymalowało mu się na twarzy mało profesjonalne zdumienie, bo przecież stanowiska amerykańskiego nie zdążył w ogóle być zdradzić, albowiem przecież nie zostało jeszcze uzgodnione.

Krytycy polskiego zaangażowania militarnego w Afganistanie i Iraku po 2003 r. nasze ówczesne decyzje również podciągają pod bandwagoning. Nie do końca można się z nimi zgodzić. Poparcie dla ataku USA na Afganistan wynikało z sojuszniczej solidarności. Członkowie NATO po raz pierwszy w historii uruchomili Artykuł 5 deklarując gotowość okazania wsparcia Amerykanom w obliczu aktu terroryzmu, jaki dotknął ich 11 września 2001 r. Operacja stabilizacyjna w Afganistanie była czysta moralnie, solidna prawnomiędzynarodowo i konsensusowa politycznie. Polski udział był częścią sojuszniczego wysiłku.

Uderzenie na Irak wzbudziło już w społeczności międzynarodowej, a też w samym NATO, nie mówiąc o Unii Europejskiej, poważne kontrowersje. Sojusz rozłupał się na obóz proamerykański („anglosaski”) i niemiecko-francuską frondę kontestacji. Decyzja o udziale Polski w stabilizacji Iraku zapadła na najwyższym szczeblu. Prezydent Kwaśniewski nie krył po latach, że rozstrzygał przy niepełnej wiedzy i w oparciu o mylne opinie uznanych autorytetów międzynarodowych co do faktu posiadania (lub nie) przez Irak broni masowego rażenia. Kadra ekspercko-dyplomatyczna MSZ w deliberacje na szczytach władzy wprowadzona nie była. Kiedy decyzja zapadła, nie brakowało zarówno na Szucha, jak i na placówkach (zwłaszcza w krajach arabskich), głosów jeśli nawet nie otwarcie krytycznych, to wysoce sceptycznych.

Jako dyrektor departamentu planowania w MSZ w latach 2003-2004 patronowałem dyskusjom i burzom mózgow o skutkach tej decyzji dla naszej polityki zagranicznej, także z udziałem ekspertów identyfikowanych z kręgami wtedy opozycyjnymi. Nieformalne debaty tematyczne były zresztą jednym z moich ulubionych projektów w trakcie dyrektorowania. Każdy z moich współpracowników przygotowywał sesję tematyczną związaną z wybranym aspektem naszej

polityki zagranicznej. Zapraszaliśmy kolegów pełniących rolę referentów w departamentach terytorialnych lub funkcjonalnych związanych z tematem.

Bardzo często debaty przeradzały się w tak otwartą wymianę poglądów, że uczestnicy podważali słuszność polityki prowadzonej przez resort. Nie zdziwiłem się więc, że zainteresowanie udziałem w tych dyskusjach zaczęli przejawiać nawet wiceministrowie. Na jedną z debat zawitało ich aż trzech. Spory sporami, ale ówczesnemu kierownictwu resortu do głowy nie przychodziło, aby pozwalać sobie na wyciąganie jakichkolwiek konsekwencji kadrowych za nieprawomyślność wygłaszanych opinii. A niektórzy głosiciele krnąbrnych poglądów wręcz awansowali. I nie bali się wyrażać swoich myśli także w kwestii irackiej, wtedy bardzo dla naszej polityki strategicznej. Związani z opozycją eksperci, w tym i mój ówczesny współpracownik, a późniejszy minister spraw zagranicznych RP, popierali nasz udział w misji irackiej, posługując się czasami argumentami czystego bandwagoningu: „Polska wspiera Amerykanów na Bliskim Wschodzie mając nadzieję, że Stany Zjednoczone odwzajemnią się pomocą na wypadek zagrożenia w Europie”.

Ja byłem przekonany zwolennikiem naszego włączenia się w operację stabilizacyjną w Iraku. Nie dlatego, aby Polska musiała się przypodobać Amerykanom. Nie dlatego, aby zyskać na operacji jakieś gospodarcze fanty. Nie dlatego, aby podnieść zdolności bojowe naszego wojska poprzez konfrontację z realnym przeciwnikiem. Upatrywałem w naszym wysiłku po prostu szansę na podniesienie pozycji politycznej naszego kraju nie tylko w gronie sojuszników, ale też w regionie, a nawet w szerszym świecie. No i liczyłem na to, że nasze zaangażowanie rozepcze horyzonty naszego myślenia o polityce zagranicznej, że zaczniemy znów wracać do aktywnej roli w dyskusjach o Bliskim Wschodzie czy Azji, że ambitniej będziemy działać w ramach wspólnej polityki zagranicznej Unii Europejskiej nie tylko w sprawach Europy Wschodniej, że zrzucimy z siebie łąkę dyplomatów monotematycznych. Taka otwarta horyzontalnie nasza polityka zagraniczna marzyła mi się i wtedy, i dziś. Wkalkulowałem w tę "iracką szansę" i oczywiste ryzyko, a i ono urzeczywistniło się szybko w postaci oskarżeń wobec Polski o bycie amerykańskim koniem trojańskim w Europie czy też amerykańskim pieskiem salonowym. Ale za czasów ministrowania Cimoszewicza i Rotfelda nigdy nie zatraciliśmy swobody i elementarnej uczciwości w ocenach przebiegu operacji. W tym zwłaszcza poczynań cywilnych władz okupacyjnych pod kierownictwem Paula Bremerera.

W kwietniu 2003 r. Polska objęła dowództwo jednego z czterech sektorów stabilizacyjnych (pozostałe przypadły USA i Wlk. Brytanii jako mocarstwom okupacyjnym). Poproszono mnie, abym zredagował projekt uzasadnienia naszej decyzji, którą w Sejmie miał ogłosić premier Leszek Miller. Z niektórymi elementami uzasadnienia miałem poważne wątpliwości, bardzo się więc ucieszyłem, że wiodącą rolę przejmie w szukaniu właściwych słów resort Obrony Narodowej piórem wiceministra Andrzeja Towpika. A całość sprawnie złożyli w logiczną ostateczność speechwriterzy Premiera.

W 2005 r., kiedy objąłem urząd wiceministra spraw zagranicznych, operacja w Iraku znalazła się w moim dossier (m.in. reprezentowałem Polskę na prośbę szefa BBN ambasadora Jerzego Bahra w konferencjach grupy kontaktowej koalicji stabilizacyjnej pod przewodnictwem doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego Prezydenta USA Stephena Hadley'a). I była źródłem niejednego bólu głowy. Zwłaszcza kiedy wiosną 2005 r. SLD uznał, że dla jego szans wyborczych lepsze będzie opowiedzenie się za wyjściem z Iraku. Pewnego wiosennego ranka media obiegrała informacja, iż Polska podjęła nieodwołalną decyzję o wycofaniu swojego kontyngentu do końca 2005 r. Minister Rotfeld był wtedy poza Polską, a mnie powierzył kierowanie resortem. Nie zdążyłem doczytać doniesień, a już dzwonił telefon z Ambasady USA. Rozmowa trwała dość długo, ale amerykański przekaz można by streścić jednym: „Piotr, WTF?”.

Nasi sojusznicy mieli uzasadnioną pretensję, że nikt ich nie uprzedzał, że nikt nie wytłumaczył, o co chodzi. Mieliliśmy kilka godzin do pobudki w Waszyngtonie, aby sytuację załagodzić. Całe

szczęście nieodżałowany Minister Szmajdziński znakomicie pojął, że potrzebne są uspokajające wobec Amerykanów gesty. Sprawnie zorganizował wystąpienie medialne, w którym wyjaśnił, że nie chodzi nam o całkowite wyjście, lecz o zmianę charakteru misji (ze stabilizacyjnej na szkoleniową), że nie zrobimy nic bez ustaleń sojuszniczych, itd. Emocje opadły, nim koguty zapiąły na Foggy Bottom.

Bandwagoning jako taki moralnej repulsji wywoływać nie powinien. Wszystko jest sprawą formy i pułapu, jaki osiąga. Za sprawą toporności polityki zagranicznej za kadencji Prezydenta Dudy i rządów PiS po 2015 r. przebito poziomy dotychczasowych wzlotów bandwagoningu wobec USA. Bo był to już bezkrytyczny bandwagoning spersonalizowany wobec prezydenta Trumpa. Polskim decydem nie chodziło przecież o sympatię Waszyngtonu jako takiego. Wszystkie żetony postawiono na prezydenta Trumpa, a przymilanie się osiągnęło wyżyn stratosferycznych. Co rana z Krakowskiego Przedmieścia, alei Ujazdowskich i Alei Szucha roznosiły się ku Waszyngtonowi rytualne Jarząbkowe (trenera drugiej klasy) arie. Kiedy Trump przegrał wybory, a nowa administracja krytycznym okiem omiotła pisowską politykę, jedyną nadzieją PIS-u pozostawał powrót Trumpa do władzy. Wyprowadził władzę PiS-u z ambarasu Putin, napadając na Ukrainę. Joe Biden puścił afront w zapomnienie i zjawił się w Polsce dla zademonstrowania siły więzi sojuszniczych.

Na wyżyny dyplomatycznego klakierstwa wobec Rosji wznosiły się nawet czasach wojny Rosji przeciw Ukrainie Białoruś i Armenia. Białoruś – wiadomo, po 2020 r. traciła resztki suwerenności. Była jedynym postsowieckim państwem, które głosowało w marcu 2022 r. w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ wspólnie z Rosją przeciw rezolucji potępiającej putinowską wojnę. W przypadku Białorusi, to już nie klakierstwo, ale totalny satelityzm. Ale Armenia? Była jedynym państwem, które przyłgnęło do Rosji podczas głosowania decyzji Komitetu Ministrów o rozpoczęciu procedury pozbawienia Rosji członkostwa w RE w 2022 r.. W wielu kwestiach na forum ONZ czy Rady Europy kierowała się Armenia i wiele lat wcześniej pragnieniem przypodobania Rosji. Ale wcale to nie pomogło, aby tzw. Plan Ławrowa zawierał korzystniejsze dla Armenii rozwiązania. Nie pomogło to w przekonaniu Rosji, aby zatrzymała ofensywę Azerbejdżanu w 2020 r. wcześniej nim padła Szuszi. Nie pomogło, aby Rosja zgodziła się na aktywizowanie mechanizmu kolektywnej obrony, kiedy Azerbejdżan przesuwiał w 2021 r. swoje wojska na tereny, które według Armenii stanowiły jej terytorium. Ale we wrześniu 2022 r., kiedy Azerbejdżan zaatakował Armenię ponownie i przesunął dalej swoje pozycje, a Rosja potraktowała dość lekceważąco prośby Armenii o uznanie tego jako *casus foederis* zobowiązań sojuszniczych, Armenia zaczęła wyraźnie dawać wobec Rosji oznaki niezadowolenia. Kiedy za przyzwoleniem Rosji, Azerbejdżan zajął w 2023 r. Górski Karabach, armeński rząd niezadowolenia z postawy Rosji już nie krył. Zawiesił udział w pracach Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, sugerował, że Rosja wzywała Ormian do zmiany władzy.

Trudno wszakże w dzisiejszych czasach generalnie potępiać od strony moralnej bandwagoning. Żyjemy w epoce „softpower”, kiedy atrakcyjność i sympatia stanowią o potędze państw. Zabieganie o czyjeś względy jest naturalnym odruchem w polityce zagranicznej wielu państw. Jeśli pojawiają się wyrzuty, to mogą one mieć przede wszystkim charakter estetyczno-polityczny.

13. Satelityzm

Wśród doktryn, których istotą jest uległościowe i abdykacyjne reagowanie na zachowania potężniejszych partnerów, należy szczególnie potraktować satelityzm. Nie tylko dlatego, że zaznaczył się on wstydliwie w historii polskiej polityki zagranicznej.

Satelityzm (satelitaryzm) jest zdaniem się na hegemoniczną kontrolę nad własną polityką ze strony innego państwa. Jest w sensie politycznym cesją suwerenności, jest podporządkowaniem się woli obcego państwa, w pełnym lub ograniczonym zakresie. Wynika satelityzm z różnych przesłanek. Najczęściej wiąże się z niezdolnością państwa do wykonywania jego podstawowych funkcji w sferze stosunków zewnętrznych. Państwo idące na satelityzm nie jest w stanie zapewnić bezpieczeństwa zewnętrznego w obliczu możliwych zagrożeń, nie jest w stanie prowadzić samodzielnej polityki gospodarczej, nie generuje dochodów, które zapewniałyby utrzymanie państwa. Albo jest państwem de facto podbitym.

W przeszłości satelityzm wiązano z podległością lenną (wasalną) i różnymi formami trybutaryzmu.

Posiadał w wasalnej zależności takie państwa, jak Ugarit, Nuhasse czy Byblos, starożytny Egipt. Rozbudowaną sieć wasali miała starożytna Persja, od Armenii poczynając na Macedonii kończąc. Imperium osmańskie trzymało w wasalnej zależności Mołdawię czy Chanat Krymski.

W feudalnej Europie hierarchie i sieci zależności przeplatały się oraz komplikowały w wyniku wojen i dynastycznych mariaży. Symbolem feudalnej aporii była suwerenność Wilhelma Zdobywcy jako króla Anglii i jednocześnie jego podległość królowi Francji jako księcia Normandii.

I w historii Polski lennych splątania nie brakowało. Nawet Bolesław Chrobry na mocy pokoju w Merseburgu w 1013 r. musiał uznać się za lennika króla Niemiec (choć z obowiązków lennych wywiązywać się nie miał zamiaru). Z kolei poczesne miejsce w naszej świadomości historycznej zajmuje fakt, że stały się w 1525 r. państwem wasalnym wobec Rzeczypospolitej Prusy Książęce.

W epoce imperialnej wiele kolonii czy dominiów, nawet jeśli przystrojonych symboliką państwową, były bytami niesamodzielnymi.

W polskiej historii uprawialiśmy satelicką, a bardziej nawet marionetkową, politykę w formule Księstwa Warszawskiego (z Napoleona woli, ale akceptowanej) i Królestwa Polskiego z lat 1815-1830 (z obcego dyktatu).

Państwa marionetkowe, będące skrajną inkarnacją satelitaryzmu, powoływane były często przez mocarstwa okupacyjne czy w wojnach zwycięskie. Słowacja księdza Tisa, Chorwacja Ante Pavelica na mapie Europy wykreślonej przez Hitlera to najczęściej cytowane przykłady.

Termin „państwo satelickie” przylgnął w politologii zachodniej do grupy państw, które znalazły się w latach 1918-1990 pod dominacją Związku Sowieckiego. Ich listę rozpoczyna Mongolia (ogłoszona niepodległą w 1924) i Tuwa (wyrwana w 1921 r. z kontroli chińskiej, a wchłonięta w 1944 r. do Związku Sowieckiego; nota bene Tuwińcem jest Sergiej Szojgu). Być może był ich satelityzm lepszym rozwiązaniem niż oddanie się pod dominację chińską.

Państwa znajdują się pod hegemonicznym wpływem często wbrew woli narodu, a czasem nawet elit. Próbują jednakże dowodzić własnej suwerenności, nawet jeśli ma ona ograniczony wymiar. W polityce satelickiej najciekawszym dla analizy zjawiskiem jest sposób, w jaki zagospodarowują satelici ów margines dla prowadzenia niezależnej polityki.

Polityka zagraniczna PRL była polityką ograniczonej suwerenności. We wszystkich istotnych dla ZSRR sprawach międzynarodowych decyzje dotyczące stanowiska Polski zapadały w Moskwie. Z

ZSRR rozmawiała Polska Ludowa przeważnie z pozycji petenta. Zwłaszcza w sprawach trudnych, jak choćby tuż po wojnie związanych z repatriacją Polaków, zwrotem dóbr kulturalnych.

Do roku 1956 margines manewru samodzielnego w polityce PRL był w istocie mikry i wiotki. Kiedy w 1947 r. Polska otrzymała zaproszenie na lipcową konferencję paryską ws. Planu Marshalla, przyjęła je (podobnie jak Czechosłowacja) i nawet do konferencji zaczęła się szykować. Wydawało się wcześniej, że Stalin, choć sam odrzucił udział ZSRR, nie będzie dyscyplinował innych państw pod kontrolą radziecką. A jednak w ostatniej chwili wyjazdu sojusznikom zabronił. Polski rząd dowiedział się o tym, że w Paryżu nie będzie reprezentowany, z oświadczenia prasowego TASS. (Nb. trudno nie znaleźć paraleli z sytuacjami współczesnymi i polityką Moskwy: Armenia w 2013 r. dowiedziała się z komunikatu nadanego z Moskwy w przeddzień szczytu Partnerstwa Wschodniego w Wilnie, że nie podpisze umowy stowarzyszeniowej wynegocjowanej z UE).

Polska Partia Robotnicza, mimo negatywnej opinii Gomułki, weszła do Kominformu w 1947 r. Będąc gospodarzem spotkania, na którym Biuro powołano, polska delegacja dowiedziała się o wniosku dotyczącym utworzenia Kominformu w ostatniej chwili. Gomułce powiedziano o tym już w trakcie obrad. Ponoć wcześniej Sowietci sygnalizowali, że rezultatem spotkania będzie jedynie powołanie wspólnego pisma teoretycznego. Gomułka wpadł w furję. W przerwie obrad w polskim gronie miał nawet złożyć dymisję z funkcji sekretarza generalnego PPR. Ale w końcu z decyzjami Kremla się pogodził.

Polscy oficjele dowiedzieli się w 1948 r. o „zdradzie” Tito z wymiany korespondencji między komunistami ZSRR i Jugosławii, kiedy już konflikt zmierzał do przesilenia. O wykluczeniu Jugosłowian z Kominformu i przeniesieniu siedziby Biura z Belgradu do Bukaresztu poinformowano polskich komunistów w ostatniej chwili. Znali formalne powody potępienia Tito (zły stosunek do sowieckich doradców, czy też tolerowanie obecności „brytyjskich szpiegów” w dyplomacji i wojsku), ale sami nie wierzyli, by były to powody rzeczywiste. Podejrzewali, że w całej rozgrywce decydujący był opór Tito wobec sowieckiego pomysłu utworzenia federacji bałkańskiej państw socjalistycznych. Ale do nakreślonej w Moskwie polityki potępienia i wykluczenia Jugosławii potulnie się przyłączyli.

Nie podlegało suwerennej decyzji ani członkostwo Polski w RWPG, ani w Układzie Warszawskim. Nie mieli wyboru i inni satelici, z małym wyjątkiem, bo Albanii jednak pozwolono pakt opuścić. Poparła Polska interwencję sowiecką na Węgrzech w 1956 r. i uczestniczyła w pacyfikacji Czechosłowacji w 1968 r.

Pod dyktando Moskwy Polska zerwała stosunki dyplomatyczne z Izraelem po wojnie czerwcowej 1967 r. (Rumunii udało się wyłamać z dyscypliny blokowej). Inna sprawa, że krytykę Izraela kierownictwo PZPR postanowiło wykorzystać we własnym celu, aby rozpętać antysemicką nagonkę w kraju. Na fali nacjonalistycznych, a niskiego lotu emocji, próbowano legitymizować komunistyczną władzę w Polsce.

Polska dyplomacja popierała w bezwiednym odruchu każdą istotną inicjatywę międzynarodową ZSRR.

Miała oczywiście dyplomacja Polska swoje poletka aktywności, gdzie ręką sowiecką nie była prowadzona. Po II wojnie dotyczyło to przede wszystkim starań o uznanie przez państwa zachodnie nowych granic Polski i nowych realiów ustrojowych. Na tym polu Polska mogła wykazywać się nieskrępowaną inicjatywą, albowiem zakładano a priori, że polskie cele są tam zbieżne z celami sowieckimi, bo i Moskwie zależało na uznaniu realiów terytorialno-ustrojowych w Europie. Wielkim sukcesem polskiej dyplomacji było niewątpliwie oświadczenie de Gaulle'a z 1959 r. o uznaniu polskiej granicy zachodniej.

Polska weszła w 1953 r. w skład Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych w Korei (o ile neutralność Szwecji i Szwajcarii kontrowersji budzić nie mogła, to neutralność Polski i Czechosłowacji, zwłaszcza po utworzeniu Układu Warszawskiego, była bardziej niż wątpliwa). W latach 1954-1975 Polska uczestniczyła (obok Indii i Kanady) w pracach Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru w Indochinach. W 1966 r. Amerykanie rozwinęli operację „Marigold”, której celem było rozpoczęcie bezpośrednich rozmów z Wietnamem Północnym, a w której to operacji niebagatelną rolę miał odegrać polski dyplomata Janusz Lewandowski. Niestety ta dyplomatyczna inicjatywa spaliła na panewce. Dołączyliśmy też w 1973 r. do Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru w Wietnamie Południowym (obok Indonezji, Węgier i Kanady zastąpionej przez Iran). Nawet jeśli w sensie strategicznym polską działalność pokojowo-rozjemczą kontrolowali Sowieci, to była ona dźwignią budowy dobrego wizerunku Polski i poligonem rozwijania zdolności dyplomatycznych.

Było dla Polski katalizatorem postaw emancypacyjnych forum ONZ. Dość powiedzieć, że już w 1946 r., kiedy decydowało się miejsce kwatery głównej ONZ, Polska w przeciwieństwie do ZSRR, nie poparła kandydatury Nowego Jorku. Opowiedziała się za ulokowaniem Sekretariatu w Europie. Inna sprawa, że Sowieci nie próbowali wtedy dyscyplinować świeżo powstający blok.

Ale kiedy Polska zasiadała w Radzie Bezpieczeństwa ONZ w latach 1946-1947, Polski delegat Oskar Lange musiał swoimi „autorskimi” stanowiskami niezłe zająć za skórę towarzyszom radzieckim. Pierwszy Sekretarz Generalny ONZ Trygve Lie napomknął w swoich wspomnieniach, że ówczesny delegat radziecki Andriej Gromyko narzekał mocno na zachowanie Langego (nb. oskarżonego potem o bycie zarejestrowanym jako tzw. agent wpływu NKWD). Faktem pozostaje, że Lange zakończył swoją karierę dyplomatyczną z końcem kadencji polskiej w RB i więcej na odcinku dyplomatycznym partia zadań mu nie powierzała (tylko doraźnie, jak choćby w formie czynienia honoru gospodarza, z racji zasiadania w Radzie Państwa, podczas wizyty wiceprezydenta Nixona w Polsce w 1959 r.).

Byliśmy jako Polska współinicjatorami powołania Europejskiej Komisji Gospodarczej. Zgłaszaliśmy na forum ONZ wiele znaczących inicjatyw, w tym dotyczących Konwencji Praw Dziecka czy wychowania społeczeństw w pokoju. To Polak żydowskiego pochodzenia, były przedwojenny polski delegat na konferencje unifikacji prawa karnego, choć po wojnie osiadły w USA, Rafał Lemkin był autorem konwencji przeciw ludobójstwu, przyjętej w 1948 r. Nb. inny polski Żyd, urodzony w Żółkwi i wykształcony we Lwowie, wybitny brytyjski prawnik Sir Hersch Lauterpacht był autorem pojęcia zbrodni przeciw ludzkości.

Mogła Polska wychodzić z własnymi inicjatywami dyplomatycznymi. Plan Rapackiego dot. strefy bezatomowej w Europie Środkowej (1957 r.), Plan Gomułki dot. zamrożenia zbrojeń jądrowych w Europie Środkowej (1963-64), Plan Jaruzelskiego dot. zmniejszenia zbrojeń i zwiększenia zaufania w Europie Środkowej (1987-88) były suwerennie opracowanymi przez Polskę koncepcjami. Oczywiście zaakceptowanymi przed zgłoszeniem w Moskwie. ZSRR przy tym nie ingerowała zasadniczo w merytoryczną warstwę tych propozycji. Plan Rapackiego, mimo rewelacji ogłoszonych przez byłego PRL-owskiego dyplomate, który zbiegł na Zachód, o kremlowskiej proveniencji inicjatywy, powstawał na Alei Szucha (wtedy Aleja I Armii Wojska Polskiego). Sam Rapacki przyznawał, że inspiracja wyszła od Gomułki w luźnej dyskusji na posiedzeniu Biura Politycznego PZPR. Redagowali wszakże Plan eksperci MSZ, prawnicy z Manfredem Lachsem, i planiści, którzy weszli potem do utworzonego na początku lat 60-ych Biura Studiów. Plan Gomułki chwalono nawet w ośrodkach zachodnich. Komplementował go m.in. George Kennan.

Polskie idee nie mogły być zrealizowane w ówczesnych realiach polityczno-militarnych. Były zbyt ryzykowne, zwłaszcza w optyce zachodnioniemieckiej. Ale koncepcyjnie weszły na trwałe do historii stosunków międzynarodowych. To na Planie Rapackiego wyrosła koncepcja stref bezatomowych. I zmaterializowała się ona w Traktacie Antarktycznym (Waszyngtońskim) z 1959 r.

Traktacie z Tlatelolco (1967 r.), Traktacie z Roratonga (1985 r.), Układzie z Bangkoku (1995 r.), Układzie Kairskim (1996 r.), Układzie z Semipałatyńska (2006 r).

Koncepcja stref bezatomowych jest bezapelacyjnie ideą skuteczną i być może najważniejszym osiągnięciem polskiej myśli koncepcyjnej w polityce międzynarodowej. Z oczywistych względów dziś zupełnie nie docenianym i nie pielęgnowanym.

Z imieniem Rapackiego wiązana jest także inicjatywa zwołania konferencji bezpieczeństwa europejskiego. Zgłosił ją na sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w 1964 r. Ideę przejęli sojusznicy sowieccy i pod pomysłem podpisał się cały Układ Warszawski, który wystosował w tej sprawie tzw. Apel Budapeszteński z 1969 r. Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie była dla Polski poletkiem kształtowania własnej kreatywności dyplomatycznej. Zwołana została „poza blokami polityczno-wojskowymi”, a polska dyplomacja wykorzystała to na późniejszych spotkaniach przeglądowych do argumentowania, że składane przez Wschód propozycje nie powinny być sygnowane przez wszystkich sojuszników i wymigiwała się od współautorstwa najbardziej „betonowych” propozycji opracowywanych w Moskwie. Składała za to własne, w tym dotyczące prawnego umocowania zasad helsińskich, współpracy kulturalnej czy gospodarczej.

Składała też inicjatywy w dziedzinie bezpieczeństwa wojskowego. Najważniejszą z nich była niewątpliwie opracowana na Szucha w schyłkowych latach epoki Gierka idea Konferencji Odprężenia Militarnego i Rozbrojenia w Europie. Była ona jedną z inspiracji dla zwołania Konferencji Sztokholmskiej w sprawie środków budowy zaufania w Europie w 1984 r., a Szwedzi potem sumitowali się poufnie w kontaktach z polskimi dyplomatami, że podkradli nam pomysł i wysunęli konkurencyjną inicjatywę, tłumacząc, że musieli to zrobić, bo Polska z racji stanu wojennego nie miała szans na goszczenie konferencji, a szkoda byłoby polskich pomysłów zaprzepaścić.

Dyplomacja polska miała duże pole swobody w kwestii niemieckiej, a precyzyjniej w kwestii normalizacji relacji z RFN i uznania polskich zachodnich granic. W sprawach niemieckich Sowietci mieli, jak się wydaje, solidne przekonanie, że Polacy zdawali sobie sprawę, że przebieg naszej granicy zachodniej czyni Polskę totalnym zakładnikiem ZSRR. Rządzący Polską komuniści, przez długie lata, nawet po zawarciu Układu Zgorzeleckiego z NRD w 1950 r., żywili obawy, że każda poważna niesubordynacja Polski skończy się rewizją zachodniej granicy, przekazaniem ziem zachodnich, bądź ich części Niemcom (takie ponoć aluzje czyniono wobec polskiej delegacji jeszcze w listopadzie 1956 r., kiedy domagała się w Moskwie bardziej równoprawnych stosunków).

Gomułce przypisuje się doktrynę, iż Polska ma prawo współtworzyć niemiecką politykę bloku i prowadzić własną politykę z kluczowymi państwami zachodnimi bez oglądania się na innych, w tym ZSRR. Gomułka na forum Układu Warszawskiego skutecznie forsował tezę, że niemożliwa jest normalizacja stosunków Niemiec Zachodnich z państwami socjalistycznymi bez uprzedniego ułożenia się RFN z Polską i uznania polskiej granicy zachodniej.

Kiedy rząd Williego Brandta zwrócił się do państw socjalistycznych z propozycją uzgodnienia dwustronnych deklaracji o niestosowaniu przemocy, Gomułka postawił twarde warunki i skutecznie doprowadził do tego, że RFN nie była w stanie poprowadzić rozmów z pozostałymi państwami socjalistycznymi na swoich zasadach. Porozumienie RFN-ZSRR w sierpniu 1970 r. co prawda nastąpiło przed dopięciem umowy z Polską w grudniu 1970 r., a nawet spowodowało wyhamowanie czasowe negocjacji z Polską, ale w ostateczności Niemcy przyjęły polską koncepcję układu o podstawach normalizacji stosunków, co było ewidentnym sukcesem polityki Gomułki.

Były oczywiście platformy dyplomatyczne, gdzie obowiązywało ściśle sojusznicze posłuszeństwo. Tak się działo na wiedeńskich rokowaniach w sprawie redukcji broni konwencjonalnej w Europie Środkowej (MBFR), prowadzonych bezowocnie od 1973 do 1989 r. W ich ramach polscy przedstawiciele odczytywali na nieformalnych posiedzeniach pisane im przez Sowieców

przemówienia, a Sztab Generalny Ludowego Wojska Polskiego przedstawiał jako własne podretuszowane przez Sowietów dane o polskich siłach zbrojnych. Jeszcze w końcu lat osiemdziesiątych ówczesny członek kierownictwa resortu spraw zagranicznych PRL instruował podwładnych, że w sprawach rozbrojenia linia polityki polskiej polega na aktywnym popieraniu stanowiska ZSRR, albowiem ZSRR jako gwarant polskiego bezpieczeństwa lepiej wie, co jest dobre dla bezpieczeństwa Polski.

Wprowadzenie stanu wojennego zważyło na PRL sankcje, a władze wystawiło na izolację polityczną ze strony państw zachodnich. Głównym zadaniem polskiej dyplomacji stało się wtedy przełamywanie tej izolacji. Sowietów nie ingerowali w te starania.

W połowie lat osiemdziesiątych zagęściła się złowieszczo atmosfera w relacjach Wschód-Zachód. Na potkaniach na szczycie Gorbaczow-Reagan udało się ją po części rozładować.

Sowiecko-amerykańskie negocjacje nt. rakiet średniego zasięgu w Europie (sfinalizowane w 1987 r.) wywołały u polskich ekspertów rozbrojeniowych przekonanie, że priorytetem dla ZSRR pozostaje sanktuaryzacja własnego terytorium, a przynajmniej uchronienie Sowietów przed szybkim atakiem nuklearnym z pomocą rakiet taktycznych i pocisków manewrujących. Państwa na styku obu bloków, jak Polska, nadal zaś pozostawałyby zagrożone użyciem broni jądrowej pola walki i zmasowanym uderzeniem sił konwencjonalnych. W polskim środowisku dyplomatyczno-ekspertckim narastało przekonanie, że nasze specyficzne poczucie zagrożenia powinno znaleźć publiczny wyraz i to najlepiej w tzw. konstruktywnej postaci (łatwiejszej do przyjęcia przez Sowietów) jako inicjatywa dyplomatyczna. Tak zrodził się pomysł, który potem przyjęto nazywać Planem Jaruzelskiego. Jaruzelski nie był osobą próżną, ale podsunął mu propozycję, która byłaby firmowana jego nazwiskiem, traktowano jako sposób nie tylko nad zapewnienie szczęśliwych narodzin inicjatywy, co i na nadanie jej odpowiedniego rozgłosu.

Plan Jaruzelskiego był wyrazem dążenia do uformowania takiego kształtu paktów rozbrojeniowych, w tym zwłaszcza rozstrzyganych między Moskwą a Waszyngtonem, który uwzględniałby pełniej interesy bezpieczeństwa Polski.

Plan Jaruzelskiego był też reakcją na operacyjne doktryny militarne sugerujące zmasowany atak na tzw. siły drugiego rzutu na linii rozdzielającej NATO i UW (FOFA). Ponieważ większość sił drugiego rzutu UW miała być rozmieszczona na terytorium Polski, Polska stałaby się głównym celem uderzeń NATO.

W MSZ pierwszy szkic Planu powstał jeszcze na początku marca 1986 r. I to z powodu redagowania jednej z pierwszych wersji Planu musiałem w lipcu 1986 r. jeden jedyny raz w karierze na polecenie zwierzchników poświęcić wykupione już wczasy i zamiast z rodziną na plaży wysiadywać nad papierem w gmachu MSZ. Ale treść Planu ucierała się długo w MSZ i na linii MSZ-MON, bo i w MON pracowano nad podobnymi pomysłami. Dodawali swoje pomysły także eksperci z PISM.

Idea opuściła latem 1986 r. gmach MSZ, aby uzyskać niezbędny placet polityczny. I nadziała się na pierwsze przeszkody. Na projekt Planu przygotowany w MSZ, który zakładał m.in. znaczną redukcję sił amerykańskich i sowieckich w regionie, ówczesny minister Obrony Narodowej generał Florian Siwicki zareagował zamaszystą uwagą na pierwszej stronie tekstu: „A kto będzie pilnował Niemców?”. I nie chodziło mu bynajmniej tylko o Niemców zachodnich.

To właśnie wtedy dla zapewnienia poważnego traktowania polskiego projektu postanowiono „podczepić” go pod osobę W. Jaruzelskiego. Jaruzelski ideę zaakceptował, ale pod jednym warunkiem – towarzysze radzieccy nie będą oponować.

Plan uzupełniano i doprecyzowano w kolektywnym wysiłku na przełomie 1986 i 1987 r. już tak, aby nie dawał on pretekstu do jego zablokowania w Moskwie i zlekceważenia przez Zachód.

Sytuację komplikowała okoliczność, że ZSRR szykował sam nowe idee rozbrojeniowe, w tym związane z ogólnoeuropejskimi rokowaniami o rozbrojeniu konwencjonalnym, które zaproponował w czerwcu 1986 r. Układ Warszawski.

Wiosną 1987 r. do Moskwy udała się robocza misja na szczęblu zastępcy szefa sztabu generalnego LWP (gen. Mieczysław Dachowski) i dyrektora departamentu w MSZ (dyr. Jerzy M. Nowak), aby przekonać do polskiej inicjatywy Sowietów. Kluczowa dla losów Planu rozmowa odbyła się w Sztabie Generalnym Sił Zbrojnych ZSRR. Delegację przyjął marszałek Sergiusz Achromiejew, ówczesny szef Sztabu (popęnił samobójstwo po fiasku puczu Janajewa w 1991 r.).

Na początku był Achromiejew ciekaw tylko jednego, a mianowicie, czemu nasza inicjatywa miałaby służyć. Nie interesowały go założenia inicjatywy, konkretne parametry, skutki militarne realizacji Planu. Chciał jednoznacznej deklaracji motywów naszego działania. Jego pierwsza reakcja na prezentację polskiej delegacji brzmiała w oryginale: „Wsio poniatno, no zacziem?”. I tym „no zacziem?” kwitował co i rusz polskie tłumaczenia. Co jako note-taker polskiej delegacji skrętnie zapisywałem. Widać było, że strona radziecka ułożyła już sobie wewnętrznie plan działań na polu rozbrojenia i bała się, że polska inicjatywa tylko go skomplikuje. Achromiejew pytał, tłumaczył, ale oceniać polskiej inicjatywy jednoznacznie nie chciał. Trzymał skutecznie w napięciu nie tylko polską stronę. Napięcie rosło. Wszyscy wszakże głęboko odetchnęli, kiedy skonkludował wreszcie rozmowę aprobującym machnięciem ręki i dyspozycją: „Nu, ładno”. Była to jednoznaczna dyrektywa także dla radzieckiego MSZ. A polscy generałowie mogli z ulgą zameldować generałowi Jaruzelskiemu, że towarzysze radzieccy nie zgłaszają sprzeciwu.

Jaruzelski ogłosił oficjalnie polski plan w maju 1987 r. Natychmiast został on zaprezentowany przez ministra Orzechowskiego na konferencji przeglądowej KBWE we Wiedniu. W lipcu 1987 r. można było opublikować odnośne memorandum rządu polskiego, a literalnie – Rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Powierzono mi zadanie zredagowania tego dokumentu (ze wsparciem Andrzeja Karkoszki, wtedy eksperta PISM, a w III RP - wiceministra obrony). Tekst w języku polskim otrzymał bezproblemowo stosowną aprobatę. Kłopot sprawiła jednak czujna uwaga naszego Protokołu Dyplomatycznego, sugerująca, że w tego typu dyplomatycznych dokumentach nie wolno stosować skrótów, a nazwę kraju wypada dawać tylko w pełnym brzmieniu. Uwzględniliśmy tę uwagę, a wtedy przybiegł dyrektor Jerzy M. Nowak z trzeźwą obserwacją: „Panowie, za dużo w tym tekście tego PRL-u!”. W wersji wszakże angielskiej, nad którą pracowaliśmy o wiele skrupulatniej niż nad polską (wyjściowe tłumaczenie zrobił dla nas redaktor Ben Scotland), bo przecież nam akurat chodziło o dobre zrozumienie inicjatywy nie tyle opinii publicznej w kraju, co partnerów zachodnich, uwagi Protokołu Dyplomatycznego i kierownictwa MSZ symbolicznie zignorowaliśmy. Wpisaliśmy tam z Karkoszką m.in. dwukrotnie zamiast „the Polish People’s Republic” zwroty „the Government of Poland” i „the Polish Government”. Tak na zasadzie mrugnięcia okiem dla zapoznanych przyjaciół na Zachodzie. Nikt się w Warszawie oczywiście nie połapał.

Plan Jaruzelskiego zrealizowany został w dużej mierze i to samoistnie przez sukces ówczesnych rokowań rozbrojeniowych (CFE), a przede wszystkim przez zmiany polityczne, które odmieniły oblicze polityczno-militarne Europy. Przez kilka dobrych miesięcy po prezentacji pozwalał polskim dyplomatom na prowadzenie dialogu z państwami zachodnimi, gdzie nasz punkt widzenia na problemy rozbrojeniowe mogliśmy suwerennie prezentować. I jeszcze do końca lat dziewięćdziesiątych, już w nowych warunkach ustrojowych, rozwijaliśmy w MSZ nawyk myślenia kreatywnego i inicjatywnego w sprawach rozbrojeniowych. Za rządów PiS-owskich dyplomatów niewiele z niego pozostało. Wróciła wtedy w nowych szatach dyrektywa, że skoro USA są naszym gwarantem bezpieczeństwa, polska polityka rozbrojeniowa winna polegać na ślepym popieraniu linii amerykańskiej.

*

Satelityzm dziś słabo się sprzedaje. Można oczywiście prezentować go jako swoistą postać komensalizmu, przynoszącego korzyść obu stronom. Nawet Łukaszenko, zdany całkiem na fawory Putina, miał oczywisty problem z wyrażeniem zgody na bezpośrednie zaangażowanie białoruskich oddziałów wojskowych w wojnę przeciw Ukrainie. A Tokajew, sam w strachu, czy Putin z powodu nielojalności nie odbierze kiedyś zdrowego kęsa terytorium Kazachstanu, niepodległości donbaskich separatyzmów uznawać nie chciał. Emablować hegemonowi wiernopoddańczymi deklaracjami to jedno, ale oddawać mu pełnię kontroli nad polityką to drugie. Musi dziś za tym stać totalny strach. A i tak jest satelityzm ze świadomości wypierany. Mało którego satelitę stać dziś na konfesatę, że robi coś wyłącznie pod dyktando hegemonowi.

* * *

Kres dotychczasowego paradygmatu polityki reagowania w najbardziej szlachetnej postaci, czyli reagowania zbiorowego, reagowania w słusznej sprawie, reagowania kiedy trzeba nawet wyprzedzającego, reagowania konsekwentnego i wytrwałego, reagowania kompleksowego i przemyślanego, jak najbardziej czynnego, pojawia się wtedy, kiedy na horyzoncie politycznym wyłaniają się wyzwania, których podjęcie wymaga działania, które musi być czymś więcej niż sumą narodowych wysiłków, wyzwania, które rozsadzają dotychczasowe pojmowanie racji stanu i interesu narodowego.

Rozdział V.

Wcielenia prometeizmu

W jednej ze swoich wcześniejszych książek spróbowałem opisać, jak zmieniały się paradygmaty polityki międzynarodowej. Od polityki opartej na emocjach (w tym gniewie, honorze) i namiętnościach (chciwość), praktykowanej często w starożytności i średniowieczu, państwa na przełomie XVI i XVII wieku przesunęły punkt ciężkości w kalkulacjach politycznych na interesy. Paradygmat interesów w polityce zagranicznej splatał się z rodzącym się kapitalizmem, rozwojem handlu, gdzie interes jest miarą użyteczności wszystkich zachowań. W XIX w. z krystalizowaniem się nowoczesnej świadomości narodowej, interes przybrał znany nam i do teraz praktykowany kształt – interesu narodowego. Dziś, twierdziłem, jesteśmy świadkami kolejnej przemiany. Interes wypierają wartości.

Oczywiście emocje nadal zaznaczają silny wpływ na politykę. Uraza i złość mogą dobrze tłumaczyć zachowania chociażby Putina. A próżność, czy też hybris, nadal uznawane są za choroby zawodowe przywódców państwowych. W sensie jednak politycznych emocji zbiorowych coraz silniej kształtowane są one pod znakiem empatii. Współczucie i solidarność w większej niż kiedykolwiek mierze wpływają na kształt polityki zagranicznej.

W świecie coraz silniej uwidaczniają się współzależności. Swoją rolę odegrał kapitalizm i jego obecna globalizacyjna fala. Globalizuje się rynek handlu, globalizują przepływy kapitału i łańcuchy produkcyjne. Globalizuje się świat kultury. Zmieniają kraj zamieszkania setki milionów migrantów.

Rośnie napięcie między coraz bardziej ponadnarodowym charakterem procesów gospodarczych i finansowych, ponadnarodowym charakterem wyzwań (ocieplenie klimatu), a polityczną fragmentacją świata.

Historycy przypominają, że na przełomie XIX i XX wieków procesy globalizacyjne osiągnęły być może nawet jeszcze bardziej zaawansowany poziom. Ba i zarządzanie światem w sensie politycznym było o wiele łatwiejsze. Był świat kontrolowany przez kilka zaledwie kolonialnych i neokolonialnych imperiów. Starły się one wszakże w samobójczej batalii. Po I wojnie światowej albo zakończyły swój żywot, albo weszły nieodwołalnie w stadium agonii. Po II wojnie światowej zostały się tylko dwa kolosy. A kiedy rozsypał się ZSRR, jedynym hegemonem można było nazywać już tylko Stany Zjednoczone. Trzymanie świata całego na ich barkach okazało się zadaniem niewykonalnym.

Dziś globalizujący się świat bardziej postrzegany jest w kategoriach politycznej fragmentacji. Rosnąca ilość państw ma być dowodem na działania nieubłagane praw entropii. W istocie entropia, jak powtarzam to przy każdej nadarzającej się okazji, jest matką wszystkich praw politycznego rozwoju.

Ale jest w tej nowej globalizacji zupełnie nowy jakościowo element. Rola czynnika wartości właśnie. Toruje sobie drogę nowy uniwersalizm, tym razem uniwersalizm oparty na wspólnocie przeznaczenia. W polityce zagranicznej zaś coraz silniej zaznaczają się wartości. W czasach zimnej wojny można było je postrzegać bardziej jako oręż polityczny wykorzystywany przez wolny świat w sporze z komunizmem. Dziś czynnik wartości jest celem samym w sobie.

Przełamywane są w ten sposób ograniczenia myślenia plemiennego, okiełznywane narodowe egoizmy, wychodzi na plan pierwszy troska o dobro wspólne. Jeszcze nie bez problemów, jeszcze nie zawsze konsekwentnie, jeszcze nie całkiem powszechnie.

W rozmowach o lepszym urządzeniu świata zaznacza się głęboka inercja myślenia. Dominuje przekonanie o potrzebie komasacji struktur zarządzania, przewyciężenia kakofonii i chaosu wynikającego z samej ilości podmiotów współpracy międzynarodowej. Jednym marzą się kontynentalne ugrupowania integracyjne, innym nowe wydanie (tym razem liberalne) imperiów, innym dyktoriały globalnych graczy (ale tym razem bez podporządkowanych im stref wpływów). A gdzieś ledwie na obrzeżach krąży idea państwa światowego. Idea to niebezpieczna, bo oznaczałaby kres dotychczasowego modelu polityki międzynarodowej i niewątpliwie kres tego wszystkiego, co określiłem na wstępie jako igrzysko narodów. Ale może w dalekiej perspektywie jedyna rozsądna z punktu widzenia rozwoju cywilizacyjnego świata.

1. Bezpieczeństwo zbiorowe

Historycznie długo do świadomości politycznych decydentów Europy docierało, że środowisko bezpieczeństwa jest systemem naczyń połączonych. Wojny w Europie od XVII wieku zaczęły wciągać w swe miażdżące żarna coraz szersze konstelacje. A kiedy już na kontynencie objawiały się skutki polityki imperialistycznej, stało się oczywiste, że bezpieczeństwo stoczyło się do poziomu kolektywnej gry o sumie zerowej. I wojna światowa zaczęła się od dwustronnego sporu imperialnych Austro-Węgier z maciupką przeciw Serbii. Jej losy nie mogły być wszakże obojętne jakże oddalonej od niej geograficznie Rosji. Podobnie jak Wielka Brytania nie mogła pozostawać obojętna w sytuacji naruszenia neutralności maciupkiej przeciw Belgii przez Niemcy. I tak

niepozorne czasem klocki domina uruchomiły wielkie światowe zamieszanie i zagładę milionów ludzi.

Widmo niepoddającego się okiełznaniu domina musiało stać u źródeł koncepcji bezpieczeństwa zbiorowego.

Od ponad stu lat krąży ona z różnym szczęściem po dyplomatycznych salonach. Agresja Rosji przeciw Ukrainie w 2022 r. zadała koncepcji dotkliwy cios. Nie zadziałały mechanizmy bezpieczeństwa zbiorowego wpisane w Kartę Narodów Zjednoczonych. Okazują się bezużyteczne, jeśli państwo-agresor, czyli Rosja, dysponuje prawem weta blokującym ich uruchomienie. Nie zadziałały namiastki bezpieczeństwa zbiorowego wpisane w ramy OBWE (tzw. zasada solidarności w obliczu łamania norm i zasad OBWE). Nawet NATO nie było gotowe wystąpić jako gwarant bezpieczeństwa zbiorowego (wzorem operacji przeciw Serbii w 1999 r.), bo nie chciało otwartego konfliktu z Rosją, co groziłoby wywołaniem wojny nuklearnej. Ukraina musiała samotnie stawić czoła Rosji w wymiarze fizyczno-militarnym. Cieszyła się szerokim wsparciem na Zachodzie (dostawy broni, pomoc humanitarna, sankcje przeciw Rosji), choć wśród państw rozwijających dominowała postawa: "nasza chata z kraja", co dla koncepcji bezpieczeństwa zbiorowego w wymiarze globalnym jest postawą zabójczą. Jeśli więc potraktować wojnę Rosji przeciw Ukrainie jako *experimentum crucis*, to siła bezpieczeństwa zbiorowego okazała się mikra. A dla ONZ i OBWE oceny ich przydatności wyglądać powinny wręcz dramatycznie.

Politycy Zachodu nie potrafią do dziś wyciągnąć z tego zasadniczych wniosków. Dać sobie ostatecznie spokój z doktryną zbiorowego bezpieczeństwa, jak od lat postulowali realisci, wskazując, że jej iluzoryczne założenia czynią dla stabilności międzynarodowej więcej szkody niż pożytku, czy też spróbować odbudować ją na nowo?

Istotą doktryny bezpieczeństwa zbiorowego jest uznanie, że w środowisku międzynarodowym naruszenie obowiązujących reguł odbija się negatywnie na bezpieczeństwie każdego z członków społeczności (zasada niepodzielności bezpieczeństwa) i wymaga zbiorowego działania. Dla zawiązania się reżimu bezpieczeństwa zbiorowego wymagane jest zatem skatalogowanie norm i reguł, mechanizmów oceny zachowania państw względem tych reguł, a co najważniejsze – sposobów i procedur reagowania na naruszenie ustalonych norm. Wszystko to może ładnie wyglądać na papierze, ale musi być podparte wykształceniem odruchu solidarnego działania w przypadku pogwałcenia reguł. Bez tego bezpieczeństwo zbiorowe okaże się zamkiem z piasku.

Za ojca doktryny uważa się, przynajmniej w Ameryce, prezydenta Woodrowa Wilsona. Obejmował on urząd Prezydenta USA naładowany akademicką wiedzą i wzniosłymi ideałami. Wprowadził Stany Zjednoczone do I wojny światowej z ambitniejszą wizją przebudowy mechanizmów polityki międzynarodowej. Nie po to zatem, by jedynie zatrzymać Niemcy, a potem pomóc odtworzyć w Europie równowagę sił epoki ponapoleońskiej. Chciał, aby wojna stała się swoistym katharsis i istotnie położyła koniec wszystkim wojnom. Chciał oczyścić porządek międzynarodowy z butwy siłowej polityki dla zapewnienia triumfu pokojowych i demokratycznych wartości.

Ideą fixe Wilsona w polityce międzynarodowej było wprowadzenie arbitrażu jako uniwersalnego środka rozwiązywania sporów i zapobiegania wojnom. Nowe podejście do dyplomacji chciał zademonstrować negocjując traktaty arbitrażowe USA z zagranicznymi partnerami. I wynegocjowano ich jeszcze do wybuchu I wojny światowej ponad trzydzieści. Żaden wszakże nie został w praktyce uruchomiony. Co nie znaczy, że sama idea była zła. Ale niewątpliwie zbyt idealistyczna dla praktycznego zastosowania w tamtym czasie. Zresztą strach przed arbitrażem utrzymuje się do dziś. Bo niestety w polityce międzynarodowej nadal obowiązuje zasada, że "sąd sądem, ale sprawiedliwość musi być po naszej stronie". Zwłaszcza w sporach terytorialnych. (Ukraina miała odwagę zgodzić się na rozstrzygnięcie jej sporu z Rumunią o delimitację wód i szelfu wokół Wyspy Wężowej przez Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości, który większość

spornego obszaru przyznał w 2009 r. Rumunii. Ale to przypadek rzadki. Bo Rosja, która, niemalże jak genetyczny furfant, twierdziła po 2014 r., że aneksja Krymu była zgodna z prawem międzynarodowym, nigdy Hagi o rozstrzygnięcie nie poprosiła. Wiedziała, że przegra). Państwa nie chcą godzić się w ciemno na rozstrzygnięcia, które nie gwarantują im satysfakcjonującego wyniku. Wolą raczej, jeśli rozwiązywać mają spory pokojowo, czynić to w drodze negocjacji. Bo wtedy mają poczucie jakiejś kontroli nad procesem. Nawet negocjując z o wiele silniejszym oponentem. W sumie szkoda jednak, że arbitraż tak rzadko jest stosowany.

W trakcie I wojny światowej Woodrow Wilson promował ideę systemu międzynarodowego opartego na wartościach. Jego filarami miały być zasada pokojowego rozstrzygania sporów, zasada samostanowienia narodów, a także demokratycznej odpowiedzialności rządów (odrzućcie rządów „arbitralnych”), a ich wdrożeniu miało służyć zbudowanie „wspólnoty siły” („community of power”). Nieprzewidywalny i spontaniczny system reagowania na wyzwania i zagrożenia zastąpiony byłby przez sztywny i przejrzysty system zmuszający do współdziałania wszystkich uczestników. Stabilność gwarantowałyby nie doraźne koalicje określone przez okolicznościowy wspólny mianownik partykularnych interesów lecz rygorystyczny, algorytmiczny mechanizm współpracy.

Apoteozą wilsonowskiej wizji zbiorowego bezpieczeństwa stała się Liga Narodów. Ale okazała się dziecięciem słabowitym i skazanym na atrofie. Skazą śmiertelną Ligi Narodów była od zarania nieobecność Stanów Zjednoczonych. Przekreślało to jej aspiracje do globalnej uniwersalności. A system zbiorowego bezpieczeństwa nie zadziała, jeśli nie jest systemem powszechnym. Problem był tym większy, że Stany Zjednoczone były wówczas nie tylko największą potęgą gospodarczą świata, ale i pomysłodawcą całego przedsięwzięcia, czyli Ligi Narodów. Nikt więc nie poczuwał się do odpowiedzialności za jej sukces. Wlk. Brytania w pewnej mierze zainwestowała politycznie w Ligę najwięcej, ale nie tyle, by zbudować swoją politykę w międzywojniu na zasadzie bezpieczeństwa zbiorowego. Istniała więc instytucja bezpieczeństwa zbiorowego, ale jej członkowie prowadzić bynajmniej polityki bezpieczeństwa zbiorowego albo nie chcieli, albo nie mogli.

Nieobecność Niemiec i ZSRR dodatkowo osłabiała misję uniwersalności. A bezkonsekwencyjne wyjście Niemiec z Ligi w 1933 r. (po zaledwie siedmiu latach członkostwa) kazało ją traktować jako kwiatek do kożucha europejskiego systemu Realpolitik.

Na papierze Liga Narodów była skonstruowana jako doskonały mechanizm zbiorowego bezpieczeństwa. Artykuł 11 czynił każdy akt wojny czy groźby wojny przedmiotem troski całej Ligi i dawał jej prawo do podjęcia działań, które by zabezpieczyły pokój. A Pakt Brianda-Kelloga z 1928 r. wyjmował spod prawa wojnę, a ściślej - uciekanie się do wojny jako środka rozwiązywania sporów.

Aby uniknąć rozbieżności wokół definicji aktu wojny, podjęto wysiłek zdefiniowania agresji, co zapisano w dwóch konwencjach z 3 i 4 lipca 1934 r. Aktem agresji było wypowiedzenie wojny, inwazja sił zbrojnych na terytorium innego państwa, atak ze strony sił lądowych, morskich i powietrznych, blokada morską, wspieranie zbrojnych band działających na terenie innego państwa.

Ligę Narodów sparaliżował brak zdolności do uwspólnienia percepcji zagrożeń, brak identyfikacji człołowych członków Ligi z peryferyjnymi lub niesystemowymi w ich mniemaniu zagrożeniami. Kiedy w 1931 r. Japonia zajęła Mandżurię i inne obszary Chin, próbowano przyjąć rezolucję żądającą wycofania Japonii z zajętych terytoriów. Po roku deliberacji (w cieniu japońskiej groźby zawetowania rezolucji) inwazję potępiono, ale bez wezwania do działań retorsyjnych. Japonia zaś opuściła Ligę bez jakichkolwiek ceregieli. Podobnie bezsilna okazała się Liga po włoskiej inwazji na Abisynię. Żadne poważne działania nie nastąpiły (również dlatego, że pewni politycy w

Londynie i Paryżu łudzili się, że można będzie powstrzymać Włochy przed wejściem w ścisły sojusz z hitlerowskimi Niemcami). A Włochy i tak wyszły w 1937 r. z Ligi Narodów.

W ten sposób brak gotowości do zdecydowanego działania, przede wszystkim ze strony Wlk. Brytanii i Francji, przykrywany drobnymi kalkulacjami taktycznymi, a wręcz wymówkami, sprowadził Ligę do roli papierowego tygrysa. Mało kto traktował ją poważnie.

Kiedy Niemcy zajmowali Austrię w 1938 r., a potem Czechosłowację, a Włochy w 1939 r. – Albanie (okupowana przez Włochy Albania sama wycofała się z Ligi Narodów), Liga Narodów była już kompletnie pozbawiona znaczenia. Niesławne dictum Chamberlaina o bezsensowności wszczynania wojny z powodu jakiejś kłótni w odległym kraju było nekrologiem dla europejskiego systemu zbiorowego bezpieczeństwa. Albowiem wiarygodność systemu zasada się właśnie na gotowości do działania w przypadku takich właśnie kłótni w małych i odległych krajach.

Wybuch II wojny światowej został przez Ligę odnotowany mimochodem, jedynie *ex post* w raporcie rocznym. Jest znamienne, że dana Lidze prerogatywa usunięcia z jej składu państwa winnego agresji została użyta tylko raz. 14 grudnia 1939 r. wykluczono z Ligi Narodów ZSRR po jego inwazji na Finlandię. Nota bene, ów wykluczony za agresję ZSRR gębę miał pełną frazesów o bezpieczeństwie zbiorowym, pretendował cynicznie do roli jego propagatora w latach 30-ych ubiegłego wieku.

Organizacja Narodów Zjednoczonych powołana do życia w 1945 r. miała wyciągnąć wnioski z niepowodzeń Ligi Narodów. Bo i II wojna światowa była i bardziej światowa, i bardziej niszczycielska. Weszły w skład ONZ wszystkie zwycięskie mocarstwa, w tym USA (no i oczywiście ZSRR). Jej mandat i konstrukcja były odzwierciedleniem rooseveltowskiej koncepcji „światowych żandarmów”, w której gwarantami pokoju i zbiorowego bezpieczeństwa miały być wielkie mocarstwa. Karta Narodów Zjednoczonych nakładała więc odpowiedzialność za zachowanie pokoju na Radę Bezpieczeństwa, upoważniając ją do podejmowania środków obowiązkowych w stosowaniu przez wszystkich członków organizacji. I zapewniła uniwersalność członkostwa w ONZ. Jednocześnie dała gwarancje wielkim mocarstwom, że nie będzie ONZ działała wbrew ich interesom. Wyposażyła ich w prawo weto.

Nie uwzględniono wszakże, że ów mechanizm może skutecznie zadziałać tylko wtedy, kiedy wielkie mocarstwa są w stanie zgodnie współpracować. W ostateczności może działać, jeśli niektóre z nich są słabe i pozbawione ambicji rywalizacyjnych, ale jeśli wstępują na drogę konfrontacji i to globalnej, wtedy najbardziej nawet peryferyjne ognisko zapalne może być postrzegane w kategoriach globalnego „kto kogo”, a wtedy ze współdziałania nici.

Czy w Dumbarton Oaks i potem w San Francisco zabrakło Amerykanom i Brytyjczykom wyobraźni? Czy euforia zwycięstwa nad Niemcami i Japonią wyłączyła im światełka alarmowe? Bo już po kilkunastu miesiącach stało się jasne, że zgodnego współdziałania z ZSRR nie będzie, że będzie konfrontacja, że Radę Bezpieczeństwa sparaliżuje sowieckie weto.

Organizacja Narodów Zjednoczonych zadziałała w skuteczny sposób jako mechanizm bezpieczeństwa zbiorowego jedynie w Korei w 1950 r. i w Iraku w 1991 r. (po inwazji irackiej na Kuwejt). Działania militarne pod sztandarem ONZ w Korei były możliwe, bo delegacja sowiecka, bojkotując posiedzenia Rady Bezpieczeństwa, nie użyła prawa weta. A w Iraku - bo ZSRR się rozpadła (dziś pewno Rosja zablokowałaby podobną operację).

W okresie zimnej wojny działalność Rady Bezpieczeństwa stała się zakładnikiem globalnej konfrontacji dwóch światowych obozów. Aktom agresji nie była w stanie się przeciwstawić. Wszystko, co było możliwe, to angażowanie ONZ do działań rozjemczych i stabilizacyjnych (w Palestynie od 1948 r., na Wzgórzach Golan od 1974 r., na Cyprze od 1964 r., w Indiach i Pakistanie

od 1949 r., i w ponad pół setki innych miejsc). Bo i stawka w tej konfrontacji w miarę narastania potencjałów broni jądrowej stawała się wręcz egzystencjalna.

Koniec zimnej wojny rozbudził ponownie nadzieje na wykreowanie zdolności ONZ do zapewnienia zbiorowego bezpieczeństwa. W Pradze w listopadzie 1990 r. prezydent USA George Bush ogłosił nowy ład światowy, ideę „wspólnoty wolności”, opartej na zasadach wolności i kierującej się zasadami praworządności, z silnym moralnym kręgosłupem. Otwartej dla każdego i z czasem mającej objąć cały świat. Operacja pod egidą ONZ w Iraku w 1991 r. miała zaznaczyć nowy początek w działaniach ONZ na rzecz bezpieczeństwa zbiorowego. Szybko jednak rzeczywistość zweryfikowała aspiracje. ONZ okazała się funkcjonalnie nieprzygotowana do powstrzymania konfliktów o charakterze wewnętrznym, wojen domowych, które zaczęły stanowić główne, jeśli chwilami nie wyłączne, zagrożenie dla międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa. A interesy wielkich mocarstw – USA i Rosji zaczęły znów rozjeżdżać się w przeciwnie strony, czyniąc rozwiązywanie konfliktów wewnętrznych (jak choćby obecnie w Syrii) uzależnione od relacji politycznych między wielkimi mocarstwami.

Słabość ONZ dała asumpt do wysuwania koncepcji, aby system bezpieczeństwa zbiorowego oprzeć na mechanizmach zbiorowej obrony, takich jak NATO, co próbowano sprawdzić w praktyce w związku z działaniami Serbii w Kosowie w 1999 r. A samemu NATO spróbowano nadać operacyjnie wymiar globalny (w kontekście jego zaangażowania w Afganistanie i przejścia w 2003 r. dowództwa nad siłami ISAF powołanymi przez ONZ). Bez trwałych konsekwencji.

Wspólne bezpieczeństwo nie dorównuje oczywiście sojuszowi pod względem oferowanych gwarancji, bo sojusz oparty jest na konkretnie sformułowanym zagrożeniu i konkretnie antycypowanej odpowiedzi. Sojusz, nawet jeśli nie ma wpisanego w swoje akty prawne bezwzględного obowiązku pomocy zbrojnej, to taka gotowość i zdolność do wspólnej reakcji jest w wysokim stopniu domniemana. W przypadku NATO jest oczywiste, że atak na jednego z członków będzie z zasady traktowany jako atak na wszystkich.

Zagrożenia w doktrynie bezpieczeństwa zbiorowego mają charakter abstrakcyjny, nie upodmiotowiony. Naruszycciele nie są zdefiniowani *a priori*. A gotowość państwa do zaangażowania się w imię usunięcia zagrożenia nie jest z założenia gwarantowana. Sojusz opiera się na wspólnej percepcji zagrożeń, wspólne bezpieczeństwo - bynajmniej niekoniecznie.

Jeszcze w latach siedemdziesiątych, w kontekście europejskiego odprężenia, pojawiła się koncepcja bezpieczeństwa kooperatywnego. Tak idealistycznie postrzegano kierunek ewolucji systemu norm i mechanizmów współpracy wykreowanych w ramach Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Idee te nie były wystawione na tak poważne próby, jak choćby inwazja sowiecka na Węgry w 1956 r. czy interwencja wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji w 1968 r., ale wprowadzenie stanu wojennego w Polsce w 1981 r. wywołało poważny kryzys na forum KBWE. I nakazywało zrewidować oczekiwania co do wykorzystania możliwości tego forum.

Idea bezpieczeństwa kooperatywnego odżyła na początku lat 90-ych. KBWE/OBWE znów zaczęła być postrzegana jako poletko budowania europejskiego systemu bezpieczeństwa zbiorowego. Nie zdołała ona wszakże zapobiec wybuchowi licznych konfliktów, w tym wewnętrznych (w Bośni i Hercegowinie, Gruzji, Mołdawii i in.). A odrodzenie się imperializmu rosyjskiego uniemożliwiło nie tylko rozwiązanie niektórych z owych konfliktów nawet do chwili obecnej, ale wywołało otwarte akty rosyjskiej agresji wobec innych państw (aneksja Krymu i wsparcie separatyzmu donbaskiego w 2014 r., inwazja na Ukrainę w 2022 r.).

Wczesną jesienią 1992 r. czas wypełniała mi praca nad polskim projektem Kodeksu postępowania państw w dziedzinie bezpieczeństwa w ramach procesu KBWE. Pisanie szło mi sprawnie, bo przekonany byłem do słuszności pomysłu, ale postanowiłem wyczekać, aż swoją propozycję opracuje Zachód. W październiku 1992 r. wszakże otrzymałem poufnie sygnał, że zachodniej

propozycji nie będzie. Jeden z zachodnioeuropejskich dyplomatów przyznał, że chcieli oni, aby projekt Kodeksu był pierwszym istotnym dokumentem politycznym firmowanym przez Unię Europejską (formalnie wtedy jeszcze Wspólnotę). Ale pomysł blokowali Amerykanie (poprzez działania w ramach NATO). Nie tylko dlatego, że uważali, że w sprawach bezpieczeństwa to NATO powinno być platformą koordynacji stanowisk Zachodu. Blokowali, bo na sam pomysł Kodeksu patrzyli podejrzliwie. Zachęcali mnie więc zachodnioeuropejscy koledzy, abyśmy jako Polska swoją propozycję złożyli nie czekając na nich. Nieformalnie byliśmy nieustannie ponaglani do złożenia projektu, co mnie oczywiście tylko mobilizowało do pracy. Przekonali nas i projekt polski pojawił się na stole. W ten sposób nasz tekst mógł uwzględnić kilka ważnych dla Europy Zachodniej pomysłów, nim udało się przewyciężyć opór Amerykanów. I pomóc przekonać atlantystów, że Wspólnota Europejska powinna złożyć jednak swoją propozycję, a samych Amerykanów (decydentów w Waszyngtonie), że gra (opracowanie Kodeksu) jest warta świeczki.

Z polskiego punktu widzenia najistotniejsze znaczenie miało wprowadzenie do tekstu Kodeksu zapisu, że każde państwo ma prawo wyboru rozwiązań w dziedzinie bezpieczeństwa: być członkiem sojuszu wojskowego lub nie, albo też przyjąć status neutralności. Chodziło o przygotowanie pola do rozszerzenia NATO. Rosja oczywiście propozycje te kontrowała. W swoisty sposób interpretowała zapis o niewzmocnianiu własnego bezpieczeństwa kosztem bezpieczeństwa innych. Katarynkę tę swoją zaczęła uruchamiać ponownie w końcu 2021 r. domagając się nowych dla siebie gwarancji bezpieczeństwa, czyli m.in. rezygnacji przez Ukrainę z dążeń do członkostwa w NATO.

Dla mnie osobiście ważna była nasza propozycja dotycząca tzw. klauzuli solidarności, która nakazywała solidarne działanie państw w przypadku naruszenia norm i zobowiązań KBWE. Była to niewątpliwie jedna z ostatnich prób nadania KBWE znamion organizacji bezpieczeństwa zbiorowego. Z dzisiejszej perspektywy, kiedy widać bezsilność instytucji w przypadkach jaskrawego naruszenia jej zasad, jak choćby przez Rosję wobec Ukrainy, można zakładać, że była nasza propozycja przejawem skrajnie naiwnego idealizmu.

Amerykanie z ociąganiem, ale zaakceptowali ideę Kodeksu, ale pod kategorycznym warunkiem, że pozostanie wyłącznie polityczną deklaracją. W listopadzie polski projekt złożyliśmy we Wiedniu (projekty zgłaszali też inni, w tym w końcu nawet Wspólnota Europejska), a wiosną 1993 r. zostałem wybrany koordynatorem prac negocjacyjnych. Szybko jednak z roli tej musiałem zrezygnować, bo we wrześniu 1993 r. powierzono mi obowiązki starszego doradcy dyplomatycznego pierwszego Sekretarza Generalnego KBWE. Rolę koordynatora przejął po mnie Adam Kobieracki, późniejszy ambasador przy OBWE i zastępca Sekretarza Generalnego NATO, i bardzo sprawnie doprowadził do uzgodnienia Kodeksu na szczycie KBWE w Budapeszcie w 1994 r.

Kodeks pozostał wszakże pustą deklaracją. Próba jego rozwinięcia w tzw. Karcie Stambulskiej z 1999 r. też niczego w sensie sprawczym nie dała. Europa pozostaje nadal bardzo oddalona od spełnienia wymogów bezpieczeństwa zbiorowego. Czy rosyjska agresja przeciw Ukrainie będzie służyć jako katharsis i zmusi Zachód do wzmocnienia mechanizmów bezpieczeństwa zbiorowego? Bo już nawet pozostawiając na boku casus Ukrainy, kiedy, dla przykładu, Azerbejdżan siłą przejmował w 2023 r. Górski Karabach, łamiąc dawane wcześniej zapewnienia i doprowadzając do totalnego exodusu mieszkających tam Ormian, społeczność międzynarodowa przyglądała się temu biernie.

Bezpieczeństwo zbiorowe może wyłonić się na dwa sposoby. Pierwszy to sposób szlachetny jako skutek działania dobrych cnót i wspólnych wartości. Tak opisywał wyłanianie się pokojowej federacji państw Kant. Wspólnotą dobrych, hesparyjskich cnót i wartości jest niewątpliwie Unia Europejska. Przynależność do niej oznacza gotowość do rozwiązywania sporów wewnętrznych wyłącznie drogą pokojową. Bezpieczeństwo zbiorowe w Europie może być osiągnięte metodą

geograficznego rozszerzania tej wspólnoty. A w każdym razie przyjmowania przez partnerów europejskich wspólnych wartości, czyli demokracji, praworządności i praw człowieka. W świecie jedyną nadzieją na zadziałanie podobnego mechanizmu byłaby koncepcja tzw. pokoju demokratycznego, czyli powszechny triumf demokracji na całym globie, a także związana z tym wiara, że demokracje wojen między sobą nie są skłonne prowadzić.

Drugim sposobem, i jedynym w warunkach istnienia państw „występnych”, „agresywnych”, „zbójcekich”, jest wprowadzanie pożądanego wzorców postępowania pod strachem przymusu i dotkliwych sankcji. Tak operowało bezpieczeństwo zbiorowe pod znakiem Świętego Przymierza w XIX wieku. Ale możliwe jest ono tylko wtedy, kiedy istnieje wystarczająco silne mocarstwo - agent przymusu i ma ono odpowiednią wolę polityczną. Niekoniecznie żandarm, ale niewątpliwie empatyczny lider, gotów angażować swoje siły do pilnowania ustalonego ładu. Oparcie globalnego systemu bezpieczeństwa zbiorowego na koncepcji Pax Americana, co było w praktyce owym drugim sposobem budowania bezpieczeństwa zbiorowego, okazało się niewystarczająco skuteczne i ponad siły Ameryki. A napięcia na linii Zachód-Chiny i Rosja uniemożliwiały przez lata wypracowanie spójnej politycznie tożsamości zbiorowej w ramach ONZ. A nie ma i nie będzie bezpieczeństwa zbiorowego bez tożsamości zbiorowej. Nawet jeśli musiałaby ona brać się ze wspólnoty strachu.

Lecz nawet jeśli taka wspólna tożsamość się pojawi, zawsze stosowanie zasad bezpieczeństwa zbiorowego rozbijać się będzie o chłodną kalkulację ryzyka porażki, a przede wszystkim kosztów działania. Pal jednak licho brak stanowczego działania, najgorsze zawsze jest milczenie, obojętność, hipokryzja, wmawianie sobie i innym, że nic się nie stało, kiedy dzieje się ewidentne zło, łamane są reguły, zadawane jest cierpienie.

2. Ograniczenie zbrojeń i rozbrojenie

Od kiedy spisywana jest historia stosunków międzynarodowych, ilość i jakość posiadanej broni określały poczucie bezpieczeństwa państwa, jego politykę, jego zachowanie wobec innych państw. Porównywanie potencjałów militarnych służyło ustalaniu hierarchii potęgi państw. Wyścig zbrojeń musiał więc stać się immanentną cechą środowiska międzynarodowego. Czynił wojny coraz bardziej destrukcyjnymi i totalnymi. Miał on i swoje dobre strony. Przyczyniał się do postępu technologicznego. Proch wynaleziono przypadkiem i na długo przed jego militarnym zastosowaniem, podobnie jak i dynamit nie powstał w laboratoriach wojskowych. Ale już współczesna technologia raketowa i energia atomowa były rozpracowane pod kątem wojskowego zastosowania. I wyścig zbrojeń osiągnął stadium, w którym zaczął zagrażać samej egzystencji ludzkiej cywilizacji.

Państwa zaczęły zajmować się ograniczaniem potencjałów militarnych i regulowaniem wyścigu zbrojeń stosunkowo niedawno. Ale bardzo szybko, zwłaszcza po II wojnie światowej, osiągnięto na tym polu całkiem imponujące rezultaty.

W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku Europa szczyła się wysoce rozbudowaną siecią porozumień rozbrojeniowych i budowy zaufania. Nie zapobiegły one wszakże rozpętaniu przez Rosję w 2022 r. najbardziej niszczycielskiej z wojen na kontynencie europejskim od czasu II wojny światowej. Wzniciła ją Rosja przeciw państwu, które w 1994 r. dobrowolnie zrezygnowało z broni jądrowej. Nie brakło więc głosów, że rozbrojenie to ułuda bezpieczeństwa, a najlepszą rękojmą nietykalności jest posiadanie własnego arsenału nuklearnego (casus KRLD). Czy Rosja stała się grabarzem doktryny rozbrojenia we współczesnym świecie?

Pogląd, że ograniczenie zbrojeń i ich redukcja jest sposobem wzmacniania bezpieczeństwa międzynarodowego ukształtował się późno – u progu dwudziestego wieku. Wielką w tym rolę odegrał Polak – Jan Gottlieb Bloch. Nazywa się go często w literaturze fachowej ojcem nowoczesnego pacyfizmu, akuszerem dojrzałej polemologii, ale także, a może i przede wszystkim, twórcą doktryny powszechnego rozbrojenia. Podobnie jak choćby Rafał Lemkin, jest w Polsce postacią wciąż niedocenianą (i nieuhonorowaną, bo ma ulicę swojego imienia tylko w Łodzi i to raczej za zasługi lokalne). W swoim wielotomowym dziele: „Przyszła wojna pod względem technicznym, ekonomicznym i politycznym” zakończonym w 1898 r. wykazał bezsensowność wojen, ich dewastacyjne skutki dla społeczeństw i gospodarek, wynikające z nieokiełznanego wyścigu zbrojeń i nowych śmiertelnych technologii.

Lektura dzieła Blocha zainspirowała cara Mikołaja II do wystąpienia z inicjatywą zwołania haskiej konferencji pokojowej w 1899 r. (Bloch wziął w niej udział jako osobisty gość cara Rosji). Pierwsza i druga (w 1907 r.) konferencje haskie były pionierskimi platformami dyskusji o rozbrojeniu i pokojowym rozstrzygnięciu sporów. Przeprowadzenie trzeciej konferencji haskiej uniemożliwił wybuch I wojny światowej.

Konferencje haskie pod względem rozbrojeniowym przyniosły niewiele, bo jedynie uzgodnienia o nieużywaniu balonów do zrzucania pocisków i ładunków wybuchowych oraz zakaz stosowania gazów trujących (bardziej znaczące były ustalenia dotyczące zasad prowadzenia działań zbrojnych i konwencje arbitrażowe). Od konferencji haskich przyjęto wszakże odmierzać historię rozbrojenia (gwoździ ucziwości niektórzy twierdzą, że pierwszym aktem rozbrojeniowym na Zachodzie była umowa strasburska z 1675 r. między Francją i Rzeszą Niemiecką zakazująca używania substancji trujących na polu walki). Wcześniej jeśli rozbrajano, to głównie pokonanych w wojnach i podbijanych w ekspansjach.

Doktryna traktująca rozbrojenie jako instrument polityki zagranicznej (bezpieczeństwa) przyniosła znaczne zaabsorbowanie korpusu dyplomatycznego negocjacjami w tej dziedzinie, ukształtowaniem całkiem solidnych zespołów kadrowych (i instytucjonalnych) w emeszetach USA, Rosji i większości państw europejskich.

I wojna światowa, której przecież konferencje haskie nijak nie zapobiegły, nie pogrzebała wiary w sens rozbrojenia. Wręcz przeciwnie. Traktat Wersalski co prawda jednostronnie rozbroił tylko Niemców, ale zawierał klauzulę, która do kroków rozbrojeniowych zobowiązywała w perspektywie inne mocarstwa, a utworzona wtedy Liga Narodów miała już cel rozbrojenia wpisany do swego statutu.

W okresie międzywojennym wymierne rezultaty osiągnięto w ograniczaniu zbrojeń morskich. Konferencje w Waszyngtonie (l. 1921-1922), Genewie (1927 r.), Londynie (1930 r. i 1935 r.) przyniosły zobowiązania traktatowe ograniczające parytetowo floty wojenne USA, Wlk. Brytanii (i dominiów), Japonii, Francji oraz Włoch. Japonia, która drugiego traktatu londyńskiego nie podpisała, postanowiła rozbroić na własną rękę swojego najgroźniejszego rywala na Pacyfiku atakując Pearl Harbor w 1941 r. Doświadczenia operacji morskich II wojny światowej nie mobilizowały po jej zakończeniu do rozwijania koncepcji ograniczenia zbrojeń morskich. Koncepcja ta okazała się na razie historycznie ważną, ale współcześnie ślepą uliczką rozbrojenia.

Niepowodzeniem zakończyły się próby ograniczenia zbrojeń lądowych w ramach Ligi Narodów. Tymczasową komisję do spraw zbrojeń powołano tam jeszcze w 1921 r. i choć uzgodnienia w jej ramach nigdy nie zostały sformalizowane, to dyskutowana tam idea zakazu broni chemicznej i biologicznej w konfliktach zbrojnych znalazła odzwierciedlenie w Protokole genewskim z 1925 r. Nową stałą komisję rozbrojeniową powołano w 1926 r. A duże nadzieje wiązano ze zwołaną w 1932 r. Konferencją Rozbrojeniową. Pracowała ona do 1937 r., ale już w 1933 r., kiedy po dojściu Hitlera do władzy Niemcy zaczęły domagać się równouprawnienia w zbrojeniach i opuściły pod

pretekstem braku rezultatów Konferencję i samą Ligę Narodów, jej losy były przesądzone. Zakończyła bezowocnie swoje prace w 1937 r. Nb. Polska złożyła na jej forum ciekawą koncepcyjnie propozycję w sprawie tzw. rozbrojenia moralnego. Wyprzedzała ona swój czas. Przydałaby się być może w dobie dzisiejszej i to nie tylko w świetle tzw. wojen hybrydowych. Konkretnych inicjatyw bynajmniej brak.

Postulat rozbrojenia wrócił ze świeżą siłą po II wojnie światowej. Karta Narodów Zjednoczonych wpisała rozbrojeniową rolę zarówno na listę zadań Rady Bezpieczeństwa, jak i Zgromadzenia Ogólnego. Wyzwaniem było pojawienie się w arsenale nowego rodzaju broni – broni nuklearnej. W 1946 r. Zgromadzenie Ogólne ONZ powołało w celu jego podjęcia Komisję Energii Atomowej. Zderzyły się na jej forum dwa podejścia do wyzwania nuklearnego. Stany Zjednoczone w Planie Barucha przedłożyły koncepcję międzynarodowej kontroli nad energią nuklearną, odrzuconą przez ZSRR pod pretekstem, że zalegitymizowałaby ona amerykański monopol na posiadanie broni jądrowej. ZSRR chciał całkowitego rozbrojenia nuklearnego. Nie brakuje dziś głosów, że zaprzepaszczono wtedy najlepszą okazję na denuklearyzację świata. Ale taka była logika zimnej wojny. Niestety.

Powołana w 1947 r. przez Radę Bezpieczeństwa ONZ Komisja do spraw zbrojeń konwencjonalnych, również ugrzęzła w sporach amerykańsko-sowieckich.

W 1952 r. Rada Bezpieczeństwa zaproponowała nowy format rozbrojeniowych prac – Komisję Rozbrojeniową. W 1960 r. z woli wielkich mocarstw wyłoniono tzw. Komitet Rozbrojeniowy dziesięciu państw, który miał stać się organem negocjacyjnym. Te formaty ulegały kilkukrotnym przekształceniom. W latach 1962-1968 działał Komitet Rozbrojeniowy 18 państw, w latach 1969-1978 Konferencja Komitetu Rozbrojeniowego, a od 1979 r. działa pod egidą ONZ Konferencja Rozbrojeniowa.

Powojenny wyścig zbrojeń nabrał niespotykanego w historii rozmachu. Doprowadził do wyposażenia armii państw świata (USA i ZSRR w pierwszym rzędzie) w kilkadziesiąt tysięcy głowic nuklearnych, mnogość środków jej przenoszenia zdolnych porazić każdy zakątek ziemi. Do tego dochodziły ogromne zapasy innych środków masowego rażenia, setki tysięcy czołgów i innej broni konwencjonalnej. Polityczne i ideologiczne spory czyniły wybuch nowej wojny światowej realną perspektywą nawet w wyniku błędnego odczytania intencji adwersarza, a stopień nasycenia śmiertelnością bronią groził zagładą świata, choćby w przypadku awarii techniki czy swobodnego „samozapłonu”.

Rozbrojenie stało się w czasie zimnej wojny najistotniejszą platformą dialogu międzynarodowego. Rzesze dyplomatów były zaangażowane w prowadzenie rokowań rozbrojeniowych. I to dyplomatów najwyższej klasy. Do rozbrojenia kierowano najsprawniejszych. Elitę dyplomacji. Bo i materia od strony czysto technicznej była wysoce skomplikowana. Nie było im łatwo. Między Wschodem a Zachodem wyrósł mur nieufności. Stanowiska stron i przedkładane propozycje analizowane były ze skrajną podejrzliwością. Obawiano się wzajemnie, że druga strona dąży pod płaszczykiem propozycji rozbrojeniowych do uzyskania jednostronnych korzyści, „wykiwania” przeciwnika. Rokowania rozbrojeniowe wymagały czasu i cierpliwości. Długimi godzinami rozprawiano o, wydawałoby się, mało znaczących szczegółach.

Geopolityka powodowała, że Wschód i Zachód polegały w swoich doktrynach wojskowych na różnych czynnikach kształtujących rozmiar i rozmieszczenie potencjałów wojskowych. Wschód mógł skomasować w Europie olbrzymi potencjał konwencjonalny, Zachód zaś budował obronę na zdolności do szybkiego przetrzutu wojsk amerykańskich na kontynent europejski. ZSRR rozwijał potencjał nuklearny w oparciu o rakiety balistyczne bazowania lądowego. USA musiały stawiać na siły morskie i powietrzne (zwłaszcza w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych). W końcu lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych narzucała się już z całą oczywistością koncepcja

paritetu w rozważaniu kształtu porozumień. Pomogła ona określić strategiczne zbrojenia nuklearne. Ale w rozbrojeniu konwencjonalnym ugruntowała się dopiero w końcu lat osiemdziesiątych.

Nie brakowało w ośrodkach decyzyjnych, i to po obu stronach, postaw cynicznych. Jeden z polskich wysokich dowódców wojskowych mawiał w gronie prywatnym jeszcze w połowie lat osiemdziesiątych, że całe to rozbrojenie to rozgrywka propagandowa między Moskwą i Waszyngtonem. „Każdy chce przekonać światową opinię publiczną, że chce pokoju bardziej niż druga strona, ale cały czas zbroi się na potęgę”. Wielu wszakże dyplomatów rozbrojeniowych traktowało swoją pracę jako misję. Każdy sukces na polu rozbrojenia mógł uchodzić za wkład w łagodzenie napięcia międzynarodowego, zmniejszanie ryzyka wojny, budowanie wzajemnego zaufania.

W latach sześćdziesiątych na niwie rozbrojeniowej osiągnięto już realne postępy. W 1963 r. zawarto traktat o częściowym zakazie prób nuklearnych. Traktat z Tlatelolco wynegocjowany w 1967 r. czynił Amerykę Łacińską strefą wolną od broni atomowej. W 1968 r. podpisano traktat o nieprolifracji broni nuklearnej.

Kontrola zbrojeń nuklearnych nabrała niezłej dynamiki w latach siedemdziesiątych za sprawą dwustronnych negocjacji między ZSRR i USA. Był to czas odprężenia. W 1972 r. uzgodniono porozumienie SALT I (zamrażające liczbę wyrzutni międzykontynentalnych rakiet balistycznych bazowania lądowego i morskiego) i traktat o obronie antybalistycznej. W 1979 r. podpisano traktat SALT II wprowadzający limity na wyrzutnie rakiet międzykontynentalnych i ciężkie bombowce oraz limity na liczbę pocisków wielogłowicowych. A w 1975 r. została zawarta powszechna konwencja zakazująca broń biologiczną. Ruszyły w 1973 r. negocjacje między państwami NATO i Układu Warszawskiego o ograniczeniu broni konwencjonalnej w Europie Środkowej. Szybko jednak pograżyły się w impasie (zakończono je w 1989 r. bez rezultatu).

W latach 80-ych po ciężkim kryzysie w relacjach ZSRR z USA w połowie dekady udało się przełamać impas i doprowadzić do podpisania w 1987 r. traktatu INF eliminującego raketową broń krótkiego i średniego zasięgu. Konferencja sztokholmska KBWE przyjęła w 1986 r. istotny pakiet środków budowy zaufania w Europie, wprowadzając m.in. możliwość przeprowadzania inspekcji na miejscu.

Lata dziewięćdziesiąte ubiegłego wieku to złoty okres rozbrojenia. ZSRR przygniety ciężarem zbrojeń poszedł na daleko idące redukcje zbrojeń konwencjonalnych w Europie w Traktacie CFE z 1990 r. Dokumenty wiedeńskie 1990 i 1992 r. wynosiły na nowy poziom wojskowe środki budowy zaufania. W 1992 r. państwa NATO i byłego Układu Warszawskiego podpisały Traktat o otwartych przestworzach, zezwalając na inspekcję z powietrza swojego terytorium. Ambitne cele realizowano na polu rozbrojenia strategicznego między Rosją i USA. W 1991 r. podpisano traktat START I przewidujący wprowadzenie limitów dla głowic nuklearnych (po 6 tys. sztuk) i środków przenoszenia (po 1600 jednostek). START II z 1993 r. obniżał pułapy głowic do jeszcze niższych wartości (3000 do 3500 sztuk), ale nigdy nie wszedł w życie. SORT z 2002 r. redukował je jeszcze bardziej, a został zastąpiony w 2010 r. przez nowy traktat START (który miał obowiązywać do 2021 r.). W 1996 r. udało się wynegocjować traktat o całkowitym zakazie prób jądrowych. Nie nabrał on niestety mocy prawnej. W 1993 r. podpisano konwencję o zakazie broni chemicznej, która weszła w życie w 1997 r.

Ale też od lat dziewięćdziesiątych, po upadku ZSRR i z końcem zimnej wojny, rozbrojenie przestało mieć już tak egzystencjalny wymiar jak poprzednio. Nie istniały wtedy poważne polityczne przesłanki używania nagromadzonych potencjałów. Większość, i to zdecydowaną, konfliktów zbrojnych zaczęły stanowić konflikty wewnętrzne, wojny domowe. Pojawiły się wojny „między ludami”, w których głównym narzędziem stała się broń lekka, strzelecka.

W nowym mileniu rozbrojenie pograżyło się w kryzysie. Jedynym jasnym płomieniem było zawarcie w 2017 r. traktatu o całkowitym zakazie broni nuklearnej. Wszedł on w życie w 2012 r., ale jest ignorowany przez mocarstwa nuklearne i wiele państw zachodnich.

Załamaly się zawarte w latach dziewięćdziesiątych porozumienia. Rosja najpierw zawiesiła stosowanie Traktatu CFE, a potem całkiem go porzuciła. Swoimi naruszeniami zmusiła USA do denonsacji Traktatu INF. USA wyszły także (a za nimi Rosja) z Traktatu o otwartych przestworzach. Zaledwie na dwa dni przed formalnym wygaśnięciem udało się w 2021 r. przedłużyć stosowanie Traktatu START (na kolejne pięć lat). Rosja znalazła się na cenzurowanym za użycie broni chemicznej („Nowiczok”), bo przecież deklarowała likwidację potencjału broni chemicznej na mocy konwencji z 1993 r.

Nie lepiej działo się na globalnych płaszczyznach rozbrojenia. Utworzony w 1991 r. rejestr broni konwencjonalnej nie stał się jeszcze w pełni uniwersalnym narzędziem (jedna trzecia państw żadnych danych dostarczać nie chce), a Protokół SALW z 2001 r. nie zatamował jeszcze skutecznie nielegalnego przepływu broni lekkiej i małokalibrowej w świecie.

W latach dziewięćdziesiątych mawiano, że porozumienia w rodzaju CFE czy Otwartych Przestworzy stanowią trwałe fundament bezpieczeństwa europejskiego, że są gwarancją stabilności na stulecia. Pisane wtedy rozbrojeniowe postylle mogą dziś razić nadmiernym entuzjazmem i naiwnością. Nie zakłócało samopoczucia nawet stopniowe podkopywanie tych tez przez działania rosyjskie. Okazało się, że stabilność się względnie utrzymywała, a porządek nie rozpadał, mimo że Rosja nie chciała czuć się wiązana porozumieniami rozbrojeniowymi (miała także „gdzieś”, jeśli nie literę, to na pewno ducha dokumentu wiedeńskiego o środkach budowy zaufania). Traktowała je jako gorset w uprawianiu polityki z pozycji siły w swoim najbliższym otoczeniu (wojna z Gruzją w 2008 r. czy z Ukrainą w 2014 r.), a przede wszystkim swoje odejście od porozumień wykorzystywała jako element szantażu psychopolitycznego wobec Zachodu. A rosyjska agresja na Ukrainę w 2022 r. przekreślała cały dorobek rozbrojenia. Przynajmniej w Rosji kultura rozbrojeniowa trwałej inhibicji przed instynktem przemocy nie wykształciła.

A teraz po agresji rosyjskiej na Ukrainę cała ta monumentalna budowla europejskiego rozbrojenia legła w gruzach. W tak poważnym kryzysie światowy system rokowań rozbrojeniowych nie znalazł się od lat trzydziestych ubiegłego wieku, kiedy kreskę na rozbrojeniu postawiły Niemcy (i Japonia). Czy da się dorobek lat minionych odbudować? Na razie wszyscy o tym milczą.

W 1997 r., kiedy szefowałem wydziałowi politycznemu Departamentu Systemu Narodów Zjednoczonych MSZ, powierzono mi rolę krajowego koordynatora implementacji Konwencji o zakazie broni chemicznej. Konwencja wchodziła wtedy w życie, trzeba było nam przygotować odpowiednie akty prawne i stworzyć mechanizmy realizacji jej postanowień. Musiałem opanować podstawową wiedzę o chemii, związkach chemicznych i technologiach przemysłowych. A chemia nigdy nie należała do moich ulubionych przedmiotów szkolnych.

Państwa-strony składały wtedy deklaracje o nieposiadaniu lub posiadaniu zasobów broni podlegających likwidacji. Zawsze przy deklarowaniu danych wojskowych na mocy porozumień międzynarodowych pojawia się problem, na ile deklarowane informacje odpowiadają stanowi faktycznemu. I zawsze trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, czy dane przedkładane przez państwa są wiarygodne. Konwencja o zakazie broni chemicznej stanowiła bezprecedensowe wyzwanie. Bo tak w istocie była ona konwencją o ograniczeniu przemysłu chemicznego. A dane o podlegających Konwencji związkach chemicznych (i ich prekursorach), ich produkcji i handlu nimi pochodzą przecież nie tylko od podmiotów państwowych, ale i prywatnych. W przypadku żadnej innej umowy rozbrojeniowej, z którą w długim moim doświadczeniu zawodowym miałem do czynienia, nie spotkałem się z tyloma sceptycznymi komentarzami ekspertów w haskiej siedzibie Organizacji ds. Zakazu Broni Chemicznej odnośnie do wiarygodności przedłożonych informacji. „Oj, kuglują i

będą kuglować” - słyszałem. Kiedy więc po latach wyplęła sprawa użycia „nowiczoka”, wszystkie te ówczesne szeptaki odżyły w mojej pamięci. Uświadomiły prawdę, że powszechne zakazy broni masowego rażenia (także nuklearnej i biologicznej) wymagają przede wszystkim elementarnego zaufania politycznego, które przekracza zdolności, jaką oferują istniejące techniki i procedury weryfikacyjne, choćby najbardziej wnikliwe i rygorystyczne. Żadna preskrypcja nie będzie skuteczna, jeśli nie towarzyszy jej zaufanie. Ten brak zaufania zahamował postępy w negocjacjach rozbrojeniowych na wielu kierunkach. Genewska konferencja rozbrojeniowa stała się już u progu naszego milenium symbolem marazmu.

A mimo wszystko rozbrojenie jest zachodu dyplomatyczne warto. Prometejskie marzenie Blocha o powszechnym rozbrojeniu nie powinno przestawać inspirować dyplomatów.

3. Międzynarodowa ochrona prawa człowieka

Czy jest coś bardziej szlachetnego od troski o godność i pomyślność nie tylko własnego obywatela, ale i obcoziemca żyjącego w odległym nieraz kraju, czy jest coś bardziej prometejskiego w polityce od starań, aby zapewnić jego prawom należytą ochronę i to nawet wbrew życzeniom jego państwa? Nie dla wszystkich to ewidentne. Nadal dla elit wielu państw troska o prawa człowieka to jedynie przykrywką dla ingerencji w sprawy wewnętrzne, której celem jest osłabianie innego państwa, rozbijanie jego spójności od wewnątrz po to, aby łatwiej było realizować innym własne interesy. A jednak, jeśli czymś mierzyć postęp w stosunkach międzynarodowych, rozwój cywilizacyjny jako taki, to czynnik praw człowieka w polityce międzynarodowej jest jednym z oczywistych mierników. Zaczął on zmieniać politykę międzynarodową stosunkowo niedawno.

W przemówieniu inauguracyjnym wygłoszonym w styczniu 1977 r. prezydent USA Jimmy Carter zadeklarował bezgraniczne oddanie nowej Administracji sprawie praw człowieka. Słowa starał się przez całą kadencję (choć tylko jedną) dotrzymać. Uczynił prawa człowieka kluczowym elementem polityki zagranicznej USA. Stały się one mocnym orężem politycznym w starciu z blokiem komunistycznym. Ale wystawiły też na cierpkie słowa krytyki zadeklarowanych sojuszników Ameryki, zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej. To z postacią Cartera przyjęto wiązać początek złotej ery praw człowieka w polityce międzynarodowej.

Carter był z przekonania moralistą. Pomysł uczynienia praw człowieka osią doktryny polityki zagranicznej (nawet jeśli stała za tym motywacja czysto geopolityczna) uzyskał więc wiarygodnego patrona. Koncepcja praw człowieka zrewolucjonizowała paradygmat stosunków międzynarodowych. Wyrażała utopijną wiarę w możliwość przekroczenia zasady suwerenności i zasady nieingerencji w sprawy wewnętrzne państw narodowych w imię powszechnego zagwarantowania podstawowych praw jednostki, stworzenia prawnomiędzynarodowej i politycznomiędzynarodowej ochrony jednostki ludzkiej. Nakładała na państwa imperatyw dbania nie tylko o obywateli własnych, ale i o los obywateli obcych państw, a w konsekwencji – całej cywilizacji ludzkiej. Jest ona więc doktryną prometejską w najczystszej postaci.

W obiegu politycznym prawa człowieka pojawiły się z Oświeceniem. Amerykańska Deklaracja Niepodległości z 1776 r., francuska Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela z 1789 r. odzwierciedlały przypływ przekonań liberalnych w myśleniu o państwie (a wyrastały, chcąc – nie chcąc, z głównego nurtu chrześcijaństwa). Nie przekładał się ów liberalny manifest jeszcze na czynną postawę misyjną wobec innych narodów. A nawet jeśli, to dość szybko mógł się zdyskredytować - i w wydaniu francuskim (pacyfikacja Haiti, okupacja Hiszpanii), i wydaniu amerykańskim (ekspansja na Dzikie Zachód a prawa Indian, niewolnictwo Afroamerykanów).

Tradycję walki o prawa człowieka wywodzimy oczywiście od jeszcze bardziej zamierzczłych czasów. Kamieniami milowymi była i Magna Carta z 1215 r., i Bill of Rights z 1689 r. w historii angielskiej, czy też choćby Nihil Novi z 1505 r. i Artykuły henrykowskie z 1573 r. w historii polskiej. Ale akty te były nie tyle apoteozą koncepcji naturalnych praw jednostki ludzkiej, co instrumentami ograniczenia praw i władzy monarchy, władcy, suwerena. Koncepcja naturalnych praw rozkwitła politycznie dopiero z Oświeceniem.

Liberalizm wraz z dziewiętnastowiecznym rozbudzeniem tożsamości etnicznych wdał się w mariaż z nacjonalizmem. Efekt owej ideowej kontaminacji - liberalny nacjonalizm dobitnie wyraziła myśl Mazziniego, że bez własnego państwa narodowego jednostka ludzka pozbawiona będzie podstawowych praw wolnościowych. Włosi wypychając obcych ze swoich ziem i jednocząc kraj w XIX w. walczyli jednym słowem o prawa człowieka.

Ruchy socjalistyczne i komunistyczne toczyły bój o władzę na platformie emancypacji klas uciśnionych i zagwarantowania podstawowych praw socjalnych.

O wiele czystszy przekaz znaczenia praw człowieka płynął na przełomie XIX i XX w. z ruchu sufrażystek i walki o prawa kobiet. Po pierwszej wojnie światowej zajął społeczność międzynarodową jednak przede wszystkim problem mniejszości narodowych. Prawa człowieka jako takie w pracach choćby Ligi Narodów zupełnie się nie zaznaczyły, ale prawa mniejszości owszem, choć niestety często traktowane były w sposób instrumentalny, o czym przekonała się m.in. Polska.

Prawa człowieka po raz pierwszy weszły na agendę wielkiej polityki międzynarodowej w czasie II wojny światowej. Anglosascy alianci próbowali z ich pomocą zbudować alternatywną wizję świata i państwa w opozycji do faszystowskich totalitaryzmów. Roosevelt chciał w Karcie Atlantyckiej z 1941 r. odzwierciedlić swoją wizję „czterech wolności”, ale choć znalazło się w niej odwołanie do prawa narodów do samostanowienia, terminu „prawa człowieka” - gwoli sprawiedliwości - daremno tam szukać. Pojawia się on dopiero w Deklaracji Narodów Zjednoczonych z 1942 r.

W Karcie Narodów Zjednoczonych z 1945 r. prawa człowieka, choć gromko wyartykułowane, pełniły wszakże rolę raczej ornamentacyjną. Żadnych praktycznych skutków dla samej organizacji nie generowały. Zmobilizowały wszakże grupę wybitnych jednostek do opracowania aktów normatywnych, które by słabości Karty z nawiązką rekompensowały. Za sprawą Rafała Lemkina przyjęto 9 grudnia 1948 r., będącą oczywistą reakcją na Holokaust (a wyrosłą inspiracyjnie jeszcze z tragedii Ormian w 1915 r.), Konwencję w sprawie ludobójstwa, a za sprawą m.in. René Cassina – w dzień później – 10 grudnia 1948 r. - Powszechną Deklarację Praw Człowieka. Nie udało się wszakże zrealizować idei Światowego Trybunału Praw Człowieka (pomysłu Sir Herscha Lauterpachta, jak Lemkin polskiego Żyda, a wybitnego brytyjskiego prawnika). Trzeba było szukać rozwiązania wyłącznie europejskiego (Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu). A prace nad powszechnymi Paktami Praw Człowieka przedłużyły się do 1966 r.

Prawa człowieka nabrały szybko antykomunistycznej konotacji. Ale w sensie politycznym, poza dyskursem o zniewolonym świecie oddzielonym od Zachodu „żelazną kurtyną”, politycznie w latach pięćdziesiątych nie były w rozgrywce z blokiem sowieckim grosso modo samoistną kwestią. Pojawiały się w komunikatach państw zachodnich (i dialogu politycznym) w kontekście prześladowania Kościoła katolickiego w państwach bloku sowieckiego (uwięzienie kardynała Mindszenty'ego, arcybiskupa Berana i wielu innych), w wysiłkach na rzecz umożliwienia łączenia rodzin, w krytyce za ograniczanie swobód obywatelskich (zamykanie niezależnej prasy, represje za wyrażanie poglądów, praktykowanie fałszowania wyborów).

Na forach międzynarodowych, zwłaszcza w ONZ, utrwalił się schemat debaty, w której państwa zachodnie koncentrowały się na swobodach politycznych i obywatelskich (i krytykowały blok wschodni za ich ograniczanie), państwa socjalistyczne zaś głosiły priorytet praw społecznych i

ekonomicznych (i chwaliły się osiągnięciami, ganiąc Zachód za niezdolność do zagwarantowania prawa do pracy, etc.). Przypominało to niekończące się dywagacje o wyższości Świąt Wielkanocy nad Świątami Bożego Narodzenia. Wpływu na politykę wewnętrzną państw opresyjnych nie miało to żadnego.

Lata sześćdziesiąte XX wieku to dekada dekolonizacji. Znaczący twierdzą, że dekolonizacja promowała prawa człowieka w sposób regresywny, albowiem wzmacniała zasadę suwerenności. W istocie nie o prawa jednostki przecież w niej chodziło, lecz o samostanowienie narodów. I nie przypadkiem Deklaracja ONZ o przyznaniu niepodległości krajom i narodom kolonialnym z 1960 r. nie wspominała o prawach człowieka w ogóle.

Prawa człowieka znalazły się na dalekich peryferiach polityki międzynarodowej. Dwudziestą rocznicę uchwalenia Deklaracji Praw Człowieka społeczność międzynarodowa postanowiła świętować w 1968 r., ni mniej ni więcej, w Teheranie szachinszacha Pahlawiego. Sic!

Tymczasem koniec lat sześćdziesiątych to okres formowania się grup dysydenckich i obrony praw człowieka w bloku sowieckim. Polski marzec, praska wiosna 1968 r. były katalizatorami wzrostu świadomości społecznej odnośnie do represyjności systemu sowieckiego. W samym ZSRR zaczął już krzepnąć ruch dysydencki.

Epoka odprężenia sprzyjała wprowadzeniu kwestii praw człowieka na agendę relacji Wschód-Zachód. Przełomową w tym rolę odegrał proces helsiński. Blok socjalistyczny dążył do usankcjonowania terytorialno-politycznego pojałtańskiego status quo. Usatysfakcjonowany zapisami, które legitymizowały pośrednio ustrój socjalistyczny w państwach wschodnich, zgodził się na wpisanie poszanowania praw człowieka jako jednej z dziesięciu zasad Aktu Końcowego KBWE z 1975 r. Rozrósł się także tzw. trzeci koszyk KBWE, w którym zapisano zobowiązania do ułatwiania kontaktów międzyludzkich (a także dostępu do informacji, dostępu do dóbr i wartości kultury, wymiany w dziedzinie edukacji i in.).

Albowiem początkowo skromnym priorytetem Zachodu było ledwie ułatwienie kontaktów (choćby pocztowych i telefonicznych) i łączenie rodzin. Nie wiązano KBWE z możliwością zmian systemowych w państwach socjalistycznych – wolnymi wyborami, swobodą słowa czy zgromadzeń. Pierwotny kontekst dla dyskusji na forum KBWE o prawach człowieka stanowiło utrudnianie przez reżimy wschodnie wyjazdu w ramach łączenia rodzin, emigracja Żydów z ZSRR czy wyjazd osób narodowości niemieckiej z Polski. Jeszcze zresztą w 1974 r. w Stanach Zjednoczonych przyjęto poprawkę Jacksona-Vanika, która uzależniała klauzulę najwyższego uprzywilejowania od liberalizacji praktyk emigracyjnych w ZSRR. Tak próbowano stworzyć dźwignię wpływu wykorzystując zainteresowanie Wschodu kontaktami gospodarczymi, kredytami i technologiami zachodnimi.

Mało kto – i na Zachodzie, i na Wschodzie – przypuszczał, że zapisy Aktu Końcowego staną się tak silną inspiracją dla ruchów opozycyjnych w bloku wschodnim. Nawet takie tuzy strategii jak Kissinger. Z lekceważeniem odnosił się on do rokowań KBWE. Publicznie ogłaszał, że jak dla niego, to postanowienia „trzeciego koszyka” mogłyby być sporządzane w języku ki-suahili. Zgodził się w 1975 r. na utworzenie w Departamencie Stanu Biura ds. praw człowieka, ale materiałów sporządzanych przezeń ponoć nie chciał nawet oglądać. Zmienił co prawda później zdanie o KBWE, ale przyszło mu to z oporem.

Strategia opozycji demokratycznej w swojej prostocie okazała się nad wyraz skuteczna. Nie chodziło w niej o udowadnianie, że socjalizm jest zły, ale o domaganie się wykonywania przez władze dobrowolnie przyjętych na siebie zobowiązań. Karta 77 w Czechosłowacji, KOR i ROPCiO w Polsce mogły powoływać się na konkretne zapisy dokumentów KBWE. Wszędzie na Wschodzie zaczęły powstawać komitety helsińskie.

A Zachód dał wyraz na spotkaniu przeglądowym w Belgradzie (1977-1978), że będzie państwa socjalistyczne rozliczał z wykonywania tych zobowiązań skrupulatnie. Spotkanie zakończyło się bez przyjęcia dokumentu końcowego, a sygnał był czytelny – odprężenie bez liberalizacji reżimu w państwach socjalistycznych nie ma sensu.

Ronald Reagan (przy wsparciu Margaret Thatcher) pogrzebał odprężenie. Przyjął zdecydowanie antykomunistyczny kurs, wysunął na plan pierwszy promowanie demokracji, przestał karcić swoich sojuszników za niedostatki w prawach człowieka. Proces KBWE stał się areną ostrych konfrontacji (na ciężki klimat spotkania madryckiego wpłynęło m.in. wprowadzenie stanu wojennego w Polsce).

W styczniu 1987 r. zetknąłem się z problematyką praw człowieka i „trzeciego koszyka” po raz pierwszy. Zostałem w trybie nagłym dołączony do delegacji polskiej na spotkanie przeglądowe KBWE we Wiedniu. Delegacja została mocno zdekompletowana, albowiem trzech jej kluczowych członków odmówiło wyjazdu na kolejną rundę spotkania. Powodem tej, niespotykanej w słusznie minionych czasach, postawy „strajkowej” była krytyczna ocena kwalifikacji i zaangażowania szefa delegacji polskiej. Zamiast bawić się w komeraże, członkowie delegacji postawili sprawę wprost. Szefa wezwano na konsultacje, członkom delegacji przyznano rację, więc szybko szefa odwołano, ale wprowadziło to zamieszanie w sprawach kadrowych. Akurat wracałem z sesji Salzburg Seminar, kiedy dowiedziałem się na peronie dworca Westbahnhof we Wiedniu, że zostaję w Austrii na dłużej i będę obsługiwać „trzeci koszyk” na spotkaniu przeglądowym. Moje wcześniejsze doświadczenia z KBWE wiązały się wyłącznie z problematyką militarnych środków budowy zaufania.

Styl dyskusji w grupie roboczej „trzeciego koszyka” wyraźnie odróżniał się od debaty w sprawach militarnych.

Dyskusje o środkach budowy zaufania (czy o rozbrojeniu) były o wiele spokojniejsze i rzeczowe. Po prostu każda ze stron wykazywała, że złożone przez stronę przeciwną propozycje są nie do przyjęcia, albowiem przyniosłyby jednostronną korzyść jej autorom, osłabiłyby zdolności obronne naszej strony, spowodowałyby zbudowanie przewagi przez stronę przeciwną, zakłóciłyby równowagę. I trzeba było prezentować prawdziwe (lub wydumane, ale niemożliwe do sprawdzenia) fakty, liczby, dane, parametry. Ale wszystko bez wielkich emocji, na spokojnie.

Dyskusja w wymiarze ludzkim (jak później przyjęto tę problematykę określać) przypominała wtedy (nawet w formacie zamkniętym, a więc bez udziału organizacji pozarządowych czy prasy) ćwiczenia erystyczne, popisy adwokackie, rywalizację w debacie oksfordzkiej. Nie brakowało ostrych polemik i spieß.

Był to już jednak czas nowego myślenia, głośności i pierestrojki, więc ZSRR łagodził swoje stanowisko w wielu sprawach. Z przerażeniem spoglądali na sowiecką elastyczność Enerdowcy, Rumuni i Czesi-Słowacy. A Polska i Węgry w konfrontacyjnych polemikach nie uczestniczyły już wtedy od dawna.

Zachód ze szczególną emfazą walczył o usankcjonowanie zasady swobody przemieszczania się, prawa do wyjazdu z własnego kraju i prawa do powrotu, a nawet swobody przemieszczania się wewnątrz własnego kraju. „Dlaczego nie pozwalacie swoim obywatelom wyjeżdżać z własnego kraju? Dlaczego odmawiacie im paszportu? Dlaczego nie pozwalacie im wracać, kiedy zechcą?”

Walczył o wolność praktyk religijnych. „Dlaczego nie pozwalacie wwozić Biblii i publikacji religijnych? Konfiskujecie na granicy nawet święte obrazki. Dlaczego nie zezwalacie na budowę kościołów? Dlaczego nie pozwalacie odprawiać mszy nawet w prywatnych domach? Dlaczego przesładujecie ludzi za przekonania religijne?”

Walczył o ochronę obrońców praw człowieka i sprawiedliwe dochodzenie praw obywateli przed sądem. Walczył o swobodny dostęp do informacji. „Dlaczego zagłuszacie Radio Swoboda, Wolną Europę, BBC, Głos Ameryki?”

Siedzisz, słuchasz i myślisz: no właśnie, dlaczego?

Dlaczego, na przykład, nie mogę mieć paszportu w domu? Słyszysz, jak sojusznicy dyplomata tłumaczy do mikrofonu: „Po co nam dawać ludziom paszporty, skoro i tak im wiz nie wydajecie, żądacie okazania dewiz, których nie mają, więc i tak nie mieliby z tymi paszportami dokąd jeździć”. I zaczyna się debata na godziny całe. Ci jedno, tamci drugie. A ty sobie uparcie myślisz: no, właśnie, dlaczego? Już pal licha paszport, ale dlaczego nie możesz bez zakłóceń posłuchać w radio nawet „Godziny bez kwadransa”?

Cierpliwie patrzył Zachód na postępy pierestrojki w ZSRR, przedłużał spotkanie wiedeńskie, i większość swoich postulatów zrealizował w dokumencie końcowym przyjętym na początku 1989 r. To właśnie pod działaniem czynnika praw człowieka i demokracji zaczął pękać Układ Warszawski, i to jeszcze przed czwartym czerwca 1989 r. i późniejszymi rewolucjami.

Upadek komunizmu zmienił paradygmat praw człowieka w polityce międzynarodowej. Zachód uznał, że liberalne wartości stały się uniwersalne, nikt już ich nie kwestionuje, więc trzeba jedynie pomagać państwom, które wyzwalały się ze spuścizny totalitaryzmu, „zoperacjonalizować” prawa człowieka w ustawodawstwie, instytucjach, kulturze prawnej. Szkolić kadry przede wszystkim. Ogłoszono „koniec historii”. Wszystko co dobre miało się samo dokonać. Wierzono naiwnie, że w Chinach rozwój gospodarczy i dobrobyt przyniesie demokrację. A zwycięstwo wartości demokratycznych na przestrzeni postsowieckiej jest nieodwracalne. Czcze były to nadzieje z dzisiejszej perspektywy.

W 1994 r. na szczycie KBWE w Budapeszcie zarzucono dotychczasowy (bardzo polityczny) model przeglądu wykonywania zobowiązań w ramach procesu helsińskiego. Pchnięto OBWE (pod tą nazwą od 1995r.) na tzw. instytucjonalne tory, zgodnie z którymi organizacja miałaby pomagać i ułatwiać konkretne działania, a nie ganić i krytykować. Dyskusję nad stanem praw człowieka i demokracji pozwolono zdominować organizacjom pozarządowym.

Dziś już dość szeroko rozumiano, jakim wyzwaniem dla wiarygodności OBWE stały się zwłaszcza opresyjne praktyki w Rosji i jej agresywna polityka. Ale nie udało się odbudować ani znaczenia OBWE jako forum dyskusji, ani stworzyć sensownych dźwigni wpływu na postępowanie Rosji, Białorusi czy innych państw, które notorycznie naruszały ducha i literę zobowiązań w dziedzinie praw człowieka. A napaść Rosji na Ukrainę w 2022 r. stała się pogwałceniem najbardziej podstawowych norm OBWE. Rosja wypełniła wszelkie wymagania niezbędne do jej wykluczenia z organizacji. OBWE utraciła w dotychczasowym kształcie rację bytu. Podobnie jak Liga Narodów w 1939 r. Trzeba by na jej gruzach zbudować organizację nową.

Jeszcze bardziej skompromitowano wiarygodność Rady Europy jako strażniczki praw człowieka, demokracji i praworządności. Wycofano się w 2019 r. z symbolicznych sankcji wobec Rosji (pozbawienie prawa głosu w Zgromadzeniu Parlamentarnym RE) wprowadzonych po aneksji Krymu i secesji części Donbasu. Nie reagowano przez lata całe na łamanie praw człowieka i represje wobec organizacji pozarządowych w Rosji. Żelaznym argumentem było zachowanie jurysdykcji Trybunału Praw Człowieka nad Rosją. Rosja wprawdzie wypłacała zasądzone skromne kary pieniężne i zadośćuczynienia, ale ignorowała niewygodne dla niej orzeczenia, w tym dotyczące m.in. Nawalnego. Zachodnioeuropejscy dyplomaci tłumaczyli nam zaś, że wschód Europy (i Turcja za Erdogana) wymaga bardziej elastycznego podejścia, zrozumienia, że demokracja w zachodnim stylu nie może tam obowiązywać, a w ogóle to nie Rosja winna być traktowana jako główny geopolityczny przeciwnik Zachodu, lecz Chiny. Wykluczenie Rosji z Rady Europy w 2022 r. było działaniem spóźnionym.

Trafiłem do Rady Europy w 2005 r. jako Stały Przedstawiciel RP. Nie zabiegałem o tę nominację, chociaż wiedziałem, że gdzieś wyjechać powinienem, bo po wyborach jesiennych tamtego roku stanowiska w MSZ dla mnie będzie. Była to jedyna funkcja ambasadorska w dyplomacji

wielostronnej, którą mógł mi zaoferować mój szef; uczynił to z własnej inicjatywy. Widziałem z dużego bliska ten zadziwiający strasburski appeasement, zwłaszcza po 2009 r., praktykowany zarówno przez dyplomatów niektórych państw europejskich, jak i przede wszystkim przez kierownictwo sekretariatu organizacji. Kiedy objąłem stanowiska szefa planowania politycznego w Sekretariacie próbowałem wykrzesać z moich kolegów więcej pryncypialności. Bezskutecznie. „Przecież i tak nie możemy wpłynąć na sytuację w Rosji, Azerbejdżanie czy Turcji. Żadne naciski nie pomogą.” – słyszałem. Ale nie chodziło przecież o skuteczność, co o elementarną wiarygodność organizacji, jej polityczny prestiż. Rada Europy okazywała się także bezsilna wobec antidemokratycznych praktyk na Węgrzech czy w Polsce.

A tymczasem Rada Europy mnożyła konwencje, rekomendacje i nowe katalogi praw człowieka. Co ciekawe wszakże, inicjatorem i siłą napędową działalności normotwórczej nie były wszakże ośrodki polityczne w państwach członkowskich. Ton zadawali eksperci – pracownicy Sekretariatu Rady Europy, eksperci (w tym naukowci) z państw członkowskich, a także (a może przede wszystkim) organizacje pozarządowe, ruchy praw człowieka i inne. Rezultatem tej działalności jest szczytny fakt, że w obiegu międzynarodowym jest już z trzysta konwencji. Ale są nadal państwa, które uważają, że nie potrzebują międzynarodowych standardów dla zagwarantowania najwyższego standardu praw człowieka. Stany Zjednoczone nie przystąpiły do większości takich konwencji.

A Chiny w istocie okazały się jeszcze bardziej szkodliwym burzycielem liberalnego ładu wieszczonego w utopii „końca historii” niż przypuszczano. Stworzyły niespotykany w historii system inwigilacji i dyscyplinowania społeczeństwa, najszczelniejszą cenzurę internetową, poddały programowi reedukacji Ujgurów, a jeszcze na dodatek – przy bezsilności Zachodu – pokazały, że wolności obywatelskie i demokracja w Hongkongu mogą być skutecznie zrolowane. Zachód, jeśli poruszał kwestie praw człowieka w dialogu z Chinami, to czynił to z wielką obawą, aby nie ucierpiały na tym jego interesy gospodarcze. Próbowano tłumaczyć, że one są w sumie ważniejsze, bo sprzyjając dobrobytowi w Chinach, sprzyjać mieliśmy tam demokracji i prawom człowieka.

A Chiny, Rosja i inni „spojlerzy” ośmielali dziesiątki państw „trzeciego świata”, które wybierały do ciał systemu ONZ (Komisja Praw Człowieka, a od 2006 r. Rada Praw Człowieka) państwa, które wiarygodności w tej dziedzinie swoimi praktykami nie wykazywały żadnej (jak np. zasiadająca z Polską w kadencji 2020-2022 Wenezuela, czy usunięta z Rady w 2022 r. Rosja). Oryginalny instrument, jak chociażby Powszechny Przegląd Okresowy, został sprowadzony z czasem do biurokratycznego rytuału bez większego wpływu na rzeczywistość.

Zachód ma dziś wyraźny problem z traktowaniem praw człowieka jako doktryny polityki zagranicznej. Donald Trump zarzucił czynnik wartości w polityce zagranicznej w odczuwalny dla świata sposób. Unia Europejska została jako ostatni Mohikanin na polu boju przyjmując konsekwentnie swoje programy działania w dziedzinie praw człowieka. Ale w jej Globalnej Strategii z 2016 r. czynnik wartości jest praktycznie nieobecny. Nie odwołuje się do niej i Kompas Strategiczny z 2022 r. A wyzwaniem dla jej wiarygodności stały się problemy z praworządnością w jej własnych szeregach (Węgry, Polska). Nadal stara się jednak promować zakaz kary śmierci, przemocy w rodzinie, prawa kobiet, prawa mniejszości seksualnych. Oby tylko nie traciła oddania sprawie.

Polityka praw człowieka jest trwałym osiągnięciem rozwoju kultury stosunków międzynarodowych. Eksperci twierdzą, że za jej sprawą prawo międzynarodowe z prawa narodów przeobraziło się w prawo praw człowieka. Uczyniła ona niewątpliwie jednostkę ludzką podmiotem prawa międzynarodowego. Była nośnikiem czynnika moralnego w stosunkach międzynarodowych. Jej odrzucenie byłoby powrotem do ery dominacji cynicznej gry interesów, sobiepaństwa władców w granicach państw narodowych.

Ale niewątpliwie nastraszyła państwa, które uczyniły kontrolę nad obywatelami i tzw. stabilność społeczną imponderabiliami własnej polityki. Bo Rosja uznała, że jest polityka praw człowieka zasłoną dla zachodniej strategii „regime change”. A Chiny zaś – że stoi za nią próba okcydentalizacji i narzucania liberalnego modelu społecznego, a przecież Azja ma rzekomo swoją koncepcję praw człowieka oddającą prymat prawom zbiorowym, tożsamości kolektywnej.

Katalog praw człowieka będzie wszakże rósł, bo rosnąć będzie wpływ jednostki na stosunki międzynarodowe. I oczywiście poszczególne prawa będą wchodziły w kolizje, jak choćby prawo do swobody słowa i prawo do ochrony uczuć religijnych, a prawa jednostkowe z prawami zbiorowymi. Ale jeśli ponadgraniczna empatia ludzi będzie krzepła, to doktryna praw człowieka pozostanie siłą napędową polityki międzynarodowej. Międzynarodowe trybunały i sądy będą dalej działać, a sankcje w rodzaju „aktu Magnickiego” uczynią presję na innych silniejszą.

A ponoć jeszcze nie tak dawno w jednym z państw europejskich zwolniono dyscyplinarnie dyplomatę za to, że w sieci społecznościowej zamieścił link do publikacji prasowej informującej, że rząd owego kraju sprzeciwił się uznaniu prawa do aborcji za prawo człowieka. I pojawia się déjà vu: siedzisz, czytasz i pytasz się: Dlaczego? Jak to? Zwalniać za coś podobnego? W dwudziestym pierwszym wieku?

4. Promocja demokracji

Państwa przez tysiąclecia nie zaglądały sobie wzajemnie w wewnętrzne porządki ustrojowe. Autokracje, demokracje, republiki, monarchie czy oligarchie funkcjonowały obok siebie prawomierne. Liczyło się ich zachowanie względem siebie, a nie sposób organizacji państwa. Czasem mogła tworzyć pretekst do interwencji zmiana na szczytach władzy (detronizacja monarchy, przewrót), ale jeśli władza centralna nawet tak wyłoniona była w stanie realnie sprawować kontrolę nad terytorium państwa, jej prawowitość musiała być z czasem akceptowana. Święte Przymierze miało być instrumentem interwencji w imię powstrzymania rewolucyjnych zmian wewnętrznych w Europie, i było, choćby na Węgrzech, ale przyglądało się jedynie, kiedy w 1848 r. przeganiało Bourbonów we Francji.

Kiedy w latach 30-ych ubiegłego wieku Europę zalewała fala autorytaryzmu i dyktatury, nie robiono nic, aby stawiać te państwa na cenzurowanym. Karta Atlantycka z 1941 r. zapowiadała zniesienie tyranii faszystowskiej, ale żadnych odwołań do ustroju demokratycznego w nowym powojennym świecie nie zawierała.

Dopiero zwanie zimnowojenne z ZSRR poruszyło wyobraźnię zachodnich, przede wszystkim amerykańskich i brytyjskich polityków, aby tę konfrontację widzieć w kategoriach ustrojowych jako wielkie zmagania demokracji z dyktaturą. A po zwycięstwie świata demokracji w końcu lat 80-ych musiała się pojawić w sposób naturalny doktryna demokratycznego pokoju, która zakładała, że demokracje mniej są skłonne prowadzić wojny między sobą, a triumf demokracji w świecie jest skutecznym sposobem zapewnienia trwałego pokoju. Promocja demokracji zaczęła wręcz nabierać wymiaru eschatologicznego. Jej krytycy mogli więc zarzucać jej ślepy mesjanizm. Zwłaszcza kiedy skutkiem interwencji Zachodu stało się zastąpienie reżimu dyktatorów rządami chaosu, powstawanie próżni władzy, rozszerzanie się zjawisk niestabilności.

Polityka Rosji i Chin w ostatnich latach zmusza wszakże do uznania faktu niepodważalnego, że za sprzecznościami w relacjach Zachodu z tymi państwami stoją głębokie różnice ustrojowe. Spięcie geopolityczne jest ich pochodną.

Administracja prezydenta Bidena od pierwszych dni swojego urzędowania zapowiadała uczynienie kwestii demokracji jednym z wiodących tematów jej polityki zagranicznej. Nie może to dziwić, bo, jako się rzekło, świat jest postrzegany na Zachodzie w kategoriach coraz bardziej pogłębiających się podziałów na tle wartości. Odnowiła się wielka dychotomia: demokracje versus tyranie (dyktatury). Agresja Rosji na Ukrainę pokazała dobitnie, że nie da się zbudować efektywnej wspólnoty międzynarodowej z państwami dyktatorskimi i agresywnymi.

Ta wielka dychotomia przenikała relacje międzynarodowe już w epoce zimnowojennej. Obóz wolnościowy był często określany jako „demokracje zachodnie” i przeciwstawiany „komunistycznym dyktatorom”. Co było oczywiście uproszczeniem, bo zamiatało pod dywan problem funkcjonowania w świecie zachodnim dyktatur, jak w frankistowskiej Hiszpanii, salazarowskiej Portugalii, wojskowych junt w Grecji czy Turcji, o całkiem dyktatorskich reżimach w Ameryce Łacińskiej czy Azji nie wspominając. Państwa socjalistyczne zresztą dumnie w swojej ideologii zaliczały same siebie do demokracji i to nawet wyższego rzędu, bo socjalistycznych. Ową odmienną jakość podsumowywała powszechnie krążąca wtedy anegdota o tym, że tak różni się demokracja od demokracji socjalistycznej, jak krzesło od krzesła elektrycznego. Firleje strojono z tej tzw. demokracji socjalistycznej zresztą powszechnie (klasyczny oksymoron: „radziecki parlamentarzysta”).

Po upadku komunizmu w Europie przyjęto jako aksjomat demokrację bez przymiotników, a w polityce zagranicznej utrwaliła się bezdyskusyjność koncepcji bezpieczeństwa demokratycznego.

Nie było też wtedy (na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku) problemu ze zdefiniowaniem demokracji. Gruntowny opis jej wymogów znalazł się w dokumencie końcowym kopenhaskiego spotkania Konferencji Ludzkiego Wymiaru KBWE przyjętym w czerwcu 1990 r. (a więc jeszcze za życia ZSRR). Włożył on demokrację w szerszy kontekst sprawiedliwości i rządów prawa. Kładł nacisk na obowiązek okresowych wolnych wyborów, reprezentatywność rządu i jego rozliczalność przed ciałami parlamentarnymi, przestrzeganie konstytucji i praw przez władze, rozdział między państwem a partiami politycznymi, praworządność, cywilną kontrolę nad siłami zbrojnymi i bezpieczeństwem, niezawisłość sądownictwa. Opisywał kryteria wolnych wyborów i prawa polityczne obywateli.

W centrum politycznego zainteresowania znalazł się aspekt wolnych wyborów i nie przypadkiem już na szczycie paryskim w listopadzie 1990 r. powołano do życia Biuro Wolnych Wyborów KBWE (przekształcone później w Biuro Praw Człowieka i Instytucji Demokratycznych). I istotnie, w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych Europa postkomunistyczna uczyła się przeprowadzać wolne wybory i zmieniać władzę. Ale na sporej części kontynentu, szczególnie na tzw. obszarze postsowieckim, demokrację bardzo szybko zaczęto utożsamiać z chaosem i niestabilnością, a postkomunistyczne elity (partyjne, „siłowe”) zaczęły wdrażać mechanizmy pozorowanej demokracji. Tak rodziła się tzw. demokracja sterowana, której istotą było wykorzystanie siły publicznych mediów, tzw. rewersu administracyjnego, zwykłego przekupstwa i szantażu dla utrwalenia władzy. Partie rządzące zaczęły znów zrastać się z państwem (stając się związkami zawodowym nomenklatury). A dla uzasadnienia postępującego autorytaryzmu wymyślano koncepcje „suwerennej demokracji” i im podobne. Zachód reagował miękko, jeśli w ogóle. Przyjął, że kraje postkomunistyczne potrzebują czasu na budowanie demokratycznej kultury. Cierpliwość rekomendowano także w reakcji na brak reform politycznych w Chinach, czy nawet w świecie arabskim. Demokracja miała nieuchronnie przyjść tam z dobrobytem.

Wyrazem miękkiej strategii promocji demokracji jako celu polityki zagranicznej było powołanie w czerwcu 2000 r. w Warszawie (z inicjatywy ministra Bronisława Geremka i sekretarz Madeleine Albright) Wspólnoty Demokracji. Ponad sto państw podpisało się pod przyjętą wtedy Deklaracją. Powtarzała ona znany z dokumentu kopenhaskiego katalog praw i praktyk demokratycznych, z modyfikacjami oczywiście. I uznawała, że państwa mogą znajdować na różnych stadiach

demokratycznego rozwoju, powinny szanować suwerenność i nie mieszać się w sprawy wewnętrzne innych państw. Deklarację podpisały m.in. Azerbejdżan i Rosja. Nie było pod nią podpisu Chin i Białorusi. Były państwa zachodnie, które w sensu inicjatywy nie wierzyły, przepowiadały, że spolaryzuje tylko społeczność międzynarodową i podważy mandat ONZ. Dlatego nie podpisała wtedy deklaracji m.in. Francja. Z perspektywy czasu widać, jak bardzo się owe państwa myliły.

Wspólnota Demokracji nie zaznaczyła wszakże istotnego śladu na polityce międzynarodowej. Utworzono (w 2009 r.) nawet jej stały sekretariat (z sekretarzem generalnym na czele), powołano grupy robocze. Ale z czasem brakowało nawet chętnych do przewodniczenia ruchowi. Funkcjonuje przy Wspólnocie filar społeczeństwa obywatelskiego. Rozwinięto programy wsparcia dla szerszego udziału kobiet w życiu politycznym czy demokracji konstytucyjnej w Mjanmie. Z wiadomym praktycznym skutkiem.

Jednym z powodów braku wigoru politycznego w łonie Wspólnoty był zmieniający się i niejasny stosunek USA do inicjatywy. Administracja Busha widziała w niej spuściznę clintonowskiego idealizmu. Wojna z terroryzmem czyniła promocję demokracji w świecie ważnym zadaniem, ale polityce administracji republikańskiej podmieniono ją doktryną „regime change”. Innymi słowy, demokrację nie tyle trzeba było propagować, co nasadzać (eksportować). Poligonem doświadczalnym uczyniono Afganistan i Irak. Mimo wielu miliardów włożonych tam w budowę demokracji, rezultaty powszechnie ocenić trzeba bardzo krytycznie. Doktryna eksportu demokracji zdyskredytowała się nieodwołalnie. „Gedanken sind zollfrei” – mawiał Marcin Luter, ale idee niekoniecznie płyną w tylko jedną stronę i nie zawsze są dobre. Rozpełzły się po świecie idee zamordystyczne i zmusiły demokracje do rejterady.

W 2005 r. jako wiceminister spraw zagranicznych przewodniczyłem polskiej delegacji na spotkanie ministerialne Wspólnoty Demokracji w Santiago de Chile. Urzędowo zajmowałem się Wspólnotą i innymi inicjatywami promującymi demokrację już wcześniej jako dyrektor departamentu planowania MSZ. Zostałem nawet delegowany z tego tytułu na konferencję nowych demokracji, która odbywała się w Ulaan Bator w 2003 r. Dotarłem na nią z opóźnieniem (z powodu nieplanowanego lądowania w Bracku straciłem połączenie). A jeszcze na dodatek w saloniku VIP w Irkucku odbywało się pożegnanie jakiejś mongolskiej delegacji wysokiego szczebla przed powrotem do kraju i nabrało ono takiego rozmachu, że dołączono do celebracji mnie z współpracownikiem, a odlot samolotu rejsowego wydatnie się opóźnił.

W Santiago de Chile zostałem wyznaczony do roli współsprawozdawcy jednej z sesji roboczych (wspólnie z Daniłem Turkiem, ówczesnym zastępcą Sekretarza Generalnego ONZ ds. politycznych, a późniejszym Prezydentem Słowenii). I jak to na forach globalnych – obrady były nudne, ciągnęły się jak flaki z olejem, dominowała biurokratyczna nowomowa. Pech (dla oficjalnych delegatów) chciał, że obradom przysłuchiwał się George Soros. Zabrał na koniec głos z miażdżącą krytyką dyskusji. „Co to było? Tak chcecie promować demokrację? Skandal! Wstyd! Nigdy więcej nie będę w tym uczestniczyć!” I tak dalej, i temu podobnie. A po sesji wspólnie z Turkiem musieliśmy wysłuchać jeszcze dosadniejszej tyrady Sorosa. Nadmieniam, że było to moje jedyne (i całkiem niemiłe) spotkanie z Sorosem, mimo że niewydarzeni i odsunięci od władzy działacze Partii Republikańskiej w Armenii próbowali ze swojej ideowej kawerny imputować mi, że nie byłem tam ambasadorem Unii Europejskiej, lecz ambasadorem Sorosa. Wymiar hejtu i agresji wobec Sorosa w kilku krajach (w Rosji szczególnie, ale też innych krajach dyktatorskich czy autorytarnych, czy na Węgrzech) świadczyłby, że jemu promowanie demokracji szło o wiele lepiej niż Wspólnocie Demokracji i podobnym inicjatywom.

Arabska wiosna 2011 r. odrodziła wiarę w postęp demokracji w świecie. Ale jej długofalowe skutki dały znów oręż przeciwnikom aktywnej polityki prodemokratycznej. Udało się utrzymać

mechanizmy demokratyczne w Tunezji, zliberalizowano reżimy polityczne w Maroku i Jordanii. Egipt wszakże obsunął się znów ku tyranii, Syria pogrążyła się w wojnie, a Libia w chaosie.

Na domiar złego pełzający odwrót od demokracji dokonywał się w uznanych demokracjach i udanych transformacjach: na Węgrzech, w Polsce. Rozwinięto tam dumnie sztandar nieliberalnej demokracji. Model wschodniej despotii coraz bardziej kształtował się w Turcji. Rosja poszła ku represyjnej dyktaturze (o Białorusi nie wspominając). Dygitalna inwigilacja posłużyła wzmocnieniu opresyjnej polityki w Chinach.

Wielu badaczy i komentatorów zachodnich ogarnął defetyzm. Zaczęli wieszczyc zmierzch demokracji, jej nieatrakcyjność dla nadrabiających lukę dobrobytu państw rozwijających się.

Post-trumpowa Ameryka spojrzała na potrzebę mobilizacji sił prodemokratycznych w świecie już nie tyle w kategoriach moralnych, co znów geopolitycznych. Jeszcze przed dojściem do władzy Barracka Obamy kilkoro znamienitych analityków i koncepcjonistów związanych z Partią Demokratyczną snuło projekty zbudowania „koncertu” czy też „ligi demokracji”. Tworzyłoby koncert kilkadziesiąt państw (operowano nawet zwrotem „grupa D-60”, która miałaby funkcjonować w ramach ONZ). Nie byłby koncert sojuszem, ale miałby służyć umacnianiu współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa między jego członkami. Za rządów Obamy żadnych praktycznych kroków na rzecz realizacji tych pomysłów nie podjęto, mimo że niektórzy autorzy tych pomysłów objęli stanowiska w administracji USA.

U schyłku prezydentury Trumpa idea ligi demokracji odżyła za sprawą szykujących się do przejęcia władzy Demokratów. Jej adwokatem stał się m.in. Antony Blinken, który w rządzie Bidena objął stanowisko sekretarza stanu. Blinken (wspólnie z Robertem Kaganem w artykule opublikowanym w 2019 r.) zwrócił uwagę na okoliczność braku jakiegokolwiek instytucji jednoczącej europejskie i azjatyckie demokracje. W obliczu ekspansji Chin (i agresywnych działań Rosji) demokracje wymagałyby globalnej, emfatycznej perspektywy i nowych instytucji, które ukształtowałyby nową wspólną strategiczną, ekonomiczną i polityczną wizję. Zaproponowana przez niego organizacja (liga demokracji albo też sieć demokratycznej współpracy) podjęłaby kwestie współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa wojskowego, cyberbezpieczeństwa, terroryzmu, ingerencji w procesy wyborcze).

Inne pokrewne pomysły zakładały nawet utworzenie wspólnych ciał wykonawczych i ustawodawczych, stałych wspólnych sił zbrojnych. A najdalej idące postulaty domagały się zastąpienia przez nową „federację demokracji” Organizacji Narodów Zjednoczonych przynajmniej w zakresie związanym ze zbiorowym bezpieczeństwem. Inne koncepcje sugerowały zbudowanie ligi demokracji poprzez odpowiednie rozszerzenie składu członkowskiego i mandatu NATO.

Wszystkie te pomysły zrodziły się z prób znalezienia odpowiedzi na globalne wyzwanie rzucone przez autorytarne reżimy Chin i Rosji. Mają szansę na powodzenie nie tylko w warunkach dobrego ich wkomponowania w istniejącą infrastrukturę współpracy międzynarodowej, w tym współpracy sojuszniczej państw zachodnich oraz platformy globalnej, a zwłaszcza ONZ. Każdy elitarny klub, aby znaczyć coś w polityce jego członków musi dawać realne przywileje (korzyści), porównywalne z korzyściami płynącymi z członkostwa w sojuszu. Demokracja musi być przepustką do lepszego traktowania. Odejście od jej zasad wiązać się z ostracyzmem. Czy Stany Zjednoczone są w stanie zarysować przekonujący kształt korzyści? Zwłaszcza, że realne interesy każą przymykać oczy na niedostatki demokracji w państwach arabskich czy azjatyckich.

W grudniu 2021 r. Prezydent Biden zwołał pierwszy Szczyt na Rzecz Demokracji. Kryteria udziału zastosowano bardziej rygorystyczne niż we Wspólnocie Demokracji. Nie wystosowano zaproszenia m.in. do Turcji i Węgier. Decyzja to przełomowa. Bo przecież i NATO, i Unia Europejska to struktury odwołujące się do wspólnych wartości. Nieobecność członków (członka) tych wspólnot na Szczycie Demokracji, to niewątpliwie wizerunkowy cios. Ale demokracje muszą zwiierać swoje

szeregi, jeśli chcą podjąć skutecznie wyzwanie rzucone przez autorytaryzm. A casus Rosji w 2022 r. jednoznacznie pokazuje, że podjąć muszą, że go nie obejdą, że bez tego zbudować mechanizmu rozwiązywania wyzwań globalnych się nie da. W tym sensie Ukraińcy od 2022 r. toczą bitwę nie tylko o swoją własną wolność, ale i o przyszłość świata. Jeśli Rosja wojnę przegra, to otworzy to drogę do budowy nowego porządku międzynarodowego opartego o wartości, na czele z demokracją. Jeśli nie przegra, czeka nas międzywojnie. A na horyzoncie pozostanie wyzwanie trudniejsze od rosyjskiego - Chiny.

Państwa autorytarne były skuteczne w zabieganiu o cele symboliczno-prestiżowe w rozgrywkach globalnych. Rosja i Chiny były gospodarzami igrzysk olimpijskich, mistrzostw świata w piłce nożnej, wystaw expo. Mają swoich przedstawicieli na kluczowych stanowiskach w organizacjach międzynarodowych systemu ONZ. Organizowały wielkie konferencje i wydarzenia kulturalne. A dziesiątki państw zabiegały o ich względy w ramach pomocy rozwojowej, inwestycji czy kontraktów handlowych.

Zachód powinien dać jasny sygnał, że to powinno się skończyć. Dobrze, że goszczenie finału mistrzostw świata przez Katar podniosło tyle szumu. Dlaczego go nie było, kiedy igrzyska czy mistrzostwa świata przyznawano Chinom czy Rosji?

Chiny i Rosja korumpowały przy tym wiele biednych państw. Co może dać owym dziesiątkom państw w imię postawienia się ekspansji autorytaryzmu członkostwo w lidze demokracji? Zwłaszcza jeśli jej losy zależą od tego, kto sprawować będzie rządy w Waszyngtonie. A Europejczycy zajęci będą wyłącznie własnym podwórkiem.

5. Pomoc rozwojowa

Symbolem odejścia w polityce międzynarodowej od postawy egoistycznej, podyktowanej pragnieniem zaspakajania wyłącznie własnych interesów, symbolem altruizmu w polityce uczyniono pomoc rozwojową. Jest uznawana za przejaw prometeizmu. Bo podporządkowuje plemienną do tej pory politykę interesom ludzkości jako takiej. Jej krytycy próbują co prawda dowieść, że za pomocą stoją niekiedy wąskie interesy narodowe, bo służy ona promocji dobrego wizerunku świadczących ją państw, umacnianiu wpływów politycznych, wspieraniu ich interesów gospodarczych, gdyż realizowane projekty angażują podmioty gospodarcze państw-donorów, że jest pomoc pozorowaną dla oczyszczenia sumień bogatych państw dobroczynnością, w której skutki końcowe są rzeczą wtórną.

Pomoc rozwojowa jest dziś uznaną praktyką współpracy międzynarodowej i instrumentem polityki zagranicznej. Świadczą ją państwa bogate na rzecz państw biednych. Nie jest normą prawnomiędzynarodową lecz dobrym zwyczajem usankcjonowanym w zaleceniach i rezolucjach ONZ oraz innych organizacji międzynarodowych. W październiku 1970 r. w rezolucji ZO ONZ, kierując się rekomendacjami tzw. raportu Pearsona, ustalono, że państwa powinny dążyć do tego, aby ich pomoc rozwojowa osiągnęła pułap co najmniej 0,7 procenta PKB. Udało się zrealizować ten cel zaledwie kilku europejskim państwom (Szwecja, Norwegia, Dania, Niderlandy, Luksemburg, Wlk. Brytania). I raczej nie ma widoków na masowe rozszerzenie tego grona.

Na oficjalną pomoc rozwojową społeczność międzynarodowa przeznacza rocznie ponad 160 miliardów dolarów. Prawie trzydzieści procent przypada na pomoc kierowaną kanałami wielostronnymi, tj. poprzez organizacje międzynarodowe (Bank Światowy, UNDP i inne). Pozostała część płynie kanałami dwustronnymi. Ponad połowa światowej pomocy rozwojowej pochodzi z państw Unii Europejskiej. Pomoc rozwojową świadczą też organizacje pozarządowe,

dobroczynne, zwykli obywatele (w tym i Bill Gates). Ocenia się, że środki prywatne stanowią ok. 20 procent całości pomocy.

Wiele państw biednych jest od pomocy zewnętrznej silnie uzależniona. W takich państwach jak Liberia, DR Kongo, Mali, Malawi, Mozambik czy Etiopia pomoc rozwojowa otrzymywana z zewnątrz jest wyższa niż wydatki z budżetów rządowych. Bez pomocy rozwojowej państwa te po prostu nie byłyby w stanie funkcjonować.

Idea pomocy rozwojowej jest w polityce międzynarodowej koncepcją relatywnie świeżą. W czasach ekspansji kolonialnej zachodnie metropolie kierowały się prostymi zasadami gospodarczej eksploatacji kontrolowanych terytoriów. Inwestowały w nie niemało, budowały drogi, koleje, porty, telegrafy, szkoły, szpitale, infrastrukturę administracyjną, ale czyniły to na zasadach opłacalności. Państwowej dobroczynności było niewiele. A nadmierna eksploatacja i ciężary podatkowe wywoływały tendencje niepodległościowe (casus Stanów Zjednoczonych czy kolonii hiszpańskich w Ameryce). Generalnie w polityce kolonialnej, zwłaszcza brytyjskiej, obowiązywała zasada samowystarczalności kolonii. Kolonie brytyjskie opłacały pensje urzędników, finansowały inwestycje infrastrukturalne, utrzymywały instytucje publiczne.

Przełomem była brytyjska ustawa o rozwoju kolonialnym z 1929 r. Światowy kryzys gospodarczy dotkliwie uderzył wtedy w poziom życia w koloniach. Brytyjska ustawa przewidywała wyasygnowanie miliona funtów na rozwój infrastruktury transportowej, sieci energetycznych i systemu zaopatrzenia w wodę w koloniach. Program pomocy dla kolonii rozrastał się z każdym rokiem, a alokowane w koloniach środki pomocowe były znacząco zwiększane, osiągając na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku (fala dekolonizacji) kilkadziesiąt milionów funtów w skali globalnej.

Stany Zjednoczone ruszyły z systemową pomocą rozwojową po II wojnie światowej. Zachęcone europejskim sukcesem Planu Marshalla, rozszerzyły jego mechanizmy na Bliski Wschód i Azję. Prezydent Truman ogłosił ambitny zamiar wspierania słabo rozwiniętych regionów świata, wydzwignięcia ich z ubóstwa, chorób i niedożywienia. Utworzono komórkę współpracy technicznej w ramach Departamentu Stanu, której zadaniem było koordynowanie pomocy. Bardzo szybko imperatyw pomocy rozwojowej został wpisany w strategię powstrzymywania komunizmu. Ubóstwo i niedorozwój czyniły społeczeństwa podatnymi na hasła komunistyczne. Tak jak Związek Sowiecki z powodów ideologicznych kierował pomoc dla świeżo niepodległych państw rozwijających się w strefie jego wpływów geopolitycznych i aktywnie wspierał prosowieckie ruchy narodowyzwolenicze, tak Stany Zjednoczone uznawały za konieczne zasilanie państw i obszarów biednych swoją pomocą rozwojową. Pod koniec lat pięćdziesiątych ogłosiły wspieranie rozwoju w regionach świata o niskich dochodach samoistnym celem polityki zagranicznej, a prezydent Kennedy powołał do życia niezależną agencję rządową – USAID.

Na początku lat siedemdziesiątych pomoc rozwojowa stała się pełnoprawnym elementem agendy globalnej, a jej świadczenie - moralną normą polityki państw bogatych. Jej pozytywne skutki dla życia społeczeństw biednych nie podlegają dyskusji. Ale wyzwała ona także silną krytykę.

W 2019 r. pełniąc funkcję ambasadora Unii Europejskiej w Armenii, podejmowałem w Erywanii na prywatnej kolacji pewną wybitną postać polskiej kultury, znanego aktora i pisarza. Zapytany grzecznościowo, czym się jako unijny ambasador zajmuję, odpowiedziałem niefrasobliwie: „Głównie przelewaniem pieniędzy europejskich na pomoc Armenii. Tygodniowo podpisuję przelewy na sumę ponad miliona euro”. „Naszyc europejskich podatników pieniędzy?” - nie dowierzał gość. „W imię czego?”.

To zdziwienie miało bardzo mocne uzasadnienie, bo Armenia, to kraj cywilizowany, cóż, że po Mołdawii (i chwilowo Ukrainie) najbiedniejszy kraj szerokiej Europy. Unia Europejska i jej państwa członkowskie rocznie świadczą ponad połowę całości zewnętrznej pomocy, w tym

dziesiątki milionów, które bezpośrednio łądają na kontaktach rządu. A rola ambasadora unijnego w tych przelewach jest czasami niezastąpiona. W sportowym wypadku, jakiemu uległem w 2016 r. („Sport ist Mort” – jak mawiają Niemcy), doznałem poważnego wstrząsu rdzeniowego. Sparaliżowało mi wszystkie kończyny. Czucie w rękach odzyskiwałem bardzo powoli, a długopisu nie byłem w stanie utrzymać w dłoni dobre kilka tygodni po wypadku. Musiało się wszakże odbyć komisyjne podpisanie (podtrzymywaną przez innych moją ręką) transferu wsparcia budżetowego dla Armenii, bo nikt nie mógł mojego podpisu zastąpić, chyba że doszłoby do rozpoczęcia całej procedury decyzyjnej od początku, co opóźniłoby przelew o kilka miesięcy.

Przyznałem rację rozmówcy, wskazującemu na przyzwoity poziom życia w Erywanii (dobre restauracje, drogie samochody), że może się wydawać, że Armenia to biedny kraj bogatych ludzi. Mógłby mój rozmówca więc odrzec, że nasza pomoc rozwojowa to transferowanie pieniędzy od biednych ludzi w bogatych krajach do bogatych ludzi w krajach biednych. To bowiem jeden z najczęstszych zarzutów czynionych wobec pomocy rozwojowej.

Wytyka się, że pomoc sprzyja korupcji. Mechanizmy kontroli prawidłowości rozstrzygnięcia kontraktów i grantów są w państwach zachodnich bardzo rygorystyczne, także, a może zwłaszcza, w Unii Europejskiej. Skrupulatnie rozlicza się wykonanie projektów. Zdarzają się oczywiście przypadki nadużyć i praktyk korupcyjnych, i nie tylko po stronie beneficjentów. Unijna służba antykorupcyjna jest służbą sprawną i profesjonalną. Ale wkracza zdecydowanie dopiero w przypadku nadużyć znacznych (jak powiedział mi jeden z jej funkcjonariuszy: "Na przewalki poniżej pół miliona euro nie starczyłoby nam ludzi i czasu"). Drobnym buchaczom uchodzi często na sucho. Unia dysponuje procedurami odzyskiwania środków wydatkowanych niewłaściwie, ale w wielu państwach ich skuteczna realizacja jest wysoce utrudniona.

Zarzuca się, że pomoc utrwała złe praktyki rządzenia, sprzyja centralizacji władzy, utrzymuje przy władzy neopatrymonialne elity. Jest prawdą, że chociażby w przypadku wielu państw afrykańskich doszło do endemicznego kryzysu zarządzania, którego żadne przewroty wojskowe, zmiany władzy rozwiązać nie mogą. W skrajnych przypadkach, jak choćby Somalii czy Jemenu, nastąpił faktyczny rozpad państwa. Pomoc rozwojowa wszakże jest małym fragmentem całości obrazu. Krytycy mają darczyńcom za złe, że przejmując finansowanie wielu funkcji państwa przyczyniali się do jego postępującego paraliżu. Oferując państwu poduszkę finansową ograniczali pozytywne skutki działania sił rynkowych. Czy siły te mogły istotnie wymusić odpowiednie reformy ze strony instytucji państwowych, to rzecz dyskusyjna.

Jedno nie ulega wątpliwości, pomoc rozwojowa w wielu przypadkach pozwoliła utrzymać państwo w stanie względnej sprawności, a ludzi uchronić od skrajnej biedy. Z reguły jednak nie rozwiązała problemów strukturalnych.

Od lat państwa, a zwłaszcza organizacje międzynarodowe, wystawione są na presję uczynienia pomocy bardziej efektywną. Przede wszystkim postuluje się zaostrenie tzw. warunkowości, czyli powiązanie pomocy z wypełnieniem konkretnych warunków, które dotyczyć muszą nie tylko aspektów finansowo-budżetowych, ale też czysto politycznych, takich jak stan demokracji, praw człowieka, respektowanie standardów ekologicznych czy norm prawa pracy. Ale okazywało się w ostatnich latach, że inni darczyńcy, a zwłaszcza Chiny, byli gotowi wykładać pieniądze całkiem bezwarunkowo i czynić dźwignię warunkowości w pomocy Zachodu bezprzedmiotową, ponieważ zapotrzebowanie na pomoc warunkową nieuchronnie spadło.

Po drugie, Zachód zaczął transformować istotę pomocy. Nie chodziło w niej bynajmniej tylko o rozwój. Na czoło wysunięto cel modernizacji, czyli nadganieanie zapóźnień technologicznych i administracyjnych. Niby słusznie i logicznie. Problem polega na tym, że w niektórych krajach najszybszą ścieżką rozwoju jest inwestowanie w gałęzie niezaawansowane technologicznie, najprostsze reformy społeczne i administracyjne.

Dlaczego pomagamy? O ile pomoc humanitarna, wspomaganie państw dotkniętych wojną (jak teraz Ukrainy), klęskami żywiołowymi, nieurodzajem, suszą, epidemiami chorób miała zawsze silne moralne uzasadnienie, nigdy nie budziła kontrowersji, także wśród autorytetów naukowych (od czasu Ricardo), to pomoc rozwojowa, czyli redystrybucja bogactwa, takie wątpliwości budziła.

Aby uciszyć wątpliwości, najprościej nazwać pomoc „interesownym altruizmem”. Zachód pomaga w imię własnych interesów, albowiem w jego interesach jest utrzymywanie świata we względniej równowadze, likwidacja zarzewi niestabilności. Zасыpywanie luk rozwojowych służy globalnej pomyślności, rozszerza rynki dla zachodnich inwestycji i eksportu, powstrzymuje migrację ekonomiczną, łagodzi napięcia polityczne w państwach biednych zapobiegając konfliktom wewnętrznym i zewnętrznym, których rozwiązywanie angażuje państwa zachodnie, wywołuje problemy humanitarne, napędza migrację, co naraża Zachód na jeszcze większe koszty i problemy.

Czasami jest jednak tylko gestem empatii, oznaką współczucia, przekazem fatycznym.

W przypadku Unii Europejskiej jej strategia polityczna w najbliższym sąsiedztwie, w którą wpisuje się i pomoc rozwojowa, jest od kilku lat budowana na koncepcji „odporności” („resilience”). Jest to strategia prewencyjna rozwiązywania problemów zewnętrznych w zarodku, to jest w miejscu ich powstania, nim zaczną one rzutować bezpośrednio na bezpieczeństwo Unii Europejskiej.

O sensowności wydatkowania pieniędzy podatników w państwach zachodnich na rzecz rozwoju państw biedniejszych przekonuje coraz bardziej polityczna użyteczność pomocy. Nie jest tajemnicą, że były metropolie kolonialne oddają priorytet wspomaganie swoich byłych kolonii. Nie chodzi tu bynajmniej o cyniczny neokolonializm. Nie chodzi też wyłącznie o inercyjne poczucie odpowiedzialności za ich los. Były kolonie są poprzez więzi językowe, kulturowe, religijne naturalnym zapleczem politycznym w budowaniu wpływów w świecie przez państwa zachodnie.

Pomoc rozwojowa sprzyja interesom gospodarczym darczyńców. Ocenia się, że tzw. „pomoc wiązana”, określająca ściśle z jakiego państwa powinny pochodzić towary czy usługi w ramach realizowanych projektowo pomocowych, stanowi ponad 20 procent całości pomocy. W ramach projektów pomocowych eksperci państwa-darczyńcy, jego firmy konsultingowe, pozarządowe, jego infrastrukturalne narzędzia mają naturalną przewagę przy materializacji kontraktów.

Nade wszystko wszakże pomoc rozwojowa stała się mocarnym instrumentem „soft power”. Pomoc sprzyja budowie pozytywnego wizerunku darczyńcy, budowie sieci kontaktów, promocji języka i kultury. Nawet jeśli za pomocą nie idą wymierne benefity gospodarcze, służy ona szeroko rozumianym interesom politycznym.

Ale znaczenie reformatorsko-dobrostanowe pomocy rozwojowej będzie nieuchronnie malało. Nie poprzez pomoc leży droga do lepszego państwa i większego dobrobytu. Casus Chin czy Indii jest najlepszym dowodem.

6. Intergracjonizm

Kiedyś wartością nadrzędną, absolutną w polityce państwa była jego suwerenność, nieograniczone prawo do decydowania o narodowych sprawach. Jeśli swoich suwerennych praw się wyrzekały, to czyniły to z bolesnej konieczności. Traciły wtedy byt państwowy, a co najmniej się wasalizowały lub zakotwiczały na satelickiej orbicie. Kiedy jednak tylko okoliczności na to pozwalały, niewolnicze pęta zrzucały. Samodzielnie szły na cesje suwerenności, by łączyć się z innymi w obliczu wojny z zagrażającymi jej bezpieczeństwu państwami zaborczymi.

Oczywiście integracja gospodarcza epoki kapitalizmu ograniczyła swobodę decyzyjną w wielu kwestiach ekonomiczno-monetarnych silnych nawet państw. Decydował za nie globalny rynek, czyli w praktyce działania gospodarcze podejmowane przez innych, gdzie indziej. Były państwa często zwyczajnie „na musiku”. Mogły próbować jakoś się przed internacjonalizacją chronić, ale tylko w ograniczonym stopniu. Chyba, że wybierały autarkię.

Dziś cesja suwerenności, albo - jak to przyjęto w duchu poprawności politycznej określać – suwerenności fuzja, jest dobrowolnym wyborem w zacieśnianiu współpracy z państwami, które traktowane są jako część politycznej wspólnoty losu.

Celem polityki zagranicznej państwa może być więc zakotwiczenie go w szerszym systemie współpracy, zakładającym istnienie instytucji ponadnarodowych, wyposażonych w pełnomocnictwa do nakładania zobowiązań na państwa członkowskie, przejmujących część uprawnień wynikających z suwerenności. W skrajnej postaci doktryna integracjonizmu może oznaczać nawet prymat interesów zbiorowych (społeczności integracyjnej) nad interesem partykularnym (narodowym).

Integracjonistyczne plany z reguły dojrzewają w obliczu zewnętrznego zagrożenia (wyzwania), które nakazuje łączyć siły i budować wspólnotę, albo też pojawiają się jako potrzeba nowego początku, kiedy stara polityka oparta na rywalizacji, konfliktach, podbojach prowadzi region (kontynent) do stanu wyczerpania.

Apoteozą polityki intergracjonistycznej stał się projekt unijny realizowany w Europie po II wojnie światowej. Kojarzony był u swoich źródeł ze schumanowską wizją zapobiegania europejskiej wojnie metodą zacieśniania więzi gospodarczych i poddawania działań gospodarczych (początkowo w zakresie wydobywania węgla i produkcji stali) zarządowi ponadnarodowemu.

Francuska oferta integracyjna z 1950 r. przyjęta została z entuzjazmem przez Niemcy (wtedy jeszcze tylko Zachodnie), szukające powrotu do pełnoprawnego statusu w polityce europejskiej. Schumanowska wizja uczyniła z czasem sprzyjanie tworzeniu więzi integracyjnych prakseologiczną doktryną polityki zagranicznej. Zwłaszcza Niemiec. Przez lata obowiązywała tam maksyma, że co dobre dla Europy, dobre jest dla Niemiec.

Integracja europejska zawiązała się na pojednaniu niemiecko-francuskim, a francusko-niemiecki motor był (i pozostaje) jej siłą napędową. Wyrazem jej szerszej akceptacji jest doktryna głoszona przez nietuzinkowych polityków z mniejszych państw Europy Zachodniej, że to, co jest dobre dla Francji i Niemiec (odzwierciedlone w kompromisie przez nie wypracowanym), musi z założenia być dobre dla Niderlandów czy Luksemburga.

Idea zjednoczenia Europy jest oczywiście stara jak Europa. Polityczna użyteczność pojęcia Europy objawiła się na dworze Karola Wielkiego. I posłużyła dla ekspansji jego władzy oraz wypychania Bizancjum z Italii i nie tylko stamtąd.

Kontrolowanie Europy, przynajmniej jej zachodniej części, kusiło zawsze domorosłych hegemonów, a hasło jej jednoczenia było zawsze zręcznym pretekstem.

Jerzy z Podiebradów, wojujący i panujący w Czechach w XV w., jest uważany za jednego z pierwszych prekursorów szlachetnego pojmowania wspólnej Europy. Choć jeszcze na początku XIV w. propozycję federacyjnej republiki chrześcijańskiej opracował Pierre Dubois. Jerzy z Podiebradów zaś zgłosił projekt połączenia krajów europejskich (choć początkowo jego plan nie uwzględniał ani Anglii, ani Skandynawii, ani Półwyspu Iberyjskiego) w federacyjny organizm, ze wspólnym parlamentem i zobowiązaniem do pokojowego rozstrzygnięcia sporów. Głównym politycznym zamysłem planu było wszakże zatrzymanie połączonymi siłami pochodzących Turków. A termin Europa w ogóle się w wynurzeniach Jerzego nie pojawiał. Chodziło mu o zjednoczenie chrześcijańskich narodów (a sam był uwikłany w konflikty z katolickimi władcami, Habsburgami w szczególności). Więc jeśli w ogóle chodziło mu o Europę, to była ona synonimem chrześcijaństwa.

Podobna motywacja kierowała księciem de Sully, który w XVII wieku proponował utworzenie republiki arcychrześcijańskiej 15 państw, zwróconej przeciw Turcji.

Świadomość chrześcijańskiej wspólnoty istniała przez wieki, a namiastką chrześcijańskiego porozumienia politycznego były kongresy papieskie, z których ostatni odbył się kilka lat po upadku Konstantynopola. Wojna trzydziestoletnia była wojną na swój sposób wewnątrz europejską, kłótnią rodzinną, a zaproszenie na negocjowanie pokoju westfalskiego skierowano do głów „wszystkich” państw „europejskich” (Rosji, a tym bardziej Turcji oczywiście nie uwzględniono).

Ideę europejskiego związku próbował w tamtych czasach proponować sam Richelieu, zanim zniechęcony oddał się praktykowaniu polityki równowagi sił. Wróciła idea pokojowej Europy na oświeceniowej fali. Głosił ją m.in. Castel de Saint-Pierre (chodziło mu o unię europejską o charakterze instrumentu bezpieczeństwa zbiorowego). Do jej ojców duchowych zaliczono potem w szczególności samego Kanta. A w gronie tym znalazło się miejsce i dla utylitarysty Benthama, i dla konserwatysty Burke’a, i dla liberała (w pisarstwie, a niekoniecznie w polityce) Guizota, i utopijnego socjalisty Saint Simona (z jego projektem utworzenia europejskiego systemu parlamentarnego).

Romantyczny idealizm i narodowy elan inspirowały do snucia integracyjnych wizji. W 1849 r. sam Victor Hugo przedstawił projekt budowy „Zjednoczonych Stanów Europy”.

Było hasło „Europy” formą intelektualnej opozycji dla Europy splecionej Świętym Przymierzem. Nic więc dziwnego, że budziło alergiczne reakcje wyznawców Realpolitik. Sam Bismarck w 1876 r. potraktował Europę jako hasło politycznie szalbiercze: „Ktokolwiek przemawia na rzecz Europy jest w błędzie. To tylko termin geograficzny”. Oskarżył jej rzeczników, że proszą dla Europy o rzeczy, których baliby się domagać we własnym imieniu. Szydził, że podchodzą i proszą Niemcy o ustępstwa, poświęcenia, kompromisy, bezczelnie apelując: „Zróbcie to dla Europy!”. Bismarck uznawał to za obcesową formę moralnego szantażu.

Europa jako fałszywy bożek nie miała szans na przetrwanie w świadomości politycznej. Era imperializmów czyniła Europę zakładnikiem globalnej ekspansji jej mocarstw. Aż uczyniła w I wojnie światowej jej zmasakrowaną ofiarą.

Idea jednoczenia Europy w sposób naturalny odżyła jako nadzieja na lepszą przyszłość. Na jej głównego animatora wyrósł Richard Coudenhove-Kalergi, który wykreował ruch paneuropejski, a w 1923 r. opublikował we Wiedniu „Paneuropę”, książkę-manifest ruchu. Propagował Europę od Portugalii po Polskę jako obszar polityczny między Rosją, Atlantykiem i Morzem Śródziemnym. Bez Wielkiej Brytanii i w kontrze do imperializmu rosyjskiego. Opracował wizję Stanów Zjednoczonych Europy. I doprowadził do instytucjonalizacji ruchu paneuropejskiego w 1926 r.

Za sprawą Aristide’a Brianda idee paneuropejskie przeniknęły do wielkiej polityki. Przedstawił on we wrześniu 1929 r. exposé paneuropejskie na forum Ligi Narodów. Powierzono mu nawet zadanie przygotowania odpowiedniego memorandum dla rządów. I opisał on swoje widzenie Europy jako unii politycznej i celnej. Bez wszakże zakusów na ograniczanie suwerenności państw. Idee Brianda nie porwały wszakże nawet jego rodzimej Francji. Tym bardziej krzywiły się Włochy, a już w Moskwie potraktowano je z nieukrywaną wrogością. Ale powołano Komisję Badawczą dla Unii Europejskiej, która, jak można było się spodziewać, żadnej siły sprawczej wykrzesać z siebie nie była w stanie.

Coudenhove-Kalergi zbiegł przed nazistami do USA, gdzie założył Radę Europejską. Wrócił po wojnie i stworzył Europejską Unię Parlamentarną.

Bo idea zjednoczenia Europy rozkwitnąć musiała na prawach katharsis po II wojnie światowej. I rozkwitła. Kongres haski z maja 1948 r. przyjął za cel utworzenie zgromadzenia europejskiego, opartego na wartościach demokratycznych i praworządnościowych. Dano początek Ruchowi

Europejskiemu z Churchillem, Blumem, de Gasperi, Spaakiem jako honorowymi współprezydentami. Pierwszym zaś prezydentem obwołano Duncana Sandysa, prywatnie zięcia Churchilla. A pierwszym sekretarzem generalnym - Józefa Retingera – „polskiego ojca Europy”.

Za sprawą Retingera Polska mogła po latach przypomnieć swój niezaprzeczalnie istotny wkład w krzepnięcie ruchu europejskiego. Bo intelektualnie polski głos na rzecz integrowania Europy rozbrzmiewał od wieków. Słusznie doszukujemy się proeuropejskich wątków w pismach Pawła Włodkowica, Stanisława ze Skarbimierza czy Andrzeja Frycza Modrzewskiego. A Maciejowi Miechowicie przypisujemy pierwszeństwo w politycznym operowaniu przymiotnikiem „europejski” („Opis sarmacji azjatyckiej i europejskiej” z 1517 r.). Maciej Chabielski już w 1615 r. wzywał Europejczyków do zwierania szeregów w ramach wspólnego bytu dla walki z Turkami. Stanisław Leszczyński przedstawił zaś memoriał z ideą federalizmu europejskiego. Józef Kajetan Skrzetuski w 1775 r. rzucił wezwanie do stworzenia „Rzeczypospolitej Europejskiej”, także jako formuły ratowania polskiej niezależności. W 1831 r. spisał artykuły Konstytucji Europy Bogumił Jastrzębski. A wielki projekt zjednoczenia Europy przedstawił Teodor Szymanowski. O łączeniu Europy pisali i Kazimierz Kelles-Kreuz, i Bolesław Limanowski. Dla wielu bowiem Polaków postępowość i wolność wiązały się z jednością europejską. I tak się dzieje po dziś dzień, kiedy w Unii Europejskiej jesteśmy już komfortowo umoszczeni.

Kongres haski w 1948 r. dał też początek Radzie Europy. W jej narodzinach nie sposób nie podkreślić politycznej inspiracji, jaka popłynęła z ust Winstona Churchilla. On to już w 1946 r. w słynnej mowie zuryskiej rzucił hasło Stanów Zjednoczonych Europy. Pierwszym krokiem w tym kierunku miało być powołanie właśnie Rady Europy jako organizacji regionalnej dopełniającej ONZ. Wielka Brytania nie tylko więc kibicowała, ale wręcz popychała Europę ku integrowaniu, sama wszakże nie widząc w tym procesie dla siebie miejsca. Ale i to po dziesięcioleciach brytyjskiego rozgrywania rywalizacji w Europie, balansowania i równoważenia wpływów, przeciwdziałania dominacji któregośkolwiek z europejskich mocarstw na kontynencie, było w polityce brytyjskiej niekwestionowanym zwrotem.

Integracja była rozumiana jako jedynie rozsądny instrument zapobieżenia odrodzeniu starych waśni i konfliktów na zachodzie Europy. A dodatkowym czynnikiem dopingującym było przeświadczenie, że tylko połączona Europa (pod ochroną i opieką USA) może stawić czoła sowieckiej ekspansji.

Dla polityków Europa nigdy nie była celem samym w sobie. Była instrumentem rozwiązywania konkretnych politycznych wyzwań. Także tych jakże bardzo narodowych. A że wyszła z tego wielka polityczna metanoja zamykająca bolesny rozdział rywalizacji, konfliktów, waśni, to rezultat wyjątkowej strategicznej zbieżności tych interesów.

Luuk van Middelaar opisywał, że rozwój integracji europejskiej jest synergią rozmaitych motywacji.

Francja wypatrywała w Europie sposobu własnej reinkarnacji jako mocarstwa. Budowała Europę à la française. Dlatego chciała wyposażyć Europę we własne cechy tożsamościowe. Stąd w Europie brukselskiej etatyzm, biurokratyczna solidność, polityczna wytrwałość, ale także dążenie do nadania myśleniu o Europie perspektywicznej głębi, uprawiania racjonalistycznej dyplomacji.

Dla Niemców Europa była formą historycznego, moralnego i politycznego odkupienia, wehikułem legitymizacji własnej roli politycznej, łagodzenia obaw partnerów dotyczących niemieckiej dominacji.

W myśleniu Brytyjczyków Europa była sposobem zapewnienia sobie miejsca przy stole, gdzie zapadały decyzje o przyszłości Europy i gdzie mogła ona zapobiegać rozwojowi wypadków szkodzącemu interesom Wielkiej Brytanii. Nie była już zdolna powrócić do tradycyjnej roli równoważenia europejskiego rozkładu sił. Chciała jedynie kontrolować procesy z grubsza, a kiedy

można było to robić tylko od wewnątrz projektu, wstąpiła doń w połowie lat siedemdziesiątych, ale pozostawała tam zawsze ze świadomością, że duchem z projektem ciągle pogłębiającej się integracji raczej jej nie po drodze. Zawsze czuła się przecież inna. Nigdy nie traktowała Europy jako projektu politycznego w sensie ścisłym. Tak łatwo zatem dało się jej rodzimym populistom Brytanię z integracyjnego projektu wyprowadzić.

Dla mniejszych państw Europy Zachodniej była narzędziem rozwiązywania wielkich, a nawet geopolitycznych dylematów europejskich, w sposób uwzględniający ich interesy, formułą unikania odpowiedzi o wybór patrona w sporach między dominującymi aktorami (Francją, Niemcami, Wielką Brytanią). A wschodnim Europejczykom, kiedy tylko mogli suwerennie zdecydować o swoim losie, Europa posłużyła jako instrument wyrwania się spod geopolitycznego uścisku Rosji i zalegitymizowania przynależności do zachodniej cywilizacji.

Do roli głównego aktora europejskiego procesu, mózgu strategicznego projektu zawsze aspirowała Francja. I tak jest do dziś, co by nie mówić o realnej wadze Niemiec i roli Berlina w popychaniu do przodu integracyjnego wozu. Dla Francji najważniejszym wyzwaniem było początkowo zapobieżenie odrodzeniu się zagrożenia niemieckiego. Po wojnie Niemcy były wprawdzie podzielone i okupowane, ale szybko mogły przecież odbudować przemysłowy potencjał.

Francuska wizja kontroli nad Niemcami zaprezentowana przez de Gaulle'a w grudniu 1945 r. w Baden Baden była zaprawdę żandarmeryjna. Zakładała stałą francuską obecność w pasie terytorium wzdłuż Renu, z Kolonią włącznie, a także stałą kontrolę nad przemysłem w Zagłębiu Ruhry. Pomysły de Gaulle'a rozchodziły się zdecydowanie z podejściem amerykańskim i brytyjskim, co uwidoczniło się z całą mocą na konferencji londyńskiej w 1948 r., kiedy Zachód (w formacie USA, Wlk. Brytania, Francji i trzy państwa Beneluxu) dyskutował nad przyszłością Niemiec.

Dla Stanów Zjednoczonych (i dla Wlk. Brytanii) ekspansja ZSRR była o wiele poważniejszym wyzwaniem niż możliwość odrodzenia rewanżyzmu Niemiec. A szybka odbudowa niemieckiej gospodarki stała się niezbędna dla strategii powstrzymywania Sowietów. Paryż zaakceptował w czerwcu 1948 r. perspektywę utworzenia państwa zachodniemieckiego w zamian za międzynarodową kontrolę zagłębia Ruhry. Francja pozostawała wszakże osamotniona w naleganiach na deindustrializację i demilitaryzację Niemiec. Międzynarodowa Administracja Ruhry, w której głos francuski byłby głosem odosobnionym, nie mogła Paryża zadowalać.

Tak pojawiła się przestrzeń dla wizji Schumana (nota bene zainspirowanej bezapelacyjnie decydująco propozycją utalentowanego urzędnika – Jeana Monneta). Wpisał on projekt utworzenia ponadpaństwowego systemu regulacji wydobycia węgla i produkcji stali w szerokie ramy europejskiego jednoczenia. Ale był jednocześnie plan Schumana swoistą podróżą w nieznaną, bo obawy o jego fiasko były realne.

Jednocześnie pod skrzydłami Amerykanów budowała się zachodnia wspólnota obronna. Pakt Brukselski Francji, Wlk. Brytanii i państw Beneluxu, podpisany w marcu 1948 r. (kilka tygodni po komunistycznym puczu w Czechosłowacji) nawet jeśli początkowo był motywowany potencjalnym zagrożeniem odrodzenia militarizmu niemieckiego, szybko musiał zostać wpisany w kontekst zagrożenia sowieckiego jako absolutnego priorytetu, a to wymagało organicznej ingremiacji Europy do systemu militarnego powstrzymywania Sowietów budowanego przez USA. I już w kwietniu 1949 r. doprowadziło to do powstania NATO.

Pakt Brukselski pozostawał wszakże pomocnym politycznym forum dyskusyjnym o Europie. To właśnie na stole Stałego Komitetu Paktu Brukselskiego wylądowały idee z memorandum Międzynarodowego Komitetu Ruchów na rzecz Europejskiej Jedności opracowane w sierpniu 1948 r. Ich promotorem stała się Francja i Belgia. Jądrzem propozycji było powołanie zgromadzenia europejskiego, które składałoby się z osób wyznaczonych przez parlamenty narodowe, a które to miałyby moc doradczą. Brytyjczycy mieli odmienną wizję. Tam centralne miejsce zajmował

ministerialny komitet, tworzony przez przedstawicieli rządowych w różnych konfiguracjach. W październiku 1948 r. doszło do powołania przez Radę Doradczą Paktu Brukselskiego Komitetu do Zbadania Europejskiej Jedności pod przewodnictwem Edouarda Herriota. W styczniu 1949 r. wypracowano kompromisowe rozwiązania, z których wyłoniła się instytucjonalnie Rada Europy. Piątka Paktu Brukselskiego doprosiła Włochy, Irlandię, Danię, Norwegię i Szwecję na konferencję założycielską Rady, która obradowała w Londynie w maju 1949 r. A sam Pakt Brukselski przerodził się w 1954 r. w Unię Zachodnioeuropejską, która praktykowała działalność dość pozorną, aż do wchłonięcia jej przez Unię Europejską w 2010 r. po wejściu w życie Traktatu Lizbońskiego

Rada Europy uosabiała alternatywną kolejną integracji europejskiej. Opartą na wspólnej tożsamości kulturowej i prawach człowieka. Wyłączono z jej kompetencji wszelkie aspekty wojskowe. Ma wspaniałe osiągnięcia w dziedzinie praw człowieka. To pod jej szyldem powołano Europejski Trybunał, który otworzył wszystkim obywatelom Europy możliwość skarżenia ich własnych rządów za nieprzestrzeganie praw. Ale politycznie coraz bardziej Rada słabła. Wypełzła na zupełny margines europejskiej polityki.

Wojna koreańska wzbudziła strach przed przeniesieniem globalnego konfliktu międzysystemowego na grunt europejski. Francja obawiała się zaś, że nieuchronna odbudowa sił zbrojnych Niemiec zniweczy plan europejskiej kontroli nad węglem i stalą. Takie były motywy planu Plevena zgłoszonego w październiku 1950 r. i przewidującego utworzenie europejskiej armii. Wlk. Brytania zajęła wyczekującą postawę, Beneluks miał obawy, RFN plan poparła (choć nie przypadła jej do gustu wydzielona Niemcom rola, postrzegana jako upośledzona – niemieckie siły miały być zorganizowane tylko w ramach małych oddziałów bojowych do sześciu batalionów). W maju 1952 r. do podpisania Europejskiej Wspólnoty Obronnej mimo wszystko doszło. Lecz obalili francuski plan sami Francuzi. Gaulliści potrafili rozpalic uczucia suwerennościowe do tego stopnia, że plan Plevena pod naciskiem społecznym przepadł we francuskim parlamencie.

A Francja na następne lata abdykowała z roli przewodniczki integracji europejskiej. W połowie lat pięćdziesiątych tę rolę przejęły państwa małe, z widocznym prymatem Niderlandów. To z Hagi właśnie wyszedł plan Beyena dotyczący utworzenia wspólnego rynku. Wspólnie z Belgią i Luksemburgiem przedłożyły Niderlandy pakiet, dopełniony przez plan Monneta w sprawie utworzenia kartelu nuklearnego na bazie wspólnoty węgla i stali. Po żmudnych negocjacjach doszło do podpisania w marcu 1957 r. traktatów rzymskich, które powołały do życia Europejską Wspólnotę Gospodarczą. Jądrzem projektu było doprowadzenie do powstania w ciągu 12 lat wspólnego rynku. I dzięki niesłychanemu wzrostowi gospodarczemu, spolegliwości rządów i entuzjastycznemu wsparciu idei wspólnego rynku przez przedsiębiorców cel został osiągnięty. I to na czas.

Nie bez bolesnych ustępstw. Najważniejszy dotyczył zachowania prawa weta, które miało zgodnie z traktatem zniknąć ustępując pola zasadzie większości. Francuski bojkot posiedzeń EWG w latach 1965-66 doprowadził do tzw. kompromisu luksemburskiego, który prawo weto utrzymał przy życiu, i to dnia dzisiejszego.

Kryzys proceduralny wynikał oczywiście z suwerennościowej obsesji de Gaulle'a. To i za jej sprawą EWG wypadła z wszelkich wielkich rozważań politycznych. Zajęła się „małą polityką”. Tylko na marginesie technicznych spotkań ministrowie wykorzystywali ją do dyskusji nad szerszymi tematami. Ówczesna wizja wspólnej Europy w ramach EWG sprowadzać się musiała do przyziemnych celów gospodarczego dozoru, bezpośredniego zarządzania polityką rolną i rybołówstwem, a także czuwania nad sprawnym działaniem reżimu handlowego.

De Gaulle zajął się zaś budową samodzielnej i niezależnej Europy poza EWG, praktykując wizję mocarstwowej i asertywnej Francji. Taka była bowiem francuska konkluzja z upokorzenia w kryzysie sueskim. Brytyjczycy poszli na podporządkowanie się USA, a Francja na manifestowanie

niezależnej (od USA) paramocarstwowości (zaopatrzenie się w własną force de frappe było naturalną konsekwencją tego wyboru). A wspólnotę polityczną Europy chciał de Gaulle budować poza EWG jako tzw. Europę Ojczyzn. Taka też była wymowa planu Foucheta z 1961 r. dotyczącego Unii Narodów Europejskich (nawet w poprawionej wersji z 1962 r.). Ale EWG odciążona od ambitnych oczekiwań (i politycznych kontrowersji) mogła skupić się na konsekwentnym budowaniu swojej „success story” i może na zdrowie jej tylko to wyszło.

Odejście de Gaulle'a z polityki odblokowało produktywne myślenie integracyjne w łonie EWG. Na szczycie haskim w 1969 r. dopuszczono wreszcie do negocjacji akcesyjnych Wlk. Brytanię. W 1948 r. Wielka Brytania otwarcie kwestionowała sens udziału we wspólnocie węgla i stali, z negocjacji nad wspólnym rynkiem odeszła nie wierząc w ich powodzenie. Później widząc rosnący potencjał wspólnoty dwukrotnie aplikowała bez powodzenia – blokowana z powodu uprzedzenia de Gaulle'a. Chociaż z dzisiejszej perspektywy Brexitu – pewno miał de Gaulle jakąś rację. Wielka Brytania już wewnątrz Wspólnoty w dyskusjach nad jej przyszłością operowała raczej pedałem hamulca niż gazu. Szczyt haski 1969 roku wzbogacił wszakże myślenie o wspólnocie o obszar polityki zagranicznej, projekt unii monetarnej i ekonomicznej. A w 1970 r. Pompidou zadeklarował poparcie dla perspektywicznego utworzenia unii europejskiej, mglistej jeszcze wtedy. Była to już dla Europy wizja co się zowie.

Za sprawą Francji od 1970 r. zaczęła funkcjonować Europejska Współpraca Polityczna. Kryzys naftowy lat siedemdziesiątych od strony gospodarczej, odprężenie w Europie od strony politycznej uświadomiły potrzebę ukształtowania europejskiej wizji dla kontynentu wykraczającej poza dotychczasowe paradygmaty. Integrację uznano za sposób na europejską emancypację, także polityczną. Europa chciała zapewnić sobie miejsce przy stole rozstrzygnięć strategicznych. Bolało ją, a zwłaszcza Francję, że jeszcze za Kennedy'ego dialog Wschód-Zachód został sprowadzony do dialogu dwóch supermocarstw. Giscard d'Estaigne chciał podnieść współpracę europejską na nowy poziom polityczny, już z udziałem Wlk. Brytanii. Instytucjonalizacja szczytów europejskich (począwszy od 1974 r.), która przybrała postać Rady Europejskiej spowodowała, że integracja europejska stała się projektem otwartym i ze wszech miar politycznym. A nawet cywilizacyjnym, o czym zaświadczyła przyjęta w 1973 r. Deklaracja Europejskiej Tożsamości.

Francja znów przejęła rolę dyrygenta europejskiego projektu. Mitterrand był do niego od zawsze przekonany. Przedstawiony w 1984. federalistyczny projekt Altiero Spinnellogo został usynowiony politycznie przez Mitterranda. Francuski prezydent rzucił hasło Unii Europejskiej, pisanej już z dużych liter, bo instytucjonalnej. Na szczycie w Mediolanie w 1985 r. wspólna niemiecko-francuska koncepcja unionizacji została wszakże zatrzymana przez Thatcher. Włoski premier Bettino Craxi mimo negatywnego zdania Brytyjczyków przeforsował zwołanie konferencji międzyrządowej dla nowego traktatu.

A wewnątrz Unii inicjatywę wziął w swoje ręce Jacques Delors jako przewodniczący komisji. W 1985 r. pociągnął EWG w kierunku tworzenia jednolitego rynku. Traktat z 1986 r. (Jednolity Akt Europejski z „Unią”, co prawda tylko w preambule, ale po raz pierwszy wspomnianą we wspólnym dokumencie) „polityzując” projektu europejskiego usankcjonował.

Upadek komunizmu i bloku wschodniego był dla Unii epokowym wyzwaniem. Po pierwsze, niebawem po upadku muru berlińskiego wyłonił się problem gospodarczej hegemonii Niemiec w Europie w perspektywie ich zjednoczenia. Tym razem Paryż poprowadził zakulisową grę wspólnie z Wlk. Brytanią, aby wymóc na Niemczech zgodę na wprowadzenie unii monetarnej w zamian za zgodę na absorpcję przez Unię byłej NRD. Kompromis osiągnięto na szczycie w Paryżu w grudniu 1989 r.

Przełom geopolityczny zachęcał do śmiałych inicjatyw. Przed szereg wyszedł sam Delors zgłaszając w styczniu 1990 r. projekt przekształcenia Wspólnoty do końca stulecia w rzeczywistą federację. Była to zresztą ostatnia śmiała inicjatywa ze strony funkcjonariusza Komisji.

W kwietniu 1990 r. we wspólnym liście prezydent Francji i kanclerz Niemiec rzucili hasło zbudowania ze Wspólnoty rzeczywistej Unii. W grudniu 1990 r. konferencja międzyrządowa zaczęła pracować zarówno nad unią monetarną, jak i polityczną. W grudniu 1991 r. na szczycie w Maastricht uzgodniono Traktat ustanawiający Unię Europejską podpisany w lutym 1992 r. Usadowiono ją na trzech filarach: wspólnotowym (gospodarczym), prawa i spraw wewnętrznych i polityki zagranicznej.

Integracja Europy stała się wkrótce przed nowym wyzwaniem. Miała posłużyć za instrument stabilizowania całej Europy. Wojny po rozpadzie Jugosławii i perspektywa odrodzenia się imperializmu rosyjskiego nie pozostawiały Unii wielkiego pola do manewru: trzeba było się rozszerzać. W 1993 r. podjęto strategiczną decyzję o ekspansji na Wschód. Unia, która była dotąd związkiem państw generalnie bogatych, a już z pewnością względnie zamożnych (nawet po absorpcji Portugalii, Grecji czy Irlandii), miała otworzyć się na państwa zubożałe, a co gorsza przez dekady odcięte od zachodniego strumienia kultury politycznej i gospodarczej. Miał przygotować Unię do rozszerzenia Traktat z Amsterdamu z 1997 r., ale trzeba było mechanizmy funkcjonowania doprecyzować z konieczności w Traktacie z Nicei w 2001 r. (m.in. zasady głosowania w Radzie UE - wspomnijmy słynne zawołanie Polaków: „pierwiastek albo śmierć”). A w 2004 r. rozszerzeniowy Big Bang mógł się w końcu dokonać.

Wprowadzenie wspólnej waluty, otwarcie granic, ekspansja terytorialna Unii zachęcała do snucia nowych integracyjnych zamysłów. Dyskusje o tzw. finalité niechybnie prowadziły do dychotomicznej polaryzacji na federacjonalistów i konfederacjonalistów. Próba przewyciężenia starych sporów była „konstytucjonalizacja” Europy, zainspirowana ideami Juergena Habermasa i promowana przez Berlin. Traktat Konstytucyjny z 2004 r. roztrzaskał się wszakże na rafie niezadowolenia społecznymi skutkami globalizacji. Odrzucony przez Francuzów i Holendrów pogrzebał ideę konstytucjonalizacji na długie lata, jeśli nie na zawsze.

Interwencja w Iraku wywołała poważne polityczne pęknięcie wewnątrz Unii w 2003 r. Uświadomiła, że konieczne jest wprowadzenie w jej ramach mechanizmów, które gwarantowałyby większą spójność w dziedzinie polityki zagranicznej i obronnej. Niektórzy komentatorzy powiadali wręcz, że w tym sensie Bin Laden zrobił więcej dla Europy niż Jacques Delors.

Traktat Lizboński z 2007 r. nadał Unii międzynarodową osobowość prawną. Pieczętował status, który czynił Unię czymś więcej niż klasyczną organizacją międzyrządową.

Poletkiem kształtowania stabilizacyjnego wpływu Unii Europejskiej na środowisko międzynarodowe była prowadzona od 2004 r. polityka sąsiedztwa.

Ledwo zaschły podpisy pod Traktatem Lizbońskim a zwały się na Unię egzystencjalne wręcz sprawdziany. Wkroczyła Unia w dekadę kryzysów – kryzys finansowy w Grecji (2008 r.), agresywna polityka Rosji i jej interwencja na Ukrainie (2014), kryzys migracyjny (2015), Brexit (2016), COVID (2020). A perturbacje gospodarcze, kryzysy i napięcia spowodowały przybranie fali populizmu i nastrojów antyunijnych. Unii zagroziła utrata poparcia społecznego. Plany integracyjne, także z powodu realnych i wyobrażanych skutków Brexitu, należało zawiesić na kołku. Ożywili się stary wrogowie Unii (Putin), a pojawili się nowi i niepodziani, jak Donald Trump, który określił Unię jako amerykańskiego wroga („foe”) na niwie handlowej.

Nie ulega wątpliwości, że Unia ma wrogów zajadłych. Dezintegracja Unii jest strategicznym celem putinowskiej Rosji. Silna i sprawna Unia jest bowiem najgroźniejszą przeszkodą w prowadzeniu przez Rosję jej zaborczej polityki europejskiej. Pożądanym i forsowanym przez Putina formatem

zarządzania Europą byłyby tzw. koncert mocarstw, w którym Rosja decydowałaby o przyszłości całego kontynentu wspólnie z Paryżem, Berlinem, Londynem. Nie bez głębszego sensu poszedł Putin w 2021 r. na szantaż całkowitego zamrożenia relacji z unijną Brukselą i zlecił upokorzenie Borella podczas jego wizyty w Moskwie. Nie powinna też być dziwić jego porywczą reakcją na umowy stowarzyszeniowe Unii z państwami Partnerstwa Wschodniego w 2013 r. Unia jest bowiem często postpowowana w Moskwie jako twór słaby, komenderowany przez USA, trawiony chorobstwem liberalizmu i dekadencji, ale jest tam widziana jako najpoważniejsze zagrożenie dla wpływów Rosji na tzw. obszarze postsowieckim.

Przez dekady całe integracji europejskiej w Moskwie nie doceniano, nie rozumiano, lekceważono. W schyłkowych latach ZSRR przyjechał na konsultacje do Warszawy dyrektor departamentu planowania w MSZ ambasador Lew Mendelewicz. Pierestrojka i głośność hulały w najlepsze. Zmuszały do refleksji nad błędami w polityce zagranicznej. Mendelewicz, człowiek o umyśle nietuzinkowym, szykował się już do emerytury, więc jego refleksje nad własną dyplomatyczną przeszłością brzmiały uczciwie i wiarygodnie. I, co ciekawe, za swój najpoważniejszy błąd kognitywno-polityczny uznał on niedoceniecie skutków integracji europejskiej. Zwierzył się nam wtedy w Warszawie, że w 1957 r. powierzono mu zadanie zredagowania oświadczenia TASS w związku z podpisaniem traktatów rzymskich. Stwierdził po latach, że pisał i wypowiadał w życiu wiele tez, których za Gorbaczowa wstydziliby się powtórzyć, ale tego oświadczenia TASS sromął się najbardziej. Bo zaślepiiony ortodoksją ideologiczną nie widział, że Europa Zachodnia nie tylko może przewyciężyć konflikty i spory, ale będzie w stanie w przyszłości zbudować geopolityczną (nie tylko gospodarczą) wspólnotę. A agencja TASS (piórem Mendelewicza) prorokowała Europejczykom nieunikniony kolaps projektu. Mendelewicz uwierzył w Europę dopiero za Gorbaczowa, ale na lata całe przed euro, Schengen, rozszerzeniem i wspólną polityką zagraniczną i obrony.

Federaliści w obliczu wyzwań nowego milenium, co prawda, nie ustawiali w dowodzeniu, że jedyną rozsądną odpowiedzią na każdy kryzys jest „więcej Europy”. W 2013 r. przedstawili całościowy i jednoznacznie federalistyczny projekt tzw. Bozar Treaty. Poszukiwała dróg (pragmatycznych) rozwoju projektu Komisja Europejska. Nie wzbudziły jej idee większego zainteresowania wśród państw członkowskich. Nawet Junckerowska koncepcja połączenia funkcji szefa Komisji i Rady („one captain vision”) przedstawiona w 2017 r.

Emmanuel Macron, wyniesiony w 2017 r. na urząd prezydenta Francji pod akompaniament Ody do Radości i w łopocie europejskich flag, rzucił się w wir kreowania inicjatyw ożywiających debatę o przyszłości Europy. We wrześniu 2017 r. w czasie wykładu na Sorbonie zgłosił m.in. propozycję utworzenia budżetu strefy euro, co zresztą zmaterializowało się już w 2019 r. W marcu 2019 r. Macron w liście do Europejczyków opisał cały katalog pomysłów zawierający m.in. ideę agencji ochrony demokracji, urzędu azylowego, wspólnej straży granicznej, zawarcia traktatu obronnego, ukonstytuowania rady bezpieczeństwa wewnętrznego, powołania banku klimatycznego, wprowadzenia wspólnej osłony społecznej. I przekonał Macron partnerów do rozpoczęcia formalnej debaty w ramach Konferencji o Przyszłości Europy uruchomionej 9 maja 2021 r. Po roku przedstawiła ona imponujący zestaw rekomendacji i propozycji. Parlament Europejski wykorzystał je jako pretekst do zaproponowania głębokich zmian ustrojowych, w tym zakładających m.in. odejście od jednomyślności w decyzjach Rady. I do zmian takich musi z czasem dojść, jeśli rola Unii w świecie ma wzrastać.

Przyszłość Europy rzadko wszakże powstawała na rajzbretach intelektualno-politycznych. Napędzały Europę przyziemne czasem potrzeby i sploty okoliczności. Ale myśl jakaś nie zaszkodzi. Inaczej pozostanie Unia instytucjonalnym wydaniem *Mädchen für alles*, kiedy trzeba coś naprawiać, i dyżurnym kozłem ofiarnym, kiedy coś się nie udaje.

Z palącej potrzeby poradzenia sobie ze skutkami COVID zrodził się tzw. plan Macrona-Merkel i będący jego sednem Fundusz Odbudowy. Przewidziane w nim tzw. uwspólnotowanie długu potraktowano niemal powszechnie jako tzw. hamiltonowski moment, czyli przekroczenie krytycznej rubieży w stronę federalizacji Europy.

Przyszłość Unii nie jest oczywiście przesądzona. Dopóki chcą „coraz ściślejszej Unii” Francuzi i Niemcy, kierunek ku większej integracji jest opcją przesądzoną, czy to częściom elit, w takich państwach, jak Polska, podoba się czy nie. Wizja powrotu do koncepcji „Europy Ojczyzn”, z pomocą której rządzący w Polsce w latach 2015-2023 otumaniali polskie społeczeństwo, budzi w Europie zażenowanie swoją anachronicznością. Dowodzi bowiem, że jej głosiciele nie potrafią zrozumieć istoty procesu integracyjnego. Są wśród nich tacy, którzy swoją proeuropejskość opierają na bankomatowej wizji Unii Europejskiej, a Polski w Unii udział chcą sprowadzić do wyciągania z Brukseli każdego nadażającego się grosza. A kiedy strumień grosza zacznie wysychać będą w stanie wyprowadzić Polskę z Unii bez najmniejszego zmieszania. I byli z punktu widzenia takiego Putina już nawet nie pożytecznymi idiotami, ale jego bezapelacyjnymi agentami wpływu. Nikt tak jak PiS (bo przy całym szacunku dla Orbana znaczenie Węgier w Unii jest raczej marginalne) nie przysłużył się realizacji putinowskiej wizji Europy.

Z każdym dniem rządów PiS pozycja Polski w Unii mizerniała. Wypadliśmy z gremiów, które mogłyby mieć wpływ na podejmowane w Unii decyzje. Jeden z byłych dyrektorów politycznych MSZ przedstawił w opublikowanej w 2021 r. książce wyidealizowany obraz funkcjonowania za minionych rządów PO i PSL tzw. grupy sześciu, czyli Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Włoch, Hiszpanii i Polski. Prawda bowiem była taka, że decydujące znaczenie przynajmniej w sprawach wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa miał format dużej trójki, czyli Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii. Konsultacje w tej konfiguracji odbywały się na wielu poziomach i w odniesieniu do wielu zagadnień, ale zawsze w pełnej dyskrecji. Sam publicznie używałem często używane w odniesieniu do tego formatu określenie „dyrektoriat”. Jego funkcjonowanie na forum Rady Europy doprowadzało mnie bowiem do szewskiej pasji. W każdy poniedziałek przed zwyczajową sesją ambasadorów państw unijnych (tzw. HOMs), trójka dyrektorialna schodziła się na roboczym lunchu, a poczynienia tam ustalenia próbowała forsować potem jako stanowisko całej Unii. Często wszakże, zwłaszcza w kwestiach polityki wobec Rosji i Europy Wschodniej - bez powodzenia, bowiem Polska, Czechy czy Rumunia potrafiły udaremnić założony plan gry.

Problem nie polegał na tym, że ambasadorowie Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii spotykali się ze sobą i rozmawiali. Problem polegał na tym, że tak byli zajęci sobą, że nie mieli czasu porozmawiać z innymi partnerami. Jeden z zaprzyjaźnionych dyplomatów brytyjskich zwierzył mi się, kiedy do Unii wchodziliśmy, a on uświadamiał mi, jak wygląda polityczna kuchnia podejmowania decyzji w dziedzinie polityki zagranicznej, że Brytyjczycy na ten dyrektoriat przystali, ale zastrzegali, że powinien mieć formułę otwartą, a Polskę dołączać by trzeba było w sprawach polityki wschodniej.

Sprawę „dyrektoriatu”, jak to ja, prowokacyjnie podniosłem na naradzie polskich ambasadorów w 2008 r. Nikt jej w dyskusji nie podjął, a nawet zostałem przez jednego z członków ówczesnego kierownictwa MSZ w kuluarach ofuknięty. Ale dyskretnie zaraportowano sprawę prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu i on omówił problem „wąskich gremiów” w ramach UE i polskiego do nich stosunku dość obszernie na spotkaniu z ambasadorami.

Trójkąt Weimarski pozwalał nam przynajmniej mieć wgląd w niektóre aspekty politycznej kuchni UE, a dobre relacje z Niemcami popychać korzystne dla nas stanowiska. W latach 2015-2023 „Weimar” pograżył się w głębokiej hibernacji, a do rozmowy o przyszłości Europy Francuzi i Niemcy dopraszają Włochów, czasem też i Hiszpanię. Rządy PiS wypchnęły nas skutecznie z „wąskich gremiów”. Bo nawet wznowiona po Brexicie tzw. „grupa pięciu”, to wątłutkie echo głosu dawnej „szóstki”.

Wyjście Wielkiej Brytanii oznacza istotną zmianę paradygmatu integracji. Przestał on być projektem paneuropejskim. Był takim nawet bez Szwajcarii czy Norwegii. Bez Wielkiej Brytanii już nie jest.

W dzisiejszym myśleniu o przyszłości Europy coraz donośniejsze jest rezonowanie o zjednoczonej Europie jako projekcie geopolitycznym. Integracja ma wzmacniać szanse Europy w rywalizacji z Chinami, Rosją, usamodzielniać ją globalnie od Stanów Zjednoczonych. Globalna rola Unii Europejskiej ma ją nieuchronnie federalizować. Są oczywiście znaczące siły, które liczą na rozkład wewnętrzny, powszechną anomię wywołaną nastrojami antybrukselskimi, która popchnie społeczeństwa europejskie do odrzucenia integracji. Powrót do Europy Ojczyzn jest wszakże największą fantasmagorią polskiej i europejskiej populistycznej prawicy. Projektu integracyjnego nie da się w sposób kontrolowalny „zwinąć”. Można jedynie go politycznie rozsadzić do stanu totalnej niewydolności i zastąpić ringiem wolnoamerykanki narodowych egoizmów.

Projekt integracyjny był zawsze postrzegany jako coś więcej niż projekt polityczny. Miała zawsze Europa wiele wymiarów. Jest Europa filozoficzna (racjonalistyczna, uniwersalistyczna, transformacyjna). Jest Europa kulturowa (tolerancyjna, liberalna, empatyczna). W projekcie integracyjnym chodziło przecież zawsze także o wartości.

Czy telos geopolityczny przeważa nad telos cywilizacyjno-aksjologicznym? Oby nie. Nie tylko dlatego, że od czynnika wartości zależy spójność całego projektu. Bo ma Unia Europejska misję także w świecie. Dziś wspólna polityka zagraniczna budowana jest wokół prakseologicznych doktryn w rodzaju „skutecznego multilateralizmu”, czy też „świata opartego na zasadach”. Powinno w niej chodzić o coś więcej: o wzmacnianie elementów wspólnego globalnego zarządzania, sprawiedliwości globalnej, obywatelskiego udziału w decydowaniu o polityce światowej, o próbę replikowania w skali globalnej udanych europejskich przedsięwzięć integracyjnych. Chodzi o głoszenie prawd, których mocarstwa starej epoki, zrodzone z modelu państwa narodowego (USA, Chiny, Indie, Rosja) nie są genetycznie zaprogramowane, aby głosić. *Macte animo, Europo!*

7. Regionalizm

Unia Europejska przekreśliła spuściznę trybalnych paradygmatów pokoju westfalskiego, siłowych metod powiedeńskiego dyktatu mocarstw, hegemonicznych polityk jałtańskiego podziału Europy. I jakby tego było mało, wyniesiona została Unia na piedestał wzorca kardynalnie nowego, lepszego, ba, postmodernistycznego modelu stosunków międzynarodowych. Jej funkcjonowanie jest niewątpliwie projektem postrzeganym w kategoriach sukcesu. Nic dziwnego, że stała się kuszącą formułą transpozycji jej modelu na zarządzanie całym światem, w którym to rolę stabilizatorów odgrywałyby wielkie bloki państw i regionów. Inspirowało powodzenie Unii polityków na innych kontynentach do szukania integracyjnych rozwiązań.

Nigdzie porównywalnego z Unią stopnia integracji nie osiągnięto. Nigdzie indziej zresztą dla procesów zacieśniania regionalnej współpracy nie próbowano dopisywać tak historiozoficznego, jak w przypadku Unii Europejskiego, przesłania. Ale wszędzie takie regionalne bloki, bardziej lub mniej zwarte, tworzone.

Po zakończeniu zimnej wojny odżyły nadzieje na uczynienie instytucji regionalnych filarem subsydiarności w zapobieganiu konfliktów i opanowywaniu kryzysów, wspomagających, kiedy trzeba, przeciążoną ONZ. Sukces był ledwie połowiczny. W Afryce lokalnemu zaangażowaniu zabrakło materialnego podparcia (czyli pieniędzy). W Azji kluczowy często jest czynnik zewnętrzny (rola USA w stabilizowaniu sytuacji na Półwyspie Koreańskim czy w też w

mitygowaniu zachowania Pekinu wobec Tajwanu czy w sporach wokół Wysp Paracelskich czy Spratly).

Instytucji regionalnych powstało mnóstwo. Ich obsługa angażuje niemałe zasoby ludzkie i finansowe. Są one dla wielu państw ważnym, jeśli nie kluczowym polem aktywności politycznej.

*

W Afryce motorem współpracy regionalnej bardziej było poczucie wspólnej tożsamości niż zewnętrzne stymulanty. Tłem inicjatyw był przede wszystkim panafrykanizm.

Panafrykanizm narodził się na przełomie XIX i XX w. i to bynajmniej nie na samym skolonizowanym do ścisłu kontynencie, lecz wśród Afroamerykanów. Nabrał panafrykanizm potem dynamiki wśród działaczy niepodległościowych Afryki francuskiej.

W dekolonizacyjnym porywie powołano w 1963 r. Organizację Jedności Afrykańskiej. W 2002 r. zastąpiła ją Unia Afrykańska.

Próbowano za pośrednictwem regionalnej organizacji rozwiązywać spory między jej członkami. Ale samą organizację sparaliżował m.in. konflikt wokół Sahary Zachodniej. Opuściło w 1984 r. OJA Maroko (powróciło, ale już na łono UA w 2017 r.). Nie powiodły się plany integracji gospodarczej. Nawet pierwszy jej szczebel, czyli swoisty integracyjny *pons asinorum*, tj. utworzenie strefy wolnego handlu, okazało się zadaniem ponad siły. Uchwalono w 1981 r. afrykańską Kartę Praw Człowieka i Ludów, ale jej naruszanie, i to w sposób notoryczny i oburzający przez wiele państw członkowskich, pozostawało bez konsekwencji. Miał wymusić odpowiedzialność rządów Afrykański Trybunał Praw Człowieka i Ludów, który rozpoczął działalność w 2004 r., ale daleko mu do autorytetu i siły oddziaływania jego europejskiego starszego krewniaka.

Pod koniec ubiegłego stulecia słabość OJA była tak bezapelacyjna, że kiedy Muammar Kaddafi ogłosił, że organizacja wyczerpała swój potencjał i należy powołać do życia lepszą jej wersję - Unię Afrykańską, nikt nie oponował. Już w ramach UA powołano Radę Pokoju i Bezpieczeństwa. W 2018 r. podpisano zaś umowę o strefie wolnego handlu. Zapowiedziano przekształcenie jej z czasem w Unię Celną. A uradować ma zwykłego obywatela kontynentu paszport afrykański i ruch bezwizowy. Co prawda granice w Afryce nadal są wielce porowate, a przekracza się je zupełnie inaczej niż w Europie.

Przekonałem się o tym sam dość szybko po rozpoczęciu mojej pracy na placówce dyplomatycznej w Nairobi w 1999 r.. Miałem się bowiem udać na początku 2000 r. w podróż służbową do Ugandy. Wziąłem samochód z miejscowym kierowcą. Dojechaliśmy gładko po kilku godzinach na przejście graniczne w Malaba. Odprawieni przez Kenijczyków, ruszyliśmy w stronę kontroli ugandyjskiej. Staliśmy tam minut kilkanaście licząc, że tak jak w Europie musi ktoś do nas podejść. Ponieważ nikt nie podchodził i szlabanów żadnych przed nami nie było, ruszyliśmy dalej. Nikt nas nie niepokoił. Po tygodniu, kiedy wracaliśmy do Kenii, urzędnika ugandyjskiego w mundurze na granicy tym razem dostrzeżliśmy. Wyłapał on szybko, że brakuje nam wjazdowych stempli ugandyjskich. Więc, z formalnego punktu widzenia, w Ugandzie byliśmy nielegalnie. Całe szczęście na dyplomatycznych paszportach. Urzędnik (dla naszego własnego dobra) nie wbił, aby oszczędzić nam konsekwencji, stempli wjazdowych. Wy tłumaczył, że w Afryce to podróżnik winien wyszukać pogranicznika, a nie na odwrót. Kenijczycy na granicy byli łaskawi anulować swoje pieczętki wjazdowe sprzed tygodnia. W taki oto sposób moja podróż służbowa do Ugandy nie znalazła żadnego potwierdzenia w moim dyplomatycznym paszporcie. Dobrze, że nie musiałem się stemplami wykazać dla rozliczenia delegacji. Nie miałem też żadnej pamiątki w paszporcie ze swoich wizyt w Zambii i Malawi, bo też okazać paszportu w ogóle nie musiałem.

W ramach współpracy regionalnej rozmieszczano na różnych etapach historii OJA afrykańskie siły stabilizacyjne, m.in. w Ugandzie, Sudanie Południowym, Republice Środkowej Afryki. Ale to siły stabilizacyjne Unii Europejskiej stały się niezbędne dla zagwarantowania stabilności, choćby w Mali, Nigrze czy Republice Środkowoafrykańskiej. Unia Afrykańska okazała się bezradna w zapobieganiu przewrotom militarnym, jakie zaczęły znów trawić kontynent w latach 2022-2023. Nie powstrzymała masowej niekontrolowanej migracji. Za to ambicje Unii Afrykańskiej sięgają nawet kosmosu i pod jej egidą działa Afrykańska Agencja Kosmiczna.

Czy możliwa jest integracja państw biednych? Co i rusz Afrykanie zadają sobie to pytanie. Mówi się, że tajemnicą sukcesu europejskiej integracji jest to, że zaczęła się od państw najbogatszych.

Każdy winien kibicować afrykańskiej subsydiarności, nawet jeśli ponadnarodowa integracja jest tam trudna do wyobrażenia.

*

Idea integracji państw amerykańskich sięga swoimi korzeniami do czasu wybijania się kolonii latynoamerykańskich na niepodległość. Za jej ojców uważa się tam i San Martina, i Bolívara. Konferencja w Panamie, przeprowadzona w 1826 r. z inicjatywy Bolívara, przygotowała traktat powołujący konfederacyjną ligę państw amerykańskich, ale ratyfikowała go tylko ówczesna wielka Kolumbia.

Potem inicjatywa przeszła już w ręce USA, a współpraca państw amerykańskich została wtłoczona w ramy realizacji doktryny Monroe. W 1890 r. powstała Międzynarodowa Unia Amerykańskich państw (z fizyczną siedzibą w Departamencie Stanu USA), przekształcona w 1910 r. w Unię Amerykańskich Republiki z sekretariatem nazwanym Unią Panamerykańską, a ta z kolei Unia została odświeżona 1948 r. w postaci Organizacji Państw Amerykańskich (OPA). Ma ona swój Międzyamerykański Trybunał Praw Człowieka i amerykańską Konwencję Praw Człowieka (w mocy od 1978 r.). Organizuje pod swoimi auspicjami monitoring wyborów w państwach członkowskich.

Nie ulega wątpliwości, że ciąży nad OPA silna amerykańska dominacja, nawet jeśli z czasem Amerykanie używali swojej potęgometrii raczej dyskretnie. A i w debatach prowadzonych na forum OPA dostawało się USA w skórę, a nawet podejmowano rezolucje Waszyngtonowi niemiłe, np. potępiające interwencję USA w Panamie w 1989 r.

Traktat z Rio z 1947 r. wprowadzał na półkuli zachodniej namiastkę systemu zbiorowego bezpieczeństwa, a nawet zbiorowej obrony, traktował bowiem atak na jedną ze stron jako atak na wszystkich. W ramach globalnej strategii powstrzymywania komunizmu wprowadzał Traktat z Rio protektorat amerykański nad Ameryką Południową wobec interwencji zewnętrznej. Ale hegemonia amerykańska była z różnych powodów uciążliwą dolegliwością. Z systemu zbiorowej obrony wystąpiły Meksyk czy Boliwia, nie mówiąc już o Kubie, która wbrew duchowi Traktatu stała się ofiarą przeprowadzonej z inicjatywy CIA inwazji w Zatoce Świń w 1961 r.

Podjęto próbę modyfikacji Traktatu, ale bez powodzenia. Na dodatek w 1982 r. USA poparły Wlk. Brytanię w wojnie o Falklandy przeciw Argentynie. Tym niemniej, kiedy Waszyngtonowi potrzebna była panamerykańska solidarność, powołał się on na Traktat, prosząc o udział państw amerykańskich w wojnie z terroryzmem.

Karaiby i Ameryka Południowa wykształciły mrowie całe formatów regionalnej współpracy. Tak wiele, że nawet lokalni eksperci problem mają z zapamiętaniem wszystkich obowiązujących akronimów. Ilość niestety nie przekształciła się jeszcze w jakość.

Mercosur na mocy umowy z 1991 r. obejmuje Brazylię, Argentynę, Urugwaj, Paragwaj, i zawieszoną obecnie Wenezuelę (a Boliwia jest w trakcie akcesji) a także członków

stowarzyszonych (pozostałe państwa Ameryki Południowej). Jest rozłożystym ugrupowaniem wolnego handlu, wspólnym rynkiem i unią celną. Wspólnota Andyjska od 1969 r. tworzy strefę wolnego handlu i dąży do ustanowienia unii celnej na zachodnim krańcu Ameryki Południowej, ale obecnie tylko w czwórkę (Peru, Ekwador, Boliwia i Kolumbia).

UNASUR to Unia Narodów Południowoamerykańskich. W obecnej postaci funkcjonuje od 2007 r. i obejmowała w najlepszych dniach dwanaście państw. Jej celem jest koordynacja polityczna, podążanie ku wspólnej strefie wolnego handlu, integracja energetyczna, komunikacyjna. Szybko się wszakże rozsypała pod presją wewnętrznych rozdźwięków. W 2019 r. Ekwador wyprosił organizację z zajmowanego w Quito budynku. Próbowano projekt ratować w postaci inicjatywy PROSUR na rzecz bojkotu Maduro w Wenezueli, ale bez większych konsekwencji.

CAFTA to strefa wolnego handlu USA z sześcioma państwami Ameryki Środkowej działająca od 2004.

ALBA to z kolei pakt Castro, Chaveza i Moralesa z 2006 r. (Alternatywa Boliwariańska na rzecz Ludów Naszej Ameryki). Umrze z tworzącymi go dyktaturami.

CARICOM od 1973 r. to karaibska wspólnota i subregionalny wolny rynek. Do pierwotnych założycieli Barbadosu, Gujany, Jamajki oraz Trynidadu-Tobago dołączyły inne państwa regionu - w sumie liczy wspólnota 15 pełnych członków.

W grudniu 1992 r. podpisano umowę o strefie wolnego handlu z udziałem USA, Kanady i Meksyku (NAFTA). Renegocjowano ją pod naciskiem prezydenta Trumpa i od lipca 2020 r. wolny handel między tymi państwami występuje pod nowym akronimem jako USMCA. Połączyć jednak obie Ameryki w strefę wolnego handlu się nie udało, mimo intensywnych prób na początku milenium.

Istniejący od 1975 r. Latynoamerykański System Gospodarczy obejmuje 27 państw (bez USA), ale do ambitniejszych celów nie dąży. Stowarzyszenie Integracji Latynoamerykańskiej powstałe w 1980 r. na gruzach Stowarzyszenia Wolnego Handlu Ameryki Łacińskiej to 12 państw na rzecz wspólnego rynku. Regionalny System Obrony to z kolei umowa 7 małych państw karaibskich (w działaniu od 1982 r.), ale bez większej wagi politycznej.

W sumie jednak Ameryka (i jako Półkula Zachodnia, i jako łaćski czy karaibski jej segment) integrowała się słabo. Eksplikować się da to na wiele sposobów. Bo zewnętrzne zagrożenie czy presja były słabe, czy to w wydaniu byłych konkwistadorów kolonijnych, czy to w wydaniu zagrożenia sowieckiego (bo z kubańskiego przyczółka żadna większa ofensywa na kontynent nie poszła, mimo sukcesów populistycznych reżimów w Wenezueli czy Boliwii). Nie ma też na kontynencie zasiedziały animozji między narodami czy państwami, nie ciąży spuścizna spirali nikończących się konfliktów i odwetów. No i jest jeszcze czynnik „wielkiego brata”, czyli przygniatająca potęga USA, która zamienia dyskusje o panamerykanizmie w polityczny paragraf 22. Integrować się przeciw USA sensu nie ma, a integrowanie się pod dyktando USA wypłukiwałoby wszelką suwerenność i przekształcałoby regionalne fora w rytualny potłacz.

*

Najbardziej anemicznie integrowała się Azja. Może dlatego, że kontynent to zbyt duży, zbyt ludny, zbyt rozbity tożsamościowo. Azja jako określenie regionalne uchodzi tam często zresztą za wytwór zachodniej wyobraźni. Sami Azjaci wolą posługiwać się bardziej powściągliwymi ramami geograficznymi w szukaniu płaszczyzn współpracy sąsiedzkiej. Pojawiały się, gwoli prawdy, i panazjatyckie płaszczyzny na wzór europejskiego procesu KBWE, chociażby w wydaniu Konferencji w sprawie Współdziałania i Środków Budowy Zaufania w Azji (CICA). W 1992 r. prezydent Kazachstanu Nursułtan Nazarbajew zgłosił inicjatywę jej zwołania. Myślała mu się prawdopodobnie platforma podobna do KBWE, mogąca stać się załączkiem do zbudowania w Azji systemu bezpieczeństwa zbiorowego. W 1999 r. przyjęto w ramach Konferencji Deklarację Zasad

(inspiracja helsińskim dekalogiem całkiem zamierzona), a w 2002 r. uzgodniono Kartę Konferencji. CICA obrosła w organy i instytucje. Wchodzi w jej skład 27 państw kontynentu (obejmujących prawie 90 proc. terytorium Azji). Co prawda kilku istotnych azjatyckich graczy zadowala się jedynie statusem obserwatora, jak choćby Japonia, Indonezja, Malezja czy Filipiny. Odbywają się w jej ramach regularne szczyty (szósty z kolei odbył się w październiku 2022 r.), przyjmowane są sycące dokumenty. Kilkanaście państw zadeklarowało gotowość stosowania katalogu środków budowy zaufania opracowanego w ramach współpracy. Wpływ CICA okazał się raczej mało posilny. Nie dziw, że Amerykanie woleli raczej popychać OBWE ku niektórym obszarom Azji niż oddawać je pod kuratelę CICA. Za państwami Azji Centralnej, które weszły do OBWE w 1992 r., podążyła Mongolia, a organizacja rozwinęła program wsparcia dla Afganistanu.

W sensie politycznym większą uwagę skupia na sobie Szanghajska Organizacja Współpracy, powołana w 2001 r. Jest kontynuatorką formatu stricte środkowoazjatyckiego, który miał legitymizować geopolityczne wejście Chin do Azji Centralnej w porozumieniu z Rosją. W 2017 r. Organizacja Szanghajska rozrosła się o Indie i Pakistan, co czyni ją instrumentem ponadsubregionalnym. Czy jest w stanie w jakikolwiek sposób łagodzić istniejącą rywalizację i spory między czterema wielkimi partnerami, dowodów na to nie ma. Ma raczej blokować polityczne wpływy Zachodu w regionie.

Nawet porozumienia w dziedzinie handlowej i gospodarczej wykuwają się w Azji z bólem. Wspólnota Gospodarcza Azji i Pacyfiku, obejmująca 21 państw, działa z inicjatywy Australii od 1989 r. Projekt strefy wolnego handlu w regionie (z udziałem USA) spalił jednak na panewce. W 2020 r. udało się po ośmiu latach negocjacji podpisać umowę o strefie wolnego handlu z udziałem 15 państw, w tym Chin, Japonii, Korei Południowej, Australii i Nowej Zelandii a także 10 państw członkowskich ASEAN. Ale nadal bez Indii.

Ramy współpracy subregionalnej funkcjonują w Azji Południowej. Południowoazjatyckie Stowarzyszenie Współpracy Regionalnej (SAARC) zostało powołane do życia w 1985 r. Jego wartość polega na tym, że siedzą tam przy jednym stole rokowań Indie i Pakistan – mocarstwa nuklearne pozostające w stanie głębokiego sporu terytorialnego (także Bangladesz, Sri Lanka, Malediwy, Bhutan, Nepal i Afganistan). Porozumienie SAFTA o strefie wolnego handlu podpisano w 2008 r., ale idea stopniowego przekształcania go w unię gospodarczą nie nabrała realnych perspektyw.

Turcja w 2021 r. wysunęła propozycję ustanowienia formatu 3+3 dla Kaukazu Południowego. Trzy państwa regionu miałyby spotykać się z Rosją, Turcją i Iranem. Chciała w ten sposób Turcja niewątpliwie potwierdzić swoją rolę jako regionalnego rozgrywającego. I zaczęły się te państwa spotykać, ale bez Gruzji (z wiadomych i zrozumiałych powodów). Region potrzebuje zwłaszcza w dziedzinie infrastruktury komunikacyjnej i energetycznej uzgodnień między sąsiadami. Ale spora część projektów infrastrukturalnych finansowana jest przez europejskie banki i instytucje finansowe i wspierana przez Unię Europejską (modernizacja przejść granicznych między Gruzją a Armenią, Armenią a Iranem, most przesyłu energii między Armenią i Gruzją, etc.), dla której w tym formacie miejsca nie ma.

Ale w zasadzie jedyną azjatycką inicjatywą subregionalną, która zgłaszała ambitne aspiracje integracyjne, jest ASEAN, czyli Stowarzyszenie Narodów Azji Południowo-Wschodniej. Jest Stowarzyszenie organizacją polityczną i gospodarczą, ale ma także zadeklarowany wymiar społeczno-kulturowy. To tak zwane trzy filary organizacji. Założono ASEAN w sierpniu 1967 r. w Bangkoku. Siedzibą organizacji jest Dżakarta, a członkami: Filipiny, Indonezja, Malezja, Singapur, Tajlandia jako tzw. państwa założycielskie, a także Brunei, Wietnam, Laos, Mjanma i Kambodża.

ASEAN jest organizacją nadzwyczaj płodną, jeśli chodzi o ilość i zamaszystość dokumentów. Ale jej krytycy ich wartość kwestionują. Większych skutków politycznych, jakie wynikałyby z twórczości dyplomatycznej, nie dostrzegają. Nie do końca to sprawiedliwe. Region stał się na przykład w 2001 r. strefą bezatomową. A Forum Regionalne ASEAN od 1994 r. służy jako gatunkowo najważniejsza platforma dyskusji Azji Wschodniej, Południowej i Pacyfiku z udziałem wielkich mocarstw, w tym USA, Chin, Rosji i Unii Europejskiej.

W 2015 r. miał się ASEAN stać wspólnotą gospodarczą na wzór Unii Europejskiej, co odzwierciedlała podpisana wtedy deklaracja Wspólnoty ASEAN, przewidującej utworzenie wspólnego rynku, unii monetarnej i bankowej. Nie stał jeszcze niestety do dziś dzień.

Od 1981 r. funkcjonuje Rada Współpracy Państw Zatoki, skupiająca Arabię Saudyjską, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Bahrajn, Katar, Oman. Realizuje ambitne plany integracyjne zmierzające do utworzenia jednolitego rynku, wprowadzenia wspólnej waluty, wspólnych przedsięwzięć infrastrukturalnych. Politycznie jest widziana, zwłaszcza w Rijadzie, jako zaporę przed ekspansją Iranu w regionie. Ale jak pokazał spór Arabii Saudyjskiej (wspieranej przez niektóre państwa regionu) z Katarą w 2017 r., Rada ma niewielki wpływ na gaszenie lokalnych konfliktów politycznych. Jej Sekretariat ma wszakże znakomite warunki pracy.

*

Praca w organizacjach międzynarodowych od dekad przyciąga zdolnych i ambitnych dyplomatów. Owszem, urzędnicy międzynarodowi są dobrze opłacani. Poza nielicznymi wyjątkami, żadna narodowa służba dyplomatyczna nie jest pod tym względem konkurencyjna. A w przypadkach szczególnych dochodowy rozróżnienie jest przepastny. Z tego to powodu w czasach minionych zmuszano dyplomatów ZSRR, aby przekazywali do budżetu państwa specjalny podatek równoważny nadwyżce otrzymywanej pensji od wynagrodzenia, które przysługiwałoby im w narodowej służbie dyplomatycznej. Praca dla organizacji międzynarodowej może dać okazję niebywałego rozwoju zawodowego. I poczucie spełnienia, zwłaszcza jeśli ktoś dobrze czuje się w roli urzędniczej. Rzadko jednak oferuje takie możliwości wyżycia się dyplomatycznego jak w narodowej służbie. Bo dyplomacja w najczystszej formie to jednak praca na rzecz polityki zagranicznej własnego państwa. Urzędnicy międzynarodowi praktykujący zajęcie dyplomatyczne nigdy takiego zaczepienia w polityce zagranicznej nie znajdują, nawet jeśli działają w poczuciu podniosłej i szlachetnej misji – zachowania pokoju światowego, obrony praw człowieka, niesienia pomocy rozwojowej.

Urzędnicy międzynarodowi pracują w różnych warunkach. W swojej karierze dyplomatycznej odwiedziłem wiele siedzib organizacji międzynarodowych. Współczułem pracownikom Sekretariatu ONZ ciasnoty i niewygody pomieszczeń przy East River w Nowym Jorku (nawet jeśli rekompensowanej widokiem z okien), zazdrościłem kojącej przyrody urzędnikom ONZ w Genewie czy Nairobi. Łączyłem się w narzekaniach pracowników starej siedziby Kwatery Głównej NATO, i polskiego przy niej przedstawicielstwa, kiedy urzędowali w mało termicznie oszczędnych i mało dźwiękoszczelnych blokach kontenerowych. Za to wygodą mogły imponować pokoje pracy w Europejskiej Służbie Działań Zewnętrznych. Sam korzystałem z bardziej niż przestronnych gabinetów ze znakomitymi widokami z okien, kiedy pracowałem w Sekretariacie OBWE i Sekretariacie Rady Europy. Zwiedziłem siedziby OPA, OJA i innych organizacji. W żadnej jednak nie poczułem takiego komfortu, zacisza i dobrobytu, jak w Organizacji Współpracy Państw Zatoki w Rijadzie, kiedy odwiedzałem ją na początku obecnego milenium. Nigdzie nie poczułem takiego odprężenia i lekkości mijającego czasu w biurze. Może także i dlatego, że żadnej szansy pracy dla tej organizacji nigdy bym nie miał.

8. Subregionalizm

Subregionalna współpraca wynika z reguły z naturalnego odruchu łączenia sił w rozwiązywaniu problemów sąsiedzkich. Często opiera się na bliskości kulturowo-etnicznej. Jest rozszerzeniem starej prawdy: „szukaj przyjaciół blisko, a wrogów daleko”. Nie ma wielkiej geostrategicznej podbudowy. Jest często apoteozą pragmatyzmu w polityce.

Subregionalizm w Europie zrodził się po II wojnie światowej, a rozkwitł w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku.

W 1952 r. powołano do życia Radę Nordycką. Powołano ją drogą porozumienia między parlamentami państw założycielskich: Danii, Norwegii, Islandii i Szwecji. Później dołączyły Finlandia (ośmieliła się zdradzić swój zamiar przyłączenia dopiero w 1955 r.), Grenlandia, Wyspy Alandzkie i Wyspy Owcze, tworząc interesujący ontologicznie związek parlamentów państw suwerennych i podmiotów zależnych (których przedstawiciele funkcjonują w ramach delegacji państw). Organem odrębnym jest Nordycka Rada Ministrów funkcjonująca od 1971 r.

Rada Nordycka nie zajmuje się sprawami polityki zagranicznej i obronności. Koncentruje się na współpracy kulturalnej, naukowej, gospodarczej, ekologicznej. To w regionie skandynawskim jeszcze w 1952 r. wprowadzono możliwość przekraczania granic bez paszportów, a w 1958 r. ustanowiono formalny związek paszportowy, traktowany jako prekursor reżimu schengenkiego. Objęto też wcześniej region jednolitym rynkiem pracy. Mimo podziałów na tle przynależności do Unii Europejskiej państwa regionu utrzymują całkiem silną więź i solidarność w zabieganiu o interesy regionu, także w ubieganiu się o stanowiska międzynarodowe czy organizację imprez kulturalnych i innych. Konsultują się regularnie na forach międzynarodowych. Ale politycznie jest nordycki format ciałem bez większego znaczenia i bez aspiracji w układzie europejskim.

Podobnie Beneluks. Połączył on państwa regionu w unię monetarną, celną, gospodarczą (funkcjonował związek pierwotnie w 1921 r. jako unia monetarna między Belgią i Luksemburgiem, od 1948 r. jako unia celna trzech państw także z Holandią). Unia Ekonomiczna Beneluxu podpisana w 1958 r. była niewątpliwie poligonem doświadczalnym dla całego procesu integracji europejskiej. Podobnie jak zniesienie kontroli granicznych w Beneluksie od lat 1970 stało się pionierskim testem dla procesu Schengen dla całej Unii Europejskiej. Funkcjonująca w obecnym kształcie traktatowym Unia Beneluxu nie ma większych ambicji do wpływania na wielką politykę europejską.

Rozmontowanie żelaznej kurtyny w Europie Środkowej ożywiło politykę subregionalną w tym regionie. W 1989 r. zainicjowano Inicjatywę Środkoeuropejską (początkowo jako Quadragonale z udziałem Austrii, Jugosławii, Węgier i Włoch, do których doszłusowały Czechosłowacja w ramach Pentagonale, potem Polska - w Hexagonale, a od 1992 r. wstąpił doń cały już zastęp państw, doprowadzając liczebność ugrupowania do 18 członków, i wykraczając daleko poza ramy Europy Środkowej, nawet przy bardzo rozciągliwym definiowaniu tego pojęcia). Inicjatorem forum były Włochy. Chciały za jego pośrednictwem wpływać przede wszystkim na politykę w Bałkanach Zachodnich. Ale dopisywano do tego motywację zapewnienia sobie roli przewodnika państw postkomunistycznych w drodze do struktur zachodnich, a nawet zapobieżenia przejścia Europy Środkowej przez Niemcy w odrodzonej formule Mitteleuropy. Bardziej jednak zaczęła przypominać próbę wskrzeszenia świata z czasów Franciszka Józefa niż realny wehikuł polityczny.

Agendę Inicjatywy określono zamasyście, bo znalazły się tam i sprawy polityczne, dobrego zarządzania, gospodarcze, wolności mediów, ochrony środowiska, kulturalne, naukowe, edukacyjne, szkoleniowe. Utworzono stały sekretariat. Politycznie jednak Inicjatywa okazała się

ciężarem ponad siły dla aspirujących do roli lidera Włochów. A kiedy Austria, będąca poniekąd współliderką, postanowiła w 2018 r. Inicjatywę pożegnać, cały projekt pogrążył się w kryzysie.

Ambitniejsze polityczne plany miała realizować Grupa Wyszehradzka. Pierwsze nieformalne kontakty Polski, Węgier i (jeszcze wtedy) Czechosłowacji miały miejsce w 1990 r. Ich celem było skoordynowanie stanowisk względem rozwiązania Układu Warszawskiego. Odlicza się zaś istnienie Grupy Wyszehradzkiej od lutego 1991 r., kiedy na zamku w Wyszehradzie doszło do spotkania trzech prezydentów. W 1992 r. uzgodniono utworzenie między krajami (już czterema) strefy wolnego handlu (CEFTA), a wspólnym celem stała się transformacja w celu wstąpienia do Unii Europejskiej. W latach 1993-1998 Grupa Wyszehradzka przywódców państw „czwórki” nie angażowała. Odnowienie współpracy nastąpiło na szczycie bratysławskim w 1999 r. Utworzono wtedy Fundusz Wyszehradzki, a spotkania i konsultacje na wszystkich szczeblach nabrały regularnego charakteru. Negocjacje członkowskie z Unią Europejską sprzyjały koordynacji stanowisk.

Potencjał Grupy pozostawał zawsze daleki od wykorzystania. Próbowano ją pozyskiwać dla swoich postulatów w Brukseli Polska. Pozostałe państwa w zależności od układu sil rządzących w ich krajach wykazywały bardzo zróżnicowany poziom entuzjazmu. Chwilami wręcz uważały za stosowne od Polski się dystansować (na przykład w latach 2002-2007, kiedy raziała je a to zbyt silna proamerykańskość Polski, a to zbyt silna antyniemieckość). Dzielił Grupę w ostatnich latach stosunek do Putina i relacji z Rosją. A prorosyjski kurs Orbana po inwazji Rosji na Ukrainę w 2022 r. doprowadził do zamrożenia politycznej współpracy w ramach Grupy.

Ambicjonalne powody powstrzymywały mniejsze państwa Grupy od korzystania z Polski jako kanału wpływu na wielką politykę europejską (poprzez choćby Trójkąt Weimarski) czy transatlantycką (poprzez bliskie relacje Polski z USA). Miały trzy państwa zawsze problem z rozmiarem Polski i jej konfliktogenną (jak w czasie rządu PiS-u) wobec Berlina, Paryża czy Brukseli polityką. Nie chciały, aby na zasadzie *pars pro toto* polityka regionu była utożsamiana z poglądami Warszawy. Niewykorzystany pozostaje potencjał Grupy w rozwijaniu projektów infrastrukturalnych we współpracy regionalnej.

Dyplomacja PiS-u chełpiła się zainicjowaniem w 2020 r. tzw. Trójkąta Lubelskiego czyli formatu konsultacji między Polską, Ukrainą i Litwą. W istocie jest to jedynie odnowienie intensywnych kontaktów z tymi państwami, które miały miejsce za kadencji prezydenckiej Aleksandra Kwaśniewskiego i rządów Millera i Belki. To Kwaśniewski podjął i realizował tzw. Inicjatywę Ryską, która miała pomoc regionowi orbitować w stronę Brukseli. Trójkąt Lubelski zaś odgrywa dziś politycznie krzepiącą rolę we wspieraniu Ukrainy w obliczu rosyjskiej agresji.

Za czasów rządów PO i PSL próbowano rozkręcić nawet tzw. Trójkąt Królewiecki z udziałem Niemiec, Rosji i Polski, co dziś raczej wypada przemilczać. Chociaż miał jeden dla nas walor: komplikował Rosjanom dogadywanie się z Niemcami ponad naszą głową.

Polska za swój regionalny priorytet w trakcie rządów PiS-u uznała Inicjatywę Trójmorza. Pierwsze jej spotkanie (na zaproszenie prezydentów Polski i Chorwacji) miało miejsce w 2015 r. w Nowym Jorku (przy okazji sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ). Tworzy Trójmorze 12 państw Unii Europejskiej (położonych na styku mórz Bałtyckiego, Czarnego i Adriatyku). Udział Prezydenta USA w warszawskim szczycie Trójmorza w 2017 r. potwierdził silną amerykańską zachętę i wsparcie (polityczne) dla Inicjatywy. A przecież chodzi o konstelację składającą się wyłącznie z członków Unii Europejskiej.

Cele projektu są deklaratorywnie techniczne – współpraca w dziedzinie energetycznej, logistyczno-transportowej i informatyczno-telekomunikacyjnej. Powstał Fundusz Inwestycyjny. Ale większej dynamiki, mimo iż utrzymuje się nad Inicjatywą błogosławieństwo USA (prezydent Biden przemawiał zdalnie do uczestników szczytu Trójmorza w 2021 r.), w działaniach nie widać. Bo cała

jej wartość dodana opierać się będzie na tym, na ile uda się nie tylko zmobilizować Unię Europejską do zwrócenia większej uwagi na region, ale i przyciągnąć inne (czytaj: amerykańskie) oprócz unijnych środki na rozwój. Bez znaczących projektów Inicjatywa okaże się polityczną wydmuszką jak Inicjatywa Środkowoeuropejska i jej podobne (choćby na zachodnich Bałkanach).

Najważniejszym wszakże wehikulem polityczno-dyplomatycznej małej współpracy był dla Polski przez lata Trójkąt Weimarski, zainicjowany w 1991 r. przez ministrów Skubiszewskiego, Genschera i Dumasa. Pomagał Polsce doprowadzać jej punkt widzenia do świadomości europejskich decydentów, nim zabierali się oni za decyzji kształtowanie. Funkcjonował dobrze nie tylko na politycznych szczytach, ale także na roboczych szczeblach dyplomacji. Mógł czasem razić motywacyjno-dydaktycznym jego wykorzystaniem przez Niemcy i Francję. Robocze konsultacje Trójkąta były poprzedzane dwustronnymi rozmowami Niemiec i Francji, na których nie tylko dyskutowano najważniejsze tematy, to jeszcze koordynowano wspólny przekaz wobec Polski. Dawał jednak Polsce wgląd w kuchnię europejskiej polityki. Destrukcyjna polityka zagraniczna PiS-u potrafiła doprowadzić do zamrożenia działań Trójkąta i wypadnięcia Polski z uprzywilejowanego kręgu konsultacyjnego. Od 2024 r. nowy rząd priorytetem uczynił odnowienie Weimaru. Rola Polski we wspieraniu Ukrainy i powstrzymaniu Rosji zwiększyła znacznie nasz ciężar gatunkowy w tym formacie.

Subregionalne formaty nie tylko w Europie są pożyteczne. Nawet jeśli budzą podejrzenia motywy ich powoływania i wątpliwości co do ich zbalansowania. Każdy format dodatkowej rozmowy jest dobry. Tym bardziej, że zaangażowanie w subregionalną współpracę może krzesać nową pozytywną dyplomatyczną energię, zwłaszcza u państw mniejszych.

Formaty subregionalnej współpracy, do których wysypu doszło w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, określa się często kopcuszkami europejskiej polityki. Nie wygenerowały one istotnej politycznej jakości. Zrutynizowały się, zatraciły świeżość, nie potrafiły wykreować projektów, które mobilizowałyby uwagę polityczną i publiczną. Ale zła przecież żadnego nie uczyniły.

Pełniąc w latach 2010-2014 funkcję szefa dyrektoriatu planowania politycznego w Radzie Europy pragnąłem przybliżyć moim kolegom biurokratom świat intelektualnej refleksji. Organizowałem w tych latach cykle debat (o demokracji, o Europie, o wyzwaniach cywilizacyjnych) z udziałem wybitnych postaci świata nauki, literatury, dyplomacji. Przyjeżdżali do Strasburga Zygmunt Bauman, Ulrich Beck, Peter Singer, Iwan Krastew. Był Wiktor Jerofiejew i Jurij Andruchowycz. Był Martti Ahtisaari i Adam D. Rotfeld. I inni, nie mniej wybitni. Pożyteczne łączyłem z przyjemnym, bo wizyty te dawały mi także możliwość prywatnych spotkań z ludźmi, których ceniłem i chciałem bliżej poznać, bo w dotychczasowym profesjonalnym życiu nie zawsze mi się to udawało.

To właśnie w Strasburgu Zygmunt Bauman przypomniał swoją tezę, że centralność Europy Centralnej dla całej Europy nie tyle wynika z geografii, co unikalnego doświadczenia w budowaniu tożsamości wspólnot etnicznych w oderwaniu od wspólnot administracyjnych. Europa pod wpływem rosnących potoków migracyjnych stawała się miejscem utrząsania się diaspor. I najlepsze, co może dać od siebie Europa Środkowa, to pamięć krzewienia odrębnych tożsamości kulturowych w oderwaniu od granic, podziałów administracyjnych. Problem oczywiście polega na tym, że pamięć zbiorowa nie jest ejdetyczna, a Europa Środkowa pamięć tę raczej wyparła i podążyła od lat dziewięćdziesiątych drogą wzmacniania etnicznej homogeniczności. Doświadczenia Grupy Wyszehradzkiej i Inicjatywy Środkowoeuropejskiej pokazują, że odnawianie wspólnotę subregionalną nie jest łatwo. Niektóre z państw regionu co najmniej jednym okiem spoglądają na Europę Zachodnią jako na patronkę ich lepszego losu. A środkowoeuropejski przydział traktują jako znamię upośledzenia, a w najgorszym przypadku zdania się na polską

skłonność do szukania zaczepki a to z Niemcami, a to z Rosją, i wikłania ich w zupełnie niepotrzebne im pierepałki.

Moi goście w Strasburgu przyczyniali się, czasami zupełnie mimowolnie, do podnoszenia mojej reputacji w oczach kolegów-biurokratów i kolegów-dyplomatów. Najbardziej przyczynił się prezydent Ahtisaari. W rozmowie prywatnej zaraz po jego przylocie wspomniałem, że miałem okazję być mu przedstawiony, kiedy wizytował Polskę w 1997 r. Później na sali konferencyjnej, rozpoczynając swój wykład po moim wstępie, zaczął Ahtisaari zwracać się do mnie per „my friend Piotr” i sugerować naszą starą znajomość. Były to oczywiście konwenansowe, zwłaszcza dla środowiska oenzetowskiego, uprzejmości, ale publiczność odebrała je z całą powagą. Tym niemniej stała się dla mnie zademonstrowana przez Ahtisaari’ego siła perswazji, z jaką konwenanse takie można wygłaszać, niedościgłym wzorem.

Smuciło mnie, choć nie zaskakiwało, że mieliśmy na tych debatach czasami spore problemy z frekwencją. Wielkie tuzy europejskiej socjologii czy historii były dla wielu urzędników postaciami anonimowymi, a spotkanie z nimi wyjściem ze strefy komfortu, jaką życiowo i profesjonalnie stał się ekran komputera i klawiatura z myszką. Czasami wręcz próbowali przeszkadzać. Kiedy debatować o Europie miał Daniel Cohn-Bendit grupa pracowników zwróciła się petycją o zablokowanie spotkania. Swoimi wypowiedziami sprzed wielu lat miał utracić on moralny tytuł do mówienia w ścianach Pałacu Europy. Skutek osiągnęli całkiem odwrotny. Sala pękała w szwach, a Cohn-Bendit porwał publiczność, która wymogła przeciągnięcie rozmowy do godzin niemalże nocnych.

9. Idealizm dyplomatyczny

Pod wpływem impulsu politycznego (wynikającego z reguły z zachowania innych partnerów) formułowane są czasem doktryny, które razić mogą swoją oczywistością. Ale angażuje się rzesze dyplomatów w ich nagłaśnianie, propagowanie i tłumaczenie. Bez przekładania sloganów na jakiegokolwiek konkretne działania. Bo służą owe doktryny przede wszystkim do zmanifestowania określonej postawy politycznej. Zaliczyć do takich doktryn należy głoszone ostatnio przez niektóre państwa zachodnie koncepcje „porządku opartego na zasadach” czy „skutecznego multilateralizmu”. Trudno je podważać. Obezwładniają swoją słusznością. Ale co miałyby z nich wynikać, czasami trudno dociec.

„Porządek oparty na zasadach” jest w nowożytnym świecie oczywistością, przynajmniej od czasu Pokoju Westfalskiego. W tym przecież celu rozwijało się na przestrzeni wieków prawo międzynarodowe. Jego istotą było formułowanie zasad i reguł zachowania państw w ich stosunkach zewnętrznych. Oczywiście w ostatnich latach chodziło Zachodowi o przesłanie silnego sygnału politycznego przede wszystkim pod adresem Rosji, że łamanie ustalonych norm (aneksja Krymu czy obecna wojna przeciw Ukrainie), ich osłabianie (denonsacja porozumień rozbrojeniowych), obchodzenie (wspieranie separatyzmów) jest psuciem porządku międzynarodowego. Rosja, i owszem, sygnał odczytała prawidłowo i poddała koncepcję „porządku opartego na zasadach” kąpieli krytyce, jeszcze nim dokonała inwazji na Ukrainę. Oskarżyła Zachód, że rości sobie monopolistyczne prawo do formułowania zasad i rozliczania innych państw z ich stosowania. I dalej bezczelnie łamała owe normy.

Jest istotnie poważnym problemem współczesnego porządku, że Zachód, z jednej strony, a Rosja i Chiny z drugiej, mają odmienne wyobrażenie, co do tego, jakie zasady winny stanowić fundament porządku międzynarodowego. Rosja i Chiny chcą cofnąć świat do początku XX wieku, prymatu paradygmatu interesu narodowego i suwerenności, absolutnego zakazu ingerencji w sprawy

wewnętrzne, potwierdzenia prawa do uprawiania polityki siłowej (asertywnego nacjonalizmu). Rosyjska agresja na Ukrainie stała się niepodważalnym dowodem tych zamiarów.

Zachód nie chce się zaś wyrzec dążenia do oparcia porządku światowego na wartościach liberalnych (prawa człowieka, demokracja, praworządność, wolna gospodarka), usankcjonowania interwencjonizmu międzynarodowego w imię tych wartości. Choć depresyjne konkluzje z porażek liberalnych modeli w Afganistanie, Iraku, i innych miejscach na świecie mogłyby Zachód do tego zniechęcać.

Czy możliwy jest porządek i przewidywalność, jeśli świat przepoławia spór o wartości i zasady? Należy wątpić.

Inną kwestią jest, że polityka międzynarodowa nie nadaża za próbą wypracowania zasad, które pomagałyby podejmować nowe wyzwania. Dotyczy to w szczególności zachowania państw w cyberprzestrzeni, zasad regulujących migrację w skali globalnej, ograniczeń na możliwość prowadzenia tzw. wojen hybrydowych, wykorzystywania surowców naturalnych jako instrumentu politycznego, odpowiedzialności państw za transgraniczne pandemie i wiele innych kwestii.

Iście liberalna wiara Zachodu w nieuchronność triumfu nowoczesnych zasad porządku międzynarodowego została wyraźnie zachwiana. Już nie tylko Rosja czy Chiny kontestują liberalny porządek. Ale także elity rządzące w niektórych państwach zachodnich. Węgry Orbana oświadczające, że nie będą w imię zasad płacić za kosztą wojny rosyjsko-ukraińskiej wyłamały się niewątpliwie po raz kolejny z filozofii Zachodu. Ale przecież Polska Kaczyńskiego w sporach z instytucjami europejskimi, czy Turcja Erdogana w niesnaskach z Europą czy sąsiadami uprawiały na dobrą sprawę rosyjsko-chińską wizję polityki międzynarodowej opartej na nieograniczonej niczym suwerenności, nieingerencji w sprawy wewnętrzne, prymacie trybalnych interesów.

Czy Zachód zrezygnuje z prób realizowania własnej wizji porządku w świecie, przestanie podejmować interwencje humanitarne, nawet w najbardziej ewidentnych przypadkach ludobójstwa (jak wcześniej Rwanda), zaniecha wprowadzania sankcji wobec państw naruszających prawa człowieka, przystanie na uwiad trybunałów międzynarodowych? Oby nie. Solidarna postawa wobec Ukrainy napawa optymizmem. Nawet jeśli Zachód przejawiał opieszałość w reagowaniu na przygotowania wojenne Rosji do inwazji na Ukrainę, nawet jeśli zbyt mozolnie przełamywał opory przed dostawami broni, nawet jeśli sankcje wprowadzał nie dość zdecydowanie, to wymiarze polityczno-moralnym dowiódł, że dorósł do stosowania zasad bezpieczeństwa zbiorowego, zrozumiał, że starcie z Rosją ma wymiar strategiczny, a jego wynik zadecyduje o kształcie porządku międzynarodowego.

Ale jeszcze musi także pokazać, że jest głęboko wierny wartościom w swoim własnym gronie. Sposób reakcji Unii Europejskiej na naruszanie praworządności w Polsce i na Węgrzech nabrał więc systemowo globalnego wymiaru. Podobnie jak stosunek USA i UE do praktyk Erdogana w Turcji. Ekipa rządząca PiS liczyła w l. 2022-2023 bardzo, że wojna na Ukrainie i status Polski jako państwa frontowego zmusi Zachód do spojrzenia przez palce na łamanie zasad demokracji i praworządności w Polsce. Ale na szczęście się przeliczyła.

Inną ulubioną koncepcją politycznomiędzynarodową Unii Europejskiej stała się w ostatnich dwóch dekadach koncepcja „skutecznego multilateralizmu”. Pojawiła się ona wprawdzie w kontekście nieprolifacji broni masowego rażenia. Wpisano ją, na późnych stadiach prac redakcyjnych, do Europejskiej Strategii Bezpieczeństwa przyjętej w 2003 r. Kontekst polityczny był oczywisty. Unia Europejska chciała zdystansować się od amerykańskiej polityki rozwiązywania problemu nuklearnego w odniesieniu do KRLD i Iranu drogą jednostronnych sankcji, a przede wszystkim pokazać swój odmienny punkt widzenia na amerykański interwencjonizm, czyli działanie metodą faktów dokonanych (inwazja na Irak), skrytykować postawę *fac et excusa*. Multilateralizm zakłada

prorowadzenie dialogu i konsultacji w konfiguracji składającej się z co najmniej trzech państw i w oparciu o istniejące instytucje międzynarodowe i usankcjonowane metody.

„Skuteczny multilateralizm” stał się doktrynalnym kamieniem węgielnym wspólnej polityki zagranicznej Unii Europejskiej. I dobrze sprawdził się w rozwiązywaniu irańskiego nuklearnego wyzwania, kiedy Unia Europejska oraz Francja, Niemcy i Wielka Brytania uczestniczyły w negocjowaniu porozumienia, osiągniętego w 2015 r., a przedstawiciele Unii Europejskiej odgrywali pożyteczną rolę pośredniczą. Ale w omawianiu np. nuklearnej kwestii koreańskiej Unia nie uczestniczyła. W prowadzonych w latach 2003-2009 (a w zasadzie do 2007 r.) rokowaniach żadnych europejskich państw, ani instytucji unijnych przy stole nie było. Zupełnie jakby koreański problem był problemem lokalnym. Kiedy w 2015 r. zostałem dyrektorem Departamentu Azji i Pacyfiku w MSZ zgłosiłem nawet ideę, aby powołać specjalnego przedstawiciela UE ds. Półwyspu Koreańskiego. Ale do tego nie doszło. Unia Europejska, aktor było nie było globalny, wykazuje zastawiającą bierność wobec wyzwania koreańskiego.

„Skuteczny multilateralizm” nie spowodował, aby Unia Europejska nalegała na obecność w formacie normandzkim dot. Donbasu czy w grupie mińskiej dot. Górskiego Karabachu. Nie nalegała nawet, aby państwa europejskie, które tam wchodziły (odpowiednio - Francja, Niemcy oraz Francja) należycie informowały czy konsultowały swoje działania na tych polach. Oba formaty dziś nie funkcjonują w praktyce, a Przewodniczący Rady Europejskiej, co odnotowuję tu ze szczerą radością, przejął wiodącą rolę na Zachodzie jako mediator między Azerbejdżanem i Armenią.

Przyjąć więc należy, że Europejczycy zachowują różną interpretację, co „skuteczny multilateralizm” miałyby znaczyć i jakie dyrektywy działania miałyby z niego wynikać.

Jedno nie ulega wątpliwości - jest to koncepcja tak oczywista, że trudno się z nią nie zgadzać. Czy wykluczać ma ideę jednostronnych działań? Ależ Unia je nie przestała praktykować. Wiedząc, że nie ma szans na przeprowadzenie jakichkolwiek retorsji wobec Rosji w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, przyjmuje jednostronnie wprowadzane sankcje przeciw niej. I bardzo słusznie, chociaż zawsze lepiej mieć mandat Rady Bezpieczeństwa.

Przez lata dyplomacja niemiecka lansowała rozmaite doktryny idealistyczne w rodzaju „Wandel durch Handel”, „Annaeherung durch handel”. W wymiarze abstrakcyjnym trudno było z nimi polemizować. Stały się wszakże przykrywką dla politycznego appeasementu wobec Rosji i cynicznego merkantylizmu wobec Chin.

Takie koncepcje dobrze wyglądają w strategiach i programowych *exposé*. I wiem o tym dobrze. Sam próbowałem podobnie słuszne koncepcje na potrzeby ministrów formułować. Wielokrotnie uczestniczyłem w procesie przygotowania dorocznych programowych wystąpień ministrów spraw zagranicznych na forum Sejmu. Redagowałem je od początku do końca dwa razy (oczywiście na podstawie tzw. wkładów departamentalnych), oba dla ministra Włodzimierza Cimoszewicza (w 2003 i 2004 r.). Miałem spory wkład w sejmowe *exposé* ministra Rotfelda w 2005 r. Zbierałem różne myśli i koncepcje pod koniec 2004 r., nie przewidując, że nastąpi zmiana ministra (z Cimoszewicza na Rotfelda), a ja sam zostanę wiceministrem. Nowe obowiązki w styczniu 2005 r. obciążyły mnie tak bardzo, że nie byłem w stanie wygospodarować ani czasu, ani energii, by wesprzeć ministra Rotfelda posilniej w redagowaniu tekstu. Z moich tez zostało w ostatecznej wersji sporo, ale minister Rotfeld osobiście nadawał kształt przemówieniu.

Projekty sejmowych *expose* dla ministra Cimoszewicza pisałem jednym ciągiem (oczywiście z uwzględnieniem wkładów poszczególnych komórek resortu). Przez jeden weekend. Zaczynałem w piątek wieczorem, a kończyłem w poniedziałek nad ranem. Pisało mi się łatwo, bo poglądy ministra znałem dobrze, nie musiałem targać się z myślami, czy taka lub inna formuła przypadnie mu do gustu. Minister oczywiście nanosił zmiany (czyli poprawki), ale byłem mu ogromnie wdzięczny, że nie naruszał ani stylu, ani rytmu proponowanego tekstu. Bo, jak to mówią eksperci, najważniejsze

w każdym znaczącym wygłaszanym tekście są rytm i wewnętrzna dynamika. Jak każdy znaczący tekst dla kierownictwa resortu czy państwa, pisałem sejmowe exposé słuchając muzyki. Exposé w 2003 r. powstawało pod Missę solemnis Beethovena. Exposé w 2004 r. pod Wielką mszę c-moll Mozarta.

Wielką frajdę sprawiło mi pisanie tez do pierwszego exposé ministra Skubiszewskiego na forum Sejmu w 1990 r., bo można było uruchamiać nieznane obszary politycznej wyobraźni, choć gotowych fraz, zwłaszcza w otwierających przemówienie akapitach, trafiło do ostatecznej wersji niewiele (myśli trochę tak). Jak przekazał Minister: „Żeby przemówienie zabrzmiało wiarygodnie, musiałem wszystko napisać sam, swoimi słowami”. I miał najszlachetniejszą rację. Redagował tę część sam. Ale miałem też żal, że bokiem mój ówczesny bezpośredni zwierzchnik przemycił do tekstu niedojrzałe koncepcje (np. propozycję powołania Europejskiej Rady Współpracy, którą oceniałem bardzo krytycznie), a nie skorzystano z niektórych pomysłów na zasygnalizowanie naszego kursu na integrację z Zachodem.

Rządy PiS-u przyniosły nieznaną wcześniej mizери koncepcyjną. Nie dziw, że dochodziło nawet do zakłócenia cyklu dorocznych exposé polityki zagranicznej. Co było kolejnym objawem totalnej zapaści naszej ówczesnej dyplomacji.

10. Państwo światowe

Nasz przegląd doktryn polityki zagranicznej i międzynarodowej zbliża się nieuchronnie ku końcowi. Niech zwieńczy peregrynację opis najbardziej prometejskiej i utopijnej idei polityki międzynarodowej - idei państwa światowego. Idea państwa światowego nie stała się dotąd oficjalną doktryną polityki zagranicznej żadnego państwa. Co nie może dziwić, państwo światowe kładłoby bowiem kres tradycyjnie pojmowanej polityce zagranicznej państw narodowych. Ale postulat przewyższenia trybalizmu w polityce międzynarodowej jest oczywiście stary. Przypomnieć wystarczy, że to m.in. ideologia marksistowska odwoływała się do celu zbudowania światowej wspólnoty bez państwa. Światowa rewolucja proletariacka miała ogarnąć cały świat, znieść klasy, a zatem i instrument wyzysku klasowego, jakim było państwo. Doktryna polityki zagranicznej ZSRS po rewolucji bolszewickiej otwarcie nie eksponowała idei rozszerzania państwa rządzonego przez klasę robotniczą aż po utworzenie globalnego państwa proletariackiego, choć niewątpliwie była doktryną globalnej ekspansji komunizmu. Leninizm wszakże zakładał, że państwa proletariackie będą nieuchronnie się pomnażać, a kiedy obejmą cały świat, uniwersalne państwo klasy robotniczej natychmiast zacznie obumierać.

Idea państwa światowego (rządu światowego) jest niewątpliwie ostatnią wielką utopią polityki międzynarodowej. W miękkiej wersji, jako rozbudowany system zarządzania globalnego łączących swą suwerenność, pokojowo nastawionych państw, jest kontynuacją kantowskiej wizji Foedus Pacificum, federacji która chroniłaby wolność i suwerenność związanych nią państw. Jej załączkiem byłoby Civitas Gentum, rozrastające się stopniowo, by objąć w końcu swoim zasięgiem cały świat.

Wielu widzi w Unii Europejskiej ucieleśnienie kantowskiej idei Civitas Gentum i regionalne wydanie pokojowej federacji. Niewątpliwie bowiem jest Unia wspólnotą wykluczającą użycie siły, przemoc w jakiegokolwiek formie dla rozwiązywania sporów między narodami w jej gronie. Scysje i konflikty, nawet o zabarwieniu terytorialnym, w jej ramach istnieją. Niekiedy nawet zakłócają jej działalność. Hiszpańsko-brytyjski spór o Gibraltar zablokował swego czasu zawieranie przez Unię m.in. umów o ruchu lotniczym z kilkoma państwami (po opuszczeniu Unii przez Wielką Brytanię

natychmiast je sformalizowano). Ale nikomu nie przyszłoby do głowy używanie argumentu siły, aby dochodzić swoich racji.

W postmodernistycznych rozważaniach zakłada się, że sfera ucywilizowanych zachowań państw będzie się rozszerzać w miarę dojrzewania społeczeństw, a w imię wspólnych globalnych wyzwań będą one łączyć swoje siły, cedując na rzecz wspólnych struktur stosowne uprawnienia. Rzeczą znaną jest, że Unia Europejska widziana przez tak wielu jako najlepszy sposób na urządzenie całego świata sama w swojej wspólnej polityce zagranicznej do wizji światowego państwa czy chociażby namiastki ponadnarodowego zarządzania się nie odwołuje. A przecież uniwersalizm jest traktowany jako immanentna cecha europejskiej tożsamości. Pora najwyższa, by Unia zaczęła się nim inspirować.

Stary uniwersalizm zrodzony w epoce oświecenia wywodził się ze wspólnoty korzeni cywilizacji ludzkiej, z przekonania, że wszyscy ludzie są dziećmi tego samego Boga, że rodzą się z tymi samymi niezbywalnymi prawami. Problem polega nie tyle na tym, że stary uniwersalizm został naznaczony piętnem zachodniego suprematyzmu, skojarzony został z kolonializmem i imperializmem. Większym problemem jest to, że dość szybko został pożeniony w XIX wieku z ideą narodową. Przekształcił się w szlachetnym wydaniu w internacjonalizm, który dziś wyczerpał swój potencjał.

Nowy uniwersalizm wyrasta ze wspólnoty przeznaczenia cywilizacji ludzkiej, przekonania, że czeka nas jako rodzaj ludzki wspólne przeznaczenie związane z losem naszej planety i wspólna odpowiedzialność za planetę przyszłość.

Ale o splotach starego i nowego uniwersalizmu i europejskiej odpowiedzialności opowiem innym razem, w innym miejscu.

Najważniejszym motywem przez wieki całe dla snucia wizji państwa światowego było zaprowadzenie porządku wykluczającego wojny i naruszanie prawa. Pisał już Dante, że najprostszym sposobem na wykorzenienie wojen jest obwołanie światowego monarchy. Nie będzie on wystawiony na pokusę zdobyczy terytorialnych, bo kiedy będzie już mieć pod sobą wszystko, nie będzie miał z kim o terytorium walczyć, a naruszyli ład będzie mógł siłą poskramiać.

Idea państwa światowego złapała wiatr w żagle po II wojnie światowej, ale musiała uwzględnić nadejście epoki nuklearnej konfrontacji. Poważni analitycy widzieli wtedy w państwie światowym logiczny sposób zbudowania trwałego bezpieczeństwa opartego na zasadzie bezpieczeństwa zbiorowego. Być może Plan Barucha z 1946 r. poddania centralnej, ponadnarodowej kontroli energii atomowej był zaprzepaszczoną okazją pójścia tą drogą. Ale nie miał on wtedy żadnych szans na realizację. Związek Radziecki widział w nim próbę zalegalizowania amerykańskiego monopolu na broń atomową, a wdrożenie Planu wymagałoby choćby minimum zaufania między państwami, co w warunkach narastającej konfrontacji było niemożliwe do osiągnięcia.

Kiedy w 2009 r. Barack Obama reanimował ideę świata bez broni atomowej, dla jej realizacji bynajmniej tworzenie ponadnarodowej struktury światowej nie było mu już potrzebne. To ważne, bo istnieje pogląd, że bez powszechnej denuklearyzacji trudno poważnie rozważać utworzenie światowego rządu. Jak bowiem wyobrazić sobie możliwość podejmowania przezeń jakichkolwiek środków przymusu wobec państw, które, jak w przypadku KRLD, na arsenał nuklearnym opierają całą swoją zdolność do opierania się zewnętrznym naciskom?

Globalizacja dodała intelektualnego uroku idei państwa światowego. Uwypukliła ona słabość koncepcji państwa narodowego, ograniczone efekty działania lokalnego, nawet w zintensyfikowanej postaci. Najbardziej do wyobraźni przemawia gospodarczy wymiar globalizacji. Świat stał się gospodarczo systemem naczyń połączonych. A kryzys finansowy dał zwolennikom rządu światowego nowy argument – konieczność poskromienia globalnej władzy kapitału, nad

którą w erze globalizacji nie są w stanie zapanować państwa narodowe. Kiedy w potrzebie, kapitał międzynarodowy zawsze odszuka w sobie narodowe barwy. Kiedy jednak w ekspansji – rządy narodowe niewielkie mają dźwignie wpływu na jego zachowanie.

Światowa gospodarka po II wojnie światowej rozwijała się pod przemożnym wpływem Stanów Zjednoczonych. Dziś amerykańska dominacja gospodarcza (z dolarem jako nieformalną walutą światową) kurczy się. Mimo wszakże wyzwania rzuconego przez Chiny (czy w perspektywie przez Indie), pozostanie Ameryka centrum postępu technologiczno-innowacyjnego, a w jakimś sensie i cywilizacyjnego. Ale jej zdolność do zarządzania światowym problemem gospodarczym już teraz jest wydatnie nadwątlona. Świat prawdopodobnie zmierza w kierunku jednolitego rynku (mimo widocznych obecnie tendencji de-globalizacyjnych). Przepływy kapitałowe, walutowe, handlowe, ludnościowe, informacyjne będą czynić granice coraz bardziej porowatymi, a polityki gospodarcze państw narodowych coraz bardziej bezsilnymi. Nie pomogą ani protekcjonizm, ani własna waluta, ani polityka bankowa. W dystopijnej wersji światowy zintegrowany rynek pozbawiony realnego państwowego nadzoru wygeneruje nieuchronnie deficyt popytowy, zdemoluje rynki pracy, wyhoduje niespotykane w skali przestępstwa gospodarcze i spekulacyjne, nakręci praktyki monopolistyczne chociażby związane z kurczącymi się zapasami niektórych surowców naturalnych. Koronnym zaś argumentem zwolenników rządu światowego jest niezdolność rynku do poradzenia sobie z takimi wyzwaniami, jak zmiany klimatyczne. Istotnie, narodowe i międzynarodowe rynki nie sprzyjały powstrzymaniu negatywnych zmian klimatycznych. Bez silnej interwencji państwowej (międzynarodowej) przełomu w walce ze zmianami klimatycznymi by nie było. Podobnej interwencji administracyjnej wymaga radzenie sobie ze skutkami tych zmian.

Państwowej interwencji wymagają takie wyzwania, jak choćby procesy demograficzne i migracyjne w świecie. Przypomnijmy, że bez interwencji państwa Chiny nie poradziłyby sobie z niekontrolowanym wzrostem ludności. Podobnie, bez rządowej polityki pronatalnej Europa nie da sobie rady choćby częściowo zasypać lukę demograficzną. Rynki nie dają gwarancji podejmowania problemów ubóstwa, opieki zdrowotnej, migracji. Bez państwa ani rusz.

Globalna pandemia COVID-19 uświadomiła słabość międzynarodowych mechanizmów przeciwdziałania podobnym zagrożeniom. Sporo krytyki wywołała niezdolność choćby Światowej Organizacji Zdrowia do zmobilizowania skutecznej reakcji, w tym okazania pomocy państwom słabszym i biedniejszym w radzeniu sobie ze skutkami pandemii. A mają pandemię przecież powracać. Nawet jeśli krytyka nie była całkiem uzasadniona, zabrakło inicjatyw, zwłaszcza ze strony państw zachodnich, jak wzmacniać uniwersalne instrumenty podejmowania podobnych sozologicznych wyzwań.

W opinii uznanych autorytetów, chociażby Juergena Habermasa, nawet takie wyzwanie, jak zapewnienie skutecznych gwarancji praw człowieka, nie jest możliwe bez wdrożenia elementów rządu światowego. Ponowił on swego czasu postulat powołania światowego trybunału karnego, utworzenia parlamentu światowego, wprowadzenia praktyki referendum ludowych w skali świata.

Zwolenników państwa światowego umacnia w ich przekonaniach wyzwanie dotyczące zarządzania tzw. globalnymi dobrami wspólnymi. Pozostają one poza jurysdykcją państw narodowych, a jednocześnie podlegają wspólnemu użytkowaniu.

Klasycznym dobrem wspólnym jest światowy ocean. Prawo morza reguluje zasady nawigacji, zakres jurysdykcji nad wodami przybrzeżnymi i szelfem terytorialnym, zasady korzystania z dna morskiego, eksploracji bogactw naturalnych i biozasobów. Problem degradacji środowiska oceanicznego, a zwłaszcza zanieczyszczenia wód, zubożenia różnorodności biologicznej inspiruje organizacje pozarządowe do wysuwania postulatów bardziej rygorystycznych regulacji zachowania państw i podmiotów pozapaństwowych na obszarach morskich, wychodzących poza klasyczny

schemat współpracy państw, na jakim oparto funkcjonowanie Konwencji Narodów Zjednoczonych o prawie morza z 1982 r.

Innym dobrem wspólnym jest atmosfera. Zanieczyszczenia transgraniczne, dziura ozonowa, efekt cieplarniany zmobilizowały społeczność międzynarodową do zawarcia kilku istotnych globalnych umów międzynarodowych regulujących działalność państw względem atmosfery. Układ o zakazie prób jądrowych w atmosferze, przestrzeni kosmicznej i pod wodą z 1963 r., Konwencja wiedeńska o ochronie warstwy ozonowej (wraz z Protokołem Montrealskim), Konwencja w sprawie transgranicznego zanieczyszczenia powietrza na dalekie odległości z 1979 r., a wreszcie Protokół z Kioto z 1997 r. i Umowa Paryska z 2015 r. regulujące emisje gazów karbonowych stały się kamieniami milowymi we współpracy państw na rzecz czystej i zdrowej atmosfery.

Traktat o przestrzeni kosmicznej z 1967 r. reguluje działalność państw w kosmosie, na Księżycu i innych ciałach niebieskich. Wyklucza roszczenia jurysdykcyjne do ciał niebieskich, zakazuje rozmieszczania w kosmosie broni jądrowej, daje prawo do nieskrępowanych badań naukowych i eksploracji. Zwolennicy bardziej sprawczego zarządzania kosmicznym dobrem wspólnym wskazują jednak na rosnące problemy z zanieczyszczeniem orbity okołoziemskiej, dążeniami do militaryzacji kosmosu, a wreszcie na konieczność opracowania mechanizmów współpracy globalnej w obliczu zagrażających Ziemi ruchów meteorytów, asteroidów i innych ciał, których orbity mogą okazać się na kolizyjnym z Ziemią kursie. Ponadnarodowa instytucja mogłaby dać rękojmię skutecznego działania.

Dobrem wspólnym w świetle Traktatu Waszyngtońskiego z 1959 r. jest Antarktyda. Nie zezwala Traktat na prowadzenie działalności wojskowej, nie uznaje terytorialnych roszczeń, stanowi o wolności badań naukowych. Jest co prawda kilka państw, które traktują części Antarktydy jako strefy specjalnych praw. Wystarczy pojechać do Chile czy Argentyny, aby zobaczyć jak kolorowana jest tam mapa Antarktydy. Ale dopóki zgodne w negowaniu zakusów jurysdykcyjnych są wielkie mocarstwa, a zwłaszcza USA, Rosja czy Chiny, to status Antarktydy jako dobra wspólnego nie jest zakłócany. Jest na jej obszarze kilkadziesiąt baz naukowych, ale wchodzenia sobie w drogę i sporów na tle ich rozmieszczania nie ma. Antarktyda kryje pod czapą lodu ponoć kuszące złoża bogactw naturalnych, w tym ropy i gazu. Koszty ich wydobywania są na razie na tyle zaporowe, że działalność gospodarcza na kontynencie nie wchodzi w najbliższych latach w grę.

Więcej niepokoju budzą działania niektórych państw w Arktyce. Ocieplenie klimatu rejon ten uatrakcyjniło geostrategicznie. Zbigniew Brzeziński uznawał Arktykę za potencjalny rozsadnik napięć globalnych. Prezydent Biden podniósł temat Arktyki w rozmowach z Putinem w 2021 r. nie bez uzasadnionego powodu. Rada Arktyczna powołana na mocy Paktu Ottawskiego z 1996 r. skupia uwagę na aspektach zachowania środowiska naturalnego. Ale to z punktu widzenia globalnej geopolityki temat jednak drugorzędny.

Dobrem wspólnym obwołano też cyberprzestrzeń. Teoretycznie jest przestrzenią otwartą, nie podlegającą zarządzaniu państwowemu. Postępuje wszakże jej bałkanizacja, poszczególne państwa wprowadzają elementy nadzoru, cenzury i blokady. A nade wszystko wykorzystują wirtualny świat do działań agresywnych, wrogich. Cyberprzestępczość wyrosła do gargantuicznych rozmiarów. Cyberprzemoc weszła do arsenału hybrydowych wojen. Cyberbezpieczeństwem zajmuje się Międzynarodowy Związek Telekomunikacyjny. Pojawiły się nawet inicjatywy wykorzystania tej globalnej instytucji do regulowania zasad korzystania z cyberprzestrzeni. Przyjęto kilka rezolucji ZO ONZ odnoszących się do sektorowych aspektów cyberbezpieczeństwa. Powołano specjalny panel międzynarodowy, który przygotował modele zarządzania Internetem. Podobne panele zwoływano i pod egidą organizacji i instytucji pozarządowych. Dyskusjom wszakże końca nie widać. Nadal brak woli politycznej do całościowego uregulowania problemu. 28 kwietnia 2022 r. z inicjatywy USA przyjęto Deklarację ws. Przyszłości Internetu. Przyłączyło się do niej ponad 60

państw, ale kilka znaczących państw demokratycznych jeszcze się pod nią nie podpisało. A wolność Internetu może się stać kluczową dla nowego ładu międzynarodowego kwestią.

Nie będzie nowego ładu opartego na wartościach bez jego odwzorowania w wolności Internetu.

Instrumenty prawnomiędzynarodowe i instytucjonalne zarządzania dobrami wspólnymi są produktem tradycjonalistycznego pojmowania stosunków międzynarodowych, w których aspekt suwerenności państw jest naczelnym i niepodważalnym aksjomatem. Mają więc przypisane inherentnie właściwe owemu paradygmatowi słabości. Przede wszystkim, instrumenty traktatowe nie są w pełni uniwersalne. Państwa, czasami kluczowe dla efektywności tych instrumentów, zachowują suwerenne prawo do nieprzystępowania bądź wychodzenia z owych reżimów prawnych. Po drugie, brak jest skutecznych narzędzi egzekwowania zobowiązań. Mogą to robić na własną rękę poszczególne państwa, ale bez upoważnienia ogólnego. Mogą czasami być angażowane do rozstrzygania sporów trybunały i arbitraże międzynarodowe, ale też bez gwarancji wyegzekwowania rozstrzygnięć. Decyduje presja polityczna ze strony poszczególnych państw. Wystarczy przypomnieć, choćby w odniesieniu do prawa morza, napięcia wywołane np. działaniami Rosji wobec ukraińskich okrętów na Morzu Azowskim jeszcze przed wojną 2022 r., czy działaniami tureckimi w Morzu Egejskim. Bez zaangażowania politycznego Unii Europejskiej napięcia te trudno byłoby załagodzić.

Pojawiły się pomysły wykorzystania do zarządzania dobrami wspólnymi Rady Powierniczej ONZ. Bez praktycznych konsekwencji jednakowoż. Tym niemniej jedyną realistyczną drogą wprowadzania pierwiastków zarządzania ponadnarodowego w skali globalnej jest wykorzystanie jako ich matrycy Organizacji Narodów Zjednoczonych. Uprawnienia ponadnarodowe ma ona wszakże w bardzo wąskim wycinku – w zakresie wprowadzania środków przymusu na mocy artykułu 49 Karty przez Radę Bezpieczeństwa. Żadnych zarządczych prerogatyw nie posiada ona w sferze gospodarki światowej, problemów społecznych, praw człowieka, ochrony środowiska naturalnego i innych. Jej podstawową słabością jest wszakże anachroniczny sposób funkcjonowania i powszechnie krytykowany brak reprezentatywności i ograniczony mandat obecnej formuły Rady Bezpieczeństwa. Formuła przywództwa światowego odzwierciedlona w zarządzaniu ONZ jest odbiciem starego powojennego świata. I z tego właśnie powodu Rada Bezpieczeństwa musiała okazać się bezsilna wobec rosyjskiej agresji na Ukrainę. A już obecność w Radzie Rosji - państwa, które złamało fundamentalne postanowienia Karty NZ, zakrawa na kpinę.

Widoków na reformę Rady Bezpieczeństwa nie ma wszakże w obserwowanej przyszłości.

Obecna formuła zarządzania światem odpowiada i Stanom Zjednoczonym, a już z pewnością Rosji. Chiny nigdy nie uległy pokusie radykalnej jej przebudowy, wierząc, że starczy im siły na wykorzystanie obowiązującej formuły we własnych interesach.

Stany Zjednoczone bronią swojej swobody ruchów w rozwiązywaniu problemów świata. Na żadne pomysły cesji swoich suwerennych praw w przewidywalnej przyszłości nie pójdą. Rosja broni zaś odzwierciedlonego w ONZ swojego wielkomocarstwowego w skali globalnej statusu. A i wiele kluczowych państw rozwijających się, w tym Indie, żywią obawy, że nowy model zarządzania światem może być zachodnim fortem ugruntowania supremacji Zachodu w warunkach jego gasnącej gospodarczej, ludnościowej i militarnej potęgi.

Nie służy autorytetowi ONZ funkcjonowanie globalnych platform o ograniczonym członkostwie. Przywództwo G-7 w kreowaniu globalnej agendy gospodarczej, czy ustalenia w ramach szczytów G-20 osłabiają pośrednio znaczenie ONZ. Proponowana kiedyś przez Putina formuła szczytów G-5 (stali członkowie RB) była interpretowana jako próba zalegitymizowania nowego dyrektoriatu w skali globalnej. Broń nas przed nim, Boże.

Radykalnej reformy ONZ na horyzoncie nie widać. Mimo, że w nowym milenium wysiłki reformatorskie zyskały całkiem sprawczą dynamikę. Ale doprowadziły w sumie do zmian w swoich skutkach o drugorzędnym znaczeniu.

Był czas, że reforma ONZ stała się wehikułem globalnej aktywności polskiej dyplomacji.

Jesienią 2002 r. flagowym projektem politycznym, nad którym powierzono mi opiekę, była polska inicjatywa Nowego Aktu Politycznego ONZ. Zgłosił ją minister spraw zagranicznych Włodzimierz Cimoszewicz na sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ we wrześniu 2002 r., a impuls wyszedł od ówczesnego wiceministra spraw zagranicznych Adama D. Rotfelda, zaś pierwsze hasłowe zapisy - od profesora Romana Kuźniara, mojego poprzednika na fotelu dyrektora planowania politycznego w MSZ.

Inicjatywa była nadzwyczaj trafna. Z zapałem zabrałem się do jej rozwijania. Nie chodziło w niej o podmianę czy renegocjację Karty NZ. Chodziło o przygotowanie nowego dokumentu politycznie wiążącego, który odzwierciedlałby potrzeby nowej epoki i mobilizował do działania wobec wyzwań współczesności.

Przeprowadziliśmy zaraz po zgłoszeniu inicjatywy wstępne rozeznanie wśród ekspertów polskich i zagranicznych co do ewentualnych idei, które mogłyby konkretnie zostać uwzględnione w rozwinięciu inicjatywy. Niewiele dały uchwytnej inspiracji, co tylko wywołało u mnie niezbędną wewnętrzną mobilizację intelektualną (nie ma to jak działać pod presją).

Przed Bożym Narodzeniem w 2002 r. powstał nasz pierwszy non-paper (całkiem treściwy, bo dziesięciostronicowy), z którym mogliśmy zacząć rozmowy z partnerami. Ów non-paper podyktowałem w języku angielskim w pociągu relacji Poznań-Warszawa wracając z konferencji Instytutu Zachodniego (zirytowany nieudolną próbą zredagowania tekstu przez jednego ze współpracowników). Tę pociągową etiudę zaakceptowało (bez poprawek, bo dobra widocznie była, niech się po latach pochwalę) kierownictwo resortu. I poszła ona w świat z dobrym skutkiem.

W lutym 2002 r. wybrałem się z kolegą z departamentu zajmującego się problematyką ONZ na rekonesans do Nowego Jorku, by zbadać reakcję na naszą inicjatywę wśród stałych przedstawicieli państw przy ONZ. Może aż nie za bardzo, ale mogło szokować, że zdecydowana większość indagowanych delegacji naszej inicjatywy zwyczajnie w pamięci nie odnotowała. Debata generalna na sesji Zgromadzenia Ogólnego to prawie dwieście przemówień i taka kakofonia głosów, że państwo wielkości nawet Polski jest tam w pojedynkę słabo widziane. I rzeczywiście trzeba wysiłku i oryginalności, by swoją tożsamość na targowisku narodów zaznaczyć. Było to dla mnie zresztą dodatkowym argumentem, żeby wokół inicjatywy Nowego Aktu budować w Nowym Jorku naszą rozpoznawalność. Przeprowadziłem konsultacje z kilkunastoma przedstawicielami. Znalazł czas dla nas nawet Siergiej Ławrow, zdawkowo i kurtuazyjnie, ale czas był bardzo napięty, bo szykowała się batalia w Radzie Bezpieczeństwa nad amerykańską interwencją w Iraku. Nie dziwiło, że najbardziej ostrożnie do reformy ONZ podchodzili stali członkowie Rady Bezpieczeństwa ONZ, czujnie strzegący swoich specjalnych prerogatyw i obawiających się rozregulowania istniejących procedur. Podejrzliwie patrzyli nań członkowie ruchu zaangażowanych. Jak powiedział mi wtedy pewien ambasador z grupy tych państw: „Bo my z podejrzliwością patrzymy na wszystkie inicjatywy napływające z bogatego Zachodu”. Ale generalnie wyniki konsultacji mogły zachęcać. Za jedną z wtedy otrzymanych rad udaliśmy się na rozmowy do Ottawy, by podpytać Kanadyjczyków o doświadczenia z prac nad promowaną przez nich wcześniej inicjatywą ws. odpowiedzialności za ochronę. I dowiedzieliśmy, że promowanie inicjatyw kosztuje i to nawet miliony dolarów (na co w naszym przypadku liczyć nie mogliśmy).

W lipcu 2003 r. poprosiliśmy o opinie i idee grono byłych osobistości politycznych, akademików i ekspertów ze świata. Odpowiedzi mogły zaimponować głębią intelektualną i szczerem

entuzjazmem. Środowisko akademickie gorąco poparło naszą inicjatywę, a ich przemyslenia złożyły się na bogatą publikację przygotowaną później pod redakcją profesora Rotfelda.

Na początku września 2003 r. w kierowanym przeze mnie departamencie powstało memorandum rządu polskiego w sprawie inicjatywy. Mojego serca było w nim już mniej. Z kilku powodów. Po pierwsze, dla mnie osobiście najważniejszym elementem zreformowania ONZ było podniesienie wspólnego mianownika aksjologicznego wspólnoty międzynarodowej. Innymi słowy chodziło mi bardziej o wartości i poczucie solidarności niż mechanizmy operacyjne. W tym kierunku ciągnąłem tę inicjatywę. Z konsultacji wynikało, że państwa, nie tylko te o ciągłości wtedy autorytarnych i kontestujące zachodni katalog wartości, nie były na to gotowe. Nasza inicjatywa musiała więc przechylić się w stronę uporządkowania koncepcji działania i poprawienia efektywności funkcjonowania ONZ (np. co robić z państwami upadłymi?). Poza tym, doszły mi już plotki, że z zamiarem wystąpienia z inicjatywą prac nad kompleksową reformą ONZ miał zamiar wystąpić Sekretarz Generalny Kofi Annan. Nie można wykluczyć, że nasze działania, w tym i list w sprawie naszej inicjatywy wystosowany przez ministra Cimoszewicza z informacją o przebiegu konsultacji, utwierdził Annana w przekonaniu, że taką inicjatywę podjąć warto. I rzeczywiście dwa tygodnie po naszym memorandum, Kofi Annan ogłosił powołanie panelu ds. kompleksowej reformy ONZ.

Dla dobra sprawy nie mogliśmy więc pójść na rozwinięcie konkurencyjnego projektu. Docenił to Kofi Annan. Ale prowadzone z nim rozmowy o powołaniu w skład jego Panelu osobistości z Polski nie przyniosły rezultatu (miał jakąś osobistą zadrę wobec sugerowanego przez nas kandydata). Udało się natomiast zorganizować w Warszawie w maju 2004 r. konsultacje regionalne z członkami Panelu. Primakov, Bildt, von Weizsacker i inni byli pod wrażeniem rezolucyjności warszawskich dyskutantów.

Efekt końcowy prac Panelu musiał uwzględniać wiadome ograniczenia polityczne. Byłoby jednak niesprawiedliwe skwitować, że znów góra urodziła mysz, nawet jeśli praktyczne decyzje podjęte w wyniku reformatorskiego ferworu Sekretarza Generalnego ONZ były skromne. I utrwaliły przekonanie, że tylko potężny tremor w świecie może zmienić funkcjonowanie Organizacji. Za rządów PIS (na które przypadło i polskie członkowsko w RB ONZ) nie było ani ambicji, ani zdolności do myślenia o ONZ w kategoriach z czasów ministrowania Cimoszewicza i Rotfelda.

We wrześniu 2021 r. z odważną inicjatywą reformy wystąpił Sekretarz Generalny Antonio Guterres. Potrzebę reform ujął w sposób dramatyczny. Bez dokonania przełomu w tej kwestii, wieszczył on upadek systemu ONZ. A oenzetowska bezsilność wobec rosyjskiej agresji na Ukrainę dopisała później posępny kontekst bieżący. ONZ stała się symbolem niewydolności.

Może to już pora pomyśleć o całkiem nowym podejściu do zarządzania światem?

Zakończenie

Tu kończy się mój autorski przegląd doktryn polityki zagranicznej i międzynarodowej. Czas na kilka końcowych komentarzy.

Pomysł, aby opisywać doktryny metodą cotygodniowych wpisów (felietonów) na moim blogu zrodził się podczas zbierania materiałów do publikacji książkowej. Bo to pierwotnie monografia miała być, całkiem poważna i zasadnicza. Miała mieć swoją solidną logikę i strukturę. I solidne

tezy, tudzież konkluzje. Tylko, że ja robiłem takie monograficzne projekty już dość razy, by odczuć w końcu deficyt motywacyjny.

Szczęściem ktoś zapytał mnie w połowie 2021 r.: „A może byś jakiegoś bloga zaczął na emeryturze? Tyle miałbyś do poopowiadania”. Więc dlaczego nie? W końcu, było to coś nowego, forma przez mnie nie praktykowana wcześniej. Jednym słowem - wyzwanie, które mogło motywować. A jeśli mogło motywować, dlaczego czekać było do emerytury? Czasu miałem dość i nic do stracenia (ani do zyskania) na dobre miesiące przed emeryturą.

Nie chciałem wszakże pójść konwencjonalną drogą i stać się kolejnym komentatorem codziennych wydarzeń międzynarodowych. Na to mam jeszcze czas.

Poszatkowałem więc moje opisy doktryn na 52 (w sumie wyszło potem 54) kawałki. Co oczywiście zakłóciło odbiór całościowy. Pierwotne logiczne ramy prezentacji ujęte w pięć solidnych rozdziałów, jak to sobie planowałem, przestały być widoczne. Utraciłem możliwość zbudowania pomostów między rozdziałami, wykazywania jak każdy wyrasta harmonijnie z poprzedniego. Bo teraz każdorazowy wpis musiał funkcjonować jako byt samodzielny, bez uwikłania w konteksty i bez konieczności chronologicznej lektury blogu.

Zrezygnować też musiałem z akademickiej ornamentacji. W blogu nie było miejsca na przypisy, cytaty z myśli zapożyczonych, podpieranie się profesorskimi autorytetami, polemiki z poglądami innych. Te akurat protezy intelektualne pominąłem bez żalu. Ograniczyłem się do czystej faktografii, encyklopedycznej (wikipedycznej) wiedzy. W ten sposób zyskałem więcej miejsca na osobiste refleksje.

W trakcie pracy nad wpisami pojawiały się nowe pomysły, które groziły rozlaniem się blogu ponad zapowiadaną przestrzeń czasową, czyli ramy jednego roku. Ale niektóre wątki i doktryny świadomie pominąłem. Ot, korciło mnie, dla przykładu, opisać doktrynę „pity politics”, kiedy przywódca partii rządzącej w Polsce co i rusz wtedy najeżdżał na Niemcy w kwestii reparacji wojennych. Ale dałem sobie spokój, bo już o doktrynie tej pisałem w jednej ze swoich wcześniejszych książek. Nie zdążyłem też rozwinąć myśli np. w kwestii ekscjepcjonalizmu jako doktryny polityki zagranicznej. Na inną okazję zostawiłem sobie opis feministycznej polityki zagranicznej. Parada doktryn polityki zagranicznej na moim blogu nie była więc kompletna.

Świerzbila mnie ręka, by przyłożyć PiS-owskim dyplomatówkom za ich polityczne szkodnictwo i profesjonalną niekompetencję, kiedy tematyczne konteksty aż się o to prosiły. Zwłaszcza po moim przejściu na emeryturę. Kilka razy z okazji skorzystałem. Ale postanowiłem generalnie upustu emocjom nie dawać. PiS-owscy dewastatorzy polskiej dyplomacji na komentarze zwyczajnie nie zasługują. Także moje, bo był to blog traktujący o profesjonalnych doktrynach. Profesjonalnych, powtarzam. Jak polską dyplomację po PiS-owskiej demolce odbudować, to oddzielna kwestia, która jest obecnie podejmowana przez nowy rząd.

Po jakimś czasie zachęcony reakcjami na blog, postanowiłem zamiar pierwotny odtworzyć i scalić blogowe wpisy w zwarty tekst. Jego atutem jest niewątpliwie uwidocznienie logiki łączącej poszczególne paciorki doktryn. Ewidentna stała się dynamika rozwoju myśli napędzających politykę międzynarodową. Albowiem nie ukrywam, że chciałbym, aby ta parada doktryn uświadamiała powolny co prawda i sinusoidalny, ale konsekwentny postęp w dojrzewaniu naszej kultury cywilizacyjnej. Jego miarą dla mnie jest nie tyle wzrost dobrobytu, ładu społecznego i kultury politycznej narodów, co cywilizowanie relacji między nimi, zasypywanie przepaści, jaka dzieliła od zawsze etyczny kod współżycia w obrębie własnego plemienia od moralnych ocen naszego postępowania wobec obcych.

Mam nadzieję, że tekst w zwartej postaci uczyni go bardziej atrakcyjnym dla adeptów dyplomacji i studentów stosunków międzynarodowych, z myślą o których cały projekt rozpoczynałem. I

wplatałem w tekst osobiste anegdoty, relacje z dyplomatycznych działań, w których uczestniczyłem, rozmaite niedyskrecje zawodowe. Nie zawsze chodziło o konfrontowanie tak zwanej teorii z codzienną praktyką, nie zawsze chodziło o ilustrowanie encyklopedycznych tez faktami z dyplomatycznego życia. Nie kryję, że bardziej zależało mi na tym, aby pokazać młodym adeptom, że dyplomacja może dać im okazję do wdzięcznych doświadczeń, przeżyć, a nawet przygód. Że to obok wielu niedogodności, jakie z nim się wiążą, a zwłaszcza stresu, nomadycznego przymusu przemieszczania, pracy w święta i niedziele, zawód niosący w sobie znakomity potencjał wzbogacających doświadczeń. Oczywiście pod pewnymi warunkami. Pierwszym i zasadniczym jest wykształcenie nawyku porzucania stref komfortu, a zwłaszcza tej, która stała się zmorą współczesnej dyplomacji, czyli uprawiania zawodu zza biurka, przez ekran komputera, zastąpienia świata realnych interakcji personalnych, wirtualną przestrzenią korespondencji i rozmów. No, i drugi istotny warunek – chęć działania, inicjatywność, kreatywność, myślenie koncepcyjne. Tak, wiem, że czasami może to komplikować karierę, zrażać do siebie przełożonych, narażać na ostracyzm ze strony kolegów. Doświadczałem tego na własnej skórze. Ale opowiastkami z własnej drogi zawodowej, chciałem przekonać, że per saldo warto, nawet jeśli oportunizm, bierność i reaktywność wydają się niekiedy lepszymi z punktu widzenia kariery opcjami.

Kosmopolitycznie mógłbym powiedzieć wstępującemu pokoleniu dyplomatów, że przesłanie z moich dykteryjek brzmi po prostu: „diplomacy can be fun”. I pociągnąć tę tezę dalej za hukslejowskim motto: „do not put off till tomorrow the fun you can have today”.

Podsumowywać własną karierę dyplomatyczną jeszcze mi nie pora. Więc przytoczone anegdoty nie chciałem opatrywać jakimikolwiek praktycznymi radami. Nie są one zresztą kompletnym archiwum moich wspomnień. Jak można się domyślić, w pracy każdego dyplomaty pojawiają się sytuacje, które do publicznego opowiadania się nie nadają. Czasami wręcz mimowolnie człowiek staje się świadkiem słów i czynów, których relacjonować nie sposób. Nie zawsze tylko dlatego, że nie wolno (bo rygor niejawności), bądź nie wypada (bo rygor ludzkiej przyzwoitości). Czasami są one po prostu tak niewiarygodne, że grożą oskarżeniem o konfabulację. Mnie się kilka takich zdarzeń trafiło. Nie opowiadam więc o nich, bo i tak nikt by mi nie uwierzył (poza najbliższą rodziną). A moja kariera dyplomatyczna przypadła na lata historycznie przełomowe. Widziałem, jak chylił się upadkowi komunizm, rozpadał ZSRR i blok sowiecki, powstawały nowe państwa i organizacje, przemeblowywały się alianse, zmieniały się paradygmaty stosunków międzynarodowych, dokonywały się rewolucje, kryzysy i wojny. Jednym słowem, działo się, oj, działo. Zaczynający dziś karierę dyplomaci mogą tylko pozazdrościć.

Swój blog prowadziłem w myśl oświeceniowej zasady „*docere et delectare*”, czyli chciałem łączyć rzeczy poważne z krotochwilnymi, ale z nadzieją, że coś nowego czytelnik z lektury wyniesie. Choćby znajomość nowych słów. Dlatego też ze złośliwą niekiedy premedytacją wtykałem do każdego wpisu kilka słów i zwrotów rzadkich bądź obcojęzycznych (głównie łacińskich jak ten powyżej), makaronizmów zapomnianych. Z reguły tylko kilka i skomasowanych, aby zaglądnienie do słownika nie odrywało zbyt od koncentracji na czytaniu. Mamotreptu świadomie nie załączałem. No tak wszystkiego na tacy podawać nie chciałem. Nie ma go też w niniejszym zwartym tekście.

Nie ma też całego instrumentarium, które powinienem zastosować, aby nadać tekstowi nobliwą powagę, stworzyć pozory ciężaru naukowego. Nie przywróciłem więc przypisów, w których potwierdzałbym wysiłek przygotowawczy, dawał dowód, że przestudiowałem niezbędne publikacje, że wykonałem kwerendy i badania. Nie podpierałem się w tekście cudzymi myślami, nie odwoływałem się do autorytetów. Nie szukałem pretekstów do rozdymania tekstu bagatelnymi polemikami. Powiem wprost – tekst jest z założenia antyakademicki. Ale nadzieję mam zuchwałą, że dla młodych adeptów stosunków międzynarodowych posłuży jako kontrpunkt dla oferowanej im wiedzy na polskich uniwersytetach. Tak często niestety nudnej i schematycznej, nie mówiąc o tym, że oderwanej od praktyki. Wiem, co piszę, bo miałem okazję sprawdzić przydatność tej

wiedzy prowadząc co najmniej kilkunastu stażystów z najlepszych polskich uniwersytetów, opiniując prace magisterskie nadsyłane na konkursy Ministra Spraw Zagranicznych, współpracując blisko z kilkunastoma aplikantami zaczynającymi pracę w MSZ.

I udostępniam tekst w roboczym PDF-ie. Żeby trud zakupu i cena książki nie były przeszkodą. Proszę więc o wyrozumiałość, że mogą w nim pojawić się literówki, że przecinki w złym miejscu, że generalnie widać brak dobrej korektorskiej ręki. Coś za coś.

Dziękuję za wspólną podróż!

Korwinów/Stara Miłosna, marzec 2024